

Albis

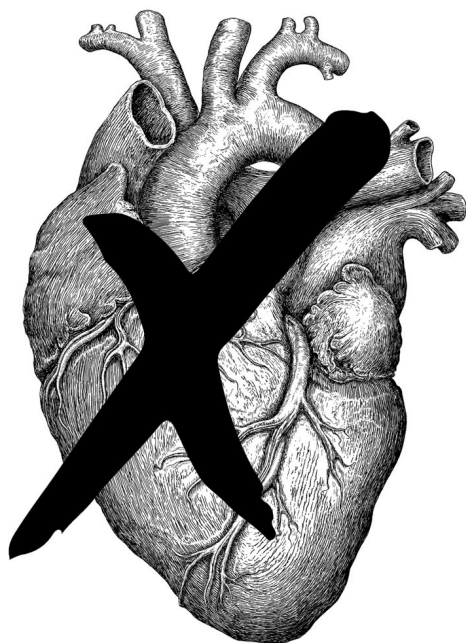
Vistula

Savus

Ljubjanica

ŁUKASZ
ORBITOWSKI

SON
WYDAWNICTWO
SINE QUA NON



EXODUS

ŁUKASZ

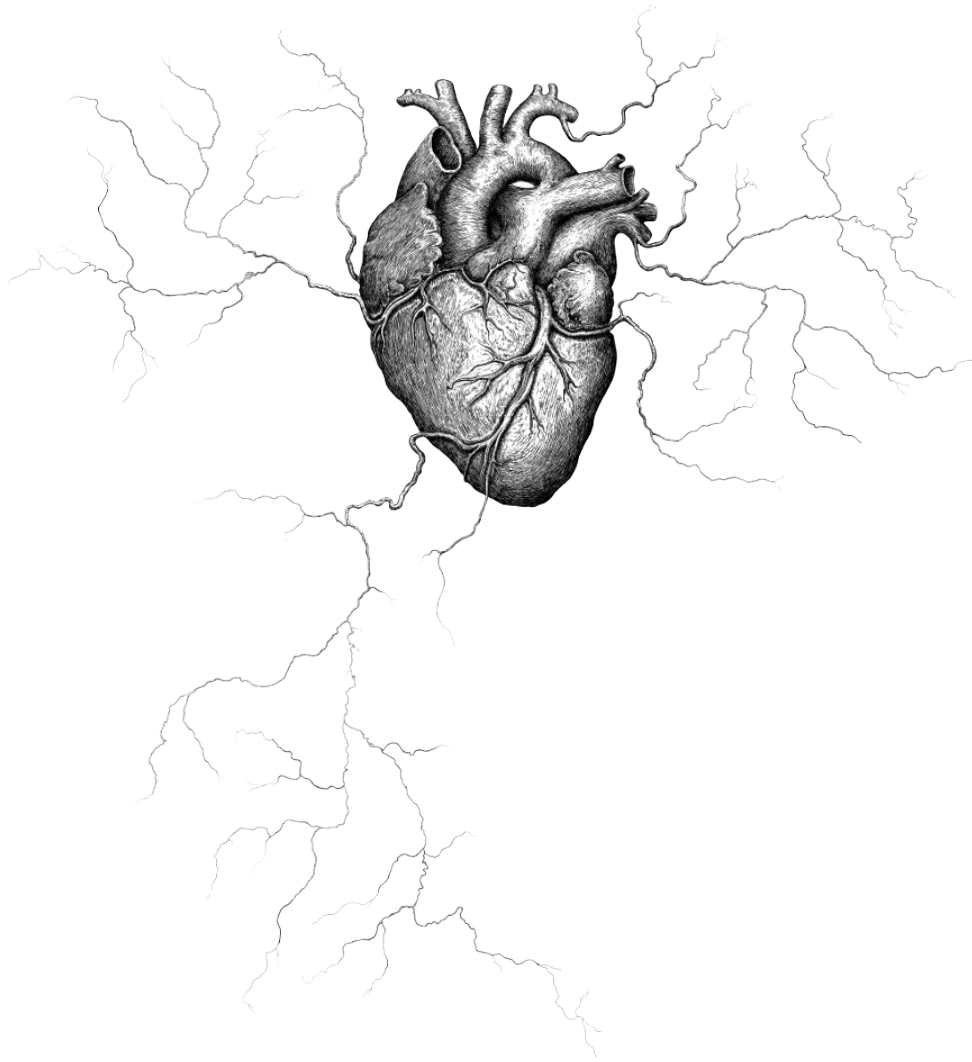
ORBITOWSKI

KRAKÓW 2017

Dla Klaudii

Wędruj samotnie i śpiewaj!
Aleister Crowley, *Księga Thota*, tłum. Krzysztof Azarewicz

CHOLE



Trach.

Jest jasno, są ludzie i samochody, jest Puławska i zieleń parku Morskie Oko, jest przewrócony koziołek po drugiej stronie ulicy i cukiernia w dawnej kamienicy Wedla, jest stal i krew, jest facet na wózku handlujący sznurówkami, ale ja widzę tylko rudego kota w obroży. Kręci się, rozgląda i podchodzi do kałuży, żeby się napić. Spłoszony pryska w chaszcze za wiatą przystankową. Pójdę i ja.

Opromieniony słońcem, z plecakiem na ramieniu idę w stronę placu Unii Lubelskiej. Rowerzyści jadą po chodniku i dzwonią na przechodniów, a jakiś cham w maździe ciśnie klakson, niewiele brakuje, by przejechał mi po stopach. Zaczynam biec. Przeskakuję psie smycze, mijam skamieniałe staruszki, rozrywam splecione dłonie zakochanych i biegłbym tak dalej, gdyby nie światła.

Ulica jest szeroka, świateł bardzo dużo, do tego wszystkie czerwone, więc stoję i patrzę na ławicę samochodów. Nie znam się na tym, ale to chyba tanie i złe auta, dlatego tak ich wiele. Są też autobusy nabite ludźmi i ekologiczne taksówki pompujące w miasto smród, i skutery z zimną pizzą, wszystko to pędzi i tylko piesi czekają, bo o nich zapomniano. Wreszcie robi się zielone, przechodzę parę kroków i znów stoję, na wysepce pośrodku ulicy. Dlaczego nie można po prostu przejść na drugą stronę za jednym zamachem? Światło znów nie chce się zmienić i jest chyba jedynym czerwonym na całym wielkim skrzyżowaniu. Wszyscy wszędzie przechodzą i przejeżdżają, mnie jednemu nie wolno, więc stoję, tupię i gryzę wargę, aż boli.

Przed kawiarniami ludzie drapią łyżeczkami desery lodowe, burgery skwierczą na blasze, a z wystawy księgarni spoglądają kucharze, piłkarze i celebryci bez wyraźnej przynależności. Z witryny banku uśmiecha się do mnie piękny mężczyzna uradowany tabletem, który otrzymał za otwarcie konta walutowego i polecenie tej usługi znajomym. Wewnątrz panuje sztuczny chłód. Zrzucam plecak na bordową sofę. Dziewczyna podobna do Marion Cotillard pyta, w czym może mi pomóc. Mnie nie można pomóc. Marion ma złoty wisiołek ze strzelcem i oczy łani z japońskiej kreskówki. Jesteśmy tu tylko my dwoje.

Mówię, że mam u nich dwa konta oszczędnościowe, jedno osobiste i lokatę, a Marion nawet nie czeka, aż wykrztuszę, co chciałbym z tym wszystkim zrobić, i prosi o dowód osobisty. Gdzie on? Grzebię po kieszeniach, znajduję i już mam podać, gdy rozbrzmiewa *Imagine*. Ciskam Marion dowód pod nos, sprawdzam, kto dzwoni, i czekam, aż piosenka się urwie. Wypada ją przeprosić, tę Marion, za rzucanie dowodem, więc przepraszam, a ona nie przestaje stukać w klawiaturę. Słyszę, że wszystko się zgadza – jestem sobą, moje pieniądze są moimi pieniędzmi. Zdradzam, w czym rzecz. Chciałbym wszystko zlikwidować. Przechodzę trudny okres. Zdarzyło mi się coś nieprzyjemnego, powiedzmy, przejściowy kłopot, któremu szmal pomoże ukręcić łeb.

Beznamiętna Marion uruchamia maszynę bankowych procedur, więc stoję jak kołek, mając za towarzystwo Johna Lennona, świat bez granic, wojen i miłosiernego Stwórcy. W bankach zawsze trzeba czekać, co jeszcze rozumiem, ale nie mogę pojąć, czemu nas, oczekujących, pozostawia się bez niczego. Powinni coś zrobić, na przykład puścić film czy piosenkę. Chodzi o to, żeby tak samemu ze sobą nie czekać. Marion wraca z wydrukami. Muszę podpisać całą tę stertę, tylko długopis wypada mi z rąk. Wreszcie jakoś to idzie, kartka za kartką, a Marion obwieszcza, że wszystko źle, bo podpis nie zgadza się ze wzorem w komputerze. Zaczynam od nowa. Pytam, ile tego wyszło. Wydawało mi się, że mam więcej, dopytuję i sprawa staje się jasna. Jest jeszcze fundusz na małoletniego. Również likwidujemy, gotówkę proszę. Marion podnosi na mnie sarnie oczy i mówi, że w oddziale można wypłacić jedynie dwadzieścia pięć

tysięcy złotych, ani grosza więcej.

Przypominam, że są to moje pieniądze, że jestem klientem od dziesięciu lat. Płacę za karty i przelewy. Gdzie w umowie napisano, że bank nie wypłaca klientom ich własnych pieniędzy? Tutaj napisano. Marion pokazuje mi odpowiedni paragraf.

Stoję, ona siedzi. Wyobraźmy sobie, że walę pięścią w blat, wyjmuję spluwę, wybucham płaczem, a nawet żądam rozmowy z kierownikiem. Marion dalej tkwiłaby na tym krześle, delikatna i nieczuła, z jedną dłonią na słuchawce telefonu i drugą pod ladą. Proszę o parę minut i wychodzę na zewnątrz. Telefon znów dzwoni. W stronę Mokotowa gnąją dwie karetki i samochód policyjny na sygnale.

Wracam do banku. Tym razem siadam, łączę dłonie na blacie i próbuję spojrzeć Marion w oczy. Obniżonym głosem mówię, że zachowałem się jak idiota i bardzo mi przykro. Wiem, jak trudno ocalić spokój przy problemowych kontrahentach, a teraz, niespodziewanie dla siebie, stałem się jednym z nich. Kończę, zapada cisza. Marion ożywia się, dopiero gdy dodaję, że wezmę grzecznie te dwadzieścia pięć kółek i zniknę. Pyta, czy chcę odebrać pieniądze w osobnym pomieszczeniu. Ani mi to w głowie. Bankowa procedura rozkręca się na nowo, drukarka wypluwa kartki, a gdy kończę składać podpisy, na każdej zostaje podłużna plama potu.

Marion informuje, że resztę pieniędzy mogę wypłacić w innym oddziale, byle po notyfikacji i przed piętnastą. Próbowała powiedzieć to wcześniej, lecz nie pozwoliłem. Dziękuję jej bardzo, zapewniam, jak wiele znaczy dla mnie taka informacja, zaś Marion przełyka ślinę i trzepocze rękami, jakby nagle sobie przypomniała, że może być zakłopotana, tak zwyczajnie, jak człowiek.

W warszawskich tramwajach gęsto, nawet gdy w środku jest niewielu ludzi, bo wszyscy sadowią się na bogato – torby kładą na miejscu obok i wyciągają nogi, tak, by nikt nie usiadł naprzeciwko. Ja trzymam plecak na kolanach, stopy razem i patrzę przez okno.

Na Marszałkowskiej sprzedają risotto po czterdzieści pięć złotych, restauracja gruzińska zmienia się we włoską, księgarnia w kawiarnię, ludzie zdejmują płaszcze i kurtki, a smutna dziewczyna tkwi przy stoisku z okularami przeciwsłonecznymi. Nogi kwiaciarek przy Zbawicielu są jak belki z tysiącletnich sosen. Na stolikach w Charlotte, w Karmie, w Funky i Tuk Tuku leżą papierzyska i pootwierane laptopy, a w nich plany kwartalne, scenariusze, wywiady i książki, cały świat niedokonany. Piętnastka jedzie na Politechnikę. Z dwóch stron kadłuba podnosi się dwoje kanarów.

Mężczyzna ma gruby kark i czerwone podgardle, ale do mnie podchodzi kobieta o przerzedzonych włosach, uzbrojona w terminal i legitymację bez nazwiska. Nosi polar i dzinsy, dba o siebie co trzeci dzień i ogarnia dzieci – z pewnością ma dzieci, przynajmniej dwójkę. Musi być bardzo odważna w tym męskim zawodzie. Co jej dzieci mówią, gdy koledzy pytają, czym zajmuje się ich mama? Ci koledzy spotkają tę mamę w tramwaju, nie będą mieli biletu i sprawa się wyda. Będzie przemoc, dzieci się zemszczą na dzieciach. Biletu nie mam też ja.

Podaję dowód i zaraz cofam rękę. Przecież nigdy nie uiszczę tej kary. Pytam, ile to wyniesie, jednocześnie grzebiąc w plecaku. Kontrolerka wymienia kwotę i zaznacza, że jeśli zapłacę od razu, to będzie mniej. Przecież mam tego od cholery, podaję dwieście złotych, a ona zaczyna wypisywać kwitek i wydaje resztę. Nad moją głową zawisa dłoń pełna drobnych.

Biorę te pieniądze, już dojeżdżamy do dworca. Powiniennem coś powiedzieć tej kobiecie, bo na pewno czuje się źle ze swoją pracą. Wstaję, wyciągam rękę i mówię niskim głosem:

– Dziękuję pani bardzo. Mógłbym panią zabić. Bardzo pani dziękuję.

Kontrolerka zastyga, po czym zaczyna się wycofywać. Wpada na swojego towarzysza, coś tłumaczy. Wsiadamy razem, jak najdalej od siebie. Oni natychmiast znikają w przejściu podziemnym, ja wyciągam szyję – po drugiej stronie Jerozolimskich dostrzegam oddział mojego banku.

Na najwyższym piętrze Złoty Tarasów trwa spieszny żer. Ludzie siorbią colę, kruszą panierkę i spoglądają w kolorową otchłań.

W Adidasie pytam o klasyczne czarne dresy bez ściągaczy na dole i słyszę, że nie ma. Żalę się, bo to bardzo dziwne – w końcu czarny dres bez ściągaczy jest symbolem tej firmy. Sprzedawca przyznaje mi rację, tylko nic z tym nie może zrobić. Taki dres czasem jest, czasem go nie ma: to rzadkie dobro, które trzeba schwytać.

W zamian wybieram czarną bluzę z kapturem, szarą bluzę bez kaptura i niebieską kurtkę z trzema paskami na brzuchu i mankietach. Dochodzą do tego koszulki, trzy pary spodni dresowych, buty i czapka z daszkiem. Proszę, by spakowano do torby wszystko poza czarną bluzą, czapką i butami. Płacę, znikam w przebieralni i już jestem w Levi'sie, gdzie kupuję dwie pary dżinsów – pięćsetjedynki i jakieś nowe. Te nowe są bardzo specjalne, przynajmniej tak twierdzi sprzedawca. Nie pierze się ich, lecz czyści szczotką i trzyma w zamrażarce, dzięki czemu dopasują się do ciała, będą drugą, niebieską skórą, jak w *Avatarze*.

Jest tyle rzeczy, które można mieć. Kupuję skórzaną kurtkę z orłem na plecach, ciemne okulary, trzy koszule, kilka krawatów i dwie marynarki z Wólczanki. To dzbany, w których zamierzam się skryć, rdzawe lampy zdolne zmylić współczesnych Aladynów. Krążę po Tarasach, zmieniam piętra, staję dopiero przed sklepem z zabawkami dla dorosłych chłopców.

Dorośli chłopcy mają czerwone policzki, koszule w drobną kratę i dżinsy z fabrycznymi przetarciami. Tłoczą się w tym sklepie. Mają tutaj magnetyczne sznurówki, czołgi szpiegowskie, drony, łuki i całą ścianę wiatrówek. Wszystko to razem stanowi obietnicę życia zabawnego i pełnego niespodzianek, jakby drony zmieniały się w gołębie, a lufy wiatrówek skrywały porporczyki.

Proszę o scyzoryk bez dowcipu, a ponury sprzedawca nie bardzo rozumie, w czym rzecz. Tłumacząc, że mają tutaj rzeczy z żartem zaszytym w środku – bombowe kubki i akwaria na USB – tymczasem mnie interesuje solidny scyzoryk o wielu ostrzach bez żadnych niespodzianek. Dalsza część rozmowy przebiega standardowo. Dostaję kilka nożyków, z których jeden mi się podoba. Wychodzę. Ludzie biegną za mną, podając zgubione ubrania.

Dziewczyna pracująca w Puccinim ma krótkie włosy i osobliwe tatuaże na przedramionach: jedno skuwa lód, drugie trawi ogień. Próbuję ich dotknąć, ona rozgląda się za ochroną, przeproszam więc grzecznie i pytam o walizki. Wybieram największą, pomarańczową, i od razu ładuję do niej ubrania.

Przyglądam się godzinom odjazdów. Rodzice przegrywają wyścig z dziećmi po schodach do

McDonalda, zagubieni Brytyjczycy szukają pociągu na Modlin, na białych sofach pośrodku przysypiają żule, niezmienni jak bryła dworca, a ja nie mogę zapamiętać żadnego połączenia. Głośnik szczeka, że ekspres z Wrocławia jest opóźniony o dwadzieścia pięć minut. Zastanawiam się, co zrobiliby ludzie, gdyby ta sama szczechaczka obwieściła, że ów ekspres zniknął, zdeintegrował się razem z pasażerami i załogą, był, lecz już go nie ma? Biliby na alarm czy prosili o zwrot biletów? Staję w kolejce do kasy.

Kolejka jest długa, lecz idzie błyskawicznie – pasażerowie rozpraszają się płynnie do kolejnych okienek. Moja kasjerka wygląda, jakby przyszła tu prosto od kosmetyczki; nie może oderwać oczu od własnych piekielnie zadbanych dłoni. Proszę o pierwszy pociąg na Zachód, dokądkolwiek, koniecznie pusty przedział. Wychodzi na to, że wybieram się do Berlina, jest tylko mały klops – w drugiej klasie brakuje pustych przedziałów. Po prawdzie nie ma tam żadnych przedziałów, bo wagony są bezprzedziałowe. Chcąc nie chcąc, wybieram pierwszą klasę, a kasjerka muska klawiaturę opuszkami, jakby w obawie o los drogocennych paznokci. Proszę, aby sprzedała mi przedział. Nie miejsce w przedziale, tylko cały, a ona dziwi się trochę, dziwi się uroczo, jak przystało na biedną dziewczynę, która zetknęła się z kimś, kto szasta pieniędzmi.

Dostaję bilet w kopercie ozdobionej zdjęciem młodych, zakochanych na zabój i namiętnych, którzy do tego podróżują z trójką dzieci. Odchodzę od kasy i natychmiast wracam, odrzucając zakonnice z papierowym rozkładem jazdy. Gdy uprzytamniam kasjerce jej pomyłkę, ta chyba mnie nie poznaje, choć widzieliśmy się kilka sekund temu. Chciałem cały przedział, nie jedno miejsce. Przedział w pierwszej klasie, tak trudno to pojąć? Kasjerka odbiera bilet i drukuje nowy. Minę ma, jakby myślała tylko o tym, by zrobić sobie selfie.

Podziemia dworca splatają się w labirynt, gdzie kawa z Costy i książki z Matrasa sąsiadują z odzieżą patriotyczną i używanymi telefonami komórkowymi. Klozet czai się gdzieś w bocznej alejce, jakby komuś zależało, żeby każdy doczłapał tutaj na podkurczonych nogach z wilgotnym już kroczem. Wstępu broni bramka na monety, strzeżona przez wysłużoną babcię klozetową. Ta nie chce mi rozmienić stówki, więc przetrząsam kieszenie. Czemu akurat dwa pięćdziesiąt? Muszę znaleźć nie jedną, lecz dwie monety, w tym upatruję rozwiązania zagadki. Chodzi o systemowe upokarzanie ludzi. Chodzi o to, by każdy czuł się śmieciem, nim wsiądzie do przepysznego pendolino.

Zamykam się w kabinie, ściągam przepoconą bluzę, przekopuję rzeczy, przebieram się w skórę i dresowe spodnie. Walizkę i torby upycham wokół muszli. Opuszczam ciężką deskę, kładę na niej telefon, z portfela wydaję kartę płatniczą, dwie kredytowe, dowód osobisty i sięgam po scyzoryk.

Wysuwam wszystkie ostrza naraz, jakbym znowu był dzieckiem: nożyk długi i krótki, piłka, pilnik, śrubokręt, korkociąg oraz nożyczki, które najbardziej mnie interesują. Karty, twarde jak warunki kredytu, tnę na trzy–cztery paski, lecz dowód osobisty wymaga większej pracy. Pilniczkiem zacieram zdjęcie, adres zameldowania, imię i nazwisko, całość tnę najdrobniej, jak się da, i spuszcza w toalecie.

Mam kilkadziesiąt nieodebranych połączeń. Od patrzenia w ekran zalewają mnie fale zimna i gorąca, pieśń lodu i ognia, nie ma co. Kiedyś telefony były inne, jak mój stary alcatel. Nikt nie słyszał o żadnych wirusach, bateria trzymała tydzień i wyjmowało się ją jednym ruchem. Tu

muszę znaleźć sposób albo rozpieprzyć system. Więc dziabnę scyzorykiem. Pęknięty ekran gaśnie jak oko Terminatora. Kartę SIM rozkrawam i miazdżę. Adios, znajomi! Nie będzie już lajków, wydarzeń takich jak weekend kalamburowy w ArtCafe i grup o wydziananych dresach, nie będzie też zdjęć kotów i z imprez rodzinnych, demotywowatorów z Kwachem i dziesiątków ekranów GIF-ów z Tumblra, nie będzie was, nie będzie ciebie, nie będzie więc mnie.

Telefon wiruje w odplywie dworcowego klopa, razem z resztkami kart i dowodem osobistym. Nie będzie mnie, a więc: żegnaj, Janku.

Piętnaście lat wcześniej, po południu przed sylwestrem leżałem w wannie i przewracałem kartki nowej powieści Filipa Włócznika. Lubiłem niespieszne kąpiele. Miałem cudowne wrażenie, że woda sama z siebie oczyszcza moje ciało, bez gąbki, bez mydła, a ja nie muszę nic robić. Wycierałem się błyskawicznie, bo nie lubiłem siebie nagiego, choć nie pamiętam, co dokładnie mi się nie podobało.

Mój pokój wyglądał trochę inaczej niż pokoje dzisiejszych dwudziestolatków. Nie było w nim komputera ani tabletu. Miałem wieżę, kompaktki Deep Purple i Marillion, parę podręczników do socjologii i mnóstwo powieści fantastycznych.

Na łóżku rozłożyłem wszystkie pary spodni – z Ravela, z Big Stara, ze sklepu wojskowego – i gdy już prawie zdecydowałem się na szturmówki, wparowała mama i powiedziała, że w sztruksach będzie mi lepiej, doradziła też koszulę. Jej zdaniem kiedyś było nie do pomyślenia, by młody człowiek pojawił się na imprezie sylwestrowej bez krawata.

Na obiad były bitki z ziemniakami. Mama odsmażyła moją porcję, swojej już nie, ale i tak jadła, narzekając na zęby. Prosiła, żebym się nie upił. Mieszkaliśmy przy parku Morskie Oko, sylwester odbywał się na Żoliborzu, tuż obok kina Wisła. Nocą tramwaje nie jeździły, linia metra dochodziła tylko do Ratusza Arsenał i mama nie chciała, żebym szedł taki kawał, do tego pijany. Na koniec przypomniała, że nie sypia, gdy włączę się po nocy, takie targają nią nerwy. Powiedziałem to, co zawsze się mówi w takich chwilach: jestem dorosły, umiem o sobie zadbać. Obiecałem wrócić najpóźniej pierwszym tramwajem. Wskoczyłem w martensy i zielony płaszczyk trzy czwarte, na Puławskiej za pięćdziesiątkę od mamy kupiłem wódkę i szampana, i pojechałem na Żoliborz.

Na imprezie było ze trzydzieści osób, ale dla mnie liczyła się tylko Patrycja, szatynka z niewielką diastemą i kolczykiem w dolnej wardze. Wymykała mi się z rąk przez cały semestr. Podobno lubiła chłopaków z SGH i bałem się nawet, że przyjdzie z jakimś. Ale towarzyszyła jej tylko Julka od nas z roku. Ta chyba dobrze czuła się w towarzystwie popularniejszych dziewczyn, bo nie musiała się za wiele odzywać. Sprzedałem jej buziaka i usiadłem na podłodze pod ścianą, gdzie polewano wódkę i nektar jabłkowy do przepicia.

Wieża grała najpierw piosenki Kayah z Bregoviciem, potem leciał soundtrack z *Pulp Fiction*. Wszyscy palili. Jakaś para zamknęła się w łazience i nie chciała wyjść. Ktoś sikał na balkonie. Tańczono, aż meblościanka się trzęsła. Dobrze przed dwunastą, po pierwszej bójce, kiedy parę głów już opadło, przysiadła się do mnie Patrycja. Miała mocno w czubie, bez przerwy poprawiała zsuwające się ramiączko i byłem pewien, że robi to specjalnie, że dziś wreszcie się uda. Papierosa strzepywała do paczki po niebieskich chesterfieldach. Coś ją trapiło, dobór słów przychodził jej z trudem. W końcu zapytała, co sądzę o Julce. Odparłem, zgodnie z prawdą, że bardzo ją lubię, choć nie znam za dobrze, co nie znaczy, że nie mógłbym jej lepiej poznać czy

coś. Nagie ramię Patrycji było gładkie jak kula bilardowa. Powiedziała, że Julka też bardzo mnie lubi, i poszła tańczyć.

Julka czekała w kuchni przytulona do rury ciepłowniczej, ubrana w fioletową koszulę i czarne spodnie w kant. Przypominała trochę Nosowską, której brakło witamin, by urosnąć, w każdym razie miała w oczach ten sam strach. Pogadaliśmy, potańczyliśmy, wreszcie huknęły szampany i fajerwerki, dziewczyny zaczęły piszczeć, faceci buczeć, a ja objąłem Julkę i pocałowałem. Resztę nocy przesiedzieliśmy już razem. Rozmawialiśmy o nadchodzącej premierze *Władcy Pierścieni*, o piorunujących *Czarnych oceanach* Jacka Dukaja i niebezpieczeństwach wiążących się z wejściem Samoobrony do wielkiej polityki. Obściskiwaliśmy się w kuchni i postaliśmy chwilę na balkonie, patrząc na sztuczne ognie. Chcieliśmy pójść na całość, tylko łazienka była wciąż zajęta.

Impreza gasła, ziewaliśmy oboje. Ludzie spali nawet w przedpokoju, na kurtkach. Julka wynajmowała pokój na Starych Bielanych. Poszliśmy w noc, przez miasto w zabawie, wzdłuż ulicy Słowackiego. Chodnik lśnił od lodu obsypanego kawałkami szkła. Taksówkarze gwałtownie zmieniali pasy, robiąc miejsce dla karetok pogotowia. Ze zniszczonego billboardu śmiał się Irek z *Big Brothera*. Przechodnie pozdrawiali się wzajemnie. Na nasz widok unosili kciuki, życząc dobrego nowego roku 2002. Było zimno, więc mówiliśmy niewiele. Na wysokości skrzyżowania Armii Krajowej, gdzie rozpedzeni kierowcy odkrywali, że wyłączono światła, przyszło mi do głowy, że jeszcze nigdy nie widziałem takiej pięknej Warszawy.

Julka pochodziła z Płocka. Jej rodzice chcieli, żeby codziennie dojeżdżała na zajęcia z domu. Ojciec robił tak przez trzy lata, gdy studiował w szkole rolniczej, i uważał, że codzienny spacer na dworzec nie robi jego córce krzywdy. Julka uparła się i postawiła na swoim. Pierwszy rok spędziła w akademiku. Miejsce musiała odkupić od studentki z Podbeskidzia – mieszkała za blisko, by je dostać. Poradziłam sobie, powiedziała. Zresztą w akademiku wcale się jej nie podobało. Od piątku do niedzieli trwały imprezy, skądinąd całkiem przyjemne, ale prysznice i toalety znajdowały się na korytarzu. Sprzątaczkę zęgały się w piątek i wracały w poniedziałek rano. Do tego czasu w kiblach wyrastały kopce, a brodziki zapełniała brudna woda. Dlatego Julka po roku uciekła z akademika. Uprosiła rodziców o więcej pieniędzy i teraz mieszka tu.

Dom był piętrowy, otoczony murem, z widokiem na bloki. Julka ostrzegła, że właściciele, emeryci, nie lubią gości, hałasy też im przeszkadzają. Poza tym są w porządku, tylko mają wielkie grube okulary i flanelowe koszule upchane w spodniach. Mówiła na nich ufoludy. Zauważyłem, że zamieniła rejwach na zupełną ciszę – akademik na Stare Bielany. Bardzo jej się to spodobało. Ostrożnie obróciła klucz w zamku i poprowadziła mnie po stromych drewnianych schodach.

W pokoju prócz wąskiego łóżka była tylko szafa i zawalone książkami biurko. Julka rozebrała się i pomogła się rozebrać mnie. Pieprzyliśmy się, zatykając sobie nawzajem usta. Wytrzymałem dłużej, niżbym przypuszczał, lecz koniec mnie zaskoczył, przyszedł tak nagle. Poglaskałem Julkę po twarzy, przeprosiłem i zapewniłem, że niedługo znów będę gotowy; a może chciałaby, żebym coś dla niej zrobił, coś przyjemnego? Nie miała ochoty. Powiedziała, że wszystko jest w porządku.

Leżeliśmy jeszcze chwilę, wtuleni w siebie. W końcu odwróciła się plecami, tylko ja nie mogłem zasnąć i starałem się nie ruszać, żeby jej nie zbudzić. Nie wiedziałem, która może być godzina, nie miałem zegarka, a komórkę dopiero planowałem kupić. Wstałem, gdy poszarzało. Julka zapytała, co robię, i poprosiła, żebym został – ufoludy nigdy tu nie zaglądają. Poleżymy sobie nawet do południa, a potem przemyci mnie na zewnątrz. Stwierdziłem, że muszę coś

załatwić – przecież nie mogłem powiedzieć, że chodzi o mamę. Julka usiadła obok i podciągnęła koldrę pod szyję. Była ciekawa, co ważnego może czekać na człowieka w Nowy Rok o szóstej rano. O dziwo, oddała pocałunek. Przeprosiłem raz jeszcze i zapytałem, czy zobaczymy się pojutrze, na przykład w Lotosie. Zgodziła się. Na przystanku tramwajowym, brodząc w śniegu, między butelkami, resztkami rac i petard, papierowymi czapczkami i rzygowiną, ogarnął mnie lęk: bałem się, że coś zrobiłem źle i stracę tę dziewczynę.

Oddech wraca mi do normy, dopiero gdy ruszamy z Kutna, a ja wpadam w sidła dóbr ekskluzywnych. Mini morrisy, odrestaurowane zegarki marki Omega z lat pięćdziesiątych, macBooki i perfumy Toma Forda to być może fragmenty precyzyjnie skonstruowanej pułapki, która w odpowiedniej chwili zmiażdży głowy tych, co nie oparli się pokusie. Przetrwają chłopcy w oplach, pachnące wodą po goleniu Wars i wódą – przynajmniej tak myślę, mordując się z jackiem. To gówno w szyjce butelki wadzi, nie mam przecież kubka, a z przechylonej flaszki na język ścieka tylko kilka kropel. Jeśli się nie napiję, to umrę, po prostu rozlecę się od środka: wciskam jacka między kolana i szczyrykiem wykrawam drogę dla whiskey.

Po pierwszym łyku czuję się dziwnie, jakbym czekał na ważny telefon, po paru kolejnych nieprzyjemne uczucie gaśnie. Sięgam po plecak i na blacie pod oknem dzielę pieniądze, tę królewską cegiełkę. Mam jeszcze jakieś siedemdziesiąt kółek. Pięć stów trafia do przedniej kieszeni, tysiak do tylnej, reszta wraca do plecaka, owinięta w skarpetę.

Konduktorzy, niezależnie od płci i wieku, zawsze mają oczy starców. Te należące do kobiety sprawdzającej mi bilet mogły widzieć jeszcze manifestacje prohibicjonistów w Atlantic City. Zagaduję, czy ma może jakiś pojemnik, szklanekę, nawet papierowy kubeczek, i pytam, czy napiłaby się ze mną. Natychmiast czuję, że zrobiłem coś złego, że jestem złym człowiekiem z tą butelką. Konduktorka prosi, żebym nie zabierał alkoholu do wagonu restauracyjnego, i znika.

Dociskam drzwi, zasuwam zasłony. Sięgam po koszulkę, resztę upycham, układam torby i walizki na dwóch siedzeniach. Za oknem sarna prowadzi młode przez brudną wodę stojącą wśród drzew. Kierowcy zatrzymani przez szlaban wyszli z samochodów. Wpycham koszulkę w usta i zaczynam krzyczeć. Trwaj chwilo, jesteś straszna. Słyszę trzask, jakby otwierała mi się głowa.

To nie głowa, lecz drzwi, w których stoi krępy, muskularny facet. Ostry nos i cofnięty podbródek upodabniają go do rekina. Facet pyta, czy może w czymś pomóc, i słyszy, że ma spierdalać. Twarz mu tężeje.

– Żadnych kefirów, ziomus, już mnie nie ma.

Pojawiam się w warsie w czapce nałożonej daszkiem do tyłu, z okrągłą sumką do rozpieprzenia. Witają mnie same smutne twarze. Należą do robotnika zwieszzonego nad piwem, przestraszonego studenta i żmijowatej bizneswoman stukającej w tablet. Trzech pięknych, młodych mężczyzn nawet nie zerknie w moim kierunku. Siedzą na wysokich stołkach, pałaszują sałatki i śmieją się z własnych żartów. Mają podgolone głowy i tatuaże na przedramionach. Gdzie podziały się czasy, gdy po słowach: „Kolejka dla wszystkich!”, strzelano na wiwat?

Mam ochotę tylko na banię, lecz powinienem coś zjeść, tak podpowiada mi mój sojusznik

rozum. Zamawiam ruskie i piwo do tych ruskich, albo nie, lepszy będzie krupnik. Proszę od razu butelkę i dwa kieliszki. Pytam robotnika, czyby się ze mną nie napił, i siadam, nim padnie ospała odpowiedź.

Pijemy szybko, a on mówi powoli i z namysłem, jakby miał do przekazania rzeczy wielkiej wagi. Wybiera się do Wittenbergi, gdzie stawia ogrodzenia. Teraz, po zimie, ma żniwa, choć pracował i w styczniu, do diabła, stawiał płoty na piętnastostopniowym mrozie, do czego trzeba kurewskiej siły, byle pętał nie podoła. Czy chodzi mu o mnie? Czy powiedziała by tak o obcym facecie, który postawił wódkę na stole? Musi się bać, że zatrzasną się przed nim wrota raj, bo pije szybko i nie wypuszcza kieliszka.

Życie polega na zmianie, wzdycha. Dziś płoty, jutro coś innego. Może pojedzie do Szwecji? Kasy mają jak lodu, te durne skandynawy, a robić nie ma komu. Pyta, kto moim zdaniem tę robotę weźmie. Ciapaci? Wolne żarty. Jesteśmy murzynami Europy. Jemu to pasuje. Jest murzynem nawet we własnym kraju. Przez Piaseczno szedł nocą, jak złodziej, żeby go ta kurwa, była żona, nie przyfilowała. Nim odpowiem, robotnik zagaduje węzowatą bizneswoman.

Ta droczy się chwilę, choć dawno podjęła decyzję. Robotnik, który mozolnie zlepiła słówka tylko po to, by obrażać innych, ten Janusz i kartofel, zdołał mnie zawstydzić. Nigdy nie potrafiłem zagadywać obcych i zazdrościłem takim, co umieją. Zawołanie studenta chwały mi nie przynosi, ale już jest za późno, siedzimy we czworo przy dwóch kieliszkach i słuchamy, jak bizneswoman opowiada o swoim kocie.

Kot nazywa się Kropka, jest rosyjski, niebieski, i kocha jej kolana, wykorzystywał każdą okazję, by na nich usiąść. Tych nie ma zbyt wiele, bo bizneswoman mieszka na dworcach i lotniskach, czasem, zwłaszcza o świcie, zapomina, w jakim mieście się znajduje. Stąd i kot, bo wytrzyma i cztery dni, żrąc z dozownika pokarmu, z psem kłopot byłby większy, największy z człowiekiem.

Student nawet nie myśli o kocie, nie wie, gdzie zamieszka za rok. Zamiast domu wybrał świat stojący otworem. Opowiada o pięknie Berlina, o tym, że można bezkarnie palić jointy na ulicach, o imprezach trwających tydzień i łatwych dupach. Polewam mu. Bizneswoman zsuwa się z krzesła, ma dosyć, chce wracać do przedziaku, a jednak wciąż przy nas stoi. Chciałbym wiedzieć: spłoszyło ją chamstwo studenta czy ręka, którą położyłem jej na kolanie?

Mamy jeszcze tych trzech piękniśków na wysokich stołkach. Zżarli już sałatki, zerkają ku nam z ukosa i dowcipkują. Tacy goście grają w squasha, mają trenerów personalnych i traktują kobiety jak szmaty. Ale co mi tam. Niech skorzystają z mojej hojności. Kiwam na nich i pytam, czy napiją się z nami. Jeden odmawia, pozostali rechoczą, wszyscy trzej pokazują mi plecy.

Gdyby tylko odmówili, wszystko byłoby w porządku, ale ten rechot rozpala mnie od środka. Krążę wokół nich, wymachując banknotami. Kim oni są? Czy to wstyd siedzieć ze mną? Przecież zesralibyście się wszyscy na widok mojego PIT-a, o tak, wtedy jeden z drugim zaraz by się chciał zaprzyjaźnić, bo tacy właśnie jesteście, skurwysyny. Chcieliby wiedzieć, ile zarabiam? Chcesz wiedzieć, ile zarabiam? Tak właśnie o nich myślę i może nie tylko myślę, bo chyba powiedziałem to na głos. Student kamienieje, bizneswoman pryska z warsa, a piękny mężczyzna w zamszowej ramonesce podnosi się z wysokiego stołka i mówi, że bym się odpierdolił.

Widywałem już takich Pompejuszy. Noszą drogie kurtki jak złote pancerze. Wykręcam mu nos, kwiczy, puszcza i czekam, co będzie, bo przecież jestem pancerny i nie mogę umrzeć. Piękny mężczyzna gapi się na zakrwawione dłonie i chyba nie wierzy w to, co właśnie się wydarzyło. Unoszę gardę, wciąż zaciskając palce na pliku stuzłotówek, lecz nagle ktoś szarpie

mnie do tyłu. Wyrrywam się, a robotnik prowadzi mnie w stronę drzwi. Potrafi jednocześnie przeproszać za kłopot i rzucić mną przez pół wagonu. Miękkie lądowanie zapewnia biust konduktorki.

Krzyczę, żeby oddali mi plecak. Piękni mężczyźni zwierają krąg nad stolikiem i tylko ten jeden wciąż bada swój nos. Po drugiej stronie korytarza pojawia się znajomy rekini pysk o chytrych oczkach. Mruga i natychmiast znika. Student podrywa się z moim plecakiem, pilnując, by nie wejść w zasięg moich rąk. Przecież nie zrobiłbym mu krzywdy, jestem łagodny i bezbronny, a chciałem tylko poważnego traktowania. O tym właśnie myślę, wleczony do przedziału.

– Wiedziałam, że tak będzie – mówi konduktorka.

Powinienem na siebie uważać. Tak sądzi robotnik, ten zaszczuty, smutny gość, który nie uważał przez całe swoje bezmyślne życie i teraz musi wbijać pale w jakiejś Wittenberdze. Wypowiada te słowa, jakby wypluwał zęby, moszcząc się na fotelu swoim kwadratowym zadem. Wyciąga z tylnej kieszeni portfel napchany wszystkim, tylko nie pieniędzmi, i kładzie pod oknem; to, co wielkie i puste, uwiera najbardziej.

Przecież mu nie powiem, że nie muszę już uważać na nikogo ani na nic. Nie zrozumie tego, więc dziękuję tylko, dodaję, że chyba przesadziłem, i proponuję, by jeszcze się napić. Robotnik próbuje się zasłonić brakiem biletu w pierwszej klasie, zaraz odpuszcza i przysysa się do butelki. Próbuje się trzymać, lecz ma mocno w czubie.

Gadamy. Robotnik chce wiedzieć, co mi się przydarzyło. Nachyla się przy tym, patrzy w oczy i rozkłada dłonie, mogę więc sądzić, że jest szczerzy, a nawet próbuje się zaprzyjaźniać. Powieki mu opadają. Odpowiadam, że nic szczególnego, znalazłem się na życiowym zakręcie, jakoś wrócę na właściwy tor, pozbieram się, tylko potrzebuję czasu. Robotnik splata dłonie i mówi, że ludzie są silniejsi, niż sądzą. Znał takich, co tracili żony przez kolegów i przegrywali mieszkania w kasynach. Po paru latach byli mocni i uśmiechnięci, jakby nic złego się nie zdarzyło. Człowiek jest jak rzeka, sam się oczyszcza, potrzebuje tylko czasu. Zauważam, że nie do końca – stare kontuzje dają o sobie znać nawet po latach.

Robotnik zaczyna snuć opowieść. Dwa lata temu miał wypadek przy pracy. Wypadek nazywa się Lena. To idiotyczne imię, dodaje, lecz nikt nie pytał go o zdanie. Suka, kurwa, matka Leny, chce tylko pieniędzy. Raz ją nakrył, jak szła przez Tarasy z torbami, a w torbach nie było nic dla dziecka, tylko buty, perfumy, bluzki. Robotnik pyta, czy moim zdaniem jest frajerem, i nie czeka na odpowiedź. Dlatego wyjechał, dlatego będzie wbijał płoty w Wittenberdze. Nie da kurwie złamanego grosza, a dziecko przy dziadkach nie ma źle.

Walczy z sennością. Przychodzi mi do głowy, że ludzie zawsze wisieli na innych ludziach, przez co świat przypomina wielką choinkę. Ci u szczytu najmniej narzekają, lamenty dochodzą znad samej ziemi, a wszystko razem tworzy niekończące się Boże Narodzenie. Powiedziałbym to temu robotnikowi, ale już zasnął. W rozdziawionej gębie czernieją amalgamaty.

Za oknem rozpala się miejska luna. Suniemy przez nieużytki pełne piaskowych hałd, za którymi majaczą wieże ciśnień i potężne budynki. Pasażerowie z wolna gromadzą się na korytarzu, chyba pora i na mnie. Wynoszę majdan z przedziału, wracam i pochylam się nad robotnikiem. Nie poderwałyby go nawet trąby pod Helmowym Jarem. Sięgam po jego portfel. Nie boję się, bo mój sojusznik rozum podpowiada, że to najlepsze możliwe rozwiązanie.

Robotnik na zdjęciu w dowodzie osobistym jest wyraźnie szczuplejszy ode mnie, ale ma podobny kształt podbródka. Zaraz wysiądę, a on zostanie. Umknę w Berlin, jego obudzi konduktorka. Nim odłożę portfel i schowam dokument do tylnej kieszeni, przyjrę mu się jeszcze, zaszyję głęboko w sobie nowe imię.

Podmuch wiosennego wiatru przewraca koziołek ustawiony u wylotu Madalińskiego.
Trach.

Budzę się na nieznanym wyspie, zagubiony, mam piach w oczach. Tratwę mojego łóżka otaczają ślady niedawnej katastrofy, rzeczy ocalone z pożogi: walizka, kurtka wywrócona na lewą stronę, a także butelki po oettingerze i niedojedzony kebab.

Ledwo świta, kokoszę się na dolnej pryczy piętrowego łóżka. Jeszcze trzy takie stoją przy ścianach naprzeciw siebie. Okno zasłania roleta poplamiona winem. Na stoliku leżą konserwy, opakowania po chipsach i osuszona butelka martini. Z posłania naprzeciwko zwisa męska dłoń trzymająca telefon.

Obracam kódrę na suchą stronę, przyciskam nos do zrolowanej poduszki, a łóżko zaczyna się trząść jak wagon. Ktokolwiek zajmuje górną pryczę, neurotycznie marszczy fredda albo opęda się od roju urojonych pszczoł. Łomot trwa pół minuty czy też wieczność, wreszcie na drabince pojawiają się włochate stopy. Ich właściciel nosi koszulkę z napisem DREAMS DON'T WORK UNLESS YOU DO i rzeczywiście nie odpuszcza: brzęczy kluczami i trzaska drzwiami szafki, jednocześnie rozplątując kabel słuchawkowy. Nie widzę jego twarzy. Drzwi od pokoju próbuje zamknąć po cichutku, ale daję głowę, moją biedną płonąca głowę, że słyhać go na całym Kreuzbergu.

Śni mi się hotel w Gdyni z widokiem na karuzelę i sama karuzela, taka mniejsza, w parku Morskie Oko, która z kolei przemienia się w srebrną toyotę, a ona w plecak wypełniony zakrwawionym złotem. I tyle tego snu, bo współlokator wraca, znów trzaska szafka, znów łóżko się trzęsie, a ja siadam zlany niskoprocentowym potem, rozbebeszam walizkę i przez moment mam pewność, że jestem skończony, niemal czuję, jak mój odrąbany łeb toczy się po kamiennych schodach. Wskakuję do łóżka. Jestem ocalony. Kładę się na boku, tuląc do piersi plecaczek z królewską cegiełką w środku.

Telefon w dłoni śpiącego sąsiada wygrywa piosenkę o albatrosie. Jego właściciel kotłuje się pod kódrą, a upragniona cisza trwa może sekundę, bo mój sąsiad z góry znów rozkręca swój cyrk. Dygot łóżka, trzask szafki, trzask drzwi. Naciągam dres, zakładam byle koszulkę i wychodzę na korytarz. Chciałbym zobaczyć twarz tego człowieka. Naprawdę jestem jej ciekaw. Przywitam go jak przyjaciela, podziękuję za wczesną pobudkę i zaproponuję wspólne przedpołudnie, karmienie kaczek w parku, rajd po muzeach, takie rzeczy. Nie mam pojęcia, skąd tu się wzięłem.

Stoję między automatem z kawą a lodówką pełną piwa po dwa i pół euro. Przyzwyczajenie skłania ku espresso, lecz raptem budzi się mój sojusznik rozum. Skoro schlałem się wczoraj, napruję się dzisiaj i resztę moich dni przejdę nawalony w dym. Ta poranna przerwa byłaby czymś szkodliwym, idiotycznym: napiję się więc z rozsądku.

Chłopaczyna na recepcji ma tunele w uszach, a na głowie błękitny czub. Na mój widok odrywa się od stłuczonego tabletu i mówi po angielsku, że ewentualnie, ostatecznie, tym razem może mi sprzedać piwo. Czy to znaczy, że próbowałem kupić piwo wcześniej? Czy mnie pamięta? Czy ktoś był ze mną, a jeśli tak, to kto: kobieta, mężczyzna, dziecko? Chłopak bierze ode mnie pieniądze i mówi, że rozbity tablet doliczono mi do rachunku.

Da się zapalniczką, obrączką, poskładaną serwetką, a nawet zębem i oczodołem – być może zresztą świat jest niczym więcej jak monstualnym otwieraczem do piwa, który raptem się popsuł. Wyszczerbiam brzeg stołu, wyginam klamrę paska i dysząc, klękam pod oknem. Zahaczam kapslem o parapet, szarpię i flaszka strzela pióropuszem. Przysysam się natychmiast, browar rozpycha mi usta, świat odzyskał sobie przeznaczoną rolę.

Z dołu wloką się imprezowi maruderzy: dziewczyny w ubraniach jak pierzaste skrzydła

i wyrośnięci młodzieńcy w czapkach z daszkiem. Afrykanka owinięta w ręcznik człapie w stronę natrysku, niosąc pękata kosmetyczkę, a Hindus w rozchełstany garniturze, pachnący zużytą radością, zderza się z dwójką robotników, którzy ruszają na poranną zmianę, rozmawiając głośno po ukraińsku. Siedzę w fotelu, bosi, z niesmacznym piwem, widzialny i niewidzialny jednocześnie dla nich wszystkich.

Z okna rozciąga się widok na blaszany dach, za którym ciągnie się budynek z czerwonej cegły, a spomiędzy dalekich bloków wlatuje błękitny balon z napisem DIE WELT. I właśnie ten balon, nic innego, góruje nad miastem.

Mam nowych przyjaciół, choć ledwo mija południe. W moim pokoju mieszkają jeszcze jakieś dwie dziewczyny, młody Węgier i Turek, sprawca porannych hałasów. Dobiega czterdziestki, a okulary w rogowej oprawie nadają jego twarzy wyraz głupekowatego zdziwienia. Wciąż leży na łóżku i sprawdza coś w telefonie. Jego białe skarpetki dyndające mi nad głową są najczystsza rzeczą tutaj, a może nawet w całym Berlinie.

Siedzę, piję piąte piwo i słucham Węgra, który bardzo się rozgadał. Ma na imię Sebestyén i studiuje stomatologię. Jest na pierwszym roku i właśnie stracił mieszkanie, oczywiście przez dziewczynę. Wylądował w hostelu i szuka kąta, choć – jak sam przyznaje – niezbyt mu się spieszy. Lubi takie miejsca, bo codziennie można poznawać nowych ludzi – dziś na przykład poznał mnie. Ze wszystkich sił próbuje być pomocny. Wspomina coś o kluczyku do szafek, dają taki na recepcji za trzy euro. Chyba mu się nie podoba, że moje rzeczy walają się po całym pokoju. Co mam z tym zrobić? Niech je sam poskłada albo weźmie, skoro tak mu się podobają. Skąd mam euro? Kiedy je wymieniłem?

Rozmowa schodzi na jego życie. Sebestyén pochodzi z małej miejscowości niedaleko granicy z Austrią. Ani myśli wracać. Zostanie chirurgiem szczękowym i zarobi mnóstwo pieniędzy. Na razie próbuje wycisnąć z życia, co się da. Życie jest tylko jedno, tak sądzi, a ja potwierdzam tę mądrość czynem, otwierając kolejne piwo. Moje życie to dreszcz i wydęty brzuch. Z góry gramoli się Turek, w wyprasowanych spodniach od garnituru i koszuli jak z blachy. Patrzy mi w oczy, jakby spajała nas jakaś tajemnica. Może i spaja, skąd mam wiedzieć?

Niezdarną angielszczyznę mówi o tym, co najważniejsze, czyli o sobie samym. Przyjechał z tureckiej prowincji i trwa w zamiarze podboju świata wbrew temuż światu, a zwłaszcza rodzinie. Bracia i siostry chcieli go zatrzymać, ojciec zapomniał jego imię, co wcale mnie nie dziwi, bo ja też nie mogę go zapamiętać. To nic. Turek założy sobie nową rodzinę. Jego dzieci nauczą się języków w prestiżowych szkołach – nie jak on, który wkuwał niemiecki z zeszytów na zakurczonym strychu przy świecach. Wie, że było warto. Prowadzi firmę i będzie bogaty. Poślubi piękną kobietę, a to wszystko, ten hostel, pozostanie wspomnieniem.

Na łóżku przy oknie dochodzą do siebie dwie dziewczyny. Paloma pochodzi z Serbii i narzeka na swój kraj. Wszędzie myślą, że w Belgradzie Bośniak zwisa z każdego drzewa w pobliżu pomników Tity i Karadžicia, a korzenie drzew sięgają grobów zbiorowych. Paloma przypomina wszystkim, że przysłała na świat rok po wojnie. Najlepszym dowodem na to jest jej imię.

Ma nogi modelki i twarz w kształcie półksiężyca, obsypaną pieprzykami. Uśmiecha się dziwnie, zasłaniając górny rząd zębów. Marzy się jej praca w jakimś audytowym przedsiębiorstwie z wielkiej czwórki, w Ernst & Young albo w PricewaterhouseCoopers. Dziwi się Lieke, która kiedyś tam pracowała, ale już tego nie robi, już jej się nie chce.

Lieke, ze swoimi pulchnymi policzkami i jasną cerą, mogłaby reklamować telefony. Jest Holenderką, a z Palomą poznały się na Erazmusie i teraz jeżdżą razem po Europie. Przez najbliższe trzy lata zamierzają odwiedzać jedną stolicę miesięcznie, a zaczynają właśnie od Berlina, bo Lieke ma tutaj kuzynkę.

– Wszystko nagrywamy na nasz kanał youtube’owy, zdjęcia lecą na Insta i już teraz widać, jak się to rozkręca. Potem wydamy książkę. To pomoże nam sfinansować podróż do Azji, w końcu zwiedzimy cały świat, będziemy poznawać ludzi i zarabiać na tym, co lubimy. Dobry pomysł, nie?

Nachodzi mnie niewyraźna ochota, by powiedzieć, że na świecie jest mnóstwo takich dziewczyn, nawet takich książek, a potem strzelić wykład o gospodarowaniu marzeniami. Wówczas uznałyby, że jestem mądry. Tylko czy chcę uchodzić za mądrego? Obawiam się nienawiści, zaś nade wszystko łaknę ciszy, pozamykałbym tych ludzi jak slajdy w PowerPoincie. Na domiar złego odzywa się Turek:

– Też piszę książkę. Mam już trzy rozdziały i mój nauczyciel mówi, że są bardzo dobre. Tylko teraz czekam, aż moja firma będzie duża i ludzie będą pracowali na mnie. Jestem wojownikiem i toczę jedną bitwę naraz. Najpierw firma, potem książka. Wspaniała książka.

Zawiesza głos i gdy już mam nadzieję, że zamilknie, bezmyślny Sebestyén pyta, o czym będzie ta książka. Turek przykłada palec do czoła.

– Piszę o sobie. O moim życiu. O tym, co mi się zdarzyło. Oni dowiedzą się, że nie jestem nikim. Będą wiedzieć, że jestem kimś. Przyjdą do mnie do domu. Powiedzą: „Myliliśmy się, miałeś rację”. O tym będzie książka. Teraz jest tutaj, w mojej głowie. Moja wola, moja siła, moja moc!

Siła i moc opuszczają mnie gwałtownie na podobieństwo igły wysuwającej się z ciała. Muszę stąd wyjść, natychmiast, jeśli zostanę z tym człowiekiem, umrę. Zakładam skórzaną kurtkę na bluzę z kapturem, naciągam czapkę niemal na oczy i z plecakiem na ramieniu mocno popycham drzwi.

Uderzają dziewczynę, która właśnie chciała wejść do środka. Wygląda jak angry bird na sterydach. Niebieska kurteczka kończy się nad paskiem z klamrą w kolorze złota. Spodnie w biało-pomarańczowe paski opinają krótkie, mocne nóżki. Buty okuwa stal. Dziewczyna ma też krótkie czerwone włosy i klejnoty w uszach, zapewne jest dumna ze swojej kobiecości, z bycia wege i przynależności do organizacji pozarządowej, gdzie walczy o poprawę losu płci pięknej. Teraz jednak siedzi na ziemi, rozkraczona, a w jej ogromnych oczach strach miesza się z zawstydzeniem. Korytarzem toczy się butelka wina.

Przepraszam, choć próżny to trud, bo przecież nie zmienię faktu, że posłałem tę babę na podłogę. Zaraz powie, że nic się nie stało, a potem – gdy już pójdę – nagada wszystkim, jakie to było oburzające. Dziewczyna zbiera się z podłogi, także przeprasza i mówi, że to jej wina. Wywraca się cały czas. Tak już ma i nic nie potrafi z tym zrobić.

Nie mogę przestać na nią patrzeć. Policzki łagodnie biegną do ostrego podbródka, miękkie kosmyk włosów zakreśla łuk nad jasnymi oczami. Twarz dziewczyny przypomina serce.

Pierwszym, co rzuca mi się w oczy, jest monstrualny fiut, drugim – nagromadzenie policjantów. Policjanci są prawdziwi, a fiut namalowany – pnie się przez cztery piętra pobliskiego budynku. Chyba mieści się tutaj jakaś organizacja dobroczynna.

Policjanci spacerują dwójkami, spokojnie, jakby po prostu cieszyli się słońcem. Wiele tutaj kobiet w mundurach, może dlatego, że kobiety nie znają litości. Brakuje bram i podwórek, więc chowam się w restauracjach i w sklepach z pamiątkami.

Przecież oni wiedzą, muszą wiedzieć – minęło dość czasu. Moje dane wraz ze zdjęciem rozesłano do wszystkich komisariatów w Europie i teraz policjanci w Marsylii i Kastylii, w Rejkiawiku i Rykusmyku wiedzą, jak wygląda mój pysk. Każdy komendant właśnie w tej chwili ryczy na podwładnych: „Czemu go, kurwa, jeszcze nie macie?! Gdzie on, kurwa, jest?!”. Milion indyjskich informatyków przeczesuje sieć, sprawdzając, czy gdzieś się nie zalogowałem lub nie użyłem karty.

Na widok nadciągającej z naprzeciwka pary gliniarzy wchodzę do kościoła. Wewnątrz zamiast złoconego ołtarza jest zwyczajny stół przykryty suknem, a przed nim kilka rzędów krzesełek jak w sali konferencyjnej. Nikogo, niczego. Czy pamiętam jeszcze jakąś modlitwę? Klękam, robię znak krzyża i nie wiem, co dalej. Wszystkie słowa wydają mi się nieadekwatne.

Kościół rozbrzmiewa muzyką organową. To prosta melodia oblepiona plamami dźwięku. Skrywa w sobie pewność dobrego jutra, być może tylko dla tych Niemców z dawnych lat, o napomadowanych wąsach, których dzieci wyglądają jak młodzi dorośli. Co z tego? Organista dostrzegł mnie i zagrał, dostałem niezaskuszony prezent. Wstaję, bezskutecznie go wypatruję, macham, by podziękować, lecz muzyka się urywa, słychać łoskot zatraskiwanych klawiszy.

Na słupach pełno wlepek jednolitego koloru. Na jednym są żółte, na innym błękitne i trudno zrozumieć, po co właściwie one, skoro nic na nich nie napisano. Szubienice ustawione na jakimś placyku przypominają o tragedii Palestyny. Mijam mural wyobrażający mężczyznę w kapturze, spod którego wyfruwa kilka rajskich ptaków. Ten mężczyzna to ja i czeka na mnie strycalek.

Pełno tutaj wiaduktów, a pod jednym z nich jakiś człowiek usiłuje sprzedać mi szczęście. Waham się. Jednak nie, jestem pijany, boję się innych rodzajów odurzeń.

Niby stolica świata, a bloki jak na Ursynowie. Atak głodu przychodzi nagle, wraz z osłabieniem. Wlokę się między żółte wysokościowce, aż do placyku na planie koła. Wkoło przelewają się ciemnoskóre rodziny, młodzi, obwieszeni złotem, przysiedli na murkach i w ogródkach restauracji.

Tę, do której wchodzę, prowadzi stary Chińczyk, który równie dobrze może być Japończykiem bądź potomkiem polinezyjskich piratów. Stoi w żółtym fartuchu i tylko się patrzy. Z zalaminowanego menu wybieram kurczaka i biorę od razu dwa piwa. Są tu trzy długie stoły przykryte ceratą, wszystkie puste. Wybieram ostatni, piję, a nad głową obraca mi się wiatrak ze sklejki.

Nie mam tabletu, telefonu ani gazety w żadnym normalnym języku. Pod oknem leżą miesięczniki motoryzacyjne, wszystkie po niemiecku, zresztą cóż nudniejszego nad samochody? Okno wychodzi na podwórko. Drę na kawałeczki podstawkę od piwa, czytam etykietę na butelce, sprawdzam zawartość plecaka i oglądam swoje podeszwy.

Pod nos wjeżdża mi parujący kopiec żarcia, pełen rzemyczków mięsa, kiełków i orzechów. Jem, pomagając sobie palcami, każdy kęs zalewam piwem, bo mam aż dwa, kto bogatemu zabroni? Zjem, krew spłynie z mózgu w bebechy, ciało upomni się o sen, runę pod blat, w każdym razie nie dotrę do hostelu pieszo. Taksówka! Jak tu się zamawia taksówkę? Do knajpki wchodzi policjant i wita się z Chińczykiem.

Gruby, zmęczony, pięćdziesięcioletni, przypomina tych gliniarzy, co giną w pierwszej połowie każdego filmu z Jasonem Stathamem. Składa zamówienie, siada przy wyjściu, wyciągając nogi, i sięga po gazetę motoryzacyjną. Rozgląda się, poświęca mi jedno niedbałe

spojrzenie, ale takie, że kurczak staje w przetyku.

Jem i zastanawiam się, co powinienem zrobić. Przecież koło niego nie przejdę. Gdy naciągnę kaptur, z pewnością nabierze podejrzeń. Mam jeść szybciej czy wolniej? Jeszcze nie wszystko stracone. Będę się zachowywał normalnie, najzwyczajniej w świecie. Przyjechałem z Polski, zwiedzam Berlin i nikomu nie zrobiłem nic złego.

Chińczyk zabiera mój wyczyszczony talerz i przeciera ceratę. Mam jeszcze piwo, wciąż mogę tu siedzieć. Gliniarz dostaje górę paluszków krabowych, a sposób, w jaki się do nich zabiera, rozwiewa resztki wątpliwości. Bierze małe kęsy i żuje, jakby to był batonik proteinowy. On wie i tylko się droczy, pieprzony Columbo, wyjąłbym mu oko, gdybym mógł. Śledzili mnie od kościoła, jeśli nie wcześniej. Na zewnątrz mają z tuzin tajniaków. Wiem, widziałem. Na ulicach było ich tylu, że bym się nie wymknął.

Mógłbym się poddać. Przynajmniej skończyłaby się ta nerwówka. Ale nie doczekam procesu, powieszą mnie w celi, a wcześniej przewloką przez najtęższe fiuty. Schodzę po kręconych schodach do ubikacji.

Chińczyk trzyma tutaj mopa i mnóstwo papierowych ręczników w schowku nad umywalką. Ochlapuję się zimną wodą i poświęcam chwilę własnemu odbiciu. Sam siebie nie poznaję, więc jak on poznał mnie? Wychodzę z toalety, wbiegam po dwa stopnie i nie zwalniając, mijam gliniarza, sięgającego akurat po kolejny paluszek krabowy. Jeszcze nogi odsuwa, żeby mnie przepuścić.

Na zewnątrz ciemnieje, ludzi jakby więcej, o balustrady balkonów opierają się ręce obciążone przez złote bransolety. Wypuszczam powietrze z połamanego ciała, nadchodzi zapowiadana ciężkość. Nikt nie biegnie w moim kierunku. Doprawdy, łatwo poszło, myślę, a zza pleców słyszę, że ktoś woła mnie po niemiecku.

Gliniarz stoi w drzwiach restauracji. Oddaje mi plecak.

Objuczony siatkami melduję się w pokoju. Nie zastaję nikogo – ekipa przeniosła się do kuchni. Wszyscy się cieszą, bo myśleli, że zrobiłem sobie krzywdę, a ja jestem cały i zdrowy, a do tego przyniosłem alkohol. Oglądani przez dym są jak kukły na płonącej karuzeli.

Lieke z Palomą siedzą na blacie obok kosza z owocami, piją białe wino i rozmawiają z dziewczyną o twarzy w kształcie serca, która chyba nazywa się Sophie. Sebestyén przycupnął na podłodze i drobi marychę na rozprostowanej bibułce. Turek zmienił koszulę na błękitną i pokazuje wszystkim dzinsową kurtkę, którą kupił na przecenie w mallu przy placu Poczdamskim. Mówi, że zostanie tylko na chwilę, bo dziś zaszaleje na mieście. Berlin budzi w nim samca, dzentelmeńskie zwierzę. Wznosząc kieliszek, zastanawia się nad założeniem szkoły uwodzenia. Przekonuje, że zarobiłby na tym więcej niż na obecnym, tajemniczym przedsiębiorstwie, co podaję w wątpliwość: moim zdaniem dokładałby do obu tych interesów.

Wszyscy się śmieją, Sophie aż się krztusi, a Turek dociska okulary zbiegłym paluchem. Wręcz pali się, by pokazać parę sztuczek. Proszę bardzo, kolego, pomyślnych wiatrów.

Turek wstaje.

– Liczy się wzrok. Wszystko jest w oczach. Oczy są zwierciadłem duszy. Mężczyźni nie umieją patrzeć. Patrzą za krótko. Patrzą za długo. Trzeba właściwie. Gdy patrzysz, to widzisz, ale też odsłaniasz duszę.

Wychodzi na korytarz i zaraz wraca, wyprężony, z uniesionymi dłońmi. Opiera łokieć o zlew,

moczy w kieliszku górną wargę i wodzi po nas wzrokiem, by wreszcie przygwoździć Palomę, najsłabszą sztukę w stadzie.

– Czy jesteś tutaj na przepustce z więzienia...? Pytam, bo skradłaś mi serce.

Rozbrzmiewa śmiech, Paloma zasłania ręką usta, rechoczą wszyscy i tylko Sophie obraca poważną twarz ku ścianie.

Lieke mówi, że by z nim poszła, zamiast na Turka patrzy jednak na mnie, co sprawia, że się gubię. Czuję gwałtowny lęk przemieszany z ekscytacją, muszę coś zrobić, cokolwiek, by odzyskać spokój. Sięgam po wódkę, uderzam kieliszkiem w stół. Napijmy się po polsku!

Polewam Sebestyénowi i tłumaczę, w czym rzecz. Gdy walnie banie, napełni kieliszek dla Turka. Opowiadam, skąd to się wzięło. W dawnych czasach, gdy Słowianie jedli ludzi, piekielnie bano się trucizn i podczas uczt korzystano ze wspólnego pucharu, tak by otruty padł razem z trucicielem: jeden, by wszystkich bawić, jeden, by wszystkich zgubić, jeden, by wszystkich zgromadzić i w ciemności związać, w kraju nad Wisłą, gdzie Januszów plemię. Z tej całej radości zapominam o Sophie. Kolejka już przeszła, podchodzę z kieliszkiem. Dziewczyna patrzy na mnie, jakby dopiero teraz sobie przypomniała, że ją wywróciłem. Mówi z wyrzutem:

– Biorę leki. Już nigdy w życiu się nie napiję, więc gdybyście skręcili tego blanta, byłoby mi naprawdę przyjemnie. I jeszcze jedno. Mogę włączyć moją muzykę? Mało kto za nią przepada, ale mnie trudno bez niej wytrzymać.

Obudowę ciężkiego laptopa pokrywają naklejki z anime i jednooki Snake z gier *Metal Gear Solid*. Sophie puszcza Palms, obiecuje, że zaraz polecą Sisters of Mercy, a ja nie mam wątpliwości, że ta dziewczyna puszczałaby gotyk z lat osiemdziesiątych nawet na przyjęciu u Franka Underwooda. Przecież ją znam, choć nigdy nie widziałem, rozpoznaję to poszukiwanie radości i grozę choroby. Być może tak właśnie jest, że w obcych ludziach widzimy utraconych bliskich? Ale Sophie naprawdę bardzo ją przypomina.

Chcę odegnąć to przykre wrażenie, dlatego walę banie i z radością przechwytyję blanta. Lieke łaknie wiedzy o trucicielach znad Wisły. Opowiadam więc o królu, który zadławił się korniszonem, i o tym, jak jeden książę pocił się krwią. Sophie dotrzymuje słowa, puszcza zapowiedziane Sisters of Mercy i nawet nie sili się na udawanie wesołości. Wyjmuje szkicownik i ołówki ogryzione na końcach, bierze się do rysowania, osobna jak hologram, tak boleśnie znajoma.

Po kolejnym kieliszku Turek decyduje się usiąść. Blant się skończył. W przerwach pomiędzy piosenkami słycać skrobanie ołówka. *Move in the Right Direction* ożywia towarzystwo. Sebestyén ściąga Palomę z blatu i porywa do tańca, a ja kołyszę się w sobie i tak usypiam lęk. Lieke wcale nie musi być najgorsza, w każdym razie lepsza od Sophie i duchów, które w niej drzemią, skoro muszę coś wybrać, niechaj będzie ona. Rozmawiamy. Lieke chce wiedzieć, czy też lubię podróże. Odpowiadam zgodnie z prawdą, że praca nie pozwalała. Lubiałem jeździć nad Bałtyk. Spędziłem tydzień w Czarnogórze i to chyba wszystko. Opowiadam, jak to szedłem rano do pracy i nagle pomyślałem, że mam tego wszystkiego dosyć. Co ja mam z życia? Czego doświadczyłem? Wskoczyłem w pociąg i sru do Berlina!

Lieke rozplywa się nad moją spontanicznością i zsuwa się z blatu. Ujmuję ją za biodra, a ona zawisa na mnie. Mówi, że zaraz wróci, i znika za drzwiami. Stoję tak, owładnięty nieznośnym poczuciem, że zrobiłem coś złego i wszyscy o tym wiedzą. Tamci tańczą, Turek zwiesza głowę, a Sophie pyta, czy zamierzam wypalić całego blanta sam.

Pali, nie odrywając ołówka od szkicownika, jakby chciała mnie zmusić, bym zainteresował się tym, co bazgroli. Więc pytam, bo nie chcę być grzeczny, ale po prostu chcę wiedzieć, czy

naprawdę mieszkają w niej moje duchy. Rysunek przedstawia kuchnię i nas wszystkich, poskładanych z delikatnych kresek. Tylko ja jestem wyrazisty, kanciasty, w paru miejscach ołówki przebił kartkę. Pytam, o co w tym chodzi, i natychmiast żałuję, przecież odpowiedź jest jasna: to papierowe zaloty, nic więcej. Sophie mówi, że ludzie bez przerwy robią zdjęcia, bo się nudzą. Tymczasem rysowanie bywa mniej nudne od fotografowania. Na przykład ona rysuje nie to, co jest, a to, co mogłoby być. Zauważa, że to dokładnie jak ze mną. Też jestem nudny, choć w każdej chwili mogę przestać.

Traci mną zainteresowanie, a ja stoję, jakbym dostał w głowę. Wzbiera we mnie złość i natychmiast przygasa, bo pojawia się umalowana Lieke i ciągnie do tańca.

Lieke skubie mnie w ucho i przeprasza za kuzynkę. Zaprosiła ją, bo nie wiedziała, kto to taki, jej zdaniem Sophie przyniosła tylko wstyd, choć być może należy jej współczuć. Podobno kiedyś była całkiem normalną, szczupłą dziewczyną, tylko potem rozdeła się od leków. Słucham, choć przecież tutaj nie ma żadnej Sophie, jest tylko Lieke, która pozwala włożyć sobie dłoń pod bluzkę i nadstawia szyję do pocałunku.

Szukamy jamy na miłość, schronu do kochania, znów mam dwadzieścia lat i rozpinam stanik na piętrze, w domu na Bielanach. Wpadamy do naszego pokoju. Rozlega się pisk Palomy, a spod koldry wyskakuje kudłaty łeb Sebestyena.

Przypadkowa miłość jest jak zderzenie komet lub przybicie piątki, cieszy, lecz nie ma żadnego znaczenia. Popycham Lieke przed sobą przez korytarz. Wyłuskuję piersi ze stanika, dociskam kolanem jej krocze, a ona nie wyjmuje języka z moich ust. Kołyszemy się, odbijamy od ścian – dwoje półprzytomnych, którzy próbują wchłonąć się nawzajem.

Lieke ciągnie mnie do kabiny prysznicowej, tam brodzik, smętnie zwieszona słuchawka prysznicowa i trzy haki wwiercone w gipsową ściankę. Wyczepiam się z Lieke jak z matriksa, zamykam za sobą drzwi, schylam się, by rozsznurować buty, a gdy kończę, już widzę ją nago.

Ma białe kościste ciało bez jednego pieprzyka czy fałdy tłuszczu. Zapewne biega co rano, unika cukrów i każdą skazę usunęła laserem jeszcze przed osiemnastką. Podgolone łono ma uszka i nosek. To kotek i chyba właśnie on, wspomnienie innego kota, nie to chude ciało olśniewającej wiedźmy, wpędza mnie w przerażenie. Kurczę się i mi się kurczy, a żar, wcześniej przyjemny, dostaje się do płuc i dusi. Muszę natychmiast wyjść i chciałbym, żeby mnie zabito, tymczasem Lieke rozchyła te wampirze usta i pyta, czemu się ociągam.

Przecież mam żonę. Co powiedziała by Julka, widząc mnie tutaj? Dość już przeze mnie wycierpiała, dobra, kochana Julka. Przepraszam cię, Lieke. Bardzo żałuję, że doprowadziłem do tej sytuacji, byłem pijany i spalony, lecz teraz, gdy stoję na bosaka w zimnej, brudnej wodzie, wraca mi rozsądek. Do widzenia. To nie przez ciebie, wybac mi, jeśli możesz. Myślę to czy mówię? Porywam spodnie i buty, wypadam z kabiny, zostawiając Lieke z wyciągniętymi ramionami.

Polewam kark lodowatą wodą i ogarnia mnie ulga – wreszcie postąpiłem słusznie. Wystawiłbym głowę w noc, okno nie chce się otworzyć, przez brudną szybę widzę przepyszny księżyc ślizgający się po metalowym dachu. Odbicie pokazuje coś jeszcze. Lieke wypada z kabiny, zaciskając pięści, i jest tak wściekła, że zamiast trafić w drzwi, uderza czołem we framugę, co ją rozjusza, ale nie spowalnia.

Owładnięty niepokojem krąży po pustej łazience. Naciągam mokre spodnie i próbuję założyć

buty. Podskakuję na jednej nodze, trzęsące się ręce nie mogą utrzymać sznurówek, a w drzwiach staje Turek. Idzie w moim kierunku. Już dawno powinien podrywać dziewczyny w jakimś klubie, więc go o to pytam, wciąż podskakując. Odpowiadają mi pięść i ciemność. Odbijam się od parapetu, a gdy światło wraca, leżę na ziemi, osłaniając głowę przed kopniakami. Turek coś krzyczy po niemiecku. Pojawia się Sebestyén, próbuje go odciągnąć.

Biorą mnie pod ramiona i wloką przez korytarz. Czemu, dlaczego, co im do łba strzeliło? W pokoju widzę zapłakaną Lieke w samej koszuli, z rozkwaszonym łukiem brwiowym. Spod kołdry łypie Paloma i tylko Sophie nic sobie nie robi z mojego nieszczęścia: siedzi na łóżku i rysuje.

Ciskają mną przez pokój. Natychmiast wpełzam pod stół. Tamtych dwóch zaczyna gadać ze sobą, to znaczy Turek krzyczy, a Sebestyén coś klaruje, pomagając sobie dłońmi. Nie mam pojęcia, o czym mówią, lecz słowo *Polizei* pada stanowczo za często. Już rozumiem. Strach przyciska mnie do ściany. Oni wiedzą.

Jakim sposobem? Któryś musiał znaleźć coś w sieci, podczas gdy ja spędzałem czas z Lieke. Zapewne zrobił to Turek, sięgnął po swój firmowy telefonik i sobie poczytał. Jestem, przypuszczalnie, najślawniejszym Polakiem w Europie. Proszę, aby mnie wysłuchali. Mediom nie można wierzyć, zwłaszcza tym, które docierają do odbiorcy najszybciej, poza tym przecież nie zrobiłem nic złego. Nie krzywdzę, zostałem skrzywdzony.

Po twarzy Lieke spływa tusz, dziewczyna trzęsie się i krzyczy, że jestem pieprzonym bandytą, który uciekł z Rosji. Ostrzega, że pozabijam ich w nocy, i przypomina, że bez przerwy gadałem o truciznach. Próbowałem ją zgwałcić, tak mówi.

Oniemiały, patrzę na Lieke i chyba nawet próbuję ją uprosić, by powiedziała, że było dokładnie na odwrót. Próżny trud, mogę jedynie liczyć na litość kolegów, zwłaszcza bezwolnego Sebestyéna, który usiadł na brzegu łóżka, zwiesił głowę i już chyba nie chce pozostać w hostelu. Pełnę do plecaka pełnego pieniędzy. Będzie na firmę, książkę i studiowanie medycyny, szkoda jedynie, że ta zimna suka również się obłowi. Hej, przyjaciele, chyba nie myślicie, że ją uderzyłem? Sama się walnęła w durny łeb... Widzę, co się święci, lecz jest już za późno, mogę tylko szukać współczucia w chłodnych oczach Sophie: Turek kopie mnie w głowę i sięga po telefon.

Zimę przesiedzieliśmy na Polu Mokotowskim, co teraz może się wydawać dziwne, ale nam się podobało. Popijaliśmy białą soperkę i rozmawialiśmy o tym, co będziemy robić, gdy nastanie wiosna. Planowaliśmy całodniowe wypadki do Lasu Kabackiego i oszczędzaliśmy na rolki, a Julka snuła plany weekendowych wycieczek z namiotem na Mazury, do Kazimierza nad Wisłą i pod Płock.

Siedzieliśmy na mokrej ławeczce, wtuleni w siebie, i szczękaliśmy zębami. U Julki ufoludy nastawiały uszy jak łopiany i już nie dało się ukryć moich pobytów na górze. W knajpie piwo potrafiło kosztować nawet siedem złotych, co było ponad możliwości portfela Julki, a ja nie mogłem codziennie płacić za nas dwoje. W zimne dni potrafiliśmy przesiedzieć parę godzin przy jednym kuflu w Bolku, Lolku, Toli, w Zielonej Gęsi albo Pod Baryłką, ale wzrok barmanów był trudny do zniesienia.

Stwierdziłem, że w gruncie rzeczy moglibyśmy bywać u mnie, tylko najpierw musiałyby poznać moją mamę. Zaznaczyłem, że spotkanie może nie przebiec przyjemnie, bo mama jest

specyficzna: ma tylko mnie, pracę w sekretariacie Wydziału Nauki o Zdrowiu na Uniwersytecie Warszawskim i jedną koleżankę, starszą o dekadę i wiecznie schorowaną. Prócz tego działa w radzie osiedla, gdzie zajmuje się sprawami, z którymi nie poradziłby sobie nikt poza nią.

Przed nami dwie dziewczynki w różu i błękitnie uganiały się za pieskiem, który biegł przed siebie i piszczał na śnieg. Julka powiedziała, że chętnie pozna moją mamę, zresztą miała wrażenie, że już ją zna, bo przecież tyle o niej mówiłem. Zagadnęła o ojca. Nie bardzo wiedziałem, jak zareagować, więc stwierdziłem po prostu, że go nie ma. Julka siedziała przez chwilę ze zwieszoną głową i sztywniała za każdym razem, gdy próbowałem ją objąć. Poprosiła, bym się na nią nie złościł, przecież mnie kocha i chce poznać jak najlepiej, w tym te rzeczy z przeszłości, które najbardziej boją.

Przyszła do nas w sobotę, przyniosła murzynka i eklerki z cukierni. Mama niemal wciągnęła ją przez próg. Wyznała, jak bardzo się cieszy, że może poznać tę anielicę, która skradła serduszek jej Jasia. Na widok butów Julki, ze śladami błota na czubkach, wydała z siebie długie westchnienie. Zaraz dodała, jakby mimochodem, że jest bardzo zmęczona.

Na obiad była kura po chińsku, podobno kulinarna nowość. Mama zapytała Julki, czy lubi gotować, a gdy ta potwierdziła, wyznała, że szczerze nie znosi. Tyle z tym zachodu, zawsze coś nie wyjdzie, co gorsza, ledwo człowiek zje, już musi się zająć zmywaniem. Trudno, tak świat został urządzony – ktoś musi gotować, a ja, jej Jaś, zupełnie się do tego nie nadaję. Reagowałem właściwie, tak jak każdy dwudziestolatek traktowany gorzej niż dziecko. Prosiłem, żeby nie mówiła w ten sposób i nie zdrabniała mojego imienia. Mama zapytała z udawanym zdziwieniem, o co mi chodzi.

Julka zjadła najszybciej i zgodziła się na dokładkę. Czekaliśmy, aż skończy, a ja przypomniałem sobie, jak bardzo w dzieciństwie nienawidziłem tkwić przy stole. Zgarnęła ostatnią odrobinę ryżu na widelec, otarła usta serwetką i bez pytania zaniósła wszystkie talerze do kuchni. Mama zerwała się dopiero na dźwięk odkręcanej wody. Prosiła Julkę, by dała sobie spokój, bo przecież jest gościem. Julka nie odeszła od zlewu.

Kiedy wróciły do dużego pokoju – mama, niosąc tacę z herbatą i ciastem – zdałem sobie sprawę, że są trochę do siebie podobne.

Usiedliśmy i nastał czas pytań. Mama była ciekawa, jak Julka odnajduje się w wielkim mieście i czy czuje się przytłoczona, chciała też wiedzieć, czy ma rodzeństwo i czym zajmują się jej rodzice. Jej zdaniem nastały trudne czasy i współczuła wszystkim wchodzącym w dorosłość. Za komuny były bursy, stancje i akademiki, ale i dopłaty dla studentów z małych miejscowości. Julka odparła, że jej jedyny brat skończył zawodówkę, świetnie zarabia na wulkanizacji i ani myśli się kształcić. Mama zadumała się i zapytała, starannie dobierając słowa, czy Julka gdzieś sobie dorabia, i znów musiałem ratować sytuację. Na szczęście zbliżała się szesnasta, trzeba było włączyć telewizor.

Biały jęzor Wielkiej Krokwi rozwinął się wśród flag z wypisanymi nazwami miast i miasteczek. Zazdrosny wiatr wyrywał transparenty z kibicowskich dłoni. O sosny opierał się billboard z napisem „Mleko doskonałe, bo świeże” i niewyraźnym zarysem skoczka narciarskiego w locie, gdzieś w lewym dolnym rogu.

Pomiędzy mną i mamą wywiązała się jedna z tych aksamitnych sprzeczek, których nic nie mogło powstrzymać. Chyba nawet sam zacząłem, specjalnie, żeby już mieć to za sobą. Zauważyłem, że Polacy są dobrzy w nudnych dyscyplinach i beznadziejni w ciekawych. Piłka nożna służy do ogarniania frustracji społecznych, ewentualnie stanowi pretekst do awantur między Legią i Polonią na Muranowie. Za to świetnie idzie nam w pływaniu na dwieście

metrów, chodzie, a teraz w skokach narciarskich. Co będzie potem, bilard czy golf? Mama stwierdziła, że patrzę na świat w sposób uproszczony. Bokser walczy z bokserem. Jedna drużyna piłkarska zmagają się z drugą. Tymczasem największym przeciwnikiem dla człowieka jest on sam. Wie o tym nasz orzeł z Wisły, wie i Hannawald na stoku. Tam, w górze, każdy mierzy się przede wszystkim ze sobą.

Kamera telewizyjna pokazywała szczęśliwe twarze, niektóre z biało-czerwonymi śladami farby na policzkach. Łopotał napis „Lubartów doda ci skrzydeł”. Podekscytowany Szaranowicz cytował *Orła cień*. Małysz pojawił się na skoczni, zapłonęły flary, naprężyły się szaliki. Ekran wypełniła skupiona twarz sportowca. Gdy wylądował, lekko i daleko, cieszył się Aleksander Kwaśniewski, cieszyli Kalisz z Janikiem, cieszyła się i mama. Nawet mnie wyściskała, z rozpędu też Julkę.

Po skokach poszliśmy we dwoje do pokoju i trochę się całowaliśmy. Za ścianą brzmiało szuranie, a potem szum wody. Mama zmywała naczynia drugi raz, po Julce. Miałem stary odtwarzacz wideo i trochę pirackich kaset ze Stadionu Dziesięciolecia. Spośród filmów Quentina Tarantino, Davida Lyncha i Tima Burtona wygrzebałem *Amelię*. Oglądaliśmy przytuleni, na podłodze, oparci o tapczan. Gdy film się skończył, Julka była wzruszona – dawno nie widziała tak prostej, poruszającej i jasnej historii o miłości. W życiu bym tak o tym nie pomyślał. Przecież film był przygnębiający, dowodził, że ludzie nie umieją siebie uszczęśliwić i potrzebują pomocy. Także niosąca tę pomoc skrytodobra Amelia nie potrafi zawalczyć o szczęście dla siebie, ktoś musi ją w tym wesprzeć. Julka spojrzała na mnie dziwnie, jakbym nagle stał się innym człowiekiem, lepszym niż dotychczas.

Nie zdążyła nic powiedzieć, bo w pokoju zjawiła się mama i oznajmiła, że jest już późno, a ją trapią wieczne problemy ze snem. W gruncie rzeczy rzadko miewamy gości, tak bardzo przywykła do ciszy. Minęła chwila, nim Julka pojęła, o co chodzi. Ubierała się w milczeniu, podczas gdy mama przyglądała się jej oparta o futrynę z ramionami skrzyżowanymi na piersiach. Julka wyszła bez słowa, a ja nie wiedziałem, co zrobić. W końcu pobiegłem za nią, w kurtce narzuconej na T-shirt. Mama krzyczała, że nie śmiem zostawić jej samej, bo się zamartwi na śmierć, i żeby coś jeszcze założył, bo się przeziębę.

Brnęliśmy przez śnieg, a ja trząsałem się z zimna. Powtarzałem, że nie spodziewałem się czegoś takiego. Mama, owszem, bywa ciężka, ale nigdy nie zachowywała się w ten sposób. Julka niczym nie zawiniła. Doprawdy, trudno to pojąć. Na przystanku pasażerowie palili papierosy i wypatrywali światła tramwaju w śnieżycy. Julka wygrzebała paczkę elemów i stwierdziła, że właściwie nic się nie stało. Przecież nie ma do mnie pretensji o moją pieprzniętą starą. Odtąd spotykać się będziemy gdzie indziej, no chyba że wcale. Ogarnął mnie strach, że ją stracę, poczułem złość na matkę, która obraziła miłość mojego życia. Potrzebowałem czynu, a przynajmniej słowa. Zapowiedziałem, że się wyprowadzę, i to dzisiaj. Zabiorę swoje rzeczy i pojedę na Stare Bielany. Mówiłem dość cicho, więc Julka przytuliła się, żeby dobrze słyszeć. Stwierdziła, że to pomysł uroczy, lecz idiotyczny – znamy się zbyt krótko, by podejmować takie decyzje, poza tym z czego będę żył? I co na to powiedzą ufoludy?

W domu mama czekała z troską i awanturą. Załamywała ręce: przecież od zapalenia płuc można nawet umrzeć. Przypomniałem, że wyszedłem tak przez nią, musiałem dogonić Julkę. Mama zrobiła zdziwioną minę, jakby nie wiedziała, kto to taki. Jej zdaniem Julka zachowała się skandalicznie, co dało się przewidzieć, odkąd przekroczyła próg. Ledwo składała zdania. Dukała. To ma być studentka? Buty niedomyte, paznokcie obgryzione. Nieustannie jadła, zapewne rzuciłaby się i na drugą dokładkę. To cecha ludzi ze wsi – ci nigdy nie przegapią okazji,

żeby się najeść. No ale żeby siedzieć u chłopaka dwie i pół godziny, to nawet na wsi jest nie do pomyslenia. Skąd ona się urwała – z psiej budy, z Garwolina? Przypomniałem, że mama sama nadszła z jedzeniem, i wykrzyczałem, że w wielu dzisiejszych domach dziewczyna zostaje u chłopaka na noc i rodzice nie mają nic przeciwko temu. Nakręcaliśmy się coraz bardziej, a sąsiedzi jak zwykle tłukli w ściany: minęła dziesiąta, nastąpiła cisza nocna.

Żałuję, że nikogo nie zabiłem. Wówczas aż tak nie bałbym się policji. Skuliby mnie, zawlekli do suki, a na przesłuchaniu powiedziałbym po prostu: zabiłem dla pieniędzy. Z zazdrości. Zabiłem, bo byłem pijany, bo nie miałem lepszego pomysłu na początek dnia, więc jazda z tematem, nie boję się dożywocia, bo nie bałem się i zabijania.

Ale nie jestem mordercą, klęczę pod stołem z rozwalonym nosem i najbardziej na świecie boję się przesłuchania, tej kanonady pytań i tłumaczenia, dlaczego zrobiłem to, co zrobiłem. Przeraza mnie wstyd i przeżywanie tego, co się nie odstanie, w kolejnych odpowiedziach. Turek stuka w ekran telefonu, a Sophie odkłada szkieletnik i pyta, skąd właściwie wiemy, że Lieke mówi prawdę. Ta ma minę, jakby chciała rzucić się na kuzynkę.

– Ciebie tam nie było!

– Właśnie. Nikogo tam nie było. Tylko on i ty.

– Dość. Jak możesz mi tak dokładać?

– Nie dokładałam ci. Przecież on nawet nie wie, o co chodzi. Myślał, że oskarżamy go o coś innego.

Turek opuszcza telefon, a Sebestyén głowę. Sophie siedzi jak Jeremy Irons na papieskim tronie, promieniując mądrością i potęgą na skruszonych kardynałów, za to Lieke się miota, pokazuje rozwalony łuk brwiowy.

– A to sama sobie zrobiłam?

– Bo ja wiem? Jesteście wszyscy pijani i spaleni.

– Może to ja sama próbowałam się zgwałcić?

– Opowiedz, co się dokładnie stało.

– Przestań. Kto normalny chce mówić o takich rzeczach? Zostałam dziś wystarczająco upokorzona.

Sophie przesuwa się na brzeg łóżka.

– Będiesz mówić i to wielokrotnie. Policjanci zabiorą cię na komendę, gdzie złożysz zeznania, co z pewnością potrwa do świtu, a ponieważ jesteś, jak twierdzisz, ofiarą przemocy seksualnej, przydzielą ci psychologa, któremu powtórzysz każdy szczegół. Będzie cię pytał, jak się z tym czujesz i tak dalej. W ogóle zada ci mnóstwo pytań, bo taką właśnie ma robotę. Potem będzie sprawa sądowa.

– Zaraz ci przypierdolę!

Lieke unosi pięść na znak, że nie żartuje. Sebestyén chwytą ją za nadgarstek, a Sophie ciągnie, tym samym sennym głosem matki przemawiającej do smoka.

– Widziałam, jak się całowaliście, ale co się zdarzyło w łazience, wiecie tylko wy. Twoje zeznania będą jedynym dowodem w sprawie. Uwierz mi, parę razy wpadłam za głupoty, więc wiem, co mówię. Jeśli ten człowiek wynajmie adwokata, przepytają cię z każdej możliwej strony, a prawnik, jak to prawnik, stanie na głowie, by znaleźć jakąś nieścisłość. Czeka cię mnóstwo upokorzeń. Ale nic się nie bój, przecież mówisz prawdę.

Lieke stoi z dłońmi opuszczonymi wzdłuż ciała, a oczy rozjaśnia jej najmocniejsze znane w świecie uczucie – nienawiść kobiety do kobiety. Sophie wyraźnie zmierza do końca przemowy. Jej twarz przypomina serce bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

– Dla jasności musimy założyć jeszcze jedno. Ten człowiek przed czymś ucieka. Kto wie, może to jakiś słynny przestępca? A kto pomoże go zapuszkować? Ty! Trafisz do gazet i telewizji. Wszyscy będą mówić tylko o tym, jak podbił ci oko i próbował zgwałcić. Czy może nawet zgwałcił, jaka różnica? Wszystkie twoje koleżanki będą gadać tylko o tym, to samo sąsiedzi, przyjaciele rodziców i tak dalej. Jak zareaguje twój tata? Niewykluczone, że zakreśli kurek z kasą i skończą się podróże. Co z twoją książką? Przy dobrych wiatrach powstanie i inna, o tobie. Więc dzwoń już na tę policję. Sława czeka!

W ciszy słychać tylko gorące oddechy. Gramolę się spod stołu, wstaję i wycieram rękawem zakrwawiony nos dokładnie w chwili, gdy Lieke zwała się na łóżko, jakby ktoś ją popchnął. Moment, w którym wybuchnie płaczem, da się przewidzieć co do sekundy.

– Ja... ja żartowałam! Bo on...

Sophie wstaje, zgarniając szkiełko, piękniejsza niż kiedykolwiek dzisiaj, co nie oznacza przecież specjalnego wyczynu. Nigdy nie wyrwała faceta w kwadrans, nie jeździła po Europie, jej przedramiona pokrywają pieprzyki i nie wyćwiczy sobie płaskiego brzucha, choćby zamieszkała w siłowni. Mówi spokojnie, ciesząc się każdym słowem:

– Gównu on.

Lieke porywa spodnie, buty i papierosy i wybiega z pokoju. Turek otwiera szafę, podchodzi do mnie z gazą i wodą utlenioną. Przyznaje, że się pomylił, choć działał w dobrej wierze. Tyle teraz słyszy się o gwałtach. Jest mężczyzną i umie się przyznać do błędu. Wyciąga rękę, którą ściskam z braku lepszego pomysłu, ale gdy zaczyna przemywać mi twarz, dociera do mnie, że sprawy znów przybrały niewłaściwy obrót. Muszę uciec, natychmiast.

Wpycham, co mogę, do walizki, reszta niech zostanie, dbam tylko o plecaczek z forszą. Gdy schylam się po niego, wreszcie dostrzegam Sophie. Nie wiem, jak jej podziękować, więc po prostu dziękuję i znów wracają wspomnienia. Sophie przygląda mi się, przenosi wzrok na walizkę.

– Nie zabierzesz się z tym.

– Jakoś to tu przyniosłem.

– Masz rozwalony nos, przynajmniej jedno złamane żebro i kto wie, może podziurawiony żołądek. Od tego można umrzeć. Idź do lekarza.

– Nie mogę do lekarza. Muszę stąd iść.

– No to chodźmy.

Sebestyén wciąż siedzi z opuszczoną głową, Paloma jest niewidzialna jak wcześniej, a Turek powrócił na górną pryczę i leży w pozie faraona, ze wzrokiem wbitym w sufit. Zawalił i przeprosił, więc pewnie ma się świetnie. Wykopałbym mu z dupy to samozadowolenie, lecz ledwo powłóczę nogami, poza tym Sophie bierze resztę mojego majdanu i wskazuje wyjście.

Na zewnątrz Lieke trzęsie się i pali. Na mój widok staje bokiem, wciska słuchawki w uszy i podgłośnia muzykę. Myślę, że patrząc na mnie, czuje satysfakcję. Co prawda nie wylądowałem w areszcie, ale przynajmniej oberwałem. Berlin jest ciemny i chłodny, przed nami rozpościera się plac budowy, a dalej pałak kolejki naziemnej. Z wolna zaczynam rozumieć grozę swojego położenia. Nie wiem, dokąd idę i co ze mną będzie. Być może kościana szczapka oderwała się od zebra i żegluje ku sercu. Jestem samotny i bardzo nieszczęśliwy.

Przed placem budowy Sophie odkłada siatki, unosi ramiona i dziękuje nocy za to, że jest taka

piękna.

Mikołaj natychmiast siada na ławce wiaty przystankowej i wyciąga tablet, tymczasem Jan nie może znaleźć sobie miejsca.

Podmuch wiosennego wiatru przewraca koziołek ustawiony u wylotu Madalińskiego.
Trach.

Berlin, jak ja, ślania się na nogach. Drzemiący po wiatrach młodzi osuwają się z krzesełek na papierowe torby pełne resztek fast foodów, na puszki, butelki po likierach i połamane plastikowe diademy.

Z czarnych chaszczy wyrastają dachy szklarni. Domek na placu zabaw przypomina chatkę czarownicy, a zjeżdżalnia wystawia mi rdzewiejący język. Ciepłe światło wspina się po cegle starych kamienic.

Idziemy przez pasaż obklejony plakatami koncertu Berliner Weisse, a Sophie bezskutecznie usiłuje zamówić taksówkę. Wspinamy się po schodach, ja siadam na ławce, ona kupuje bilety w automacie. Umykam z ławki i kuśtykam przez peron, cały czas się śmiejąc. Gonimy się chwilę, szarpiemy, wreszcie lądujemy na ziemi. Całujemy się – bo jest już późno, bo się nie znamy, bo jestem pijany, a ona spalona, bo trudno znaleźć słowa w obcej mowie, bo nudno, bo zimno, bo wreszcie wypadło się pocałować.

Wsiadamy, pociąg rusza. Widać wysokościowce podobne do elektrycznych żagli, podświetlone drzewa odbijające się w oczkach wodnych i fiolet galerii handlowych pogrążonych w śnie o promocjach i przecenach. Obraca się znak Mercedesa. Błyszczą cielska innych pociągów krążących po miejskim węzowisku, pędzą te składy, wiją się nad głowami nocnych marków, moritzów i malików.

Musiałem przysnąć, więc nie wiem, dlaczego Sophie brutalnie wywleka mnie na peron. Pieszczę ją trochę jak kobietę, a trochę jak pieska, ona wreszcie oddaje pocałunek i ciągnie mnie ku schodom. Na dole czeka czysta ulica, jednopiętrowe domy i drogie samochody zaparkowane przy trawnikach.

Docieramy do wysokiego muru, Sophie szuka kluczy, a moją uwagę zaprzęta plama żółtej farby niedaleko bramy. Pytam, co to takiego, lecz Sophie udaje, że nie słyszy, i wciąga mnie do środka, pod mrugające oko kamery. Wspinamy się po kamiennych stopniach, otoczeni przez kwitnące krzewy, zgasłe lampiony, łapacze snów i malowane ptaki w tekturowych klatkach. Jednopiętrowy dom wygląda na wyrżnięty z jednej bryły. Można by pomyśleć, że to statek kosmiczny, który przez pomyłkę wylądował tutaj, w Südende. Sophie każe mi być cicho i wciąga do środka, potem na lewo, w korytarz z mandalą na ścianie.

Ubrania porzucamy jak święci swoje ciała. Odkrywam zakamarki Sophie, wsuwam w nią dłoń, aż brakuje palców, jej oddech staje się szybszy. Prosi, bym trochę poczekał, i zamyka na mnie usta. Wbrew wódzie i wędrówce, żonom i umarłym osiąga biedatwardość, połowiczny sukces. Obracam ją na plecy i napieram, ale mnie odpycha, siada na mnie i zaczyna ujeżdżać, pomagając sobie dłonią. Jest piękna jak bogini, która pożarła Christinę Hendricks, z potężnymi piersiami uderzającymi o biały brzuch, z tą głową koguta i tłusciutkim palcem drażniącym krocze, z tą falą wstrząsów, gdy mokra pada obok.

Ja jeszcze nie skończyłem i chciałbym, żeby Sophie się mną zajęła. Są faceci, którzy po prostu przyciskają twarz kobiety do własnego fiuta albo mówią: „Obciągnij mi” – ja do nich nie należę. Boję się mgnienia smutku w jej oczach, jakiejś złości, takich rzeczy. Leżę i czekam, aż się domyśli, przysuwam się nawet i trącam jej dłoń, jednak Sophie poświęca mi jedno półprzytomne spojrzenie, prosi, żebym jej nie przytulał, bo nie zdoła zasnąć, i odwraca się na drugi bok.

Przez szparę w uchylonych drzwiach widzę kobietę koło sześćdziesiątki w różowej bluzce

i zielonych ogrodniczkach. Kręci się po kuchni, wsadza kwiaty do wazonu i zapala papierosa. Wydmuchuje dym jakby prosto w twarze adoratorów.

Pocę się wódką, a im intensywniej sięgam po spodnie, tym bardziej nie mogę ich chwycić. Upadek rozbudza umęczone ciało. Nos rwie, pali mnie pod zębem, stopą nie potrafię nawet poruszyć, a mój sojusznik rozum wyjeżdża na urlop. Jestem obolałym dzieckiem, nikim więcej. Chyba jeszcze nigdy nie byłem tak bezbronny jak teraz, na tej podłodze. Kobieta mnie zauważa. Podchodzi z popielniczką w dłoni i wwierca we mnie wzrok starego drapieżnika. Zerka na walizkę. Pali piękniej od Jessiki Lange. Mówi coś po niemiecku i zaraz przechodzi na angielski bez śladu obcego akcentu:

– Masz czyste ubrania, to dobrze. Gdybyś nie miał, Klara znalazłaby ci coś nowego, w końcu Mazin zostawił wszystkie swoje rzeczy. Pomagał w domu, ale teraz już nie przychodzi. Klara została z tym sama, bo z Sophie, jak sam widzisz, nie ma ostatnio zbyt wiele pożytku. Ubierz się, proszę. Wiosną Klara ma problem, by ogrzać ten dom. Za zimno, za gorąco, nigdy akurat.

Wariaci dzielą się na popieprzonych, zdrowo pojebanych i tych, którzy mówią o sobie w trzeciej osobie. Ta oczywista konstatacja nakreśla dramat sytuacji, w której się znalazłem, zaraz się zacznie berlińskie horror story. Klara gasi papierosa i ciągnie półgłosem:

– Sophie jest jak mały kotek. Dokazuje, a potem śpi. Klara jest uczulona na sierść, wiesz? Klara zawsze chciała mieć kota... To był dowcip, rozumiesz? Taki żart. Chodź lepiej do kuchni. Niewyspana Sophie rzeczywiście zmienia się w kota, ale takiego, z którym lepiej nie zadzierać.

Mówię, że sobie pójdę. Nie chcę przeszkadzać.

– Przeszkadzać w czym? Klara nie lubi siedzieć sama. No chodź. Napijesz się kawy, zjesz coś ciepłego. Wypałeś się przynajmniej? Ludzie tutaj dobrze śpią. To kwestia miejsca, serca włożonego w dom. Klara się cieszy, że Sophie cię tu przyprowadziła.

Godzinę lub pięć minut później siedzę na wysokim stołku, a przede mną paruje jajecznicą na cebuli. Obok leży ciepły chleb. Afrykańskie bębny grzmą z głośnika bezprzewodowego.

Na półkach z ciemnego drewna stoją kadzidełka i pozłacane statuetki, w tym jedna wyobrażająca człowieka z uniesionym ramieniem, owiniętego czymś na kształt papieru toaletowego. Między grafikami kotów i kruków wisi najprawdziwsza zasuszona żaba. Moją uwagę zwraca plakat filmowy za szkłem. Widać na nim blondynkę przebraną za dziewiętnastowieczną arystokratę, ściskającą laskę, z której wysuwa się ostrze. Towarzyszą jej hinduski książę i korpulentny pokurcz obciążony tobołami. Czerwone litery układają się w tytuł: *Wilhelmina Fogg: In 80 Tagen Um den Witz*. Przyglądam się Klarze, a przez głowę przelatują mi setki filmów i seriali. Widziałem ją gdzieś czy nie? Klara przykładła dłoń do piersi.

– Och, proszę, nie rób tego Klarze! Klara się cieszy, że nie jesteś stąd. Nie będziesz zadawał tych wszystkich głupich pytań.

Wstaję, dziękuję za jedzenie i tłumaczę, jak bardzo się spieszę. Uśmiech zastyga na pomarszczonej twarzy Klary, za to ja próbuję wyjść, przejęty i zawstydzony. Gwałtownie zapada ciemność, zapadam się i ja. Kontury z wolna kostnieją w powracającym świetle, siedzę na podłodze i nie mogę się ruszyć. Klara przykłęka nade mną, patrzy w oczy i próbuje podnieść. Co było w tej jajecznicy?

Pobieglbym, gdybym mógł, lecz ledwo się wlokę, delikatnie prowadzony przez Klarę ku sofie. Może jednak nie próbowała mnie otruć? Pomaga mi się położyć i znika, by zaraz powrócić. Niesie suszone kwiaty i blaszane puszki ozdobione wizerunkami planet i łabędzi. Z łazienki dochodzi szum wody, a ja wyobrażam sobie siebie dociśniętego do dna, z ręką tej kobiety na karku.

Klara niechętnie rozstaje się z papierosem, wiąże włosy gumką i zapala dwie białe świece stołowe. Na jednej z nich markerem napisano „Schwarze”. Rozgrzewa się płyta pod rondlem. Klara wysypuje zioła, drobi płatki w palcach. Dolewa łyżkę oleju i śpiewa coś po niemiecku, z papierosową chrypką. Podchodzi i ciągnie mnie, bezwolnego, do łazienki.

Pali mnie twarz, ciężar zalega w skurczonym żołądku i nie chcę słyszeć o żadnym rozbieraniu. Nie zdejmując majtek, zwalam się do ciepłej wody. W drzwiach miga mi Sophie.

Wanna, jak wszystkie wanny, zakrzywia czas. Ciemno tu, kafelki czarne, światło rozproszone. Na ścianie szybują malowane ptaki. Pod lustrem, wśród niezliczonych flakoników, ustawiono rośliny doniczkowe. Zanurzam się i zamykam oczy, a wspomnienia powracają jak zbłąkana kula.

W znajomym pomieszczeniu zastaję Sophie. Rozsiadła się wygodnie, nie może wybrać pomiędzy rysowaniem a zabawą tabletem. Mówi coś do matki. Klara przelewa wywar z rondla do kubka i podaje mi do wypicia. Trzeba mi zasnąć, słyszę, lecz w rozkoszowaniu się snem przeszkadzają fale łagodnych mdłości. Klara wkłada do miski masło kakaowe i coś, co wygląda na воск pszczeli. Zalewa olejem, podgrzewa, wysypuje zioła. Ściąga przy tym usta zupełnie jak Jackie Florrick w serialu *The Good Wife*. Tacy ludzie niszczą tych, których najbardziej kochają.

Znów palą się świece. Klara zgarnia krwawnikiem pianę z brzegów miski i obraca mnie na plecy. Zapach mazi jest korzenny i drażniący, nie chcę, by mnie tym dotykała, lecz nic nie mogę zrobić – brązowieję, zaczynam błyszczeć, staję się wielkim lepem na muchy. Klara wyciera kawałkiem płótna dno miski i delikatnie przejeżdża nim po miejscach, które szczególnie ucierpiały – łuku brwiowym, brodzie, żebrach i opuchniętym udzie. Mamrocze przy tym i nuci. Gdy kończy, miska idzie do zmywarki, Klara do barku, a ja zostaję sam, jakbym w ogóle nie miał ciała, jak posmarowana nicość.

Śpię i nie śpię. Wokół łóżka krążą cienie, ktoś mi kruszy zaschniętą maź na czole, to pewnie Klara, choć przysiągłbym, że dłoń należy do dziecka.

Chyba znów się kłóć, te dwie wariatki, przypuszczalnie o mnie, w tym półśnie niemiecki jest jakby bardziej zrozumiały. Chodzi o miejsce, musi chodzić o miejsce – Sophie chce mnie wyrzucić.

Stacząją mnie z łóżka na dmuchany materac. Chcę wstać. Boję się, że wystawią mnie na noc jak starą kanapę, lisy ogryzą mi twarz, ptaki wydziobią oczy. Wloką mnie gdzieś, próżno chwytam się progu, a miejsce, do którego trafiam, jest ciemne, lecz ciepłe. Brzmi trzask zamykanych drzwi.

Po przebudzeniu mam pewność, że to wszystko mi się śniło, nie było żadnej Klary i szalonego Turka, nigdy nie wyjechałem z Polski i gniję w więzieniu. Znajduję jednak lampkę, przy lampce – butelkę. Siedzę pośrodku składu pamiątek. Zakurzone statuetki przypominają arystokratów czekających na rozstrzelanie. Piętrzą się tu stosy listów, pudeł z kasetami wideo i plakaty w potrzaskanych ramach. Z plastikowego łba byka zwisa kowbojski kapelusz, bezgłowy manekin odziany jest w kostium księżniczki. Połowę pomieszczenia zajmuje gigantyczny łabędź ze skrzydłami pod sufit i dziobem jak szpadel. Korpus pokrywają podpisy.

Śniadanie jemy we troje. Sophie napycha się curry, za to Klara bez przerwy opowiada o domu, z którego – owszem – jest dumna, ale okazał się za duży. Snuje wspomnienia o dobrych czasach, kiedy wydawała przyjęcia z lampionami, winem i pieczywem wypiekanym specjalnie dla niej przez Lila Bäcker. Goście wymiotowali w krzakach, a następnego dnia widywała ich

przemawiających w parlamencie. A teraz? Nawet Sophie często wychodzi, zostawiając matkę samą. Ale to dobrze. Przecież spędziła kilka lat zamknięta w pokoju, tak było z nią źle.

Po południu wyruszam na wyprawę ku krańcom ogrodu, który wygląda jak plan *12 małp* czy innego postapo, zresztą sam się wlokę niczym ostatni człowiek na Ziemi. Spod kamieni wyłazi trawa, ławki grzęzną w ziemi i gnijących liściach, pod butem chrzęści pokruszony marmur, a pagodę przygniecioną przez złamany pień otaczają niedopałki, potłuczone kieliszki i butelki z resztkami różowego wina. Tajemniczy Mazin, o którym wspominała Klara, musiał prysnąć już jakiś czas temu.

Następnego dnia biorę kartę kredytową od Klary i idę na zakupy, z kapturem naciągniętym na twarz. Przystaję za drzewem, zawsze gdy przejeżdża samochód. W markecie poruszam się blisko półek i udaję, że czytam skład produktów, choć panie potrzebują tylko ciastek, mrożonek i wina.

W pokoju pamiętek – gdzie śpię, jeśli nie zawoła mnie kapryśna Sophie – znajduję pudło po butach z listami od fanów. Nie śmiem ich otworzyć, zresztą niewiele bym zrozumiał, więc tylko przyglądam się kopertom. Wygląda na to, że Klara była na szczycie w czasach Sandry i Modern Talking. Korespondencja urywa się nagle, w 2011 roku. Zresztą Klara chyba niewiele już grywa. Układam listy według dat, porządkuję płyty i kasety, spisuję pamiętki w zeszytach i wreszcie czuję się potrzebny. Klara odmłodziła z wdzięczności, za to Sophie traktuje mnie jak przedmiot i narzeka na brak snu, bo w nocy budzę się z krzykiem.

Rano piję białe wino, od południa paderborner pils, a wieczorami gin, którego nikt tutaj nie lubi. Nie wypuszczając puszek, oczyszczam ogród z niedopałków i pudełek po chińszczyźnie, którą zajada się Sophie. Taniec z kosiarką kosztuje życie piskląt i zaskrońca, a Klara siedzi w foteliku ogrodowym, popija różowe wino i patrzy na mnie, jakbym miał zaraz klęknąć przed Sophie z pierścieniem zaręczynowym. Kryzysowa narzeczona tańczy do Henry’ego Rollinsa puszczanego na cały regulator.

Zaglądam do pokoi, ciągnących się niby cele w podziemnym laboratorium wojskowym, ścieram ślady po kieliszkach i brud z nadproży. Z jednego z pomieszczeń wygania mnie pisk Klary. Zaskoczyłem ją w kręgu świec, gdy odziana w brązową szatę biła pokłony przed posążkami.

Nie wiedziałem, że ziemia dzieli się na dobrą i złą. Tę pierwszą najłatwiej znaleźć wśród korzeni. Krążę z taczkami pomiędzy murem i ogrodem, podnoszę ławki, wodę z oczka wodnego można nawet dodawać do drinków. Wciskam w glebę odstraszacze na krety. Zamiast zaskrońców pojawiły się żmije, których Klara panicznie się boi.

Najbardziej martwi mnie mur wokół domu, pokryty przez zaschnięte rozbryzgi najróżniejszych kolorów. Poniżej, w trawie, jeży się stłuczone szkło. Szlauch tutaj niewiele pomaga, ale w garażu znajduję z osiem wiader farby, pędzle i wałki, wszystko używane. Ktoś, pewno tajemniczy Mazin, wykonywał wcześniej podobną robotę.

Klara zauważa, że jesteśmy podobnej budowy. Czyli zdrowo polecałem z wagi. Dostaję koszulkę, ogrodniczki i klapki, z gazety robię stosowną czapkę i jestem tym, kim powinienem być, jednym z tysięcy robotników ze Wschodu, bez twarzy, bez nazwiska. Praca idzie szybko, a gdy pod wieczór siadam na mokrej trawie, czuję coś na kształt ulgi. Jakbym zerwał się ze stryczka.

Sączę wino wraz z Klarą, Sophie popija herbatę i szuka pocieszenia w słodyczach. Chętnie

opowiada o swojej chorobie. Minęło wiele lat, nim postawiono właściwą diagnozę. Dwubiegunówka to jej zdaniem schorzenie gorsze niż rak albo gangrena – w ich przypadku przynajmniej wiadomo, o co chodzi. Można umrzeć albo zostać wyleczonym, tymczasem ona będzie chora do końca życia. Gdy o tym mówi, za oknem rozlega się brzęk tłuczonego szkła.

Klara spuszcza głowę, za to ja zrywam się, zgarniam ze stołu butelkę i wypadam na zewnątrz. Wyobrażam sobie, jak zatrzymuję tajemniczego wandalę, najlepiej grupę. Rozbijam głowy, otwieram gardła tulipankiem, a potem na procesie wszyscy mówią tylko o tym wyczynie i nikt nie pamięta, co się stało w Polsce. Jestem pogromcą łotrów, obrońcą gwiazd filmowych, osadzonym bohaterem, który otrzymuje setki propozycji matrymonialnych. Niestety, gdy wybiegam na ulicę, motocykliści już wchodzą w zakręt, niemal kładąc się na szosie. Mur szpeci czerwona plama wielkości parasola, a resztki rozbitego słoja walają się po trawie.

Sophie kładzie mi dłoń na ramieniu. Jej głos wciąż jest ciepły, choć przepełniony smutkiem.

– Moja mama skrzywdziła wielu ludzi. Słyszałeś kiedyś o Stasi?

Pozwala mi bywać u siebie tylko na krótko, nie chce, bym zasypiał, i nie życzy sobie przytulania. Leży naga na brzuchu, unosi krótkie nogi i pali blanta. To jej wolno, tego głowa nie zabrania.

– Mama twierdzi, że donosili wszyscy, i faktycznie jest coś na rzeczy. Zęby na tym zjadłam. Przez bite dwa lata było tylko o tym. Potem odpuściłam. Nie ukrywam, że gdy sprawa wyszła na jaw, bardzo mi się pogorszyło. Kto by pomyślał, że historie sprzed lat mogą wciąż coś znaczyć.

Pod telewizorem wypiętym z kontaktu stoją konsole. Między kartonami po pizzy, wśród papierowych toreb po chińszczyźnie, otoczony wieńcem porozkręcanych padów zmarł robot BB-8 z ostatnich *Gwiezdnych wojen*. Z pianocrafta gra *I Feel You* Depeche Mode. W takich momentach nachodzi mnie myśl, że coś mogłoby z tego być – przecież wiele nas łączy.

– Nie wiem, jak było w Polsce, ale u nas, w Berlinie Wschodnim... Ja wtedy się urodziłam, urodziłam się w dniu, w którym zaczęto burzyć mur, wiesz? W każdym razie donosił co pięćdziesiąty, tak gadają. Spróbuj to sobie wyobrazić. Kapuś w każdym bloku. Na każdym roku studiów, każdego kierunku.

Mówię, że też mieliśmy z tym problem, ale nigdy się tym nie interesowałam. Należy zostawić takie sprawy w spokoju.

– E tam, zostawić! Spalić, popiół rozrzucić, żeby nikomu nie stała się krzywda. A u nas robią dokładnie na odwrót. Jak ci ze Stasi musieli się zwijać, wrzucili akta do niszczarek i do dziś te skurwysyny skleją paski, które ocalały. Ponoć na jedną stronę schodzą grube miesiące. W każdym razie tak się złożyło, że parę stron dotyczyło mojej mamy. To wyszło pięć lat temu. Od tej pory trudno z nią wytrzymać, rozumiesz? A ja nie mogę być sama. Ktoś się musi mną opiekować.

Spogląda na mnie w taki sposób, że już rozumiem, że awansowałam na oczko w sieci wsparcia. Boję się tego, co może powiedzieć. Wolę wspomnianie. Ona chyba to zauważyła.

– Mama kablowała równo od osiemnastki i chyba dzięki temu zdała na to cholerne aktorstwo. Żyła szeroko, nie ma co. Może teraz pali kadzidełka i szuka duchowej równowagi, ale kiedyś ciągle balowała. Nawet jej zazdroścę. Chciałabym być popularna i podziwiana, a z tym donoszeniem nie mam problemu. Spróbuj postawić się w jej sytuacji. Niestety zdarzył się Heist. Werner Heist. Słyszałeś kiedyś o nim?

Kontakt wzrokowy raczej zaszkodzi, gapię się więc na plakat z jakiegoś japońskiego filmu animowanego. Wężowate ciało smoka wygina się w znak zapytania, oplatając dobrego ducha i zaafierowaną dziewczynkę. Kto jest twoim dobrym duchem? Ja już czyimś byłem i wiem, czym to pachnie. Rozpruł się wór wspomnień, myślę tylko o tym, jak bardzo Sophie przypomina Patrycję.

– No i dobrze, czemu zresztą miałbyś o nim słyszeć? Facet w okularach i z gitarą. Śpiewał o tym, że ludzie powinni być wolni, i nie lubił Honeckera. Kazali matce sypiać z tym Wernerem, to sypiała. Był żonaty, miał dzieci i zakochał się w mamie na zabój, w czym nie ma niczego dziwnego. Moja mama była stworzona do kochania i tego też jej zazdroścę. Dowcip w tym, że i ona się w nim zakochała. Kochała i donosiła na niego. Musiało jej być z tym cholernie źle. Teraz twierdzi, że starała się go chronić, ale wiesz co? Jest jakaś dziwna przyjemność w kablowaniu na innych i ona się jej poddała, tak jak poddaje się wszystkim przyjemnościom.

Podsuwa mi blanta, trzymając palce niebezpiecznie blisko żaru, co moim zdaniem wiele o niej mówi. Palenie czyni mnie bezbronnym wobec smutku, więc odmawiam.

– Mogłabym napisać o tym książkę, tyle wiem. Oni byli sprytni, ci ze Stasi. Córka Wenera jakoś nie mogła skończyć szkoły średniej. Wykładała się to na historii, to na matematyce, żonie uwalili doktorat, bez przerwy wysiadała im kanalizacja albo prąd, a do mieszkania obok wprowadzili się menele. Uwierzysz, że zamknęli nawet knajpę, gdzie Werner przychodził na piwo? Tak to mniej więcej wyglądało. Do czasu, bo przecież w końcu go zwinęli, oskarżyli o zdradę i szpiegostwo, z czego już się nie wykaraskał. Kwity dostarczyła moja matka.

Sophie gramoli się na mnie, podsuwając piersi do całowania. Takie cycki lepili z gliny nasi praszczurowie. Piękna jesteś, Sophie, mój budyniu z piersiami.

– Oficjalnie powiesił się w celi, tylko nikt o zdrowych zmysłach w to nie uwierzył. Zabili go, zawsze takich zabijano. Kula w łeb z zaskoczenia. Traf chciał, że niedługo później wszystko się skończyło. Werner jest ostatnią ofiarą reżimu, ostatnim pieprzonym więźniem politycznym rozwalonym w Berlinie Wschodnim. Teraz ma pomniki, ulicę koło Stresemannstraße, nagrodę i festiwal piosenki swojego imienia. Ludzie ciągle grają jego kawałki, więc wyobraź sobie, jaka zrobiła się afera, gdy wyszło, że Wenera zamknęli przez donosy mojej mamy. Farba na mur to nic. Próbowano ją zlinczować w Globusie. Ludzie pluli na buty. Przyjaciele sobie poszli. Pal sześć reżyserów, nawet dźwiękowcy nie chcieli pracować z nią na planie. Zamknęła się tutaj i wmawia mi, że chodzi tylko o to, by starzeć się z godnością. Widziałeś ją! Ma tylko swoje czary-mary i wino.

Nagle przestaje jej się podobać, że ją dotykam. Kładzie się przy mnie. A ja nie chcę już słuchać, myślę tylko o tym, co było.

– Czary-mary zaczęły się wcześniej, ale też przez niego, przez Wenera. Mama zaliczyła prawie wszystkie możliwe Kościoły. Jak Wenera zamknęli, przeszła załamanie. Stawała na głowie, żeby go ratować. Błagała o litość oficerów, próbowała nawet dotrzeć do starego Ericha Mielke. Wskórała tylko krótkie odwiedziny. Werner oczywiście wiedział, kto wpakował go za kraty. I jak się zemścił? On jej wybaczył! Pomachał różańcem z chleba, powiedział, że doznał nawrócenia, że trwa w jedności z Chrystusem i jak Chrystus przebacza. Miał połamane palce i wybite zęby. Matka nie mogła się po tym pozbierać. Gdyby, nie wiem, opieprzył ją albo po prostu odmówił widzenia, mama doszłaby z tym do ładu. Ale wybaczenie ją zmiażdżyło, zwłaszcza że parę dni później Werner już nie żył. Myślę, że mama nawet się ucieszyła, gdy wyciągnęli te akta. Potrzebowała kary, w porządku, ale czemu mnie się obrywa?

Sophie płacze i przeprosza, mówi, że to silniejsze od niej. Płacze, bo boli ją jej własna

krzywda, i dlatego że wcale nie chce płakać, a ja już wiem, o co chodzi. Przytulam ją mocno i głaszczę po plecach. Sophie bardzo to lubi, rzeczywiście w jakiś sposób przypomina kota. Tym razem ulega, a głowa mokra od łez kołysze się przy każdym pchnięciu. Chciałbym w niej zniknąć i wyjść przemienionym. Może dlatego zawsze, gdy kończymy, pragnę uciec. Zostaje, leżymy nadzy w bezpiecznej odległości. Powiedziała mi coś ważnego, tacy jak ona niechętnie dzielą się tym, co bolesne. Łapię oddech, znajduję słowa pocieszenia. Mówię, że być może Klara ma rację. Nie należy wychodzić z domu. Gdyby nie mieli tego romansu, nie byłoby żadnych aresztowań. Może wszyscy byliby szczęśliwi.

– Nie do końca. Gdyby nie ten, jak go nazywasz, romans, nie byłoby mnie.

O trzeciej nad ranem lecą programy tarocistów i serial o brunetce, która hoduje róże w kolorach swoich sukienek i waha się pomiędzy siwym biznesmenem a klawym ogrodnikiem z pustką w kieszeniach. Na kanałach erotycznych kobiety wypinają tyłki i wpychają sobie wibratory wielkości kijów baseballowych. Zastanawiam się, kim są ludzie, którzy dzwonią pod te kolorowe numerki, skoro można odpalić pornola. Teraz ich rozumiem, wydają się nawet subtelni: od obrazu miłszy im głos.

Dom nie trzeszczy, lecz szumi, jakby obrosły go liście. Bulgocze klozet, wiatr kołysze obluzowaną rynną, bżyczy muzyka z laptopa, którego Sophie nie zamknęła przed zaśnięciem. Ulicą gnają stuningowane samochody. Słychać odgłos wypadku poprzedzony piskiem opon, jakby jakiś naćpany kierowca stracił panowanie nad samochodem i uderzył w wiatę przystankową, choć oczywiście w Südende nie ma żadnych wiat przystankowych, a szosy trzymają się wszyscy, nawet najbardziej nawaleni. Skaczę do okna, ale za murem widać tylko czarne domy, drzewa rosnące w równych odległościach i sunącą między nimi postać, chyba kobietę.

Wychodzę na korytarz i idę do magicznego pokoju, tej czarnej chaty dla starych aktorek. Spoglądam przez dziurkę od klucza. Klara w znajomej szacie, przepasana sznurem, klęczy przed kufrem zakrytym wyszywaną tkaniną. Lampki płoną wokół figurek bóstw, naczyń, ptasich piór i rogów barana.

Otwieram piwo i wychodzę do ogrodu. Na dróżce wiodącej ku pagodzie błyskają oczy jakiegoś zwierzęcia. Za murem rozbrzmiewają kroki. Drzewa trzeszczą przygięte do ziemi, na niebie pojawia się oko. Znów piszczą opony, rozbrzmiewa trzask uderzenia i podnosi się rejwach, co kończy się nagle, ucięte księżycową ciszą i płaczem kobiety. Umykam, wskakuję pod kołdrę, zalewam strach piwem, wiem, że gdy się obudzę, ta nocna godzina sprasuje się i straci kolory.

Rano nastaje wielkie poruszenie. Klara gdzieś się wybiera, więc biega między salonem, sypialnią i pokojem czarownym w samych majtkach i czarnym staniku. Nurkuje w garderobie. Ani niebieska suknia, ani elegancki szary kostium nie spełniają jej oczekiwań. Decyduje się na czarną garsonkę z baskinką, mocno się maluje i długo dobiera pierścienie. Sophie mówi jej, że wygląda, jakby jechała na własny pogrzeb. Usta ma pełne lodów Klondike, które wyjada wprost z pudełka.

Klara ciska kolczyki do misy, siada przed toaletką. Lustreczko, powiedz przecie, kto kablował na tym świecie?

– Zawsze wszystko źle!

Kładę jej dłoń na ramieniu, delikatnie, tak by uznała to za gest wsparcia, nic więcej. Zapewniam ją, że wygląda przepięknie.

– Och, zamknij się! Jesteś taki sam jak Sophie!

Godzinę później odstrzelona Klara idzie do garażu, kręcąc tyłkiem. Wsiada do błękitnego bmw, którego modelu nie umiem rozpoznać, lecz sądzę, że dekadę temu była to fura godna królów. Brama się rozsuwa i Klara rusza, głośno słuchając Edith Piaf.

Po drugiej stronie ulicy stoi staruszka w czarnym płaszczu. Ma rozpuszczone włosy, głębokie bruzdy na policzkach, a dłonie o skórze jak pergamin i grubych żyłach wydają się stworzone do grzebania umarłych.

Oglądamy telewizję, popijam piwo, a Sophie pochłania wafelki. Na ekranie pojawia się konferencja prasowa, na której siedzi Klara w towarzystwie łysiejącego jegomościa z wąsem, najpewniej adwokata. Jest też dwóch innych facetów o twarzach pokiereszowanych przez showbiznes nad Odrą. Dziennikarze tłoczą się i drepczą sobie po stopach. Sophie ziewa. Nic nie rozumiem z tej gadaniny. Klara powoli odgarnia włosy z czoła, figlarnie się uśmiecha, spogląda pytającym w oczy, a jej miękki, ciepły głos wybrzmiewa wśród salw śmiechu. Klara wachluje się dłonią i kładzie ją na sercu za każdym razem, gdy ktoś pyta o coś poważniejszym tonem.

Konferencja zyskuje klimat pikniku, lecz w pewnym momencie z tylnych rzędów przepycha się facet z krawatem w czerwono-żółte paski. Ma minę księgowego, który odkrył druzgocącą pomyłkę w pracy swojego poprzednika. Adwokat Klary chce go uciszyć. Ochroniarze podnoszą głowy, lecz sama zainteresowana udziela pozwolenia i słucha z dobrotliwym uśmiechem, który w miarę czytania zmienia się w lodowaty grymas. Facet sięga po kolejną kserokopię. Klara krzyczy. Facet mówi dalej i raptem uchyla się przed nadlatującą szklanką. Macha kserokopią jak chorągwią pokonanego państwa, a Klara podnosi się z miejsca i mu wygraża. Adwokat trzyma ją za rąbek sukienki. Ochroniarze otaczają faceta z kserokopią i próbują spacyfikować Klarę, która bije ich na oślep otwartymi dłońmi. Traci równowagę i teraz każdy łaknie zdjęcia gwiazdy na podłodze. Głos dziennikarza relacjonującego to wydarzenie mógłby należeć do komentatora sportowego.

Adwokat niezdarnie usiłuje podnieść Klarę. Nad ludzką gęstwiną, nad morzem czerwonych głów łopocze biały żagiel – kserokopia akt bezpieki. Sophie z waflem w ustach przełącza kanał. Tam dziennikarze w studiu ulokowanym na wysokościowcu rozmawiają z wyniszczonym Mathiasem Reimem o jego wielkim powrocie do nagrywania.

Ulica przed domem zaczyna się zapełniać. Zajeżdżają wozy transmisyjne, schodzą się pismacy, aktywiści i zwykli gapie. Nad szybko gęstniejącym tłumem rozciąga się transparent z napisem WERNER HEIST – WIR VERGESSEN NIE. Wyją klaksony. Co odważniejsi próbują przedostać się przez mur. Ściąga ich policja. Kilkunastu mundurowych stara się sprowadzić tłum z jezdni, co się udaje, lecz na krótko.

Przyglądam się temu zza kotary, z plecakiem napchanym forszą władowaną między łachy. Wyobrażam sobie, jak tłum wdziera się do środka i rozszarpuje mnie na kawałki za samą obecność w tym przeklętym domu. Zarygluję się w łazience. Schowam za łabędziem w pokoju z pamiątkami, a gdy mnie znajdą i wywloką, natychmiast powiem, jak mam na imię, wówczas będzie im trudniej mnie skrzywdzić. A co, jeśli zamiast zabić, zawloką mnie na policję?

Nadjeżdża znajome bmw i ludzie biegną w jego kierunku, roztrzając mundurowych. Przyciskają twarze do szyb, ładują się na maskę. Policjanci ich odciągają, gwizdzą, torując drogę ku bramie. Bmw wjeżdża, miażdżąc szkło z rozbitych butelek, a tłum podąża za nim. Demonstrujący krzyczą, lecz nie rzucają gruzem, nie wchodzą tam, gdzie *verboten*. Klara dotarła

bezpiecznie i tylko ja dostrzegam zgarbiony cień, który przemyka obok auta i znika wśród drzew. To staruszka, którą dzisiaj widziałem. Mógłbym ją zatrzymać, lecz mam inne rzeczy na głowie.

Już wiem, co zrobię – niech jeszcze ktoś się wdrze, a puszczę się pędem przez ogród i przeskoczę mur z drugiej strony. Tylko co, jeśli tam też czekają?

Cofam się, lecz nie mogę przestać patrzeć. Klara z hukiem wjeżdża do garażu, a roztrącone wiadra z farbą wytaczają się na zewnątrz. Trzaskają drzwi. Gdyby wybrała przejście przez garaż, wszystko byłoby dobrze, ale ona biegnie naokoło przez ogród.

Tam wyrasta przed nią staruszka w czerni: głowa jak posypana popiołem, oczy niby żarzące się węgle. Sophie już chwyta za telefon, z trudem utrzymując równowagę, a stara wznosi paluch ku niebu i woła:

– *Meinen Sohn! Gib mir meinen Sohn!*

Klara opuszcza dłoń, jakby czekała na cios. Staruszka rusza w jej kierunku, wciąż z tym uniesionym palcem, pokrzykując swoje. Do ogrodu wpadają policjanci, a pod starą uginają się kolana. Runęłyby, gdyby nie Klara, która ją podtrzymuje. Klęczą naprzeciw siebie i nawet policjanci nie potrafią ich rozdzielić.

Pod koniec marca metropolita poznański Paetz złożył rezygnację. Ogłosił to podczas mszy, na której zabrakło wielu księży z diecezji. Siwy, przygarbiony, przeprosił wszystkich, którym nie zdołał wyświadczyć dobra w swoim długim życiu, i zazaczył, że w Rzymie nie postawiono mu zarzutów. Na przyszłość arcybiskupstwa spoglądał z ufnością. Fragmenty mszy obejrzelśmy przez przypadek, odpoczywając po imprezie, w tym samym mieszkaniu, w którym pocałowaliśmy się po raz pierwszy. Wówczas nie było dla mnie nic groźniejszego niż Kościół.

Co tydzień na Polsacie leciał *Idol*. Julce najbardziej podobał się Szymon Wydra, ja uważałem, że zwycięży Ewelina Flinta. Wszystkie kanały nieustannie wyświetlały Tuska, Płażyńskiego i Olechowskiego. Ściskali sobie ręce, śmiali się i dużo mówili o zadaniach czekających świeżo zarejestrowaną Platformę Obywatelską. Mocno w nich wierzyliśmy. Małysz znów zdobył Kryształową Kulę, przywracając mojej mamie wolę życia. Złościła się tylko, że tak często wychodzę, wiadomo do kogo. Dom to nie hotel, powtarzała.

Szczęśliwie dni robiły się coraz dłuższe, słońce świeciło mocno i nie marzliśmy już na Polu Mokotowskim, a moja mama nigdy nie wracała wcześniej z pracy, więc mieszkanie mieliśmy dla siebie. Wymykaliśmy się między zajęciami, najczęściej w czwartki, kiedy mieliśmy podstawy ekonomii – przedmiot, który uważałem za nieistotny, głupi, niegodny takiego socjologa jak ja.

Spośród wszystkich wspólnych chwil te lubiłem najbardziej. Na moim wąskim tapczaniku poznawałem inną Julkę: pomysłową i świńską, radosną, o zwinnym języku. Po wszystkim lubiła rozprostowywać ramiona, jakby zamierzała się wzbić w powietrze. Przed wyjściem dokładnie ścieliła łóżko, a narzutę przejeżdżała wałkiem do czyszczenia ubrań. Żadnych śladów, śmiała się, dodając, że jesteśmy jak harcerze zbereżności i bierzemy udział w akcji niewidzialnej spermy. Z mieszkania wychodziliśmy osobno, przemykając pod sauronowym okiem sąsiadów.

Pieprzna wiosna zapowiadała jeszcze pieprzniejsze lato. Zajęcia dobiegły końca, co oznaczało wolną chatę pięć dni w tygodniu, od ósmej do siedemnastej. Podekscytowany tą perspektywą do sesji podeszedłem z marszu, pozdawałem na trójki i czwórki, co oznaczało koniec marzeń o stypendium. Metody badań ilościowych i podstawy ekonomii przenieśliśmy na wrzesień.

Myślałem o czymś innym, o trzech miesiącach tylko we dwoje. Julka miała jednak inne plany. Na wakacje wracała do Płocka, gdzie ojciec załatwił jej pracę w budce z hot dogami.

Wówczas pokłóciliśmy się po raz pierwszy. Praca wydawała mi się czymś odległym i niedorzecznym. Przecież studiowaliśmy, zbieraliśmy doświadczenia, powinnością młodych jest cieszenie się życiem. Mówiłem, że za parę lat oboje pójdziemy do pracy i na pół wieku zapomnimy o trzymiesięcznych wakacjach. Julka poradziła mi, żebym zszedł na ziemię. Nie każdy, tak jak ja, ma dach nad głową w Warszawie. Dodała, że potrzebuje nowych ubrań, kosmetyków, no i książek na trzeci rok studiów. Wywalczyłem tydzień w Bieszczadach na przełomie sierpnia i września.

W wakacje jeździłem do Płocka nawet cztery razy w tygodniu. Wyruszałem rano, przez pół dnia stałem razem z Julką w tej budce i wracałem wieczorem, bo nie miałem gdzie spać, a rodzice bardzo Julki pilnowali. Mama narzekała, że częściej widuje listonosza niż mnie, ale na wypad w Bieszczady pomogła mi się spakować. Wepchnęła mi do plecaka spray przeciw komarom, aspirynę i uprasowane koszulki na każdy dzień.

Bieszczady okazały się mokre, pełne ciężkich pajęczyn rozpiętych między drzewami, urzekające ciepłem wieczornych ognisk i rześkim chłodem poranków. Myślałem o zbiegach, przestępcach, którzy podobno żyli gdzieś tam, półdziko, wśród wzgórz.

Po powrocie czekało mnie potężne rozczarowanie. Obląłem metody badań ilościowych, a docent, z którym mieliśmy ekonomię, okazał się zaciętym, złośliwym tłukiem. Miał zadbaną brodę i okulary w grubych oprawkach, nadające mu wygląd przyczajonej sowy. Błagałem go, tłumaczyłem wagę tego egzaminu, a on, już na korytarzu wykonał gest, jakby chciał mnie odepchnąć. Rzekł, że sam sobie przeczę, bo przecież przyszedłem nieprzygotowany i jeszcze zabrałem mu dwadzieścia minut bezcennego czasu. Wołałem za nim: „Dwadzieścia minut? Pan mi zabrał rok!”.

Mama przyjęła wieść ze spokojem. Zauważyła, że od sylwestra interesowało mnie wszystko tylko nie studiowanie, i zapytała, jak z metodami i ekonomią poszło Julce. Powiedziałem prawdę, zdała jeszcze w czerwcu. Mama mruknęła, że wcale jej to nie dziwi. Julka żeruje na mnie, chłopaku z dobrego domu, z samego serca Warszawy. Chłonie, korzysta, nie dając nic w zamian, sama idzie w górę, spychając mnie w dół. Naprawdę tego nie widzę? Najlepszy dowód, że ona zdała, a ja nie. Mama obiecała, że zapłaci za powtarzanie roku, pod warunkiem że codziennie po zajęciach będę wracał prosto do domu i kuł ekonomię. Zgodziłem się, bo co mogłem zrobić? W październiku i listopadzie rzeczywiście tak było, lecz potem życie wróciło do normy.

W sylwestra mieliśmy rocznicę i trochę żałowałem, że nie załapał się na żadną imprezę. Poszliśmy na plac Defilad, gdzie grali Varius Manx, Wilki i Krzysztof Krawczyk, a Agata Młynarska bez przerwy pytała stolicę, jak się bawi. Obejmowałem Julkę w pasie, wdychając mroźne powietrze i zapach jej włosów, i gdy na scenę wszedł Krawczyk, zrozumiałem, że po raz pierwszy w życiu obchodzę rocznicę związku, że mam kogoś przy sobie, że jestem bardzo szczęśliwy.

Tuż przed sylwestrem „Wyborcza” opisała wizytę, którą Adamowi Michnikowi złożył Lew Rywin w lipcu, a Nowy Rok miał łagodną twarz Tomasza Nałęcz, który stanął na czele komisji wyznaczonej do rozwikłania tej skandalicznej sprawy. Powoli zaczynałem rozumieć, że decyzje w naszym kraju zapadają bez wiedzy obywateli, a politycy wcale nie są transparentni. Posiedzenia komisji, które zaczęły się wiosną, potwierdziły słuszność tej obserwacji. Miałem wrażenie, że dobroduszny Nałęcz nie radzi sobie z falą zalewającego go zła. Za to ekonomię

zdałem już w czerwcu, kiedy do kołtuńskiego wybrzeża Polski dobił radosny „Langenort”. W wakacje Julka znów poszła do budki z hot dogami, a ja dojeżdżałem do niej tylko dwa razy w tygodniu. Nie chciałem już kłócić się z mamą.

We wrześniu poszedłem do kina i po raz pierwszy od niepamiętnych czasów poczułem się jak mały, uradowany chłopiec. Zyskałem nowego bohatera – kapitana Jacka Sparrowa. W *Piratach z Karaibów* dostrzegłem magię, którą znałem z najlepszych filmów Lucasa i Spielberga – miała umrzeć, a ożyła w piorunującej kreacji Johnny’ego Deppa. W kinie byłem jeszcze dwukrotnie, w tym raz z Julką. Zerkąłem na nią co chwilę, usiłując odgadnąć, czy film jej się podoba. Po seansie powiedziałem, że chciałbym być właśnie takim współczesnym piratem. Żyłbym na własnych zasadach i zręcznie wymykał się prawu. Julka zareagowała z bolesną obojętnością. Zresztą od powrotu z Płocka była jakaś dziwna. Nie zwracała na mnie uwagi, nie chciała nigdzie wychodzić.

Uważałem, że zrobiłem coś nie tak. W drugi październikowy piątek założyłem najlepszą koszulę, wyniosłem z domu dwa kieliszki, kupiłem butelkę kadarki i pojechałem na Stare Bielany. W barze azjatyckim kupiłem dwie porcje kurczaka w pięciu smakach. Niosłem je ostrożnie, ale i tak na dnie siatki zebrał się ciemnożółty sos. Jak zawsze poczekałem na Julkę skryty za sosną, po czym przemknąłem pod czujnym okiem ufoludów, których nigdy nie widziałem i nie miałem zobaczyć. Julka przemyśliła z kuchni dodatkowy talerz. Rozłożyłem parującą chińszczyznę, zapaliłem świece wsadzone w puszki po fancies i zabrałem się do otwierania wina. Julka powiedziała:

– Wiesz, że będzie nas troje?

Minęło kilka sekund, nim dotarł do mnie sens tych słów. Zapytałem, czy jest pewna. Kiedy to się stało? Dwa razy w sierpniu miała wolne i w tajemnicy przed rodzicami przyjechała do Warszawy. Tak, to musiało być wtedy. Julka uważała, że to nie ma znaczenia. Nie cofniemy czasu, musimy pomyśleć, co dalej.

Dla mnie sprawa była oczywista: trzeba to rozgonić. W każdej gazecie pełno ogłoszeń o wywoływaniu miesiączki, wystarczy jeden telefon. Zadłużymy się po ludziach, trudno. Julka stwierdziła, że podjęła już decyzję. Nic nie zostanie rozgonione, bo dzieci się nie rozgania. Dzieci się zabija, a ona nie będzie morderczynią. Jeśli jej pomogę w wychowaniu, ucieszy się, jeśli nie, trudno, da sobie radę sama.

Wygłosiłem długą przemowę na temat stadiów rozwoju zarodka. Przecież na tym etapie ciąży płód nie czuje bólu, nie ma też mózgu ani płuc. Przypomniałem, jak w czerwcu słuchaliśmy dla hecy Radia Maryja. Julka usiadła obok i oznajmiła, że przeczucia jej nie myślą. Nie miała wątpliwości – rósł w niej mały człowiek.

Spróbowałem z innej strony. Przecież nie mieliśmy nic, studiowaliśmy, Julka dorabiała na korepetycjach i to wszystko. Ten mały człowiek to potwór, pożeracz pieniędzy. Gdzie zamieszkamy? Skąd na pieluchy, soczki, ubranka? Bóg dał dziecko, Bóg da na dziecko?

– Nie – odparła Julka. – Myśmy je zmaistrowali, to i my na nie zarobimy.

Nigdy nie pracowałem. Miałem skończyć studia i zwiedzać świat. Starąłem się uświadomić mojej dobrej, lecz krótkowzrocznej dziewczynie, że taka zmiana oznacza koniec wszelkich planów. Głębokie gardło wózka pochłonie imprezy i wycieczki. Nigdy nie pojedziemy do Włoch ani do Grecji. Tak, Bóg da na dziecko, ale weźmie z piwa, podróży i porządnych ciuchów. A studia? Jeśli nawet je skończę, poświęcając ostatnie godziny snu, to Julka nie da rady. Pójdzie na kasę w Biedronce, ja dostanę pracę za tysiąc trzysta, zamieszkamy w wynajętej norze na Tarchominie. Szczęśliwych ludzi pooglądamy w telewizji, jeśli oczywiście uciulamy na prąd.

Cały się trząsałem. Julka pozwoliła mi skończyć, powiedziała, że wszystko rozumie, lecz jest gotowa na nadchodzące trudności. Może być nawet gorzej – przecież dziecko nie musi urodzić się zdrowe. Dlatego wolno mi teraz odejść. Podjęła decyzję, ja też powinienem podjąć, byle szybko, żeby wiedziała, co ma zrobić dalej.

Sanitariusze układają matkę Wernera na noszach. Kobieta wygląda, jakby próbowała połknąć własny język, i bez przerwy chce przekrócić się na bok. Trzęsie jej się lewa ręka, prawa spoczywa bezwładnie wzdłuż ciała. Gdy karetka rusza, reporterzy wykorzystują ten moment na próbę przedarcia się za mur. Powstrzymują ich policjanci, których nagle robi się więcej.

Sophie zaczyna krzyczeć, żebym wyszedł, nie muszę się chować, jestem bezpieczny. Chce mnie zawstydzić, co się nie uda. Dlaczego dotyka mnie każde słowo tej wariatki? Sophie jest nikim. Siedzi w pokoju i macha głową do Massive Attack.

– Pamiętasz Wernera? Tego, który wybaczył mojej mamie? Gównu, nie wybaczył! Kazali mu tak powiedzieć. Grozili oskarżeniem żony i dzieci. Wyszło to teraz, na tej konferencji. Powiedz, czy ta sprawa nigdy się nie skończy?

Szukam w sobie energii, by jakoś to przeskoczyć. Jestem człowiekiem z zewnątrz, mogę się przydać, w gruncie rzeczy widzę w tym szansę dla siebie, gdyż pragnę być potrzebny. Przyznaję, że nie rozumiem.

– Co tu jest do rozumienia? Różnie mogło być. Może przeszarżowała z interwencją w tej sprawie i chcieli ją sprowadzić do parteru? Albo sprowadzili ją do parteru dla zasady, bo od czasu do czasu tak trzeba? Moim zdaniem jakiś oficer zakochał się w mamie i nie zniósł, że ona dla odmiany kocha Wernera. Nie mógł jej mieć, to znaczy mógł, ale nie tak naprawdę, więc ją zmiądzzył. Popatrz tylko na nią! Co my zrobimy? Chciałabym, żeby mężczyźni umierali przeze mnie. Ale ty nigdy nic nie powiesz ani nie zrobisz. Wiesz co? Zajmij się swoimi sprawami.

Klara patrzy na ogród. Papieros spopiela się jej w palcach, zaraz spopieli się i ona. Zagaduję, czy czegoś jej nie trzeba. Klara zrywa się z wysokiego stołka, biegnie w głąb domu, ja za nią, lecz powstrzymuje mnie Sophie.

– Zostaw.

Klara powraca, niosąc święte przedmioty z magicznego pokoju. Robi kilka kursów, a w ogrodzie, przy oczku wodnym, powstaje stos świec, piór, kielichów, książek. Na ogień czekają bożek i bogini, połamany ołtarz i haftowany obrus. Czekam z wiadrem wody. Nawet Sophie wyszła do ogrodu. Stopy zaplątały jej się w szlauch.

Coś takiego widziałem na dziesiątkach filmów. Klara stoi w rozkroku i zaciąga się papierosem. Niedopałek upada, sypiąc iskry wprost na mandalę zdartą ze ściany w korytarzu. Ogień strzela wysoko, a jeszcze wyżej, na gałęzie drzew za murem, wspinają się paparazzi.

Około dziesiątej ogień przygasa. Zmarznięta Klara nalewa sobie rumu, a w internecie pojawia się wiadomość, że matka Wernera zmarła, kto wie, czy nie zamordowana.

Na ulicy pohukuje tłum, płaska farba, trzaska szkło, do ogrodu wpadają plastikowe butelki i kamienie, a policjant krzyczy przez megafon, żeby się rozejść. Zniekształcony głos brzmi raczej jak nawoływanie do boju i rzeczywiście, średnio co kwadrans ktoś próbuje blitzkriegu na drugą stronę muru. Na razie jesteśmy bezpieczni, Klara jeszcze nigdy nie słyszała, by tak głośno skandowano jej nazwisko. Opiera się łokciami o kuchenny blat i wzdycha.

– Obawiam się, że teraz nikt nie znajdzie współczucia dla Klary. To, co się dziś wydarzyło,

było w jakiś sposób konieczne. Wszyscy musimy płacić, nawet ci, którzy żyją na kredyt, prawda, Sophie?

Sophie potrząsa głową znad tabletu, bawi się słuchawkami, zaraz wsadzi je sobie w uszy, zbuduje swój własny mur z muzyki.

– Sam widzisz – mówi. – Co ty na to, mój twardzielu?

Klara podchodzi do lustra. Rozprostowuje koszulę, spina włosy, ściąga biżuterię. Wygląda, jakby zaraz miała otworzyć sobie żyły w wannie pełnej wody, na której unoszą się płatki róż.

– Klara do nich wyjdzie. Klara się ich nie boi. Wyjdzie do nich i powie swoją prawdę. Niech osądzą. Mogą nawet rozszarpać Klarę. Klara się ich nie boi.

Sophie wzdycha:

– Promile też jej niestraszne. No nic, będę musiała ją zamknąć w pokoju.

Sama zainteresowana zdaje się tego nie słyszeć, testuje pozy przed lustrem, próbuje ocenić, który profil docenią rozszarpujący. Staram się zrozumieć, co czuje, na chwilę staje się nawet Klarą: jej żalem, strachem i pustką. Znajduję w tym pocieszenie i wiem, co robić. Potrząsam Sophie, tym mądrym, zimnym budyniem. Wywieźmy stąd Klarę.

Sophie gniecie papierkę po batoniku, jakby tym skromnym gestem rozpoczynała podbój świata. Pakuje matce butelkę w dłoń i popycha ją do ogołoczonego pokoju magicznego, który nie jest już żadnym pokojem magicznym, tylko czymś nowym, co czeka na imię. Klara nieustannie tokuje, jak bardzo gotowa jest na śmierć, choć trochę liczy na to, że tłum jej wybaczy, a nawet przytuli. Sophie zamyka za nią drzwi i podpira klamkę krzesłem.

– To co, jedziemy?

Siadam na fotelu pasażera i próbuję nie patrzeć w lusterko, co oczywiście kończy się klęską. Ludzie zawsze będą rozdrapywać strupy, wyciskać niedojrzałe pryszcze i dłubać w nosie, gdy nikt nie patrzy, tak jak ja muszę zerknąć w to pieprzone lusterko.

Mam kapelusz, perukę, okulary muchy i kilogram pudru na twarzy. Jakoś wcisnąłem się w kostium Klary, ten sam, który miała na dzisiejszej konferencji. Na rękawach widnieją dziury po papierosach. Stara wariatka w jednym miała rację: rzeczywiście schudłem, jej rzeczy pasują.

Brama się otwiera, tłum gna w stronę samochodu. Pięści łomoczą o karoserię, na bocznej szybie rozsmarował się czyjś nos, w naszą stronę fruną jajka i puszki, transparenty bębnią o dach. Ludzie robią mi zdjęcia, zasłaniam twarz dłonią i mam nadzieję, że trochę minie, nim się połapią, że to nie Klara opuściła dom. Co, jeśli ktoś mnie rozpozna, porówna fotografie z listów gończych? Próbuję być Klarą, jej samotnością i wstydem. Lepsze to niż moja własna samotność, mój własny straszny wstyd.

Tłum ryczy pieśń Wernera Heista, więc Sophie puszcza Motörhead. W tym aucie nie czuć prędkości i nim się połapię, dom i tłum zostają za nami. Pędzimy przez nocne miasto.

Kościół, na które pada ciepłe, żółte światło, wyglądają na wyrżnięte z kamienia, jakby niegdyś tkwiły wewnątrz skały i ktoś je wyciosał. Wielkie żaby unoszą łapki przed wejściem na plac zabaw. Rozluźniony, mówię Sophie, że mamy powód do radości. Udało się, wszyscy myślą, że Klara wyjechała i dom został pusty. Sophie pogłaska muzykę i gapi się na drogę.

Jedziemy jeszcze trochę. Mijamy grupę kamiennych niedźwiedzi i wpadamy w szeroką aleję obwarowaną przez ciężkie kamienice, zamkniętą neonem BAU & GARTEN. Pytam Sophie, dlaczego milczy. Może zabrakło jej energii albo milczeniem odreagowuje stres? Co jest, mała,

dokąd teraz, kiedy wracamy?

Sophie zatrzymuje samochód i opuszcza szybę. Zapala cienkiego papierosa i potrząsa głową jak pies, który wyskoczył z wody. Coś z siebie zrzuca, coś chce mieć za sobą. Wysiada i najwyraźniej chce, żebym zrobił to samo. Mam iść z nią na spacer przebrany za kobietę? No nic, próżno szukać wyjścia. Staję na chodniku, rozglądam się i drżę z zimna – pochłodziło. Głos Sophie dochodzi z daleka, dudni w nim choroba i wściekłość.

– Spójrz! Noc jest taka piękna!

Tam, gdzie mam spojrzeć, jest tylko ten idiotyczny gmach zwieńczony neonem. Nim się połapię, Sophie wsiada do auta i zamyka drzwi. Szarpię za klamkę. Nie mam pieniędzy ani swoich rzeczy, nie wiem nawet, gdzie jestem ani dokąd mam wracać. Oczy Sophie błyszczą, psota sprawiła jej radość. Dmucha w szybę i wciska gaz.

Światła beemki nikną za zakrętem, zapada cisza.

Stoję w rozkloszowanej damskiej bluzce, peruce i kapeluszu, który mógłby należeć do Marleny Dietrich. Klipsy dzwonią przy uszach, za to na nogach mam dżinsy i buty sportowe. Wciągam do płuc wiosenne powietrze. Sophie miała rację, noc jest piękna.

Śmiech przychodzi jak atak serca, jak kula, która trafiła Wenera w głowę. Rodzi się w brzuchu i rośnie, zgniatając płuca i serce, rozprasowuje żebra, a z nimi wątpliwości, wspomnienia i poczucie winy, jestem tylko tubą na rechot, bez przeszłości, przyszłości i grosza przy duszy, śmieję się, aż boli, zapalam światła w oknach i sprawiam, że taksówkarze zmieniają pasy. Bardzo dobrze, nigdzie stąd nie pójdę, tylko będę się śmiał, aż ktoś się zatrzyma i pośmieje się ze mną.

Mikołaj natychmiast siada na ławce wiaty przystankowej i wyciąga tablet, tymczasem Jan nie może znaleźć sobie miejsca.

Podmuch wiosennego wiatru przewraca koziółek ustawiony u wylotu Madalińskiego, a kurier DHL zostawia furgonetkę na światłach awaryjnych i znika w drzwiach cukierni.
Trach.

Na parapecie rozbitego okna tłusty gołąb kokosi się w gnieździe. Zaszłe, szare gówno oblepia mur, w którym tkwią też niedopałki i kawałki szkła.

Leżę pod porwanym śpiworem, wokoło walają się plastikowe butelki, gazety, koszyk sklepowy, kawałki szkła i ogryzione kości jakiegoś ptaka. Rzucam gruzem, brzęczy szkło, a przestraszony gołąb krąży pod niskim sufitem, obija się o zbutwiałą drabinę.

Drabina prowadzi ku klapie na dach, której broni przepięłowana kłódka. Ktoś jednak ją zawiesił, tak by wyglądała na dobrą. W niemieckim zamięłowaniu do ładu kryje się coś upiornego. Słońce podnosi się zza budynków, a ja spluwam na obrzygany beton.

Mam widok na czerwone dachy i krępa kościelną wieżę, którą zdobi wielki złoty krzyż. Wygląda to jak na jakimś cholernym *Assassin's Creed* i przez chwilę, nim mdłości zegną mnie w pół, wyobrażam sobie, jak by to było wspaniale znaleźć się na tym kościele w sekwencji bezbłędnych skoków. Mój skok zawiedzie mnie gdzie indziej, myślę sobie, i chwiejnym krokiem, omijając szyby wentylacyjne, zbliżam się do krawędzi.

Daleko mającą stalowe żurawie, obok przycupnął plastikowy bociek z uniesioną nóżką. Nie czuję strachu, tylko żal i smutek. Nie wiem, dlaczego wciąż myślę o *Assassin's Creed* i o tym, że nigdy już nie zagram na komputerze. Moje życie było dobre, jeśli odjąć jeden fatalny moment, co zrozumie każdy, kto będzie układał mowę pogrzebową. Jestem mężczyzną. Mężczyzna nie może się wahać. Mężczyzna nie wstydzi się łez.

Ściągam bluzkę przez głowę, rękawy blokują się na łokciach, rwie mnie też w ucho. Chwilę później sytuacja się zmienia, jakbym właśnie miał wysadzić się w powietrze, lecz zapłon odmówił współpracy.

Kostiumik Klary umyka unoszony wiatrem, a ja ściskam klips, piękny, z czerwonym okiem wtopionym w białe złoto. Unoszę go jak głowę wroga i krzyczę temu miastu, że mogło mnie zmiażdżyć, ale nie pokonać. Gołębie podrywają się do lotu. Ostrożnie sprawdzam wolną dłoń, czy jest także drugi.

Rozmyślałbym o niespodziewanym uśmiechu losu, o szczęściu w nieszczęściu, czuję jednak tylko wstyd i chłód. Idę półnagi chodnikiem, jedną ręką trzymam się za bok, drugą wyciągam przed siebie. Na otwartej dłoni błyszczą klipsy.

Na ścianach kamienic wymalowano tukany, mężczyzn w kapturach i powieszonych kota. Potracony rower wywraca cztery następne. Wyglądają jak te, które pamiętam z dzieciństwa, jak pelikany. Wsiadłbym na rower, pojechałbym przed siebie. Pędziłbym i nigdy się nie zatrzymywał. Może sobie taki kupię, tylko najpierw sprzedam klipsy. Podsuwam je przechodniom pod nos, potrząsam, uświadamiam, jak wspaniała to okazja – prawdziwe złoto za grosz na łań i flaszkę. Nie powinienem tak robić, bo przyjdzie policja, skuje mnie i zastrzeli w piwnicy.

Ludzie odsuwają się ode mnie, jakbym miał łuszczycę. Dlaczego są tacy bezlitośni? Zasuwiają w drogich ubraniach, z pełnymi portfelami, piją kawę za cztery euro i myślą, że nigdy nie wyładują na dnie. Otóż gówno, kochani. Spadnie na was bomba atomowa, Arabowie was zjedzą, słońce spopieli wasze domy – tego im właśnie życzę, a od mojej piersi odbija się szmata.

Szmata okazuje się koszulką. Spoglądam na człowieka, który mi ją rzucił. Ma czarną brodę, oczy proroka i kolorowy T-shirt, szorty odsłaniają włochate nogi pełne blizn. Podnoszę ciuch

i składam słowa podziękowania w obolałej głowie. Nieznajomy odkłada dwie siatki pełne kolorowych ubrań. Przygląda się, jak zakładam koszulkę. Pod jego spojrzeniem czuję się nagi.

Tacy ludzie są jak słup wkopany w ziemię. Nie sposób ich poruszyć, no ale spróbuję, skoro już mamy jakąś relację. Pokazuję klipsy. Sprzedam, do tego tanio. Nieznajomy bierze jeden, unosi ponad głowę, jak zdobywca, mruży ciemne oko i mówi, że umrę, jeśli sprzedam te błyskotki. Wezmę pieniądze i w ciągu tygodnia będę martwy. Dodaje, że właśnie trzyma moje złote życie. Oddaje klips, nim spytam o sens tych farmazonów.

Jest tak wielki, że nie sposób go wyminąć. Rozrósł się na cały chodnik. Pytam, skąd wie takie rzeczy i kto dał mu prawo do oceny. Znalazłem się w trudnej sytuacji, lecz zaraz zbiorę się do kupy. Nieznajomy mówi, jakby żuł kamienie. Radzi, abym czym prędzej zwrócił klipsy, w co po prostu nie chce mi się wierzyć. Groził mi śmiercią i jeszcze bierze za złodzieja. Szarpię rękaw ofiarowanej koszuli. Tłumaczę, że niczego nie ukradłem, przeciwnie, ratowałem bezbronną kobietę. Nieznajomy słucha z ramionami skrzyżowanymi na piersi, a ja uświadamiam sobie, że sam zostałem okradziony. Gdzie plecak z moimi pieniędzmi?

Opowiadam o tej forsie i o tym, że została mi odebrana. Nieznajomy schyla się po siatki i pyta, czy zapamiętam adres. Mieści się tam parafia, gdzie znajdę pomoc, a nawet dach nad głową. Minę ma, jakby sądził, że rzucę wszystko i za nim pobiegnę. Nie mam nawet czego rzucić. Nieznajomy pokazuje mi plecy, maszeruje krokiem żołnierza, a siatki raz po raz uderzają o potężne uda. Odwraca się jeszcze i ponownie wykrzykuje adres.

Oczy są zwierciadłem duszy, a schludny wygląd to ćwierć sukcesu sprzedawcy. Kiedy ostatni raz patrzyłem w lustro, zamiast oczu miałem dwie posklejane szparki. Wstydzę się, ale Serb z lombardu widywał już nie takie spojrzenia. Ja również widziałem takie miejsca, choć tylko przez szybę. Na półkach leżą telefony, konsole i kamery, których nikt nie chce kupić. Pod pancernym szkłem lśnią bransolety, pierścionki, kajdany i kolczyki lub klipsy podobne do tych, które przyniosłem.

Serb sięga po mój jedyny skarb, a mnie ogarnia dziki strach. Zapewne weźmie mnie za złodzieja, pomyśli, że może zabiłem za to złoto. Ma przycisk pod blatem, policja już jedzie. Będę musiał przyznać się do kradzieży, byle tylko nie wracać do Polski. Jednak Serb wyciąga łapę po drugi klips, ogląda i zaczyna liczyć banknoty. Dużo tego, bardzo. Transakcja przebiega bez słów. Dopiero na zewnątrz, gdy z majtkami pełnymi forsą rozglądam się za supermarketem, przychodzi mi do głowy, że dałem się oszukać, że Serb zapłacił za mało.

Przed chwilą byłem nędzarzem, teraz mogę kupić całą lodówkę z wódą. Nie umarłem, jak życzył mi nieznajomy. Ograniczam się do jednego piwa. Wypiję je i pomyślę, co dalej. Wygrzebuję z majtek banknot pięcioeurowy, nie chcę reszty. Sprzedawczyni jest obojętna i chuda jak wykrzyknik.

Biegnę chodnikiem wzdłuż szerokiej ulicy, mijam kilka przecznic i dałbym sobie rękę uciąć, że każdy przechodzień zna moje imię. Docieram do parku. Brnę przez krzaki, moszczę się między korzeniami drzewa. Daleko młodzi ćwiczą mięśnie na czerwonych przyrządach gimnastycznych, na pobliskiej ławeczce przysypia pijak otoczony przez swój majdan. To on wygrał życie. Też jestem pijakiem, lecz nie mam już majdanu.

Nowa koszulka przesiąkła potem. Boli mnie serce, świszczę, drżą mi ręce. Zaraz wypiję piwo i poczuje się lepiej, później zjem ciepłe śniadanie i pomyślę, co dalej. Z otwartej puszkii uchodzą

gaz, bokiem spływa spieniona strużka. Zastanawiam się, czy te klipsy Klarze ofiarował Werner.

Umrę, powiedział nieznajomy. Wiedział, co zrobię ze zdobytymi pieniędzmi. Spoglądam na puszkę jak na wyrok śmierci i bez trudu mogę prześledzić przebieg wypadków. Urznięty wpadnę pod samochód. Upadnę i rozbiję sobie łeb. Wątroba pęknie jak wrzód i żółć zatruje mi ciało. Nie naprawię zła, które wyrządziłem.

Jeśli się napiję, wszystko będzie dobrze. Odejdą dreszcze i chłód, myśli przestaną się myśleć, a ja kupię czteropak, potem wpełznę do butelki wódki, zasnę. Tak bardzo potrzebuję snu: rozbity łeb, pęknięta wątroba, trach.

Trzymam puszkę między kolanami. Bardzo chcę pójść za tobą i bardzo chcę żyć. Myślę o nieznośnie długich dniach i zasypianiu na trzeźwo. O tym, że nigdy nie doznam ulgi. Chcę żyć. Na ulgę nie zasłużyłem. Jestem mężczyzną czy nie jestem?

Pijak z ławeczki się budzi, patrzy, jak podlewam piwem drzewo, i łapie się za głowę. Kucam nad kałużą, pokazuję mu plecy. Śmierdzący płyn szybko wsiąka w ziemię. Jestem z siebie dumny. Podjąłem decyzję, której zaraz będę żałował. Muszę się wzmocnić. Muszę postanowić, co dalej.

Już nigdy się nie napiję. Nie nawalę się w trupa ani nawet nie pójdę do baru na jednego. Wytrwam w tym postanowieniu i będę o nim pamiętał, gdy odzyskam spokój. Wówczas najłatwiej się osunąć.

Już nigdy nie sprawdzę sieci. Każdego da się wysledzić po samych uderzeniach w klawisze bez żadnego logowania.

Będę płacić tylko gotówką i zrezygnuję z każdej, nawet najlepszej pracy, jeśli będzie wymagała założenia konta. Ze skradzionego dowodu osobistego skorzystam w ostateczności.

Nauczę się milczeć. Nigdy nie wejdę do cudzego domu. Nie nawiążę żadnej przyjaźni, zrezygnuję z posiadania kolegów i będę unikał kobiet, zwłaszcza tak chętnych jak Sophie.

Każdemu przyznam rację i zawsze będę ustępował. Stracę wszystko, żeby uciec. Codziennie zatrę część swojej twarzy, aż w końcu stanę się niewidzialny.

Nigdzie nie zostanę na dłużej niż rok, choć wiem, że będzie mnie kusić. Odejdę, gdy dostanę pierwszą podwyżkę, nauczę się nazw ulic w dzielnicy, a sąsiedzi zaczną się zwracać do mnie po imieniu.

Nie wrócę. Nie zadzwonię. Nie wolno mi.

Kościół zbudowano z ciemnoczerwonej cegły. Dach i framugi okienne są białe, podobnie jak jedna z wieżyczek. Na drugiej usadowił się pozłacany święty, wokół którego krążą ptaki. Można wejść wprost z ulicy po stromych stopniach. Wewnątrz nie zastaję nikogo, tylko rzędy krzesel, takich, jakie widywałem w salach konferencyjnych. Mam ochotę krzyknąć: „Jest tu kto?”.

Za kościołem znajduję mały, pusty parking i ogromny budynek parafialny, przed którym przystaję. Zastanawiam się, co powinienem powiedzieć, gdy znajdę się w środku. Kim był człowiek, który mnie tutaj skierował? Zapewne wykonuje tutaj prace gospodarcze czy coś podobnego. Jak znam życie, za darmo. Przecież żaden ksiądz na świecie nigdy nic dla nikogo nie zrobił i wszyscy są tacy sami. Mają miękkie głosy i tłuste ciała. Żerują na rozpaczy i samotności. Jestem samotny i zrozpaczony.

Budynek przypomina hotel, w którym nikt nie chce już mieszkać. Brakuje tylko skrzypiących drzwi i pyłu w korytarzu. W kancelarii zastaję pięćdziesięciolatka we flanelowej koszuli

i okularach zsuniętych na czubek guzowatego nosa. Po angielsku wyjaśniam, z czym przyszedłem, właściwie – z czym kazano mi przyjść. Miałem umrzeć, ale nie umarłem i co teraz? Pięćdziesięciolatek kiwa głową, odpowiada coś po niemiecku. Nawet nie zrozumiał. Prowadzi korytarzem. Na ścianach wiszą zdjęcia z uroczystości parafialnych i maratonów. Mężczyzna powtarza: „Priester Robert”.

Pomieszczenie, w którym przyjmuje mnie ksiądz Robert, wygląda na przeznaczone do wyburzenia. Ściany są gołe i popękane. Pod sufitem gromadzi się grzyb, drewniana podłoga skrzypi. Biurko przypomina stół kreślarza. Obok stoi jeszcze szafka na dokumenty, nic więcej. Nad głową księdza Roberta wisi krzyż zбитy z desek. Znam ten łeb. Robert dał mi koszulę i straszyl śmiercią. Podnosi wzrok, milczy.

Mówię, że chcę żyć, więc przyszedłem. Natychmiast przepraszam za kłopot, ale sam mnie zaprosił. Nie wiem, co dalej. Zdarzyła się pewna nieprzyjemna okoliczność, można tak rzec. Nie jestem alkoholikiem ani złodziejem. Ksiądz Robert po prostu patrzy. Ogarnia mnie strach, bo Robert siedzi przy biurku, na którym nie ma laptopa, tabletu, telefonu, papierów, książek. Co zatem robił, nim przyszedłem?

Przypominam, że mnie oszukano, i zaznaczam, że nie mam zwyczaju prosić o pomoc. Zostałem jednak zachęcony, więc jestem. Milknę. Trwamy w ciszy. Czuję się jak uczeń wezwany na dywanik do dyrektora. Powtarzam, że nie jestem złodziejem i właśnie rzuciłem picie. Robert pochyla się nad biurkiem i pyta, czego potrzebuję. Nie rozumiem. Tłumaczę mu, że wszystko mu wyjaśniłem. Robert uderza dłonią w blat. Nic nie obchodzi go moje picie, dudni, ani droga, która mnie tu przywiodła. Czego potrzebuję?

Nie wiem przecież. Potrzebuję ukojenia i niepamięci. Bardzo chciałbym zniknąć. Boję się powiedzieć o tym Robertowi, bo wstanie z za biurka i mnie uderzy. Dlaczego uciekłem? Gdzie są moje pieniądze? Bardzo by się teraz przydały. Wstydzę się prosić. Mówię wreszcie, tak pokornie, jak mogę: potrzebuję dachu nad głową i jakiegokolwiek roboty. Spuszczam wzrok. Czekam, aż Robert zacznie krzyczeć. Tymczasem on się podnosi, opiera włochate pięści o biurko. Pyta, czy tak trudno było wydusić z siebie parę prostych słów. Ceni sobie wyłącznie szczere serca. U niego kąt zawsze się znajdzie. I praca – za dach nad głową.

Mój nowy dom to pokój niewiele większy od trumny, w którym miejsca starcza na szafę, stolik i łóżko jak dla dziecka. Toaleta znajduje się na korytarzu, kuchnia jest czarna i ślepa jak kret.

Trzępię tapczan kijem przyniesionym ze śmietnika, a kurz wzbija się pod szarożółty sufit. Oczyszcziłem kuchenkę elektryczną, za to ze zlewem niewiele umiem zrobić. Rdza przypomina zaschniętą krew, kran krztusi się brązową breją. Brakuje lodówki i masło muszę umieścić w wyszorowanym wcześniej rondlu z zimną wodą.

Mam jeden płyn do wszystkiego. Szoruję stolik ręcznikiem papierowym, przecieram na mokro i sucho. Z szafy wyrzucam szmaty poprzedniego lokatora – podkoszulki na ramiączkach, sweter w romby i bluzę z logo Wu-Tang Clan. Oglądam je dokładnie, sprawdzając, czy mogą mi się do czegoś przydać. Pucuję dno szafy i przecieram okienną szybę od wewnętrznej strony. Mam widok na baterie słoneczne na dachach i złotego świętego na kościelnej wieży.

Sojusznik rozum doradza myślenie budżetowe i krytykuje niefrasobliwą gospodarę finansami w przeszłości. Pieniądze za klipsy prędzej czy później się skończą. Naciągam najtańszą pościel na koc zdarty z łóżka i upycham szmaty znalezione w szafie do poszewki na jasiek. Wciąż

jestem słaby, sen niechętnie wpada z wizytą.

Kładę się z ramieniem pod poduszką, bo tak wygodniej. Zamykam oczy, na korytarzu dudnią kroki, zza ściany dochodzi hip-hop, gdzieś z góry dobiegają pijackie ryki. Jakbym wziął udział w jednym z tych wyzwań podejmowanych przez vlogerów i celebrytów: przeżyj dzień za pięć złotych, za dolara, za euro.

Wstaję. Dzielę gotówkę na równe kupki, dychę wpycham w kieszeń, resztę pod materac i zaraz go podnoszę. Sprawdzam, czy pieniądze na pewno tam są. Wpycham je jeszcze głębiej, żeby Robert ich nie zabrał. Myślę o człowieku, który mieszkał tutaj przede mną i nosił bluzę Wu-Tang Clanu. Zachował klucze do tego pokoju? Przypełźnie nocą i mnie okradnie. Otworzy mi gardło. Nie powinienem stąd wychodzić. Nie powinienem też spać.

Ale jest późno i bardzo potrzebuję snu. Rozbieram się. Pościel pachnie trochę jak w hotelu na Pradze. Myśli mi się jednak Julka, aż nie potrafię ułożyć głowy na poduszce. Wyobrażam ją sobie, jak siedzi w kuchni, stuka w tablet i pyta mnie, czy miałem dobry dzień. Tęsknię za jej śmiechem i ciałem, szczupłym i ciepłym, do którego mógłbym się przytulić. Leżałbym, mówił do niej, a ona by słuchała. Teraz Julka nie chciałaby mnie słuchać.

Całe życie zasypiałem z książką, z laptopem, z telefonem. Dziś mam tylko ścianę, po której przesuwają się światła i cienie. Brakuje nawet zegarka. Godziny się kurczą, minuty – rozciągają. Serce wali, że aż strach. Osuwam się w sen i zaraz wracam na jawę jak topielec wyrwany spod wody. Biję się po brzuchu, walę głową w poduszkę, przeklinam własne ciało, które nie chce zasnąć. Czemu zwróciło się przeciwko mnie? Dlaczego mnie nienawidzi?

Odpowiedź ma twoje imię.

Do kancelarii parafialnej zgłaszam się z postanowieniem, że przeproszę księdza Roberta i pracę zacznę od jutra. Nie zmrużyłem oka i pocę się brudem. Na mój widok Robert podnosi się znad pustego biurka i już wiem, że nic z tego. Ten człowiek mi nie daruje. Nie pyta, jak mi się spało, nie obchodzi go moje samopoczucie, choć przecież ledwo stoję. Chce wiedzieć, jakie znam języki. Interesuje go mój stosunek do książek.

Idziemy korytarzem. Znam doskonale angielski, ale z resztą już gorzej. Wspominam, że bardzo chciałem nauczyć się niemieckiego, tylko zawsze czasu brakowało. Szkoda, bo moglibyśmy porozmawiać w ojczystym języku księdza. Robert zatrzymuje powietrze w płucach, jakby się zastanawiał, czy zdradzić mi jakiś sekret. Kiedy przystajemy przed schodami prowadzącymi do piwnicy, informuje mnie, że przyjechał tutaj z byłej Jugosławii. Niemieckiego nauczył się na miejscu. Mówi też po włosku, hiszpańsku, rozumie rosyjski, czyta po łacinie. A książki?, pyta. Na odpowiedź twierdzącą reaguje mruknięciem: dobrze, że czytam, ale bez znajomości niemieckiego będę miał kłopot. Oto i biblioteka parafialna.

Robert przekręca klucz w masywnych drzwiach. Wyobrażam sobie ponure pomieszczenie o popękanych ścianach, gdzie ciemnobrązowe półki uginają się pod ciężarem świętych ksiąg oprawionych w skóry. Dostaję jamę z luksferami pod sufitem i regałami, jakie widywałem jeszcze w szkole. Część książek leży w pudłach pod ścianami. Powietrze jest suche. Takie piwnice musiał znać Werner Heist, poznała i Klara. Książdz Robert wpycha mnie do środka, jakbym czymś mu zawinił. Zdradza, że myślał o bibliotece z prawdziwego zdarzenia, takiej z katalogiem w komputerze i rejestrem wypożyczeń. Na razie wystarczy, jeśli poukładam książki podług jakiegoś sensownego klucza. Na pewno dam sobie radę, skoro taki ze mnie czytelnik.

Powtarzam, że nie znam niemieckiego, a potężny Robert sprzedaje mi mądrość: życie nie uznaje żadnych usprawiedliwień.

Na każdej z półek książki upchnięto w trzech rzędach. Wszystkie są po niemiecku, do tego część szwabachą. Robert najwyraźniej chce mnie tutaj zostawić bez żadnej pomocy, a słuchanie tego, co mam do powiedzenia, mu nie w głowie. Patrzy. Ani razu nie mrugnął. Przypomina, że pokój mam w zamian za pracę w bibliotece. Będę mieszkał tu tak długo, jak długo będę pracował.

Zostaję sam. Porządkowanie biblioteki jest jak walka z ciemną stroną mocy – będzie trwać wiecznie i chodzi w nim tylko o to, bym znalazł zajęcie i się uszlachetnił. Odpowiada mi to, bezczynność dławi mnie i dusi. W piwnicznej kuchni znajduję kołotonatnik i ołówki z Ikei. Jest też ekspres kapsułkowy. Z kubkiem kawy spaceruję między regałami i liczę książki na pięciu regałach. Wyciągam średnią, wychodzi dwadzieścia na półkę. Regałów mamy czternaście, każdy po sześć półek, co daje tysiąc sześćset osiemdziesiąt książek na półkach, do czego trzeba dorzucić te z podłogi.

Siadam na drewnianym kufrze, popijam kawę i gryzę końcówkę ołówka. Z góry dochodzi stukot pralki i miauki chóru dziecięcego. Gdy kawa się kończy, czekam jeszcze chwilę. Kto wie, może ksiądz Robert pozwoliłby mi tu robić darmowe pranie?

Zrywam się z kufra i zaczynam zrzucać książki na podłogę. Rosnące kości rozrywają mi mięśnie, chyba odrobinę, odrobinę krzyczę. Wyszarpuję kolejne tomy, regał się chwieje. Potykam się, padam na kolana i walę pięścią w półkę. Ciskam książkami, jedna po drugiej odbijają się od drzwi. Gdy wreszcie siadam, mroczy mi się przed oczami.

Strącam z półek to, co jeszcze na nich zostało. Walę się w łokieć i w kolano, więc grożę Bogu uniesioną pięścią. Naprawdę musisz być tak małostkowy, ty skurwysynu? Dostrzegam krew ciekącą pomiędzy palców, ale nie czuję pieczenia – jestem wojownikiem.

Skaleczenie biegnie zewnętrzną stroną kciuka i jest dość głębokie. Obmywam je w zlewie, ostrożnie, jakby strumień wody mógł je pogłębić. Brakuje plastra, opatrunek robię z kartek wyrwanych z powieści Knuta Hamsuna. Ksiądz Robert na pewno ma apteczkę, ale dam mu spokój. Wolałbym, żeby na razie tu nie schodził. Poza tym co miałbym powiedzieć? Skaleczyłem się książką?

Stoję, ssę palec, patrzę na puste półki i hały książek pod nimi. Dostrzegam coś, co umknęło mi wcześniej – pod luksferem, na stoliczku ze sklejki, stoi aparat telefoniczny. Czarny, stary, podobny do tych, jakie widywałem na filmach o milicjantach. Przyciąga mnie, jednocześnie budząc grozę. Brodzę wśród książek. Mam nadzieję, że telefon nie jest podłączony.

Cyfry na aparacie się zatarły, ale sygnał w słuchawce jest wyraźny i czysty.

Jadę metrem na plac Poczdamski i tam wchodzę do centrum handlowego. Tłoczno. Krążę alejkami i po piętrach, aż wreszcie znajduję sklep z zabawkami. Na wystawie śmieją się młodzi wikingowie z filmu *Jak wytresować smoka*, ludki Ninjago, wysokie na dwa metry, robią groźne miny. Wszystko jest czerwone i czarne, gwiazdnowojenne zabawki noszą maski. Chciałbym być zabawką.

Szukam wyłącznie rzeczy znajomych, pragnę tylko tego, co najcenniejsze. Sięgam po karabin Nerf i komplet piankowych strzałek. Gdy nie ma wiatru, można takim strącić puszkę, strzelając z piętnastu kroków. Plastikowy magazynek wchodzi z przyjemnym szcękaniem.

Mam kłopot z wyborem właściwych klocków. Znam te pojazdy technorycerzy, te mechaniczne mamuty i fruujące zamki. Wyglądają mocarnie i kuszą szczegółem, lecz potem rozpadają się w dłoniach.

Ostatecznie biorę coś, co wygląda na skuter śnieżny dosiadany przez złowrogiego tygrysa szablozębnego. Już przed kasami dorzucam podkładkę na biurko z piłkarzami Bundesligi. Kartonik, uprawniający do skandalicznie niskiej zniżki, umieszczam w osobnej przegródce portfela.

Dzień po dniu pokój się zmienia i przestaje należeć do mnie.

Do klocków Lego dochodzi ognisty pojazd zawiadywany przez feniksa oraz figurka lorda Vadera, wysoka na dziesięć centymetrów. Tę ostatnią kupiłem z myślą o sobie, bo dzieci nie lubią starych *Gwiezdnych wojen*, kochają Kylo Rena i Anakina.

Na podłodze stoi zdalnie sterowany samochód terenowy. Nie włączam go ani razu, bo przyszczędziłem na bateriach. O ścianę koło szafy opiera się tarcza, łuk rekreacyjny i dwie strzały zakończone zaślepkami. Taka strzała niesie się gorzej i rzadziej trafia, zresztą strzelanie z łuku jest trudniejsze, niż ludzie myślą: mierzymy po paraboli, uwzględniając wiatr.

Na szafę – by trudno było sięgnąć – wstawiam ukradzioną z kuchni miskę ze słodyczami. Pod nią wsuwam rachunek od cukiernika. Wkrótce muszę go odwiedzić.

Inwazja superbohaterów utrudnia właściwy wybór i łapię się na myśli, że mój ojciec miał tylko Winnetou i był zadowolony. Nie wiem, czy tato czytał powieści kowbojskie, czy cieszył się z czegokolwiek i czy cieszy się dalej. Wyciskam go z głowy jak wrzód, waham się między Batmanem i Kapitanem Ameryką, aż wreszcie, w kolejnym olśnieniu, stawiam na Spider-Mana. Batman jest milionerem, Kapitana wojskowi nafaszerowali chemią, tymczasem człowiek pająk, zwykły uczeń, daje nadzieję każdemu chłopcu. Zrezygnowałem z antyramy, plakat mocuję nad łóżkiem, używając taśmy klejącej. Przy okazji odkrywam, że mam w pokoju mrówki. Kto wie, może jedna z nich to Antman?

Na łóżku pojawiła się zielona pościel w piłki futbolowe. Rozprostowuję ją starannie, tak by zniknęły wszystkie fałdy. Na poduszce biją się transformersy. Obok kładę pluszaka kupionego na pchlim targu, ni pies to, ni niedźwiadek – ma za to kubraczek z włóczki i oczy z dwóch różnych guzików. Zapalam lampkę, przeciwnika złych snów. Przy łóżku stawiam szklanekę wody niegazowanej. Dzieci lubią tylko taką, nie mogą zrozumieć dlaczego.

Pogasły światła, norkę otula znajomy szum: kroki na korytarzu, bulgot rur, daleki hip-hop i pijackie krzyki. Za oknem mruczą ciężarówki. Kładę się na podłodze, z butami pod głową, w spodniach i bluzie, pod prześcieradłem. Wstaję, bo zapomniałem o najważniejszym. Z torby po zakupach wyciągam płyn do zapalniczek. Czarną puszkę przecina błyskawica. Chowam ją do szafy, wyjmuję i stawiam na biurku. Chcę, aby była na widoku. Chcę o niej pamiętać.

Ściany zaciskają się na mojej głowie, słyszę ich pomruk i łomot krwi w skroniach. Siadam, przeklinam siebie i szarpie się za brzuch. Rozskubałbym się aż do mięsa. Pracuję z książkami i nie mam żadnej, którą mógłbym poczytać. Przytuliłbym ciebie. Przytuliłbym się do Julki, bo znam ją najlepiej na świecie. Pragnę ciała, w którym nie znajdę nic obcego.

Ściany zmiżdżą mi czaszkę, myśli zamyślą na śmierć. Zmieniam mokrą bluzę i wbijam nogi w buty. Jeszcze kurtka. Miałem kurtkę? Na dworze światła i chłód; lęk i odraza w Berlinie.

Idę przed siebie, pchany przez zimny wiatr i kulę światła w żołądku. Chcę się zmęczyć.

Zduszę kulę, zgaszę wiatr, dowlokę się do domu i zasnę. Przyjmie mnie brama, trawnik i chodnik. Przecież tutaj ludzie śpią pokotem, pod podświetloną reklamą nowego iPhone'a, zakutani w śpiwory, otoczeni przez białe jednorazowe kubki i wypchane plecaki.

Jest jasno i głośno. Na ściany kamienic wspinają się wściekle żółte osy, błyskawice i płomienie. Rozpierzchają się okna – wszystko za sprawą rzutników rozmieszczonych między zaparkowanymi samochodami. Przechodnie zadzierają głowy, choć chyba nudzą ich te wspaniałości. Węże kolejki miejskiej suną pod jasnym wieżowcem. Tłusty balon z napisem DIE WELT wciąż unosi się nad miastem. Zapomniałem o nim, a ktoś zapomniał ściągnąć go na ziemię.

Na ulicy rozstawiono krzesła, a ludzie o spoconych nosach jedzą zwróceniem twarzami do muru, pod wielką figurą Wisznu czy innego Sziwy. Mijam ich. Ulica nie chce się skończyć. Wciąż te krzesła, blaty, restauracje z potrawami, których nie umiem nazwać. Zjadłbym coś, poczuł ciężar w żołądku, tylko nie umiem przystanąć. ALLE COCKTAILS 3,5 EURO, zachęca napis na koziołku. Szyldy zlewają się z lampionami.

Jak długo tak idę? Czemu jeszcze nie ogarnęło mnie zmęczenie? Znajdę drogę do domu? Te pytania wybrzmiewają łagodnie, nie budząc niepokoju. Zagłusza je muzyka dochodząca zewsząd. Dosłownie wszyscy tutaj grają, jakby rozpaczliwie odpędzali wielką ciemność. Brzmi łoskot klubów. Mijam ulicznego gitarzystę z niewielkim piecykiem; zapewne wyobraża sobie siebie naprzeciw zapełnionego stadionu. Tylko ja mu klaszczę. Dwóch innych grajków wycina skoczny numer na banjo i małej perkusji: tylko werbel, stopa i dwa obite talerze. Tańczy przy nich kilkudziesięciu ludzi. Wokół skrzyпка, otoczonego przez lampy olejne, rozsiedli się jacyś znajomi. Palą jointy, popijają piwo, a on zatracą się w grze, jakby mógł dotknąć tych dźwięków. Dalej, przy zejściu do metra, łysy menel w białej żonobijce wali w karton otwartymi dłońmi. Monety drżą w kapeluszu obok.

Siadam na stacji pod zielonym stalowym wspornikiem. Stacje w Warszawie wyglądały ładniej. Ruchomymi schodami suną rozbawieni młodzi w tych swoich wąskich spodniach, z falami opadającymi na czoła, tatuażami na dłoniach, kolorowymi nerkami przytroczonymi do ćwiekowanych pasów. Przeskakują przez ławki. Wdmuchują parę z e-papierosów, puszczają muzykę z telefonów. Pary się tulą, a ja jestem niewidzialny. Siedzę, a jakby mnie nie było. Na stację wjeżdża żółty pociąg i całe to towarzystwo wbija się do wagonu. Przypominam sobie o innej podróży pociągiem. Muszę odzyskać moje pieniądze. Pojadę na Südende, ale jeszcze nie dziś.

Motocykliści pędzą przez mokry parking. Między samochodami zaparkowała dorożka, z której wyprzęgnięto konie, a każdy kawałek muru jest pobazgrany. Widzę twarze lotników, hrabiów i królów, wysokie na trzy metry słonie, Monę Lisę i Brezniewa całującego się z Honeckerem. Boję się, że zawędrowałem w pobliże naszego hostelu, napatoczy się Turek i jednak postanowi spuścić mi łomot.

W półmroku pod długimi arkadami błyskają światełka skejterów, a mnie ogarnia złość na Klarę i Sophie. Podały mi rękę, bo nie miały nic lepszego do roboty. Odplaciłem wysiłkiem i sercem. Sprzątałem. Urobiłem się w ogrodzie, dymałem po zakupy, aż wreszcie, przebrany za babę, wylądowałem w środku obcego miasta. Piękna wdzięczność. Zabrały moje pieniądze. Zapewne o nie cały czas chodziło. Klara, bez grosza przy chudej dupie, sprawdziła mi plecak. Dziwka. Szmata. Oby zdechła. Cały czas chodziło jej o hajs, ale życie się na niej zemści, już raz się zemściło, więc ma wprawę, to zasrane życie.

Wydrę, co moje, z tej suchej gardzieli. Powiem, co myślę, i pójdę precz. Będę oszczędzał,

więc starczy na długo. Znajdę pracę. Wynajmę kąt. Kupię nowe łóżko i pościel, w której wreszcie zasną. Nie sypiam przez nie, przez dwie tępe kurwy. Nie mam pieniędzy, więc drzę o jutro.

Ulica otwiera się na niewielki plac, gdzie sprzedają wursty, a pijacy biją pięściami w siłomierz. Z automatu ze zdjęciami wytacza się rozbawiona para. Przekazują sobie cienki pasek fotografii. Nie mam ochoty na wursta, siłomierz połamie mi palce, zrobiłbym sobie zdjęcie. Chcę wiedzieć, jak wyglądam tej straszliwej nocy. Zachowam je i będę na nie patrzył w nowym, lepszym życiu – dzięki temu zapamiętam, w jakiej żyłem nędzy. Przetrzęsłam kieszenie w poszukiwaniu drobnych, a zza zakrętu wytacza się samochód. Srebrna toyota.

Strach podpala głowę, rozgrzewa kolana, miażdży wnętrzności. Wróciły kula i wiatr. Znalazł mnie. Przyjechał aż z Warszawy. Rzucam się do ucieczki. Roztrącam imprezowiczów i gnam odprowadzany przez ich krzyki. Skręcam w pierwszą lepszą przecnicę, liczę, że uszedłem, zerkam przez ramię – oślepiają mnie światła toyoty.

Skoro mnie tu znalazł, ucieczka straciła sens. Mimo to wyciągam nogi, rozchlapuję wodę w kałużach. Obalam chłopaka na desce, przeskakuję psią smycz, potykam się o rower, uderzam barkiem w słup i dalej gnam przed siebie. Migają mi drzewa, szyldy, graffiti. Światła zmieniają się w smugi, balon na niebie drży. Wiatr jest wrzący, kula w brzuchu rośnie, podobnie jak mój cień, powiększany przez światła srebrnej toyoty.

Szukam miejsca, które pozwoli mi umknąć: płotu albo muru, który mógłbym przeskoczyć. Wszystko wysokie. Toyota wciąż podąża za mną. Nie zwalnia i nie przyspiesza. Kierowca mógłby zajechać mi drogę, ale chce mnie zmęczyć. Czerpie siłę ze strachu i upokorzenia. Dałem się przestraszyć, dam i upokorzyć.

Docieram do dwupiętrowej kamienicy o wąskich, smutnych oknach. Chwytam za piorunochron, próbuję się wspiąć, jak parkourowcy, ale daleko mi do ich sprawności. Wnętrza dłoni pieką, w udzie coś pali – spadam na plecy, prosto w kałużę. Obracam się na brzuch, próbuję wstać, tyłek znów ląduje w wodzie. Unoszę dłoń dokładnie w chwili, gdy kierowca toyoty gasi światła. Otwiera drzwi.

Nie znam się na samochodach, ale ten ma czarną karoserię i gwiazdę na przedzie, nie jest więc żadną srebrną toyotą. Kierowca pochyla się nade mną i mówi coś po niemiecku. Przypuszczalnie chce wiedzieć, czy wszystko ze mną w porządku. Chce mnie nawet podnieść, tylko ja sobie tego nie życzę. Napędził mi stracha. Niech jedzie w swoją stronę. Niech spierdala, ale już.

Na parafię wracam o świcie, nie mogłem znaleźć drogi. Trzęsę się z zimna. Zesztywniałe spodnie obtarły mi uda. Przeklinam siebie, troskliwego gnoja z merca i sen, który z pewnością nie zechce przyjść. Pojawia się ktoś inny. Ksiądz Robert wychodzi z plebanii, odziany w szarą bluzę z kapturem i krótkie spodenki. Poprawia słuchawki, spluwa i zaczyna się rozgrzewać. Podchodzę do niego. Potrzebuję pocieszenia.

Stoję tak blisko, że słyszę rytmiczny łoskot w księżowskich słuchawkach, lecz Robert wyraźnie ma mnie za nic. Wykonuje krążenia tułowia i rozprostowuje nogi. Mówię do niego. Trąciłbym go, tylko brakuje mi odwagi. Robert opiera stopę o mur, na wysokości swojej głowy, i chwyta się za kostkę. Wraca do pionu, zdiera słuchawki i pyta, czego potrzebuję.

Mówię szybciej, niż myślę. Opowiadam o tym, że wędruję po nocy, bo nie mogę zasnąć i niedługo umrę. Ludzie umierają z bezsenności. Nie mogę już tego wytrzymać, dodaję, a ksiądz

Robert stoi jak posąg, z białymi słuchawkami w dłoni. Ostrzegam, że coś mi się stanie, coś bardzo złego. Próbowałem uciec od złych rzeczy, które zrobiłem, ale one podążają za mną. Płaczę. Tak bardzo się boję i nie wiem, co mam robić.

Książd Robert zarzuca słuchawki na byczy kark i pyta, jak biblioteka. Jak on tak może? Przecież stoję przed nim zmiażdżony po kolejnej nocy bez snu. Dukam bezładną odpowiedź, że biblioteka dobrze, za to ja nie najlepiej – potrzebuję pomocy. Robert bynajmniej tak nie uważa. Doradza mi pracę i pokorę ducha. Nikogo nie obchodzi, jak się czuję, gdyż każdy samotnie zmagą się z własnym nieszczęściem. Bóg każdemu nakłada krzyż na jego własną miarę. Robert pyta, jak często się modłę.

Rzuciłbym się na niego, tylko jest zbyt wielki. Pociągam nosem i bąkam, że Chrystus miał litość dla każdego i wszystkim niósł pocieszenie. Robert kiwa głową, jakby się ze mną zgadzał, i przypomina, że Zbawiciel nie mazał się, gdy ubiczowany, w cierniowej koronie, niósł krzyż na Golgotę. Wskazuje pusty parking parafialny i cichą ulicę dalej. Pyta, czy widzę gdzie tutaj Chrystusa. Wciska sobie słuchawki w uszy i zaczyna biec.

Sojusznik rozum przypomina, że wyzwanie to nie garb, lecz góra do zdobycia. Nim na nią wejde, życie mi się skończy – w tym znajduję pocieszenie. Nie znam niemieckiego. Porządkuję niemiecką bibliotekę.

Przywołuję dawnego, martwego siebie i radość, którą czuł ten nieżywy Janek za każdym razem, gdy uskładał na książkę i przynosił ją do domu. Pamiętam początek lat dziewięćdziesiątych i amerykańskie powieści sprzedawane na chodnikach z łózek polowych. Nie znałem tych pisarzy. Zachwyty budziły kolorowe okładki z rycerzami, potworami i policjantami uwikłanymi w strzelaniny. Piję przestygłą kawę i wyobrażam sobie tutaj któregoś z nielicznych parafian, jak szuka czegoś do poczytania, podobny do starego hobbita przytłoczonego przepychem Rivendell. Już wiem, co robić.

Większość nazwisk nic mi nie mówi, nie rozumiem tytułów, nie przeczytam ani pół streszczenia. Od dzisiaj książkę oceniam po okładce.

Każdy regał zyskuje swoją nazwę, dziele księgozbiór wedle wag. Piórkowa to romanse i kolorowa sensacja z lat dziewięćdziesiątych. Kogucia skupia kryminały i tak dalej, aż do superciężkiej, gdzie czeka Flaubert, Stendhal, ci od Nobla i Bookera. Książki na każdym regale dziele tematycznie. W słowniku szukam takich słów jak „romans” i „horror”, tylko z literaturą piękną mam problem. Napisy nanoszę czarnym mazakiem, kartki na regałach mocuję taśmą.

Każdą książkę odkurzam, przecieram mokrą szmatką, sprawdzam, czy nie brakuje stron, i odkładam na właściwe miejsce. Tę pracę trudno przyspieszyć bądź opóźnić, zachodzę tu codziennie i siedzę, jak długo tylko mogę. Rwie kark, papier kaleczy dłonie, lecz ani myślę odpuścić.

Znajduję strzępy cudzych żyć, których nigdy nie zrozumie, parafialny księgozbiór to śmietnik serc. Czytelnicy dokładają rozdziały bez słów. Spomiędzy kartek wypadają listy, kreślone przeważnie przez kobiety. Litery przypominają bałwanki. Obok podpisu widnieją odcisnięte usta. Natrafiam na walentynki i paragony, a zasuszone koniczyny sąsiadują ze sprasowanymi owadami. Jest też lateksowa rękawiczka, nieważna karta kredytowa, kluczyk, wizytówki, banknot pięcioeurowy i całe sto dolarów, niestety z *Monopoly*.

Tropiąc te tajemnice, zmazuję samotność, znajduję wewnętrzną energię i gdy praca na dziś

jest skończona, mogę przysiąc, że zajęła kwadrans. Książki zapełniają półki ułożone podług ciężaru gatunkowego i tematu, w kolejności alfabetycznej. Podłoga jest zamieciona, ślady po kubku zniknęły z parapetu. Przez moment wierzę, że wszystko będzie dobrze. Optymizm zaraz się ulatnia, bo przecież nazbyt pospieszyłem się z pracą. Robert mnie wyrzuci. Tułaczka zacznie się na nowo.

Czy muszę uciekać? Czarny telefon zaprzecza temu swoją milczącą obecnością, a słuchawka jest przyjemna w dotyku. Dziś nikt nie zna numerów telefonów, nawet do mamy albo żony. Odkładam słuchawkę, wybiegam z biblioteki – te dwa numery wciąż pamiętam.

Pamiętam też dwie kobiety, które zrobiły mi numer, i cały wieczór szykuję się do ponownego spotkania. Zakładam bluzę Wu-Tang Clanu i naciągam kaptur na głowę. Z kuchni parafialnej podprowadziłem parę gumowych rękawiczek. Nóż pozostał w szufladzie. Nie łaknę zemsty. Chcę być dobrym człowiekiem. Zabiorę, co moje, i wrócę.

Na mapie umieszczonej na stacji metra nie mogę wypatrzeć Südende. Miasto jest zbyt duże, a linie kolejki zlewają się ze sobą. Patrzę w schemat jak w arabeskę. Do Südende przyjechałem raz, przywleczony przez Sophie. A wyruszyliśmy z Kreuzbergu.

Przed znajomym hostelem znów ogarnia mnie lęk. Czuję się jak garbus zagrożony ukamienowaniem. Zachodzę od strony Lidla, gdzie dzieci gramolą się na wózki. Ich matki mają grzywki przysłaniające oczy, obszerne kurtki i buty o ostrych czubach. Czerwone drzwi hostelu otwierają się z hukiem. Wypada z nich torba podróżna, a za nią walizka, której zawartość wysypuje się na chodnik. Głowy dzieci, ich matek i młodych palących obracają się w tym kierunku. Do walizki dociera mój Turek, wyprowadzony przez obsługę. Róg koszuli wystaje mu ze spodni. Turek próbuje coś tłumaczyć, pomagając sobie dłońmi, ale tamci są nieubłagani. Musi jeszcze wyskoczyć z zawartości portfela. Zostaje sam. Garbi się, by spakować walizkę, a na jego plecach można by ustawić szklankę pełną wody. Czyści sobie buty. Poprawia koszulę, dociska okulary kciukiem, czesze się, spoglądając w smartfona, podnosi bagaże i idzie przed siebie, w obojętnym kierunku, dokładnie jak ja parę tygodni wcześniej.

Próbuję powtórzyć drogę, którą przemierzyłem z Sophie, i wypatruję śladów. Jest szklarnia i most między chaszczami. Zjeżdżalnia na placu zabaw wciąż wystawia brudny język. Plakaty Berliner Weisse zerwano, za to wiem, że niedługo wystąpi Disillusion. A może już zagrali? Siadam na peronie, gdzie po raz pierwszy pocałowałem Sophie. Przez moment wydaje mi się, że bardzo ją kocham. Gniew powraca, gdy tylko sadowię się w pociągu. Pytam pasażerów, gdzie powinienem wysiąść. Kaptur naciągnąłem sobie na nos i wbijam wzrok w wielki, ruchomy znak Mercedesa.

Chłód nocy dodaje sił. Czuję się jak John Wick albo generał Maximus. Rozpoznaję czystą ulicę, przyszyżone drzewa i samochody jak z salonu. Farba pokrywa znajomy mur, w domu nie pali się ani jedno światło. Tu moja pomysłowość się kończy. Zachodzę od strony ogrodu w nadziei, że mur będzie tam niższy i zdołam go przeskoczyć. Nic z tego. Rozglądam się za czymś, na co mógłbym się wspiąć, i jestem gotów przytachać kubeł śmieci. Niepotrzebnie – przecież wystarczy, że uchylę bramę.

Z wybujających krzaków zwisają papierowe, przemokłe ptaki i resztki lampionów. Zapewne kobiety wyjechały niedługo po mnie. Wzięły moje pieniądze i zaczęły nowe życie. Może jednak nie? Może mój plecak wciąż tam leży? Drzwi ustępują. Włączam światło i natychmiast gaszę, bo

jeszcze je dostrzegą wszechobecni policjanci.

Pachnie papierosami i zepsutym jedzeniem. Podłoga magicznego pokoju Klary pokryta jest woskiem. Brudne garnki i talerze piętczą się w zlewie, na płycie grzewczej, na wyspie. Staram się nie nadebrać na odłamki szkła. Puste butelki w kuchni i salonie nasuwają skojarzenia z armią w bezładnym odwrocie. Plakaty w popękanych ramach leżą pod ścianą. Lustro toaletki jest stłuczone.

Jeśli plecak ocalał, znajdę go w jamie z pamiątkami. Tam półmrok. Ogromny łabędź po staremu rozpościera skrzydła, wszędzie walają się listy. Część kaset wideo jest potraskana, podobnie jak manekin w kostiumie księżniczki. Kucam, wpełzam w ten bajzel i oto jest. Nie wierzę we własne szczęście – siedzę i ściskam drogocenną cegielkę wydobyłą z plecaka. Powinienem pójść, tylko nie mogę oderwać wzroku od banknotów. Los czasem uśmiecha się do najmniejszych.

Z głębi pomieszczenia dochodzi szmer, za szmerem łoskot. Na czworakach, w podartej sukience, sunie ku mnie Klara.

Cofnąłbym się, tylko nie potrafię. Klara dotyka mojej twarzy jak ślepiec. Ma połamane paznokcie. Wychudła. Przez żółte policzki biegną bruzdy. Pyta, czy mam coś do jedzenia. A do picia? Odpowiadam, że mogę sprawdzić w lodówce. Klara macha ręką. Prosi, abym został. Zauważa, że długo mnie nie było – dwa dni, jeśli nie lepiej. Poszedłem sobie czy po prostu siedziałem w innej części domu? Dom jest tak wielki, że dwoje ludzi może się w nim zgubić. Przyciskam pieniądze do piersi. Nie wiem, co odpowiedzieć.

Kłopotuje mnie półnagość Klary: nieładne, obwisłe piersi wypadły poza dekolt. Okrywam ją pierwszą lepszą szmatą. Klara drży i nagle, w napadzie dobrego humoru, nasadza sobie kapelusz na głowę, zrywa się i prosi, bym poszedł z nią do kuchni. Nalegam, żeby zaczekała. Niech włoży buty, przecież wszędzie szkło.

Klara prosi, bym usiadł, zapala cienkiego papierosa i patrzy w moją stronę, jakby usiłowała sobie przypomnieć, kim jestem i co tutaj robię. Strąca popiół na podłogę i pyta, czy widziałem gdzieś Sophie. Odpowiadam, że nie. Czuję się głupio z tymi banknotami przyciśniętymi do piersi. Nie wiem, co z nimi zrobić. Klara poprawia kapelusz, mówi melodyjnym głosem:

– Myślałam, że siedzicie tutaj razem, bo razem wyszliście, że chowacie się przede mną w ciemności. Dla hecy albo dlatego, że jesteście na mnie źli. W takim razie gdzie jest Sophie? Dokąd poszła? Wiesz może? Przecież ona sobie nie poradzi tam, na zewnątrz. Sophie mnie potrzebuje. Potrzebujemy siebie nawzajem. Wróci tutaj, prawda? Powiedz, że wróci, nawet jeśli tak nie myślisz.

Oczywiście, Sophie niedługo będzie w domu. Klara dziękuje za te słowa, przykładą dłoń do ust, przeprasza. Co z niej za gospodyni! Przecież z pewnością jestem głodny. Protesty zdają się na nic. Z otwartej lodówki bije woń zepsutego mięsa. Klara wyjmuję jajka, ser, wyschnięty pęczek pietruszki i nadgniłą cebulę. Strąca naczynia z blatu, zanurza ręce w zlewie, wydobywa nóż i deseczkę. Kroi warzywa, przypomina sobie, że ma jeszcze czosnek. Czy lubię czosnek? Płucze patelnię, nożem do masła zdrapuje resztki jedzenia z płyty grzewczej. Wbija jajka, dodaje resztę, miesza, nie wyjmując papierosa z ust. Ser kruszy w palcach jednej dłoni.

Przedemną paruje talerz z ciemnożółtą masą, w której ciągną się nici roztopionego sera oblepione ciemnymi włóknami pietruszki. Widelec nagle robi się ciężki. Zastanawiam się, co mam teraz zrobić, a Klara płucze wielki garnek i zaczyna zbierać butelki po winie. Znosi ich około dziesięciu. Wkłada do garnka, szybkami w dół. Czekamy oboje, ja nad stygnącą jajecznicą, ona wpatrzona w garnek. Przelewa zawartość do kieliszka, a jej mina pozwala sądzić, że na dnie

zostało przynajmniej drugie tyle.

– Och, ty nie jesz. Nie smakuje ci? Nic nie szkodzi. Niczym się nie przejmuj. Ja to rozumiem.

Klara pije małymi łykami. Orientuję się, że przestała mówić w trzeciej osobie. Jej towarzystwo, jej żalność są trudne do zniesienia. Już rozumiem, dlaczego ludzie odwracają się od cierpiących. Muszę iść. Wstaję, dziękuję. Klara kładzie brudną dłoń na moim nadgarstku.

– Złe rzeczy, które wyrządzamy, zawsze zaczynają się niewinnie, a od konsekwencji nigdy nie zdołasz uciec. – W jej głosie nie ma śladu po dotychczasowej przymilności. – Zło jest potężniejsze, bo niszczy wszystko, i nie ma takiego dobra, które posłużyłoby za zadośćuczynienie. Wydrapałabym sobie oczy, gdyby to przyniosło mi ulgę. Ale nie przyniesie. Cierpiałabym tak samo i jeszcze byłabym ślepa. Nie ma ratunku. Nie można nigdzie uciec, bo dokądkolwiek pójdziesz, zabierzesz ze sobą siebie i swoje nieszczęśliwe serce. A teraz zmykaj. Pilnuj swoich pieniędzy. Jeśli spotkasz Sophie, powiedz, żeby wróciła.

Idziemy korytarzem, Klara uwieszona na moim ramieniu. Znów drży. Przed wejściem całuje mnie w oba policzki, szepcze jedno zdanie po niemiecku i odpycha. Przy bramie patrzę za siebie. Klara wciąż stoi na progu – czarny, drobny kształt. Jej ostatnie słowa dźwięczą mi w uszach: *Geh mit Gott, mein Sohn.*

Kryjówka pod materacem wydaje się nazbyt oczywista, więc swoją małą fortunę chowam do pudełka z układanką. To bitwa z Uruk-hai, ta, w której zginął Boromir. Składa się z tysiąca elementów. Pudełko owijam w czerwony papier i kładę na szafie tytułem ostrożności. Mam wyrzuty sumienia, bo nigdy nie lubiłeś układanek. Jak wszystkie poprzednie, tę także kupiłem dla siebie.

Jutro wielki dzień, po którym wyruszę w drogę – nie wiem jeszcze dokąd. Znajdę normalną pracę, wynajmę zwykłe mieszkanie. Może być małe i daleko. Wystarczy pokój z łóżkiem, w którym wreszcie zasnę.

Nocleg od Roberta przestał być potrzebny. Nie życzę sobie jego niedorzecznej uprzejmości. Niemniej naprawdę mi pomógł i chcę, aby zachował o mnie dobre zdanie. Wypada skończyć robotę, choć tej w bibliotece zostało niewiele.

Książki stoją poukładane na półkach. Sprawdzam, przekładam kilka tytułów. Potargane, niekompletne egzemplarze wynoszę na śmietnik. Przecieram parapety, zamiatam podłogę, jeśli znajdę wiadro – wyszoruję okna. W głowie dźwięczą mi słowa Klary.

Na blacie ze sklejki wciąż stoi telefon. Czeka, woła, kusi. Uświadamiam sobie, że Klara nie jest jedyną kobietą, która na kogoś czeka. Powinienem powiedzieć, że u mnie wszystko w porządku i że bardzo żałuję. Powinienem powiedzieć, że nigdy nie wrócę, bo nie zdołam spojrzeć w twarz mamie ani Julce. Mam mnóstwo innych rzeczy do powiedzenia. Powiem i się rozłączę. Nie będę słuchał. Boję się, że umrę.

Sięgam po słuchawkę. Wyobrażam sobie Julkę, samą w naszym mieszkaniu, jak ogląda serial albo odgrzewa sobie jedzenie. Ze wszystkich ludzi na świecie ona najmniej zasługiwała na krzywdę. Wybieram numer. Jest sygnał. Mam nadzieję, że nie odbierze.

Julka odbiera po czwartym sygnale. Powtarza swoje „halo” smutnym głosem, a ja nie potrafię nic powiedzieć. Słyszę jej głos, własny oddech, łomot serca. Julka przełyka ślinę, pyta:

– Janek, czy to ty?

Przerażony odkładam słuchawkę.

Nad wejściem rozpościera się biały szyld, a w środku pachnie kawą, ciastem, wanilią i piernikiem. Wątpię w prawdziwość tej woni, teraz rozpylają takie, fabryczne, by wabić klientów, zresztą ciastka pod szklaną ladą mdlą sztucznością barw. To kolor żelków i emenemsów, wielkich wrogów ciastkarzy. Tu właśnie oddano im pola.

Mój tort jest zachwycający, choć malutki, biało-zielony, z lukrowaną murawą i figurkami zawodników. Na początku chciałem piłkę naturalnych rozmiarów, lecz cukiernik wyjaśnił mi na migi, że w kulę trudno wbija się świeczki. Teraz przyjmuje ode mnie wymięte banknoty z wyraźną niechęcią, jakby złościło go, że płacę brudnymi papierkami za tak wspianiały wypiek.

Nie mam pojęcia, jak donieść taki tort, by się nie rozpadł. Trzymam go przed sobą, w obu dłoniach, jak paczkę, w której tyka bomba.

Dostarczyciel pizzy ma wytatuowane łydki, szorty i kajdan gruby jak nadgarstek. Nim zapłacę, sprawdzam, czy pizza jest dokładnie taka, jaką zamówiłem, z serem wtopionym w brzegi. Daję dziesięć euro, po namyśle dorzucam jeszcze dwa – niech urodzinowy nastrój udzieli się i jemu.

Dziś piętnasty maja. Płoną świeczki na torcie, pogasły inne światła, za zasuniętymi zasłonami wciąż przewala się dzień. Pizzę w kartonie kładę na podłodze, bo blat niewielkiego stolika, prócz tortu, zapełnia miska z łakociami, torebka chipsów i lody waniliowe.

Vader, klockowy skuter śnieżny, łuk z tarczą i inne drobiazgi leżą na łóżku, opakowane w kolorowy papier. Pod sufitem ciągną się serpentyny i barwny napis na pospinyanych kartkach: WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO.

Brakuje muzyki. Komórka została w tamtym życiu, radia nadają wyłącznie piosenki imprezowe i pogaduchy po niemiecku, a magnetofon z kompaktem był za drogi, jeszcze nie oszalałem, więc śpiewam sam, najpierw *Sto lat* i *Happy Birthday*, potem te wszystkie durne, ukochane piosenki, których ma dosyć każdy rodzic. Ujeżdżam niewidzialnego konia do *Gangnam Style*, udaję, że gram w piłkę, rycząc *We Will Rock You*, i markuję wyważanie drzwi, rapując, że z buta wjeżdżam, jednak bez brzydkich słów. Głos mi się łamie, siadam na krześle z twarzą w dłoniach.

Przecież to urodziny, a jeśli urodziny, to życzenia i zdmuchnięcie świeczek. Krztuszę się wciąganiem powietrzem. Płomyki tylko drżą. Ślinię palce i gaszę każdą po kolei. Życzę ci samych słonecznych dni. Żebyś był lubiany, żeby marzenia ci się spełniały, żeby twoje życie było wolne od trosk. Żebyś strzelał te swoje gole i budował w *Minecraftie* zamki dla potworów, żebyś zawsze miał przy sobie kogoś, kto odpowie na tysięczne „a gdyby”. Żebyś wreszcie nauczył się pływać kraulem, żebyś kopał jak Lewy i bronił jak Fabian, żebyś był nieśmiertelny i uskładał na iPhone’a, pst!, już mogę kroić. Poparzyłem sobie palce.

Jedna porcja na jednym talerzu. Nabieram pełne łyżki. Tort lepiej wygląda, niż smakuje, należało wybrać ciastka, lecz nie wybrałem ciastek, mam jedynie tort. Zeskrobuje resztki z talerza, ukrawam następną porcję, zjadam i nakładam kolejną. Cukier rozpala zęby, masa słodka jak syrop klinuje się w przełyku i zalega w żołądku. Im szybciej zjem, tym szybciej tortu nie będzie. Odrzucam nożyk i łyżeczkę. Miażdżę ocalałą połowę boiska, gruchoczę głowy piłkarzyków, korpusiki wpycham sobie do ust tak, że nogi z nich wystają. Ryczę przez tę słodką masę. Jestem monsterem z *Cloverfield*, jestem Godzillą i bestią w podziemiach Jabby, mój młody padawanie!

To musi zniknąć. Pora zasnąć, każdy dzień dobiega końca, nawet jeśli są to urodziny.

Strząsam resztki tortu na podłogę. Napycham sobie usta słodyczami i chipsami, zlizuję lody z palców, lepiącymi się dłońmi chwytam prezenty i wybiegam na podwórko. Muszę zrobić kilka kursów, ale to nie szkodzi, nie jestem zmęczony.

Usypuję stos z nierozpakowanych zabawek, papierów, opakowań po słodyczach i plakatu ze Spider-Manem. Przypomina mi się Klara i jej zapalniczka, i już wiem, o czym nie pomyślałem. Wracam na górę. Sprawdzam w kuchni i piwnicy, gdzie łoskocze pralka.

Podwórko jest małe i zagracone, otoczone przez ceglane ściany bez okien. Zraszacze sterczą z niewielkiego zieleńca, kwiaty rosnące w betonowych donicach przypominają ciastka, które widziałem w cukierni, a ja mogę strzelać z palców, aż pękną świeże bąble, ognia nie wykrzeszę. Zostawiam swój stos. Poproszę kogoś o zapaliki. Kupię zapalniczkę.

Na ulicy nie ma kogo prosić, wszyscy mają słuchawki na uszach. Ruszam w kierunku budynku parafialnego, wydrążony, zaciskam pięści, aż bolą: sto lat, sto lat, niech żyje, żyje nam!

Długo się zastanawiałem, w jaki sposób powiedzieć mamie o ciąży Julki. Bałem się gniewu i pretensji. W mojej sytuacji ten dodatkowy ciężar wydawał się nie do zniesienia, przytłaczała nawet jego perspektywa.

Postanowiłem podzielić się nieszczęsną nowiną wieczorem, tak by rozmowa nie trwała zbyt długo. Mama chyba coś przeczuwała, bo przez całe popołudnie zagadywała, czy dobrze się czuję, czy nie narobiłem sobie kłopotów na studiach. W końcu powiedziałem, że będę miał dziecko. Natychmiast usiadła. Milczała przez chwilę, a potem zapytała, co planuję z tym zrobić.

Odparłem, że jakoś to będzie. Wynajmiemy z Julką kawalerkę na Białolece, gdzieś w tebeesach, tylko na pierwszych parę lat. Znajdę jakąś dorywczą pracę. Podkreśliłem, że kocham Julkę, i poprosiłem mamę, żeby nie była na mnie zła, bo to ostatnia rzecz, której potrzebuję.

Mama rzuciła palenie, gdy zdałem do szkoły średniej, ale trzymała paczkę czerwonych marlboro w szafce kuchennej za przyprawami. Te papierosy miały wiele lat, wyschły i stały się jeszcze mocniejsze. Zapaliła jednego i przyglądała mi się uważnie, wzrokiem innym niż kiedykolwiek wcześniej. Nawet nie zauważyła, kiedy dorosłem, powiedziała. Dodała jeszcze, że bardzo się cieszy, bo okazałem się inny niż mój ojciec. Zdziwiłem się, bo dawno o nim nie wspominała.

Zaproponowała kieliszek wina, sama zajęła się resztą butelki. Jej zdaniem miałem dobre intencje, lecz nie znałem życia. Dwoje ludzi nie wychowa dziecka bez pomocy innych, poza tym mieszkanie na jakiejś Białolece przystoi tym z Kielc albo Bydgoszczy, jej syn nie wyjedzie poza Warszawę. Wynajem to wyrzucanie pieniędzy w błoto. Dlatego zamieszkamy tutaj, przynajmniej na początku. Snuła plany do nocy, aż butelka wyschła. Przed snem mocno mnie przytuliła.

Następnego dnia powiedziałem o wszystkim Julce. Początkowo za nic nie chciała rezygnować z tej Białoleki, przekonywała, że młodzi nigdy nie powinni mieszkać z rodzicami, nawet jeśli ci rekrutowaliby się spośród aniołów, co mojej mamy z pewnością nie dotyczyło. Przekonywałem ją cierpliwie. Przecież nie mieliśmy pojęcia, jak trudne jest rodzicielstwo. I tak będziemy potrzebowali opieki dla małego, a mama ma mnóstwo czasu i nie weźmie ani grosza. Zaoszczędzone pieniądze odłożymy na wkład własny do kredytu, szast-prast i wylądujemy na swoim. Kto wie, może mama zgodzi się zostawać z dzieckiem także wieczorami? Będziemy wychodzić do kina albo do knajp. Których młodych rodziców stać na taki luksus?

Przed wizytą Julka wyprasowała bluzkę i wypastowała buty. Mama zrobiła pieczeń. Dopytywała Julkę, jak się czuje, chciała wiedzieć, co mówią lekarze, i jakich właściwie odwiedza. Skrzywiła się, słysząc o przychodni rejonowej. Po obiedzie, gdy Julka wstała, by odnieść talerze, mama wyrosła przed nią i wyznała, że chciałyby puścić w niepamięć to, co złe, i zacząć od nowa. Objęła ją i zniknęła u siebie. Nie musiałem patrzeć, by wiedzieć, że otwiera dolną szufladę komody, spod ubrań wyjmując pancerną kasetkę, a z kasetki dębową skrzyneczkę. Podsunęła ją Julce pod nos i kazała wybrać jeden pierścionek.

Umówiła wizytę w prywatnej przychodni na Chmielnej, czego nie mogłem zrozumieć, bo Julka chwaliła swoją darmową lekarkę. Mama wyjaśniła, w czym rzecz: lekarz z Chmielnej pracował także w szpitalu Świętej Rodziny, na publicznym kontrakcie. Szpital był na Madalińskiego, dwa kroki od nas, i Julka miała tam rodzić. Mama powiedziała, że jeśli wykupimy prywatne wizyty, zadbają tam o Julkę i dziecko. Powtórzyła, że nic nie wiem o życiu. Przed pierwszą wizytą ofiarowała Julce nową bluzkę i buty.

Rozmawiało nam się trudniej niż dotychczas. Zawsze gdy o coś pytałem, odpowiadała po chwili milczenia. Siadywała przy stole i patrzyła w ciemne okno, czego nie robiła nigdy wcześniej. Przystawała w drzwiach, opierając czoło o framugę, jakby bolała ją głowa. Zagadywałem o to, chciałem wiedzieć, jak się czuje, i byłem bardzo przejęty. Odpowiadała, że dobrze na tyle, na ile sytuacja pozwala, i prosiła, bym się nie martwił.

Pierwsze USG nie zrobiło na mnie wrażenia. Po wszystkim przykładam ucho do brzucha, bo wydawało mi się, że Julka tego oczekuje. Próbowałem też gadać do tego żyjątko w środku, tylko zaraz gubiłem słowa, zmęczony sztucznością sytuacji. Trudno mówić do kogoś, kto nic nie rozumie. Szukałem wózka, łóżeczka i nosidełka w okazyjnych cenach, zbierałem ubranka po rodzinie i powoli opróżniałem swój pokój, który niebawem miał pomieścić naszą trójkę.

Mama prosiła, byśmy wzięli ślub, nim brzuch stanie się widoczny. Padło na Urząd Stanu Cywilnego w Pruszkowie, gdzie dało się załatwić szybki termin. Był to biały, nieodnawiany od lat dworek, przed wejściem znajdował się nieczynny wodotrysk z kamienną postacią garbiącą się przy brzegu. Zapytałem Julki, czy to metafora losu młodego małżonka, ale jakoś nie było jej do śmiechu.

Przed samym ślubem spaliłem jej żakiet. Pojechaliśmy autobusem razem z mamą i świadkami. Julka wybrała Patrycję, ja kolegę z roku, takiego Tomka. Słabo go znałem, ale nie bardzo wiedziałem, kogo jeszcze mógłbym prosić. Julce było ciasno w żakiecie i płaszczu, więc zdjęła żakiet i poprosiła, żebym go poniósł w reklamówce. Do urzędu z dworca mieliśmy kawałek, wlokłem się, żeby oddalić spotkanie z rodzicami Julki, Tomek poczęstował mnie papierosem. Akurat gdy zza zakrętu wyłonił się ten pieprzony dworek, z siatki zaczął dobywać się dym. Żar z papierosa wpadł do środka i zrobił w rękawie dziurę wielkości pięciogroszówki.

Mama Julki – czarnowłosa i podekscytowana – uznała to za dobrą wróżbę, jej ogromny ojciec klepnął mnie w ramię i zapytał dudniącym głosem, jakim cudem zdołałem zrobić dziecko. Sam miał wiecznie zdziwione oczka małego chłopczyka, gigantyczny kałdun i posrebrzany łańcuch na włochatym karku. Moja mama wyściskała się z nimi, wyjęła z torebki podręczny zestaw przyborów do szycia i błyskawicznie zacerowała rękaw.

Ceremonia przebiegła równie błyskawicznie. Z ukrytego głośnika poleciał marsz Mendelssohna, urzędniczka w czerwonej garsonce powiedziała, że bardzo się cieszy z naszej decyzji, a ja, ujmując dłoń Julki, poczułem delikatną woń spalenizny. Patrycja stała obok w niebieskim kostiumiku. Przycięła włosy, zafarbowane na jasny blond, i bez przerwy trzepotała rzęsami. Przeszło mi przez myśl, że gdybym na początku studiów zebrał się na odwagę, stałbym

tutaj z nią, nie z Julką, i już do końca dnia myślałem tylko o tym.

Przygotowując pokój, czułem się, jakbym wraz z książkami i płytami wynosił do piwnicy przedwcześnie utraconą młodość. Ociągałem się z tym i pewnie pokój nie byłby gotowy bez Julki, która postanowiła wkroczyć do akcji.

Popołudnie zapowiadało się przyjemnie. Siedzieliśmy na podłodze, wyciągałem rzeczy z półek i opowiadałem. Znalazłem zdjęcia z czasów, gdy miałem długie włosy, pamiętnik wypełniony wpisami kolegów i koleżanek z podstawówki, gazetkę, którą redagowaliśmy na koloniach, ale listy od ojca wygrzebała samodzielnie.

Wyszedłem tylko na chwilę poprosić mamę, by zrobiła nam herbatę, i po powrocie zastałem Julkę z otwartym pudełkiem. Zapytała, czemu nigdy nie wspominałem o tacie. Był dyplomata? Handlowcem? Przecież pisał z Chin, Mongolii, Włoch i Afryki Północnej, cholera wie, skąd jeszcze – nie przejrzała przecież wszystkiego. Chciała wiedzieć, kiedy wyjechał i czy mam z nim kontakt. Wyrwałem jej te listy i wybiegłem. Tego dnia więcej nie rozmawialiśmy.

Nie wiedziałem, w co ręce włożyć, i trochę zazdrościłem Julce, która wzięła dziekanę. Ja z wielkim wysiłkiem zdałem egzaminy i zamiast złapać oddech, mordowałem się z przeprowadzką. W miejscu tapczanu stanęła rozkładana sofa z pokoju mamy, regał z książkami zamieniliśmy na łóżeczko, nad którym zawisa karuzela z misiem, świnką i czymś tam jeszcze. Nasze ubrania wylądowały w szafie w przedpokoju, jeśli nie liczyć majtek, skarpetek i podkoszulków składowanych w dolnej szufladzie komody. Pozostałe zajęły śliniaczki, pampersy i pojemnik do laktacji.

Telewizor z magnetowidem zdołałem ocalić i kiedy Julce odeszły wody, oglądałem akurat *Gothikę* z Halle Berry na pirackiej kasecie. Te wychodziły już z użytku, ludzie przrzucili się na płyty. W pierwszej chwili myślałem, że ktoś rozbił nam okno, tak chlusnęło. Julka, rozbudzona, siedziała w kałuży. Chciałem zamawiać taksówkę, ale mama powiedziała, że nie ma się co spieszyć – poród zacznie się najwcześniej nad ranem. Obejrzałem więc film do końca i czekaliśmy w ciemności.

Do szpitala mama pojechała z nami. Porozmawiała z lekarzem i salowymi, uznała, że poradzę sobie sam, po czym wróciła do domu. Julka podskakiwała na wielkiej niebieskiej piłce, zaciskając przy tym usta. Potem wbili jej zastrzyk w kręgosłup. Zagadywałem do niej, pytałem, co mogę dla niej zrobić, ale jakbym mówił do ściany. Poczułem się odrażony i niepotrzebny. Bezradność wobec cierpienia kochanej osoby jest straszna. W sali porodowej Julka krzyczała, że się pomyliła, urodzi w przyszłym tygodniu, a teraz wraca do domu. Zjawił się ten dobry doktor z Chmielnej. Włochatymi ramionami uciskał jej brzuch, a ja bałem się, że zmiażdży dziecku głowę. Synek jednak urodził się zdrowy, o dziesiątej z minutami, piętnastego maja 2004 roku. Na imię daliśmy mu Mikołaj.

Ten świat powinien spłonąć razem z ludźmi i ich pustym szczęściem. Przypominam sobie lasy ogarnięte ogniem w Kanadzie i Kuźni Raciborskiej. Kamera w mojej głowie leci w kosmos odprowadzana przez syk oceanów. Ziemia, otoczona czerwonym pióropuszem, przypomina rozgrzany węgiel.

Jest noc. Wybiegam na podwórko, dźwigając niepotrzebne rzeczy: tygrysa szablozębnego, samochód terenowy, puzzle z orkami, figurkę Vadera i inne zabawki. Robię kilka kursów i oczyszczam pokój. Wygląda, jakby nikt nigdy tu nie mieszkał.

Na środku pustego parkingu wzrósł kolorowy stos. Tam tarcza i strzały, haribo, snickersy i plakat ze Spider-Manem. Dorzucam jeszcze bluzę Wu-Tang Clanu i chlustam na wszystko płynem do zapalniczek. To, co stare, niech spłonie. Jutro będę gdzie indziej, w nieznanym, lecz lepszym miejscu. Kupię sobie nowe ubrania. Kupię sobie dom. Nigdy nie mieszkałem sam, warto spróbować.

Podpalam pudełko zapalek i rzucam na stos, który wkrótce staje w ogniu. Nagle przypomina mi się Klara w ogrodzie. Powinienem odejść, lecz trudno oderwać wzrok od płomieni. Kucam. Patrzę, jak topią się strzały, Vader i klocki. Płomienie pożerają zmięty plakat, pudełko puzzli i podkładkę na biurko z piłkarzami Bundesligi.

I nagle rozumiem swój błąd. Tam przecież są moje pieniądze! Moje oszczędności! Zapomniałem, że schowałem je w układance. Próbuje jej dosięgnąć, lecz parzy. Biegam po parkingu. Wydrapałbym sobie dziury w policzkach. Szukam czegokolwiek, co mogłoby pomóc. Parking jest prawdziwie niemiecki, czysty. Porywam wycieraczkę z parafialnego progu, ciskam na stos, próbując zdusić płomienie. Podskakuję w ogniu. Chwytam pudełko z układanką, lecz rozłazi mi się w palcach, a płonące pieniądze wzbijają się w czerniejące niebo i nikną.

Plączę. Krzyczę. Wymachuję pięściami. Kopię stopione zabawki, a gorący plastik wgryza mi się w czubek buta. Bosy, biegam wokół ogniska. Mam ochotę tam wskoczyć. Co ja zrobiłem? Jak mogłem być tak głupi?

Ktoś szarpie mnie za ramię, potrząsa. Książd Robert.

Przez moment mam pewność, że mnie uderzy – w końcu rozpałem ognisko na jego włosciach. Ale ten niedźwiedź w sutannie ma dziś łagodne oczy i miękką rękę. Siada na krawężniku i poklepuje miejsce obok siebie.

Siadam i ja. Wokoło leżą spalone banknoty. Robert sięga po jeden, mruczy:

– Myślałem o tobie. Dobrze poradziłeś sobie z biblioteką, ale to nie miejsce dla ciebie. Tu nie znajdziesz spokoju. Byłeś głupcem, że próbowałeś ten spokój kupić. Dobrze się stało, choć pewnie teraz myślisz inaczej. Znalazłem coś dla ciebie w mojej Słowenii. Jutro o tym porozmawiamy. Zapowiem cię tam, załatwię transport, pomogę z papierami. Albert cię przyjmie.

Nie wiem, kim jest pierdolony Albert, niech Robert wsadzi sobie swoją mądrość w dupę i dociśnie dobrocią. Nie mam odwagi tego powiedzieć, więc nie odrywając wzroku od płomieni, mówię tylko, że nie ma pojęcia, z kim rozmawia. Gdybym mu wyznał, co zrobiłem, zatłukłby mnie na śmierć.

Rozprostowuje ramiona, ogrzewa sobie dłonie.

– Nigdy nie myślałem, że zostanę księdzem. Ojciec jeździł do Austrii, do Włoch, jeszcze za Tity. Miał pieniądze. Dużo pieniędzy. Byłem w Stanach i Ameryce Południowej, na poranną kawę latałem do Wiednia, a na kurwy do Paryża. Pewnie wciąż tak by to wyglądało, gdyby nie mój Bośniak. Postanowiłem, że zabiję sobie jednego. – Bierze płytki oddech i ciągnie, nim zdązę się upewnić, że się nie przesłyszałem: – Mówili u nas, w Lublanie, o bardzo szczególnych wakacjach. Mogłeś pojechać do Sarajewa, zabić człowieka i wrócić, oczywiście, jeśli znałeś kogo trzeba i miałeś forszę. A Sarajewo niedaleko. – Jego głowa wydaje się sucha jak u mumii. – Nie zapytasz, jak było? No więc inaczej, niż oczekiwałem. Wyobrażałem sobie siebie ze snajperką na szczycie Holiday Inn, jak wybieram sobie cele. Patrzę przez celownik, niby w filmie, i decyduję: ten będzie żył, a ta już nie. Tymczasem zawieziono mnie do jakiegoś domu i kazano czekać. Przez trzy dni nudziłem się jak mops i coraz lepiej rozumiałem, że nie będzie żadnej snajperki i żadnego dachu. Przewieziono mnie do innego domu, a potem do jeszcze innego i w tym jeszcze innym dali mi tego człowieka.

Już wiem: od dwóch dekad obraca w głowie tę historię, wrył ją na blachę i nigdy nie zmienia kolejności słów. Słyszę nagranie z ludzkiej membrany. Wciąż siedzi sztywno z prawą dłonią między kolanami.

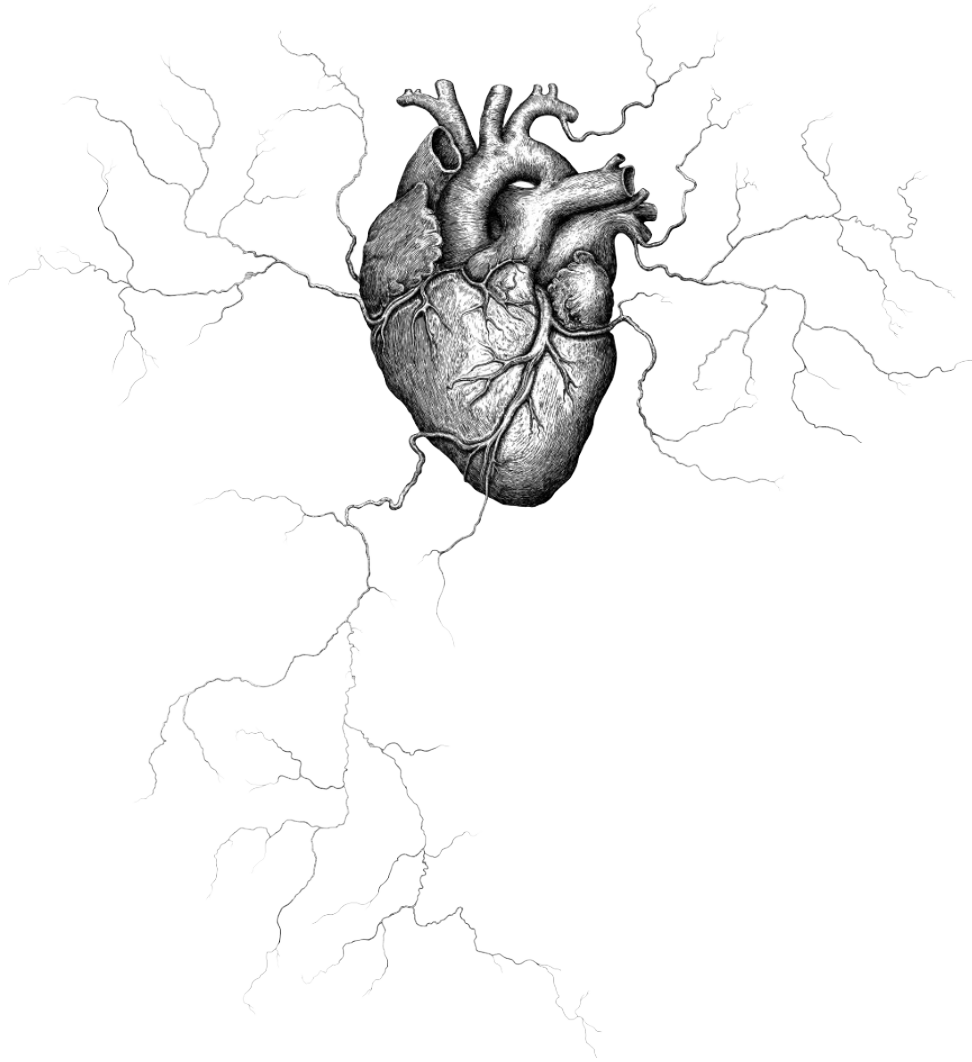
– Był nijaki. Miał okrągłą twarz i jakieś czterdzieści lat. Związali mu ręce na plecach i cisnęli na kolana. Serb dał mi pistolet, sam mierzył we mnie, bym nie zrobił niczego głupiego, a tamten na kolanach błagał mnie, żebym odstąpił. Zabiłem go. Tak, zabiłem. Byłem zdziwiony i rozczarowany. Liczyłem na więcej.

Robert podnosi się, kuca, pochylając się do przodu, boję się, że zaraz wpadnie twarzą w ogień.

– Myślę, że wiesz, co stało się potem, zresztą to żadna sztuka się domyślić. To narastało we mnie stopniowo. Zaczęło się od strasznych snów, a później śniłem też na jawie.

Zastanawiam się, czy powinienem wierzyć w tę historię. Czy gdyby Robert zabił człowieka, toby mi się z tego zwierzył? Czy właśnie wyspowałem księdza? Powiedziałbym coś, tylko każde słowo wydaje się mi nieważne jak spalona fortuna. Robert nie mówi już nic więcej. Patrzymy w ogień.

MELAINA CHOLE



Mikołaj natychmiast siada na ławce wiaty przystankowej i wyciąga tablet, tymczasem Jan nie może znaleźć sobie miejsca.

Podmuch wiosennego wiatru przewraca koziółek ustawiony u wylotu Madalińskiego, a kurier DHL zostawia furgonetkę na światłach awaryjnych i znika w drzwiach cukierni.

Uwagę Jana zwraca rudy kot, który wychynął z krzaków i kręci się w pobliżu. Jest tłusty i ma obrózkę, nie boi się ludzi ani samochodów i węszy przy śmietniku.

Trach.

Siedzę na przednim fotelu vana. Albert zamiast odpalić silnik, grzebie w schowku w poszukiwaniu zestawu słuchawkowego. Gęba mu się nie zamyka, a ja myślę tylko o tym, jakim cudem jest w stanie tak dbać o brodę w naszych skromnych warunkach. Starannie przyszczyżone, lśniące wąsy okalają usta, tworząc diabelski szpic, krótkie bokobrody biegną wzdłuż linii szczęki, by rozlać się na podgardlu w równą jasnobrazową plamę. Albert wygląda, jakby właśnie wyszedł od barbera. Wpycha słuchawkę w lewe ucho i przekręca kluczyk.

Zostawiamy za sobą białe światła i dogasające koksowniki, cichnie łopotanie plandek, oddala się szum agregatów, za to Albert ani myśli się zamknąć. Opowiada o tym, jak grał w *Total War*, epizod z Hunem Atyllą, i robiłby to nadal, gdybyśmy nie musieli wyruszyć godzinę przed świtem. Bez przerwy poprawia kaszkiet, popija kawę z papierowego kubka i wykonuje gest, jakby próbował mnie objąć. Cieszy się, bo gry są takie zajebiste, to takie wspaniałe, że na świecie mamy gry. Zastanawiam się, czy zasnął tej nocy.

Jedziemy wśród pól i uspionych domów, a samochód bez przerwy podskakuje na wybojach, co niezbyt podoba się Martinowi, który próbuje spać na tylnym siedzeniu. Pod głowę wepchnął niewielki plecak. Nie potrafi się z nim rozstać, choć nigdy nie widziałem, aby go otwierał. Właściwie trudno powiedzieć, czemu Martin z nami jeździ. Jest młody, długowłosy, wychuchany w ciepłe rodzinnej Danii. Powinien strzyc ludzi takich jak Albert. Martin chce jednak być pomocny, przynajmniej tak mówi. Moim zdaniem tym rannym wstawaniem próbuje zaimponować Eve, która zawsze śpi do oporu. Tych dwoje przyjechało ze Skandynawii, Albert to złote dziecko, biznesmen ze Szwajcarii, milioner przed czterdziestką. Bardzo u nas międzynarodowo.

Na wschodzie czerwienieje. W dole widzę korony drzew, w górze skałę szarą jak pierwszy kwadrans świtu. Zimno. Przez moment przeklinam Roberta, że mnie tu wysłał, że wypełnił wszystkie te formularze i wręczył forszę na bilet. Zaraz chcę mu dziękować. Albert pyta, czy wiem coś o roli, którą Hun Atylla odegrał na tych ziemiach, i zmienia temat bez czekania na odpowiedź. Narzeka na policjantów, źle przeszkolonych, co gorsza, nielicznych. W całym kraju jest ich jakieś pięć tysięcy, więc jak, u diabła, mają ogarnąć ten burdel? Zaraz zaczyna ich usprawiedliwiać: chcą przecież dobrze, lecz są zmęczeni i po raz pierwszy zetknęli się z taką sytuacją. Zdaniem Alberta kiedyś ludzie przybywali do Europy z bronią. Na przykład Hun. Teraz przynoszą nieszczęścia i smutek, dodaje, najwyraźniej zadowolony z tego przemyslenia.

Martin rezygnuje z prób uchwycenia drobinki snu, siada, wydając z siebie rozczulający kwik – tak przeraża go perspektywa dnia z oczami na zapalniczkach. Przyciska do piersi ten swój plecak i ja, sam nie wiem czemu, zamiast o brodzie Alberta zaczynam myśleć o tym plecaku. Na co mu on, co tam schował?

Droga opada, zza zakrętu wyłaniają się ostre dachy domów w Rijače. Albert zawsze przyspiesza na zjeździe i do miasteczka wpadamy na pełnym gazie. Rdzawe kwiaty zdają się wylewać z okien, drzwi bronią uśmiechnięte krasnale, tłusty kot pryska spod kół i siada obrażony, co przejmuje mnie grozą. Przecinamy strumień, Albert bierze zakręt i niewiele brakuje, by uderzył w złożony parasol ogrodowy. Naciska hamulec, czuję ostre szarpnięcie, Martin klnie. W oknach piekarni palą się światła.

Ernest, właściciel piekarni, wita nas, unosząc rękę, i czmycha do swoich zadań. Łysiejący, z brzuchem, przypomina Tony'ego Soprano i nie zdziwiłbym się, gdyby w młodości łamał ludziom palce. Nie wprowadza nas, bo doskonale wiemy, co robić, tak samo jak wiemy, że poczekamy kwadrans, jeśli nie dłużej. Albert musi wyjechać wcześniej, Albert musi się spieszyć.

Przechodzę przez szatnię, mijam schody do kotłowni i rozdzielnię elektryczną. Krótka noc wpycha w brzuch kulę pustej energii, znów pragnę umrzeć, wylupiłbym sobie oczy, lecz znam lekarstwo. Martin przybija piątkę z wytatuowanym szczawiem, który tu pracuje. Opieram się o smażalnik i patrzę na chleb.

Z pieca wysuwają się gorące bochny, po szesnaście w rzędzie, a stalowe ramię przenosi je czwórkami na pas transmisyjny. Maszyna łomocze, buczą wentylatory. Chleby zwalniają na zakręcie i trzęsąc się, suną w stronę drugiego pomieszczenia, gdzie zostaną zapakowane w folię i rozdzielone. Maszyna staje. Pojawia się Ernest, przepasany fartuchem. Czasem daje sto bochenków, czasem dwieście, bo różnie to wyjdzie, a my różnie potrzebujemy. Bardzo nie lubi marnowania jedzenia i chyba dlatego z nami współpracuje. Albert, zmęczony grą, gadaniną i prędką jazdą, odpuszcza sobie pakowanie. Z Martinem ładujemy bochny do kartonów i wynosimy do tylnego wejścia. Nie wiedziałem, jak ciężki bywa chleb. Kartony ładują z tyłu vana. Opieram się o maskę, strzepuję mąkę z palców.

Słońce zdążyło wzejść, Ernest wraca do swoich spraw, zaś reszta ekipy łapie chwilę oddechu. Albert zawzięcie stuka w ekran komórki. Wytatuowany szczaw wyjmuje zmalretowaną paczkę bossów, częstuje każdego, lecz korzysta tylko Martin. We dwóch idą za piekarnię, czego nie rozumiem – przecież mogliby zapalić tutaj. Może Ernest goni za papierosy? W zasadzie wygląda na takiego.

Już wracają, Martin z plecaczkiem przerzuconym przez ramię. Wytatuowany szczaw znika w piekarni, my ładujemy się do samochodu, a ja uświadamiam sobie, że najprzyjemniejsza część dnia właśnie dobiegła końca. Już mamy ruszać, gdy na podjazd wpada zadyszany Ernest. Niesie wielki karton czekolady. Albert nie wygląda na uszczęśliwionego tym podarkiem. Rozmawiają chwilę po niemiecku. Ernest chyba mówi o swoim kumplu hurtowniku, który usłyszał o nas i teraz będzie dostarczał czekoladę. O co chodzi Albertowi, tego już nie wiem. Czekolada trafia do bagażnika, Albert niechętnie odkłada telefon i włącza silnik.

Po drodze zatrzymują nas ludzie, co znów nie jest nowością. Mają surowe oblicza marines z amerykańskich filmów katastroficznych. Mężczyźni zawsze noszą marynarki, kobiety spódnice do ziemi. Mówią tylko po słoweńsku i chodzi im o to, że pragną pomóc bardziej, tylko nie mogą. Albert zatrzymuje się za każdym razem, choć nie ma na to ochoty. Przejmujemy kosze jajek i worki ziemniaków, trzy koce i oskórowanego królika, którego co najwyżej sami możemy zjeść. Na kolanach trzymam kosz z białym serem i butelkę domowego wina.

Alberta cieszy ludzka dobroć. Nigdy wcześniej nie widział czegoś takiego. Dodaje jednak, że czasem trudno zarządzać taką dobrocią, jest dzika, spontaniczna, a my potrzebujemy dobroci usystematyzowanej, takiej, którą da się opisać w Excelu. Van mknie pośród łąk. W trawie walają się puszki fasoli, opakowania zupy instant, a także dziurawe koce, paczki po fajkach, ręczniki papierowe i flagi Unii Europejskiej. Przez ten śmietnik biegnie nasz León, w sportowych legginsach i błyszczących butach. Pozdrawia nas uniesieniem dłoni i natychmiast przyspiesza, jakby zapomniał, że śmierć i tak biegnie szybciej. Dostrzegam białe namioty i siatkę zwieńczoną drutem kolczastym. Van staje, z drogi wzbija się pył, wiatr toczy w naszym kierunku zrolowane karimaty.

Dworzec to samotny peron, teraz czarny od policjantów. Mają ochraniacze na nogach, ramionach i torsie, przez które sprawiają wrażenie większych, niż są. Opuścili tarcze, z ramion zwisają im

pistolety maszynowe. Niektórzy trzymają butelki coli w przegródkach na klatce piersiowej, każdy nosi hełm i papierową maskę. Maski mają tu niemal wszyscy: żołnierze, ludzie z Czerwonego Krzyża, z UNHCR i mniejszych grup, takich jak nasza. Mam i ja. Dziennikarze zjawiają się rzadko, lecz smartfonów jest tu więcej niż w salonie Playa, co drugi nałogowo kręci. Jestem jak film przed premierą, jak gra w beta-testach. Nie mogę wyciec do internetu.

Na peron wtacza się pociąg. To stary długi skład, jakie wycofano w Polsce parę lat po wejściu do Unii, pomalowany na szaro i białe, z czerwonym pasem biegnącym przez środek. Z każdego okna macha przynajmniej pięć ciemnych dłoni. Osoby są zmęczone, lecz cały czas się śmieją. Próbują pokazać, jakie to są przyjaźnie nastawione. Niedługo przestaną się uśmiechać.

Pociąg staje, lecz nie otwiera drzwi. Od strony obozu podjeżdża kilka białych autobusów i trzy samochody policyjne, których mamy tu już od cholery. Policjanci jakby stężeli, zapada chwila ciszy, długa i nieznośna. Ciemne twarze w pociągu poważnieją. Rozbrzmiewają pojedyncze słowa, dukane angielszczyzną barbarzyńców. Podróżni chcą wiedzieć, gdzie są. Czy to już Austria? A może Niemcy? Czemu nie można wyjść?

Osoby zlewają się ze sobą, wszyscy mają brody, brud zmazuje wiek. Rozróżniam ich po czapkach, kurtkach, bluzach i szalikach. Paru zaraz próbuje się zaprzyjaźnić. Wychylają się z okien, pragną mnie dosięgnąć.

– *My friend! My friend!*

Najpierw wyprowadzamy chorych, ja i Felipa. Felipa przyjechała tutaj razem z Leónem. Celebrują w ten sposób czterdziestą rocznicę ślubu, a Felipa wszystko postrzega w perspektywie katastrofy. Mieszka w płonącym wieżowcu, śpi na Titanicu. Jej zdaniem mamy zaszczyt patrzeć na zagładę znajomego świata. Poprawia się zaraz, zaznacza, że w tej zagładzie chętnie uczestniczy, i ciągnie mnie w stronę wagonów.

Obwarowani przez policjantów pomagamy wysiąść najbardziej potrzebującym. Prowadzę kaszlącego mężczyznę i ciężarną kobietę, a jej mąż piekło się, że zostaje w środku. Na ten widok dziewczyna objuczona kocami, śpiworami i wojskowym plecakiem osuwa się między towarzyszy niedoli. Ci natychmiast nawołują w naszym kierunku. Felipa macha na nią ręką, mówi, że dziewczyna udaje. Felipa zawsze rozpozna oszusta. Ja tak nie umiem.

Osoby wystawiają dzieci przez okna. Niektóre maluchy machają i krzyczą, inne drapią się po umorusanych twarzyczkach, zaś jedno wisi jak kukła, jakby nie miało w sobie żadnej kości. Felipa akurat podpira tęgą kobietę, która ma trudności z chodzeniem, lecz ani myśli porzucić swoich dwóch toreb, więc idę sam, coraz bardziej przejęty, boję się, że dziecko zmarło lub gorzej – to atrapa dziecka, sztuczny chłopiec sprzedawany w Bodrum, co za nonsens, nie ma takich chłopców, bzdury się do mnie lepią.

Wracam do policjantów. Pokazuję na chłopczyka, a w tym czasie dłonie osób zaczynają uderzać o pociąg i błyskawicznie znajdują wspólny rytm. Bębny, bębny grają na nizinach. Policjanci rozmawiają z ojcem sparaliżowanego dziecka, próbują go wydostać z pociągu, nie wypuszczając nikogo innego, co kończy się dla mnie w sposób najgorszy z możliwych. Stoję na peronie, trzymając to bezwładne ciało, spocone i miękkie. Chłopczyk szepcze mi do ucha słowa w swoim języku niemal dziewczęcym, smutnym głosem. Boję się, że ściskam go za mocno, że zgmiotę go jak plastelinowego ludka, czego nawet nie zdoła poczuć.

Ojciec wysiada z pociągu, z walizkami i kocem pod pachą. Porywa syna i wsadza go sobie na barana, tak że mały opiera się o jego głowę. Policjanci eskortują ich w stronę namiotów, gdzie się zarejestrują. Mężczyzna ślania się na nogach, koc zaraz wysunie mu się spod łokcia. Broda chłopczyka uderza o ojcowską głowę przy każdym kroku.

Bębnią dłonie. Na dworcu pojawia się Ali, szef miejscowego Czerwonego Krzyża, co oznacza, że drzwi pociągu zaraz się otworzą. Ali to ogromny chłop z długą czarną brodą. Miota się po peronie, zagaduje oficerów, krzyczy coś po słoweńsku.

Z wagonów sączą się osoby. Dźwigają torby i plecaki, większość ma koce wojskowe narzucone na ramiona. Popychają przed sobą dzieci. Niemowlęta budzą się niemal jednocześnie i zaczynają wrzeszczeć. Przytuliłbym każde dziecko. Oczy osób matowieją na widok samochodów policyjnych, kilku funkcjonariuszy na koniach, a przede wszystkim namiotu, gdzie zaczyna się weryfikacja.

Mam kieszenie pełne cukierków. Rozdaję je dzieciom. Te zawsze proszą o jeszcze i nie da się ich zbyć śmiechem.

Z Martinem przytaszczyliśmy już skrzynki z wodą. Butelki same wpadają w dłonie, wpycham je nawet tym, którzy nie chcą, bo każdy powinien dużo wypić. Przemocą wlewałbym im tę wodę do gardeł, bo sami nie wiedzą, czego potrzebują. Pokonali taką drogę! Są zmęczeni, nie myślą i wyschną bezświadomie. Mężczyźni stoją blisko siebie, wszyscy ponurzy, lecz nie zrozpaczeni. Żaden nie pęka.

Procedura się wlecze. Osób jest około trzystu, zaś weryfikuje ich czterech wojskowych. Zbierają odciski palców i porównują z tymi w bazie danych, lecz internet się rwie. Pytają o kraj, miasto, ulicę. Na początek ściągają starców i pakują do autokaru, czemu inni przyglądają się z zazdrością. Liczą pozostałych i próbują scalić dzieci z rodzicami. Mężczyzna z głową opasaną szalikiem ani myśli puścić dziesięcioletniego chłopaka. Mały wyrywa się i krzyczy:

– *No father! No father! Father dead!*

Nasz obóz, Imagine, ma rozmiar boiska piłkarskiego. Centralną część zajmują rzędy brezentowych namiotów. Tam tłoczą się osoby. Mniej więcej pośrodku znajduje się jeden większy, czerwony, gdzie pracuje nasz lekarz, León. Obok mieszkamy my, jest też kuchnia i punkt wydawania posiłków. Tam zawsze gorąco. Tylną część zajmują połowe przedszkole i zaimprovizowane kino. Niedaleko siatki stoją tardisy i prysznice. Najważniejszy jest jednak namiot doładowań, z gniazdkami, blisko bramy.

Przed wejściem do obozu, na gazetach i łózkach polowych, rozłożyli się handlarze. Sprzedają buty, kurtki, śpiwory, karimaty, koce. Ludzie wysypują się z autobusów i nie wiedzą, co dalej. Przed nimi siatka z drutem kolczastym i zatrzaśnięta brama, za nimi samochód wojskowy, nasz biedny van i wielkie smutne nic. Biegnę w ich kierunku, odprowadzany przez protesty Felipy. Wołam, by nie dali się nabrać. Mamy koce i jedzenie, noce już są ciepłe. Trącają mnie brzdące. Przepychają się ku chipsom po cztery euro, batonikom po trzy, ciepłej coli za dwa i pół. Ceny w miasteczku są trzykrotnie niższe. Rodzice rozgarniają monety w brudnych dłoniach, a ja wyobrażam sobie rozpedzony samochód, wielki i czarny jak spalony dom, który wjeżdża w handlujących.

Za bramą część osób udaje się na prawo, gdzie znajduje się punkt poboru energii. Biały namiot błyskawicznie wypełnia się ludźmi. Wyjmują telefony i powerbanki, schylają się do kontaktów; strzelisz z palców i wszystkie pozajmowane. Spóźnialscy pokazują wygaszone ekrany, proszą o pięć, o trzy procent, by starczyło na esemesa, parę sekund rozmowy. Odepchnięci, kręcą głowami, a ja po raz pierwszy dostrzegam w nich iskierkę złości. Wloką się w głąb obozu między białe namioty. W ostatnim, na końcu, Eve rozdaje jedzenie. Spieszę, żeby jej pomóc.

Ładną twarz Eve przecina grzywka sięgająca błękitnych oczu. Zagaduję, co słyhać, ale nie dostaję odpowiedzi. Eve w ogóle niewiele mówi, tylko pomaga jak szalona, pod warunkiem że

pozwolimy się jej wyspać. Maseczkę nasunęła na nos, rękawy kraciastej koszuli naciągnęła na jednorazowe rękawiczki, a gdy podaje ryż z fasolą i mięsem, odchyła się do tyłu, wyciągając plastikowy talerz jak najdalej przed siebie. Na blacie, między parującym garem a zafoliowanym stosie sztuczków, leży paczka chusteczek nawilżanych i spray do dezynfekcji.

Ludzie niosą talerze ku długim drewnianym ławom, a nagabywana Eve burczy, że sam powinienem znaleźć sobie zajęcie. Słucham i gapię się na tłum. Chciałbym, żeby mnie popchnięto, potrzebuję palca i kopniaka, co wskaże kierunek, tu jednak nie mogę zostać, więc idę za namiot. Tam Martin próbuje podnieść skrzynię z bananami. Wygina plecy w kabłąk, szarpie ją, robi dwa kroki i puszcza. Za nim piętzą się puszki fasoli i sardynek, grejpferty, jabłka, paczki z kawą, herbatą i czekoladą instant. Moglibyśmy wyżywić całą Słowenię.

Skrzynia jest lekka, bo wszystko jest tutaj lekkie: kartony z chlebem kukurydzianym, nieprzytomni ludzie, opony do wymiany, poranki i popołudnia, tylko noce już nie. Martin sapie, włosy lepią mu się do czoła. Ile mogą ważyć głupie banany? Robimy parę rundek, by rozpocząć rozdawnictwo. Skrzynki odnoszę samemu, ważą tyle co nic, a mnie nie wolno zostać w miejscu. Rzucam ostatnie pudło, pędzę w głąb Imagine, gnany znajomym przekonaniem, że stało się tam coś złego.

Szczęściarze zajęli już łóżka polowe. Leżą na plecach i stukają w ekrany telefonów. Pozostali siedzą w grupkach bądź rozkładają koce i karimaty na gołej ziemi. Jakichś dwudziestu przysypia w kinie polowym. Wyświetlają *Asterix i Obelix*. *Misja Kleopatra*. Ktokolwiek tym zarządza, ukochał komedie kostiumowe. Dzieciaki w różnym wieku rzną w gałę pod siatką. Niedobrze, czasem piłka nabije się na drut kolczasty. Parę szkrabów rozpoznało mnie i biegnie. Zaryłbym się w jamie – nie mam już cukierków.

Przed namiotem z gniazdkami młody mężczyzna wije się na ziemi. Łysieje, ma dziobatą twarz i pokiereszowane wargi – niedawno musiał zaszyć sobie usta. Jestem cały jego, staram się go podnieść, a on wyje jeszcze głośniejsze i ściąga mnie na ziemię. Chwilę tak leżymy. Próbuje na nowo, tym razem powoli, i już idziemy razem w stronę namiotu medycznego. Jusuf przyjechał z Syrii. Opowiada o dzieciach, które musiał zostawić pod opieką teściów, bo żona zginęła. Pokazuje mi jej zdjęcie w telefonie komórkowym. Zna wszystkie kręgi piekła i każdego diabła z twarzy i imienia. Wszystko jest jednak po coś. Dotrze do Wiednia, gdzie czeka już kuzyn i nocki na magazynie. Jego dzieci skończą studia i zostaną inżynierami. Zdaniem Jusufa nie ma lepszego zawodu niż inżynier.

Namiot medyczny spowija czerwień, a León trzyma ręce przed sobą, jakby właśnie unurzał je we krwi. To postawny gość, nie widać po nim lat. Zresztą sporo trenuje. Jusuf sam przysiadł na łóżku, pokazuje na brzuch i znowu jęczy. Poinstruowany, kładzie się na wznak i podciąga koszulę. Leónowi wystarcza kilka sekund. Przynajmniej w tym przypomina Felipe. Prosi Jusufa, żeby się ubrał, i każe zjeżdżać. Jusuf rozdziawia usta, jakby nagle zapomniał angielskiego. Pokazuje na brzuch, skomle, wreszcie opuszcza namiot.

Chcę odejść, lecz León nie pozwala, robi mi herbatę. Pyta, jak sypiam. Widział mnie dziś rano w samochodzie, a przecież wcześniej, do nocy, rozładowywałem transport ubrań. Tak, zdaniem Leóna, nie powinno być. Widywał podobnych do mnie, zapieprzali przez tydzień, a potem potrzebowali pomocy bardziej niż ci biedacy. Pozwala usiąść na jedynym krześle, podsuwa parujący kubek i proponuje tabletki na sen. Kuca, napinając mięśnie ogromnych ud. Doradzam, by sam je sobie wziął, te tabletki. Skoro widział mnie wieczorem i o świcie, również unika poduszki. León uświadamia mnie, że ludzie w jego wieku potrzebują niewiele snu. Jego zdaniem to dobrze, w ten sposób łapią więcej z kurczącego się życia.

W namiocie pojawia się grubasek otulony w koc z Ikei. Podskakuje na jednej nodze, podkurczając drugą. León prosi, żebym został, przyda mu się pomoc. Grubasek nie zna słowa po angielsku, tylko pokazuje na uniesioną stopę. Przeskakuje na łóżko, wsparty na moim ramieniu, przy zdejmowaniu buta płacze i zaciska zęby. Chciałbym go pogłaskać, ale boję się, że ugryzie mnie w rękę.

Na kostce urosła gula rozmiarów piłki do tenisa, stopa jest wielka i czerwona, jakby wyjęta z wrzątku. León układa ją na łóżku i sprawdza puls dwoma palcami. Mówi o wszystkim, co robi i co zamierza zrobić, spogląda przy tym w oczy pacjenta, który nic nie rozumie i tylko się trzęsie. Zdaniem Leóna sam głos lekarza powinien przynieść spokój. Kostka jest skręcona, wymaga nastawienia. Gdy León przygotowuje strzykawkę ze znieczuleniem, przybysz chwytła mnie za rękę. Powtarzam łagodnie:

– *No pain, no pain.*

León wbija cienką igłę w śródstopie, mamrocząc słowa pocieszenia, pacjent wypręża się na łóżku, syczy, ja spokojnie czekam. Wkrótce ciało chłopaka wiotczeje, zaś ja zyskuję nowe zadanie. Ściągam mu spodnie dresowe, ze wszystkich sił blokuję uniesione udo, a León kładzie dłonie w białych rękawiczkach na stopie i kostce, po czym zaczyna ciągnąć. Zapieram się nogami, on szarpie, jakbyśmy sobie wrywali wór pełen skarbów. Tymi łapami León mógłby łamać karki. Bierze głębszy oddech i przekręca kostkę. Chrup, i już, piłka tenisowa znika. León prosi chłopca, by poruszał palcami, chłopiec jednak nie rozumie. León powtarza prośbę, bez skutku. Nie dowiem się, czy dojdą do porozumienia, bo do środka wpada Martin i mówi, że się porobiło, muszę lecieć.

W namiocie, w którym rozdajemy jedzenie, gromadzą się ludzie, głównie mężczyźni z dziećmi. Mruczą gniewnie, gdy próbuję się przepychać, zachodzę więc od zaplecza. Już wiem, w czym rzecz. Dobroduszna Eve zaczęła rozdawać czekoladę, choć nikt jej o to nie prosił. Z dwustu tabliczek zostało może pięćdziesiąt, osób jest więcej. Pchają się ku Eve jak na łódź ratunkową.

Tak nie będzie, moi drodzy. Jestem pewny siebie i mocny, wiem też, że nikt nie śmie mi tutaj zrobić krzywdy. Eve, wolna od tej pewności, próbuje się wycofać. Ludzie napierają na stół, mają spuszczone dłonie i oczy. Paru kłóci się o tabliczkę czekolady, wrywają ją sobie nawzajem.

Zaspany sojusznik rozum przypomina, że decyzje należy podejmować szybko. Każdą tabliczkę dzielę na trzy równe części i wpycham je w wyciągnięte ku mnie dłonie. Dłoń z czekoladą natychmiast się cofa, a jej właściciel pryska na koniec kolejki. Nic mnie to nie obchodzi, ci ludzie zaraz stąd znikną, przyjadą po nich jutro, najpóźniej pojutrze. Nie znam ich imion ani losów. Są Ahmedami, Jusufami, Zahrami, ludzką masą, przewalającą się na moich oczach z nicości w jakąś inną nicość.

Niech czekolada nigdy się nie skończy. Niech przywożą ją tutaj ciężarówkami, taborem kolejowym, niech wiatr i łoskot zapowiedzą lądowanie czekoladowego jumbo jeta. Dzieliłbym, aż ludzie przywitaliby koniec świata z ustami pełnymi czekolady.

Dobry koniec zwiastuje początek czegoś lepszego. Kroję ostatnią tabliczkę i już coś się dzieje, nawet oddechu nie ma kiedy wziąć. Przed połowym przedszkolem paru facetów szarpie mojego Jusufa. To dobrze, że jeden trzyma go za kurtkę, a drugi wykręca rękę, dobrze, że wszyscy na niego wrzeszczą. Życie kryje się w ruchu, umrę, gdy tylko przystanę. Na mój widok Jusuf wydaje z siebie okrzyk wdzięczności i zaraz traci równowagę – tamci go puścili. Są szczuplejsi od niego, mają kolczyki w uszach i podgolone głowy. Gdzie was tak przystrzygli, moi mili koleżkowie? Stoją karnie przede mną, a ja czerpię siłę z ich posłuszeństwa. Mówią na przemian,

dopowiadając sobie brakujące słowa. Jusuf to żaden Syryjczyk, tylko takiego udaje. Ich zdaniem wystarczy spojrzeć – przecież bardzo się różnią. Nieszczęśnik podnosi się z ziemi i burczy coś po swojemu.

Nie umiem ich odróżnić. Widzę przed sobą pięciu śniadych facetów przed trzydziestką, w puchowych kurtkach i koszulach w kratę. Zapewniam, że ukarzę hultaja, i ciągnę Jusufa za wszarz w stronę namiotu wolontariuszy. Tamci znikają mi z oczu. Potrząsam nieszczęśnikiem, proszę, żeby się uspokoił. Nic mu przecież nie zrobię. Niech idzie w diabły i nie ogląda się za siebie. Jusuf nie rozumie, a gdy wreszcie pojmuje, o co chodzi, próbuje całować mnie po rękach. Pokazuje zdjęcia bliskich w swoim telefonie i mówi, że wszyscy ci ludzie są teraz moimi przyjaciółmi. Jego dzieci będą się uczyć, a rodzice dostaną opiekę na starość wyłącznie dzięki mnie. Odpycham go i odchodzę, odprowadzany przez słowa, które słyszę tutaj od rana do nocy:

– *My friend! My friend!*

Popołudniem wszyscy łapią oddech, a ja przypominam sobie, jak bardzo nienawidzę odpoczynku. Siedzę w namiocie wolontariuszy, na skraju łóżka polowego, i jako jedyny nie wpatruję się w telefon. Moje dłonie znają już spokój, znikła ruchliwość kciuków. Zwieszam głowę, milczę i patrzę na innych.

Słońce prześwituje przez plandekę, przekrzywiony stelaż wygląda, jakby mógł go przewrócić jeden gniewny człowiek. Pośrodku stoją zimne koksowniki. Na stalowych regałach tłoczą się plastikowe pudełka, a w nich dezodoranty, żele pod prysznic, szampony, wszystko poopisywane czarnym markerem. Górne półki zajmują worki z ryżem, dolne – drewniane skrzynki z cebulą. Nie mam pojęcia, skąd tyle się jej u nas wzięło. Była już, kiedy przyjechałem.

Eve i Martin siedzą dzisiaj razem, co nie zdarza się często. Popijają herbatę. Martin ociera się o Eve, skubie wargami ucho, całuje policzek i otacza ramieniem. Uspokaja się, dopiero gdy dziewczyna ujmuje go za dłoń. Wciąż nie zdjęła jednak rękawiczki. Przeciera twarz i szyję wilgotną chusteczką, mówi, że każdego dnia myśli o tym, by odpuścić, lecz nigdy tego nie robi. Jej zdaniem osoby dają nam więcej dobra, niż my dajemy im. Martin przytakuje skinieniem głowy i zwraca uwagę na spokój tych ludzi. Nikt się nie szarpie, nie awanturuje. Gdy tu przyjeżdżał, miał pewność, że ryzykuje życiem. Teraz już się nie boi. Felipa podnosi głowę znad laptopa.

– Och, co mają zrobić? Jeśli któryś coś przeszkobie, zaraz wróci do siebie. Skądinąd powinni się złościć, nie sądzicie? Kontrola za kontrolą, przepełnione pociągi, spanie pod gołym niebem, brud. Ja na ich miejscu byłabym wściekła, a wy?

Eve puszcza dłoń Martina, odkłada telefon, prostuje się i obraca głowę ku Felipie.

– Są dobrymi ludźmi, po prostu.

– Nie. W ogóle nie są ludźmi. Odebrano im człowieczeństwo, tam gdzieś po drodze. Tacy jak my im odebrali, aby tutaj było łatwiej. Ich bierność jest nam na rękę. Dziwię się, że tego nie widzisz.

– Bzdury! Kto to niby zrobił: ja, ty czy może Martin? Właśnie, Martin, dlaczego nic nie mówisz? Czemu wy nic nie mówicie, kiedy ona wszystkich obraża?

Felipa zaczyna stukać w klawiaturę, Martin najwyraźniej duma, co powiedzieć, żeby się nie narazić. Eve go szturcha. Zastanawia się głośno, dlaczego z nią tu przyjechał, skoro miga się od roboty. A może zgadza się z tą rasistką, z Felipą? Już wie, już go rozgryzła.

– Nie wiem, czy wiecie – podejmuje – ale jego matka z ojczymem w zeszłym roku pojechali jako wolontariusze do Mjanmy. A jeszcze wcześniej rzucili wszystko i polecili do Indonezji. Walczyli ze skutkami tsunami. Każde wakacje, każdy dłuższy weekend spędzają na pomaganiu innym. Chciałbyś im dorównać, Martin, prawda? Powiedzieliby ci wtedy, że cię kochają.

Felipa parska nad laptopem, Eve – poczerwieniała z wściekłości – szuka właściwych słów, a ja patrzę, gdzie by tu czmychnąć. Sytuację ratuje León, który właśnie melduje się w namiocie. Patrzy po wszystkich, klaszcze w wielkie dłonie, nazywa nas małymi dziećmi i tubalnym głosem zapytuje, kto przeszkrobał.

– Ciebie nie można spuścić z oczu na pięć minut! – zwraca się do Felipy, nie usłyszawszy odpowiedzi. – Rety, ale jestem głodny!

León nigdy się nie trudzi z podgrzewaniem sobie jedzenia. Nabiera z garnka letnią herbatę, otwiera puszkę i wiosłuje łyżką, jakby od tego zależała przyszłość medycyny. Paprze sobie policzki, herbata spływa mu po brodzie. Odstawia puszkę i zaraz sięga po następną. Ociera sobie twarz chusteczką podprowadzoną Eve.

– Słuchajcie, wszystko, co się między nami dzieje, wydaje mi się normalne. Jesteśmy dobrymi ludźmi skazanymi na siebie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Mieszkamy tutaj, pracujemy, tu jemy i tu sramy. Wiecie, kiedy bym się martwił? Gdybyśmy się nie kłócili. Każdy ma prawo do swoich emocji. Mało tego, te emocje potrzebne są też innym, nawet jeśli nie są przyjemne. Wszyscy jesteśmy dobrymi ludźmi, musimy o tym pamiętać.

Eve zaciska szczęki, a León nie odpuszcza, staje pomiędzy nami i unosi dłonie:

– Powiedzmy to sobie. No już, nie bójcie się, to naprawdę nie boli.

Wszystko, co León wie o cierpieniu, zmieściłbym pod paznokciem, Eve chyba uważa podobnie, lecz musi podjąć tę grę. Poprawia grzywkę, przykładą dłoń do ust, cofa ją i staje przed Felipą. Ta odsuwa laptopa, spuszcza nogi z łóżka, podnosi oczy. Eve mówi:

– Jesteś dobrym człowiekiem.

– Och, kochana, ty też, ty też.

Ogarnia mnie strach, że nastąpi ciąg dalszy. Każdy z nas powie i usłyszy tę bzdurę. Wyobrażam sobie, jak któryś z tych miłych gości, Martin albo León, patrzy mi w oczy i nazywa mnie dobrym człowiekiem. Zedrzyjcie mi skórę z pleców. Zawleczcie na stos. Wypchnijcie w kosmos bez skafandra, ale z dobrym człowiekiem dajcie sobie spokój. Pulsuje mi w skroniach, skręca w żołądku. Wyjdę stąd i będę biegł, aż stracę Imagine z oczu.

Oczywiście siedzę po staremu. León całuje żonę, przytula Eve i ogłasza koniec czułości. Zrobi pięćdziesiąt pompek i parę rundek wokół ogrodzenia. Wyraża nadzieję, że nikt w tym czasie nie złamie sobie nogi. Idzie do wyjścia, lecz Eve prosi, żeby został. Mówi, że jest parę spraw do obgadania.

León opada na łóżko obok żony. Są bardzo podobni w swoim zrezygnowaniu. Eve sięga po tablet i wylicza, co należy zmienić na lepsze. Zaczyna od sanitariatów. Tych mamy niewiele, do tego zawsze są przepełnione. Czy naprawdę nie można ich opróżniać częściej? Pysznice podobnie, ponadto muzulmanki mają swoje zwyczaje, które musimy uszanować. Właśnie, co zrobimy z zalegającymi tamponami? Żadna z nich nie korzysta. Powinniśmy te tampony zebrać i wysłać do jakiejś organizacji dobroczynnej. Eve pyta, kto mógłby się tym zająć, zawiesza głos i przechodzi do następnego punktu.

– Jest jeszcze jeden problem. Zastanawiałam się, w jaki sposób wam o tym opowiedzieć. Moim zdaniem rzecz wymaga rozważenia i odpowiednich kroków. Mam nadzieję, że zgodzicie się ze mną w tej szczególnej sprawie. Nasi goście przebyli długą drogę, podczas której byli

pozbawieni, no wiecie, niemal wszystkiego. My przywracamy im godność. Dajemy ubrania i karmimy, León robi na swoim odcinku fantastyczną robotę. Zapewniliśmy im dach nad głową... Czego jednak nie dostali, powiedzcie mi?

Rozbawiona przemową Felipa zauważa, że z tym dachem nad głową to lekka przesada. Eve czeka na odpowiedź. Domyślam się, o co jej chodzi, lecz siedzę cicho jak pozostali i wyglądam wybawienia, które o dziwo nadchodzi.

Albert wsadza głowę do namiotu i prosi o rozmowę.

Albert zajmuje osobny namiot, zdobyty prawem sponsora. Uważa, że odosobnienie służy nam wszystkim, a on, który zawsze czuwa, musi mieć przestrzeń dla siebie. Przy wejściu podaje mi rękę, wciąga do środka i pyta, czego się napiję. Sam otwiera sobie napój energetyczny, których cały karton leży pod biurkiem między kablami.

Chce wiedzieć, jak się czuję i czy nie jestem przemęczony. Wstaję bardzo wcześnie i kręcę się do nocy. Nie ja jeden, mógłbym powiedzieć, sznuruję jednak pysk i opadam na fotel. Albert sadowi się na stołku i opiera przedramiona na kolanach. Zauważa, że bardzo się staram – gdyby miał dziesięciu takich jak ja, zmieniłby Imagine w hotel pięciogwiazdkowy. Strzela kolejną przemową o swojej fascynacji życiem. Kiedyś miał pewność, że każdy tylko zagarnia pod siebie, lecz teraz już wie, jak bardzo się mylił. Ja, Martin i reszta jesteśmy po prostu znakomici. Wspomina czasy, kiedy szukał mocnych wrażeń. Wspiął się na lodowce, nurkował w jaskiniach i skakał z klifów, a także obracał zepsute panny w modnych klubach, co uznaje za najniebezpieczniejszy ze sportów ekstremalnych. Jego żarty zawsze są świetne, Albert z każdego się śmieje. Niegdyś kręciły go pieniądze. Nic nie dawało takiego kopa jak nadwyżka przychodu, tak twierdzi, odstawia puszkę i wali pięścią w otwartą dłoń. Dopiero tutaj zrozumiał, że pomoc innym, bombardowanie dobrem daje energię najlepszego sortu. Niestety nawet dobrzy ludzie popełniają błędy. Jeśli dobry człowiek jest również mądry, wyciągnie z nich wnioski.

– Eve w ogóle nie powinna rozdawać tej czekolady. Za mało tabliczek, za wiele osób. Ale ty się wmieszałeś i tylko pogorszyłeś sprawę. Tak trudno zrozumieć, że czekoladę dajemy wyłącznie dzieciom?

Albert wypowiada te słowa, zawiesza głos i przenosi wzrok na jeden z trzech monitorów na biurku. Gra w jakąś kosmiczną strategię, silniki międzygwiazdnych krążowników płoną błękitnym światłem na tle czerwonych galaktyk. Przez drugi monitor biegną linijki danych, trzeci pokazuje kolumny w Excelu. Na blacie walają się pady, słuchawki, myszki, płyty, pendrive'y i dyski zewnętrzne, a także pudełka po daniach jednogarnkowych, puszki i karteluszki z notatnika. Zza biurka wystaje róg dmuchanego materaca, na którym Albert sypia. Odpowiadam, że nie pomyślałem, próbowałem zażegnać sytuację kryzysową i z pewnością postąpiłbym mądrzej, gdybym miał więcej czasu. Albert się śmieje:

– Tyś sytuacji kryzysowej jeszcze nie widział, młody! A właśnie, ludzie gadają, że masz nowego przyjaciela.

Trochę mijają, nim pojmuję, o kogo mu chodzi. Odpowiadam, że Jusuf jest tylko kolejnym człowiekiem, któremu próbowałem pomóc. Niewiele mnie obchodzi, skąd przyjechał i czy kłamie. Albert udaje, że słucha, przedziwnie wyginając ciało – nogi kieruje ku mnie, tors w stronę monitorów i kręci głowę. Nie wiadomo, co martwi go bardziej: ja czy nadchodząca klęska w kosmicznej kampanii. Mówi, klikając myszką:

– Nie od tego tutaj jesteśmy, rozumiesz? Na początku byłem taki jak ty. Tego twojego Jusufa, czy jak mu tam, już jutro tutaj nie będzie. Nigdy się nie zobaczycie. Na co ci taka przyjaźń? Ci ludzie są tacy jak wszyscy. Dobrzy i źli. Jusuf może cię okraść, nie wolno nam tego wykluczyć. Daliśmy mu jedzenie, koc, miejsce w namiocie. Jeśli jest chory, pomoże mu León. To nasze zadanie, żadne inne. Ledwo z nim nadążamy, a ty się bawisz w głupoty.

Sojusznik rozum podpowiada, abym spuścił głowę. Albert nigdy nie dał się przekonać. Przypominam, że z Jusufem spędziłem najwyżej dziesięć minut, dzięki czemu nie dostał po pysku. Naprawdę chcemy mieszać w to mundurowych? Noga Alberta zaczyna podrygiwać.

– Może ty nie chcesz? Dla mnie to żaden problem. Stary, słuchaj, skąd ty jesteś, skąd ty właściwie przyjechałeś?

Jestem zmęczony, lecz przygotowany. Siadam na krześle, unoszę otwarte dłonie i patrzę wprost na Alberta, który z trudem wyświadcza mi tę samą grzeczność. Opowiadam nudną i smutną historię o niewiernej żonie, rozwodzie i budowaniu życia od nowa, na co po prostu nie miałem siły. Tłumaczę, jak bardzo chciałem zrobić coś dobrego, po prawdzie użyłem dobra, by zapomnieć o własnej przeszłości. Albert wchodzi mi w słowo:

– Posłuchaj, każdy z nas swoje przeszedł. Jesteśmy jednak tutaj, a ja czuję odpowiedzialność za nas wszystkich. Jeśli zaczniesz się przywiązywać do tych ludzi, jeśli zaczniesz przywiązywać się do każdego nieszczęśnika z osobna, zwariujesz. Widywałem takich, którzy nie wytrzymywali. Potem miałem z nimi problem. Nie chcę mieć problemu z tobą, bo jesteś tutaj potrzebny. Zapamiętaj sobie, z łaski swojej. Zaprzyjaźnisz się z takim jednym, zaszkożysz im wszystkim.

Zastanawiam się, skąd Albert bierze te swoje mądrości. Przypuszczam, że z tego samego miejsca, co ja, i zaraz pojawia się pytanie: czy jego historia jest prawdziwa? Może także kłamie – nigdy nie skakał z klifów, nie jest żadnym milionerem i nie ma żadnego brata, któremu pozostawił biznes, by służyć najuboższym. Wątpliwości zatrzymuję dla siebie, audjencja skończona. Albert niechętnie wstaje i podaje mi rękę. Drogę do wyjścia odnajdę sam.

Na półtorej godziny przed zmierzchem czerwone słońce zaczyna okrążyć Imagine. Orbita biegnie jakieś dziesięć metrów od siatki, omijając koczujących handlarzy. Z tej odległości twarze dzieci wystawiających dłonie przez siatkę to tylko plamki bez oczu. Słońce nie usłyszy ich wołania, gdyż ma słuchawki. Nosi sportowe legginsy, buty na grubej podeszwie i bluzę z naszego szpitala polowego. León pędzi przed siebie, kolana bolą od samego patrzenia.

Spaceruję po Imagine, trochę się garbię, tak aby nikt nie uznał, że się wywyższam, i rozmyślam o tym Leonie. Niby taki wielki lekarz, oddany tutaj wszystkim, na bezpłatnym urlopie, a biega, jakby dawał do zrozumienia, że jest lepszy od innych. Usiadłby i pogadał. Chcę podłożyć mu nogę. A jeszcze lepiej, niech ją sam złamie i tyle będzie z tego biegania. Założę się, że jako pacjent bez przerwy jęczy, domaga się uwagi i kradnie innym chorym czekoladę.

Większość osób usadowiła się na kocach. Pozdejnowała dziurawe, pozdzierane buty, a skóra ich stóp wygląda jak spalona ziemia. Niektórzy dostali od nas nowe adidasy, jeszcze inni kupili je od handlarzy i teraz mają kłopot. Nowe obuwie nie pasuje na spuchnięte nogi, być może po paru dniach również nie będzie pasowało, bo mało kto tutaj pamięta swój rozmiar i niemal nikt nie mówi po angielsku. Muszę im pomóc. Podchodzę, tłumaczę takim dwóm, żeby się zamienili, przynajmniej na próbę. Nie rozumieją – jeden zaczyna opowiadać coś o Pakistanie, drugi wbija

wzrok w ziemię. Słowo nie pomogło, więc ruszam do czynu. Przyklekam, patrzę w oczy, tłumaczę, co chcę zrobić, i liczę, że sam ton głosu wzbudzi zaufanie. Schylam się jednocześnie po buty obydwu, a ci dwaj skaczą do przodu i gwałtownie zabierają swoją nową własność. Tulą do piersi te białe adidas, obnażają kły, nieszczęsne Tarzany z pustyni. Podnoszę dłonie. Przecież chciałem dobrze. Wszystkiemu spokojnie przygląda się starszek łuskający słońce.

Może Albert ma rację z tym swoim dystansem? Tylko tak nie wolno. Ci ludzie płynęli tu na przepelnionych łodziach. Zawracali ich i okradali, potonęli im bliscy. Sojusznik rozum da im dobrą radę, ja dorzucę do niej serce. Moje serce jest wielkie i ciężkie od krwi, czego nie można powiedzieć o Albercie. Mianował się wicekrólem wypędzonych. Chciałbym, żeby dostał krwotoku przed tym monitorem, niech powali go wylew albo zawał. W jego namiocie się świeci. Ciśnie w gry i myśli o tym, jaki jest zajebisty. Jeszcze się przekonasz, jeszcze ludzie cię rozpiardolą.

Zaciskam pięści, aż boli, i rozprostowuję palce, bo muszę – podbiega do mnie chłopczyk, może dziesięcioletni, i domaga się cukierków. Pokazuję na kieszenie, że puste, lecz on ani myśli odejść. Pytam, dlaczego nie bawi się z innymi dziećmi. Przecież ich tu pełno. Kopia piłkę, puszczają latawce, budują z drutów ludziki, zwierzęta, domy i samochody, które potem sprzedają każdemu, kto się nadarzy. Czemu nie chcesz zarobić, mój mały? Nie wiesz, że za worek zebranych śmieci Ali daje słodycze? Tak gadam, a on stoi i się gapi, jakbyśmy się znali. Mógłbym odejść, odejść nie umiem, wyciągam dłonie i już gramy w łapki. Malec jest szybki, trafia mnie dwa razy z rzędu. Okropnie go to cieszy. Odwijam się, trafiam w wierzch małych dłoni, a on już się nie śmieje. Obserwuje mnie. Próbuje wyczuć moment, lecz jestem zbyt szybki. Brzmi klaśnięcie, chłopak gniewa się w pół i pryska między namioty, dmuchając na własne dłonie. Wołam za nim, żeby tak nie żartował, przecież to tylko gra. Już nie gniewam się na ciebie za to, że umarłeś!

León robi kolejne okrążenie. Kondycję ma na medal, lecz bardziej przydałby się tutaj. Siekiera wisząca w powietrzu przy namiotach prysznicowych zaraz spadnie i odrąbie komuś głowę. Na swoją kolej czeka kilkadziesiąt osób. Akurat odtrącają kogoś, kto próbował się wepchać, w ruch idą pięści. Biegnę, wskakuję między rozdrażnionych, zasłaniam sobą cwaniaka. Nie przepadają za sobą, łączy ich tylko smród. Co chwilę ktoś krzyczy w stronę pryszniców, złości się, że to tyle trwa. Tłumaczę im, jak łatwo uniknąć podobnych nieprzyjemności. Popluskają się pięć minut każdy i problem sam zniknie. Pożyczajcie sobie zegarki albo telefony. Tak właśnie mówię, biorę głęboki oddech i pytam, czy mogę coś jeszcze dla nich zrobić. Prysznic się zwalnia. Dwaj chętni zderzają się przy wejściu.

Idę dalej, wypatrując potrzebujących. Zawieszam wzrok na mężczyźnie o wyglądzie proroka. Ma skórę niewiele jaśniejszą od smolistej brody, kaptur naciągnięty na czoło, na szyi duży krucyfiks. Na mój widok wyrzuca z siebie strzępy modlitw i imiona świętych. Szarpie mnie za bluzę, jego kościsty palec mierzy w zachód. Tracę nim zainteresowanie, bo nie ja jeden znalazłem tu przyjaciół. Martin przybija piątkę grupce młodych i idą między namioty.

Podążam za nimi. Martin byłby w porządku, gdyby zaczął samodzielnie myśleć i powyjmował te kolczyki z twarzy. W uszach ma tunele, za które czasem mam ochotę pociągnąć. Wydarłbym mu kółka z nosa i dolnej wargi albo zbliżył magnes wielki jak w kreskówce Disneya – same by wyleciały wraz z kawałkami ciała. Nie ma takich magnesów, nie ma też Martina. Zachodzę za namiot przy samej siatce. Nikogo. Na ziemi leżą połamane łóżko, resztki palety, trochę ubrań oraz mapa Europy, zalaminowana i dociśnięta kamieniem. Narysowano ją flamastrem. Nie ma miast ani rzek, tylko granice i przejścia między państwami.

Za płótem León rozciąga się oparty o drzewo. Rośnie tu takie jedno, wielkie i samotne, niedaleko bramy. Ma krótki, mocny pień i gęstą koronę, tak że nie widać gałęzi. Czasem myślę o tym drzewie, jego widok przynosi mi spokój. Zastanawiam się, jaki to gatunek. Nigdy nie interesowałem się drzewami i teraz trochę szkoda.

León ustawia stoper w smartfonie przytwierdzonym do ramienia, poprawia słuchawki i zaczyna robić pompki. Po pompkach przychodzi czas na podskoki z wykrekiem i przysiady z wybiciem. Nigdy nie widziałem, by ktoś tak często odrywał się od ziemi. Myślę o stawach w jego ciele i siódmym krzyżyku puchnącym na tych ptasich plecach, a także o zdolności fachowej oceny medycznej, zmaczonej patologiczną troską o własne ciało. Komu on chce się podobać? Liczy na powrót do łask Felipy czy smali cholewki do młodziutkiej Eve? Myślę też o tym, że przesadzam z myśleniem. Ratunek przychodzi z najmniej spodziewanej strony. Za namiot włązi zasmarkany Jusuf i rzuca mi się do stóp.

Próbuję go podnieść, lecz ostatecznie klękam przed nim, zbieg naprzeciw zbiega, tylko on dokądś idzie, ja zmierzam donikąd. Z jęków i pomruków przerywanych przez spazmatyczny szloch dowiaduję się o innej zbieżności. Nie mamy telefonów. Mój spłynął w klozecie, a jemu ukradli. Właściwie wyrwali z ręki, ci sami, z którymi się szarpał. Albo inni, podobni, Jusuf do końca nie wie, to była sekunda, ktoś zabrał i uszedł.

Mówię, że jest już blisko Austrii, jutro rano pojedą, wystara się o nowy aparat gdzieś tam u wolontariuszy w Wiedniu. Za dwa dni będzie po kłopotcie. Jusuf wciąż szlocha. W komórce miał adresy bliskich w Europie, numery telefonów, więc stanie na dworcu, nie wiedząc, co dalej. Jakoś sobie poradzi, jest przecież mężczyzną, lecz w aparacie miał też zdjęcia dzieci i zmarłej żony – jedyne, jakie mu zostały, reszta poszła na dno razem z łodzią. Czy on, ten złodziej, *motherfucker*, odblokował ekran? Czy zobaczył zdjęcia żony?

Jusuf podrywa się z klęczek i rwie się, by zamordować złodzieja. Szarpię go, zatrzymuję. Ledwo znoszę te płacze o żonie, jej zaletach, straszliwej śmierci i fotografiach. Gdybym mógł, sam zrobiłbym mu zdjęcie. Niech zobaczy, jaki jest żalony. Jeszcze chętniej uderzyłbym tym mokrym łbem o słup ogrodzenia. Przecież nikt się nie dowie. Będzie na innych, jakichś Kurdów. Powiem po prostu: brązowa masa go zżarła i wypluła trupa.

Mój nowy przyjaciel przestaje stawiać opór i wiotczyje mi w ramionach. Niespodziewana fala współczucia pozwala mi unieść ten ciężar. Mówię, powoli i po angielsku, by dobrze zrozumiał: miły mój, od tego tutaj jestem, odzyskam twój telefon.

Zaczyna padać godzinę po zmroku, a przed jedenastą mżawka przechodzi w ulewę. Przez uchylone wejście namiotu obserwuję, jak osoby porzucają posłania pod gołym niebem i pospiesznie poszukują schronienia. Plecaki przypominają wielkie garby, koce, kurtki i dzieci wypadają z rąk. Niektórzy próbują głębiej zakopać się w śpiworach, na które naciągają płaszcze przeciwdeszczowe. Drobnny chłopaczyna rozprostowuje ramiona i łapie wodę w usta. Pośrodku pustoszejącego placu stoi znajomy patriarcha z ogromnym krzyżem.

Wychodzę z latarką w kieszeni kurtki przeciwdeszczowej. Porzucone legowiska opływa czarna woda. Pachną jak żule spod dworca. Od strony pryszniców niesie się woń mydła i można pomyśleć, że to ono spływa tam z nieba, za to tardisy dają szambem podług oczekiwania. Piorun rozjaśnia tę dolinę cieni. Jeszcze trochę popada i karimaty, błękitne koce i porzucone buty popędzą z nurtem aż do zatrzęsniętej bramy. Tam przygniotą je balie pieluch i kartony soków

owocowych.

Mało kto mnie widzi, nikt nie rozpoznaje. Jestem tylko cieniem ze światełkiem w zimnej dłoni. Przetrzęsłam posłanie za posłaniem. Rozgarniam barłogi. Ze śpiworów wytrzępuję skarpetki, resoraki i monety. Znajduję okulary naprawione drutem, puszki, zrolowane tubki po paście do zębów, ale żadnego telefonu. Buty mam przemoknięte, spodnie zrobiły się ciężkie, po plecach spływa woda.

Wątpliwości zawsze pojawiają się szybko. I dobrze. Mam dość sił, żeby je stłamsić, i przeżyłem dosyć, by wiedzieć, że siła znajduje się w znużeniu. Mógłbym wrócić do namiotu, gdzie czekają herbata i suche ubrania. Deszcz przejdzie, tamci wrócą i Jusuf pojedzie do Wiednia bez komórki. Imagine ma rozmiar boiska, niebo się otwiera, a ja nawet nie zapytałem, jaki to był model.

Sojusznik rozum stacza bój z męstwem i idzie z nim na kompromis. Zachodzę do namiotu przedszkolnego. Przecież takiemu Jusufowi telefon zabrałoby nawet dziecko. Rysunki wiszące na ścianach przedstawiają trawę pełną ludzi i główki sterczące ze wzburzonej wody. Do kolorowego domku dobiega się trzech szarych olbrzymów w wojskowych czapkach sięgających ponad komin. Ludziki z kresek zaległy rzędem nad czerwoną rzeką.

Moje przyjscie wywołuje poruszenie. Proszę osoby, żeby się nie bały, tylko czegoś szukam, wykonuję obowiązki służbowe, proszę mi nie przeszkadzać. Kilkoro pyta, czy może jakoś pomóc, chce wiedzieć, czego potrzebuję. Milczę, bo na pomoc za późno, a świat jest zbędny.

Przed namiotem noga mi grzęźnie w czymś miękkim. To pluszowy miś, właściwie gałgan do wyżęcia. Rozdeptałem biedaka. Tych misiów zalega tu hałda, spomiędzy nich, jak połamane drzewce, sterczą nogi lalek. Brakuje tylko papierowych kruków krążących nad pobojobiskiem.

Z nosem niemal przy ziemi docieram do siatki. Planuję okrążyć Imagine i zaraz tracię równowagę, tak przeraża mnie ogrom tego zadania. Ląduję w bloku. Zaciskam powieki, przewracam się na bok i grozę pięścią niebu. Kopię siatkę, wyję. Gdzieś tam, po drugiej stronie, kurteczka odblaskowa ożywa i rusza w moim kierunku. Podnoszę latarkę, zdążę czmychnąć póki czas, tylko wstać tak trudno – zarywam twarzą w roztrzaskany telefon komórkowy.

Zabieram go, ten plastikowy skarb, z powrotem do namiotu przedszkolnego, przyświecam latarką. To stary smartfon, ktoś nim rąbnął o słup, potraktował z buta. Wyłuskuję drobiazg po drobiazgu, docieram do karty SIM i zaczynam rozumieć bezsens swojego trudu. Resztki wysypuję do worka jednorazowego, kartę chowam w kieszonce na piersi. Głowę rozsadza mi szum wody spuszczonej w klozecie. Muszę znaleźć Jusufa.

Nogi mi zmarzły jak włożone w przerębel. Czemu tacy jak Jusuf zawsze pojawiają się nieproszeni? Czemu znikają, gdy są potrzebni? W namiotach twarze podobne sobie, zaspane i przestraszone. Wołam po imieniu, to podnosi się kilku. Nie podchodzą, tylko stoją. Świecę im latarką w zmrużone oczy. Unoszą dłonie na znak, że nie zrobili nic złego, i wdychają z ulgą, gdy pozwalam usiąść. Żyję w świecie fałszywych Jusufów, próżno szukając prawdziwego. Urąbałbym sobie drętwiejącą nogę, że zrobił to specjalnie, że wkręcił mnie w tę akcję z telefonem. Na pewno przygląda mi się gdzieś z ukrycia. Moknie, lecz złośliwość rozgrzewa go od środka. W każdym obozie wybiera najzyczliwszego z wolontariuszy i robi mu podobny numer. Syryjczyków też oszukał. Nie musiał tego robić, po prostu taki jest. Uciekł z Iraku, bo coś tam nawywijał.

Zamierzam iść prosto do Alberta i przyznać mu rację. A rano, gdy ruszy transport, pokażemy cwaniakowi. Europę poogląda przez kratki i polecą na łeb, między owce, na Bliski Wschód. Mówię do siebie, idę, rozchlapując wodę, tam, gdzie przez plandekę przebija blask monitorów.

I nagle jest! Materializuje się przede mną jak piwniczne widziadło – z papierosem w ustach biegnie do kibla. Wołam, spotykamy się w połowie drogi, przekazuję dobre wieści. Jaki miał telefon? Pewnie, że taki! Tłumaczę, że troszkę się popsuł, i wciskam Jusufowi woreczek, z którym nie bardzo wie, co zrobić. Maca szczątki przez folię, a ja podtykam mu pod nos kartę wyszarpiętą z kieszeni.

Niepewnie bierze ją w dwa palce. Pytam, czy należy do niego. Jusuf nie może mieć pewności, przyznaje w końcu, że taką właśnie miał komórkę, lecz karty wszystkie są jednakie. Oczekuję podziękowań, choć rozpala mnie sama radość z dobrego uczynku. Tłumaczę biedakowi, że problem rozwiązany. Pojedzie do Austrii, tam kupi albo wystara się o nowy aparat, z karty czyta adresy i fotografie. Mówię do niego po polsku czy angielsku? Jusuf wytrzeszcza oczy i zaraz ociera je woreczkiem. Jest bez grosza, wszystko oddał jeszcze w Pireusie. Je, co mu dadzą, kurtkę otrzymał z darów. Stoi wciąż z woreczkiem przyciśniętym do policzka, a gdy go informuję, że sam nie mam pieniędzy, odwraca się i człapie w deszcz.

Albert gra ze słuchawkami na uszach i trochę mija, nim raczy mnie dostrzec. Wciska pauzę, obraca się na fotelu, słuchawki zsuwa na kark, żeby móc jak najszybciej założyć je z powrotem. Nie mam pomysłu na tę rozmowę, więc przechodzę do rzeczy. Jeden z uchodźców rozpaczliwie potrzebuje telefonu, dotychczasowy mu zniszczono. Dajmy mu nowy – trochę ich mamy. Jeśli odmówimy, ten człowiek znajdzie się w Wiedniu bez adresu, pójdzie na ulicę i zostanie przestępcą.

– To ten twój nowy przyjaciel, prawda? – pyta Albert, patrząc w monitor.

– A jeśli tak, to co z tego?

– Nic. Poradzi sobie. W ogóle się nim nie przejmuj.

– W ogóle się nie przejmuję. Próbuje oszczędzić tym w Austrii kłopotu.

Albert zrzuca słuchawki na stół, wstaje, kładzie mi ręce na ramionach. Jego oczy mogłyby należeć do coacha przez tydzień pozbawionego snu.

– Jesteś za dobry gość na tę robotę. Inni tacy odpadali po tygodniu, a ty się trzymasz. Odmawiam nie dlatego, że jakiś kutas ze mnie. Powiedzmy, że dam ci ten telefon. Ten twój przyjaciel pojedzie, a ty jutro wrócisz z następnym, który będzie miał swój problem, bo każdy ma jakiś, ci ludzie potracili domy i sami nie wiedzą, gdzie są. Zajebiesz mi się tu ze swoim dobrym sercem. Chcesz się troszczyć o nich, więc pozwól mi zatroszczyć się o ciebie. Idź spać, człowieku. Widzimy się o piątej.

Słucham tych bzdur, stojąc w powiększającej się kałuży, dłonie wsadziłem w kieszenie, by ukryć, że drżą. Alberta z gadaniną o urodzie świata potrafię jakoś znieść, Albert zatopiony w granii to przyjemny kompan, ale dobry, troskliwy, tryskający mądrością Albert przerasta moje siły. Przechodziłem noc w deszczu, gdy on tutaj siedział. Chciałbym, żeby stanął przede mną nagi. Bez swoich komputerów, pieniędzy i forda transita, tylko w podkoszulku za cztery euro i smutnym fiutem między udami. Co byś wtedy zrobił, Alperciku? Kim jesteś bez kart kredytowych? Dziękuję mu za mądrości, odpowiadam, że rozumiem, wiem już, czemu to on tu rządzi, podaję mu zmarznąętą rękę, za radę odwdzięczam się radą:

– Też spróbuj się położyć.

Nadzieja na sen odchodzi po mniej więcej kwadransie. Zaraz po przyjściu do namiotu rozwieszam mokre ubranie na oparciu krzesła i parowanie oddzielającym mnie od innych

wolontariuszy, naciągam suchy T-shirt i wpełzam pod kołdrę. Jutro nie jadę po żaden chleb i będę spał do końca świata. Ciepła ciemność otula mnie na chwilę, lecz zaraz wypluwa w półmrok i chłód. Mógłbym obieć Imagine w ślad za Leónem, obaliłbym litra i spalił paczkę fajek, dziewczyny, chodźcie do mnie. Kocham Patrycję. A może Eve?

Dysponuję powierzchnią wielkości łazienki w bloku. Mieszczą się tu łóżko polowe, krzesło ogrodowe i plastikowy pojemnik na ubrania. Przypominam sobie składzik Klary i klitkę przy kościele. Mniej i mniej, niedługo zamieszkam w pudełku zapalek. Dochodzi mnie ciężki oddech Leona i stukot klawiatury. Felipa coś pisze mimo późnej pory. Tu nigdy nie jest cicho.

Wychodzę przed namiot, licząc, że powietrze mnie otrzeźwi. Osoby wróciły na mokrą ziemię, spod koców dochodzą szepty i pomruki. Łby w czapkach nasuniętych na oczy szepczą coś przy rozpalonych koksownikach. Reflektor oświetla dziecko bujane przez mężczyznę opatulonego kocem. Wygląda, jakby pływało ponad śpiącymi. Wśród osób krąży dziewczyna z lustrzanką. Szumią generatory, warczą silniki, buty szorują o żwir. Za siatką migają światła policyjnego samochodu, jakaś grupka kręci się obok. Czemu Felipa spędza nocę na pisaniu? Przecież potem chodzi niewyspana i wściekła.

Tak dalej nie będzie, dziś ja decyduję. Zakładam bluzę z kapturem, zamieniam klapki na mokre buty i człapię tak cicho, jak potrafię, a nie potrafię wcale. Stację kosmiczną Alberta spowija ciemność. Powoli rozsuwam zamek broniący wejścia. Mógłby mieć służę albo portal jak ze *Star Treka*. Dziwne – wszystkim marzy się teleportacja, a nikt jeszcze przy tym nie zaczął dłubać. Skakałbym między światami, żył w przejściach, a nie w tych światach.

Sunę, omijając kable i puszki. Albert śpi z podkurczonymi nogami i ramionami skrzyżowanymi na głowie, jakby osłaniał się przed wybuchem. Zaczynam od szuflad biurka. Leżą tam dokumenty, ładowarki, przejściówki, identyfikatory na smyczach i proste narzędzia. Najniższa szuflada jest zamknięta. Zerkam na blat w poszukiwaniu klucza. Zmięta chusteczka higieniczna świadczy o tym, że naszego Spocka cieszy coś jeszcze prócz lotów na inne planety.

Sprawdzam stolik przy łóżku i półeczkę w nogach. Albert drapie się w nos. Boję się, że się obudzi i złapie mnie za rękę. Powinien złapać, jestem przecież złodziejem. Uświadamiam sobie, że to fajny, oddany ludziom facet, który po prostu ma inne zdanie niż ja. Jak spojrzę mu w oczy? Ta wątpliwość towarzyszy mi, gdy przetrząsam kieszenie kurtki i spodni dżinsowych. Połknął ten kluczyk? Obracam w dłoniach ciężki portfel. Rzeczywiście, ma mnóstwo kart kredytowych, a także pliki chorwackich kun, bośniackich marek i euro w osobnych przegródkach. Te ostatnie przydadzą się biednemu Jusufowi. Wyjmuję dwudziestkę, po chwili wahania dobieram drugą. Dostanie je rano, gdy wrócimy z piekarni.

Pierwszy rok ojcostwa kojarzy mi się z proszkami na sen i wielkim zagubieniem. Proszki załatwiła mi mama, ponieważ Mikołaj budził się co trzy godziny, wydając z siebie trudne do zniesienia piski. Miętosilem kołdrę i błagałem Julkę, żeby wreszcie uciszyła to dziecko – rano przecież miałem zajęcia. Pewnego dnia mama przyniosła mi opakowanie tabletek, po których spałem jak kamień. Julka nic nie powiedziała, ale w jej oczach widziałem, że chce, abym towarzyszył jej podczas karmienia. Tylko po co, pytałem, przecież nic nie pomogę. Julka odpowiadała, że mógłbym przynajmniej odbić Mikołaja. Sprawę rozstrzygała mama, pytając moją żonę, czy jej zdaniem mam biust.

Po zajęciach wracałem prosto do domu. Przysięgałem sobie, że wszystkie egzaminy zdam

w pierwszym terminie, tak by wakacje oddać bliskim, i byłem dumny z tego poświęcenia. Czasem, gdy Julka albo mama wrywały mi dziecko z rąk, czułem się skrzywdzony i zbędny, choć przy Mikołaju potrafiłem zrobić wszystko. Gotowałem kaszki, przewijałem i kąpałem w różowej wanience, dbając, by spieniona woda nie nalała się małemu do oczu. Obie panie zawsze wiedziały lepiej. Kaszka była za zimna lub za gorąca, kąpiel za krótka, pielucha źle założona. Ustępowałem, unosiłem dłonie i pozwalałem, by żona i matka kłóciły się ze sobą.

Nie pamiętam, żebym był świadkiem jakiejś przykrej sceny. Przychodziłem już na pogorzelisko. Mama siedziała w pokoju nad herbatą, patrzyła w telewizor albo robiła notatki w którymś z licznych zeszytów składowanych obok telefonu stacjonarnego. Musiała wszystko zapisywać: wizyty u lekarzy, zakupy pieluch w Rossmannie i konsystencję kup Mikołaja. Julka przez większość dnia siedziała w naszym pokoju, z dzieckiem w ramionach i książką na kolanach. Zagadywałem, jak się ma, pytałem, w czym pomóc, i proponowałem, byśmy spędzili część wieczoru razem. Przecież filmy można oglądać podczas karmienia. Rzadko to wychodziło. Julka była zmęczona, Mikołaj bez przerwy płakał, mama zaglądała do nas i przypominała, że jesteśmy dorośli – czas bzdur przeminął.

Obie panie nieustannie wrywały sobie dziecko. Mama po prostu wyjmowała Mikołaja z ramion Julki i kołysała, dopóki nie zasnął. Jej zdaniem Julce brakowało ciepłości, czemu trudno się dziwić. Macierzyństwo to proces, którego trzeba się nauczyć. Julka odpowiadała, że wie lepiej, i prosiła mamę, by dała sobie spokój z dobrymi radami. To nie pomaga, mówiła, zwłaszcza komuś, kto sypia trzy godziny na dobę. Mama wówczas powtarzała, że sami chcieliśmy dziecka, a w życiu nie chodzi o przyjemności.

Koło dziewiętnastej Mikołaj był umyty i jadł ostatni raz przed snem. Czytałem mu na dobranoc i otwierałem sobie wino. Julka nie chciała pić, ale zawracanie głowy szło jej znakomicie. Prosiła, abym wpłynął na matkę. Owszem, oddała nam pokój i bardzo kocha Mikołaja, ale to nie znaczy, że musi się rządzić. To nasze dziecko, tylko my o nim decydujemy. Potem zaczynała płakać – nie tak wyobrażała sobie swoje życie. Pocieszałem ją, mówiąc, że gdy Mikołaj podrośnie, zdobędziemy własny kąt i staniemy się rodziną, której wszyscy będą zazdrościć. Jesteśmy młodzi, silni i bardzo się kochamy, a przecież na miłość nie ma mocnych.

Julka prędko zapadała w sen, a mama zaglądała do nas i pytała, czy z nią nie posiedzę. Narzekała, że wszystko ją męczy. Nie przypuszczała, że tak prędko zostanie babcią. Lepiej byłoby, gdybyśmy poczekali do jej emerytury, no ale nie chcieliśmy czekać i jest jak jest. Przypominała błędy, które popełniliśmy przez cały dzień: spacer trwał zbyt długo i Mikołaj zgłodniał, ubraliśmy go za lekko, położyliśmy za późno. Zauważyła, że Julka chwytła dziecko pod pachami, a przecież tak nie można – odgięcie główki grozi zerwaniem słabych kręgow. Poza tym cały czas się spieszymy, nie wiadomo dokąd. Dziecko wymaga przecież uwagi i skupienia.

Próbowałem bronić Julki. Przecież radzi sobie wspaniale. Mama machała ręką. Kiedyś kobiety poświęcały się dla dzieci, teraz myślą tylko o powrocie do rozrywek. Zachodziła w głowę, co też zobaczyłem w tej dziewczynie. Jest małomówna i nie ma uroku, jakim cudem dostała się na studia? Poprosiłem, aby tak nie mówiła, i usłyszałem, że powinienem zamilknąć. Myślałem tym, co mam między nogami, więc teraz przyszedł czas na słuchanie starszych.

Przeczytałem gdzieś, że matki od razu szaleją za swoimi dziećmi, a mężczyźni długo dojrzewają do ojcostwa. W tej myśli znalazłem pocieszenie, bo przez pierwsze miesiące Mikołaj był dla mnie tylko rozwrzeszczanym tobołkiem ściągającym kłopoty. Tłumaczyłem sobie, że nie odpowiadam za własne uczucia, i szukałem nielicznych chwil, które dawały mi radość. Lubiłem zimowe spacerunki po oblodzonych ścieżkach parku Skaryszewskiego, kiedy z wypchanego betami

wózka spoglądała na mnie para spokojnych błękitnych oczu. Postanowiłem, że będę małemu czytał na głos, od pierwszego dnia w domu, i wytrwałem w tym postanowieniu. Chciałem, żeby od małości oswajał się z książkami. Czytałem mu stare powieści fantastyczne – Raya Bradbury’ego, Isaaca Asimova, Michaela Moorcocka – dzięki czemu mogłem sobie przypomnieć, jak wiele dla mnie znaczą. Mikołaj polubił mój głos. Przerzuciliśmy się na bajki, dopiero gdy skończył dziesięć miesięcy.

Mniej więcej wtedy Julka poprosiła, żebym poszedł do pracy. Sama chętnie wyrwałaby się z domu, ale Mikołaj jeszcze był za mały. Paru moich kolegów już zarabiał, inni załapali się na staże. Zapytałem, po co ta praca, skoro są pieniądze od mojej mamy i jej rodziców. Niezbyt wiele, ale na wszystko starcza. Zaczynam pisać magisterkę, zajmuję się dzieckiem, mam jeszcze udźwignąć robotę? Julka się rozplakała. Powiedziała, że nie wytrzyma już życia tutaj i chce się wyprowadzić, choćby na tę nieszczęsną Białolekę. Lepiej kawalerka we troje niż Mokotów z moją pojebaną matką. Pisała się na dziecko, nie na teściową. Zapytała, czy jestem mężczyzną, a jeśli tak, to dlaczego nie umiem się postawić starej babie. Próżno tłumaczyłem, że wychodzę ze skóry, by utrzymać dobre relacje między nimi. Poza tym jaka praca? W barze płacą cztery złote za godzinę, nie starczy na żadną Białolekę, a do poważnej roboty nie pójdę, bo nie pogodzę tego z uczelnią i opieką nad małym. Długo kłóciliśmy się tej nocy. Żeby zasnąć, wziąłem aż dwie tabletki.

Po tej rozmowie Julka dalej okazywała mi czułość, ale dostrzegałem sztuczność w jej zachowaniu. Zastanawiałem się nawet, czy nie spełnić jej życzenia. Przed rokiem weszliśmy do Unii i latem część ludzi z roku wyjechała za granicę, głównie do Anglii i Irlandii. Przez rok zarobiłbym na wkład własny do kredytu mieszkaniowego, no i nie musiałbym walić konia do świerszczyków w ubikacji, gdy dom już zasnął. Julka najpierw się goiła, później była zbyt zmęczona. Jeśli już się kochaliśmy, to pospiesznie, pod kołdrą i w ciemności, zagryzając poduszki.

Nigdy nie miałem zbyt wielu kolegów, zaś ojcostwo uczyniło mnie całkiem samotnym. Kumple ze studiów najwyraźniej uznali, że przynależę już do świata ludzi poważnych. Pytali tylko o Mikołaja. Chciałem rozmawiać o *Wampirze* Marii Janion i drugim tomie trylogii husyckiej Sapkowskiego, posłuchałbym o koncertach Raz Dwa Trzy i Staszka Sojki albo chociaż pośmiał się z Ich Troje i księdza Rydzyka. Między zajęciami kręciłem się po korytarzu, próżno szukając towarzystwa, jakbym śmierdział brudnym pampersiem i kleikiem ryżowym.

Zakupy były jeszcze gorsze. Mama nie mogła dźwigać, Julka karmiła z nosem w książce, więc zrzucono na mnie także i to. Zachodziłem do spożywczaka na Puławskiej, gdzie otyłe sprzedawczynie ledwo trafiały w klawisze kasy fiskalnej, pijaczkowie odliczali miedziaki na bełta, a staruchy pytały, czy ta bułka na pewno jest dobra i zamiast zapłacić jak człowiek, kazały sobie wybierać należność z portmonetek. Zostawiałem tam codziennie trzydzieści, pięćdziesiąt złotych, potężny szmal. Szedłem do domu objuczony siatami z jogurtem naturalnym, sałatą, kurczakiem, cielęciną, marchwią i wodą niegazowaną. Czasem uświadamiałem sobie ze smutkiem, że nie ma tam ani jednej rzeczy dla mnie.

Raz, gdy byłem już po zajęciach, podeszła do mnie Patrycja. Rzadko ją widywałem. Była smutna i piękna. Chyba miała jakieś problemy. Zagadnąłem, czemu tak rzadko bywa na uczelni. Odparła, że ma teraz trochę na głowie, dużo się u niej dzieje, i zapytała o Julkę. Jak ona sobie radzi? Ma jakąś pomoc prócz mnie? Tęskni za studiami? Nie słuchała moich odpowiedzi. Popatrzyła na mnie tymi oczyskami jak z mangi i szepnęła:

– Ledwo przeczuwam, jak ci jest, Janku, ciężko.

Objęła mnie, pocałowała w czoło i zaraz się odsunęła.

Tego dnia wróciłem do domu później. Piłem piwo i ciskałem puszki pod koła przejeżdżających samochodów.

Mikołaj skończył roczek i wyprawiliśmy mu urodziny. Julka upiekła tort i wsadziła weń świeczkę w kształcie jedyńki, mama przyozdobiła mieszkanie serpentynami. Mikołaj dostał pluszową małpkę, świnkę i słonia, machał rękami i drałował na czworakach po całym pokoju. Było to dziwne, wręcz upiorne. Przecież taki malec nawet nie wie, co to są urodziny, nie jada ciast i nie odróżni pluszaka od pluszaka. Na szczęście zjawili się rodzice Julki i zjedli cały tort. Potem Julka wzięła ich na spacer. Długo nie wracali.

Mama nie chciała słyszeć o żadnych wyjściach, ale ją uprosiłem, by pozwoliła nam na jedną randkę. Zasłużyliśmy na taki wieczór po roku wyrzeczeń. Z radością obserwowałem, jak Julka się stroi. Poszliśmy do El Popo na Senatorską, gdzie było bardzo meksykańsko i bardzo drogo, ale w takich sytuacjach nie warto oszczędzać. Założyłem nawet marynarkę, a Julka miała na sobie tę samą fioletową bluzkę co wtedy, kiedy się poznaliśmy. Jedliśmy burrito, piiliśmy piwo, a każdy kolejny łyk kruszył mur między nami. Zniknęły pretensje o pracę i nieprzespane noce, śmialiśmy się z mamy i rozmawialiśmy tylko o tym, co dobre: o czasach, kiedy Mikołaj będzie wystarczająco duży, by móc zostawić go na wieczór, o wakacjach i wypadach do kina. Napomknąłem, że moglibyśmy kupić komputer. Teraz filmy są już na płytach i nie trzeba magnetowidu.

Całowaliśmy się przez całą drogę do domu, a gdy tylko weszliśmy do mieszkania, mama przywitała nas awanturą. Ile można jeść kolację? Musieliśmy się szlajać po mieście aż do północy? Mikołaj płakał i płakał, tak brakowało mu matki. Przypomniałem, że umówiliśmy się na cały wieczór, a mama zaczęła wyjaśniać różnicę pomiędzy wieczorem a nocą. Wreszcie powiedziała Julce, że ta jest na jej łasce. Gdzie byś się podziała, smarkulo, gdyby nie ten dom?

Okazało się jednak, że Julka ma dokąd pójść. Obwieściła nam to przy śniadaniu. Wraca na studia, na razie zaoczne. Dlatego czytała te wszystkie książki. Weźmie kredyt studencki, przekonała rodziców, by dali jej więcej pieniędzy, i wynajmie mieszkanie w tebeesie, choćby na tej cholernej Białolece, byle dalej stąd. Mikołaj pójdzie do żłobka, a ona do pracy, nawet do takiej za cztery złote. To jej decyzja i nie zamierza jej zmieniać, nawet jeśli zostanie na Mokotowie, wczepiony w maminią spódnice. Szast-prast, za dwa miesiące jej tu nie będzie.

Mama się roześmiała i stwierdziła, że nie słyszała większej bzdury. Przecież Julka nie ma pojęcia o życiu i gdyby chodziło tylko o nią, proszę bardzo, niech się wyprowadza choćby dziś. Ale tu chodzi o dziecko. Ten biedny chłopczyk, syn ludzi młodych i głupich, ucierpi na takiej decyzji. Dlatego ona, moja mama, nie pozwoli zabrać Mikołaja. Sama wychowała mnie, wychowa i jego. Julka wstała znad jajecznicy i powiedziała mamie, że ta nie ma nic do gadania w tej sprawie, może co najwyżej rozewrzeć swój pomarszczony pysk. Czy zdaje sobie sprawę, jak śmieszna jest, gdy się złości? Wyszała i minęła chwila, nim ruszyłem za nią, żeby zaraz wrócić. Krążyłem tak przez cały dzień i dwie trzecie nocy, a obie panie, na przemian, lecz bezskutecznie, prosiły mnie, abym coś zrobił.

Siedzę na przednim siedzeniu vana z kubkiem kawy między kolanami, a Martin mości się z tyłu, narzekając na brak snu. Zastanawiam się, jak powinienem zareagować. Wczoraj kręcił się wśród

obcych, dlatego nie wypoczął.

Wszystko jest jak co dzień – światła, warkot i mgła na łąkach – tylko Alberta brakuje. Siorbię kawę i odganiem złe myśli. Grał do nocy, więc zasnął. Miał paręset euro w banknotach, nie zauważy brakujących czterdziestu. Jest jednak dziwnym człowiekiem. Może każdy poranek wita, licząc forszę? Co, jeśli schowałem portfel do innej kieszeni? Powracają te chwile w namiocie. Wydaje mi się, że Albert przez cały czas miał uniesioną powiekę.

Martin chce sprawdzić, co u niego. Chętnie odpowiedziałbym, że dwie godziny temu wyglądał na zdrowego. Klóćcimy się chwilę, kto powinien po niego pójść, i oto jest: w znajomym polarze i odblaskowej kurtce, potyka się wpatrzony w swój drogi telefon. Po starym ładuje się do samochodu i grzebie w schowku za zestawem słuchawkowym. Milczy. Brakuje mi jego gadania. Mam ochotę zapytać, czy wszystko w porządku. Samochód rusza.

Albert odzywa się dopiero na drodze głównej. Żałuje, że zasnął, bo dzisiaj odchodzi transport i byłoby dobrze, gdyby każdy dostał chleb na drogę. Na poboczu wala się wyrzucone jedzenie. Albert zauważa, że nie można zadowolić wszystkich. Jednego dnia przychodzi za dużo pomidorów, drugiego trzeba się szarpać o kawę. Dlatego nasza praca jest ważna i przynosi spokój pod koniec dnia.

Wstaje słońce. Van wlecze się wyboistą drogą, a z szarego mleka, jak duchy, wyłaniają się zamaskowane sylwetki policjantów. Albert, który nie może cisnąć gazu, napiera całym ciałem na kierownicę i klnie. Nic nam nie przyjdzie z tych przekleństw, mówię. Odpowiada, że przynajmniej dzięki temu poczuje się lepiej. Nazywa mnie przyjacielem.

Uświadamiam sobie, że wie, i się mną bawi, chodzi mu o zemstę, nie o sprawiedliwość. Gdyby się upomniał, byłoby zbyt prosto. Rzuci mnie na kolana tym udawaniem, każe pełznąć ku sobie z banknotami w zębach. Nawet teraz odrywa wzrok od drogi i pyta, czy wszystko w porządku. Jego spojrzenie rozświetla moją przeszłość. Odkrywając kradzież, otworzył drzwi do moich tajemnic. Dostał się do Klary, Sophie i Roberta. Wie, dlaczego uciekłem z Warszawy.

Chcę uciec. Van wspina się na wzniesienie. Wyskoczę, gdy osiągnie szczyt i Albert zmieni bieg. Pobiegnę w las i mgłę, niech szukają. Mam czterdzieści euro, żyło się za mniej. Nie znają nawet mojego imienia.

Udaję, że szukam czegoś po kieszeniach (Albert z pewnością wie, co to takiego), obracam się ku drzwiom, kładę palce na klamce. Zaraz załamie się droga. Wybijam w głowie takt, trzy, pięć, trzy, za to sojusznik rozum spieprza, byle dalej ode mnie. Pobiegnę, może go dogonię. Ręka Alberta spada na gałkę skrzyni biegów, biorę głęboki oddech, a mgła pryska przed przepyszny słońcem. Poranek jest piękny, ani jednej chmury. Widzę korony drzew i siwe pasemka poniżej. Albert dodaje gazu, mkniemy do Rijače.

W piekarni Albert zachowuje się po starym, zresztą wszystko przebiega jak zawsze i mógłbym co do minuty wskazać, kiedy chleby pojeżdżają z taśmy, kiedy wpadnie zaaferowany Ernest i zaczniemy załadunek. Tym razem Albert pomaga mi przy noszeniu chleba. Chce wiedzieć, czemu mam nos zwieszony na kwintę, i ma nadzieję, że to nie przez niego. Wie, że chciałem dobrze i jestem przemęczony. On jeszcze bardziej. Posiedzę tu jeszcze miesiąc i przyznam mu rację.

Rijače leży na zboczu zielonego wzniesienia, zamkniętego przez skały. Z wysokiej trawy wyrastają poskręcane drzewka. Przy domach stoją studnie i altanki. Na ściany budynków wspinają się kwiaty. Wytatuowany szczaw po starym zagaduje Martina, czy nie skoczyłby na fajkę, po czym znikają za budynkiem piekarni. Albert woła, żeby tym razem się pospieszyla, jesteśmy przecież spóźnieni. Martin unosi kciuk, a plecaczek zsuwa mu się z ramienia.

Mówię, że pójdę z nimi zapalić. Słabo spałem tej nocy, to powinno pomóc. Albert dziwi się, bo nigdy nie widział mnie z papierosem, i wbija wzrok w ekran. Gryzę się w język. Niepotrzebnie powiedziałem o tym słabym śnie. Jeśli miał jeszcze wątpliwości – zniknęły.

Tu chodzi o Martina włączającego się z osobami i plecaczek, którego nie chce puścić. Zobaczymy, kolego, co kombinujesz. Przez podworzec idę normalnym krokiem, ale gdy Albert traci mnie z oczu, natychmiast przylegam do muru. Widzę tych dwóch, jak kopcą pospiesznie, widzę też, co jeszcze robią. Zgarbione, nerwowe, zakłamate gnojki. Gdybym miał aparat, zrobiłbym zdjęcie. Czekam, aż skończą. Podchodzę, zagaduję o szluga. Szczaw cofa się o krok, Martin przyciska plecak do piersi. Częstują. Rzucam parę żartów, udaję, że nic nie wiem. Żołądek kurczy mi się od dymu, zaczyna boleć głowa. Co mam z wami zrobić, chłopaki? Na razie nie robię nic, chowam tę wiedzę w sobie, upycham między inne tajemnice i cieszę się, bo myślę o niej, a nie o nich.

Z dziewczynami rozdajemy żywność na dalszą podróż. Chleb, jabłka i sardynki w puszkach wkrótce wylądują na nasypie kolejowym, więc żartuję, że po południu moglibyśmy zebrać je z powrotem. Felipa uważa ten żart za nieśmieszny. Jej zdaniem ci ludzie jedzą to samo od wielu dni, a wyrzucenie żarcia to jedyny akt buntu, na jaki mogą sobie pozwolić.

Zbierają się do wymarszu, ta wielka magma smutku. Rolują karimaty, sznurami krępują koce i wyciągają dzieci z kina polowego. Kobiety czekają przy bagażach, mężczyźni krążą, zadzierają głowy i bez przerwy palą papierosy. Namiot z gniazdkami znów przeżywa obłężenie, spóźnialscy tupią w miejscu i patrzą gniewnie na tych, którzy przynieśli tu nie tylko telefony, ale i powerbanki.

Przyjechała ekipa telewizyjna. Są z jakiejś słoweńskiej stacji, dwie dziewczyny i chłopacy jakby żywcem wyjęci z *American Pie* albo amerykańskiego talent show. Wolałbym, żeby tutaj nie podchodzili. Zawsze mogę pójść na zaplecze, wyłgam się sraczką, powiem, że Albert mnie wzywa. Zresztą Eve cieszy zainteresowanie mediów. Zdejmuje maseczkę i dyskretnie przesuwając się do kamery, po czym wygłasza przemowę o ludzkim nieszczęściu, swoim poświęceniu i zbydłczeniu prawicy. Potem jeszcze patrzy w ekran, jak wyszła, i wraca do nas. Mówi, że wykonała dobrą robotę. Ludzie w Europie zobaczą, co się tutaj dzieje. Dostaniemy pieniądze i przyjadą do nas nowi wolontariusze.

Muszę znaleźć Jusufa. Tymczasem zasypują mnie pytania: „Kiedy odchodzi transport i dokąd? Czy to ostatni etap podróży?”. Kobiety podtykają mi dzieci pod nos, martwią się, czy małeństwo zniesie tę mordęgę, po czym oddalają się w stronę Eve, która zrozumie je lepiej, a przynajmniej wyda podpaski.

Liczyłem, że Jusuf przyjdzie po jedzenie. Sam go poszukam. Usprawiedliwiam się przed Felipą i pytam, czy da sobie radę przez kilkanaście minut. Słyszę, że jestem niesolidny i żaden ze mnie pożytek. Przechodzę pod stołem, wtapiam się w tłum, zaczyna padać deszcz.

Czasem rozumiem Eve z tymi jej maseczkami i rękawiczkami, bo umyty pielgrzym w starych ubraniach śmierdzi jeszcze gorzej. Ci ludzie są inni, wyciosani, a nie ulepieni. Nie mam ochoty ich dotykać, a jeszcze bardziej nie chcę wylądować w obiektywie kamery. Niemal zapomniałem, jak wygląda Jusuf. Wszyscy są tutaj tacy podobni. Czterdzieści euro czeka w tylnej kieszeni.

Brodaty prorok z krucyfiksem patrzy wprost na mnie, jakby znał wszystkie moje winy.

Zanurkowałbym z powrotem w tłum, tylko nie mogę się ruszyć. Facet ma oczy mędrca oplecione przez zmarszczki, popękane wargi i dłonie pełne blizn. Pochyla się i dotyka skroni, jakby poprawiał okulary. Robi krok w moim kierunku, rezygnuje i odwraca się w stronę innego brodacza, który spieszy od pryszniców. Brodacz jest młodszy i bardziej przy kości. Aż dziwne, że zachował tyle sadła. Panowie wymieniają uścisk dłoni, a przy okazji i banknot. Prorok oddaje tamtemu płaszcz z kapturem, przekazuje wielki krucyfiks i różnym krokiem, odziany w bluzę Nike, zmierza do bramy, by dołączyć do oczekujących na wyjazd.

Brodzę wśród wyrzuconych ubrań, podartych toreb, plastikowych pojemników i zmaltretowanych koców. Niedaleko siatki, na tle koślawego napisu WE HAVE A DREAM, Jusuf produkuje się do kamery kulawą angielszczyzną. Opowiada o Damaszku, dzieciach i żonie zabitej podczas bombardowania. Troje reporterów z zachwytem łyka te brednie, dopytują o szczegóły. Nie mogę podejść, wolno mi tylko patrzeć.

Jusuf wyjmuje swój telefon, prezentuje jakieś zdjęcie do kamery, robi smutną minę i znika w tłumie.

Mikołaj natychmiast siada na ławce wiaty przystankowej i wyciąga tablet, tymczasem Jan nie może znaleźć sobie miejsca.

Na autobus czeka również nerwowy czterdziestolatek w skórzanej kurtce, zadbana staruszka w typie emerytowanej pracownicy naukowej i dwóch nastolatków w bluzach z pseudonimami youtuberów.

Podmuch wiosennego wiatru przewraca koziółek ustawiony u wylotu Madalińskiego, a kurier DHL zostawia furgonetkę na światłach awaryjnych i znika w drzwiach cukierni.

Uwagę Jana zwraca rudy kot, który wychynął z krzaków i kręci się w pobliżu. Jest tłuusty i ma obrózkę, nie boi się ludzi ani samochodów i węszy przy śmietniku.

Trach.

Dziś fala przybywa odrobinę wcześniej i gdy stawiamy się po powrocie z piekarni, osoby już wyładowują się z autobusów, by wpaść w lepkie łapki handlarzy. Lepkie jest dzisiaj wszystko, wyjąwszy moje myśli. Ledwo minęła ósma, a kontury już uległy rozmyciu, znikają kąty ostre, na zewnątrz i wewnątrz mnie. Zachodzę w głowę, co powinienem począć z Martinem.

To, co robi za piekarnią, jest oczywiście straszne, choć nie tak straszne jak zjadanie dzieci albo palenie ludzi żywcem. Ja jeden znam wszelkie odcienie straszności. Jestem jamą bez słońca, gdzie żyją ślepe bestie, duchem na dnie studni, nigdy nie osłabnę i nigdy nie umrę. Trapi mnie jednak ten cały Martin. Powinienem pójść z tym do Alberta. Jeśli sprawa się wyda, wszyscy wpadniemy w kłopoty. Z kolei gdy doniosę, Albert wyrzuci Martina, a jeśli Martin przepadnie, stracimy i Eve, zostaną tutaj z dwojgiem emerytów i brodatym Spockiem, *live long and prosper*. Z drugiej strony na co nam Eve?

Dziś zamiast cukierków rozdaję batony. Topią mi się w kieszeniach. Dzieci wpychają je sobie do ust niemal jeszcze w papierku i już, całe są w czekoladzie. Próbuję im tłumaczyć, że nie należy się tak spieszyć, ale one tylko proszą o jeszcze, oblażą mnie, szarpną za nogawki i koszulkę, próbują przeszukiwać mi kurtkę. A jeśli Albert pójdzie na policję i aresztują nam Martina? Chłopak nie poradzi sobie w słoweńskim więzieniu. Wyraźnie widzę jego drobne ciało zwisające na podartym prześcieradle przywiązany do kraty. Uciekam przed tym wyobrażeniem, uciekam też od dzieci, idę szybkim krokiem przez schnące blocko, a jeden z malców biegnie za mną, wywraca się w kałuży i wybucha płaczem. Zawracam, próbuję go podnieść. Proszę, by niczym się nie martwił. Dziś rozdajemy ubrania, przygotowuję dla niego coś super. Daję mu snickersa. Martin, zwisający z kraty, otwiera krwawe oczy.

Duszno, choć jestem na powietrzu. Krzywo stoję i upadłbym, gdyby nie osoby. Podtrzymują mnie, gadają coś po swojemu, a ja tylko sprawdzam, czy w tylnej kieszeni wciąż mam czterdzieści euro. Próbuję policzyć, ile godzin zostało do zmroku. Może wreszcie zasnę? Dziękuję dobrym osobom, dziękuję pięknie, fajnie, że przyplłynęliście tu w dłubance, żeby mnie podtrzymać. Ja nie upadnę. Ja jestem permanentnym upadkiem i bardzo potrzebuję snu. Sen nosi imię Leóna.

A gdybym porozmawiał z nim o Martinie? León przeżył swoje i powinien znaleźć właściwe rozwiązanie. Lecz co, jeżeli uzna, że byliśmy współnikami i pokłóciliśmy się o łupy? León nie ma jednak żadnego zdania, bo póleży na krześle, spocony i blady. Prawda to czy sen? Klepię go w policzek, chcę wołać pomocy. León patrzy na mnie z przestachem.

Nie ma pojęcia, co się stało, i początkowo nie chce mi wierzyć. Wrócił z treningu, wziął prysznic, przyszedł tutaj i zgłosił mu światło. Mówiąc to, próbuje się uśmiechać, ale jest bezradny i przejęty. Pytam, co planuje z tym zrobić. León zaczyna krążyć po namiocie, dowodząc, że wszystko już w porządku. Nic nie robi, w jego wieku takie rzeczy czasem się zdarzają. Jakoś trudno mi teraz poprosić o pigułki nasenne. Pytam raz jeszcze, czy mogę coś dla niego zrobić, on, wciąż blady, prosi, bym zapomniał o tym nic nie znaczącym incydencie.

Kto sam jest sobie doktorem, ten leczy się u szarlatana, a ja noszę w sobie już dwie tajemnice i mam o czym myśleć podczas rozdawania ubrań. Przed moim nosem rozcapierzają się brązowe dłonie. Osoby się przekrzykują, każda chce czegoś innego. Pokazują dziury w butach i poprzecierane rękawy kurtek. Łachy leżą za mną w pojemnikach z plastiku. Nie pamiętam, jak tutaj się znalazłem. Przecież chwilę temu siedziałem u Leóna.

Ubrania przywieziono rano i jest ich bardzo dużo. Mam botki za kostkę wykonane ze sztucznej skóry i adidasy na grubej podeszwie. Ciśnięto je luzem do głębokich pudeł i mija

chwila, nim udaje mi się wyłowić właściwą parę. Prócz tego przyjechały bawełniane dresy, polary, swetry i ortalionowe kurtki, a także rękawiczki, hipsterskie szale i bluzy z kapturem. Brakuje bielizny i koszulek. Do południa jeszcze daleko, lecz słońce już mocno grzeje.

Osoby zdejmują własne kurtki i bluzy, a ja rozdaję im nowe. Niektórzy ciskają stare buty na stół, inni próbują drapnąć więcej niż parę, wskazując na dzieci grające w piłkę przy siatce. W tylnych szeregach trwa gorączkowa wymiana. Pociągam łyk mineralnej, na co patrzy przynajmniej dwadzieścia spragnionych osób. Gdzieś z tyłu dobiega huk armatek wodnych. Jak na złość ubrania nie chcą się skończyć, a gdy wreszcie, po milionie lat, to następuje, osoby zaczynają falować i buczeć. Boję się, że wezmą namiot szturmem, szarpną się tam z tyłu, w końcu ustępują, zostawiając za sobą wdeptane w ziemię stare kurtki, buty i polary.

Jeśli ktoś powinien poznać sekret Leóna, to tylko Felipa. Dziś jej nie widziałem. Nie mogę jej znaleźć w namiocie przedszkolnym, gdzie lubi przebywać. Tu ktoś z Fontexu namawia dzieci, by narysowały swoje marzenia związane z Europą, i kredki idą w ruch. Na kartkach rosną szklane domy i rodziny trzymające się za ręce. Jeden zadowolony z siebie malec bazgrze xboxa razem z padem i czujnikiem ruchu. Felipa raczej nie pochwaliłaby takiego obrazka. Ona woli czytać dzieciakom baśnie z kolorowej księgi, święta Hiszpanka, babcia wypędzonych.

Nie ma jej ani przy sanitariatach, ani w kuchni, ani w namiocie z gniazdkami. Od strony bramy niesie się ryk. Młode osoby potrząsają siatką i ryczą: *Freedom! Freedom!*, jak w piosence George'a Michaela. Ktoś nawet próbuje się wspinać i zaraz spada strącony elektrycznym pastuchem. Policjant cofa się ku swoim. Naciąga maskę, unosi tarczę, zasłania każdy kawałek skóry.

Osoby podnoszą biedaka porażonego prądem, wciąż wrzeszczą o wolności, a ja zawieszam wzrok na zaimprovizowanej kuchni. Nad koksownikiem zainstalowano okopconą kratę, na kracie leży folia, na niej chleb, pokrojone jabłka i mięso z puszki owinięte ciastem. Osoby dokładają do ognia zniszczone ubrania i buty. Z przechylonej folii ścieka tłuszcz. Mam ochotę ich poprosić, żeby tak nie robili. Obiad przejdzie im skarpetą, a przecież Eve czeka z posiłkiem. Węgiel drzewny się znajdzie, jeśli bardzo chcą, przyniosę im drzewo z lasu. Powiedziałbym tak i chyba nawet mówię, bo osoby się podrywają i zasłaniają sobą koksownik.

Nieoczekiwanie skandowanie o wolności przechodzi w *Imagine*. Chłopak, który to śpiewa, ma głos jak Lennon. Kopię ten cholerny koksownik, niech osoby krzyczą – zagłuszają piosenkę. Z rękami na uszach biegnę do naszego namiotu.

Felipa stuka w laptopa, obok porozkładała wydruki. Jest tak pochłonięta pracą, że dostrzega mnie, dopiero gdy trącam łóżko. Zdejmuje słuchawki powolnym ruchem jak więzień, któremu właśnie oznajmiono wyrok śmierci. Zatrząskuje komputer, zgarnia ku sobie papiery i zakrywa telefon poduszką. Pyta, co tutaj robię. Dlaczego nie szanuję jej prywatności? Nie mogłem zapukać? Odpowiadam, że co najwyżej potrząsnąłbym parawanem, a ona krzyczy, że z takimi dowcipami mogę iść do Alberta czy innego półgłówka. Pyta, czemu jeszcze tu stoję, przyciskając komputer do piersi. W nim skarby, sekrety. Zaczynam mówić o Leónie. Felipa przerywa po dwóch słowach: co ją León, co mnie León, Polaczku, wypierdalaj!

Wycofuję się na łóżko, gdzie przecież nie usiedzę. Wychodzę na zewnątrz. Pierwszy raz ktoś mnie tak potraktował, zapewne słusznie. Od bramy wciąż niesie się *Imagine*. Osoby, poza jedną, nie znają słów, więc nuca samą melodię w szumie silnika nadciągającej armatki wodnej. Z koksownika biją gryzące kłęby czarnego dymu. León rozprostowuje ramiona przed namiotem medycznym. Powinienem wrócić do Felipy z przeprosinami, to jednak ją rozżłości. Nie chcę jej rozżłóścić. Mam nadzieję, że nie myśli o mnie źle.

Podczas obiadu Felipa zachowuje się wyniośle jak zwykle. Je gulasz, nie odrywając wzroku od laptopa, obklejonego naklejkami organizacji walczących o prawa zwierząt. Telewizor ustawiony na blacie kreślarskim wyświetla *W osiemdziesiąt dni dookoła hocy* ze słoweńskim dubbingiem, a Klara wygląda pięknie.

Eve prosi, żebyśmy zostali po posiłku, gdyż chce ogłosić coś ważnego. Felipa uśmiecha się szeroko, mówi, że wprost nie może się doczekać, i wraca do gulaszu. Albert nawet nie podniósł głowy znad telefonu. Pobladł, pod oczami ma głębokie cienie, choć przy biednym Leónie wciąż wygląda jak wicekról życia. Martin pokornie wiosłuje łyżką, głowę trzyma nisko, a rękę na kolanie Eve.

Żołądek, ściśnięty kawą i brakiem snu, jeży się na gulasz, który – tak czuję – zaraz wyjdzie mi wszystkimi porami skóry. Czuję go już na plecach i pod pachami. Niedługo krew odpłynie z głowy, przynosząc senność, i ziemia ucieknie mi spod stóp. Mrużę oczy, by wzrok odzyskał ostrość. Nikt nie wyjdzie stąd żywy, myślę. Wreszcie Eve odkłada plastikowe sztucce i ociera usta chusteczką jednorazową.

– Mam nadzieję, że pamiętacie, o czym niedawno wspominałam. Otóż nie wszystkie potrzeby naszych gości są spełnione. Owszem, staramy się je spełniać. Z wyjątkiem jednej.

Albert nie zrozumiał, Martin przysuwa się do Eve, León udaje zajętego dłubaniem w zębach wykałaczką. Znad laptopa rozbrzmiewa śmiech Felipy:

– Doskonały pomysł! Zrób każdemu dobrze ręką, nie będą chcieli jechać!

– Tych ludzi na długie tygodnie odarto z ich seksualności. Możecie się śmiać, ale najpierw postawcie się w ich sytuacji. Może wtedy nie będzie wam tak wesoło.

Felipa uderza dłońmi o uda.

– Ja jestem w ich sytuacji!

León wyjmuję wykałaczkę z ust i pąsowieje. Albert odkłada telefon.

– Słuchajcie, ja tam się cieszę, że wypłynął ten pomysł – mówi, unosząc i opuszczając dłonie. – Eve, brawo za odwagę! Ale pamiętaj, że to są inni ludzie niż ja czy ty. Jakby się mieli pieprzyć, toby się pieprzyli i pod śpiworami. Moim zdaniem wytrzymają te parę dni bez orgazmu.

– Wiem, że są inni. Ale są ludźmi. Dlatego proponuję namiot małżeński.

– Namiot małżeński, tak?

– Wystarczy nieduży. Rozejrzałam się po Imagine, mamy też zdjęcia z drona. Patrzcie: wystarczy namiot trzy na trzy, o połowę mniejszy od naszego. Mógłby stanąć o tutaj, między ogrodzeniem a sanitariatami. Poza tym sprawdziłam informacje z obozów w Dubovej i...

Felipa trzaska laptopem:

– Za sanitariatami? Świetne miejsce, pierdolą się tam i bez namiotu.

– Albert, mógłbyś jej coś powiedzieć?! Ja tego nie odpuszczę. W Dubovej tak zrobili i działa!

Eve rozkłada na stole plan namiotu z dwoma łózkami przedzielonymi parawanem. Przekonuje, że koszty przedsięwzięcia są właściwie żadne, a dobra wola stanowi najcenniejszą z walut.

Felipa podnosi się z posłania. León, dotąd zaabsorbowany robieniem sobie kawy, wraca do stolika z parującym kubkiem, unosi mokre dłonie i oznajmia, że do sprawy podejście poważnie. Głosujemy.

Eve jest na tak. Dłoń Martina opornie wędruje w górę. León splótł palce na stole i uśmiecha się pod nosem, a Felipa wróciła do komputera. Albert zawsze głośno ostatni, więc oczy wszystkich zwracają się ku mnie. Pocę się, ślizgam na krzeselku, próbuję ocenić wynik. Jeśli poprę Eve i Martina, nie wrócę już do łask Felipy. Zrobiłem jej przykrość, chciałbym to zażegnać. Kręcę głową. Mówię, że pomysł nie ma sensu, a Eve posyła mi wściekłe spojrzenie.

Felipa unosi rękę, zdobną w bransolety i pierścienie.

– No co tak patrzycie? Przecież mówiłam, że to doskonały pomysł!

Dłoń Alberta wciąż krąży nad telefonem. Czyli trzy do trzech, remis, a zarazem moja osobista klęska. Eve chce wiedzieć, co przewidziano w takich sytuacjach – wniosek nie przeszedł, nie został też odrzucony. W oczach Alberta po raz pierwszy dostrzegam znużenie.

– I bez tego mamy mnóstwo na głowie. Dobra, kochani, pomarudziliśmy, bierzmy się lepiej do pracy.

Eve protestuje – według niej Albert przekracza swoje kompetencje. Przypomina mu, że nikt nie wybrał go na wodza i wszyscy tutaj jesteśmy równi. Podnosi głos do krzyku. Jest mała, czerwona i zaciska piąstki. Powtarza: „Jakim prawem? Jakim prawem?”. Albert wpycha telefon do kieszeni. Mówi, że jebanie się po krzakach nie weszło jeszcze na listę praw człowieka, a w wypadku równego rozkładu głosów decyzja należy do niego, po czym wychodzi, potykając się o kable i plastikowe pudełka. Kulę się pod węzowym wzrokiem Felipy. Eve stoi jeszcze chwilę oszołomiona i zaczyna rugać Martina za to, że siedział cicho i nic nie zrobił.

Wieczorem oglądamy relację z pożaru w Dubovej, Eve z wyraźnie skwaszoną miną. Gęste kłęby dymu zasnuły niebo. Płomienie pożerają trawy, z namiotów strzelają ogniste pióropusze, a przejęte, przestraszone osoby próbują je gasić, używając bluz i kurtek. Większość tłoczy się jednak na zewnątrz, otoczona przez flegmatycznych policjantów. Otulają się kocami i chustami w kwiaty. Kamera zatrzymuje się na smutnym chłopczyku ściskającym jednorazowy płaszcz przeciwdeszczowy. Za chłopczykiem kołysze się szary łąn. Eve popija herbatę przez rurkę, jakby brzeg jej kubka z łosiem był siedliskiem zabójczych bakterii. Nie rozumiem po słoweńsku, ale głos zza kadru chyba sugeruje, że obóz podpalili mieszkańcy, nikt inny. Dron filmuje kwadrat spalonej ziemi i osowiełe grupki osób stojące nieopodal.

Jak znam Eve, jest gotowa wygłosić tyradę o związku pomiędzy tłumioną energią seksualną i agresją. Siorbie herbatę, gapi się w telewizor i wreszcie mówi, że bardzo jej pomogłem. Moja bierna postawa doskonale nam służy. Po prostu chcę, żeby wszyscy mnie lubili. Liczy, że zmienię zdanie, wówczas Albert ustąpi. Tak właśnie powinienem zrobić. Jak mogę spać spokojnie, kiedy moje łóżko płonie? Zostawia mnie z tym pytaniem. Zapewne żałuje, że nie ma tu drzwi, którymi można by trzasnąć.

Zostaję sam, czego nie umiem wytrzymać. Mógłbym dziś prześcignąć nieszczęsnego Leóna albo zbudować seksnamiot z zapalek. Jestem niepokonany i nieśmiertelny, a serce zapomniało o bezsenności i pompuje w żyły krew bogów, jak zawsze pomiędzy dziewiętnastą a dwudziestą trzydzieści.

W kuchni Felipa przygotowuje paprykarz z fasolą. Stoi nad garem i miesza, pogwizdując. Mówi, że dobry paprykarz powinno się gotować przez kilka godzin. To danie biednych ludzi, ale może być smaczne. Wypowiada te słowa, jakby prześwietlała mnie na wylot, i przez chwilę mam pewność, że tak właśnie jest. Pytam, jak mogę pomóc, nadskakuję, niemal wyrywam łyżkę.

Felipa ma swoje lata i nie powinna się tak męczyć.

Twierdzi, że Imagine to zwykła zabawa, przynajmniej w porównaniu z tym, co działo się jeszcze niedawno na Morzu Śródziemnym. Wszyscy mieli w dupie łódki z uchodźcami, cały cholerny świat szczał na nie poza życzliwą Hiszpanią. To ona, León i jeszcze paru innych wypływali na morze noc w noc. Świecili latarkami i komórkami, wyławiali ludzi. Po tym doświadczeniu może stać nad paprykarzem następną dekadę i doskonale obejdzie się bez pomocy.

Zaciskam ręce na brzegu stołu i przypominam z irytacją, że jestem tutaj potrzebny. Dla Felipy śmiech jest odpowiedzią na wszystko. Stwierdza, że jestem uroczy, kiedy się złoścę, w pewien sposób przypominam jej syna. Skoro już przy dzieciach, ma zadanie dla twardziela takiego jak ja: przejdę się po Imagine i porozdaję kaszkę dla niemowląt.

Wyobrażam sobie, jak łódka z Felipą idzie na dno Morza Śródziemnego, a woda wlewa się do tych rozwartych, pomarszczonych ust. Pytam o te kaszki, gdzie są, ile powinienem zabrać, zaś Felipa puszcza łyżkę i chce wiedzieć, co ze mną nie tak. Zniecierpliwionym gestem wskazuje półkę pełną plastikowych pojemników; właściwy muszę znaleźć sam. Niemowląt będzie najwyżej kilkoro. Jeśli nagotuję za dużo, Albert każe nam to zeżreć.

Moje ciało uruchamia właściwą sekwencję ruchów w chwili, gdy tylko kładę jabłko i pojemnik z kaszką przy kuchence gazowej. Dłoń sama obiera owoc i go ściera. Jabłko robi się coraz mniejsze, aż zostaje mięciutki ogryzek trzymany w samych opuszkach.

Jestem trochę w namiocie gastronomicznym, a trochę w znajomej, ciemnej kuchence, gdzie stół przykryty ceratą, mikrofalówka i noże o drewnianych rączkach schną na pomarańczowym ociekaczu. Na parapecie stoją kaktusy, okno wychodzi na drzewa parku Morskie Oko, albo i nie wychodzi, bo w plandecie nie ma żadnych okien. Wsypuję kaszkę do garnka, zalewam wodą, zapalam gaz i płuczę dłoń. Bełtam łyżką, temperaturę sprawdzam palcem, tylko tak można, tylko tak będzie dobrze. Zagapiam się i wyłączam palnik w ostatniej chwili, gdy kaszka zaczyna bulgotać. Przelewam ją przez sitko do wygotowanych butelek, dodaję starte jabłko, potrząsam, z mojego pokoju dochodzi zapach pudru. Stukocze rozpędzony tramwaj. Felipa kładzie mi dłoń na policzku:

– Czego płaczesz, głupi?

Gorąco wieczoru podbija dźwięki: agregatory warczą głośniejsz, zapalniczki strzelają jak bomby, a od tardisów dochodzi warkot samochodu wywożącego nieczystości. Piosenki rozpalają się i gasną. Zimne reflektory ślizgają się między leżącymi a tłumem oblegającym punkt dystrybucji wody. Półnagi chłopczyk próbuje mi sprzedać ludzika wykonanego z puszki i źle znosi odmowę. Nie masz młodszego rodzeństwa, umorusany przyjacielu?

Młode matki ukryto lepiej niż nielegalny skład z bronią. Kobiety są okutane, otoczone kordonem brodatych mężów i kuzynów, więc nie umiem stwierdzić, czy rzeczywiście przyciskają do piersi niemowlęta. Mężczyźni przejmują butelki i nieufnie lustrują ich zawartość. Ten stary dureń, León, wychodzi na wieczorny trening. Mówi, że z niemowlętami dziś słabo. Powinienem dać sobie spokój.

Pierwsza samotna matka wygląda jak Mia Khalifa. Sypie się jej wąsik, nosi wielkie okulary. W lepszym świecie pracowałaby za barem albo w okienku samochodowym McDonalda, teraz jednak siedzi na kocu i próbuje ukołysać malca opatulonego po czubek głowy. Nie rozumie, co

do niej mówię, cofa się i zerka na boki. Pewnie myśli, że chcę jej zabrać dziecko. Podsuwam butelkę z kaszką. Pytam, czy czegoś nie potrzebuje. Kobieta wyrzuca z siebie gigantyczną liczbę słów, tymczasem malec przysysa się do butelki. Siadam przy nich. Przynieść wam wody? Może chcesz, żeby León was przebadał? Kobieta kładzie mi dziecko na rękach. Wskazuje na prysznic. Onieśmiałony, dziękuję za zaufanie. Idź, umyj się, rób, co chcesz. Mogę tu czekać do rana.

Kobieta odchodzi, nieustannie zerkając za siebie, w połowie drogi zatrzymuje się, jakby chciała zawrócić. Zapomniałem już, że niemowlęta są takie kruche. Boję się, że je upuszczę bądź przytulę za mocno i zmiażdżę miękką główkę. Pieśni snują się nad gorącą ziemią. Dziecko odtrąca butelkę. Delikatnie przekładam je przez ramię, żeby odbić. Wyobrażam sobie, że to chłopiec. Wyobrażam sobie, że wstaję i idę do bramy z tym chłopczykiem ukrytym pod kurtką. Strażnik jest zdziwiony, lecz nie zadaje pytań. Wędrujemy lasem, wzdłuż dróg. Kosturem rozgarniam chaszczę. Za drzewami błyskają światła samochodów. Chłopczyk jest bardzo spokojny. Do Rijače docieramy przed świtem. Tam karmię mojego nowego syna i patrzę z ukrycia, jak Albert i Martin ładują chleb do vana. Udajemy się w podróż. Pociągiem, autobusem, samolotem i promem, aż wreszcie jesteśmy w domu, gdzie każdy ma swój pokój. Mija czas. Wieczorami oglądamy serię o Avengersach, zajadając się popcornem, gramy w *Minecrafta* i chodzimy do pobliskiego parku, żeby postrzelać z łuku strzałami o miękkich grotach. Kłócimy się o dostęp do smartfona, wstawanie do szkoły i gaszenie światła już o dziesiątej. Kalendarz wypełniają słoneczka i chmurki. Farba nie chce przykryć bazgrołów na ścianie w przedpokoju.

Tak nie będzie. Przekazuję dziecko matce, jakbym oddawał część siebie. Tuli je zazdrośnie, zdaje się rozpoznawać moje myśli. Muszę natychmiast zapomnieć o tym, co się wydarzyło. Przykrość zakryję inną przykrością. Chciałbym, aby mnie pobili. Z tą myślą powracam do namiotu gastronomicznego, gdzie Felipa niezmordowanie miesza paprykarz. Idę o zakład, że przy tym popija. Choć może ma inne tajemnice? Już wiem: winę zakryję psotą. Wycofuję się cicho i zaraz puszczam biegiem, dla żartu unikając hulających świateł, jakbym uciekał z więzienia. U Alberta oczywiście się świeci, lecz nasz namiot jest ciemny i pusty. Zakradam się za parawan Felipy. Rozgrzebuję jej mały świat.

Komputera nie wolno mi tknąć, ale notatki, zdjęcia i pękaty wizytownik mi wystarczą. Już wiem. Odkładam wszystko tak, jak leżało: notatki wsuwam z powrotem do segregatora, zdjęcia do koperty, wizytownik do płóciennej torby obciążającej stelaż. Idę do łóżka i kładę się na plecach. Myślę o ciemnoskórym dziecku okutanym w pled, o władzy, którą przez chwilę nad nim miałem, a także o władzy nad życiem Felipy, pozyskanej przed chwilą i radośnie kłopotliwej. Jestem silny i sprawiedliwy. W tym próbuję odnaleźć spokój, lecz z krawędzi snu zawraca mnie pożar, który dzisiaj widziałem w telewizji, i słowa biednej, głupiej Eve: „Jak możesz spać w płonącym łóżku?”.

To miejsce strawi ogień. Tylko skąd iskra? No skąd?

Kiedyś lubiłem rzeczy. Cieszyły mnie nowe laptopy, telefony, elektroniczne notatniki i smartwatche, a gdybym zrobił prawo jazdy, wymieniałbym auto co roku. Lubiałem patrzeć na półki pełne powieści w kolorowych okładkach i płyt z kolejnymi sezonami seriali. Pieściłem się myślą, że książek na Kindlu starczy mi do końca życia. Teraz mam dwie pary spodni, kilka

koszulek, dezodorant marki Old Spice podprowadzony z darów i krem do golenia w upapranej tubce. Każdy nowy przedmiot musi być potrzebny, dlatego sprawia radość. Niech służy jak najdłużej.

Moim najnowszym przedmiotem jest błękitny notes rozmiarów szkolnej preparatki. Pełno takich wala się w magazynie. Godzinę przed świtem spędzam na notowaniu i szyfrowaniu. Każdy z wolontariuszy otrzymuje osobną stronę i stosowny pseudonim. León to Ronaldo, Martin został Kucem, Felipa Jagą, zaś za Enigmę wystarczy polszczyzna. Zapisuję wszystko, co przeczytałem i podpatrzyłem. Nie wiem jeszcze, dlaczego to robię, ale czuję, że tak powinienem. Z notatnikiem w tylnej kieszeni czuję się mocniejszy.

U Alberta świeciło się, gdy wracałem do namiotu, świeci się i teraz, więc zastanawiam się, czy dziś pojedziemy. Nasz dzielny brodacze przychodzi punktualnie, blady jak wampir i nakręcony. Wspomina coś o bitwie w *Eve Online*. Przygotowywali się do niej przez kilka miesięcy i bach, zrobiła się rozpięducha jak u Lucasa w siedemdziesiątym siódmym. Zaraz dodaje, że bym się nie martwił. Wrócimy z chlebem, to się zdrzemnie. W Szwajcarii często kładł się o świcie. Odpala samochód. Na tylnym siedzeniu Martin wybija się ze snu.

Z daleka dochodzi łoskot. Klaszczą dłonie. Transport przyjechał – nawet nie wiedzieliśmy. Miejmy nadzieję, że Ali sobie poradzi. Handlarze już rozkładają stoiska, otwiera się brama. Jedziemy powoli, a z porannej mgły, jak duchy, wyłaniają się stada półprzytomnych osób. Osoby mrużą oczy, oślepienie długimi światłami naszego vana. Dzieci pokazują na brzuchy i dotykają maski samochodu. Malec niesiony na barana nasuwa ojcu czapkę na nos. Dalej, w ciemności, migają fosforyzujące zjawy. Policja konna też nosi kamizelki odblaskowe.

Do szyby przykleja się dziecięca rączka i natychmiast się cofa. Albert przechyla się do przodu i unosi łokcie, jakby pchał vana siłą własnych mięśni. Ktoś powinien nas uprzedzić, narzeka, od tego są telefony. Jego zdaniem komunikacja jest najważniejsza: ja mówię coś tobie, ty mówisz mnie i świat zaczyna działać. Na potwierdzenie tych słów dzwoni do Ernesta i prosi, by przygotował nam więcej chlebów. Wolną ręką elegancko kręci kierownicą. Gdy wjeżdżamy na drogę główną, dociska gaz, a ze skroni sunie mu tłusta kropla potu.

Rzeczywiście, chleba jest więcej i nawet Albert włącza się w ładowanie. Pokazuje mi, jak powinienem rwać pudła z palet: należy wyprostować plecy i przykucnąć – toż siła idzie z nóg. Mówiąc to, mierzwi mi włosy.

Martin, nim zniknie za rogiem, posyła mi porozumiewawczy uśmiech. Sądzi, że teraz z nim trzymam, że dołączyłem do jego małej konspiracji, i raduje mnie słodkie brzemię tej żalostnej tajemnicy. Ciekawe, co by zrobił, gdybym teraz pogadał z Albertem. Albert bez przerwy przeciera sobie twarz chusteczką i dziwi się, czemu mokrymi palcami źle stuka mu się w telefon. Jedną słuchawkę ma w uchu, druga luźno zwisa. Brzmi prosta muzyka marszowa. Albert pyta, czy przypadkiem nie mam napoju energetycznego, i wzdycha, gdy zaprzeczam. Krzyczy na Martina, by się pospieszył. Naprawdę musisz palić na głodniaka, młody?

Spod kół tryska żwir. Czerwone dachy i czapki krasnali śmigają mi przed oczami. Albert monotonnym głosem mówi, że powinniśmy pozyskać jeszcze kilku wolontariuszy, najlepiej takich, którzy znają perski, arabski, kurdyjski i turecki, słowem: jakoś dogadają się z osobami. Przy zjeździe z drogi głównej wreszcie się zamyka i rozluźnia nogę na pedale gazu. Las się przerzedza i już po chwili suniemy przez pole zasłane śmieciami. Przed nami migają światła

Imagine, autobusów i samochodów policyjnych. Tłum osób oblega bramę. Jesteśmy tak blisko, że mogę przeczytać napis NO ONE IS ILLEGAL na transparencie. Albert go nie widzi, bo śpi z głową złożoną na kierownicy.

Policjant macha ramionami, inny przyska gdzieś na bok, osoby odwracają głowy w naszym kierunku, a czas usłużnie zwalnia: widzę rozwarte usta i oczy, zdziwioną dziewczynkę i uniesiony paluszek, czapki nałożone daszkiem do tyłu i ortalionowe dresy odbijające światła reflektorów. Część osób ucieka, niektóre osłaniają dzieci, lecz reszta po prostu stoi, jakby pozowała do grupowego zdjęcia.

Szarpię za kierownicę, Albert wali głową w szybę, lecz wciąż jest nieprzytomny, z nogą na gazie. Wypadamy z drogi, samochodem szarpie, rozlega się trzask, jakby nas rozerwało. Jedziemy przez trawę, a osoby czmychają sprzed kół. Martin wrzeszczy, chyba próbuje otworzyć drzwi. Ja wciąż ściskam kierownicę. Podskakujemy na czymś – człowiek czy wór? Skręcam, a krzyk Martina przechodzi w pisk, bo pędzimy prosto na samotne drzewo. Więc tak to się skończy. Przynajmniej nikogo nie przejadę, decyzja podjęta, wreszcie podjąłem coś innego niż pieniądze z banku, to dobrze, nie mogło być lepiej, jestem we właściwym miejscu o właściwym czasie. Martin próbuje wyrwać mi kierownicę – tak bardzo chce żyć, że woli przejechać człowieka, ale mu nie dam, nie tym razem. Drzewo rośnie w tym zwolnionym czasie, gdzie nie ma niczego, żadnego żalu ani wspomnień, życie nie przelatuje mi przed oczami, bo nie ma co przelatywać. Oby poszło szybko. Jakie to drzewo? Nie znam się na drzewach i teraz trochę głupio. To klon albo kasztan, chciałbym wiedzieć, wypadaloby wiedzieć, ono rośnie. Chyba jednak modrzew. Tak.

Jakoś w tamtych dniach – kiedy Mikołaj skończył roczek, a nasze życie we czworo nieodwołalnie dobiegało końca – kupiłem sobie pierwszy prawdziwy telefon komórkowy. Wcześniej miałem tylko starego alcatela, wielkiego jak pilot do telewizora, do tego z antenką stworzoną do dłubania w uchu. Kąpanie brzdąca z dłonią pod główką, przewijanie, a także nieznośne, wspólne obiady, kiedy mama podśpiewywała, kładąc przed nami kaczkę z piekarnika, jakoś się pozacierały, za to tę nową komórkę pamiętam, jakbym dopiero co wypuścił ją z dłoni.

Obie panie okazały się przeciwne zakupowi. Julka opowiadała o pilniejszych wydatkach, a mama utrzymywała, że podążam za modą i znów próbuję być taki jak inni. Miała trochę racji, bo na naszym roku ja jeden miałem stary telefon. Tłumaczyłem, że nie chodzi tutaj o mnie, tylko o dziecko. A jeśli coś mu się stanie, gdy akurat będziemy na spacerze, a ten stary alcatel nagle wysiądzie? Bateria wyładowuje się nagle, w jednej chwili działa, w drugiej już nie, bez przerwy trzeba ją ładować. Wystarczy, że pojedziemy na całodzienną wycieczkę i nam padnie, ta bateria. Mama uznała słuszność argumentu, lecz zaraz dodała, że nie zabieramy dziecka na wycieczki. Jacy z nas rodzice? Myślimy tylko o własnych przyjemnościach, o jakichś telefonach komórkowych. W końcu powiedziałem, że w nowym mieszkaniu najprawdopodobniej nie będziemy mieli aparatu stacjonarnego i druga w pełni sprawna komórka jest równie istotna co bilet miesięczny i zestaw do laktacji. Julka niechętnie przytaknęła.

Pierwsza przeszkoda runęła, została druga, poważniejsza. Komórkę mogłem wziąć tylko na mamę – przecież nie zarabiałem żadnych pieniędzy. Mama zmarszczyła czoło, udając głęboki namysł, dobyła z siebie przeciągłe „Nie” i mogę przysiąc, że w jej oczach rozbłysły iskierki radości. Niewiele to znaczyło, bo mama zawsze znajdowała radość w odmawianiu. Jak wielu

mądrych ludzi umiała cieszyć się drobiazgami, w tym przypadku – małą władzą nad ludźmi. Obiecałem, że postaram się odwieść Julkę od pomysłu przeprowadzki, a przynajmniej złagodzę jej skutki. Wówczas mama zdradziła mi, co zamierza. Następnego dnia poszliśmy do salonu Idei podpisać umowę.

Nie chciałem przehandlować naszej przeprowadzki za komórkę. Nawet nie przeszło mi to przez myśl. Lubiłem mieszkanie na Dworkowej i bałem się, że jeśli Julka pójdzie do pracy, to na mnie spadnie cały trud związany z opieką. I bez tego byłem zmęczony, poza tym nie chciałem utknąć gdzieś na rogatkach Warszawy. Julka wybrała ucieczkę na oślep, myślałem, a to nigdy nie jest dobre rozwiązanie.

Wybrałem Motorolę RAZR V3, model z klapką, kolorowym wyświetlaczem, *Raymanem 3* i *Pinballem*. Przez cały wieczór puszczałem Mikołajowi melodyjki. Na dzwonek wybrałem tę, przy której śmiał się najgłośniej.

Jeszcze nie skończyłem się cieszyć telefonem, gdy mama podzieliła się z Julką swoim pomysłem. Zaczęła od tego, że doskonale rozumie jej decyzję. Doszło między nimi do spięć, których nie dało się uniknąć. Żadne młode małżeństwo nie powinno mieszkać z teściową. To rozumie, zaznaczyła, i nie ma do Julki żadnych pretensji. Być może wyprowadzka przywróci dobre stosunki między nimi, na czym skorzysta Mikołaj. Julka patrzyła na mamę, jakby ta zaczynała zmieniać się w wilka. Zdaniem mamy plan miał jeden słaby punkt – Białołękę. Właściwie czemuśmy się uparli na tę dzielnicę? Przecież co tanie, to drogie. Zmarnujemy godziny na dojazdy i wydamy fortunę na taksówki. Co, jeżeli będziemy chcieli wyjść, tak jak niedawno, do restauracji? Przecież tam nie ma żadnej. Jak podrzucimy jej dziecko? Opiekunki nie zechcą tam przyjeżdżać, a Julka, gdy opadnie euforia, zacznie żałować swojej decyzji. Dlatego należałoby poczekać, nie dłużej niż trzy lata. Julka oczywiście pójdzie do pracy, zarobione pieniądze odłoży na wkład własny do kredytu mieszkaniowego, a ona, mama, dorzuci nam z własnych oszczędności. Jakoś razem wytrzymamy, a za trzy lata Julka, Mikołaj i ja wprowadzimy się do własnego mieszkania, z którego nikt nas nie wyrzuci.

Starłem się robić minę, jakbym słyszał te słowa po raz pierwszy. Julka odmówiła. Jej zdaniem czas był ważniejszy od pieniędzy. Zagryzie zęby, wytrzyma. Mama odparła, że szanuje także tę decyzję. A gdybyśmy tak zamieszkali bliżej, na Mokotowie? Dołoży nam do odstępnego, wyrówna różnicę w czynszach, a nam odpadną dojazdy, pustka nowego osiedla i wydatki na opiekunkę.

Natychmiast powiedziałem, że to doskonały pomysł. Zamieszkamy we troje w centrum Warszawy, co będzie dobre nie tylko dla nas, ale i dla Mikołaja. Tutaj są szpitale i parki, będziemy sobie dalej chodzić po Morskim Oku i Królikarni, a całą zimę spędzimy na sankach, na Polu Mokotowskim. Na uczelnię jeździ bezpośredni autobus. Julka łatwiej znajdzie pracę w centrum. Mało tego, zatrudnię się w knajpie i każdy zarobiony grosz odłożę na wkład do kredytu mieszkaniowego. Później się dowiedziałem, że ten ostatni pomysł niezbyt spodobał się mamie. Nie uzgadnialiśmy go wcześniej.

Julka podziękowała za propozycję i oznajmiła, że musi ją przemyśleć, jest bowiem zbyt szcudra. Panie wstały od stołu jednocześnie i przez kilka sekund myślałem, że się obejmą.

Gdy Mikołaj zasnął, zapytałem Julkę, o co jej chodzi. Kto o zdrowych zmysłach odrzuca taką ofertę? Julka chciała wiedzieć, czy wcześniej rozmawiałem z mamą. Jej głos był dziwny, stłumiony. Siedzieliśmy na brzegu łóżka jak pierwszej nocy na Starych Bielanych, tylko wszystko było boleśnie inne. Zaprzeczyłem i powtórzyłem pytanie. Julka spuściła głowę i wyznała, że czuje się samotna i osaczona. Czasem nie może złapać oddechu, a w żołądku

zalega jej gorzka maź. Jej świat to wiosenna rzeka pokryta cienką warstewką lodu – nie wiadomo gdzie stąpać, do tego brzegi skrywa mgła. Potrzebuje czegoś swojego i teraz już wie, że poniosła klęskę. Objąłem ją. W dotyku przypominała pęczek drutów. Zapewniłem, że bardzo ją kocham i zawsze może na mnie liczyć. Wcale nie jest samotna, a jeśli poczuła się tak przeze mnie, zrobię wszystko, żeby to naprawić. Ofertę od mamy powinniśmy przyjąć jako krok we właściwym kierunku.

Rano odbyła się kolejna rozmowa, jedna z tych nieznośnych, kiedy wszyscy mają do siebie pretensje, a jednak próbują być dla siebie mili. Julka oznajmiła, że nim przyjmie ofertę, chciałyby ustalić jedną ważną sprawę. To będzie nasze mieszkanie, to znaczy nasze wynajęte, ale my będziemy tam rządzić, ja i Julka. Jeśli mama zechce czasem wpaść z wizytą, wszyscy się ucieszymy, tylko no tak, więc ten, no właśnie. Mama położyła jej dłonie na ramionach i zapytała, czy Julka naprawdę sądzi, że ona, moja mama, ma jeszcze siły, żeby siedzieć nam na głowie, zwłaszcza po tak morderczym roku. Zaniedbała obowiązki w spółdzielni mieszkaniowej i nawet nie pamięta, kiedy była u fryzjerki. Nie będziemy sobie wchodzić w drogę, ale jesteśmy rodziną na dobre i na złe. Tylko w tym świetle wyprowadzka ma sens.

W kafejce internetowej przygotowałem ogłoszenie, wydrukowałem i odbiłem na ksero. Biura nieruchomości biorą przecież pieniądze za nic. Z Julką wyznaczyliśmy obszar poszukiwań: od Raławickiej do Ursynowskiej i od Belwederskiej do Niepodległości. Kartki i taśmę klejącą chowałem w kieszeni wózka i tak Mikołaj zaczął zwiedzać Warszawę. Nieraz zacinął deszczem. Wygrażałem kierowcom, którzy mnie ochlapali, i myślałem o rzeczach odchodzących w przeszłość. Odtąd sam będę sobie robił śniadanie i pastował buty, skończą się docinki o zakupach – śmietana za tłusta, chleb niedobry, bo biały – i może nawet sprawimy sobie kota. Nigdy nie miałem żadnych zwierząt. Mikołaj powinien dorastać z kotem. Będę mógł czasem posłuchać muzyki. Może nie będzie tak źle?

Dzwonili głównie agenci nieruchomości, beczelni i cięci na szmal. Wreszcie znaleźliśmy mieszkanie na Grażyny. Należało do emerytowanej pani psycholog, która samotnie wychowywała dorastającą córkę. Miała cerę jak pomięty papier pakunkowy i bez przerwy paliła. Na mieszkanie składały się pokój i długa, wąska kuchnia, okno wychodziło na dachy i Pałac Kultury. Psycholożka zrezygnowała z kaucji i chciała tylko, aby jej płacić nie później niż pierwszego każdego miesiąca, zawsze do ręki. Pozostawiła po sobie kopczyk w popielniczkę, szminkę na kubku od kawy i atmosferę długoletniej tragedii, jakby jej córka żywiła się krwią.

Na mieszkanie zdecydowaliśmy się głównie dlatego, że znajdowało się blisko i była w nim pralka. Resztę wyposażenia musieliśmy sobie zorganizować. Z Ikei w Jankach umknęliśmy przerażeni wysokością cen. Obiecywałem sobie, że kiedyś zarobię dużo pieniędzy i kupię nam komplet mebli stamtąd. Podobno składało się je jak klocki Lego. Mama nie zgadzała się, bym wziął sofę i komodę ze swojego pokoju, więc przekonywałem Julkę, że niczego nie potrzebujemy. Mikołaj ma łóżeczko, kupimy sobie materac i kosze wiklinowe, jedno na czyste ubrania, a drugi na brudy. Julka nie zamierzała jednak jeść z podłogi, więc wkrótce wylądowałem w piekle podupadających salonów meblowych, tych Albertów, Beat i Emilek, gdzie stłoczone szafy i regały zasłaniały każde okno, a w półmroku, nad notesami i krzyżówkami garbili się tłuszczy sześcioletkowie o oczach drapieźników, którym wyrwano kły. Również chcieli za dużo. Przypomniałem sobie wyprzedaż podwórkową z *Dziewczyn z wyższych sfer*, wydrukowałem kolejne ogłoszenia i gdy tylko rozpoczął się rok akademicki, rozwiesiłem na uczelni. Studenci ostatnich lat przeprowadzali się do nowych mieszkań, sprzedawali stare meble za grosze. W ten sposób kupiłem ciężkie łóżko, meblościankę, w której mogliśmy poukładać

ubrania, stół po malarzu, dwa krzesła oraz stary kufer, wytaszczony z piwnicy przez jakiegoś pijaka w zamian za pół litra. Pijak pomógł też wynieść łóżko. Z resztą poradziłem sobie sam i po raz pierwszy od dawna poczułem się szczęśliwy. Zdobyłem meble do domu. Mama nie miała racji – do czegoś się nadawałem.

Julka nie podzielała mojego zachwytu – zbyt zajmowało ją mycie ścian, zlewu i wanny, choć tłumaczyłem, że tę ostatnią właściwie czyści się przy okazji. Potem przyniosła rośliny w doniczkach, na ścianach zawiesiła kopie obrazów Klimta i Dalego, a w kuchni postawiła zasuszone kwiaty. Mogliśmy się wprowadzać. Pachniało jesienią.

Przez cały dzień pakowałem moje rzeczy do kartonów. Nieznośny Mikołaj musiał wszystkiego dotknąć, próbował włożyć do pudełek i krzyczał, gdy go wyciągałem. Mimo próśb Julka nie chciała go uspokoić. Pakowałem książki, roczniki „Nowej Fantastyki”, „Kina”, stare numery „Tylko Rock” i „Brum”, kasety, świadectwa z ogólniaka, legitymacje szkolne, klaser, złoty krzyżyk z komunii, zeszyt, w którym zapisywałem wiersze, oraz stosy kaset wideo. Powiedziałem Julce, że mam przed sobą całe życie. Zmieściło się w dziesięciu pudłach pobieranych po sklepach. Potrzebowałem pocieszenia, ale Julka zdawała się nie słyszeć.

Mama została z Mikołajem, a my przenosiliśmy rzeczy. Po co płacić za transport, skoro tak blisko? Wózek dziecięcy bardzo się przydał. Rozpakowywaliśmy się do nocy. Bardzo chciałem przywitać pierwszy dzień nowego życia w urządzonym mieszkaniu. Roboty było więcej, niż przypuszczałem, bo mama podarowała nam mnóstwo kuchennego drobiazgu, a także deskę do prasowania, ręczniki oraz zmiękę do toalety. Wreszcie byliśmy sami. Nalałem wino do kubków i z Julki zaczęło schodzić zmęczenie. Było cudownie znowu zobaczyć ją nagą, bez żadnej kołdry, w świetle świec. Cięża niczego jej nie zabrała. Nadzy i pijani rechotaliśmy w łóżku, a potem znowu się pieprzyliśmy. Powiedziałem, że ludzie tak właśnie powinni się kochać. Julka tylko mruknęła:

– Właśnie tak.

Jednocześnie szukała pracy i załatwiała żłobek, więc obowiązki związane z Mikołajem spadły głównie na mnie. Odpuściłem wykłady, zaglądałem tylko na ćwiczenia. Kąpałem, przebierałem, karmiłem, usypiałem i chodziłem na spacer. Mikołaj okazał się otchłanią nudy. Ile razy można powtórzyć: „Nie ma taty, nie ma taty... Jeeest!”. Myślałem o książkach, których nie przeczytam, a nawet nie kupię, o filmach w kinie i wstawaniu bez wrzasku. Moim zdaniem każdy psychiatryk powinien być zapełniony młodymi rodzicami. Rozumiałem coraz lepiej, że tych lat nikt mi nie odda, i kłóciłem się z Julką o żłobek. Radziła mi, abym sam spróbował coś znaleźć. Dowiem się, jakie to trudne. Miasto ma swoje listy, gmina swoje, każdy żłobek jeszcze inne. Zapisy odbywają się w innych dniach, niż ogłoszono, biurwy to wiemy i czasem trzeba się zameldować trzy razy dziennie o określonej godzinie, żeby trzasnąć parafkę. Stwierdziłem, że jutro sam pójde do żłobka i nawrzeszczę na te baby. Jesteśmy młodzi, nie mamy grosza przy duszy, miejsce musi się znaleźć. Julka zapytała, czy wybrałem już jakiś żłobek, bo staramy się o dziesięć naraz. Jeszcze gardło sobie zedrę.

Obyło się bez krzyku, bo dostaliśmy miejsce na Odyńca. Mikołaj miał najpierw chodzić dwa razy w tygodniu po godzinie i stopniowo zostawać coraz dłużej. Wiatr zamiast zadać w nasze żagle przywiał moją mamę. Usiadła nad herbatą i oznajmiła, że Mikołaj nie może pójść do żłobka, siedliska chorób i opiekunek tak głupich, że nie powierzono im starszych dzieci. Te w żłobku zawsze są brudne i często odparzone, roznoszą ospę, różyczkę i katar. Żłobek to przedsionek piekła i każda normalna matka zrobi wszystko, by go uniknąć. Dlatego wzięła, ta moja mama, urlop dla poratowania zdrowia, co faktycznie mogłoby się jej przysłużyć. Poświęci

wnukowi pięć dni roboczych, od rana do nocy, jeśli zajdzie taka potrzeba. Julka podziękowała i dodała, że poradzimy sobie sami. Nie po to załatwiła ten żłobek. Mama zasypała ją furą grózb i pretensji. Julka stanęła przy drzwiach i przypomniała jej zasady. To był nasz dom.

Jakaś część mnie żałowała, że nie wybiegłem za mamą. Tyle że wówczas miałbym przeciw sobie dwie rozszoszczone kobiety. Zapytałem Julki, dlaczego odmówiła. Przecież naprawdę byłoby nam lżej. I co zrobimy, jeśli mama odetnie kurek z kasą? Julka wzięła Mikołaja na rękę i powiedziała, że jakoś sobie poradzimy. Im mniej zależności, tym lepiej.

Przez okno widziałem mamę. Stała pod latarnią i przykładła dłoń do ust. Wiedziałem, o co naprawdę chodziło Julce. Przypomniałem sobie, jak skończyła się jej pierwsza wizyta na Dworkowej. Panie były teraz jeden do jednego.

Albert wciąż trzyma głowę na kierownicy, ale już nie wygląda, jakby spał. We włosy i brodę wsiąka mu krew, fioletowy policzek zachodzi na nos, a od ucha do łuku brwiowego biegnie czarna wyrwa. Albert ma otwarte oczy, porusza ustami i zaraz umrze. Jeśli dobroczyńcy idą do nieba, na niego czeka kosmos tętniący życiem, gdzie statki o złotych silnikach krążą wokół podwójnych słońc i planet o sztucznych pierścieniach. Mam ochotę chwycić go za rękę, powiedzieć, że wszystko będzie dobrze, i przeprosić, bo przecież go zabiłem. Nie mogę się ruszyć. Oślepiają snopy iskier, słońce i flesze smartfonów. Jęczy rozcinana stal.

Wyciągają mnie z samochodu i kładą na noszach. Maski wana rozsmarowała się na drzewie. Samochód otaczają osoby i policjanci. Migają światła suk i karettek, ekipa w czerni wyciąga rozgadanego Martina, któremu chyba nic się nie stało, po czym próbuje wydostać Alberta. Są jak smutni aniołowie wykrawający duszę z człowieka. Policjanci wytrącają z rąk uniesione telefony gapiów.

Macam czaszkę, sprawdzam, czy nie pękła. Byłoby głupio, gdybym sobie poszedł, zostawiając za sobą własny mózg. Byłoby głupio, gdyby mój mózg zjadły zwierzęta. Na szczęście wszystko jest w porządku. No to idę. Nie czuję ziemi pod stopami. Słońce nie praży, nie wieje wiatr, dłonie przenikają przez trawę. Ktoś biegnie za mną, kładą mnie na noszach, pchają do karetki. Są wkurwieni. Przepraszam, że sobie poszedłem. Przepraszam, że rozbiłem samochód.

Albo jedziemy inną trasą, albo Słoweńcy naprawili wszystkie drogi, bo karetka sunie gładko niczym poduszki. Faceci, którzy mnie powstrzymali, siedzą obok. Mówię im, że są wspaniałymi sanitariuszami. Ruszam palcami stóp i martwię się trochę, bo poduszka zdążyła się zaczerwienić. Coś ciężkiego wyrosło mi na uchu, więc dotykam tej dziwnej narośli. Sanitariusz chwytą mnie za rękę i chyba jest czarodziejem, bo nagle siedzę na wózku, w pokoju szpitalnym, a lekarz wbija mi strzykawkę u nasady żuchwy. Framugi okien wykonano z drewna. Czy na pewno jestem w szpitalu? Zapytałbym, ale brakuje słów. Nie mogę nawet poprosić o lusterko.

Wyobrażam sobie, że moje ucho jest większe od głowy, zaraz kark trzaśnie pod tym ciężarem i pomknę na Saturna w statku kosmicznym, który pilotuje Albert. To dobrze. Przecież to szpital w więzieniu. Dlatego okna są z drewna, lekarz milczy, a przy wejściu kręci się jakiś mundurowy. Obwiązują mi głowę, przenoszą na łóżko. Proszę o leki. Tak długo nie spałem. Nim zasną, sprawdzam, czy mnie przykuto.

Budzę się w czteroosobowej sali, a przy drzwiach nie ma żadnego policjanta. Obok leży żółtawy mężczyzna z haczykowatym nosem, ciemnymi plamami na ramionach i rurkami

odchodzącymi od krocza. Inny, odziany w prążkowaną pidżamę, czesze się przed lustrem. Grzebień trzyma jak brzytwę. Boli mnie głowa, boli kolano i kark. Odsuwam tego z grzebieniem i patrzę na swoje odbicie. Mam zabandażowane ucho i gułę nad łukiem brwiowym – jakbym puszczał do siebie oko. W pokoju pojawia się pielęgniarka. Strofuje mnie za to, że wstałem, ujmuje za rękę i prowadzi do łóżka jak dziecko.

Wjeżdżam w wielką białą obręcz, a po mojej głowie ślizga się laser. Takie rzeczy widywałem w filmach science fiction. Jestem we własnej przyszłości albo współdziałę z Albertem jego śmiertelny sen. Doktor Grendel – brodaty i piękny urodą mistrza powiatu w kulturystyce klasycznej – każe mi pochodzić od ściany do ściany, co traktuję jako trening konieczny przed pobytem w celi. Sadza mnie na łóżku i prosi, bym złączył palce wskazujące. Unosi czarny aparacik i świeci nim w moje prawe oko. Z lewym ma problem. Mruczy coś po słoweńsku, odpuszcza, kręci głową. Próbuję powtórzyć ten ruch, lecz doktor wzdycha – nie o to mu chodziło. Maca moje kolana i przedramiona, a ja pytam o Alberta. Kiedy pogrzeb? Zostanę oskarżony? Doktor unosi młoteczek neurologiczny. Stuka w łokcie, kłykcie, kolana i nadgarstki. Tańczę, jakbym oberwał prądem.

Nieoczekiwanie doktor Grendel odzyskuje władanie angielszczyzną, zapewne w związku z wizytą smutnego policjanta. Policjant ma ze czterdzieści lat, jest tłusty i bardzo znudzony. Siada, zadaje pytania Grendelowi, Grendel powtarza je mnie, a na białym biurku leży mój portfel z fałszywym dowodem osobistym. Mówię, że Albert zasnął i wjechałem w drzewo, żeby nie zabić żadnej osoby. Opowiadam tak szczegółowo, jak tylko się da. Dodaję, że Albert pracował ciężiej od nas wszystkich i zginął przez tę pracowitość. Powiedźcie to jego najbliższemu, a jeśli trzeba, poniosę wszelkie konsekwencje. Wydawało mi się, że postępuję dobrze, mówię i czekam na pytania o Polskę. Grendel jest oschły, policjant milczący, bo wiedzą, co się wydarzyło. Tchórz ze mnie, nie bohater. Mojej winy nie sposób zmasać, a oni przeciągają rozmowę, żebym się pomęczył. Wstaję, chcę powiedzieć, że się spieszę do celi, a oni podnoszą się jednocześnie. Grendel oznajmia, że jestem przytomny, pamiętam okoliczności wydarzenia, źrenice mam okrągłe, równe, szlus, idź pan do chałupy. Policjant wyjmuje mój dowód, przygląda się, oddaje. Dopiero za drzwiami pojmuję, że wolność zawdzięczam nieszczęściu: śliwce nad okiem i naderwanemu uchu.

Na korytarzu czeka León. Bierze mnie w ramiona i dokądś prowadzi. Mówi, że wyglądałem naprawdę fatalnie. Wręcza mi moje spodnie i bluzę. Przebijając się w łazience, dostrzegam archipelag siniaków na brzuchu i klatce piersiowej. Nawet nie wiem, skąd się wziął opatrunek na kolanie.

Nieoczekiwanie León wyznaje, że przygląda mi się od dawna. Jego zdaniem dużo przeszedłem, a teraz może być jeszcze gorzej. Oberwałem w głowę. Pojadę trochę na lekach, powinienem uważać na siebie, najlepiej zaś leżeć w namiocie. Zrobiłem dosyć, dodaje, nastał czas odpoczynku. Rzeczy mogą wydawać mi się czymś innym, niż są, słyszę. Mogę zrobić krzywdę sobie albo innym.

Moje myśli są ostre, a serce wolne od zwałpienia. Świeci słońce, ambulansy na niewielkim parkingu są żółto-czerwone, podobnie jak jeep Leóna. Tylne siedzenie zapełniają torby z ręcznikami. Pełno psiej sierści. Gdzie twój pupil, Leonie? Co z nim zrobiliście, żeby móc tu przyjechać? Zauważam, że idzie ku nam gliniarz, który przed chwilą mnie wałkował. Wydaje mi się nawet, że to ten sam funkcjonariusz, którego spotkałem w Berlinie. Wychodzę mu naprzeciw. Dłonie same proszą o kajdanki.

Policjant przeprasza, że zawraca głowę, ale chyba powinienem wiedzieć: Albert żyje i właśnie

jest operowany.

Mężczyzna w prążkowanej pidżamie wyszedł przed szpital i jeździ grzebieniem po błyszczących włosach.

Przekraczam bramę Imagine. Osoby biegną w moim kierunku, każda próbuje uścisnąć mi rękę, niektóre nawet całują. Kobieta w kwiecistej koszuli układa palce w kształt serca. Szkraby ciągną mnie za nogawki i robią znak zwycięstwa. Niektóre mają na głowach papierowe tiary i korony. Barki zaraz wyskoczą mi ze stawów od poklepywania, uniesione kciuki wydlubią oczy, oddech zabije. Słyszę podziękowania w tysiącu różnych językach. Dostaję kolorową piłkę, naręcze polnych kwiatów i trzy rysunki, z których każdy przedstawia vana pędzącego na klon czy też kasztanowiec, a uśmiechnięte ludki z kółek i kresek radośnie odskakują w trawę.

Jakiś nastolatek zaczyna śpiewać. Głos zdaje się dochodzić z chudego brzucha, opuszczonych rąk i kołkowatych kolan. Inni podejmują, zaczynają klaskać i już poznają: to *Someone Like You*, fałszowane i rozwodnione na setkę głosów.

León prowadzi mnie do namiotu medycznego, na co osoby nie chcą się zgodzić. Podają mi mięso pieczone w folii i zdjęcia swoich rodzin, żebym pamiętał, komu uratowałem życie. Mało nie odepchną Leóna. Podsuwają mi telefony. Wypadek nakręcony zza siatki, przez siatkę, z trawy i zza kibla. Van sunie drogą, skręca, podskakuje na wybojach, a w środku miota się jakiś zrozpaczony ludek. Osoba w kapturze umyka spod kół, zawraca i też zaczyna kręcić. Samochód wbija się w pień, tryska szkło, a ja odtrącam wszystkie telefony.

W namiocie medycznym León pyta, czy nie chcę wrócić do szpitala, i szykuje uspokajacz w strzykawce. Przypominam sobie pijane dni w Berlinie, odmawiam, zapewniam, że zaraz poczuję się lepiej. Nie powinienem oglądać tych filmów, mówię, a León siada obok mnie i zaczyna opowiadać o Berlinie. Kiedyś często tam bywał. Jeździł na konferencje naukowe, a przy okazji brał głębszy oddech od żony. Zaraz po upadku muru było to miasto blokowisk i czerwonych tramwajów, choć nie tylko. Trochę pokręcił się wśród ludzi sztuki. Wiadomo, artyści zabiegają o kontakty z lekarzami i na odwrót.

– Na jednym z przyjęć poznałem Ginę Jassen i Thomasa Heise, nim zrobił tę swoją wielką karierę. Taki wypłosz, no, nadszakał wszystkim. Apartament, w którym się bawiliśmy, należał do jakiejś aktorki komediowej, chyba Karen, nieważne, w każdym razie wszyscy ją adorowali. I słuchaj, jaka historia. Stałem, piłem martini i nagle zobaczyłem, że między nogami gości pęta się taki roczny dzieciak, dziewczynka. Raczkuje w samej pieluszce. Ludzie traktowali ją jak gówna na czterech łapkach, nikt nie zwrócił na nią uwagi, jakby nie wiedzieli, co z nią zrobić. A ona się drze. Podniosłem, pytam, czyje to, pokazali tę aktoreczkę. Przyjrzałem się dziecku. Miało taki rumień, wiesz, czerwony okrąg na boku. Dopchałem się do tej aktorki i zapytałem, czy była ostatnio z córką w jakimś parku. No była. Powiedziałem, że może mieć boreliozę, trzeba do szpitala, dać antybiotyki. Czemu ona w ogóle tu jest między ludźmi, kto się nią zajmuje? Karen, Klara, wszystko jedno, popatrzyła na mnie, jakbym złośliwie psuł jej zabawę, i posłała do diabła. I tak, mój drogi, wylądowałem w niemieckiej przychodni, o drugiej w nocy, z obcym dzieckiem w nosidełku z ręczników. Wróciliśmy nad ranem. Matka, zaspana i wciąż pijana, zabrała córeczkę i zagroziła, że oskarży mnie o porwanie, policja już jedzie i nigdy nie wyjdę z więzienia.

León zawiesza głos, oczy mu błyszczą. Ze swojej opowieści skleca dla nas jakąś wspólnotę

losu. Dwóch bohaterów na słoweńskim pustkowiu. Zaraz wręczy mi bidon i buty trekkingowe.

– Naprawdę się przestraszyłem. Słyszałem to i owo o niemieckich więzieniach. Z mieszkania zabrałem butelkę whisky, chciałem ją wypić w zabarykadowanym pokoju hotelowym. Dotarłem do śmietnika przed blokiem, tam usiadłem i piłem. Ja prawie nie piję, wiesz? Ale wtedy byłem najszcześliwszym człowiekiem na świecie. Nie bałem się niczego ani nikogo. Ha, wyobraź sobie, byłem przekonany, że jak nawet mnie aresztują, to zaraz wypuszczą za sam uśmiech. Nikt się mną nie zainteresował. Mówię ci to, żebyś wiedział, że zrobiłeś coś wielkiego. Pomyśl o sobie czasem dobrze. Teraz będzie już łatwiej.

Mądrości Leóna dudnią jak zza wielkiej płyty. Wstaję, León znowu ściska mi rękę, pyta, czy może coś dla mnie zrobić, i jeszcze raz wyraża podziw. Przypuszczam, że mi zazdrości. Gdyby sam rozwalił się vanem, być może Felipa poświęciłaby mu odrobinę uwagi. Siedzi sobie teraz, muskularny, a zrobiony z patyczków. Powtarza, że powinienem być z siebie dumny. Zmieniam zdanie i proszę, żeby dał mi coś, po czym zasnę.

Po czternastu godzinach snu bez pobudek i spazmów serce bije równo, a myśli są ostre. Nie czuję zmęczenia, pragnienia ani głodu, jestem przepełniony oczywistą koniecznością czynienia dobra. Głowa to szuflada pomysłów na ulepszenie świata. Zjawiły się tam same. Wystarczył długi kontakt z poduszką.

Słońce wysoko. Potykam się o porzucone kurtki, wciągam powietrze głęboko do płuc i zachodzę do pustego namiotu Alberta. Odsuwam fotel, włączam komputery, zajmuję jego miejsce.

Dostępu do dysku twardego, dwóch tabletów i zapasowego telefonu bronią hasła. Próbuję je odgadnąć, lecz przypominam sobie o swojej zasadzie. Od tych rzeczy muszę się trzymać z daleka. Przetrzęsam biurko, przeglądam notatnik i dowiaduję się jedynie tego, że Albert pochodzi z germańskiego kantonu Szwajcarii. Wypijam dwa napoje energetyczne i zjadam batonik proteinowy. Przymierzam bluzę w panterkę znaną na dnie plastikowego pojemnika, zakładam czapkę daszkiem do tyłu, na nos nasadam ciemne okulary i marnotrawię chwilę na głupie miny przed lusterkiem do golenia. To miejsce wiele zawdzięcza Albertowi. Wiem, co powinienem zrobić, a gdy Albert wróci, oddam mu jego namiot, tę bluzę i okulary. Nie pragnę władzy. Chcę przynieść uzdrowienie.

Zaczeplam Felipę, wtajemniczam w swój plan. Trudno powiedzieć, co o nim sądzi, w każdym razie nie kwapi się do pomocy. Tłumaczę, że potrzebuję miejsca, by postawić namiot, i słyszę, że z tym akurat krucho, bo jeden namiot właśnie rozbili i trudno walczyć o następny. Chichocze. Jej zdaniem fajny chłopak ze mnie, tylko za bardzo się przejmuję.

Zastanawiam się, co powinienem zrobić z tą kobietą. Ludzie muszą poznać jej prawdziwą rolę. Są jedynie paszą dla słów, byłem szlachtowanym w imię przenajświętszego Pulitzera. Choć skoro brakuje Alberta, nie wolno mi osłabiać drużyny.

To, co widzę, pozbawia mnie sił. Na miejscu tardisów, przesuniętych pod samą siatkę, wznosi się namiot, ozdobiony tęczaową flagą z napisem DOM INTYMNOŚCI MAŁŻEŃSKIEJ po angielsku i w trzech innych językach. Przeskakuję błękitny chodniczek przed wejściem i niemal wywracam Eve, zajęta rozkładaniem świeczek na półkach przyniesionych tutaj z namiotu magazynowego.

Eve mówi, że wzięła sprawy w swoje ręce. Roboty zostało niewiele, skończy, nim Albert

wróci.

Na wyposażenie namiotu intymności małżeńskiej składają się trzy łóżka oddzielone parawanami oraz toaleta z taboretu i plastikowego pudła odwróconego dnem do góry, na którym postawiono lustro. Przy każdym łóżku znajduje się również kubek pełen opakowań chusteczek higienicznych, kondomów i lubrykantów. Kołdry i poduszki zastąpiono ręcznikami. Eve zastanawia się, jak wprowadzić tutaj odrobinę przyjemnego półmroku, przez brezent przebija bowiem słońce. Pyta, czego tu jeszcze brakuje. Mam ochotę odpowiedzieć, że bicza i kajdanek, lecz nagle przychodzi olśnienie: przecież Eve oszalała z samotności. Siedzi tu kolejny tydzień, otoczona przez ludzi i osoby, zresztą taki Martin nie sprawdziłby się nawet na bezludnej wyspie z rocznym zapasem hiszpańskiej muchy. Ładna dziewczyna. Szkoda, że nosi tę maskę.

Proponuję jej układ: pomogę jej z przedsięwzięciem, lecz oczekuję rewanżu. Tłumaczę, w czym rzecz, ona słucha, trzepocze rzęsami i idę o zakład, że pod maseczką rozchyła usta. Zbieram się na odwagę, by zaproponować małe testowanie namiotu małżeńskiego, lecz wtedy wpada Martin. Wymachuje rękami, coś krzyczy po duńsku, dopada mnie i potrząsa. Mogłem go zabić, woła, mógł zginąć rozsmarowany na drzewie, ponieważ udawałem bohatera. Przypominam o ocalonych. Eve chwyta go za nadgarstek i zaciśnięta pięść opada. Martin, już spokojniej, pyta, dlaczego uznałem nasze życie za mniej wartościowe. Wskazuje na osoby łązące leniwie wokół namiotu i zauważa, że codziennie ratujemy kilkaset istnień. Co się z nimi stanie, kiedy nas zabraknie? Znowu podnosi głos, grozi mi procesem, policją i pobiciem.

Odpowiadam bez emocji, żeby zrobił, co zechce. Obecność Eve dodaje mi sił. W jednym przyznaję mu rację – rzeczywiście ratujemy tu życie i musimy jakoś się znosić, oczywiście do czasu, aż zostanę aresztowany, skazany i pobity. Dlatego od dzisiaj Martin zostaje w Imagine. Chyba nie zamierza znowu wsiadać ze mną do samochodu? Po chleb pojedziemy z Leónem.

Przez chwilę jestem pewien, że naprawdę mnie uderzy. Cały drży, plecak zsunął mu się z ramienia.

– Pójdę z tym do Alberta! Albert dowie się o tym jeszcze dziś!

– Naprawdę? A widzisz go gdzieś tutaj?

Do szkoły idę zaraz po rozładowaniu chleba, gdy ziemia jest jeszcze mokra, a osoby zdezorientowane. W rzeczach Alberta znalazłem koszulę i okulary o ułamku dioptrii. Widzę wyraźnie, muszę tylko zmrużyć oczy.

Brakuje papieru, długopisów i ołówków. Bezchmurne niebo to najwspanialszy dach. Mam biurko wyniesione z zaimprovizowanego gabinetu mojego poprzednika, obrotowe krzesło oraz nowy zeszyt. Eve dotrzymała słowa. Nad moją głową rozpościera się szyld rozpięty na elementach stelażu namiotowego. Właśnie otwieram szkołę językową.

Osoby uwielbiają piosenki Beyoncé i 50 Centa, nie rozumieją jednak słów, a nade wszystko śmiertelnie się nudzą. Pojawiają się tutaj w sekwencji brudnych przypływów i odpływów. Jutro pojedą dalej, do swoich Berlinów i Sztokholmów, gdzie niezawodnie zostaną porzucone. Wylądają w obozach długoterminowych bądź u swoich rodzin. Muszą znaleźć pracę, wynająć mieszkanie. Chcą, by ich dzieci zatrudniły się w bankach. Powinni zostać Europejczykami jak ja, Martin oraz Bono.

Przyszli Brytyjczycy, Niemcy i Skandynawowie biorą mnie w półkole. Siedzą na karimatach

i jedzą jabłka. Paru przysypia, na szczęście cały czas dosiadają się nowi.

Konkuruję z punktem doładowania energii, seansem *Skrzydółka czy nóżki* i namiotem przedszkolnym, gdzie trwa przedstawienie kukielkowe. Uprawiam hacking Imagine, podkreścam swoje cele, stawiam na ostry *challenge* i od razu uprzedzam, że w jeden dzień nikt nie nauczy się angielskiego. Podsunę im podstawy bez gramatyki, mięso prawdziwego życia wysmażone w języku Szekspira. Uderzam pięścią w stół i pytam, co to takiego, a ponieważ wszyscy milczą, odpowiadam sobie sam. Dotykam własnych oczu, nosa i ust, wskazuję namiot i jabłka, których dzisiaj dowieźli stanowczo za wiele. Osoby robią to samo i nawet próbują powtarzać. Mam nadzieję, że mój angielski nie zachował polskiego akcentu.

Skoro już wiedzą, jak jest wniosek, urząd pracy, kolejka, zasiłek i kancelaria prawna, przystępujemy do zadań złożonych. Mówię im, że w Europie, o której tak marzą, będą skazani na siebie, swoje gnuśne rodziny i senną biedę, jaką widziałem w Berlinie. Unoszę zeszyt i pytam, czy jest on ciężki. Nie czekam na odpowiedź. Oczywiście, że nie jest, ale takim się stanie, jeśli potrzymam go nad głową do wieczora. Tak właśnie będzie tam, dokąd zdążają – drobne trudności staną się nie do zniesienia. Dlatego postaram się im ulżyć. Wyzwanie budowy życia w nowym miejscu może być ciężarem albo i szczytem do zdobycia, a droga na szczyt zaczyna się od wynajęcia mieszkania. Telefonu do agencji pośrednictwa pracy. Zakupów w supermarkecie. Prostych czynności, do których potrzebny jest język.

Zawieszam głos. Osoby dłubią sobie w brodach, oblizują palce po tych jabłkach i palą papierosy. Długowłose chłopak w błyszczącej kurtce, który w innym życiu grałby koncerty klubowe przed Davidem Guettą, duka, że nie rozumieją, co powiedziałem. Na pierwszej lekcji oczekiwał czegoś prostszego.

Stoję za biurkiem, pod gołym niebem, opromieniony porannym słońcem, i domagam się ochotnika. Bliskschodni David Guetta, z którym wiązałem duże nadzieje, gnie się w pokłonie i znika. Ponawiam pytanie tak prosto, jak tylko się da. W końcu, skuszony obietnicą wielkich korzyści, podnosi się młody mężczyzna z diabelską bródką i lekkim garbem. Gdyby nie ten garb, przypominałby Jesús Franco. Staje przede mną i splata dłonie na brzuchu.

Ustaliam zasady gry. Jestem landlordem, on chce wynająć pokój. Podsuwam najprostsze zwroty: „Ile wynosi miesięczny czynsz? Czy wymagana jest kaucja? Jakie są opłaty dodatkowe? Czy mogę trzymać zwierzęta?”. Proszę, aby powtórzył. Mówię to samo, tylko wolniej. Wprowadzam najważniejsze słowa: kuchnia, łazienka, śmieci, przystanek autobusowy, tak aby wszyscy słyszeli. Jesús Franco z Damaszku robi dobrą minę do złej gry i coś duka, brak pewności siebie nadrabiając uśmiechem. Skoro zna słówka, zaczynamy raz jeszcze. Udaję wielkiego kamienicznika z Hamburga, a on chyba załapał, w czym rzecz, bo niemal miażdży mi dłoni w uścisku i patrzy prosto w oczy. Pytam powoli, jak mu mogę pomóc. Kamienica jest duża, pełna mieszkań i pokoi do wynajęcia. Hodza Franco wreszcie puszcza moją rękę i pyta:

– Kiedy przyjadą nasze autobusy?

Wołam o nowych ochotników, lecz nikt się nie kwapi, pytają tylko o te autobusy. Rozumiem już, że źle zacząłem – uczyłem ich tańczyć, chociaż ledwo chodzą. Uczniowi trzeba wyjść naprzeciw, więc będzie o autobusach. Przerobimy przystanki, zakup biletu, wytłumaczę, że kanar to nie wróg, a jeśli czas pozwoli, pogadamy o metrze i kolejce miejskiej w Berlinie.

Przy bramie trwa jakieś poruszenie, osoby się rozstępują, moi uczniowie odwracają głowy, podrywają się, lecz przedwcześnie. Zamiast transportu dostrzegam faceta z kamerą. Za nim wchodzi drugi i piąty, a każdy ma aparat z obiektywem długim na łokieć. Dźwiękowcy szarpia ciężkie torby i ocierają sobie wąsy włochatymi dłońmi. Kręcą się, zagubieni. Czegoś szukają,

a ja znajduję się na widoku, pośrodku nasłonecznionego placu, pod szyldem, który sam zrobiłem.

Siadam, mówię, że lekcje skończone. Chowam twarz w dłoniach. Czekam, aż reporterzy się rozproszą, lecz ci nie przestają kręcić się przy bramie. Zagadują osoby, wciskają wodę i batoniki, pokazują coś na tabletach i telefonach. Nieoczekiwanie palce osób mierzą prosto we mnie, rozradowane twarze widzę wyraźnie mimo odległości. Od bramy niesie się słowo, którego nikt nie musi się uczyć:

– *Hero! Hero! Hero!*

Reporterzy nadciągają od bramy, próbując wziąć mnie w pierścień. Pryskam między namioty, docieram do siatki i zaczynam się wspinać, co kończy się wrzaskiem policjanta i bolesnym upadkiem. Z twarzą przy brezencie, gotów do biegu, śledzę ruchy moich prześladowców, zdolnych do zabicia mnie zdjęciem, ujęciem, a nawet transmisją w streamingu. Wprost nie mogą opędzić się od osób. Te nie mogły widzieć wypadku, jeszcze ich tu nie było. Opowiadają z przejęciem, jak to zatrzymałem płonąca ciężarówkę, rzuciłem się pod koła, by ratować dziecko, i powstrzymałem obłąkanych żołnierzy z opancerzonego transportera.

Prześladowcy stawiają na rozproszenie. Część rozpytuje wśród osób, reszta krąży między namiotami. Dopadną, rozstrzelają fleszem. Gdzie właściwie mnie pokazano? W telewizji czy tylko internecie? Unoszę brezent przejęty wizją drukarki w komendzie, która wypluwa moje zdjęcie w samochodzie. Fotografia krąży, już wyją syreny. Czy mama zobaczyła to nagranie? A Patrycja? A Julka?

W namiocie osoby podnoszą głowy z toreb i plecaków. Kładę palec na ustach. Znajduję wolne posłanie, odgarniam, kładę się na ziemi, naciągam na siebie jakieś koce, śpiwory, kurtki. Plastikowa butelka uwiera w brzuch. Czuję zapach zgniłej trawy, soli, wyschniętego potu. Liczę do stu, do stu pięćdziesięciu. Wyobrażam sobie okładkę „Super Expressu” ze swoją podobizną. Tomasz Lis głębokim głosem wypowiada moje nazwisko.

Ktoś wchodzi do namiotu i pyta o tajemniczego bohatera. Odpowiada mu mamrotanie, a ja przywieram do ziemi jeszcze mocniej, oddycham płytko, choć jakaś część mnie pragnie wstać i zawołać, że mam dosyć. Niech mnie nagrają. Powiem, jak było, i wszystkich przeproszę. Przynajmniej usłyszą moją wersję historii. Nie byłem złym człowiekiem. Byłem człowiekiem przerażonym.

Kurtki i koce zrywają się ze mnie jak spłoszone ptaki. Unoszę dłoń, by zasłonić twarz. Szarpie mnie nie reporter, lecz wściekła osoba. To chłopak w czapce z daszkiem i bluzie z kapturem. Jednocześnie sprawdza plecak i próbuje mnie stoczyć ze swojego legowiska.

Najlepsze myśli zdarzają się w zamęcie. Stoję naprzeciwko draba kipiącego złością, a ręka sama wędruje do tylnej kieszeni, gdzie wciąż mam czterdzieści euro. Macham banknotami, wskazuję na bluzę i czapkę. Proponuję wymianę, łań za łań. Chłopak się waha, lecz ostatecznie przystaje na ten układ. Przejmuje markową koszulę Alberta, pieniądze wręcz wyrывa z dłoni i zaraz pokorniej. To szary anioł, zadowolony z doskonałego interesu.

Osoby patrzą, nikt jednak nie widzi. Zakładam nowe ubrania i zaciągam kapturem. Nacieram piachem twarz i dłonie. Gdzieś z tyłu rozbrzmiewa śmiech, ktoś wpycha w rękę prezent – ciemne okulary. Pchają mnie, żebym szybciej wyszedł. Nie oślepi mnie żadne słońce.

Garbię się, powłóczę nogami i drapię się po nosie. Pył włazi do oczu. Człapię tak środkiem

Imagine, wśród osób, niemal się ocieram o moich prześladowców. Odbijam się w oku kamery, które przesuwa się po moim łaskawym nieistnieniu i zerka hen, za plecy. Chciałbym, żeby zerwał się wiatr, cisnął piachem i szkłem w oblicza ich wszystkich. Za bramą czekają autobusy.

Ustawiam się w kolejce. Prześladowcy wciąż krążą, rozczarowani moją nieobecnością, nagrywają nudny obozowy materiał. Im bliżej autobusu, tym ciemniej od policjantów, ich tarcz i zimnych karabinów. Każdy taszczy toboły, tylko nie ja. Osoby mnie gniołają, kulę się przed wzrokiem smartfonów. Za szpalerem policyjnym filmowcy ustawiają statyw. Między karetką pogotowia a policyjną suką piętrzą się bele drutu kolczastego.

Skęcamy, do autobusu wchodzi się pojedynczo, a najpierw trzeba wziąć chleb, wodę i woreczek owoców rozdawane przez Eve. Pochylam głowę. Poprawiam okulary, porywam picie i jedzenie. Wzrok Eve unosi się znad blatu, oczy przepełnia troska i przysięgłbym, że pod maską widnieje smutny uśmiech.

Wsiadam do autobusu z poczuciem żalu i ulgi. Znow umknąłem. Znajduję sobie miejsce z tyłu, między osobami. Kobiety w czadorach wachlują się ulotkami przy uchylonych oknach. Policjanci blokują dostęp do drzwi, kierowca czeka, czekamy i my. Kamerzysta zbliża się do autobusu. Osoby wystawiają dłonie na zewnątrz, robią znak wiktorii. Śpiewają i klaszczą. Reporterka w kraciastej koszuli zagaduje policjanta. Wiem, że pokazuje mu film z wypadku.

Ruszamy w asyście konnych i samochodów policyjnych. Osoby wpadają na siebie, dzieci krzyczą, milknie piosenka, rzeczy lecą z rąk wszystkim z wyjątkiem mnie, bo nie mam żadnych rzeczy. Gdy dojedziemy na stację, wysiadę i pójdę między budynki. Tam zaczekam do nocy, wrócę do Imagine i zastanowię się, co dalej. Przesiedzę parę dni przy garach, prześladowcy znajdą nową ofiarę. Na świecie pełno bohaterów.

Niestety wysiadamy w zwartej kolumnie, a mundurowi kierują nas prosto do szarego wagonu. Rozdeptują jabłka i gruszki, potykam się o chleb, o ziemię opierają się lufy karabinów. Wśród hełmów i kamizelek odblaskowych miga mi Ali, ten Arab z Czerwonego Krzyża. Rozmawia przez komórkę i równocześnie wyklóca się o coś z mundurowym. Zdejmuję kaptur, odrzucam czapkę, łamię okulary. Podskakuję, krzyczę, żeby mnie zauważył. Ratuj, chłopie, przecież się znamy!

Ali, zafrasowany wyłącznie tym, by załadunek ludzki poszedł gładko, nawet nie obróci głowy. Wbija palec w ucho i dalej gada przez telefon. Waham się, czy wejść do pociągu, ale wzrok policjanta gasi wątpliwości. Ci ludzie są jak znudzone roboty z filmu science fiction. Osoby popychają mnie w głąb wagonu.

Fotele w przedziałach są pocięte, na szybach gaszono papierosy. Zajmuję miejsce przy oknie, a osoby zwalają się obok, ze swoim nieznośnym zapachem, torbami i plecakami o połamanych stelażach. Ciskają bagaże na półki pod sufitem. Ci, dla których brakło miejsca, siadają na oparciach. Wstaję, otwieram okno i wystawiam głowę. Za torami ciągnie się pas brązowej zieleni i biegnie trakcja elektryczna, a dalej, wśród drzew, stoją domy o szpiczastych dachach i tęgich kominach.

Zdejmuję bluzę. Polewam twarz wodą z butelki, obmywam dłonie, osoby podnoszą raban, ponieważ chlapię, a gdy wyskakuję przez okno, wrzask zmienia się w brawa. Gnam w stronę najbliższego domu, ktoś krzyczy, czekam tylko, aż kula gwizdnie mi koło ucha.

Obrywam w plecy i zaraz w łydkę. Wiję się na ziemi, gliniarze biorą mnie na buty i pchają przed sobą. Ledwo widzę przez łyzy, za to łoskot rąk bijących o pociąg słyszę doskonale. Na niebie tańczy nie jedno, a tysiąc słońc.

Ali wyrasta jak spod ziemi, w tej swojej czerwonej kurtce, z brodą wezyra i potokiem słów,

którego nie rozumiem. Klaruje coś policjantom i ci przestają mnie popychać. Jeden podnosi przyłbicę, ma oczy dziecka rozgniewanego na rodziców za zbyt tanie prezenty. Chowam się za Alim. Raz za razem powtarzam, że nie zrobiłem nic złego, i błagam, aby zostawiono mnie w spokoju. Grożę sprawą w Strasburgu.

Nim pójdziemy, Ali wyciera mi twarz chusteczką. Najwyraźniej uznaje, że samotny powrót przerasta moje siły, więc ciągnie mnie do opla, daje pić. Jedziemy bardzo powoli, jakby wrzucenie trójki mogło mnie zabić. Mówię, jak bardzo jestem mu wdzięczny. Nie musiał przecież tego robić. Na świecie jest tyle obojętności, a w takim miejscu jak nasze krzywda ludzka powszechnieje najprędzej. Podkreślam, że nie zrobiłem niczego złego, zaszła fatalna pomyłka, nic więcej. Po prostu zagalopowałem się z pomocą bliźnim. W nocy wszystkie koty są czarne, w dzień Polaka od Afgana nie odróżnisz. Robi mi się głupio, bo może Ali jest właśnie z Afganistanu. Przepraszam go bardzo, lecz on tylko milczy i patrzy na drogę. Zatrzymujemy się przed bramą. Wsiadam, dziękuję i zachodzę w głowę, czy powiedział do mnie choćby słowo.

Z mojej szkoły plenerowej podprowadzono biurko, wiatr cisnął szyld na siatkę. Dzieciak kręci się na krześle obrotowym, czemu przygląda się markotny facet o kulach.

Albert wrócił.

Mikołaj natychmiast siada na ławce wiaty przystankowej i wyciąga tablet, tymczasem Jan nie może znaleźć sobie miejsca.

Na autobus czeka również nerwowy czterdziestolatek w skórzanej kurtce, zadbana staruszka w typie emerytowanej pracownicy naukowej i dwóch nastolatków w bluzach z pseudonimami youtuberów.

Na Puławskiej ruch jest niewielki. Kilkadziesiąt metrów dalej, obok kiosku, rozłożyli się sprzedawcy skarpet i owoców. Z pewnej odległości interesu dogląda tęgi facet na wózku, z papierosem w grubych wargach. Tramwaj hamuje przed przejściem dla pieszych. Podmuch wiosennego wiatru przewraca koziołek ustawiony u wylotu Madalińskiego, a kurier DHL zostawia furgonetkę na światłach awaryjnych i znika w drzwiach cukierni.

Uwagę Jana zwraca rudy kot, który wychynął z krzaków i kręci się w pobliżu. Jest tłusty i ma obrózkę, nie boi się ludzi ani samochodów i węszy przy śmietniku. Jan waha się chwilę, wstaje i klęka przy kocie. Ten Ignie do jego ręki. Jan drapie zwierzę pod bródką i po grzbiecie, u nasady ogona. Kot mruczy, przywiera brzuchem do ziemi i wysuwa pazurki, tymczasem środkiem Puławskiej mknie srebrna toyota.

Trach.

León nosi skrzynki z chlebem, jakby przekraczał przeręble. Po kilku rundach kolana schodzą mu się do środka i niewiele brakuje, by złożył się niczym namiot, na którym ktoś usiadł, a jego porcelanowe, królicze zęby roztrzaskały się o mur. Przyglądam się mu w biegu, on bierze jedną skrzynkę, ja dwie, mógłbym wziąć i trzecią, gdyby tylko znalazł się ktoś, kto mi ją postawi na poprzednich. Z pewnością nie będzie to Ernest, który tylko wydał nam pieczywo i powrócił do mordęgi z zepsutym piecem olejowym. Wytatuowany szczaw ma obie ręce wolne, nie licząc szluga. Podpiera murek, stoi plecami do porannego słońca i obserwuje, jak León robi się na przemian siny i purpurowy.

Szczaw nie wie, że sam podlega obserwacji. Widzę, jak budzi się w pokoju na poddaszu, przełącza budzik w komórce na drzemkę i zwala kudłaty łeb w poduszkę. W tym samym łóżku, pięć godzin wcześniej, palił bongo, pił club mate i leniwie marszczył fredda. Widzę jego tęgą matkę i usportowanego ojca, trzech braci i siostrę, rdzawy budynek szkoły wieczorowej w Domżale. W jego wieku myślałem o książkach, filmach i dziewczynach, on opadł tyłkiem na murek i tęskni do chwili, kiedy spłucze z siebie brud, sięgnie po okopcone bongo i pociśnie w *TERA*. Nie odrywam od niego wzroku, a nogi same znajdują drogę do samochodu, przeskakując potraskane cegłówki, resztki palet i pęknięcia asfaltu, w których zbiera się woda.

Przy ostatnim chlebowym kursie dostrzegam coś ciekawszego od wydzieranego chłopaczka. Dokładnie za nim, daleko nad naszą doliną, unosi się dziwaczna chmura podświetlona czerwonym słońcem. Gęsta i samotna, trzęsie się z wściekłości na pustym niebie. Przypomina pięść albo człowieka przyjmującego cios na grzbiet. Nie mogę oderwać od niej wzroku i po raz pierwszy od dawna żałuję, że nie mam komórki; mógłbym zrobić zdjęcie. Dopiero klakson wyrzywa mnie z czystego zachwyty. León mnie popędza, pyta, czy możemy już jechać.

Chyba się przejął losem swojego poprzednika, gdyż stopę na gazie ma lekką i przystaje na każdym skrzyżowaniu. Gardło mi siądzie od instruowania. Mówię mu: przyspiesz, zwolnij, weź, kurwa, ten zakręt. Widzę i jego, jak nocą, przed lustrem naciąga sobie palcami skórę wokół oczu, tak by zniknęły zmarszczki, jak ściąga nową muzykę z iTunes, skacze z kutra w morze za jakimś Marokańczykiem, wykupuje safari w Parku Krugera, oczywiście dla dwojga, lecz jedzie samotnie. Widzę go, jak ma dwadzieścia lat i obserwuje tańczącą Felipeę. Tył jeepa zapełniają skrzynki z chlebem, suniemy krętą drogą, wśród drzew, słońce chowa się za dziwaczną chmurą. Rozjaśnia jej centrum i przemienia w oko.

Rozmyślam o płonących namiotach i pożarze przepowiedzianym przez Eve, zapominam zaś o niezdarnym Leonie. Nasz jeep omal nie wjeżdża w tył furgonetki, czekającej akurat na otwarcie bramy. León hamuje w ostatniej chwili, lecę do przodu, nie mam siły się złościć. Obecność furgonetki oznacza nowe zadanie. Prócz chleba musimy rozładować wodę. Potem zaniemiemy ją potrzebującym. Transport już w drodze.

We dwóch nie poradzimy sobie z tym zadaniem. Zabiłbym w bęben, zadał w róg, uruchomił syreny przeciwmgielne i uwolnił podpalone ptaki. Proszę Leóna, by zaczął beze mnie, gnam do namiotu wolontariuszy, do kuchni oraz magazynów. Czemu oni się lenią, przywiozłem chleb i wodę. Zmuszam Felipeę, by odłożyła laptopa, i ściągam kołdrę z Martina. Na łóżku obok prostuje się Eve. Spała w szortach i podkoszulku z tygrysem wpisanym w krzyż. Pierwszy raz widzę jej ramiona, białe, delikatne i pokryte pieprzykami. Na barku szczyrzy się Kot z Cheshire. Nie patrzę zbyt długo, wyganiaam ich na zewnątrz: chleb i woda, chleb i woda!

Eve nosi po zgrzewce i bochenku, Martin zaraz zaśnie i jestem pewien, że myśli tylko o tym, jak by się odegrać za to, że został w Imagine, tymczasem ja świecę przykładem. Proszę

kierowcę, by nałożył mi trzy zgrzewki, choć inni noszą po jednej, i biegnę, na plecach czując zachwycone spojrzenie Eve. Mijamy się w wejściu magazynu, Eve natychmiast spuszcza wzrok. Cudowna dziewczyna. Pomaga przy rozładunku, mimo że jest taka zmęczona.

Prześwietlam ją tak dokładnie, aż płonę ze wstydu. Doprawdy, nie powinienem wiedzieć takich rzeczy. Znam młodość za oknami bez zasłon, długie zimy bez śniegu i mroczne popołudnia spędzone w swetrach wśród kotów. Mógłbym policzyć każdego jointa i każdą osuszoną puszkę tuborga, a także te chwile, kiedy prosiła rodziców, by okazali odrobinę czułości. Tej szukała na imprezach, po klozetach. Faceci bali się zaangażowania i odchodzili, aż w końcu trafił się Martin, który przynajmniej został. Innych zalet nie stwierdzono. Przyjechała tutaj w poszukiwaniu sensu, żeby być potrzebną. Skąd te maski, rękawiczki? Chce, aby dotykał ją wyłącznie ukochany. Oto jestem. Eve ma tylko miłość do mnie. Bardzo się boi. Nie wie, że będę dla niej dobry. Objąłem ją nawet teraz, tylko mi nie wolno. Chleb i woda! Chleb i woda!

Wodę przywożę zawsze w półlitrowych butelkach pakowanych po dwadzieścia sztuk. Większą część transportu ładujemy na półki, resztę do furgonetki z plandeką, którą kieruje milczący Ali. Jego też rozgryzłem. W sercu wciąż zachował maleńki pokój, w którym przez pierwsze lata pobytu w Europie mieszkał razem z rodzicami, tuzinem rodzeństwa i przygłuchą babką. Dlatego patrzy i milczy. Zbiera informacje, nie zdradzi się ani słowem. Przybijamy żółwika przez opuszczoną szybę. Co za fantastyczny dzień! Pokrzepiony uśmiechem Alego (szczerym, choć niewidocznym przez gęstą brodę), ładuję się na pakę i nawołuję innych. Delikatnie podnoszę Eve, pomagam wsiąść pozostałym, rozpruwam folię, rzucam każdemu butelkę, zachęcam, byśmy się stuknęli, dziękuję za poświęcenie i kapitalny początek dnia. Mówię, że są najlepszą drużyną na świecie. Piję. Butelka jest pusta, choć przecież pociągnąłem ledwie łyk.

Na dworcu zjawiamy się spóźnieni. Osoby wysiadają już z pociągu, jak zwykle kobiety mdleją, dzieci wyją, a mężczyźni zaciskają szczęki. Każdego witam uściskiem dłoni, nie miażdżę, nie podaję śniętej ryby, lecz szukam czegoś pomiędzy, unikając przesady. Osoby są inne niż my, mogą mieć odmienną wrażliwość na dotyk, nerwy wyłazą im na wierzch bądź chowają się w kościach. Rozmyślam o bliskowschodnich zakończeniach nerwowych, a mówię to, co każdy przybysz chciałby usłyszeć: cieszę się, że jesteście. Już nie musicie się bać. Zadbamy o was. Czujcie się jak w domu. Nastolatek w wojskowej kurtce chyba nie rozumie, wodzi wokoło bezmyślnym wzrokiem. Dłoń ma mokrą, nie chce puścić mojej. Wymiotuje na mnie rzadką breję, która wygląda jak mleko, jak krew androida. Odskoczył, lecz go podtrzymuję.

Obok składają się i inni. Zginają się wpół i zataczają po całym peronie, a policjanci odskakują, chroniąc swoje buty. Otepiła kobieta w typie Glenn Close, która w innym życiu mogłaby być dermatologiem albo kierowniczką internatu, porzuca dwie torby, podciąga spódnicę, kuca i się wypróżnia. Dorosłe chłopcy nie wiedzą – trzymać fason czy bolący brzuch. Wymiotują nawet przez okna pociągu. Zewsząd dobiega płacz dzieci, a wszystko dzieje się nagle, jakby ktoś zlizował osobom blokadę w żołądkach.

Ali, z uchem przyklejonym do telefonu, krzyczy po słoweńsku na mundurowych, żeby zrobili przejazd dla autobusów. Chyba chodzi o to, że chorych załadujemy na samym początku. Tymczasem nieoceniony León gramoli się na rampę i stamtąd dyryguje tłumem, prosty jak wykrzyknik, z nerwowo uniesionym ramieniem. Wydaje z siebie krótkie, rwane okrzyki. Przeprowadzam mu chłopaka, który mnie obrzygał. Pytam, co mam zrobić, jak pomóc, czy ten chłopak umrze? León nawet nie zwalnia, rzuca diagnozę: to grypa żołądkowa.

Pomagam nieszczęśnikowi usiąść na ziemi, ten czka i rozgląda się za zgubionym bagażem.

Ruszam pomóc kolejnym. Wśród osób wyróżnia się drobny chłopczyk w koszulce ze Spider-Manem i spodniach po starszym bracie. Zdrowy hasa pomiędzy osobami. Nikt go nie pilnuje. Przyskakuje do chorych, robi głupie miny, dziabie ich w policzki i ciska kamykami w okna pociągu. Wydaje mi się, że jest w trzech miejscach naraz. Uwagę skupia na Glenn Close, która zgięta wpół, wyczekuje kolejnego skurczu żołądka. Chłopiec bierze rozbieg, wybija się i wskakuje jej na plecy. Kobieta podpira się dłońmi, kaszle, a chłopiec chwytą ją za włosy, wywija wolną ręką jak na rodeo, a jego oczy wypełnia czysta radość.

Na szybach, prócz śladów po papierosach, pojawiły się wymiociny. Wysiadają, chwiejni. Handlarze i osoby po drugiej stronie ogrodzenia odsuwają się od nowo przybyłych.

Czekając na nosze, zastanawiam się, co Albert zrobiłby na moim miejscu. W jaki sposób poradziłby sobie z dwudziestką chorych i odwodnionych? Wyobrażam go sobie takiego, jakim był dawniej. Wypadłby z namiotu, wyrzucił z siebie potok słów, przysiągł, że zaraz załatwi wszystko z Alim i Leónem, a potem pozwolił, by osoby poszły gdzie bądź, roznosząc zarazę. Taki właśnie był, choć bardzo się starał. Dowodził. Ja tylko daję przykład.

Najsłabsi pojechali karetkami do Rijače, nam zostali średnio struci i umiarkowanie odwodnieni. Namiot medyczny jest za mały, by pomieścić wszystkich, i chore osoby muszą usiąść na zewnątrz, w słońcu. Spider-Man, ten agresywny chłopczyk, przepadł, za to chmura w kształcie pięści ani myśli zniknąć z nieba. Rozmyślając o złych wróżbach, biegnę po koce, po karimaty i jakieś stelaże. Zorganizuję chorym daszek, podaruję cień. Z magazynu zgarniam tego tyle, że nie widzę, dokąd idę. Wracam, potykając się o koczujących.

Proszę chorych, by wstali, nie rozumieją, więc pokazuję na migi. Muszą się podnieść tylko na chwilę. Rozłożę karimaty i koce, spróbuję rozpiąć brezent. Martin, który jest w pobliżu, ani myśli pomóc. Szczęściem z namiotu medycznego wyłania się León. Odmłodził o dekadę, oczy mu błyszczą. Cieszy się, że wreszcie go potrzebujemy. Każe mi odpuścić – są ważniejsze sprawy od koca i cienia. Prosi, żebym poszedł z nim do namiotu medycznego.

Dostaję paczkę saszetek z elektrolitami, kilka zgrzewek wody i trzy rolki ręczników papierowych. Niech osoby wymiotują i znowu piją, bo inaczej tego nie ogarniemy.

Chorzy pokładają się wokół namiotu jak pielgrzymi przy zatrutej studni. Brzdące trzymają się za brzuchy i nieznośnie płaczą. Jeden bije matkę po piersi, myśli, że zachorował przez nią. Rozdaje butelki z rozpuszczonymi elektrolitami, połowa nawet odmawia, zaciska wargi jak dzieci, za to dzieci piją grzecznie, krztuszą się i zwalają na kolana rodziców. Bez przerwy im się odbija. Tłumaczę dorosłym, że się odwodnili, sam wlewam im wodę do ust, aż ścieka po brodzie. Każdego podeprę, ułożę, dam pod głowę zrolowany koc. Są zbyt słabi, aby mnie odepchnąć.

León mówi, że nie mogą tutaj zostać, ponieważ pozarządzają zdrowych. Wyobrażam sobie siedemset wymiotujących głów. León spogląda na kataklizm przed namiotem, przeklina opiekę medyczną w Rijače i prosi, bym coś zaradził. Nawadnianie weźmie na siebie, ja muszę znaleźć miejsce, gdzie ich położymy. Należy działać szybko, zdrowi lgną do chorych – przed namiotem zwiera się półokrąg ciekawskich.

León to lekarz z powołania. Od siebie wymaga wiele, zaś cudów od innych. Osoby wylewają się z przepełnionych namiotów, leniwe jak zawsze, zrosnięte z telefonami, rozgadane i ziewające. Proszę mężczyzn, by się ruszyli, bo trzeba oczyścić namiot dla chorych, lecz

podnosi się tylko paru. Chciałbym nimi potrząsnąć. Wyniósłbym na kopach, oburzony niewdzięcznością. Oddałem im swoje życie. Oni w zamian nie zrobią nic. Dopada mnie lęk: Co, jeśli sam się zaraziłem? Zasłużyłem na trąd i świerzb, lecz co się stanie z Imagine beze mnie? Strach przypomina o wielkim nieobecny i podsuwa rozwiązanie. Przecież mamy jeden niemal pusty namiot.

Albert siedzi wyprostowany na łóżku i wbija wzrok w ekran laptopa. Wśród zmiętych ciuchów położył książkę, po której śmiga myszką bezprzewodową. Monitory na biurku są zgaszone, samo biurko zavalone papierami, opakowaniami po daniach jednogarnkowych i puszkami z niedojedzoną fasolą. Albert nie wie nawet, kto przyszedł, mruży oczy, pyta i chyba nie jest zadowolony z odpowiedzi.

Tłumaczę, w czym rzecz, mówię powoli, patrząc wprost na niego, unikając osobistych wtrętów. Proszę, aby wyniósł się z namiotu, tylko na parę dni. Zamieszka z nami, dobrze mu to zrobi. W końcu jesteśmy drużyną. Nikt się na niego nie gniewa, wszyscy tęsknią. Przecież prawie go nie widzimy, bo wychodzi tylko nocą jak borsuk.

– Nie.

Zsuwa laptopa z kolan i powtarza odpowiedź. Mówi, że pracuje od rana do wieczora i potrzebuje spokoju. Zaniedbał tak wiele spraw. Tylko dzisiaj wysłał trzysta mejli do inwestorów i bez przerwy siedzi na telefonie. Ten rodzaj pracy wymaga skupienia, czego Albert nie wiedział wcześniej, ale teraz już wie. Wycisza się tutaj, w półmroku, czyniąc to dla wyższego dobra. Je posiłek co trzy godziny, a przesypia ich osiem. Wszystko w interesie naszych podopiecznych. Zapewnia dopływ darów i pieniędzy, w tym także lekarstw na gripę żołądkową. Odpowiadam, że na tę gripę nie ma lekarstwa. Albert się śmieje.

– Myślmy o tysiącach ludzi, nie dziesiątkach. Grypa to nie choroba. Niech się pierdola.

Nawet nie wiem, jak znalazłem się na zewnątrz. Wyszedłem czy mnie wypchnięto? Chcę wrócić i udusić Alberta. Ciekawe, jak by wówczas gadał. Mógłbym też pójść do Alego albo do znajomego policjanta. Powiedziałbym, że Albert cisnął w gierki i dlatego zasnął za kierownicą. Pięknie by go urządzili. Złość rozpala się we mnie, a gasi ją nowy, oszałamiający pomysł.

Przy łózkach w domu intymności małżeńskiej wciąż leżą chusteczki higieniczne, kondomy i lubrykanty. Wrzucam je do worka, wraz z Martinem wynosimy zaimprovizowaną toaletkę, zrywamy parawany i rolujemy brezent przy wejściu, wpuszczając powietrze. Donosimy więcej łózek z magazynu. Temu wszystkiemu przygląda się Eve, ja na nią też patrzę: wściekłość w jej oczach cudownie przechodzi w rozanielenie.

Prowadzimy chorych, pomalutku, z szacunkiem dla ich umęczonych, schnących ciał i drogi, którą każdy musiał przebyć. Glenn Close trafiła na nosze, ale reszta idzie o własnych siłach. Pytają, czy daleko jeszcze, czy zaprowadzimy ich do szpitala, mówią też wiele różnych rzeczy w nieznanym mi językach. Wszystkie są tęsknotą.

Każdej z osób stawiam butelkę wody u wezglowia. Pij, proszę. Wyłapuję dzieci. Te są bezrozumne, próbują chodzić mimo choroby, grzebią palcami w ziemi. Biorę w ramiona dziewczynkę. Mówię, że wszystko będzie dobrze, mówię po polsku, bo liczy się ton głosu i kojący rytm słów. Dziewczynka jest twarda i krucha jak wyschnięty papier. Uświadamiam sobie, że nie jest za późno, że jeszcze mogę mieć córkę.

Za to wzroku Felipy nie mogę znieść. Zjawia się, jak to ona, na ostatni dzwonek, kiedy

wszystko jest już gotowe. Radzę jej, żeby napoiła cierpiących, może się nie udławią. Z głębi namiotu dobiega głębokie westchnienie Leóna. Felipa prychnie jak fretka i stwierdza, że nazbyt się rządzi. Za kogo się uważam? Rzuca takie pytanie i już garbi się nad chorym. Pewno liczy, że jej odpuszcze. Otóż doskonale wiem, kim ona jest. Czy chce, aby tę prawdę poznali także inni? Podnoszę głos: Kim jesteśmy w jej oczach? Bandą szczurów doświadczalnych, małpami na wybiegu? Felipa sięga po nową butelkę, mdły uśmiech maskuje strach.

– Zrobisz, jak zechcesz.

Zapewne sądzi, że inni ludzie istnieją tylko po to, by wrzucać jej lód do whisky. Nawet teraz przykłęka tak, aby nie ubrudzić sobie spodni. Poi Glenn Close, lecz jej nie dotyka. Odwraca głowę i prosi, żebym się tak nie przyglądał. Naprawdę nie mam nic do roboty? León wzdycha jeszcze głośniej i nalega, byśmy dali sobie spokój.

Nie trzeba mi dwa razy powtarzać, zwłaszcza że wokół namiotu kręci się Eve. Nic dziwnego – przecież ja tu jestem. Podchodząc do niej, czuję się, jakbym powracał do sekretnego życia. Znów czekam w najciemniejszym kącie knajpy, wyglądam tajnego esemesa, rezerwuję hotel z fałszywego konta, w drodze do domu wymyślam, gdzie byłem i z kim. Szczęście miesza się ze wstydem. Eve spuszcza wzrok. Przecież rozumiemy się bez słów.

Mimo to trzeba coś mówić, przynajmniej do chwili, gdy opadną maski. Kto będzie pierwszy, ona czy ja? Tak bardzo się boję. Dukam nieśmiałe gratulacje, przepraszam, że wątpiłem w jej namiot. Okazał się bardzo potrzebny, choć jego zastosowanie różni się od pierwotnego przeznaczenia. Każdy dzień przynosi niespodziankę. Największą przygodą są ludzie. Czasem ktoś, kogo nie lubimy, okazuje się fantastycznym człowiekiem, a miłość można spotkać nawet w warzywniaku. Nieoczekiwanie Eve gratuluje mi optymizmu. Wyznaje, że ciągle jest zmęczona. Budzi się o trzeciej w nocy i już nie może zasnąć. Praca przynosi satysfakcję, brakuje jednak zabawy. Nie przypuszczała, że trafi do takiej dziury. Potańczyłaby, napiła się wina. Wzdycha. Zsuwa maskę z twarzy, ociera usta. Stwierdza, że mogłaby wyjechać już dzisiaj, gdyby nie ta jedna, jedyna rzecz, która ją tu trzyma.

Zostawia mnie, nim zdążę odpowiedzieć. Rozumiem reguły nowej gry, ruch należy do mnie. Zdobędę wino i muzykę. Obejdę Imagine i sprawdzę, czy nie ma nowych chorych. Obiad sam się nie rozleje do talerzy, a na Felipę nie ma co liczyć. Dzieci potrzebują mleka. Pieluchy się kończą. Co z herbatą? Jak sanitariaty? Osoby potrafią zapchać tardisy w kwadrans, zwłaszcza teraz. A paczki dla wyjeżdżających? Aż w głowie mi się kręci od tego nadmiaru. Dam radę, wiem, usiądę. Po prostu muszę. Tylko na chwilę, tam, gdzie stoję, tak jak osoby. Ziemia jest ciepła. Rozprostowuję zdeptaną trawę. Już dobrze. Słyszę miarowe bicie serca. Oddycham głęboko.

Wokoło przewala się życie. Osoby siedzą w grupach, palą papierosy i śpiewają, jak to one. Mężczyźni leżą na plecach i bujają dzieci, inni golą się i układają włosy, używając telefonów jak lusterek. Żaden wiatr nie rozwieje tej chmury nad nami. Wojskowi pozdejmowali hełmy, mają spocone karki i ciemne okulary w stylu Rambo. Jakiś chłopiec szarpie ogrodzenie – bardzo chciałby dostać takie okulary. Fioletowa kurtka zwisa z drutu kolczastego. Chłopaki rozciągnęły sznurek między namiotami i grają w siatkówkę. Może powinienem zamontować kosz? Tak właśnie zrobię. Koszykówka wydaje się w porządku. Albert znajdzie fundusze. Muszę tylko do niego wrócić i wrócić, pewnie, że tak, tylko posiedzę jeszcze chwilę i popatrzę sobie na ludzi, na ptaki, na osoby.

Mamy dwa magazyny – ten mniejszy, na terenie obozu, i drugi, zwany Bunkrem, już za Imagine. To betonowy klocek, w którym mieścił się kiedyś sklep spożywczy. Albert daje klucze bez słowa, nie pyta nawet, czego potrzebuję. Znajduję zakurzony sześciopak piwa Union, lecz żadnego wina. Są też tablety i telefony Samsunga, fabrycznie zapakowane. Nie wolno mi ich dotknąć. Zabieram tylko plecaczek.

Siadam przed Bunkrem i patrzę na wieczorne słońce. León ani myśli odpuścić i trzaska kółko za kółkiem, po zewnętrznej stronie siatki. Nie zwalnia i się nie zatrzymuje, dopóki nie dam mu znaku, że chcę pogadać. Mija chwila, nim złapie oddech. Zaczyna się rozciągać. Mówię mu, że jutro nie jadę po chleb. Weźmie Martina, chłopak się ucieszy. León kiwa głową i z powrotem zakłada słuchawki.

Dokonuję szybkich obliczeń. Droga do Rijače zajmuje jakieś piętnaście minut, średnio jedziemy, powiedzmy, sześćdziesiątką. Przedemną dwunastokilometrowy spacer. Zdrowy człowiek, nie jakiś León, pokona tę trasę w dwie godziny. Czekam, aż zapadnie zmrok.

Przez pierwszy odcinek brodzę w śmieciach. Wzdłuż drogi rozciąga się łań rzeczy porzuconych. Są kurtki, bluzy, zabawki i mnóstwo jedzenia. Wirują roje much, ptaki latają nisko. Nie zaczepiają mnie ani policjanci czekający w zatoczce, diabli wiedzą na co, ani wojskowi z odkrytą furgonetką. Zwalniają tylko, włączając krótkie światła. Unoszę dłoń i mam wrażenie, że mój wielki cień zaraz dostanie skrzydeł i wystrzeli w niebo.

Maszeruję asfaltem, dookoła las ze swoją ciemnością, szeptem i łagodną grozą. Coś powinno tam świszczec i szurać. Co z nocnym życiem? Widok z drogi głównej oszałamia pięknem. Wysoko rozplątał się warkocz gwiazd, między wzgórzami tli się luna miasteczka. Postąpiłbym dłużej, lecz trąbią samochody. Nie mogę iść poboczem. Zanurzam się w las i tylko zerkam na drogę, żeby nie zgubić kierunku. Potykam się o korzenie, grzęznę w zaroślach i nabieram pewności, że przedobrzyłem z tymi dwiema godzinami. Las nocą rośnie jak jezior poszum, mam swoją magię i obiecany strach. W prześwitach błyskają reflektory, szumią liście, żołędź uderza o ziemię, trzeszczy chór świerszczy.

Księżyc prześwituje przez korony drzew, a w jego świetle przemyka kilka krępych stworzeń. Rozglądam się za czymś do obrony. Warchlaki czmychają w gęstwinę, a czarna locha potrząsa łbem i uderza racicą w ziemię. Przywieram do pnia, próbuję się wspiąć, brzmi trzask, ląduję na ziemi z gałęzią w ręce. Locha zniknęła.

Przeskakuję powalone pnie i brodzę w płytkich rozlewiskach. Na butach zsuwam się do strumienia na dnie płytkiego jaru, wychodzę, trzymając się pnączy i korzeni. Chwilami tracę drogę z oczu. Boję się, że nie dotrę, że coś mnie tutaj zje. Myśl o Eve dodaje mi siłę, lecz chyba nie kocham jej aż tak mocno. Wędrówka jest jak spacer przez rozżarzone węgle, jak marsz z dzieckiem przez wysoki śnieg. Siadam na krawędzi jaru, opieram się o drzewo. Bardzo potrzebuję odpoczynku.

Las szumi, mamrocze i gwizdże. Pohukuje sowa, a z głębi zarośli dochodzi odgłos miarowych uderzeń. Coś kracze, coś buszuje w krzakach. Przypominają mi się jeże w parku Skaryszewskim i sowa, która kiedyś spadła na nasz balkon. Powracają kojące światła wielkiego miasta i yorki wyprowadzane przez staruszki. Ziemia jest jak mokry beton. Bawię się listkiem, bawię się patykiem. Już wiem, co tam się tłucze – walczą jelenie. Pójdziemy dalej.

Nie bój się, mały, tu nie ma duchów ani potworów. Niedźwiedzie żyją w górach, wilki gdzieś tam w kniei, a ten dzik bał się nas bardziej niż my jego. Sowa łowi myszy zamiast ludzi, Drakula to Kaczula, więc schowaj strach i chodź. Te duchy są przecież z czekolady, trawę zrobiono ze srebra. W podobne noce łagodne czarownice ścinają ją sierpem i plotą z niej zbroje dla dobrych

rycerzy broniących królestwa. Idziemy powoli, żeby się nie zmęczyć. Coś biegnie. Borsuk? Patrz, patrz: to chyba światło domu!

Rijaże śpi przy lampce nocnej. Płoną latarnie i światła przy wejściach do domów, a ja czekam wśród drzew. Sunę zgarbiony, przemykam od ściany do ściany. Widzę w oknach starszą kobietę przysypiającą przed telewizorem i nastolatka grającego na konsoli. Oddalam się od drogi, wspinam się tam, gdzie ciemniej – muszę znaleźć właściwy dom.

W filmach zawsze jest prosto, zawsze zdarzy się uchylone okno. Ja odbijam się od drewnianych drzwi i szyb z alarmem. Poczciwa psina buszująca w ogrodzie zmusza do skoku przez płot. Im wyżej, tym domy znajdują się dalej od siebie. Partery są murowane, piętra wykonane z drewna. Okno w ukośnym dachu rozdziawia gębę pokrytą liśćmi.

Obchodzę dom dookoła, w środku ciemno. Posnęli lub pojechali. Wspinam się, im wyżej, tym gałęzie cieńsze. Przypomina mi się dom na Starych Bielanach, skrzypiące stopnie i ufoludy. Ledwo mogę się podciągnąć, dyndam, machając nogami. Przywieram do pnia i wspinam się dalej. Sunę po jednej gałęzi, drugiej się trzymam. Od dachu dzieli mnie długi krok.

Próbuję zrobić go bezgłośnie, wychodzi jak zwykle – tracę równowagę, padam do przodu i sunę po dachówkach. But opiera się o rynnę. Jestem bezpieczny, dyszę. Uderzyłem jak meteor – niebo zważyło się na głowę poczciwym Słoweńcom. Nie śmiem się ruszyć, nasłuchuję i zerkam w czarne okna. Wyczekuję światła, kroków. Nic takiego się nie dzieje. Pohukuje sowa. Daleko ujada pies.

Przesuwam się po dachu, wciąż oparty o rynnę, i wciskam się przez okno. Pokój jest mały, o białych ścianach. W łóżku, otoczony maskotkami, śpi jakiś chłopiec. Na drzwiach wisi tarcza do rzutek, pod sufitem zastygły samoloty. Chłopczyk skopał kołdrę, podjechały mu nogawki niebieskiej pidżamy. Stoję nad nim i dumam, o czym śni.

Nigdy nie okradłbym dziecka, zresztą nie ma tu tego, czego potrzebuję. Ostrożnie schodzę na parter. Drzwi do sypialni rodziców zastają uchylone. Śpią okutani po nosy, daleko od siebie. Ojciec, pan domu, leży na boku. Gdyby otworzył oczy, spojrzełby wprost na mnie.

Kuchnia przypomina te z amerykańskich seriali obyczajowych, z wyspą i masywną lodówką. Butelka białego wina trafia do plecaka. Po namyśle biorę drugą. Co, jeśli Eve woli czerwone? Nie mogę jeszcze zamknąć lodówki. Są tu sery, twarogowe, wędzone i pleśniowe, oliwki wielkości orzechów i suszone pomidory, jest odrobina prawdziwego masła w maselniczce i kawał krwistej wędliny, są kiełbasy i mleko.

Wyciągam to wszystko, ukrawam chleba, smaruję grubo, łamię kiełbasę i kruszę ser. Oliwki i suszone pomidory wybieram palcami i wpycham sobie do ust. Mleko cieknie mi po brodzie. Więcej i więcej. Dławię się mięsem, sery połykam bez gryzienia, policzki napycham oliwkami. Wstępnie nasycony, przygotowuję kolejną kromkę, tym razem elegancko, ze wszystkim naraz. Polewam oliwą ten kopczyk dobroci, biorę małe kęsy. Widzę dziecko stojące u dołu schodów. Najpierw myślę, że chłopiec się zbudził, później, że to ty. Przychodzi otrzeźwienie: tam nie ma nikogo.

Na wyspie zostawiam pobożowisko – strzępy folii, rozlaną oliwę i mleko. Wiem, zostanie mi wybaczone. Ci dobrzy ludzie pomyślą, że jakiś bezdomny przyszedł się najeść. Może nawet osoba? Byłaby heca, gdyby zaczęli jej u nas szukać. Sprawdzam, czy w kuchennym radiu są baterie, i chowam je do plecaka. Wymykam się drzwiami, przeskakuję przez ogrodzenie. Przykucnięty, obserwuję dom. Nikt się nie obudził.

O świcie, zadowolony z siebie, idę przez miasteczko, plecak waży tyle co nic. Mgła wplata się w korony drzew porastających wzgórze nad nami, a ja mijam budynek piekarni i siadam na

murku od strony parkingu. Ernest przyjeżdża pierwszy, widzę go, nie będąc widzianym. Za nim zjawiają się inni pracownicy. Wytatuowany szczaw przychodzi ostatni, zaspany, z energizerami w kieszeniach. Siedzę sobie spokojnie z plecakiem między kolanami. Biją kościelne dzwony, na kwiatach lśni rosa. Wąską uliczką kolibie się nasz jeep. Zajeżdża na parking. Martin gramoli się z tylnego siedzenia, León trzaska drzwiami i nagle mnie dostrzega. Uśmiecham się do niego i macham nogami. Zrobiłem mu niespodziankę. Ale ma głupią minę!

Koło południa wszystko jest gotowe, a ja wracam do Imagine przejęty, że ktoś odkryje mój sekret. Martin sprawia wrażenie nieświadomego, zobojętniał i odpuścił walkę o dziewczynę. Pochylny, z włosami lepiącymi się do twarzy, szykuje paczki z żywnością.

Z Eve spotkamy się wieczorem, o czym ta nie ma prawa wiedzieć, gdyż prawdziwa miłość zaczyna się od niespodzianki. Obserwuję ją dyskretnie, odczuwam przy tym nowy rodzaj ekscytacji. Kręcę się po kuchni, udając, że szukam mrożonych brokułów, a ona robi wszystko, by nie zerknąć w moim kierunku, niby zajęta porcjowaniem kukurydzy. Gdy rozdziela ręczniki, kucam między belami świeżej pościeli. Podczas obiadu nasze spojrzenia nie mogą się zetknąć, gdyż jedno zatonełoby w drugim. Skryty w gąszczu osób, wędruję za nią pod tardisy i prysznic.

Im bliżej do wieczora, tym czuję się gorzej, choć myślę o Eve, tylko o Eve, co stanowi uskrzydającą nowość. Serce pozostaje ciężkie. A jeśli przegapię właściwy moment, powiem coś nie tak, zdradzę za dużo, spłoszę? Idąc do naszego namiotu, nabieram ochoty, by uciec. Podjąłbym trochę forsy z kasy Alberta i poszedł. Wiem, jak to się robi. Ale czas uciekania dobiegł końca, chwytam życie za fraki. Już nigdy nie pochylę głowy.

Eve siedzi na łóżku polowym, rozczesuje włosy i przegląda książkę Naomi Klein. Wciąż ma maseczkę, lecz zdjęła rękawiczki i rozpięła rękawy kraciastej koszuli. Pytam, czy przesłaby się ze mną na spacer, wieczór będzie piękny, niedługo wzejdą gwiazdy. Kochana Eve wie, w czym rzecz, lecz musi się podroczyć. Zapytuje, gdzie moim zdaniem można tutaj spacerować. Idę o zakład, że uśmiecha się pod maseczką. Odpowiadam, że do pewnego szczególnego miejsca, gdzie czeka jeszcze bardziej szczególna niespodzianka.

Kierujemy się do bramy. Eve, żeby podkreślić atmosferę, wyraża nadzieję, że spacer nie potrwa długo. Chciałaby się już dowiedzieć, o co chodzi. Zapewniam, że będzie bardzo szczęśliwa, i rozglądam się dyskretnie, czy gdzieś w pobliżu nie pęta się Martin. W zamian dostrzegam szalejącego Spider-Mana. Bezlitosny gówniarz, wciąż w swojej koszulce, za dużych spodniach i butach tak białych, jakby nigdy nie dotknęły ziemi, gna główną aleją, dopada czyjegoś uda, gryzie i odbiega. Wytrąca młodszemu dzieciom butelki z rąk, jednemu wyrывa latawiec i biegnie z nim, podskakując, jakby próbował wznieść się w powietrze. Puszczają sznurek. Kolorowy ogon nikt nie widzi na tle ciemniejącego nieba, a ograbiony malec wyciąga rączki i płacze.

Pomiędzy Bunkrem a kościółkiem, w bliskości drzew, z traw i czerwonych maków wyrasta stolik ogrodowy oraz dwa składane krzesła ustawione w stronę zachodzącego słońca. Papierowe ręczniki służą za obrus, zamiast kieliszków mamy plastikowe kubki. Wskazuję na butelki i pytam, którą otworzyć najpierw. Eve pozostawia tę decyzję mnie. Zrywam folię, wpycham korek do środka za pomocą śrubokrętu. Nalewam najpierw sobie, później jej, zachowując dobry obyczaj, lecz łamiąc stare przyrzeczenie.

Eve mości się na krzesle. Przed nami rozciągają się szpiczaste dachy domów, sady owocowe,

las i dalekie, łagodne wzniesienia, między które osuwa się słońce. Radio stoi na pieńku, zamaskowane liśćmi, niemal niewidoczne. Niedawno mówiłaś, że tęsknisz za winem i muzyką! Rozpoznaję kolejno głosy Chrisa Browna i Justina Biebera, lecz nie znam tych piosenek.

Wznoszę toast, stukamy się kubkami. Eve zsuwa maseczkę. Ma nosek urwisa i usta gwiazdy porno, nie mogę oderwać od nich wzroku. Mówię, że kiedyś przysięgłem sobie, że nigdy się nie napiję. Lubię życie na trzeźwo, nie tęsknię za chlaniem, zresztą prawie nigdy nie piłem, nawet w poprzednim życiu. Szybko gasłem, rano bolał mnie brzuch. W każdym razie przysięgłem, że zostanę z suchym pyskiem aż po grób. Skąd miałem wiedzieć, że zdarzy się taki wieczór, że zdarzy się Eve? Dziewczyna słucha, bierze drobne łyki.

– Jesteś alko?

Skąd jej to przyszło do głowy? Tłumaczę, że chodzi o skupienie na celu, o ciągłą gotowość do czynu i jasną głowę. Eve zastanawia się, skąd wziąłem radio i czy musimy słuchać akurat Timbalanda. Kładzie na stoliku swój telefon, włącza playlistę i milknie.

Denerwuję się, więc piję odrobinę więcej niż ona, lecz nie tak znów dużo. Jeszcze Eve pomyśli, że naprawdę jestem uzależniony. Lubię, kiedy dziewczyny nadają ton rozmowie, lecz Eve gapi się w kubek. Wspominam niedawną wizytę u Alberta; tkwi w borsuczej jamie i markuje pracę. Niedługo zapadnie się w sobie jak opuszczony dom. Eve dosłownie tonie w kraciastej koszuli. Mówię jej, że nigdy nie umawiałem się z tak szczupłą dziewczyną, bałem się, bo mógłbym taką zmiażdżyć, jak John Malkovich w filmie o robotnikach rolnych.

Eve powoli odkłada kubek i ogarnia mnie strach, że palnąłem jakieś głupstwo. Jeszcze pomyśli, że jestem jednym z tych niedorzecznych samców, którzy puszczają dziewczyny przodem tylko po to, by popatrzeć na tyłek. Przecież ożeniłem się w połowie studiów i trwałem w małżeństwie do niedawna. Tak właśnie mówię. Moja żona była dobrą kobietą, a i ja się starałem, więcej nawet, nie zrobiłem żadnego głupstwa ani draństwa, poza tym jednym fatalnym przypadkiem, którego przecież nie można oceniać za surowo. Opowiadam trochę o Julce, o naszych szczęśliwych dniach i o tym, że nawet najlepsi, najbardziej kochający się ludzie czasem odkleją się od siebie bez własnej winy. To straszne, ale właśnie takie jest życie.

Eve z powrotem zakłada maseczkę, odstawia pusty kubek, sięga po telefon. Czy zrobiłem coś złego? Czy ona boi się tego, co nieuchronne? Klękam przed nią, ujmuję za dłonie. Przywołuję tę chwilę, gdy uciekałem przed reporterami. Eve mi pomogła, wtedy zrozumiałem. Takie rzeczy nie powinny się zdarzać, bo przecież mamy tutaj nieść pomoc, a nie otwierać serca. Miłość nie zważa na takie wybory, jest jak nagła zawierucha. Należy się jej poddać, inaczej urwie głowę. Oczy Eve robią się wilgotne. Przypominam, że nie wolno się bać, bo strachliwi kończą w samotności. Pomyślmy o nas. Przecież mogliśmy wyjechać stąd osobno, każde w swoją stronę. Prędzej czy później nadejdzie kres posługi w Imagine. Co wówczas, droga Eve, ze sobą poczniesz? Będziemy pić wino w naszych samotnych kątach i patrzeć przez okno na spacerujących zakochanych. Możemy się zestarzeć ze wspomnieniem zmarnowanej szansy. Na pewno tego chcesz, ukochana?

Powstaję z klęczek, niemal wspinam się na Eve. Nasze spojrzenia się spotykają. Gdy sięgam ku maseczce, ręka mi drży. Nachylam się, rozwieram usta i nagle sprawy przyjmują zaskakujący obrót, bo Eve bije mnie po twarzy i przedramionach. Słyszę, że tego się nie spodziewała. W gruncie rzeczy nigdy nie przydarzyło się jej nic podobnego. Od początku wiedziała, że jestem dziwny, ale teraz, kurwa, zmienia zdanie. Nazywa mnie regularnym pojebem i każe się leczyć. Nie powinienem nawet zbliżyć się do ludzi, a zwłaszcza do niej. Unosi dłonie i pokrzykuje, wycofując się w stronę Imagine:

– Nie podchodź, kurwa! Nie podchodź!

Odwraca się i biegnie ku bramie, kuląc się jak pod odstrzałem. No dobrze. Niech będzie i tak. Zwalam się na krzesło, nalewam sobie wina. Eve wypila pół kubka. Reszta została dla mnie, co zmienia rachunek zysków i strat.

Znalazłem chwilę dla siebie, mam barek w oku cyklonu. Drugie krzesło przesuwam sobie pod nogi i nastawiam radio na cały regulator, co i tak oznacza basowane bzyczenie. Leci nowy hit Pharrella Williamsa. Gdybym wiedział, zostawiłbym radio tym biednym Słoweńcom, to znaczy, gdybym mógł przewidzieć, że ma tak słaby głośnik i że Eve zachowa się tak idiotycznie, poza tym przecież Pharrella Williamsa nie da się słuchać.

Słońce już prawie zaszło, pociemniały dachy domów. Wokół mnie grają znajome świerszcze, od Imagine niosą się jak zwykle głosy rozśpiewanych osób. Coś szura w trawie. Czyżby Eve przybiegła po wybaczenie? Lis grzebie za jedzeniem. Może należało przygotować kolację?

Niesłychane, lecz butelka wyszła. Eve prawie nie piła, lecz ja też tyle co nic, bo jestem trzeźwy. Mógłbym iść po linie, rozwiązałbym równanie z trzema niewiadomymi i tylko z otwarciem drugiej flaszki nie daję sobie rady. Wbijam ten śrubokręt, a korek nie chce wejść do środka. Już kiedyś tak robiłem, tylko kiedy? Roztrzaskuję szyjkę o kamień. Kubek napełniam ostrożnie w obawie przed drobinkami szkła, a i tak mam wrażenie, że na dziąsłach otwierają mi się głębokie rany.

Przecież mógłbym tak spędzić całe lata: w trawie, z winem, patrząc w noc. Zawsze szukałem nie wiadomo czego i zagłuszałem życie. Najpierw były książki, komiksy i filmy, potem gry i portale społecznościowe. Teraz, obserwując ścigające się nietoperze i dalekie światła aut zjeżdżających w dolinę, rozumiem już, że prawdy nie można się doklikać. Kto by przypuszczał?

Wino zmieniło się w wodę, wypilem dwie butelki i nawet nie szumi. Kopniakiem posyłam stolik w kosmos, krzesła wirują na tle księżyca, a ziemia niesie mnie w kierunku ognisk i piosenek. Spacerowanie sprawia mi wielką przyjemność.

Coś spada mi na plecy i wgryza się w ucho. Próbuję zrzucić z siebie niewidzialnego przeciwnika, uderzam o siatkę, upadam. Przeciwnik wznosi się teraz nade mną. To dzieciak w koszulce ze Spider-Manem. Ma śniadą twarz pustynnego demona; takie dzieci zmuszają opiekunki do samobójstw i rozkazują zwierzętom. Wbija mi palec w oko, okłada pięściami, gryzie w rękę. Staram się osłaniać, wreszcie uderzam go pięścią, próbuję ścisnąć śliską szyję. Gdy umrze, ty do mnie powrócisz. Spider-Man wybucha płaczem, schodzi ze mnie i zatacza się w stronę koksowników. Przepada, nim popełnę jego śladem.

Leżę na plecach, słucham, jak ziemia pije krew. To coś pomiędzy przesypywaniem żwiru w dłoniach a trzaskaniem folią bąbelkową.

Pod głową rośnie mi mokra plama, czym nie przejmuję się ani trochę, gdyż nie przejmuję się niczym. Leżę spokojnie pod gwiazdami. Ucho jest jak człowiek, gromadzi w sobie mnóstwo krwi, lecz nic z niego nie wynika.

Za siatką warczą silniki. Wojskowi nigdy ich nie gaszą, jakby na coś czekali. Buczą generatory prądu, szumi woda pod prysznicami, brzmią melodie z telefonów, pieśni, rozmowy i dziecięce piski. Ucho nie boli. Sprawdziłbym, jak bardzo spuchło, tylko nie umiem unieść dłoni. Ta również zmieniła właściciela. Zamarły nawet palce u stóp. Gdyby swędział mnie nos, nie mógłbym się podrapać, ale nie mam już nosa.

W oczy zagląda mi zimny reflektor. Ktokolwiek tam patrzy, wziął mnie za osobę. Nie odczuwam zimna ani ciepła, a myśli faktycznie są jak chmury – pojawiają się same, jedna po drugiej i zostają tyle, ile chcą. Robi się coraz ciemniej. Reflektor ślizga się po Imagine jak oślepiiony ptak, pogasły komórki, zamilkły dzieci. Nadszedł chłód. To dziwne. Przecież niedawno było ciepło. Uczucie jest nieprzyjemne, lecz możliwe do zniesienia. Nie jestem głupi: wiem, że powinienem się ruszyć, inaczej dostanę zapalenia płuc, a na to się umiera. Tylko aby wstać, potrzeba nóg i rąk, a one dokądś sobie poszły. Poza tym ta chwila już nigdy nie powróci, bo zawsze zdarzy się coś.

Wydaje mi się, że widzę mojego prześladowcę. Pakuje się komuś do śpiwora – dostaje z liścia. Zdiera koc ze śpiącej – obrywa butem. Krąży tak, poszukując posłania, zapłakany i przestraszony. Wreszcie próbuje sforsować siatkę i spada, porażony pastuchem elektrycznym, a swąd palonego ciała dociera aż do mojego lodowatego legowiska.

Słońce pojawia się nagle, wraz z nim rosa, gwar, znajomy warkot, a także ręce i nogi. Składałam się jak transformers i już biegnę do bramy, gdzie nasz żółto-czerwony jeep rozgrzewa silnik. Macham, żeby zaczekali, przecież pierwszy raz zdarzyło mi się coś takiego. Osoby schodzą mi z drogi, matki porywają dzieci w ramiona, a żołnierz pilnujący wyjścia chyba strasznie chce mi coś powiedzieć. Pomogę mu potem. Dokąd jedziecie? Przecież nie poradzicie sobie beze mnie!

León hamuje na mój widok i opuszcza szybę. Zwalniam, cały się zasapałem. Przypominam, że coś takiego zdarzyło mi się po raz pierwszy. Mam za dużo na głowie. Problemem jest czas, a nie brak sił. Zasuwam w stronę samochodu, a od strony pasażera wysiada nikt inny jak Martin, ze swoim plecaczkiem i włoskami spiętymi w kucyk. Idzie prosto na mnie. Nie podoba mi się jego wzrok. Zapewne myśli, że zabronię mu jazdy do miasteczka. Wyjaśniam, że nic takiego nie przyszło mi do głowy, a on wali mnie w szczękę. Radzi, żebym odpieprzył się od jego dziewczyny. Walczę o oddech, a jeep maleje na drodze.

Niektórzy właśnie tacy są – bezradni wobec trudności, wybierają przemoc. Naoglądali się filmów i myślą, że właśnie tak wygląda życie. Pragnie odzyskać Eve. Ależ znalazł sobie sposób! Ludzie jego pokroju wciąż siłują się na rękę i płacą rachunki w restauracjach tylko po to, by wepchnąć kobietę do kuchni i na oddział położniczy. Uderzył mnie, upokorzył siebie. Miarka się przebrała. Poniesie konsekwencje.

W namiocie wolontariuszy zastają tylko Felipę. Jak sądzę, Eve boryka się z konsekwencjami wczorajszego fatalnego wyboru. Tymczasem Felipa siedzi w ulubionej pozie księżnej bez królestwa, z laptopem na kolanach i papierosem w żmijowatych ustach. Mówi, że wyglądam jak gówno. Zderzyłem się z transporterem opancerzonym? W jej głosie brzmi ciekawość, lecz ani śladu współczucia.

Moje ucho w dotyku przypomina kawał rozmrożonego mięsa. Tym pomartwię się później. Felipa niechętnie opuszcza nogi, żebym mógł usiąść obok niej. Mówię, że Martin właśnie mnie uderzył, do tego wiem o nim parę rzeczy, które, w razie ujawnienia, zaprzepaszczą naszą pracę w Imagine. Dlatego potrzebny jest wspólny front. Jak tylko wróci, zbierzemy się wszyscy, cała nasza grupa, i powiemy, żeby się wynosił.

Śmiech nie zwiastuje niczego dobrego. Felipa odkłada laptopa i pyta, czy przypadkiem nie oberwałem za mocno. Wszyscy wiedzą, co wczoraj zrobiłem, i to mnie mają dosyć. Ona oczywiście ma w czterech literach, kto z kim sypia, kto kogo odrzucił albo strzelił w mordę. Cieszy ją jednak, że dostałem za swoje. Ma odwagę powiedzieć mi coś takiego. Dodaje, że jestem egotycznym idiotą chorującym na brak wyobraźni, a moja śmierć w vanie przyniosłaby

ulgę naszej międzynarodowej społeczności. Na szczęście nie ma potrzeby umierać. Felipa gasi papierosa i natychmiast zapala kolejnego.

– Nie Martin jest na wylocie, tylko ty.

Na stacji kolejowej panuje cisza. Większość mundurowych siedzi w otwartych samochodach. Pozdejmowali hełmy, palą papierosy, jedzą kanapki z jajkiem i popijają kawę z termosów. Pomiędzy nimi a peronem garbi się dziurawy namiot, w którym nikogo nie ma. Wszędzie leżą klapki i buty. Koło wojskowej furgonetki ktoś oparł karton z napisem SOS.

Ali przysypia na krześle przed namiotem Czerwonego Krzyża. Ma błyszczące džinsy, jedno z tych, które ukochali sobie prezenterzy telewizji śniadaniowej. W kamizelkę wpiął identyfikator, na kolanach trzyma krótkofalówkę i pradawny telefon komórkowy. Oba sprzęty spadają, gdy potrząsam tym Rumcajsem z Bliskiego Wschodu. Ali jednocześnie zbiera swoje skarby i zawiesza na mnie wzrok. Nie wyglądam najlepiej, lecz moja sprawa nie może czekać. Nadciąga ospały młody policjant. Ali tłumaczy mu coś po słoweńsku. Policjant zostawia nas w spokoju.

Przynoszę sobie drugie krzesło. Z tylnej kieszeni spodni wyjmuję notes. Wytrząsam ziemię i liście spomiędzy kartek, znajduję właściwą stronę. Mówię, że skrywałem prawdę tak długo, jak tylko się dało, kierując się wiarą w ludzi. Każdy ma coś na sumieniu, czyż nie? Zły człowiek może być dobrym wolontariuszem. W naszej grupie sprawy zaszły za daleko i zagrażają przyszłości Imagine. Obdarzam Alego wielkim zaufaniem. Liczę, że potraktuje poważnie moje słowa i zrobi z nich właściwy użytek.

Ali przygryza wargę, zerka raz na mnie, raz na puste tory. Wyjmuje opakowanie tytoniu, skręca papierosa ze sprawnością mistrza origami, podsuwa mi pod nos. Odmawiam. Jest parę spraw do obgadania.

Albert jest uzależniony od gier komputerowych. Grał całą noc i dlatego zasnął za kierownicą. Naraził życie osób i ludzi. Gryzę się w język, przypominam, że Albert w odróżnieniu od innych ma serce po właściwej stronie. Po prostu tkwi w straszliwym uzależnieniu. Niewątpliwie zdaje sobie sprawę ze swojej winy i bardzo cierpi. Dlatego gdy tylko odsuniemy go od władzy, gdy wyrwiemy mu kontakty do sponsorów, natychmiast udzielimy pomocy. Przypominam, że Albert jest jedynie ofiarą własnego, poczciwego serducha, a Ali wciąga nerwowo dym i mruży oczy.

Przewracam stronę. Do naszego brudnego rajy wkradł się wąż. Mowa oczywiście o Felipie. Żadna z niej wolontariuszka, lecz reporterka z kilkoma książkami wydanymi w Hiszpanii. Kiedy nie pracuje, pisze, a że niewiele pracuje – niech Ali dośpiewa sobie resztę. Przybyła tutaj żerować na cudzym nieszczęściu. Żywi się krwią jak wampir i nie ulega wątpliwości, że obsmaruje nas wszystkich, co jeszcze można przeżyć. Ale osoby? Nie po to przepłynęli morze na pontonach, żeby Felipa nakręcała sobie karierę dziennikarską. Tacy jak ona przenoszą trupy, by dobrze wyglądały na zdjęciu. Wiedziałaś o tym, Ali? Jak myślisz, co napisała o tobie?

Ali miażdży niedopałek, kładzie mi dłoń na przegubie i chyba zbiera się, aby coś powiedzieć, tylko nie może, taki jest wstrząśnięty. Najsmutniejszą wiadomość zachowałem na koniec. Tu trzeba natychmiastowych kroków. Mamy w drużynie dilerą, bandytę. Łagodny i obyty Martin handluje haszyszem na skalę przemysłową. Skupuje go od osób i wykorzystuje piekarnię w Rijače jako punkt przerzutowy. Ma tam takiego wypłosza, nim też trzeba się zająć. Złapałem tych dwóch na gorącym uczynku. Zaznaczam, że nie mam do Alego żadnych pretensji. Osoby

miewają przy sobie narkotyki, nikt ich przecież nie sprawdza. Tłumaczę różnicę między posiadaniem na własny użytek a dystrybucją. Martin wykorzystał nędzę tych nieszczęśników. Udaje, że pomaga, tak naprawdę – kosi fortunę. Mam pewność, że uskładał ładną sumkę. To jak, Ali, może zawołasz tu tego ospałego policjanta?

Ali kokosi się na krześle i słucha z wielką uwagą. Skręca kolejnego papierosa, tak się rozjuszył. Tłumaczę, że Martin dał mi w mordę, właściwie bez powodu, ale ucho naderwał mi taki jeden gówniarz. Policzek rozdrapała mi Eve, dziewczyna naszego diler. Proszę Alego, żeby jej nie krzywdził. Eve nie ma pojęcia o interesach Martina, padła ofiarą tego skurwiela jak my wszyscy. Tę sprawę musimy załatwić stanowczo, lecz i delikatnie, żeby nie skrzywdzić niewinnej dziewczyny.

Mógłbym wspomnieć też o Leonie i jego obsesji na punkcie zdrowia. Ten miły człowiek znał prawdziwą rolę Felipy, lecz wiedzę zachował dla siebie. Ale jest dobry, on i Eve stali się zakładnikami swoich złych najbliższych, utknęli w sytuacji, która ich przerasta. A ja? Nie mam nic, tylko Imagine. Pragnę jedynie szczęścia dla nas wszystkich.

Milknę. W oczach Alego widzę strach, współczucie i zrozumienie. Przepraszam, że zrzucam na niego taki ciężar. Dźwigałem go samotnie i teraz stoję tutaj, jak drzewo wyczekujące burzy, obity, udręczony, po nocach bez snu. Podnoszę się, ściskam jego rękę. Czuję ulgę i wstyd. Ali wciąż siedzi, odrętwiały i dziwnie spokojny. Gniew człowieka spokojnego jest najstraszniejszy. Policjanci zakładają hełmy. Na stację wjeżdża pociąg.

Mikołaja przyprowadzałem dwa, czasem trzy razy w tygodniu, choć mama domagała się, bym robił to częściej. Nie chciała jednak, by zostawał na noc czy w weekendy, choć byłoby to nam najbardziej potrzebne. Mówiła, że w soboty i niedziele musimy się poświęcić, rezygnując z drobnych przyjemności; tak rodzice budują więź z dzieckiem.

Ze złości zabierałem go koło drugiej i – wstyd przyznać – czasem miałem trudności, by wyłowić jego jasną głowę z tłumu innych dzieci. Niechętnie odrywał się od zabawy i nigdy nie biegł na przywitanie. Klękałem i brałem go w ramiona, myśląc już o rzeczach do zabrania. Z szafki w szatni wypadał sweterek, szalik i kurtka, a także książeczki o kartonowych stronach i plastikowy telefon komórkowy. Ten prawdziwy brzęczał mi w kieszeni. Mama dopytywała, kiedy wreszcie przyjdziemy.

Najgorzej było wczesną wiosną, gdy zepsuł się wózek. Mikołaj kładł się w kałużach i rozprostowywał ramiona, jakby robił orła na śniegu. Podniesiony klękał i zanurzał rączki w błocie. Zakładałem go sobie takiego umorusanego na barana i ściskałem za nogi w obawie, że spadnie. Mikołaj krzyczał na widok psów i samochodów, wpychał mi brudne palce do oczu. Mama schodziła na półpiętro i żartowała, że zrobiliśmy jej świetny dowcip – miał przyjść wnuczek, pojawił się diabełek. Klękała przed nim w przedpokoju, gdzie zawsze leżało opakowanie nawilżanych chusteczek.

Już czystemu, podtykała pod nos owoce i dopiero gdy zjadł, pozwalała iść do mojego dawnego pokoju, przerobionego na skład zabawek. Były tam drewniane tory kolejowe do składania i pociąg z mnóstwem wagoników, wór plastikowych klocków, atrapa laptopa, domino, pluszowe koty, psy i dużo więcej. W drzwiach wisiała huśtawka. Czasem, gdy na to patrzyłem, odczuwałem głęboki smutek, bo jako dziecko nie miałem takich rzeczy, tylko książki, magnetofon i te cholerne listy od taty. Chciałem porozmawiać o tym z mamą. Czy byłem

gorszym dzieckiem niż Mikołaj? Mniej kochanym? Zabrakło odwagi. Zresztą zawsze, gdy tylko próbowałem powiedzieć coś o sobie, mama przestawała słuchać.

Nakładała mi na talerz więcej, niż mogłem zjeść. Na stół powróciły zupy, panierowane kotlety i ciasta. Mama uważała, że u siebie jem byle co, więc przyda mi się jeden prawdziwy posiłek raz na kilka dni. Opowiadała o krnąbrnych lokatorach z parteru, którzy odmówili zapłaty za remont dachu, o tych z czwartego piętra, niechętnych instalowaniu domofonu, o licytowaniu dłużników i o suszarni w bloku na Smetany, przerobionej przez jakiegoś narkomana na studio fotograficzne. Wyglądało na to, że rada osiedla pod przewodnictwem mamy zmierza w kierunku monarchii absolutnej. Potem schodziło na Mikołaja. Mamę martwiła dieta w żłobku, gdzie z pewnością dawano za duże porcje zamiast kilku mniejszych. Głodne dzieci biorą zabawki do ust. Jedno zachoruje, w szpitalu lądują wszystkie. Jak możemy tak ryzykować? Przecież nie umiemy nawet zbilansować diety. Przed wyjściem pakowała dla Mikołaja obrane jabłka podzielone na ósemki, kruche ciasteczka i parówki z indyka.

Czasem chciałem, żeby zrezygnowała z kolejnej zabawki albo z ciastek w kształcie misiów po trzydzieści pięć złotych za kilogram. My także potrzebowaliśmy pieniędzy. Mama przypominała, że Julka dostała stypendium, i niechętnie sięgała po portmonetkę. Dotrzymała jednak słowa i regularnie dokładała się do czynszu. Pierwszego każdego miesiąca wręczała mi pięć stułotowych banknotów, każdy rozprostowany w palcach. Minę miała, jakbym je wyjmował z jej rozprutego serca. Dodawała, że równie dobrze mogłaby tę forszę wyrzucić.

Julka nie chciała widzieć tych pieniędzy, a na jabłka, ciasteczka i parówki reagowała niechętnie; twierdziła, że poradzilibyśmy sobie bez nich. Pytałem jak, skoro i tak chodzę na zajęcia piechotą, bitą godzinę, żeby oszczędzić na biletach. Julka prosiła, żebym się tak nie złościł, we wrześniu oboje się bronimy, trudny czas niedługo się skończy. Poza tym gdy zdecydowaliśmy się na dziecko, wiedzieliśmy, że tak będzie. Przypominałem, że miała podjąć pracę, czego nie zrobiła. Jej zdaniem powrót z urlopu dziekańskiego na studia dzienne stanowił lepsze rozwiązanie – ma więcej czasu dla Mikołaja, który wciąż bardzo jej potrzebuje. Najważniejsze, że pracuję ja.

W knajpach oczekiwali zaświadczenia z sanepidu, a mnie zawsze brakowało dnia, by je zdobyć, więc złapałem robotę w magazynach przy drukarni. Przyjeżdżałem na dwudziestą drugą, kończyłem przed świtem. Przerzucałem z palety na paletę bloki miesięczników takich jak „Mówią Wieki”, a potem przysypiałem na zajęciach. Pracowali ze mną wąsacze w swetrach i koszulach z syntetyków. Najgorsze były jednak dojazdy – niemal pod samo Okęcie, z kilkoma przesiadkami, zawsze w tłoku. Wytrzymałem tydzień, i tak dłużej niż przy czyszczeniu mebli, gdzie zaraz na drugi dzień wpakowano mnie do balii z ługiem.

Wykopaliska archeologiczne niedaleko Bemowa okazały się łżejsze, niż myślałem, za to bardzo nudne. Zrywałem ziemię na akord lub kuciałem w płytkich dołach, poszukując łupków. Liczyłem, że znajdę szkielet lub chociaż monetę z brązu. Nic takiego nie nastąpiło, za to porozmawiałem trochę z doktorantem nadzorującym pracę. Był w moim wieku i miał już dwoje dzieci. Powiedział, żebym niczym się nie przejmował, bo dziecko wynagradza wszelki trud, jest największą radością. Dodał, że sam do niedawna zarabiał grosze i martwił się tak jak ja. Trochę mnie tym podbudował. Wieczorem ogoliłem sobie głowę maszynką, żeby oszczędzić na fryzjerze. Następnego dnia nad wykopaliskami prażyło wiosenne słońce. Noc spędziłem bezsennie, z głową owiniętą w ręcznik namoczony w kefirze. Odpocząłem tydzień, podczas którego napisałem dwa rozdziały pracy magisterskiej, i zacząłem szukać innej pracy.

Ankietowanie nie było złe, tylko idiotyczne. Musiałem znaleźć człowieka konkretnej płci

i wieku, koniecznie na Międzynarodowej albo Światowida, nigdzie indziej. Pytałem o proszki do prania, pasty do zębów i o to, co baton Mars myślałby, gdyby był człowiekiem. Ludzie rzadko wpuszczali mnie do mieszkań. Nie rozumieli, jakie to ważne dla mnie i mojej rodziny, żebym wszedł do środka i zadał pytania. Dźwięk zatraskiwanych drzwi śnił mi się po nocach. Mimo to dało się zarobić, inaczej niż w drukarni i na wykopaliskach – za pełen upokorzeń dzień łożenia potrafiłem wyciągnąć nawet stówkę. Natychmiast rozchodziła się na rzeczy, o które wypytywałem.

Raz, na Dworkowej, wyciągnąłem ankiety z torby, żeby je uzupełnić. Zawsze trochę oszukiwałem i samodzielnie wpisywałem część odpowiedzi. Mama zapytała, co to takiego. Zacząłem opowiadać o swojej pracy, lecz nie dała mi dokończyć. Zapytała, jak mogę chodzić na jakiś Muranów czy daleką Pragę. Przecież ktoś mnie wciągnie do mieszkania i zabije, a do tego zawalę studia. Odparłem, że potrzebuję pieniędzy. Jestem mężczyzną i zarabiam na swoją rodzinę. Mama prychnęła i sięgnęła po portfel. Postawiła jeden warunek: te pieniądze będą tylko dla mnie i Mikołaja.

Pierwszy dzień choroby zapamiętałem, ponieważ Julka zapytała o mojego tatę, trzeci raz, odkąd się poznaliśmy. Nic innego nie zwiastowało nieszczęścia. Mikołaj jadł niechętnie i nie chciał się bawić, ale czasami bywał markotny bez powodu. Wieczorem usiadł na łóżku i się położył, że drapie go w buzi. Julka dotknęła mu czoła, poprosiła, żebym zrobił to samo, i poszła po termometr. Pokazał czterdzieści stopni. Zanieśliśmy małego do łazienki, zajrzeliśmy w czerwone gardło przy dobrym świetle. Mikołaj powiedział, że nie wróci do łóżka, bo tam mokro, i krzyczał, gdy go wziąłem na ręce. Zmieniliśmy mu pościel, ale długo nie mógł zasnąć.

Z nas dwojga to ja martwiłem się bardziej. Julka przypomniała, że podobna gorączka pojawiła się już kilka razy i szybko spadła po podaniu leków. Upierałem się, żebyśmy pojechali do szpitala, i wtedy Julka rzuciła, że przejmuję się po kobiecemu, jak wszyscy chłopcy wychowani przez matkę. Miała kolegę w ogólniaku, też taki był. Musiałem zrobić jakąś straszną minę, bo zaraz mnie przeprosiła. Zauważyła, że nigdy nie wspominam o tacie, że ten temat chyba bardzo mnie boli. Znałem go w ogóle? Wyrządził mi jakąś krzywdę? Mówiła powoli, a w każdym jej słowie brzmiała miłość. Poczulem się osaczony: mój syn zachorował, a żona wsadziła kochający palec w ranę. Skłamałem, że nie znałem taty, mam tylko te listy, które pewnego dnia po prostu przestały przychodzić.

Nazajutrz gorączka się utrzymywała, więc z samego rana poszliśmy do przychodni na Belgijską. Julka biegła przodem w domowej bluzce, a mały przelewał mi się przez ręce. Lekarz zmierzył temperaturę, zajrzał do gardła, obmacał szyję i pachy, po czym stwierdził grype. Przepisał antybiotyk, zakazał wychodzenia z domu i zapewnił, że po pięciu dniach wszystko będzie dobrze.

Nie było. Mikołaj wciąż gorączkował, a w gardle pojawiły się czopy ropne. Jadł tylko pokrojone banany. Budził się za każdym razem, gdy przełykał ślinę. Znów zaniósłem go na Belgijską. Lekarz spojrział na mnie ze znużeniem, potwierdził wcześniejszą diagnozę i dodał, że nie mamy żadnych powodów do niepokoju. Przepisał nowe lekarstwo, a ja poczułem się jak jedna z tych staruszek, które liczą drobne przed aptecznym okienkiem.

Mama dzwoniła trzy razy dziennie z dobrymi radami, zaproponowała nawet, że Mikołaj może chorować u niej. Koniecznie chciała wiedzieć, kto go leczy. Zapewniłem, że znalazł się w dobrych rękach i jutro powinien wyzdrowieć. Ale piątego dnia gorączka wciąż była wysoka, a twarz i ciało Mikołaja obsypały małe czerwone krosty. Nie chciał ich drapać, mówił nawet, że są śmieszne, podobne do mrówek. Zaniósłem go do szpitala na Madalińskiego.

Przyjął nas starszy, łysiejący doktor z wielkim nosem i uśmiechem zadowolonego bankiera. Sprawdził węzły chłonne, gardło, temperaturę, nazwał kolegę z przychodni durniem, stwierdził anginę ropną i położył Mikołaja w sali. Pachniało lizolem. Mały strasznie nie chciał zostać. Płakał, że boli go brzuch, i zaczął wrzeszczeć, gdy tylko zobaczył igłę. Schował się za mną, chwycił poduszkę. Obiecałem mu, że zaraz wrócę, pójdę tylko po jego rzeczy i zabawki, a także zadzwonię po mamę, która musiała iść na uczelnię. Była potrzebna mnie i jemu. Nikt nie powinien być samotny w takich chwilach.

Gdy dotarłem do domu, zadzwoniła mama, a ja powiedziałem jej, co się stało. Zapytała, który to szpital, i odłożyła słuchawkę. W pośpiechu kompletowałem ubranka i myślałem tylko o Mikołaju. Zdumiałem się, jak wiele o nim wiem. Codziennosc z dzieckiem nie sprzyja refleksji. Dziecko jest tylko płaczem i potrzebą. Przypomniałem sobie, jak Mikołaj z zachwytem wpatrywał się w balon wypełniony helem i prosił, żebyśmy kupili mu żywego dinozaura. Powróciły jego oczy rozszerzone na widok koparki, rączki rwące się do pilota i upór, z jakim próbował otworzyć w palcach szklaną kulkę. Uwielbiał bułki z nutellą, za to nienawidził rosółu, miał zaraźliwy śmiech i szlochał rozdzierająco, zawsze gdy coś szło nie po jego myśli.

Na Madalińskiego się przeraziłem, bo łóżko zastałem puste. Pokierowano mnie do innej sali, gdzie nad Mikołajem stało dwóch obcych lekarzy, a mama konferowała w najlepsze z łysiejącym doktorem, wymachując przy tym dłonią. Wyglądali na dobrych znajomych, doktor bez przerwy się uśmiechał i ocierał sobie czoło. Julka pojawiła się na oddziale chwilę po mnie i zaraz dopadła łóżka. Mikołaj objął jej palec, przez sen. Panie popatrzyły na siebie, znieruchomiały w tym samym momencie i jednocześnie zdobyły się na ten sam rodzaj uśmiechu.

Mama potrząsnęła mną dopiero na korytarzu: pięknieście go leczyli! Miał mononukleozę. Nawet nie wiedziałem, że istnieje coś takiego. Łysiejący doktor powiedział, że śledziona spuchła i mogła pęknąć, a wówczas Mikołaj by umarł. Przybyliśmy w ostatniej chwili, jutro byłoby za późno, tak rzekł. Dostałem szału. Zaciskałem pięści i przysięgałem, że zabiję tego konowala z Belgijskiej. Łysiejący doktor cofnął się, jakby w obawie, że zechcę poćwiczyć mordowanie na jakimś innym lekarzu. Jego zdaniem nie miałem racji – mononukleozę często myli się z grypą czy anginą, on sam początkowo postawił błędną diagnozę. Dobrze, żeśmy przyszli, dodał, dobrze, że dziecko ma babcię.

Następny miesiąc okazał się koszmarem. Mikołajowi zbili gorączkę i po tygodniu wypisali do domu. Dużo pił, tak jak kazał lekarz, ale odmawiał jedzenia przecieranych zup i rwał się do wstawania. Bez przerwy pytał, kiedy będzie mógł iść do żłobka. Wcześniej nawet go nie lubił. Pamiętam, że nieustannie musiałem go uspokajać, by nie biegał, nie kopał piłki w pokoju. Klocki szybko go nudziły, na widok książeczek wpadał w histerię.

Pamiętam coś jeszcze. Musieliśmy pójść na kontrolne badanie krwi. Mikołaj bał się białych fartuchów, nie pozwalał się ubrać, a gdy go niosłem, kopał i gryzł. Przed szpitalem znieruchomiał i zwiesił głowę, niby skazaniec pogodzony z szafotem. Mama i Julka czekały na korytarzu. Rozmawiały, robiąc długie przerwy po każdym zdaniu, Julka podparta pod bok, mama z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Mikołaj pobiegł ku nim. Pochwaliły go, że był taki dzielny i wytrzymał. Potem poszliśmy we czworo do nas, na Grażyny.

Przyglądam im się uważnie, niedługo przepadną. Odczuwam żal, że do tego doszło, ale i satysfakcję. Narasta we mnie wahanie: może im powiedzieć?

Martin wyciągnął nogi na skrzyni, podłożył sobie poduszkę pod łydki i ze słuchawkami w uszach bawi się telefonem. Teraz i zawsze, wielki nieobecny. Niedługo policjanci go stąd wywloką. Dowie się, czym jest życie. Nie śmie nawet spojrzeć w moim kierunku, a jednak uwiera mnie żal. Sam popalałem trawkę. Teraz Martin wyląduje za kratami, bez przyjaciół, pieniędzy, języka. W Danii więzienia przypominają hotele, inaczej niż tutaj. Zasłużył na karę, złamał sobie życie. Poprawia słuchawkę i nie ma pojęcia, że czeka go przerwa w słuchaniu muzyki.

Felipa odkłada laptopa i wojskowym krokiem maszeruje przed namiot na papierosa. Wychodzi co chwilę i można się dziwić, czemu w ogóle wraca. Ja wiem. Chodzi o tę rozciągniętą sekundę, kiedy mijając mnie, przesyła drwiące spojrzenie. W jej oczach jestem nikim. Ma swoje książki, nagrody, czytelników. Stoi owiana dymem i tak wysuszona, że mogłaby się zająć od żaru własnego papierosa. Jednak to ja jestem ogniem, w którym spłonie.

Eve pokazuje plecy. Garbi się nad talerzem, tak że widzę łopatki sterczące pod białym T-shirtem. Nie śmie obrócić ku mnie głowy. Zwodziła, żeby zakpić. Zapewne wiedziała, że jestem samotny, i zabawiła się moim kosztem, o co nawet nie mam prawa się złościć. To takie kobiece. Ogarnia mnie strach, że gdy policja zamknie Martina, Eve uzna to za moją zemstę: jej nie dosięgnąłem, więc skrzywdziłem jego, tak pomyśli. León odkłada pusty talerz. Mówi, że odpocznie kwadrans i trochę pobiega. Mija mnie ciężkim krokiem, zwalnia, jakby chciał coś powiedzieć, lecz zmienia zdanie i już go nie ma.

Siedzę z puszką zimnej fasoli między kolanami i myślę o Eve, zagubionej Eve, Eve podłej i troskliwej, którą zaraz przetrąci moje zdrowe sumienie. Nigdy nie uwierzy, że Martin naprawdę zawinił. Zostanie tutaj. Będzie odwiedzała go w więzieniu i zbliżą się ponownie, dwa pogruchotane życia zamiast jednego. W jej oczach na zawsze zostanę potworem, czego nie mogę wytrzymać. Porozmawiałbym z nią, więcej nawet, oddałbym sen i chleb, żeby poznała prawdę. Tak myślę. Siedzę i patrzę. Nikt nie zwraca na mnie uwagi.

Wychodzę na gorące powietrze. Osoby pocą się na wydeptanej trawie, chłopcy bez koszulek grają w piłkę, holują beczkę obwiązaną zardzewiałym drutem, budują fortecę z puszek i rzucają kamykami w stos plastikowych talerzy. Spider-Man powrócił, lecz i jego skwar obezwładnia. Siedzi samotny, wciąż w tej samej koszulce, i zadziera głowę. Nie wiem, czy to prawda, ale słońce gaśnie.

Chmura, którą zauważyłem kilka dni temu, tkwi dokładnie nad nami i wciąż przypomina oko z błękitną źrenicą zamkniętą w kleszczach czarnych powiek. Jest nieruchoma i nienaruszona, nic tylko czekać, aż otworzy paszczę i nas wszystkich pożre. Nikt nawet nie podniesie głowy. Tylko ja i ten chłopiec. Za siatką nasze słabe słońce, León rusza do biegu. Pobiegnę i ja. Może zdążę.

Albert drzemie, przykryty śpiworem, pod kablami i papierami, jak to on. Potrząsam nim, krzyczę: zrobiłem coś strasznego. Albert siada. W jego brodzie mogłyby zamieszkać ptaki. Staję między nim a komputerowym smokiem, mówię, że chciałem dobrze, tylko się pospieszyłem, nie zdążyłem przewidzieć konsekwencji. Namiot pachnie przeпоconymi ubraniami, pełno tu much.

Zdaniem Alberta wszystko zawsze można odkręcić, wystarczy upór i dobra wola. Siada w fotelu, plecami do monitorów, i przez chwilę przypomina dawnego siebie. Pyta, w czym rzecz, co takiego nawywijałem. Mówię prawdę. Doniosłem na wszystkich. Chciałem ratować Imagine. Ali już wie, że Martin wynosi haszysz z obozu, a Felipa pisze reportaż przy cichym przyzwoleniu Leóna. Opowiedziałem też o wypadku, choć jego, Alberta, próbowałem wybronić. Tak trzeba, uważałem. Teraz już nie uważam. Kim jestem, by decydować o życiu innych? Zwieszam głowę. Tak bardzo chce mi się pić.

Albert wygląda, jakby czymś się dławił, chce wiedzieć, jak Ali zareagował na moje rewelacje. Odpowiadam, że nijak. Chyba był bardzo przytłoczony. Dodaję, że zrzuciłem na niego zbyt wielki ciężar, i nawet chcę przeprosić Alberta, bo właśnie robię to samo, a Albert parska śmiechem i pomaga mi wstać. Jestem głupi, ale dobry, tak twierdzi. Prosi, bym się położył i ochłonał. Prowadzi do wyjścia. Chcę wiedzieć, co teraz się stanie i czy zostanę ukarany. Jeszcze nigdy nie widziałem Alberta tak rozbawionego. Stoję na zewnątrz, on w środku, tłumaczy, w czym rzecz. Czy kiedykolwiek zamieniłem z Alim choćby słowo?

Na czoło spada mi kropla deszczu.

Ali nie zna angielskiego.

Wzgórza zniknęły w chmurach. Te są jak z ziarnistego zdjęcia, przypominają kamienne ryby. Zamknęło się oko na niebie. Siadam po turecku niedaleko Albertowego królestwa, deszcz zaczyna mi w twarz.

Osoby biegną ku namiotom, ciągnąc za sobą przemoczone koce i płaczące dzieci, zawsze spóźnione, szukają schronienia nawet w tardisach. Błądzą jak ślepcy, ślizgają się po świeżo powstałym błocie, a paru najtwardszych trzaska selfie na tle nieba. Policjanci i żołnierze odbiegają od siatek i nikną w strugach deszczu. Już nas porzucono. Ani myślę się ruszyć.

Huk wody jest ogłuszający. Przez ścianę deszczu mkną gazety, talerze, czapki, kurteczki dziecięce, plecaki i karimaty. Łopoczą plandeki namiotów. Falują głębokie kałuże. W błysku pioruna dostrzegam maruderów – kilkanaście figurek ludzkich rozproszonych po Imagine. Garbią się, naciągają peleryny i kaptury, przyciskają plecaki do piersi. Grzmi. Strzelają ładowarki w namiocie elektrycznym, błyska u Alberta – oto fajerwerki dla ubogich. Łapię deszcz do ust.

Woda podchodzi do namiotów. Przez środek Imagine, ku bramie głównej, sunie błotnista rzeka, w ciemnobrązowych falach przewalają się misie, lale, zafoliowane mapy i śpiwory. O moje kolano uderza sfatygowana piłka do nogi. Nabieram dziwnej ochoty, by cisnąć nią w ciemność.

Na siatce rośnie góra przemoczonego szmelcu – zabawek, ubrań i zniszczonych legowisk. Wyobrażam sobie, że ogrodzenie pada pod jej naporem, a woda niesie osoby ku dalekim miastom. Eve miała rację, ale pomyliła się w jednym szczególe. To miejsce nie spłonie, lecz zmiecie je powódź.

Brezent zrywa się z jednego z namiotów niczym skalp. Niesie się pomruk smoków. Błyskawice rozświetlają przerażone osoby, którym dach umknął znad głów. Jedni tulą się do siebie, inni próbują chwycić łopoczący brezent, jeszcze inni rozbiegają się w poszukiwaniu schronienia, a nagi stelaż chwieje się, łamie i znika wśród osób. Rzeka sięga mi już do brzucha.

Brezent przetacza się po ziemi niczym gigantyczny ślimak. Ktoś próbuje go schwytać. Gną się dwa inne namioty, ten, który niedawno służył jako izolatka, zapada się pośrodku. Wewnątrz coś się kotłuje. Osoby czmychają, roztrącając swoich. Biegną przed siebie, zaraz przystają, osłepione deszczem.

Pojawiają się inni. Nawet Albert wypada ze swojej samotni i chyba próbuje przemówić mi do rozsądku. Chce, żebym się ruszył, lecz ja ani drgnę. Wrosłem w ziemię. Po co biegać, skoro można patrzeć.

Błyskają latarki. Eve i Martin prowadzą osoby do namiotu wolontariuszy, Felipa idzie wzdłuż

siatki, sprawdzając, czy nikt nie leży w błocie. León pojawia się ostatni. Przykłada rękę do czoła, osłaniając oczy, i w świetle błyskawicy przypomina ducha. Już biegnie, rozbryzgując wodę. Próbuje wyprostować stelaż dawnej izolatki i niemal kładzie się na brezencie. Rezygnuje, łapie oddech i ciężkim krokiem rozpoczyna okrążanie Imagine, tak by spotkać się z Felipą. Wymachuje latarką, jakby próbował światłem przegonić deszcz.

Wszyscy oni nie widzą tego, co widzę ja. Pośrodku rzeki stoi chłopiec – to Spider-Man, odarty z superbohaterskiej chwały. Być może powinienem do niego podejść, bo przecież chwieje się i zaraz runie w wodę, a nurt poniesie go aż do bramy. Pobiegłbym do niego i wziął w ramiona – Głupi Jaś z Polski ratuje Spider-Mana! – tylko nie wiem, jak to zrobić. Nie jestem mściwy, zapomniałem o moich krzywdach. Nie mogę jednak wstać.

Gdy błyskawica oświetla chłopczyka, dostrzega go León. Pędzi ku niemu, wysoko unosząc kolana, błoto bryzga mu spod stóp. Chłopiec obraca głowę, a León nagle gubi krok, rozdziawia usta, jakby oberwał między oczy, i upada, chwytając się za serce. Teraz naprawdę powinienem się ruszyć. Krzyknąłbym, tylko nikt nie usłyszy. Siedzę więc i patrzę na łysinę Leóna, zbieram w sobie siły, zaraz się podniosę, naprawdę. Wstyd, bo Spider-Man radzi sobie lepiej ode mnie. Przeskakuje leżącego, wybiega z rzeki i znika w namiocie.

Felipa stąpa jak po potłuczonym szkle. Jest mała i krucha, nie umie nawet zapalić papierosa. Mówi, że mogłem pomóc. Przecież widziałem, co się dzieje. Jestem zdrowo pojebany, tak twierdzi, nie mam czego szukać w tym obozie. León mógł umrzeć, nawet teraz nie wiadomo, czy go odratują. Serce pękło, wyziębł się w tej wodzie, znalazły go dzieci. Dziwne, przecież myślałem, że umarł. Mogłaś kochać go wcześniej, Felipo.

Podnoszę się z trawy, pali mnie policzek. Felipa krzyczy, że albo ona, albo ja, jedno musi stąd wyjechać, i wsiada do karetki. Przecież to mi się śni. Nic nie jest naprawdę, ani te zwalone namioty, ani mokre przedmioty tworzące dwie równe hałdy obok otwartej bramy, ani grzebiące w nich dzieci, ani brązowa woda, w której odbija się słońce. Osoby rozciągają sznurki między resztkami stelaży, rozwieszają śpiwory i odzież. Resztę dobytku trzymają przy sobie, zazdrośnie, w obawie, że znów jakaś siła spróbuje go odebrać.

Ubranie szybko schnie na człowieku. Rozprostowuję kości, podnoszę się niemal bez wysiłku i patrzę na Imagine z góry, jakbym mierzył przynajmniej trzy metry. Nie wiem, dlaczego wcześniej siedziałem, tak jak nie mam pojęcia, dlaczego teraz idę. Z naszego namiotu zabieram kamizelkę wolontariusza i wykruszam ziemię ze spodni.

Próbuję z powrotem postawić namiot, co przypomina składanie zestawu Lego bez instrukcji. Części do siebie nie pasują i wypadają z rąk, w końcu powstaje coś na kształt aluminiowego żebra dinozaura. Rozpada się, gdy puszczam, przegania mnie śmiech osób.

Krażę po Imagine. W ocalałych namiotach wciąż zalega woda. Kobiety wykręcają ubrania żylastymi dłońmi, a dzieci puszczały papierowe statki po burej tafli i toczą bitwy morskie, rzucając płonące zapalki. Na słońcu suszą się rozmontowane telefony. Mężczyźni usiłują zapalić mokre papierosy.

Niedaleko wywróconego tardisa kuśtyka Glenn Close, kobieta niedawno maltretowana przez Spider-Mana i jelitówkę. Próżno szuka oparcia. Uśmiecha się jak wszyscy tutaj, nie okaże cierpienia, nie chce stanowić problemu. Podsuwam jej ramię i prowadzę do namiotu medycznego.

Glenn Close wyrzuca z siebie mnóstwo słów w swoim języku. Klękam przed nią i ostrożnie unoszę spódnicę. Glenn próbuje protestować. Przecież chcę tylko pomóc, poza tym jest dla mnie za stara. Milknie, gdy dotykam spuchniętej kostki, nie umie już ukryć lęku. Boi się, że zostanie tu, na obcej ziemi, bez języka, pieniędzy, ze skręconą nogą. To nie wchodzi w grę, zaraz pomogę.

Z każdym krokiem Glenn porzuca godność i niezależność, jak każda kobieta w miarę postępu zażyłości. Najpierw ostrożnie stawia bolącą stopę, później podskakuje na zdrowej, przy wejściu do namiotu medycznego wisi na mnie całym ciężarem. Tu pusto. Na krześle Leóna leżą dwa numery „National Geographic” i butelka napoju izotonicznego. Proszę Glenn Close, żeby usiadła na łóżku polowym, ta jednak się boi. Szuka wzrokiem lekarza, najwidoczniej nie słyszała o świeżo zaistniałych brakach kadrowych. Uspokajam, tłumaczę, że wiem, jak to się robi.

Glenn Close kładzie się i dygocze. Podwijam spódnicę do kolan i bardzo ostrożnie zdejmuję but, a Glenn Close rzuca głową na poduszce. Podaję jej wody. Przetrzęsam namiot w poszukiwaniu morfiny, lecz zapobiegliwy León pozamykał szafki i szuflady na klucz. Gdzie on? Sprawdzam kurtkę i kamizelkę. Tłumaczę po angielsku, że leki nam się skończyły, więc pewno zaboli. Tylko przez chwilę, jedno ugryzienie i nastanie spokój. Glenn Close przymyka oczy na znak, że rozumie, i bezgłośnie porusza wargami. *No pain, no pain.*

Słońce przebijające się przez plandekę okrywa nas czerwienią. Proszę Glenn Close, żeby się mocno zaparła. Nie ma nikogo, kto przytrzymałby ją za udo. Ujmuję kostkę w obie dłonie, znajduję dobry uchwyt i szarpnięcie tak jak León wcześniej. Glenn Close chwytą brzegi łóżka, napręża nogę i zaczyna wyć. Zapieram się na stopach, ciągnę z pleców, coś chrupie. Biorę głęboki oddech, nasze oczy się spotykają. Przekręcam kostkę. Rozbrzmiewa coś na kształt trzaśnięcia drzwi, a Glenn podrywa się i bije mnie po głowie, na oślep. Puszczam nogę i unoszę dłonie na znak, że skończone, już dobrze, wyleczyłem. Rozumiem kobiety w hysterii. Proszę tylko, by się uspokoiła, by przestała mnie bić, i wycofuję się w róg namiotu, za krzesło. Glenn zsuwa się z łóżka, upada, próbuje wstać. Wciąż wyje. Stopa sterczy na zewnątrz, kostka wygląda na dwa razy większą. Glenn Close pełźnie do wyjścia, a ja zwałam się na krzesło, obezwładniony tym, co zaszło. Patrzę przed siebie. Krzyki Glenn Close giną wśród innych głosów. Czeka, mijają minuty. A może godziny?

W końcu unoszę brezent i spoglądam na ogień trawiący Imagine.

Pierwsze, co widzę po wydostaniu się z namiotu, jest prześcieradło łopoczące na wietrze. Mężczyzna, który je unosi, ma zamaskowaną twarz i nagi tors; inni wyglądają podobnie, ale nie trzymają prześcieradeł. Biją się w piersi i potrzęsają pięściami jak bokserzy przed walką. Część szarpie za ogrodzenie. Z walących się namiotów wydostają się nowi. Nie mogą ustać w miejscu, krążą, pokrzykują. Wyglądają, jakby zaraz mieli walczyć między sobą. Zrzucam z siebie kamizelkę wolontariusza, naciągam kaptur i biegnę poszukać schronienia.

Mundurowi rozsypują się zaraz za bramą, każdy przyklęka na jednym kolanie i unosi okrągłą przeźroczystą tarczę. W ich stronę mknie grad krzesel, desek i plastikowych pojemników z magazynu. Między policją a osobami mieści się pas ziemi niczyjej. Zapuszczają się tam byczki w ciemnych okularach i bandanach naciągniętych na nos. Podskakują, krzyczą, wskazują jeden na drugiego.

Namiet z gniazdkami już stoi w ogniu, podobnie jak kuchnia. Przez dym widzę potężne sylwetki z drągami i częściami stelaży w dłoniach. Dopadają namiotu medycznego, przewracają łóżko, wyszarpują szuflady, obalają szafę z lekarstwami, brzęczy szkło. Przyglądam się temu wszystkiemu, choć nie powinienem. W szczycie namiotu otwiera się dziura, przez którą bucha ogień. Osoby pędzą w stronę policjantów i rzucają w nich szufladami.

Na szturmujących lecą puszeki, z których dobywa się fioletowy dym. Kilku najodważniejszych – naprawdę pięknych, o wyraźnie zarysowanych mięśniach i smagłej, lśniącej skórze – dopada policjantów. Deska uderza o tarczę. Mundurowi próbują ich odepchnąć, w ruch idą tonfy. Spadają na głowy, uderzają pod kolanami. Atakujący wiją się na ziemi. Policjanci zwierają szyki – razem bezpieczniej, razem cieplej. Łopocze już kilka prześcieradeł. Tłum skanduje, a najodważniejsi wypadają przed szereg, żeby porwać swoich. Ciągną ich za nogi, jak jaskiniowcy, byle dalej od tonf.

Nastaje chwila zawieszenia, wypełniona krzykiem i grzechotaniem siatki. Mundurowi wciąż rzucają puszeki i ani myślą iść do przodu. Osoby podskakują i walą się po piersiach. W tym wszystkim jest też Ali, w rozpiętej koszuli i dresowych spodniach. Wymachuje krótkofalówką i wrzeszczy tylko po to, by wrzeszczeć. Nikt go nie słucha. Co z Martinem, co z Eve? Muszę się schować. Inaczej mnie rozpoznają i zabijają.

Na mundurowych spadają monitory, kable i komputer stacjonarny. Zdobyto namiot Alberta. Od strony magazynu nadciąga nowa grupa. Przyniesione pudła natychmiast nikną w tłumie. Ktoś mnie potrąca, ktoś inny rzuca niemiłe spojrzenie spod czapki. Podskakuję, macham rękami i krzyczę.

Osoby miotają porcje zamrożonego jedzenia. Foliowe opakowania trafiają w maski, łokcie, kolana. Mundurowi zaczynają się wycofywać i tłum naciera, zbrojny w deski z palet, w szuflady i nogi od stołów. W jego stronę toczą się puszeki ciągnące za sobą ogon białego dymu. Jedna, odesłana kopniakiem, powraca do kordonu, reszta kręci się na trawie. Osoby wytracają pęd, kaszlą, przyciskają przedramiona do nosów i ust. Toną w gryzącym dymie jak upiory tańczące we mgle i mógłbym patrzeć na to bez końca, gdyby nie to, że jedna z puszek trafia mnie w bark.

Nawet nie wiem, kto rzucił, po prostu uciekam. Z nielicznych ocalałych namiotów łypię na mnie przerażone oczy, Imagine płonie, wpadam do tardisa i zamykam się od środka. Zostaje szpara na dwa palce. Tu mnie nie znajdują, przy główce zawsze najbezpieczniej. Siadam, próbuję złapać oddech i odpędzić kolejny idiotyczny pomysł: wyjdę i powiem, że to moja wina. Rozszarpiać mnie zasłużenie.

Niczego takiego nie robię, tylko siedzę z okiem przy szparze. Ogrodzenie runęło. Osoby przeskakują przez drut kolczasty, biegną w stronę Bunkra i dalej. Gaz pieprzowy dochodzi aż tu. Dzieci oddychają przez własne koszulki, kobiety szlochają i zawodzą, mężczyźni wciąż szturmują słaby kordon. Popychają i są odpychani. Ogarnia mnie lęk, że ktoś przewróci moje plastikowe schronienie drzwiami do ziemi i umrę tutaj, dławiąc się szczyną.

Przywieram do ściany, zaplatam dłonie na spuszczonej głowie. Ktoś otwiera kolejne tardisy, w końcu szarpie za mój. Kulę się przy ścianie, jakbym mógł tym cokolwiek zmienić. Udamę, że nie ma mnie w środku, zamknąłem się od środka. Głos, który słyszę, nie należy jednak do oprawcy. Jest znajomy.

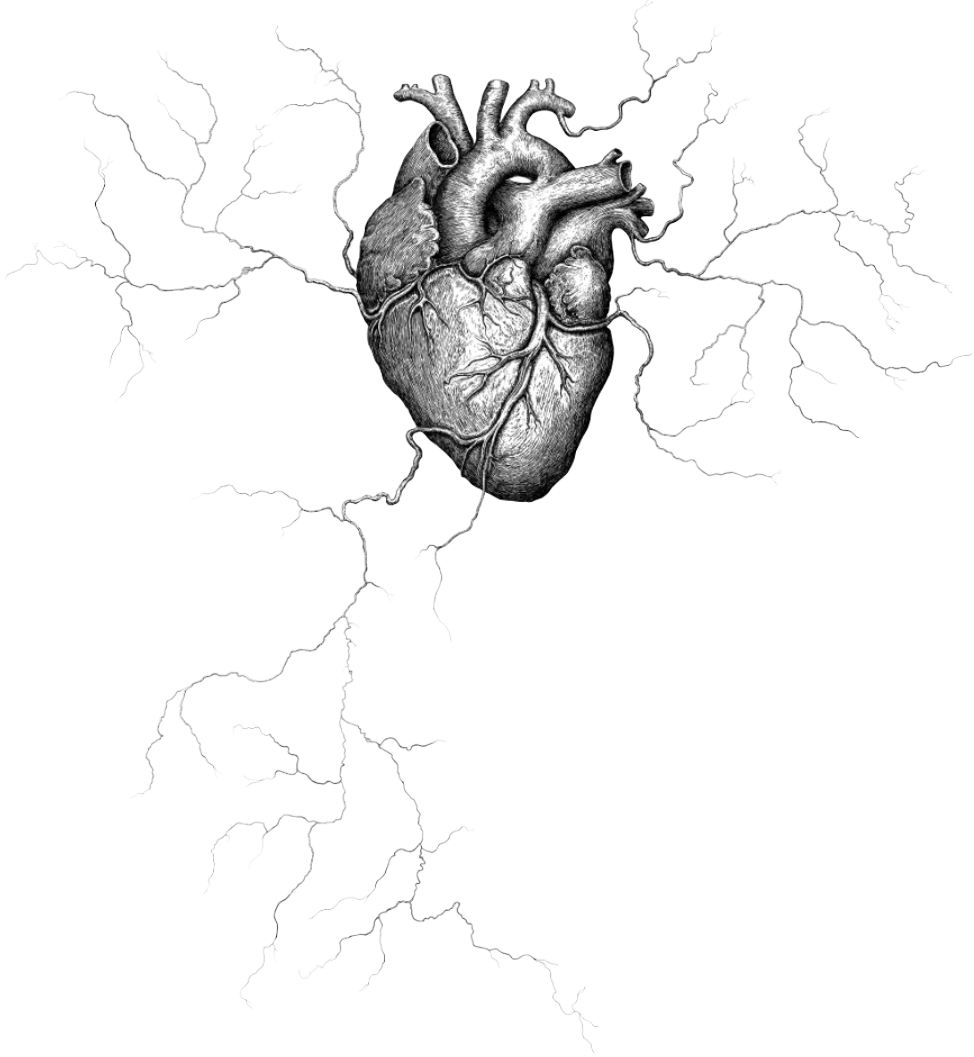
Albert wywleka mnie na zewnątrz. Łąduję na ziemi, czekam na zasłużony cios. Tak bardzo chciałbym go otrzymać, tak bardzo chciałbym, aby nastał koniec. Lecz Albert podaje mi rękę, podnosi, narzuca kurtkę na ramiona i popycha w stronę obalonej siatki. Niemal przenosi przez drut kolczasty. Próbuję odgadnąć, co myśli, co czuje. Przypomina hodowcę poirytowanego

zachowaniem najmniej lubianego czworonoga.

Za mną trwa walka, szaleją płomienie, gęstnieje czarny dym. Przede mną rysuje się piaskowy budynek kościółka, kilka przysadzistych domów, sady, las i wzgórze. Pytam o Eve. Chcę wiedzieć, co z Martinem. Albert odpowiada, że wszystko z nimi w porządku, zadba o nich, dopilnuje. Śmieję się i chcę wiedzieć, jak bardzo żałuje utraty komputerów. Albert popycha mnie w stronę dalekich drzew i mówi jedno słowo, które znam za dobrze i któremu nie mogę się sprzeciwić. Wypowiada je twardo, ze ściśniętym gardłem:

– Idź.

PHLEGMA



Mikołaj natychmiast siada na ławce wiaty przystankowej i wyciąga tablet, tymczasem Jan nie może znaleźć sobie miejsca. Sprawdza telefon. Zerka w stronę parku, wypatrując Patrycji, wreszcie zajmuje miejsce obok syna i czeka ze spuszczoną głową.

Na autobus czeka również nerwowy czterdziestolatek w skórzanej kurtce, zadbana staruszka w typie emerytowanej pracownicy naukowej i dwóch nastolatków w bluzach z pseudonimami youtuberów.

Na Puławskiej ruch jest niewielki. Kilkadziesiąt metrów dalej, obok kiosku, rozłożyli się sprzedawcy skarpet i owoców. Z pewnej odległości interesu dogląda tęgi facet na wózku, z papierosem w grubych wargach. Tramwaj hamuje przed przejściem dla pieszych. Podmuch wiosennego wiatru przewraca koziołek ustawiony u wylotu Madalińskiego, a kurier DHL zostawia furgonetkę na światłach awaryjnych i znika w drzwiach cukierni.

Uwagę Jana zwraca rudy kot, który wychynął z krzaków i kręci się w pobliżu. Jest tłusty i ma obrózkę, nie boi się ludzi ani samochodów i węszy przy śmietniku. Jan waha się chwilę, wstaje i klęka przy kocie. Ten Ignie do jego ręki. Jan drapie zwierzę pod bródką i po grzbiecie, u nasady ogona. Kot mruczy, przywiera brzuchem do ziemi i wysuwa pazurki, tymczasem środkiem Puławskiej mknie srebrna toyota.

Trach.

Leżę na plecach i słucham, jak Kos skrobie ołówkiem w zeszytcie. Dzieli nas ściana z kocem zamiast drzwi. Blask świecy kładzie się na betonowym progu, a to szuranie brzmi, jakby zacny Kos rozgryzał cegły.

Tu, na pierwsze piętro Rogu, docierają jeszcze szum Lublanicy i warkot silników samochodów dostawczych. Nie słysząc kroków, jest więc między czwartą a piątą nad ranem, co nie ma żadnego znaczenia.

Moje łóżko to styropian obłożony kartonem i obleczone w koc (Horvat w chwili życzliwej trzeźwości podsunął mi ten pomysł – styropian pozbawiony kartonu zgniecie się pod moim ciężarem). Za kołdrę służą dwa inne koce i kurtka podziurawiona papierosami. Pod głową mam gazety owinięte w bluzę, na sobie spodnie dresowe, dwie pary skarpetek, podkoszulek z długim rękawem i ciasny polar. Mimo to zimno. Leżę na plecach i myślę, że gdybym przekręcił się na bok, byłoby mi odrobinę cieplej. Nie mogę się ruszyć, to znaczy mogę, mógłbym, tylko nie potrafię.

Mam brudne żyły, mięso i wątrobę. Płuca to czarna ciężka gąbka, jaką widzimy na zdjęciach w kampaniach antynikotynowych, a przecież nie palę, od dawna nie paliłem i nie będę palił, choć teraz, właśnie w tej chwili, skręt od Kosa uratowałby sytuację.

Brzuch boli jak dźgany nożem. Wsuwam dłoń pod te koce, pod polar i swetry, sprawdzam, czy się nie otworzył. Wyjąłbym sobie żołądek. Jest niepotrzebny.

Jeśli przysypiam, to tylko na chwilę, bo nagle robi się jasno, zgasła świeczka u Kosa, szum samochodów zduśli Lublanicę, brzmia kroki, dzwonki telefonów i rozmowy, których nie rozumiem – podoba mi się ich spokój. W innych miastach o poranku rozmawia się szybko, słowo wyprzedza mówiącego i od niego ucieka. Rano jest najzimniej. Powraca ból brzucha. Kiedy ostatnio jadłem? Zaraz wstanę, czegoś poszukam, może ktoś mnie poczęstuje.

Zjawia się Horvat i prosi, żebym się ruszył – dziś moja kolej, by napalić w kozie. Zapewne ma rację, tylko wczoraj nie napaliłem w kozie, przedwczoraj też, więc dzisiaj również nie napalę i Horvat powinien o tym wiedzieć. Szturcha, próbuje zdzierać ze mnie koce, więc je trzymam i staram się w nich zagrzebać. Horvat jednak jest silniejszy. Siadamy obok siebie, on z kawą, ja nie. Zawsze ma kawę, choćby zimną z wczoraj. Kradnie saszetki w sklepach albo opróżnia opakowania prosto do foliowego worka w kieszeni. Trochę to dziwne, bo Horvat ma najładziej z nas wszystkich.

Już nie szarpie i zrobił się miły, tylko znów opowiada to samo, tą nieznośnie poprawną angielszczyzną, której nikt nie spodziewałby się po zarośniętym facecie w spodniach szturmowych, polarze i rękawiczkach bez palców. Gada o swoich frajerach, o Austriakach i Niemcach, wreszcie zdradza, że wybrał się do biblioteki. Straszni z nas czytelnicy, Kos też tam przecież chodzi. Horvat opowiada o nowym tropie. Podsuwa mi pod nos skserowaną stronę. Podekscytowany, wskazuje paluchem jakąś linijkę i mówi, że hrabina Janina von Cobenzl pierwsze miesiące po wojnie domowej spędziła nie, jak wcześniej sądził, w kamienicy przy Litijskiej, ale w domu farmaceuty Leo Bahoveca przy Erjavčevi czy jakoś tak, dopóki nie weszli tam komuniści. To ważny trop, więcej nawet, kluczowy. Horvat ekscytuje się, żłopie kawę, a ja patrzę na jego drżące dłonie i szkliste oczy i wiem, że niedługo się zacznie. Kartka pochodzi z podręcznika historii najnowszej.

Radość Horvata jest monotonna jak lawina. Przy łóżku stoi mój dobytek – dwie rozsypujące się siatki. Nawet nie wiem, co w nich jest. Obok, na krześle, mam pokrywkę od garnka i słoik, z którego wyjadłem już cukier. Sprawdzam, czy nic nie zostało. Pod ścianą zalegają plastikowe

talerze, kubek z widelcem i łyżką w środku, opakowanie po środkach przeciwbólowych, a koszulki, spodnie i swetry ciągną się aż po okno z kartonem zamiast szyby. Na sznurze rozpiętym pomiędzy okienną klamką a gwoździem w murze wisi lodowate pranie. Mam też wanienkę i organki. Większość z tych rzeczy zostawił człowiek, który mieszkał tu przede mną. Horvat klepie mnie w papierowe plecy. Radzi: ogarnij się, chłopie.

Podnosi się i jakby ciągnie mnie za sobą, nie dotyka, a jednak podnosi. Bolą uda, kolana, kręgosłup i kark. Powietrze jest wilgotne i zimne, deski podłogowe skrzypią, Horvat szarpie mnie za ramię, pewnie znów chodzi mu o tę kozę, ale nie – zapomniałem butów. Mówi, że nie sposób ze mną wytrzymać, pozostawiony sobie zginąłbym w kwadrans. Nie potrzebuję butów, wolałbym go nie drażnić, gmeram po kątach, wreszcie są.

W pokoju obok, na łóżku polowym, śpi Kos. Z brodą i siwymi włosami przypomina kamiennego rycerza na katafalku. Świszczy, chrząka i cmoka, podobnie jak kran, który odkręca Horvat. Zaczemu Kosowi to nie przeszkadza, spałby, nawet gdyby zamek wyleciał w powietrze. Taki właśnie z niego rycerz. Z oparcia krzesła ustawionego przy łóżku zwisa marynarka, a na siedzeniu leżą zeszyt, ołówek i okulary poskręcane miedzianym drucikiem. Reszta zeszytów, a także książki, piętrzą się w lodówce bez kabla i drzwi. Ze sznurków zwisają ubrania, pościel, ręcznik, wszystko rozprostowane, przez to bardziej nędzne. Ład wokół barłogu burzy jedynie Biblia ciśnięta w nogi łóżka. Kos robi z niej skręty.

Siadam na podłodze, obok zimnej kozy, i próbuję założyć podziurawione adidas, co idzie źle, w gruncie rzeczy idzie gorzej niż chodzenie w tych butach. Wypełniające je gazety są twarde, nie mogę włożyć nogi. Rozprostowuję je, wpycham na nowo, nawet one nie chcą się zmieścić. Trochę wyrzucam, podciągam skarpetki, tymczasem Horvat napełnił już wanienkę, stoi półnagi, z zadkiem na wierzchu, i szoruje się rozcieńczonym mydłem. Wyciera się koszulką i wsadza głowę pod kran. Namydla resztki kudłów, spłukuje, mokrym palcem gmera sobie w uszach i długo szoruje zęby. Szczoteczka Horvata przypomina obgryziony gnat. Włożyłem jeden but, morduję się z drugim. Jeszcze butelki.

Horvat wylewa wodę do odpływu, tej dziury po umywalce, mydli sobie gębę i drapie zarost maszynką jednorazową. Za lusterko służy mu telefon. Cały czas ma nowe smartfony. Horvat ma lepkie dłonie, uważa, że wszystkie kieszenie świata, prawem nędzy, należą do niego. Zamienia szturmówki na dzinsy, pucuje buty z futerkiem, podwija rękawy koszuli, bo jest przykrótka, i zaczyna na mnie krzyczeć. On zdążył się oporządzić, a ja wciąż nie ruszyłem się z ziemi? W swoim roboczym uniformie wygląda jak doktorant informatyki sprzed dekady. Tylko brakuje mu zębów.

Rusza na mnie, wstałbym, podkurczył nogi, jakoś się osłonił. Nie robię tego, nie umiem. Horvat łagodnieje, omija mnie jak coś śmierzącego i sam klęka przy okopconej kozie. Przetawia wajchę przy wylocie spalin, odgrzebuje żar z popiołu, wkłada gazety, które porzuciłem. Za nimi idą nogi od stołka, wieszaki z metalowymi haczykami, powieść kryminalna i garść papierzysk. Zaraz pojawia się ogień. Horvat przesuwam mnie po podłodze jak przedmiot. Nalewa wodę do puszk, bierze ją w szczypce, wsadza w płomienie i zagotowuje wodę na kawę.

Nakładam na buty przepołowione plastikowe butelki. Dzięki temu mi nie przemokną, tylko śmiesznie się chodzi. Trzeba uważać na każdy krok. Nieśmiało zagaduję o jedzenie – Horvat czasami coś ma. Akurat zalał kawę wrzątkiem. Nie ma, mówi, a skąd. Rano nigdy nie jest głodny. Krzyczy, że powinienem wreszcie sam się o siebie zatroszczyć, naprawdę nie chciałby znaleźć mojego trupa. Na co czekam, na mannę z nieba czy ten dzień, kiedy on, Horvat, wreszcie znajdzie skarb hrabiny von Cobenzl? Uśmiecha się na samą myśl o ukrytym gdzieś złocie

zwariowanej arystokratki i obiecuje, że kiedy je znajdzie, zamówi nam pizzę ze wszystkimi dodatkami. Potem wyjedzie i pożyje sobie jak król. Dodaje, że mogę mieć te skarby, jeśli pomogę. Przecież potrafię – jestem młody i znam języki. Muszę się tylko podnieść z podłogi. Odpowiedziałbym, że zamiast złota wolałbym falafel, ale milczę. Tak wiele słów, Horvat tak bardzo niepotrzebny. Dopija kawę i rzuca pojednawczo, żebym się nie martwił. Będzie dobrze. Mieszka na ulicy od czterech lat, odkąd wyszedł z pudła, i przynajmniej jednego się nauczył: nie ma czegoś takiego jak śniadanie.

W Rogu mieściła się fabryka rowerów. Teraz na dole, od strony rzeki, jest restauracja, a piętra zajmujemy my. Kiedyś – jak opowiedział Horvat, który mnie tu przyprowadził – Rog tętnił życiem nakręcanym przez przeciwności. Raperzy ćwiczyli breakdance, lewicowi studenci roztrząsali los prekariatu, artyści wieszali pstrokate prace w świetle lamp stroboskopowych, w dawnej hali montażowej grano w piłkę halową, a wszyscy razem pierdolili się po kątach. Dziś nawet skłotersi powędrowali na Metelkovę. Dom, w którym mieszkamy, przeznaczono do wyburzenia.

Schodzę po schodach, przytrzymując się ściany, próbuję nie wdepnąć w szkło. Plastikowe butelki zsuwają się ze stóp i przypominam sobie, że planowałem zrobić w nich dziurki, przeciągnąć przez nie sznurek i zahaczyć o piętę – wówczas by nie spadały. Przed wejściem stoi dziwaczna rzeźba z drutu, metalowych prętów i stali. Kojarzy mi się z robotem zaprogramowanym na zabijanie. Mur zdobi graffiti – gigantyczny różowy rewolwer z mnóstwem komór w bębunku. Ledwo go widać przez poranną mgłę. O pnie drzew opiera się zerwana siatka, obok stoi złożony parasol ogrodowy. Jest mokro i zimno. Mewy drepczą w kałużach.

Szuram butelkami wzdłuż ściany pokrytej sprayem. Centurion, odwrócony tyłem, dzierży szczekaczkę na kij zamiast orła cesarów. Zła czaszka przykłada kościany palec do ust. Puszy się ryba z liści, muskularne prosię szczyrzy kły. Na końcu tej kolorowej alejki stoi volvo na odpowietrzonych oponach, a w nim zasnana Nina robi makijaż. Odkręca przednią szybę, pyta, jak mi tam i czy wszystko w porządku. Ma może trzydzieści lat, zielone oczy o przenikliwym spojrzeniu i jasne włosy ścięte na krótko. Odpowiadam, że jest dobrze, ale nie beznadziejnie, i Nina się śmieje. Jeszcze mogłaby być piękna. Pytam, czy znalazłoby się coś do jedzenia. Nina zawsze się podzieli.

Jej samochód to dom w miniaturze. Z tyłu leżą ubrania złożone w kostkę, termos, śpiwór, koce, zapasowa para butów i ogrzewacz naftowy, z przodu kosmetyczka, waciki, grzałka do wody i stary laptop z zapasową baterią. Pod lusterkiem stoi radio. W nogach kierowcy zalegają reklamówki i Nina w nich grzebie. Czekam, choć wiem, że nic z tego nie będzie. Nina nie odmówi tak po prostu, musi pokazać, że niczego nie ma. Tak rzeczywiście się dzieje. Patrzy na mnie przeprasząco i prosi, żebym zajrzał później. Dostanie parę euro na myjni, razem coś zjemy. Kiwam głową, odchodzę. Nina pyta, czy nie zostanę, przecież mogę dotrzymać jej towarzystwa, sama nic nie jadła, co ma biedna zrobić? Zapewniam, że wszystko w porządku. Nie ma czegoś takiego jak śniadanie.

Mgła pochłonęła wzgórze zamkowe i szczyt katedry. Buty, dużo butów zwisa z kabla przeciągniętego przez ulicę parę metrów nad moją głową. Wyłaniają się z mętnego mleka i można pomyśleć, że ktoś spaceruje w powietrzu. Biegnę. Siła bierze się z wyczerpania, nic tak nie napędza jak głód. Wszystko jednak zamknięte. Nie ma ani szaszłyków przy placu

katedralnym, ani gyrosa w Šeherezadzie, a nawet gdyby były, nie ma pieniędzy. Nie ma też sklepów spożywczych, żadnych Żabek, Małpek, całego tego zwierzyńca, za to nieustannie natykam się na szyldy fryzjerów. Słoweńcy są najlepiej ostrzyżonym narodem świata, a mnie nogi się płaczą, przysiadam i patrzę na rzekę. Lublę przecina ten smutny, bury kanał, przez który przerzucono liczne kładki i mosty. Stromy brzeg porastają wierzby płaczące. Po drugiej stronie rzeki znajduje się supermarket.

Błądzą chwilę między półkami. Są steki, już przyprawione, gotowe do wrzucenia na ruszt, są gotowe kanapki, jeszcze ciepłe chleby, kurczaki, frytki, chipsy w kilkunastu smakach, pierożki, miód pitny, kiełbasy i faszerowane żołądki. Kuszą suszone kabanosy. Mógłbym je zabrać. Nikt tutaj nie patrzy, nikt nie pilnuje. Kasjerka wpatruje się w telefon, nie widać ochroniarzy. Mimo to nie potrafię. Boję się, że zostanę złapany, że spod ziemi, spod ruchomych schodów wysypią się policjanci, zawloką na komendę, gdzie wyda się, kim jestem. Przynajmniej dostałbym posiłek.

Krażę przed sklepem, sprawdzam śmietniki. Czasem zdarzy się batonik, niedojedzony kebab z nocy albo brzegi z pizzy – lecz nie rano, gdyż o świcie kubły opróżniano. Mógłbym wygrzebać Kosowi niedopałki. Mógłbym poprosić o drobne, Kos przecież tak robi, sam też już zresztą robiłem. Ludzie się kręcą, kupują. Wstaję, próbuję zagadać, a oni patrzą na mnie jak na brata, który się nie udał. Są znudzeni własnym współczuciem. Macham ręką, cofam się. Oni – robotnik w poplamionym uniformie, dwoje skacowanych studentów, staruszka przebrana za Alexis Colby – natychmiast odwracają wzrok.

Na placu Křekova jeszcze nie handlują. Długie rzędy drewnianych stołów nikną we mgle. Na jednym z nich siedzi młody Marko i pali papierosa. Marko jest w twoim wieku i żyje z bardzo złych rzeczy. Papierosa trzyma jak stary twardziel, między kciukiem a palcem wskazującym. Ma ciepłą kurtkę, czyste buty, na uszach wielkie słuchawki, w ręku smartfona i nikt by nie pomyślał, że jest jednym z nas. Przywitałbym się z nim, ale nie wiem, co powiedzieć. Marko jest bardzo dziwny. Uśmiecha się na mój widok i spluwa, gdy tylko zostawiam go za plecami.

Czasem można tu coś znaleźć. Młodzi nocą piją na stołach i porzucają jedzenie. Rozprostowuję papiery wygrzebane ze śmietników. Może znajdę resztkę falafela? Na próżno. Chce mi się płakać. Chce mi się spać i jeść. Zasnąłbym i śnił o jedzeniu. Zawracam i jeszcze raz sprawdzam te stoły. Przecież to niemożliwe, coś musi się znaleźć. Wytracony błądzą między zaparkowanymi samochodami. Obok w kiosku dwóch chłopaków w skórzanych kurtkach kupuje papierosy i mineralną. Jeden ma brodę, drugi szerokie barki, są kompletnie pijani i patrzą prosto na mnie.

Kiedyś bałbym się takich, ale w Lubli nikt nikogo nie skrzywdzi. Nim zdarzył się Horvat, spałem w bramach, na ławkach, na schodach i zawsze byłem bezpieczny. W Słowenii nie ma chamów z osiedli, nasterydowanych kibiców i gnojników zdolnych wydłubać komuś oczy dla zabawy. W Słowenii nic się nie dzieje. W Słowenii nie dzieje się nawet ja. Ten brodaty woła, żebym podszedł, tyle rozumiem. Podchodzę i stoję mocno na słabych nogach. Barczysty podaje butelkę z resztką wódki. Oni już nie mogą. Jeden podtrzymuje drugiego, a ja odmawiam, nie chcę alkoholu, po prostu jestem głodny. Taki wstyd. Przepraszam i próbuję odejść.

Ci spoglądają jeden na drugiego, każą zaczekać, już po angielsku, i człapią z powrotem do kiosku. Barczysty wysupłuje pieniądze, kupuje ten drugi. Klepią mnie po ramieniu, życzą dobrego dnia i toczą się w stronę nadbrzeża. Zostaję z kanapką zapakowaną w folię. Aż strach wziąć w brudne ręce. Wracam między stoły, siadam na jednym z nich i myślę o tym, że nędzarzom cuda zdarzają się najczęściej.

Wycieram palce w spodnie, rozrywam folię zębami. Bułka jest ciężka jak kamień, dodatki wylewają się ze środka, tyle tego, czuję zapach kielbasy, sera i ostrą woń majonezu. Masła też nie żałowali. W ustach zbiera mi się ślina, żołądek przeciąga się jak kot, rozchylam wargi i wyobrażam sobie, jak to będzie, gdy pierwszy tłusty kęs znajdzie się na języku, a przede mną wyrasta Marko i porywa kanapkę. Odskakuje i się śmieje. Idę na niego, odbiega. Ganiamy się między stołami. Marko wymachuje kanapką, mnie brakuje sił. Wołam, żeby przestał się wygłupiać. Pytam, dlaczego to robi. Grożę, że strzaskam jego bezcenny telefon.

Marko ucieka jak mała, aż wreszcie przystaje. Unosi kanapkę w wyciągniętej dłoni i chyba chce mi ją oddać. Z trudem łapię oddech. Dzieli nas parę kroków. Wesołe oczy Marko zwięzają się raptownie. Chłopiec ciska kanapkę na ziemię, rozgniatą butem i wybucha śmiechem. Wycofuje się rakiem, cały czas na mnie patrząc. Jest pewien, że nic mu nie zrobię, i ma cholerną rację. Wyjmuje telefon. Robi mi zdjęcie i znika we mgle.

Mgła nie chce się podnieść. Na drewnianych balkonach moknie pranie. Długie jednopiętrowe domy sąsiadują z blokami, jakie komuniści budowali i u nas. Słoweńcy lubią brąz. Wszędzie nabazgrane. Natrafiam na rysunek oka z łezką, obok pospiesznie namalowany wampir strzyże uszami i szczyrzy długie kły. Jest napis o rasizmie. Jest napis przeciwko rasizmowi. Dostępu do śmietników podwórkowych broni krata z kłódką. Śmieci są cenne. Ludzie nie wiedzą, jak bardzo.

Przysnąłbym, lecz nie ma gdzie, udaję, że śni mi się moje chodzenie. Mijam coś w rodzaju Klubu Słoweńskich Patriotów, wejście zdobią zdjęcia wybitnych Słoweńców. Twarz Žižka pocięto kluczami. Z tureckiej jadłodajni dobiega zapach ostro przyprawionego mięsa. Nic z tego nie będzie, nogi same niosą, staję w progu, spuszczam głowę, a Kurd, Turek, Ormianin, ktoś tak bardzo podobny do osoby, natychmiast wypycha mnie na zewnątrz. Tu już jestem znany.

Na rogu Resljevej z Trubarjevą łapię oddech przed zniszczonym budynkiem. Trochę takich tutaj mają: ściana odarta do cegły, przegniłe okna, parapety sklecone z desek, konglomerat różnych dachówek, wszystko otoczone czerwoną siatką. Ktoś jednak tam żyje. Centralną część fasady zakrywa reklama jakiegoś developera, a na niej ten sam budynek, tylko odnowiony: obok kwitnie drzewko, jaśnieje niebo, ptasie sylwetki przypominają uśmiechy.

Idę z pięściami w kieszeniach. Mijam plakaty nawołujące do rewolucji, kwiaty na parapetach, a nade wszystko ludzi, których nienawidzę. Nienawidzę wysokiej dziewczyny w obcisłym stroju do biegania i kolorowych butach, bo na pewno zjadła posiłek przedtreningowy, nienawidzę dzieci idących do szkoły, bo mają kanapki w plecaku i obiad w stołówce, nienawidzę niezdarnych studentów kręcących się wokół biblioteki, bo państwo zapewnia im wysoką zniżkę w każdej niemal restauracji, a tego chuja z otwartą paczką gorących kasztanów nienawidzę najbardziej na świecie. Kto normalny jada kasztany tak wcześniej? Podszedłbym do gnoja i zapytał. Właściwie skąd oni mają jedzenie? Samo przypełzło? Kogoście zabili, skurwysyny? Coście ukradli? Potrząsnąłbym nimi, ale nie potrząsam. Głupio mi, że tak pomyślałem.

Z odrętwienia wyrывa mnie Kos, pełen energii i bardzo dziwny. Biblioteka, do której idzie, też jest bardzo dziwna. Okna przypominają grzbiety otwartych książek, kamienie sterczące z ceglanego muru – pliki notatek. Kos nosi prochowiec, pod nim perłową kamizelkę i koszulę ze sztywnym kołnierzykiem. Ma kilka takich koszul. Podobno prasują mu je bibliotekarki. Zauważa, że źle wyglądam, ale w jego głosie nie ma współczucia. Kos obserwuje i stwierdza

fakty. Pyta, czy nie poszedłbym z nim po południu rozejrzeć się za miedzią. Planuje też wyprawę na cmentarz po wosk ze zniczy – ukręci dla nas świeczki. Właściwie dlaczego miałbym mu nie pomóc? Kos teraz nie ma czasu, proponuje spotkanie po obiedzie. Przecież musi odsiedzieć swoje w bibliotece.

Nim zapytam o obiad, Kos wpada w jeden z tych swoich monologów. Wskazuje na budynek biblioteki i zapowiada, że kiedyś wmurują tutaj tablicę z jego imieniem. W to akurat mogę uwierzyć, bo Kos doskonale zna się na zamurowywaniu. Zapowiada jednak, że całe to miasto będzie należało do niego, nie wprost, ale symbolicznie, tak jak Wielka Brytania należy do królowej. Kos stanie się Lublą, a Lubla Kosem. W ten szczęśliwy dzień żydzi, chrześcijanie i muzułmanie padną sobie w ramiona pod okiem dobrotliwych ateistów. Każdy dostanie lekarstwa, dach nad głową i jedzenie. Co więc z tym jedzeniem, chcę zapytać. Kos mówi dalej.

Ma długie siwe włosy spięte w kucyk, na brodzie i wąsach osiadł nikotynowy brąz. Oczy wciąż są młode, tylko twarz pożółkła, policzki się zapadły. Wyobrażam sobie Kosa za dekadę, gasnącego starca z czaszką obleczoną pergaminem, w której wciąż błyszczą te młodzieńcze oczy. Kos zapewne sądzi, że nigdy nie umrze, ale na wszelki wypadek, gdyby śmierć miała kiedyś nastąpić, spieszy się do biblioteki. Zarazem stoi w miejscu, niby nieznośna sąsiadka, która wpadła po cukier i nie może wyjść. Odtwarza zdartą taśmę o swoim wielkim odkryciu. Znalazł kod, sieć, zespół znaczeń łączący Koran, Biblię, Torę, a także Owidiusza, Homera, Tybetańską Księgę Umarłych, buddyjski Trójkosz, Wedy, Księgę Drogi i Cnoty oraz Awestę. To nie różne książki, lecz jedna ogromna, ukryta pomiędzy nimi, część rozpisanego geograficznie globalnego Objawienia. Prorocy się pomylili, biorąc skrawek za całość. Bóg rozrzucił swoje słowa w kawałkach i czekał. Teraz nastał właściwy dzień, trzeba nowego Jana, Konfucjusza i Zaratustry, który złączy to, co zostało rozdzielone. Kos uważa, że się nada.

Kieruje się do wejścia, a ja szarpnię go i pytam, co z tym jedzeniem. Wspominał coś o obiedzie, a ja mam pusty żołądek. Poprawia torbę na ramieniu i odpowiada, że też nie jadł, ale wcale nie odczuwa głodu. Wcina trzy obiady jeden po drugim, co wystarcza. Najpierw zachodzi do opieki społecznej przy Einspielerjeva, daleko, ale warto, bo wydają dwudaniowe posiłki, potem wpada do urszulanek przy Slovenskiej na zupę, wreszcie, jeśli ma ochotę i czas, odwiedza starych hippisów, którzy zajęli działki niedaleko apartamentowców przy Resljevej. Serwują czasem sojowe kotlety z opiekanymi ziemniakami, dają jabłka na drogę i proszą, by jeszcze przyjść. Pytam, czy przypadkiem nie zostało mu takie jabłko. Odpowiada, że nie. Ofiarował je młodemu Markowi, przecież to dobry chłopak, któremu nikt nie poświęca uwagi.

Może wzięłyby mnie do tych zakonnicy albo na kotlet sojowy z ziemniakami? Kos wyraża zgodę, lecz na pierwszym miejscu stawia dobro ludzkości – popracuje do drugiej, spotkamy się pod biblioteką i pójdziemy na te trzy obiady. Żegna się i znika w budynku.

Perspektywa takiej wyzerki wydaje się prezentem, na który nie zasłużyłem. Nie mam telefonu ani zegarka, nie mam też pojęcia, jak długo muszę czekać. Krążę przed budynkiem bibliotecznym i w końcu siadam niedaleko drzwi pod beżowym proporcem. Liczę, że Kos mnie zauważy, gdy będzie wychodził. Cały czas przelitym ślinę. To dziwne, że ślina nigdy się nie kończy. To straszne, że nie możemy żywić się sobą. Chowam dłonie w rękawach, naciągam kaptur, opieram głowę o mur. Szumi ta Lubla, marzną mi stopy, zimno jest nawet we śnie. Przysiągłbym, że pada śnieg, grudzień już, więc mu wolno, otwieram oczy i pojmuję swoją pomyłkę: to nie śnieg mnie trąca, lecz buty policjantów.

Na Streliskiej jest taka pizzeria, gdzie czasem dają nam resztki. To prawdziwa restauracja z prawdziwym jedzeniem, gdzie ściany wyłożono drewnem, w kominku trzaska ogień, a ciasto jest cienkie jak karta win. Wiem, zaglądałem do środka przez okno. Zawsze czegoś tam jest za dużo, kończy się termin ważności, ktoś czegoś nie doje, jak to w restauracjach. Kelnerzy oddają nam te resztki, pod warunkiem że nikt nie zablokuje drzwi, że nie wejdziemy do środka, nie będziemy widziani.

Myślę o plasterkach salami, o papryczkach i mozzarelli, o grubych brzegach pizzy, które, gdy żyłem w Warszawie, zawsze zostawiałem. Idę środkiem chodnika. Rdzawe delfiny zastygły na ścianie jakiegoś budynku uniwersyteckiego. To stare, niedawno odrestaurowane malunki. Drzwi kościoła otwarto na oścież. Wewnątrz dostrzegam obraz przedstawiający świętego Jerzego i smoka. Ponoć smok urodził się tutaj i mieszkał w grocie pod wzgórzem. Pod obrazem widnieje Schwarze Kreuz, dokładnie taki, jaki Niemcy mieli na czołgach. Ma rozmiar tarczy strzelniczej. Podłogę zapełniają czerwone maty ułożone w okrąg. Młodzi ludzie rozciągają się, robią brzuszki, rozkładają kable, światła, kamery.

Mgła się rozwiła i widać zamek na wzgórzu. Ma urok koszar albo ciężkiego więzienia, podobno służył za jedno i drugie. Z wieżyczki z zegarem sterczy maszt ze smutną chorągwią, a Horvat zaczepia troje turystów, opowiada o tej wieży, o chorągwi, o smoku i piszczałce neandertalczyka w zamkowym muzeum, o pierwszym kole na świecie, które znaleziono gdzieś w jaskiniach pod wzgórzem zamkowym. Turyści przystają.

Jest naprawdę dobry: wciska tym Niemcom ulotki do knajpek i sklepów z pamiątkami, tłumaczy, gdzie mogą kupić szklane figurki, poleca rodzaje kiełbas i gatunki piwa, wreszcie proponuje wycieczkę po starówce lub do zamku. Niemcy się jeszcze wahają. Chyba nie mają czasu, poza tym niezbyt podoba im się Horvat, z oczami cwaniaka i nerwowymi ruchami dłoni. Horvat dodaje, że do niczego ich nie zmusza, chętnie oprowadzi za darmo, poza tym Lublę naprawdę można zwiedzić w jeden dzień, jeśli tylko wie się, dokąd pójść. Jeden Niemiec chce iść, drugi odwrotnie, Niemka pyta o tę słoweńską kolonię wolności, z knajpkami, muralami i rękodziełem.

Przyglądam się temu z pewnej odległości. Horvat zabiłby mnie, gdybym podszedł. Zgaduje, że Niemce chodzi o Metelkovę. Nie mogli lepiej trafić, to drugi dom Horvata, chętnie zaprowadzi. Trafić tam trudno, bo Metelkovej nie widać od ulicy, jest jak ukryty peron w *Harrym Potterze*. Zmilczał, że Metelkova budzi się po zmroku. Uszczęśliwiony i rozgadany, ciągnie Niemców tam, gdzie czekają ich tylko domy pomalowane na krzykliwe kolory, pająki z drewnianych bali i drzwi zamknięte na głucho. Niemka zapytuje o substancje niezbędne do dobrej zabawy. Używa właśnie takich słów. Horvat poważnieje. Mówi, że nie zajmuje się czymś takim.

Pizzeria mieści się poza centrum, idę krętą drogą, mijam domki jednorodzinne i przedwojenne wille, które przypominają posklejany gruz. W głębi ciągną się osiedla, za nimi wyrasta zalesiony pagór. Wiosna w Lubli musi być ładna, tak wiele tu drzew, za to pizzerii nie ma wcale. Jakoś nie mogę jej odnaleźć. Nie pamiętam adresu. Zawsze po prostu tam przychodziłem. Owładnięty przerażeniem skręcam w kolejne uliczki, szukam tego ciemnego szyldu, tych brunatnych drzwi. Znajduję jednak coś innego.

Dom stoi pośrodku brudnej łąki, z której kawałka wykrojono parking. Śmieci wylewają się przez dziurę pozostałą po drzwiach, jedno z okien na parterze wybito, przy ogryzionej, rozdrapanej ścianie biegnie długi komin wentylacyjny. Zamontowano na nim czarną flagę. Przysiągłbym, że widnieją na niej czaszka i piszczele.

Zawracam, znów błędę, ale nie myślę już o salami i brzegach ciasta. Poszukałbym jakiejś sieni, schodów osłoniętych przed wiatrem. Nic nie leczy łaknienia lepiej od godziny snu. Nikt nie budzi się głodny, straszne są tylko te skurcze żołądka przez zasypianiem. Trudno tutaj o przytulny kąt, rozważam nawet powrót do Rogu albo pod bibliotekę. Może policjanci nie wrócą? Poszukam Niny, przecież zapraszała na obiad. Dostrzegam ciemny szyld, brunatne drzwi. Szukałem pizzerii, znalazłem rudere. Szukałem schronienia, znalazłem pizzerię.

Zachodzę od podwórka, pukam, nie otwierają. Uderzam pięścią, znowu nic. Otwarte. Wsadzam nos do środka. Pachnie mąką, ciastem, topioną mozzarellą, oregano i świeżo zmielonym pieprzem, jak w tysiącu innych pizzerii, tylko ja po raz pierwszy naprawdę czuję każdy zapach z osobna. Sam chyba też pachnę nie najlepiej, bo uśmiechnięty kelner prosi, abym sobie poszedł. Poznał mnie od razu. Obiecuje, że zaraz znajdzie coś do jedzenia. Gnę się wół, splatam dłonie, przepraszam, poczekam na zewnątrz.

Pada mokry śnieg. Podwórko jest małe i ciemne. Staję między kubłami i zamkniętym śmietnikiem. Śmietnik służy mieszkańcom, kubły restauracji. Długo się czekanie. Liczę sekundy i zaraz się gubię. Oblizuję palce. Tupię jak staruszek na przystanku. Kelner obiecał, że przyniesie jedzenie, więc na pewno tak zrobi. Nie dopuszczam myśli, by mogło być inaczej. On na pewno wie, jak bardzo go potrzebuję. Z podwórka mam widok na ulicę. Ponieważ z sekundami wciąż mi nie idzie, liczę przechodniów i przejeżdżające samochody. Przetrzęsam kubły, rozpruwam plastikowe worki, tylko po to, by znaleźć w nich więcej plastiku. Co ten kelner ma innego do roboty? Przecież o tej porze ruch jest niewielki. Znów liczę przechodniów, rozpruwam kolejny worek. Jeśli o mnie zapomniano, to przypomnę. Znów stukam, walę pięścią, szarpię klamkę. Wejdę z awanturą: gdzie moje jedzenie? Zamknięte.

Wracam między śmietnik a kubeł. Kelner wreszcie wyjdzie z jedzeniem. Przecież robi mi uprzejmość. Spełniał inne, ważniejsze zadania. Miał dobrą, miłą twarz. Na pewno o mnie pamięta, o mojej mozzarelli, salami i oliwkach. Za chwilę go zobaczę, stojącego w drzwiach z kartonem pełnym pyszności. Tak właśnie będzie. Cholerny śnieg. Liczę przechodniów, liczę samochody.

Na skrzyżowaniu Trzańskiej i Bleiweisovej niemal wpadam pod furgonetkę. Autem zarzuca na krawężnik, w szybie miga wściekła gęba i przez krótką chwilę mam pewność, że kierowca wyskoczy z szoferki i mnie stłucze. Zamiast tego dodaje gazu. Furgonetka stacza się z krawężnika. Na boku ma wymalowane bułeczki i ciastka.

Zapada zmrok. Dzień tu mija szybko i ospale, zależy, jak spojrzeć. W pobliskim kiosku sprzedają zafoliowane kanapki, brakuje jednak życzliwych pijaków. Ci siedzą w chińczyku albo w pubie Legende tuż obok, na zewnątrz mimo grudnia, blisko ogrzewaczy, otuleni w pledy.

Przeglądam się w lusterku zaparkowanego samochodu. Schudłem, zarosłem, nie poznałaby mnie własna matka. Ubawiony tą myślą staję przy ogrodzeniu chińczyka, próbuję dobrać właściwe słowa. Nigdy ich nie brakowało, aż do tej chwili. Nie miały pan, pani paru euro na jedzenie? Inaczej, bo pomyślą, że piję: kupiłby mi pan coś do jedzenia? A może odwołałbym się do dobrego serca, ale i wolnej woli. Jestem w tragicznej sytuacji, mógłby mi pan, pani, jakoś pomóc? Śmieszny facet w średnim wieku poprawia druciane okulary i pyta, dlaczego właściwie tutaj sterczę. Na ustach ma piankę z piwa, na szyi krawat ze złotą spinką. Odchodząc, potykam się o kamienną doniczkę i znów niemal wpadam pod samochód.

Z przechodniami jest łatwiej, tak twierdzą Horvat i Kos. Od stolików łatwo przepędzić. Ten w okularach nie próbował, a przepędził. Przechodzień się boi, że za nim pójdę, że będę gadał, szarpał, że poplamie paluchami nową kurtkę, że mam strzykawkę z HIV w kieszeni. Zapłaci, abym poszedł. Cofam się trochę do przystanku autobusowego. Zaczepiam śniadego mężczyznę w polarze i kolorowej czapce, maleńką mamuszkę, której synek wybiega przed siebie na kilkanaście metrów, rozkłada ramiona i wraca, rudowłosą dziewczynę z nosem w telefonie i wielką walizką, wreszcie faceta idącego o lasce. Unosi ją jak broń i zaraz opuszcza.

Siadam na przystanku. Gołębie walczą o suchy chleb, jeden ma nawet skórkę na szyi, niczym szarfę orderową. Już wiem, co zrobię. Pojeżdżę autobusem. Jest tam ciepło, zawsze znajduję miejsce i nikt nie usiądzie obok. Raz kierowca mnie nie zauważył i przenocowałem w ciepłym hangarze.

Zamiast autobusu pojawia się Horvat, który najwyraźniej uwolnił się od swoich Niemców. Pyta, co słychać. Rano wyglądałem słabo, w południe potwornie, teraz jest jeszcze gorzej. Nosi go, tak mówi, odsłaniając zepsute zęby. Naprawdę się nie domyśla? Tak dawno nic nie jadłem, jęczę i wybucham płaczem. Klęczę na przystanku, opieram dłonie o beton, a dobry, porywczy Horvat podnosi mnie, otrzepuje i ogłasza koniec kłopotów. Zaraz się najemy za niemiecki grosz.

Do sklepu daleko, Horvat biegnie, nie umiem za nim nadążyć. Przed wejściem proszę go, żeby nie szarżował. Kupimy coś, co starczy może i na rano. Jakies konserwy, chleb, majonez, może jeszcze leczo albo zupę. Ugotujemy sobie w Rogu. Horvat kiwa głową i prosi, żebym został na zewnątrz. Pytam dlaczego. Horvat kręci głową:

– Nie masz nawet pojęcia, jak źle wyglądasz.

Chucham w dłonie, przytupuję i uświadamiam sobie, że pół dnia spędziłem, opierając się o mur: pod biblioteką, pod pizzerią i teraz tutaj. Horvat wychodzi z pustymi rękami, pytam, co się stało, mam nadzieję, że zaraz wyciągnie jakieś puszkę, bułeczki. W jego dłoni pojawia się butelka wódki Taiga. Pociąga łyk i chce się dzielić. Odmawiam. Horvat, w którym krew już szybciej krąży, przeprasza, Niemcy poskąpili forsy, rozczarowani pustką Metelkovą. Nie kupili ani zioła, ani mefedronu. Przypomina, że wódka ma mnóstwo kalorii. To prawie gołonka w płynie, śmieje się mój Horvat. Czuję się oszukany i rozbawiony. Dobrze, napijmy się, ale nie tutaj.

Odpowiedź cieszy hojnego Horvata. Chwilę później odkręcamy flaszkę pod wysokim kamiennym murem. Pochodzi jeszcze z czasów rzymskich, obrasta go trawa i wygląda, jakby miał wytrzymać kolejne dwa tysiące lat. Pytam, czy to nie urocze, że Rzymianie też tutaj pili. Horvat ożywia się na te słowa i przypomina, że wódka stanowi lekarstwo dla duszy. Na ranę kładziemy plaster, skalpel wycina wrzód, a duszę leczy wódka. Ludzie przestali pić i zaraz ustawili się w kolejce do psychoterapeutów. Taiga zalewa rany w żołądku. Pobiegałbym wokół ławki. Wdrapałbym się na mur. Chodzę dookoła Horvata. Przecież facet ma rację, dokładnie tak jest! Wiesz, stary, że kawał czasu nie piłem? Horvat podaje butelkę, tym razem pociągam ostro. Poci mi się nos.

Horvat oddycha, wydymając usta, i bez przerwy wyciera ręce w spodnie. Szarpie brzeg ławki, jakby próbował ją wyrwać. Prosi o butelkę, pije i spływa na niego spokój, o którym przed chwilą opowiadał. Pyta, czy się przejdziemy. Alkohol wypada rozchodzić.

Wiem, dokąd go tak ciągnie. Krąży wokół jednej ruiny, wystarczy parę głębszych i musi tam iść. Jasne, mogę z nim pójść, choć przecież niczego nie znajdziemy. Chodzi tylko o zapychanie pustki, o zapełnianie godzin watą byle jakich zajęć. Horvat roztrzaskuje pustą butelkę o mur i wybucha śmiechem.

Dom hrabiny von Cobenzl znajduje się niedaleko naszego muru i jeśli wierzyć Horwatowi, nikt tam nie mieszka od lat osiemdziesiątych. Wejścia broni siatka, którą łatwo sforsować, lecz dalej jest gorzej. Drzwi i okna na pierwszym piętrze zabito deskami. Gałęzie leżą na przegnitym dachu, cała budowla sterczy ze spłachetka gołej, łysej ziemi. Otaczają ją odnowione wille o czerwonych dachówkach. Dawna rezydencja wygląda jak żebrak w tłumie, wygląda jak ja. Horvat zadziera głowę i patrzy zauroczony, jakby było na co.

Idziemy na tył budynku. Chrząści szkło, gdzieś ujada pies. Ledwo idę przez te połówki butelek na butach. W żołądku rośnie mi gorące ciepło, lecz palce u nóg drętwieją z zimna. Zastanawiam się głośno, czy ta wyprawa naprawdę jest nam potrzebna, tymczasem Horvat cieszy się jak dziecko. Rozgląda się nerwowo i prosi, żebym przed nikim nie zdradził się z tym, co za chwilę zobaczę. Otaczają nas drzewa bez liści i światła domów, gdzie normalni ludzie jedzą kolacje, grają w scrabble i oglądają seriale o dobrych bandytach.

Nad zabitymi oknami znajduje się szczerbaty balkon i przez moment obawiam się, że Horvat każe mi tam wejść. Sprawdza nawet stabilność piorunochronu. Zdejmuje trzy deski z okna i układa je starannie pod ścianą. Szyba dawno wybita, z framugi zniknęły odłamki szkła. Horvat mówi, że deski wyrwał kilka miesięcy temu, przykłada palec do ust i gramoli się do środka. Ściągam butelki z butów i idę za nim.

Wewnątrz pachnie kurzem. Z ciemności wyłaniają się garbate kształty starych mebli: sekretarzyka, kanapy, krzesła o zdobionych nogach i oparciach. Ciężkie stopnie schodów prowadzą na piętro, skąd zwisa postrzępiony dywan. Ze ścian sterczą gwoździe. Zieje dziura po sejfie.

Horvat zapala świeczkę. Podobnie jak Kos, kradnie wosk z cmentarnych zniczy. Oświetla wybebeszone oparcie kanapy, rozprute siedzisko krzesła i rozwaloną tylną ścianę sekretarzyka. Wsadza tam rękę. Rozgrzebuje jeszcze bardziej krzesło, próbuje wyrwać deskę podłogową i zabiera się do ostukiwania ścian, z uchem tuż przy ceglach.

Dostaję drugą świeczkę. Krążę po pokojach. Natrafiam na biurko odwrócone do góry nogami i potykam się o rozrzucone szuflady. Po łóżku została tylko rama, po papierach – popiół. Przerzucam osmalone zdjęcia przedstawiające mężczyzn o napomadowanych wąsach i kobiety w kozuchach. Znajduję puste szkatułki, a także ślady bardziej współczesne: paczki po papierosach, butelki, przegniłe ubrania. Nasi tu byli.

Nie wiem, dlaczego to robię. Horvat przychodził tutaj wielokrotnie i przeszukał wszystko. Teraz próbuje rozmontować schody prowadzące na piętro. Woła, żebym mu pomógł. Szarpiemy deskę we dwóch, ale jesteśmy za słabi. Na górze znajdują się cztery duże pokoje i zamurowany balkon. Horvat znów opukuje ściany. Porusza się skokami, uderza otwartą dłońią i wcale nie nasłuchuje. Krzyczy, że nic nie robię.

Poszukiwanie kończymy na schodach do piwnicy. Siedzimy blisko siebie jak gołębie i patrzymy na czarną wodę. W świetle świecy dostrzegam pordezwiąłe rury, kawałek rozmontowanego pieca, okopcone cegły i niewiele więcej. Horvat mamrocze, że odsapnie chwilę i wejdzie do tej wody. Jeśli hrabina ukryła swój skarb, to właśnie w podziemiach.

Cobenzlowie należeli do najbardziej znanych i najbogatszych rodów w regionie. Jeszcze za Hitlera trzymali się mocno, wyjechali, dopiero kiedy nastał Tito. Z jednym wyjątkiem. Janina von Cobenzl, wredna, skąpa starucha, pozostała w Lubli. Być może uważała, że nie stanie się jej krzywda. Zapewne było jej wszystko jedno, skoro przekroczyła już osiemdziesiątkę. Starzy ludzie, zauważa Horvat, zachowują się, jakby nigdy nie mieli umrzeć, a to błękitnokrwiste pudło z pewnością wierzyło we własną nieśmiertelność. Cóż, komuniści dali jej lekcję świadomości

klasowej. Tito przez rok nie wiedział, co z nią zrobić, nie przypuszczał też, jaka twarda z niej baba. Nie pisnęła słówka na temat miejsca, w którym ukryła kosztowności, mimo gróźb, głodu i papierosów gaszonych na policzkach. Umarła w więzieniu.

Mocny głos Horvata zdradza podziw dla hrabiny. Męczyli ją na próżno. Facet by pękł, ale nie ta starucha. Horvat rośnie w blasku świecy, unosi dłoń. Mówi, że przed drugą wojną ten dom przypominał muzeum malarstwa. Krem z truskawek jadano złotymi łyżeczkami, a złoto nie chciało się zmieścić w sejfie. Gdy milicjanci aresztowali Janinę, zastali mniej więcej to, co teraz, czyli puste ściany i ani jednego pierścionka. Horvat ze świstem wciąga powietrze, posyła mi smutny uśmiech i dodaje, że po śmierci rozpruli hrabinie brzuch. Sprawdzano, czy nie połknęła swojego złota.

Połknąłbym nawet roztopioną stal. Głowa robi mi się ciężka, nóż szarpie jelita. Pytam Horvata, czy zrobiłby coś dla mnie. Poszedłem z nim pod mur i tutaj. Nie skołowałby czegoś do jedzenia? Może zna kogoś z pełną lodówką? A może poszukamy Niny? Horvat odpowiada, żebym się nie martwił, bo gdy znajdzie skarb hrabiny, okaże serce nam wszystkim. Jesteśmy braćmi zrodzonymi przez ulicę, co wiąże na dobre i złe. Dlatego zabierze mnie do Klobasarny albo Drugiej Violiny, gdzie zjemy cielęcy antrykot w przyprawach korzennych i napijemy się musującego wina. Potem zgarniemy Ninę, kupimy jej mnóstwo drogich kosmetyków i pojedziemy taksówką do Wiednia na koniak. Tak właśnie się stanie, zapewnia Horvat, już niedługo. Skarb hrabiny gdzieś tu jest.

Odpowiadam, że chciałbym zjeść coś teraz, niekoniecznie antrykot. Po co kupiliśmy tę wódkę? Płaczę i przepraszam dobrego, surowego Horvata, bo nie mam prawa go pouczać, co powinien zrobić z pieniędzmi. Wystarczająco mi pomógł. Zabrał z ulicy. Zaprowadził do Rogu. Ja to wiem. Ja nigdy tego nie zapomnę. Może na mnie nakrzyczeć, niech nawet znowu zbije, tylko najpierw pomoże z jedzeniem. Twarz Horvata mięknie jak wosk. Mój szczodry kompan pomaga mi wstać, prowadzi po schodach, przy oknie przystajemy. Niespodziewanie chwytą mnie za kark, przyciska policzek do muru i mówi, że może zabrać mnie w jedno miejsce, do którego sam się wybierał. Może dostaniemy tam coś do jedzenia. A może nie. Ważne jest tylko, abym go nie wkopał. Mam milczeć. Nie śmiem o cokolwiek poprosić. Gospodarz jest strasznym człowiekiem.

Jedyne światło bije od przydymionych trójramiennych świeczników. Przysiadłem na drewnianym kufrze ze stalowymi okuciami, odrapanym tak, żeby przypominał skrzynię wykopaną z piasku. Na ciężkim blacie pod oknem leżą kordelas w futerale i atrapa pistoletu skałkowego. Obok, w popękanych ramach, wiszą mapy. Ciężką półkę wypełniają książki w płóciennych i skórzanych oprawach, podparte szklaną kulą, w której zastygł pająk. Na ceglanej ścianie wymalowano czaszkę wielką jak brama garażu. Z sufitu, w miejscu, gdzie powinna być lampa, zwisa stryczek z grubego sznura. Mógłbym go trącić, gdybym potrafił unieść rękę.

Jestem w samotnym domu, który widziałem, szukając pizzerii. Jestem w Tortudze. Piję herbatę bez cukru. Obok kuli się Horvat, a kobieta w rogowych okularach wyklada zawartość siatki. Przy kordelasie pojawia się leczo w słoiku, twaróg i kawał koziego sera, kiełbasa owinięta w szary papier, bochen chleba, rzodkiewki i suszone banany, wreszcie kompot w półtoralitrowej butelce po wodzie mineralnej.

Kobieta mnie czarną siatkę i wsadza do kieszeni prochowca. Ma jakieś pięćdziesiąt lat, siwe odrosty i przypomina bibliotekarkę, której właśnie oddano książki w fatalnym stanie. Przesłupuje z nogi na nogę. Na dziurawych kozakach osiadło błoto.

Jej syn Ante rozwala się na czerwonym antycznym fotelu. Nogę w wojskowym buciku wywalił na stół obok jedzenia. Nosi obcisłe skórzane spodnie ze sznurowaniami na łydkach i rozchełstaną białą koszulę. Nadgarstek oplata mu mnóstwo rzemyków, wyżej zieleni się niezdarny tatuaż przedstawiający wróbla. Całości dopełniają półdługie, brudne włosy, czerwona bandana i sygnet w kształcie trupiej czaszki. Ante ściska cygaretkę w delikatnych palcach, dym zatrzymuje w ustach.

Nie rozumiem, o czym rozmawiają. Matka wypowiada długie zdania ścisłym głosem i waży każde słowo. Wyciąga ręce. W jej głosie brzmi troska. Wodzi wzrokiem po tej wielkiej czaszce na ścianie, po mapach i nożu wbitym w blat stołu, nie patrzy jednak na syna. Za to Ante przygląda się jej z ukosa. Matka mówi i mówi. Zadaje pytania, na które Ante odpowiada sekwencją szczeknięć. Ucieka wzrokiem, nie wie, co zrobić z rękami, przeszkadza mu ta cygaretką.

Nagle zaczyna krzyczeć, odpędza matkę ruchem dłoni. Ta dalej stoi w tym samym miejscu, lecz zamilkła. Ante zaciska palce na poręczach fotela. Wygląda, jakby zamierzał chwycić tę kobietę i wystawić za drzwi, tylko tutaj nie ma żadnych drzwi. Matka poprawia okulary i sama rusza do wyjścia. Znika za kocem, a z Antego wydobywa się westchnienie pełne ulgi, które urywa się gwałtownie. Matka zagląda do środka, przepraszającym głosem zadaje jakieś zawile pytanie i Ante znowu podnosi głos. Zrywa się, łapie matkę za ramię, syczy jej coś w ucho. Kobieta znika, a Ante zastyga tyłem do nas, z pięściami przyciśniętymi do ściany. Jest drobny, lecz bardzo umięśniony. Bierze oddech i wraca na fotel.

Piję herbatę, Ante i Horvat rozmawiają ponad moją głową. Niewiele rozumiem. Horvat podnosi się karnie, wygrzebuje pomięte banknoty i podaje Antemu. Ten pociera sygnet, liczy je i wpycha do kieszeni na piersi. Mam ochotę potrząsnąć Horvatem. Więc jednak miał pieniądze! Mogliśmy tutaj nie przychodzić. Mogliśmy kupić chleb, mortadelę i margarynę. Horvat siada sztywno, przełyka ślinę. Nie rozumiem, czego tak się boi.

Ante uśmiecha się pojednawczo, otwiera zębami butelkę rumu. Nalewa mi trochę do kubka i patrzy dziwnie, jakby dotąd w ogóle mnie nie widział. Klęka, przechyla głowę. Zadaje pytanie po słoweńsku, a Horvat mu klaruje, że tak to się nie dogadamy.

Ante uwielbia swój sygnet. Bez przerwy na niego zerka, przeciera rękawem. Pyta, skąd jestem i czego tutaj szukam. Wypowiada te zdania jak komendy, niemal dławi się tą prostą angielszczyzną. Jestem obcym człowiekiem w obcym kraju, szukam Świętego Graala i łowię androidy. Ante parska radośnie, tak mu się podobam. Podtyka mi papierosa. Myślę tylko o jedzeniu, o tym leczy, o kiełbasie, twarogu i chlebie.

Zapalam i zaraz się krztuszę. Dym zdaje się wypełniać skurczony żołądek. W ten sposób oszukuję głód. Ante chwali moją odpowiedź, gdyż filmy kocha nad życie. Oglądałby je od rana do nocy, gdyby nie nawał obowiązków. Nie widzę ani telewizora, ani komputera, w Tortudze nie ma prądu, tylko te świeczniki. Ante pyta, czy wiem, gdzie trafiłem i z kim mam zaszczyt rozmawiać. Próbuję dociec, czy mówi na serio, myślę o twarogu i nie odpowiadam. Ante dolewa mi rumu, sam pociąga z gwinta.

Tłumaczy, że zagubił się w czasie, urodził się trzy stulecia za późno i próbuje robić piracką robotę w nieprzyjaznym świecie. Jest jak Bartholomew Roberts, jak Czarnobrody i Calico Jack, jak Charles Vane i Henry Every razem wzięci. Miejsce, w którym się znalazłem, to ostatni

bastion wolności, a zarazem wyzwanie rzucone biurokratom, korporacjom i służbom mundurowym. Czy jestem zbłąkaną duszą? Odpowiadam twierdząco. Jestem tak zbłąkany, że za chwilę wbiję zęby w mur. Zdaniem Antego trafiłem pod właściwy adres. Każdy łotr, włóczęga i wykolejeniec, a także każda kurwa i wariatka znajdzie tutaj zajęcie i schronienie. Ante się troszczy. Serce Antego bije dla każdego, kto wybrał życie na własnych zasadach. Wreszcie zauważa, że jestem głodny.

Sięga po nóż o drewnianym trzonku. Powoli kroi chleb i twaróg, bierze się do kiełbasy. Zagaduje o kulturotwórczą rolę piratów. Jego zdaniem byli kimś więcej niż barbarzyńcami żądnymi złota i krwi. Zmienili przecież świat na lepsze. Taki William Dampier odkrył Australię, jako pierwszy przedstawiciel naszej cywilizacji widział kangury i napisał o nich książkę. Thomas Werner skolonizował wyspy karaibskie. Henry Mainwaring skończył prawo, a jako pirat pomógł Anglikom w pokonaniu Hiszpanii. Cieśnina Drake'a nie nazywa się tak bez powodu, zauważa Ante, układając na kanapkach plasterki kiełbasy. Piratom zawdzięczamy coś jeszcze, coś najważniejszego, czyli pragnienie wolności. Ante staje pośrodku zadymionego pomieszczenia, z talerzem kanapek w jednej i butelką rumu w drugiej dłoni. Pyta, czy będę sprzedawał dla niego mefedron.

Udaję, że nie rozumiem. Jestem tutaj nowy, mieszkam w Rogu i nie znam słoweńskiego. Ante powtarza, że bardzo mu się podobam. Nie boję się ludzi i znam angielski, a turyści oczekują przecież czegoś więcej niż galopu przez zamek, Potrójny Most i Dom Hauptmanna. Zarobię prawdziwe pieniądze, po miesiącu wynajmę normalne mieszkanie. Kupię sobie ubrania i mydło.

Coś we mnie wyje, przekonuje, że nie powinienem tego robić. Boję się, że mnie aresztują i odeślą do Polski. Zwracam uwagę, że Horvat lepiej nadaje się do tego zadania. Przecież dobrze się znają.

Ante ściąga kiełbasę z kanapki i pakuje ją sobie do ust. Owszem, zna Horvata lepiej niż ktokolwiek w tym smutnym, niepotrzebnym mieście. Takim ludziom nie dajesz nawet psa do wyprowadzenia. Zarobi parę euro, zaleje pałę i zniknie na tydzień. Przepadnie szmal, przepadnie mefedron i Ante będzie musiał ukarać pocziwego, uzależnionego Horvata, choć wcale nie ma na to ochoty. Horvat słucha tego ze spuszczoną głową i kubkiem przy ustach.

Wyobrażam sobie siebie na Okęciu: dwaj gliniarze wloką mnie, skutego, przez płytę lotniska do suki, przy której czeka Julka i moja mama. Widzę siebie z kulą w głowie, gdzieś na zaśnieżonym podwórku. Odmawiam Antemu i bardzo przepraszam. Chcę, aby wiedział, że go szanuję. Po prostu nie nadaję się do takiej pracy, nigdy nie robiłem niczego podobnego, w gruncie rzeczy na zaufanie zasługuję tak samo jak Horvat. Milknę i też spuszczam głowę.

Ante przygryza wargę i mruży oczy. Wygląda, jakby ktoś trzymał go na muszce. Wybucham dziecięcym, szczerym śmiechem. Przecież wszystko gra, tylko pytał, każdy ma prawo odmówić. Więcej nawet, cieszy się z mojej szcerości, i wciąż ma nadzieję, że się polubimy. Skoro go szanuję, odpłaci mi szacunkiem. Oferta pozostaje aktualna, jeśli zmienię zdanie. Przygląda mi się jeszcze, wciąż uśmiechnięty, tylko w jego oczach próżno szukać wesołości. Odkłada talerz na stół.

Kto nie pracuje, ten nie je.

Pod Tortugą zastygł smutny cień. Matka Antego stoi przy wejściu, wśród śmieci, z siatką w dłoni. Poświęca nam długie spojrzenie i wykonuje nieśmiały, urwany krok, jakby chciała

podejść i zapytać o syna. Nieruchomieje i patrzy przed siebie, na ciemne wzgórze i domy, w których pogasły już światła.

Urźnięty Horvat bierze mnie pod ramię. Prosi, żebym się nie przejmował, Ante właśnie taki jest. Nie uznaje żadnych kompromisów i naprawdę wierzy w te bzdury o piratach. Ludzie trafiają na ulicę z różnych powodów. Kosa wyrzuciła żona, a Ninę mąż za długi. Horvat wyszedł z więzienia w pustkę. Tak właśnie najczęściej jest. Ale nasz Ante ma normalny dom, tylko nie chce tam wrócić. Wybrał ulicę, bo tu ma władzę i wolność, o której tak bredzi. Nie chcę iść, leżeć ani siedzieć. Nawet jeść już nie chcę. Horvat wyjmuje rum od Antego. Dostał, ja nie dostałem nic. Powróciła mgła.

Wlecemy się w stronę Rogu, Horvat pijany i mocny, ja gubię krok. Między latarniami błyszczą lampki bożonarodzeniowe, wzdłuż chodnika ciągną się betonowe donice wypełnione badyłami i mokrą ziemią. Mijają nas samochody na długich światłach. Zostawiamy za sobą ciągnące się niskie bloki, pomniki wynurzają się z chaszczy, dalej szumi las i można pomyśleć, że jesteśmy na przedpolach głuszy, że nie ma tutaj żadnego miasta: trzypiętrowe kamieniczki biorą nas z zaskoczenia.

Niedaleko starówki dołącza do nas Kos. Wyłania się z mgły jak duch albo gołąb, z tą swoją teczką i elegancko skręconym papierosem. Nie podajemy sobie dłoni, nie odzywamy się do siebie, tylko idziemy dalej w kierunku Rogu. Brakuje ludzi i samochodów, restauracje już dawno zamknięte. Mgłą rozświetla fioletowa poświata zamku.

Nieoczekiwanie pojawia się też Nina. Maszeruje dziarsko i chyba cieszy się na nasz widok. Z ramienia zwisa jej płócienna torba, a w niej mokry ręcznik. Najwyraźniej wraca z fitness klubu, gdzie po zamknięciu jakaś koleżanka pozwala jej wziąć prysznic. Widok tej fajnej, przystrzyżonej na krótko dziewczyny rozbudza płonne nadzieje. Wciąż mam szansę na obiad, który obiecała? Mogłem jej poszukać. Mogłem poczekać na Kosa, mogłem schować kanapkę przed Markiem, przystać na ofertę Antego, mogłem zrobić wiele różnych rzeczy, których nie zrobiłem.

Nina całuje mnie w policzek. Idziemy obok siebie, przed nami Horvat unosi pięść jak Rocky, gdzieś z tyłu wlecze się Kos. Nina pyta o miniony dzień, chce wiedzieć, czy dobrze się czuję. Jej głos brzmi z daleka, cała Nina wydaje się nierzeczywista i obca. Nie przyniosła obiadu. Mówię, że poszło mi kiepsko, ale jakoś to będzie. Dopytuje, czy naprawdę niczego nie zjadłem. Milczę. Nie widać? Przyznaje, że wydała już wszystko, co zarobiła na stacji, przeprosza i obiecuje: jutro po pracy przyjdzie do Rogu i wspólnie zjemy obiad. Może chciałbym się umyć w fitness klubie? Czy piłem? Woli, abym nie pił. Wódka wygnała ją na ulicę – wódka, margarity i szampan w hotelach trzygwiazdkowych. Martwi się, bo odkąd przyjechałem, wyglądam coraz gorzej. Nie wiedziałem. Nie wiem, jak wyglądam. Nie wiem, jak długo tutaj jestem.

Schodzimy na nadbrzeże, gdzie zwija się powidok życia. Kelnerzy gaszą światła i wynoszą stoliki, na drzewach płoną roje sztucznych gwiazd. Nina mówi, że poszła dzisiaj pod szkołę zobaczyć swoje dzieci. Spoglądała zza drzewa, żeby jej nie przegoniono. Wypowiada ich imiona, które natychmiast zapominam. Słyszę, jakie miały kurtki, buty, plecaki. Szły wśród innych dzieci. Muszą być bardzo lubiane. To dobrze, podkreśla Nina. Ona sama była samotna, odkąd pamięta.

W oczy rzuca mi się inne dziecko, którego wcale nie chcę oglądać. Bezczelny Marko stoi na skrzyżowaniu nadbrzeża z Reslijewą, pije napój energetyczny i kopci. Na światłach przystaje mercedes na niemieckich blachach (przynajmniej wydaje mi się, że te blachy są niemieckie). Przednia szyba zjeżdża, odsłaniając brodatą twarz kierowcy. Marko gniecie papierosa pod

butem, miażdży puszkę i wsiada.

Wszyscy szykują się do snu i nikt nie zasypia, może dlatego, że jest z nami Nina, której jakoś nie spieszy się do samochodu, a może przez Horvata wygadującego bzdury nad butelką. Opowiada o skarbie hrabiny i żałuje, że nie dowiedział się o nim wcześniej, kiedy był młody. Wówczas inaczej pokierowałby swoim życiem. Skoncentrowałby się na poszukiwaniach, a tak musiał wyrwać radia z samochodów i szarpać się z przechodniami. Musiałem, musiałem, powtarza. Urodził się niewolnikiem. Umrze wolny. W butelce niedługo zaświta dno.

Kos leży już w łóżku, doskonale obojętny na wszystko, co dzieje się wokół. Okulary zsunął na koniec nosa, przed sobą rozłożył album o ptakach w Jugosławii. Sięga po woreczek pełen niedopałków, wykrusza tytoń na książkę, drobi, wyrzuca zwęglone drobinki i wydiera kartkę z Biblii. Długo ugniata tytoń palcami. Prawie nie mruga. Ślini brzeg kartki, zwija, płomień ślizga się po paznokciach. Kos obraca skończonego skręta przy płomyku, równego i cienkiego jak słomka. Zapala i kładzie się na plecach. Horvat grzmi znad butelki, że tu się nie pali. Powinniśmy zachować odrobinę kultury i wzajemnego szacunku. Czy naprawdę on, Horvat, musi nas wszystkiego uczyć? Kos spokojnie się zaciąga i patrzy w sufit.

Przejmuję rum od Horvata, co nie podoba się Ninie. Usiadła nieopodal, a przecież niechętnie do nas zachodzi. Może dlatego, że jest tu jedyną kobietą? Wciąż wierzy, że odzyska swoje życie, i musi o tym poopowiadać. Nogi podciągnęła pod brodę, oplotła je ramionami, bardzo chce być kulą. Kuli nie można zniszczyć. Powtarza, że widziała dziś dzieci, co było okropnie trudne. Chciała podejść i porozmawiać, zapytać o oceny, jednak nie wolno jej tego zrobić. Piję, oddaję butelkę. Pytam, dlaczego tam poszła. Czemu tak się krzywdzi. Nina wodzi wzrokiem za flaszką. Odpowiada, że tylko tak może zobaczyć swoje dzieci. Te chwile są dla niej bezcenne.

Uświadamiam sobie, że już nigdy cię nie zobaczę, i chowam twarz w dłoniach. Nina przysuwa się i pyta, czy powiedziała coś niewłaściwego. Wiatr świszczy w murach i płucach Kosa. Horvat monotonnym głosem bełkocze, że wszystkie rzeczy, które zrobił w życiu, były absolutnie konieczne. Musiał, a więc zrobił. Narodził się skazany na Rog. Zna sposób na zmianę swojego przeznaczenia. Zdobędzie skarb. Tylko wówczas nie postąpi tak, jak obiecywał. Nie będzie antrykotu, musującego wina ani Toskanii. Za pieniądze od hrabiny wywrze zemstę na wszystkich, którzy go skrzywdzili. Zabije policjantów, obojętnych przechodniów i chytre urszulanki, które nie dały mu zupy. Podłoży bomby. Weźmie karabin. Uczyni świat lepszym miejscem. Kos wybucha śmiechem.

Zdaniem Niny nigdy nie jest za późno, zatrzaśnięto jedynie drogę na skróty, bezdomność zakazuje pośpiechu. W tym znajduje pocieszenie. Szeptuje mi do ucha, że najpierw planowała odzyskać swoje życie w kwadrans. Myślała, że na ulicy spędzi tylko kilka dni. Niedawno minął rok. Każdy dzień oznacza odcinek drogi przebytej we właściwym kierunku. Już nie pije. Nie sypia z przypadkowymi mężczyznami, bo wie, że w ten sposób ściągnie na siebie tylko gorycz i pogardę. Nie zaleczy pustki. Tak bardzo chciałbym, żeby już poszła. Nina przysuwa się jeszcze bliżej i wyznaje, co było dla niej najtrudniejsze: zrozumienie, że nigdy nie będzie wychowywała własnych dzieci. Nim odzyska swoje życie – spłaci długi, zdobędzie normalną pracę i mieszkanie – tych dwoje dorośnie. Nina wypowiada te słowa z głębokim smutkiem i zdradza, skąd czerpie nadzieję. Myśli o wnukach. Jej dzieci też będą miały dzieci, a ona stanie się najlepszą babcią na świecie. Będzie piekła ciasta, zabierze maluchy w góry i nad morze, kupi

kurtki na zimę i mnóstwo drogich zabawek. Urządzi im pokój z łóżkiem piętrowym i będzie na każde wezwanie. Przejdzie tę długą drogę, bo warto. Może to dziwne, mówi, ale już nie może się doczekać, kiedy będzie stara, kiedy będą wnuki.

Nina pachnie piżmem i zmęczeniem. Pociągam jeszcze z butelki i orientuję się, że już nic w niej nie ma. Oddaję Horvatowi puste szkło. Zastanawiam się, jak poprosić Ninę, żeby sobie poszła. Nie wiem, dlaczego tak gada, jestem bardzo zmęczony. Tymczasem Horvat ciska flaszką o ścianę i zaczyna się miotać po pomieszczeniu. Kopniakiem wyrzuca wanienkę w powietrze, unosi ramiona i wyje coś po słoweńsku. Podnoszę głowę – obok nie ma już Niny.

Nim zdążę wstać, Horvat unosi mnie i dociska do muru. Syczy, że jestem niewdzięcznym skurwysynem. Dał mi dziś dwie flaszki i co? Jak się odpłaciłem? Umiem tylko pić. Nie chce mi się pracować. Tacy jak ja powinni natychmiast umrzeć i on, Horvat, tego dopilnuje. Kopniakami popycha mnie ku schodom. Mam wypierdalać. Nie śmiem tu wrócić, nie śmiem wrócić bez wódki, krzyczy Horvat i zrzuca mnie po stopniach.

Julka obroniła się we wrześniu. Bardzo chciałem, żeby ten dzień był wyjątkowy. Kupiłem szampana i róże, Mikołaja zostawiłem z mamą i ruszyłem na uczelnię.

Na korytarzu mówiło się tylko o polityce. Wszystkich przerażali urzędujący od niedawna ministrowie: szalony Giertych i tępy Lepper. Polska stawała się nie tylko spichlerzem Europy, ale i kruchtą Watykanu. Studenci w palarni zastanawiali się, czy ksiądz Rydzyk zostanie ministrem bez teki, czy ludzie wyjdą na ulicę i kiedy rząd wprowadzi karę śmierci za aborcję. Rozważali perspektywę wyjazdu do Wielkiej Brytanii lub Szwecji, gdzie czekało godne życie bez pieprzonej Polski. Każdy miał w ręku jakąś poważną książkę – Baumana, Gadamera, Žižka – więc czułem się głupio z Lemem w plecaku.

Julka czekała przed salą. Usiadłem obok, wziąłem ją za rękę i zapewniłem, że wszystko będzie dobrze. Napisała dobrą pracę, na pewno jest przygotowana. Zresztą czy ktoś kiedyś zaważył obronę? Julka nie odpowiadała, tylko bez przerwy przełykała ślinę. Poczuję się odrzucony i niewystarczający. Ucieszyłem się, gdy zniknęła za drzwiami.

Zdała na piątkę. Wręczyłem kwiaty, szampan chlusnął na korytarz i z butelką pod pachą poszliśmy przez Warszawę. Wypiliśmy piwko na Browarnej, kupiłem butelkę półwytrawnej kadarki i pociągnąłem szczęśliwą, rozszczebiotaną Julkę aż na Wybrzeże Kościuszkowskie. Znalazłem samotną ławkę, całowaliśmy się. Powiedziałem, że życie jest powtarzalne i niewiele rzeczy zdarza się tylko raz: pierwsza komunია, pierwszy pocałunek, pierwsza obrona. A przecież Julka kończyła studia i pisała pracę, zajmując się dzieckiem.

Mama wydzwaniała na komórkę. Odebrałem za którymś połączeniem, pewien, że to kolejna pierdoła związana z Mikołajem. Tym razem było inaczej: mama podniosła małego, źle postawiła nogę, coś chrupnęło. Z trudem dowlokła się do łóżka, nie mogła wstać, tak bolało. Na nas oczywiście nie mogła liczyć, dodała, wciąż bowiem myślimy tylko o sobie. Zostawiliśmy wino i pobiegliśmy do taksówki. Zastanawiałem się, czy mama nie robi tego specjalnie, czy jakaś jej tajemnicza część nie próbuje zniszczyć tych nielicznych chwil, które z Julką mieliśmy dla siebie.

Ciało mamy obciążył metalowy implant, a my na pół roku straciliśmy pomoc przy dziecku i resztki wolnego czasu. Mama utrzymywała, że doskonale poradzi sobie sama, bała się tylko zakrzepowego zapalenia żył. Balkonik błyskawicznie zamieniła na kule, ale z nimi jakoś nie potrafiła się rozstać. Przynosiłem jej zakupy, a ona powtarzała, że nie umiem niczego wybrać jak

należy – nie taki ser, chleb za suchy, kurczak pompowany chemią. Po jedzeniu kładła się na plecach, a ja delikatnie dociskałem chorą nogę do biodra, trzymając za kolano i stopę.

Bałem się, że pokruszę jej kości, i byłem zły, bo zostałem sam z tym ambarasem. Julka znalazła pracę w recepcji firmy spedycyjnej i – na domiar złego – wróciła do rozpoczętej na pierwszym roku nauki fińskiego. Nie mogłem zrozumieć, do czego jej to potrzebne, dlaczego – choć mamy tak mało pieniędzy – jedną piątą pensji przeznaczają na kurs, i miałem pewność, że robi to, by uciec od codziennych obowiązków. Mama uważała podobnie. Gdy ja się obroniłem, pół roku po Julce, nie było ani wina nad Wisłą, ani szampana. Nikt nie czekał przed salą egzaminacyjną. Rozgoryczony wróciłem do domu, gdzie Julka kuła słówka, a Mikołaj bez przerwy chciał się bawić w pociąg. Dostawałem papierowy bilet i siadałem na jednym z ustawionych w rzędzie krzeseł. Trwało to do wieczora. Mikołaj, „pan manista”, wył za każdym razem, gdy próbowałem wysiąść. W następny wtorek kupiłem „Wyborczą” i zabrałem się do szukania pracy. Nienawidziłem naszego mieszkania i bardzo chciałem je zmienić.

Większość ogłoszeń dotyczyła sprzedaży bezpośredniej, jak nazywano ganiecie po domach z kompletem garnków. Wylądowałem na spotkaniu zorganizowanym przez jakichś Słowaków. Pokazali zdjęcie biurowca zajmowanego przez dyrekcję w Bratysławie. W Warszawie też mieliśmy podobne budynki, a w każdym mieściło się sto takich dyrekcji. Siedziałem w gronie kilkudziesięciu innych nieszczęśników. Do mikrofonu podchodzili kolejni mężczyźni w zwiędłych krawatach i opowiadali o cudownym środku na regulację wagi: jeden schudł piętnaście kilo, drugi przybrał pięć czystej masy mięśniowej, trzeciemu wypłukało kamienie żółciowe.

W kawiarni na tyłach Nowego Świata rekruter chciał, żebym sprzedał mu zapalniczkę. Miałem zachęcić go do kupna. Powiedziałem, że życie to wieczna ciemność, jęk i zgryzota – w tym mroku przyda się każdy promyk. Wszyscy dziwnie na mnie popatrzyli. Pracę dostał kolega z roku, który wręczył rekruterowi zapalniczkę i pozwolił się nią pobawić. Przysiągłbym, że kilka lat później usłyszałem w komórce głos tego właśnie kolegi. Proponował kredyt konsumpcyjny i prawie mnie namówił.

Na Słonecznej przyjęła mnie małomówna recepcjonistka podobna do Kelly Osbourne; nie odrywała wzroku od pasjansa na komputerze. Dyrektor wyłonił się z biura oddzielonego niską ścianką. Pociągnął do stolika za oknem i zapytał, czy mogę zacząć od jutra. Jasne, że mogłem. Dyrektor zapytał wówczas, ile chcę zarabiać. Zrobiło mi się głupio – to on powinien wiedzieć, ile kosztuje godne życie. Powiedziałem, że trzy tysiące. Dyrektor się roześmiał i oznajmił, że nie zacznę ani od jutra, ani nigdy. Na schodach spotkałem prałata Jankowskiego. Towarzyszył mu ochroniarz z pomadą na włosach, w koszuli z okazałym żabotem. Puścili mnie na półpiętrze. Po powrocie pożaliłem się mamie, że znów nie dostałem pracy. Odparła, że nikt nie zatrudni mnie za takie pieniądze, a poza tym mogłem uczyć się lepiej. Wówczas zostałem na uniwersytecie.

Całe dni spędzałem w tramwajach. Zamyślony wysiadałem na nieznanym mi przystankach i zawsze udawało mi się wdepnąć w kałużę. W nowo powstałym biurowcu przy rondzie Jazdy Polskiej przyjął mnie młody dyrektor w spranych spodniach i koszuli rozpiętej po mostek. Wyglądał, jakby właśnie zszedł z jachtu. Za nim ciągnął się rząd kineskopowych monitorów. Dyrektor podsunął mi test rekrutacyjny na luźnych kartkach i ołówek. Zaznaczył, że długopisem nie wolno, i wyraził nadzieję, że mam z czego żyć, bo u niego na początku niewiele zarobię. Muszę najpierw się wykazać. Jeśli pokażę, jak bardzo mi zależy na firmie, firmie zacznę zależeć na mnie. Wieczorem pokłóciliśmy się z Julką, bo zapytałem, jak po fińsku będzie „bezrobotny”, „nędza” i „śmierć głodowa”.

Byłem przerażony, wiedziałem jednak, że w końcu znajdę pracę, i tak rzeczywiście się stało. Mama podzwoniła po znajomych i już wkrótce zostałem młodszym menedżerem w International Coopers. Dali mi biurko i komputer. W pomieszczeniu zwanym Lasem Susełków prócz mnie pracowało dwadzieścia osób, które trzymały się w grupkach i wyglądały bardzo profesjonalnie. Nikt nie rozumiał moich żartów ani nie próbował się zaprzyjaźnić. Znalazłem się w świecie nowych, groźnych pojęć, takich jak minimalizowanie występowania ryzyka zewnętrznego, prawidłowa implementacja i kontrola zgodności. Do pracy szedłem piechotą i przez całą drogę prosiłem litościwy los, żeby nie stało się nic złego, żeby niczego nie zawalił.

Nie dostałem całych trzech tysięcy, ale w domu wreszcie pojawiły się pieniądze. Julka przynosiła tysiąc z tej swojej recepcji. Przestaliśmy jeść mrożone pierogi i najtańsze makarony, w kąciku Mikołaja zagościły większe zestawy klocków Lego, takie, jakie sam chciałem mieć w dzieciństwie, tylko nie starczało – przecież ojciec nas opuścił.

W telewizorze pojawił się Aleksander Kwaśniewski i ogłosił Polakom dobrą wiadomość: wraz z wynikiem przedterminowych wyborów skończyła się Czwarta Rzeczpospolita. W kinach wciąż wyświetlali trzecią, wspaniałą część *Piratów z Karaibów* i przejmującego *Beowulfa*, a wszyscy i tak mówili o ptasiej grypie, którą wykryto w Płocku.

Po piątej czy szóstej wypłacie, kiedy spłaciliśmy długi, powiedziałem Julce, że wreszcie zaczniemy naprawdę żyć. Kupimy sobie książki i będziemy chodzić do kina przynajmniej raz w tygodniu. Julka pokręciła głową. Dopiero stajemy na nogi, przypomniawszy, teraz powinniśmy oszczędzać. Byłoby dobrze, gdyby pieniądze nie zawróciły nam w głowie.

Uważałem inaczej. Kolejny rok szarpaliśmy się z życiem, którym przecież należy się cieszyć. Zaproponowałem zakup komputera. Wszyscy już dawno przerwali się na laptopy, a nasz składak, kupiony za pożyczkę na piątym roku, ledwo zipsał, nie dało się go nawet podłączyć do sieci. Poprosiłem Julkę, by popatrzyła na to jak na inwestycję. Praca szłaby mi lepiej, gdybym mógł ćwiczyć na porządnym sprzęcie. Julka nie skomentowała, co postanowiłem uznać za zgodę.

Przeszedłem się na uczelnię, bo tam wisały ogłoszenia. Chłopak w koszulce Neuroshimy zapewnił, że wszystko elegancko mi dobierze, filmy będą wyglądały jak w kinie, a *Elders Scrolls IV* pójdzie płynnie na najwyższych ustawieniach. Komputer kosztował tyle, co moja miesięczna pensja. Sprzedawca nie chciał słyszeć o ratach. Złościłem się, bo jeszcze przed chwilą był taki pomocny i tak ładnie opowiadał o grach. Trudno, pomyślałem, będę oszczędzał przez pół roku i wtedy kupię.

Pół roku później Julka dostała podwyżkę i oznajmiła, że czas zmienić nasze życie. I nie, nie kupujemy lepszego komputera – kupujemy mieszkanie. Mama wysupłała trzydzieści tysięcy i bez przerwy powtarzała, że gdyby rodzice Julki dali drugie tyle, byłoby dużo łatwiej. Dziwiła się, jak ktoś może po prostu nie mieć pieniędzy. Ledwo pracują, nie oszczędzają, co za ludzie! Nagle znalazłem się w piekle. W pracy, gdy nikt nie widział, przeglądałem oferty, później biegłem do doradcy finansowego, od doradcy po Mikołaja, a w domu Julka zmuszała mnie do przeglądania ofert w prasie. Mieszkania były drogie albo daleko, a na każdym łapę trzymał pośrednik. Nigdy nikogo nie nienawidziłem tak mocno jak właśnie ich. Jak można brać pieniądze za wskazanie adresu? Zauważyłem, że gdybyśmy kupili komputer, poszukiwania poszłyby szybciej. Julka popukała się w głowę. Potrzebny był każdy grosz.

Julka wolała się przenieść gdzieś dalej, do mieszkania trypokojowego, ale mama nie chciała o tym słyszeć – dała pieniądze, więc zostaniemy na Mokotowie. W ten sposób zostałem właścicielem czterdziestu czterech metrów na Sandomierskiej i kredytu na dwieście tysięcy.

Równie dobrze mógł być miliard, myślałem. Przecież gdy to spłacę, będę już stary.

Przeprowadzkę pamiętam jak przez mgłę, lecz sam zakup – bardzo dobrze. Pośrednik zaprowadził nas na trzecie piętro. Okna wychodziły na podwórko, pachniało starością. Ledwo weszliśmy, a już jakiś facet walił w drzwi. Pytał o to mieszkanie, chciał kupić, miał gotówkę, wpychał się do środka. Natychmiast podpisaliśmy umowę przedwstępną. Nie wiedziałem nawet, czy postępuję słusznie, taki byłem oszołomiony. Musiałem usiąść na schodach. Na dole facet, który chciał kupić mieszkanie, gawędził wesoło z naszym pośrednikiem.

Na ratę kredytu szła połowa mojej pensji, ale polubiłem życie na Sandomierskiej. Mikołaj dostał własny pokój i już nie pętał się pod nogami. Wieczorami Julka i ja oglądaliśmy telewizję, czytaliśmy książki z biblioteki, a nasze życie erotyczne wróciło do normy. Julka była wyluzowana i zadowolona. Mówiła, że wreszcie stanęła na nogi, ma pracę i własny kąpiel. Obiecałem jej, że na tym się nie skończy. Będę ciężko pracował i zarobię na większe mieszkanie.

International Coopers rzeczywiście stawiało na rozwój i na początku nowego roku musiałem jechać na kolejne szkolenie – tym razem weekendowe. Odbywało się w hotelu nad Zalewem Zegrzyńskim. W autobusie uświadomiłem sobie, że po raz pierwszy, odkąd urodził się Mikołaj, spędzam weekend poza Warszawą.

Nie wiedziałem, czego się spodziewać, i byłem zaskoczony, gdy zobaczyłem wykładowcę. Nazywał się Stefan, ale prosił, by mówić do niego Steve. Długie włosy farbował na czarno, buty na koturnach przydały mu beczennych centymetrów. Nosił fabrycznie przetarte spodnie i ramoneskę. Na kłykciach obu dłoni miał wytatuowane DAJĘ RADEĘ gotycką czcionką.

Siedzieliśmy na niewygodnych krzesłach. Steve ujął mikrofon, ostrzegł, że będzie ostro, i zapytał, co z nami nie tak, że chcemy być biedakami. Przecież nas widzi. Nosimy rozciągnięte swetry i koszule od mamy (w moim wypadku była to prawda). Czemu żyjemy chujowym, nędznym życiem, skoro egzystencja niesie tyle możliwości? Skąd w nas ten jebany syndrom nędzy? Bo nasi rodzice nie mieli? Bo, kurwa, oszczędzali, jakby trwała wojna? Oburzyło mnie to, ale w głosie Steve'a, w jego pewności siebie było coś, co kazało słuchać. Powiedział, że prezes naszej firmy ma maybacha i helikopter, a przecież kiedyś był takim samym człowiekiem jak my. To znaczy, że każdy z nas może mieć helikopter na własnym zasranym podwórku. Wszystko zależy od rozwoju, od pracy nad sobą. My tego nie umiemy. Potrafimy pracować na rzecz przedsiębiorstwa. W domu zmywamy i odkurzamy, a praca nad sobą nas przeraża. Dlaczego nas przeraża? Bo boli jak skurwysyn, krzyczał Steve. Bez bólu nie ma jednak wzrostu.

Nie wiedziałem, co o tym sądzić. Poczuję się lepszy, mądrzejszy. Nabrałem pewności, że Steve mógłby mnie zrozumieć, gdybym tylko z nim porozmawiał. Znalazłem go w barze hotelowym. Pił whisky na lodzie i przekomarzał się z dwiema dziewczynami z naszych haerów. Trochę minęło, nim zwrócił na mnie uwagę. Przedstawiłem się, wspomniałem, jak bardzo podobała mi się jego przemowa, i zapytałem, co właściwie mam dalej zrobić. Steve wręczył mi wizytówkę i zaproponował prywatne szkolenie, indywidualne albo w grupie. Skłamałem, że na pewno zadzwonię.

Naładowany dobrem i pełen nadziei, następnego dnia po powrocie poszedłem na uczelnię. Szukałem chłopaka w koszulce Neuroshimy, który miał mi złożyć komputer. Zamiast niego wpadłem na Patrycję. Kolczyk wciąż błyszczał w dolnej wardze. Miała niebieskie dzinsy, czarną bluzkę odsłaniającą jedno ramię i bardzo smutne oczy. Pytała, co u nas, jak się mamy, i dodała, że warto byłoby się zobaczyć we troje. Byliśmy piękną parą, taką jasną.

Poszliśmy na kawę. Zapytałem, co właściwie robi na uczelni. Została na studiach

doktoranckich, aż tak dobrze jej idzie? Uśmiechnęła się znad filiżanki. Właśnie wróciła na czwarty rok. Miała parę gorszych, strasznych lat, ale teraz odbudowuje swoje życie. Zabrakło mi odwagi, by zapytać, co się stało. Rzuciłem tylko, że fajnie byłoby spędzić wspólny wieczór, uściskałem ją i poszedłem do domu, który nagle wydał mi się zimny i daleki.

Upadki już nie boją. Zbieram się z ziemi i umykam, odprowadzany rykami Horvata, które cichną dopiero za murem. Nie mam dokąd pójść, więc nigdzie nie idę.

Na zimnej ścianie wymalowano psychodeliczne zwierzęta: leniwca, mrówkojada i sowę. Tam się oprę. Zastanawiam się, czy nie odwiedzić Niny – starczy miejsca w tym jej samochodzie. Jednak każdy tutaj ma swoją przestrzeń, której nie wolno naruszać, a ja jestem jak wampir, nie wejdę bez zaproszenia. Poza tym Horvat często się tak wścieka. Znam porządek rzeczy. Napiłby się, a nie ma czego. Teraz na pewno próbuje sprowokować Kosa. Trąca go, zabiera okulary, ale nie uderzy. Mnie tak, jego nie. Niedługo opadnie z sił i zaśnie z twarzą w barłogu. Rano wypije cztery kawy, wyszoruje zęby, umyje się w wanience i będzie uroczym i życzliwym Horvatem, który zabrał mnie z ulicy.

Z góry dobiega brzęk szkła, stalowy kubek uderza o ścianę. Jednak sobie pójdę, bo jeszcze Horvat gotów sprawdzić, czy go posłuchałem. Nogi stawiam jakoś krzywo, nie mogę wyprostować karku, to znaczy mógłbym, tylko nie chcę. Pod butem chrzęści lód. Gdzie moje butelki?

Na nadbrzeżu w niskich oknach kamienic widzę turystów okutanych w kołdry. Mgłą nad rzeką można by kroić. Wokół nikogo, niczego. Łoskot moich własnych, niezdarnych kroków jest ogłuszający. Gdzieś w mleku połyskują reflektory.

Dowlókłem się do tego samego skrzyżowania, gdzie Marko wsiadł do mercedesa. Oto i ten mercedes wylania się z mgły na długich światłach. Hamuje ostro, jakby kierował nim ktoś, kto ludziom może zrobić wszystko, a ludzie jemu nic. Drzwi otwierają się gwałtownie i ze środka wypada Marko, ciśnięty z taką siłą, że uderza o ścianę. Samochód ma przyciemniane szyby i widzę tylko nadgarstek opleciony złotem i potężną dłoń, która przyciąga drzwi ku sobie. Kierowca włącza muzykę na cały regulator, bierze miękki zakręt i znika.

Marko kuli się na chodniku. Próbuje naciągnąć na siebie bluzę, spodnie, kurtkę. Pluje krwią. Płacze jak dziecko, którym przecież jest. Dławi się łzami, zaciska pięści. Myśli, że jest sam. Na mój widok zasłania twarz kurtką.

Biorę go w ramiona, topnieje mi serce. Nie pytam, co się stało. Przecież wiem. Pomagam mu się zapiąć. Marko ma rozcięty łuk brwiowy, spuchnięte dwa palce i paskudne otarcie na przedramieniu. Mówię, że zaniosę go do szpitala. Przestaje płakać i tylko się trzęsie. Powtarza: *No hospital, no police*, a w oczach ma śmiertelny strach. Zawisa na moim ramieniu. Dobrze – będzie, jak zechce. Pomagam mu wstać. Marko ociera łzy, zaciska wargi i nagle, owładnięty nowym strachem, przetrząsa kieszenie. Nie znajduje, czegokolwiek szukał. Znow jest zasmarkanym chłopczykiem. Rzuca się na chodnik, sprawdza przy ścianie, zawraca, obmacuje jezdnię przy krawężniku. Podnosi telefon ze słuchawkami i osuwa się na ziemię.

Niosę go do Rogu. Przy bramie odzyskuje przytomność, szarpie się i coś woła po słoweńsku. Z angielskiego rozumie tylko parę słów. Powtarza imię Horvat, przypuszczalnie się go boi. Za nic nie wejdzie na górę. Ja to rozumiem, bo sam obawiam się Horvata, lecz w dupę wkładam sobie ten strach. Sadzam Marka na schodach prowadzących ku naszym pomieszczeniom, proszę,

by poczekał, i mam nadzieję, że rozumie. Włosy ma sztywne od krwi.

Horvat chrapie okutany w koce, z butami pod głową. Rozdziawił usta, w których ziele ciemność. Porywam świeczkę i potrząsam śpiącym Kosem. Szybko! Lekarstwa potrzebne. Kos, stały bywalec aptek i wielki przyjaciel zdrowia, chce wiedzieć, co się wydarzyło. Jakie to ma znaczenie? Potrzebuję plastrów, bandaży, wacików, wody utlenionej. Kos zdążył oprzytomnieć, przegrzebuje skład medyczny pod łóżkiem, rozpruwa jakieś worki, rozrywa torebki zębami. Rozkłada na łóżku wszystko, czego potrzebuję. To są drogie rzeczy, zaznacza. Zawiesza na mnie ten swój wzrok starego sępa i zauważa, że nie mam żadnych zadrapań czy skaleczeń. Chodzę normalnie, ruszam rękami. Co mi jest? Odpowiadam, że pobili młodego Marka. Kos kręci głową, zniesmaczony. Ma mnie za człowieka niepoważnego, czyli kogoś, kto jest na tyle głupi, by pomagać innym.

Na mój widok Marko podnosi zmasakrowaną głowę, bardzo się wstydzi, że płakał. *No Horvat, no Horvat*, powtarzam. Biorę go na ręce, niosę do siebie i układam na łóżku. Zdejmuję buty, kurtkę, bluzę, ostrożnie podwijam nogawki – tam wszystko w porządku. Marko drży, choć przecież przywykł do dotyku. Moczę wacik wodą utlenioną, przemywam otarcie na przedramieniu. Przy łuku brwiowym chłopiec syczy, jakbym robił mu krzywdę. Spokojnie, tak trzeba, jesteś bardzo dzielny. Nakładam opatrunek. Przydałoby się zszyć, no ale nie zszyjemy.

Przyglądam się jeszcze spuchniętym palcom. Proszę Marka, żeby nimi poruszał, więc zgina je, krzywiąc się z bólu. To źle, że boją. To dobrze, że nie są złamane. Układam rzeczy chłopca przy łóżku, żeby ich nie szukał, kiedy się obudzi. Pomagam mu się położyć, przykrywam tym wszystkim, czym sam wczorajszej nocy byłem przykryty, i po polsku życzę dobrych snów.

Marko unosi koce i kurtkę, zaprasza, żebym się położył obok. Odmawiam ruchem głowy i zakładam swetry i polary. Zdrzemnę się pod ścianą. Do świtu chyba niedaleko. Ściągam stare pranie, moszczę sobie legowisko wśród śmieci. Marko woła. Siedzi na łóżku, przeszukuje własną kurtkę. Wyjmuje jabłko, zielone i wielkie jak melon. Wręcza mi je i zapada w sen.

Mikołaj natychmiast siada na ławce wiaty przystankowej i wyciąga tablet, tymczasem Jan nie może znaleźć sobie miejsca. Sprawdza telefon. Zerka w stronę parku, wypatrując Patrycji, wreszcie zajmuje miejsce obok syna i czeka ze spuszczoną głową.

Na autobus czeka również nerwowy czterdziestolatek w skórzanej kurtce, zadbana staruszka w typie emerytowanej pracownicy naukowej i dwóch nastolatków w bluzach z pseudonimami youtuberów.

Na Puławskiej ruch jest niewielki. Kilkadziesiąt metrów dalej, obok kiosku, rozłożyli się sprzedawcy skarpet i owoców. Z pewnej odległości interesu dogląda tęgi facet na wózku, z papierosem w grubych wargach. Tramwaj hamuje przed przejściem dla pieszych. Podmuch wiosennego wiatru przewraca koziołek ustawiony u wylotu Madalińskiego, a kurier DHL zostawia furgonetkę na światłach awaryjnych i znika w drzwiach cukierni.

Uwagę Jana zwraca rudy kot, który wychynął z krzaków i kręci się w pobliżu. Jest tłusty i ma obrózkę, nie boi się ludzi ani samochodów i węszy przy śmietniku. Jan waha się chwilę, wstaje i klęka przy kocie. Ten Ignie do jego ręki. Jan drapie zwierzę pod bródką i po grzbiecie, u nasady ogona. Kot mruczy, przywiera brzuchem do ziemi i wysuwa pazurki, tymczasem środkiem Puławskiej mknie srebrna toyota. Nie widzi jej Jan, nie widzi emerytka, nie widzą nastolatki ani nerwus w skórzanej kurtce, zajęty mówieniem do siebie. Nie widzi Mikołaj.

Trach.

Marko śpi. Drobne pięści trzyma przy otwartych ustach. Powieki mu drżą. Gdyby nie jasna główka wystająca spod koców, można by pomyśleć, że mój barłóg nie skrywa człowieka.

Chcę, żeby spał. Dla jemu podobnych sen jest najlepszym, co może się zdarzyć.

Chcę też, żeby jadł i pił, żeby był czysty, żeby wypoczął, nabrał ciała i sił. Siły się przydadzą, kiedy znów wsiądzie do czarnego samochodu.

Dałbym mu jeść, ale nie mam. Napoiłbym, tylko nie chcę budzić. W rozstrzygnięciu dylematów mglistego poranka z pewnością nie pomaga Horvat, przyjaciel alkoholu i nieprzejednany wróg kaca. Kręci się po piętze z kubkiem w dłoni i bez przerwy zagaduje Kosa, głośno, tak żebym zrozumiał. Mówi mu, że przygarnąłem małego złodzieja i kurwę, wziął mnie na litość cwany smark. Naprawdę sędzę, że po raz pierwszy ktoś nim pierdolnął o mur?

Doskonale wiem, co dzieje się z Horvatem. Pali go w gardle, cuchnący pot wyłazi przez pory, krew dudni w uszach. Ktoś inny dawno pobiegłby po małąpkę, ale nie on. Dopije kawę, pokrzyczy na wszystkich, umyje się i poczłapie pod katedrę. Potem powie, że kontroluje swoje życie i nie jest alkoholikiem. Teraz wydłubuje sobie fusy spomiędzy resztek zębów i głośno wyraża nadzieję, że nie zaświtała mi myśl o zatrzymaniu Marka w Rogu. Niech dojdzie do siebie i wypierdala, dodaje i ciągnie wanienkę pod zardzewiały kran.

W okularach zsuniętych na sam czubek nosa Kos wygląda iście profesorsko. Ołówek, obgryziony jak kość, przesuwa się nad wersami Nowego Testamentu. Nieśmiało proszę o pomoc. Muszę na chwilę wyjść. Czy mógłby zerknąć na Marka? Kos mruczy z niezadowolenia. Zauważa, że chłopak od dawna sam dba o siebie, a wpierdol, który wczoraj zebrał, jest niczym przy tym, co wyrabiała jego pijana matka. Kos gędzi, mimo to podnosi się z łóżka, człapie do mojego legowiska i siada na odwróconym wiaderku. Wciąż czyta. Z jego pajęcznych nóg sterczą siwe włoski.

Zapomniałem o butelkach na stopy i nim docieram do samochodu, mam mokre nogi. Lubla jest dziś wielką kałużą.

Nina słucha radia i maluje się przed lusterkiem. Na mój widok kuli się zawstydzona. Zamiast uchylić szybę, zrzuca szmelc z fotela pasażera i otwiera drzwi. Siadam, radio na baterie gra jeden z tych nierozróżnialnych hitów pozbawionych melodii. Nina pyta, jak się mam, tą swoją niezdarną angielszczyzną. Mówi, że trochę myślała o mojej sytuacji, i jeśli chcę, pójdziemy razem na stację benzynową. Tam czasem dają jej hot doga bez płacenia. Odpowiadam, że nie w tym rzecz, i tłumaczę, co się stało. Potrzebuję godziny z jej cennego czasu. Podejmę opiekę nad Markiem, ale boję się go zostawić z Kosem i Horvatem. Przyda się kobieca ręka. Przecież Nina miała dzieci.

Wzdycha. Pewnie się zastanawia, jak pogodzić moją prośbę ze sprzątnięciem na benzynówce. Zgarnia szminki, tusze i kredki do kosmetyczki, chowa ją pod fotel, radio upycha do worka i kładzie na tylnym siedzeniu, po czym wywala mnie na zewnątrz. Samochód wygląda jak śmietnik, nie ma tu nic cennego. Nina mówi smutnym głosem:

– Nie: „miałam”. Ja mam dzieci.

Przechodzę mostem, mijam mokre smoki. Zamkowe wzgórze szturmują armia łysiejących drzew. Nastroszyły się pióra i kołnierze. Mam rozpiętą kurtkę, rozchełstaną koszulę, nakręca mnie chłód. Pod supermarketem ludzie palą papierosy, palą tak, jakby nie znali wartości żadnej rzeczy. Zaciągają się płytko, gaszą, nim żar dojdzie do filtra. Myślę o głodnym Marku. Myślę o Marku, który się odwodnił.

Wyrastam przed tymi ludźmi. Jestem niechciany, ale jestem. To właśnie zaczynam rozumieć.

Przysiągłbym, że widziałem ich wczoraj: tych skacowanych studentów, robotnika, kobietę jak Alexis Colby. Mówię, że mam chore dziecko i potrzebuję czegoś do jedzenia. Nie kupię papierosów ani alkoholu. Robotnik podnosi zmęczone oczy, studenci mi nie wierzą, Alexis Colby odwraca głowę, sięga do portmonetki i podaje mi banknot.

Wczoraj byłem głodny, dziś niosę do kasy koszyk smakołyków. Jak do tego doszło? Mam wodę niegazowaną, jogurt, tabliczkę czekolady, sok pomidorowy, bułki i trochę wodnistej wędliny. Boję się, że Marko umrze, nim wrócę. Że ma odbite płuco. Pęknięty żołądek. Że drobinka kości żegluję właśnie wprost do małego serca.

Tymczasem Marko nie tylko żyje, ale nawet się obudził. Siedzi na łóżku, z podkurczonymi nogami, krzyczy na Ninę i ściska telefon. Kos umknął na swoje posłanie, Horvat się śmieje. Na mój widok Marko milknie. Siadam na styropianie. Staram się, by mój głos brzmiał jak najspokojniej. Mówię, że przyniosłem jedzenie. Chcemy tylko obejrzeć obrażenia. Potem zdecydujemy, czy zabierzemy go do szpitala. Równie dobrze mógłbym gadać do cegły, bo Marko zna zaledwie kilka słów po angielsku, akurat te najważniejsze. Potrząsa głową, przyciska kolana do brody. *No hospital.*

Nina przejmuje siatkę z jedzeniem. Jedyнным miejscem, gdzie da się przygotować posiłek, wydaje się zakurzony parapet. Nina przeciera go szmatą, tymczasem z głębi Rogu nadciąga Horvat, poprzedzany falą alkoholowego tchnienia i ulotnego entuzjazmu. Zabiera wiadro, na którym siedział Kos, a także drugie, na którym ten trzyma książki, okulary i ołówki. Kos krzyczy. Horvat przynosi kolejne wiadro z okopconej stali, wszystkie trzy stawia dnem do góry i rzuca na nie drewniane drzwi. Marko aż podskakuje od tego huk. Z rękawa wysuwa mu się telefon i natychmiast wpycha go z powrotem.

Po chwili Nina klęczy nad zaimprovizowaną ławą, przekrawa bułki, zdejmuję skórkę z wędliny, nalewa wodę i sok do umytych kubków. Marko porywa kanapkę jak przestraszony kot. Wpycha ją sobie do ust, ledwo przeżutą papkę zalewa sokiem. Jedzenie znika z talerza, nim zdążę pomyśleć o pustym żołądku. Marko wraca do pozycji z kolanami pod brodą, a zadowolony z siebie, nakręcony Horvat brodzi wśród śmieci, rzucając świńskie żarty.

Wyjaśniam chłopcu, że musimy go rozebrać. Tylko zobaczymy, czy nie jest poraniony. Nina tłumaczy moje słowa, a Marko łypie na nią wściekle. Wierzę w wartość samego tonu głosu, moją łagodność i rozsądek chłopca. Klękam przy kozie, wygarniam popiół. Za podpałkę posłużą kartki z książki i mapy miasta, rozdawane hurtowo w pobliskich hostelach. Idę na dół, wracam z gałązkami. Ogień ogarnia je błyskawicznie. Dodaję kartony, drewniane opakowanie po whisky i ostatnią nogę od stołka. Nigdy wcześniej nie paliłem w kozie. Aż Horvat podniósł głowę znad wanieńki, a nawet się odsuwa, gdy podchodzę do kranu.

Trochę minie, nim w garnku zacznie wrzeć. W tym czasie Horvat przebrał się w strój służbowy. Mocno spryskuje się wodą kolońską i aerozolem, psika sobie też na jaja. Marko nawet nie drgnął. Dociska plecy do ściany i warczy na Ninę. Klękam przed nim i mówię spokojnie wiele ważnych rzeczy. Nikt nie zrobi mu krzywdy. Tamtego złego człowieka już nie ma. Proszę chłopca, by pozwolił się rozebrać. Przeraza mnie dwuznaczność tych słów. Cieszę się, że ich nie rozumie.

Biorę małego za dłonie i ciągnę do pokoju z kozą i kranem. Napełniam wanieńkę. Dolewam wrzątku, sprawdzam temperaturę, para bucha pod sufit. Gdy Nina próbuje rozpiąć chłopcu kurtkę, ten odtrąca jej rękę. Kos zasłania twarz książką, Horvat spogląda przez okno. Marko samodzielnie zdejmuję kurtkę, zzuwa buty, ściąga bluzę, koszulkę, dzinsy, bieliznę. Błyskawicznie, tak byśmy nie zdążyli spojrzeć, zanurza się w wodzie. Obejmuje kolana dłońmi.

Guzy kręgosłupa napierają na pokrytą sińcami skórę, na kolanach czernieją strupy. W uniesionej dłoni Marko ścisną telefon, drugą próbuje sięgnąć po mydło.

Najpierw podchodzi do niego Nina. Ma spojrzenie strwożonej matki. Delikatnie mydli chłopcu plecy i barki, ale gdy dotyka klatki piersiowej, zostaje pchnięta z taką siłą, że siada na podłodze. Ociera twarz, patrzy w moim kierunku. Znam to spojrzenie, tylko nie pamiętam skąd. Wypachniony, nakręcony kawą Horvat odrywa się od parapetu, pomaga Ninie wstać, coś opowiada. Znikają za brudnym przepierzeniem. Pewnie usiedli na moim łóżku. Nic mi do tego. Im mniej ludzi, tym lepiej.

Kłękam przy Marku i patrzę mu w oczy.

– *No hurt, trust me.*

Na jego chudej piersi widnieją stare, okrągłe blizny. Ślady po papierosach? Marko chce się umyć sam. To zrozumiałe, jest już dużym chłopcem, dzieci w tym wieku zamykają się w łazience. Proszę tylko, żeby oddał mi komórkę – na chwilę, gdy się umyje, natychmiast ją zwrócę. Przecież nie wyszoruje się jedną dłonią. Telefon zaparuje, zamoknie, przepadnie, *kaboom, destroyed*. Marko się uśmiecha, gdy markuję odgłos wybuchu.

Zdejmuję buty, rozbieram się do samej bielizny, stoję na jednej nodze i rozkładam ramiona. Próbuje podskakiwać, żeby było śmiesznie. Wiadomo, o co chodzi: półnagi nie pójdę do lombardu. Kos cmoka zniesmaczony i przewraca kartkę w Nowym Testamencie. Niech sobie ciamka i do Sądnego Dnia – Marko kładzie telefon na mojej dłoni. Siadam w kącie, by chłopiec mnie widział, ale nie czuł się skrępowany. Wodzę palcem po gumowej obudowie. To relikw z minionego życia. Nawet nie wiem, kiedy ostatnio dotykałem czegoś podobnego.

Na moje plecy spada zatechły koc – to Nina postanowiła się zatroszczyć. Zajmuje miejsce obok mnie. Horvat prychnięciem daje wyraz swojemu rozczarowaniu. Nie możemy patrzeć na Marka, więc spoglądamy na siebie, co męczy. Nina jest taka nieodgadniona. Mówię, że zrobiliśmy razem coś dobrego. Uratowaliśmy człowieka. Nina zwraca uwagę, że to wyłącznie moja zasługa, poza tym musi pędzić na tę benzynówkę. Wróci po południu, przyniesie coś dobrego, zobaczy, jak się mamy. Nie wiem, czy chcę ją oglądać. Marko podskakuje obok wanny, wytrząsając wodę z uszu. Wyciera się, w kilku szybkich ruchach zakłada ubranie i wyrывa mi komórkę. Prowadzę go do łóżka, niosąc kurtkę obciążoną powerbankami.

Tego samego dnia dowiaduję się, o co chodzi z tym telefonem. Siedzimy na łóżku, oparci o ścianę, pijemy herbatę bez cukru. Rog opustoszał. Marko ciągnie słaby internet z restauracji i pokazuje filmiki na swoim kanale. Cieszy się z ponad stu subskrybentów. Będzie więcej, tylko musi się przebić. Oglądamy.

Marko, w znajomej kurtce i dresowych spodniach, krąży po konającym centrum handlowym niedaleko Rogu. Mija sklep z płytami, numizmatyka, siada na czarnym fotelu – jedyny gość w smętnej restauracyjce. Nawija szybko, jak raperzy. Na innym nagraniu jest pełnia lata. Marko stoi pod wieżą zegarową na wzgórzu zamkowym, tylko w koszulce i przetartych dżinsach zawiniętych pod kolana. Głośno się śmieje. Nocą, zakapturzony i groźny, krąży wokół kamiennych pomników przypominających kamienie Stonehenge. Na koniec zapala jointa i się krztusi.

Widzę go w całej Lubli, a on przecież siedzi koło mnie. Nawija, stojąc na szerokiej alei, której środkiem biegnie rząd lamp o tłustych, okrągłych kloszach. Opiera się o cudaczne drzwi jakiegoś

kościół, z których wyrasta płaskorzeźba – grupa papieży pochyla się nad skrępowanym Chrystusem. Marko wsadza mu palec do nosa, chichocze. Zauważam, że ten Jezus przypomina trochę Hana Solo, lecz Marko nie rozumie. Powtarzam nazwisko. Han Solo nie kojarzy mi się z niczym. Jak to w ogóle możliwe?

Pokazałbym mu fragmenty *Gwiezdnych wojen* na YouTube, nie dotknę jednak ekranu. Puszczamy kolejny film. Marko coś opowiada, siedząc na oczyszczonych schodach ruiny, w której mieszka Ante.

Chciałbym wiedzieć, o czym mówi. Liczy, że w ten sposób odmieni swój los, że media zwrócą uwagę na kanał bezdomnego chłopca z Lubli. Polecą wyświetlenia, za wyświetleniami – pieniądze. Dopowiadam sobie myśli dzielnego Marka. Będzie miał milion subskrybentów. Odzyska dom. Będzie dostawał telefony, konsole i telewizory od producentów, zaprojektuje sobie logo i wyprodukuje piórniki, zeszyty i bluzy, jak Blówek, Disowsky, Repek i inni youtuberzy, których oglądałeś.

Idę na plac przed katedrą, gdzie powinni już sprzedawać szaszłyki, kiełbaski i pieczone kasztany. Turysta ma kasę, ale tam grasuje Horvat. Nie można dwa razy wejść do tej samej rzeki, kogo pogrzebią, tego nie wygrzebią, wybieram więc miejsce, które już przyniosło mi szczęście. Układam włosy, zerkając w lusterko zaparkowanego samochodu. Sprawdzam uśmiech, trenuję unoszenie brwi, idę do supermarketu. Tym razem na zewnątrz nikt nie pali.

Supermarket mieści się w centrum handlowym wielkim jak cała Lubla. Na górze mają kilka sklepów odzieżowych, sklep z zabawkami oraz obowiązkowego fryzjera. Na dole, za kasami, ciągnie się rząd pospinanych wózków, każdy na euro albo dwa. Nie wiem, czy to dobry pomysł, ale nic innego nie przychodzi mi do głowy.

Pierwszy klient to korpulentny facet w marynarce i spodniach dresowych, kilka lat starszy ode mnie. Z mordą zafrasowanego szympansa i rozległą łysiną przypomina Paula Giamattiego. W wózku, spomiędzy pampersów, kaszek dla niemowląt, a także główek sałaty i tacek z włoszczyzną, sterczy butelka grant'sa. Tę jedną rzecz kupił dla siebie.

Giamatti pcha wózek na parking. Zaraz zabierze się do wypakowywania. Przystaję jakieś półtora metra od niego. Jestem wyprostowany, ręce wysuwam lekko przed siebie, dłonie rozkładam na zewnątrz. Taka postawa wzbudza zaufanie. Pytam, czy mogę mu pomóc z zakupami. Przechylam głowę, czekam na odpowiedź. Giamatti drapie się po łysinie. Ominąć mnie nie zdoła, zignorować nie potrafi. Zapewniam, że żaden ze mnie żebrak, nie chcę niczego za darmo. Włożę mu zakupy do bagażnika i odprowadzę wózeczek.

Trwa intensywny transfer emocji, wreszcie gość mamrocze, że nie zabrał drobnych. Przegrywa i o tym wie. W wózku jest moneta. Ostrożnie ładuję zakupy do bagażnika. Nastął ten przykry moment. Giamatti nie może mnie przepędzić, więc musi nagrodzić. Wręcza mi banknot pięcioeuroowy i pospiesznie siada za kółkiem.

Po szczęściu debiutanta przychodzi znój. Klientów jest mało, zakupy nieliczne, ochroniarz patrzy na mnie krzywo, ale nie reaguje. Zawsze liczę do trzech, nim zagadam, pilnuję granic przestrzeni osobistej i odsłaniam szyję. W ten sposób pokazuję, że nie jestem groźny. Pod wieczór mam jedenaście euro i trochę centów – starsza pani chlusnęła mi na rękę wszystkim, co miała w portmonetce.

Wiem, że nie powiniennem, lecz trudno mi się powstrzymać. Idę do kebabowni naprzeciwko Klubu Słoweńskich Patriotów. Na twarzy Žižka wyrosły nowe blizny, a Kurd, Turek, Ormianin natychmiast próbuje mnie wyprosić. Wolnego, przyjacielu, dziś jestem przy forsie. Zamawiam dwa kebaby na wynos i siadam przy stoliku. Cieszy mnie widok skrawanego mięsa, zapach

pomidorów, okazałe butle z sosami wydają mi się piękne. Sprzedawca stawia na ladzie dwie cole i mówi, że to prezent. Zapewne żałuje, że dotąd tak źle mnie traktował.

W Rogu już kończy się dzień. Kos śpi na boku przy dogasającej świecy, Horvata jeszcze nie ma. U siebie znajduję dwoje śpiących. Marko opatulił się w koce, Nina złożyła głowę na brzegu łóżka. W jej dziurawych podszwach widzę tekturę. Chłopiec podrywa się natychmiast, gdy stoję w progu, strzela oczami, szuka dróg ucieczki.

Pokazuję niespodziankę w cienkim, pachnącym cieście. Marko udaje obojętność, lecz głośno przełyka ślinę. Siadam obok niego, podaję kebab, sos cieknie mi po palcach. Ogórki, pomidory, sałata, cebulka, świeże mięso. Smaki mieszają się, pozostając zarazem czymś osobnym i nieskończonym. Zapach kolendry, pieprzu i czosnku wbija się w nos, mięso przyjemnie zalega w żołądku. Aż oczy się zamykają. Coś każe mi jeść wolniej, ale nie potrafię. Oblizuję palce. Zerkam – Marko był jeszcze szybszy. Z barłogu podnosi się zaspana Nina. Chyba zapomniała, gdzie jest, co tu robi. Tak mi głupio – nie pomyślałem o niej.

Noc na podłodze, wśród śmieci, pod kurtką, przynosi chłód i krzepiące myśli, przerwane palcem władowanym pod zebro. Podnoszę się na łokciach, pewien, że Marko czegoś potrzebuje. Pomyłkę uprzytamnia woń wody i brzęk szkła. Nade mną kuca postrzępiony cień. Coś bredzi i próbuje utrzymać butelkę.

Nie chcę z nim gadać, spłaciłem swój dług. On mnie uratował, ja kogoś uratowałem, dobro krąży w świecie. Zaraz obudzi dziecko tą swoją gadaniną. Przykładam palec do ust i zbieram się z podłogi.

Kos wciąż śpi na boku, Horvat zapala świeczki. Parzy się w palce zapalkami i wyznaje, że znalazł coś niezwykłego. Pyta, czy pamiętam opuszczony dom. Niedawno tam byliśmy, ale nie wiem kiedy. Kojarzy się z bólem brzucha. Tak trudno poskładać dni. Wspomnieniem, które wypiera wszystkie inne, jest niedawny kebab: soczysta baranina, świeży pomidor, sos, rozkosz w żołądku. Przytakuje.

Horvat z trudem utrzymuje się na stołku, na czole i szyi rosną mu purpurowe plamy. Drapie się po nosie, po brodzie, bez przerwy ociera usta. Oświadcza, że znalazł nowe źródło informacji. Biblioteki mu zbrzydły, historycy nie chcą z nim gadać, zresztą pamięć o surowej, skąpej hrabinie jest, jak by to rzec, nikła. Dlatego Horvat zawędrował do Urzędu Geologii i Katastru, gdzie pracuje taka jedna, przechodzona i z cyculami jak balony. Horvat aż pociąga łyk na wspomnienie tego majestatycznego biustu. Zbajerował urzędniczkę, żeby wpuściła go do działu kartografii miasta, i znalazł nowy trop, coś, co odmieni los jego i nas wszystkich. Aż wypadło się urządzić, rechoże Horvat, tylko teraz zabawa mu nie w głowie. Ma poważną ofertę. Pyta, czy go wysłucham.

Zgadzam się, bo drzę przed napadami Horvatowego gniewu. Jeśli odmówię, gotów prasnąć mi flaszką w głowę albo – co gorsza – wyrzucić Marka. Horvat zerka na boki, jakby sprawdzał, czy jesteśmy sami. Kładzie ogarek na podłodze i rozprostowuje przede mną jakiś karteluszek.

Pyta, czy pamiętam, jak siedzieliśmy na schodach do piwnicy i patrzyliśmy na wodę. Możliwe, że tak było, naprawdę nie wiem, na szczęście Horvat nie potrzebuje żadnej odpowiedzi. Pędzi na rezerwie prosto w mrok. Stuka paznokciem w świstek.

Przez ostatnie miesiące krążył w miejscu i nie chciał się przyznać do własnej rozpaczki. Zabrał mnie do domu Janiny von Cobenzl, bo liczył, że pokażę mu nową perspektywę, że natrafię na

coś, co przegapił. Umknęło mu rozwiązanie zagadki, choć miał je przed oczami. Trąca mnie, podaje butelkę: czy pamiętam dom, który stał obok tej ruiny? Potwierdzam dla świętego spokoju i moczę wargi w wódce. Z pewnością coś tam stało, jakiś normalny słoweński dom.

Horvata cieszy moja odpowiedź. Tłumaczy, w czym rzecz: oba budynki wzniesiono w tym samym czasie, na początku minionego wieku. To wiedział od dawna. Ale dziś spojrział w mapy i odkrył, że łączy je przejście, piwniczny korytarzyk. Milknie, łypie wyczekująco, chce wiedzieć, co powiem na tę rewelację, i ciężko wzdycha. Nim znajdę odpowiednie słowa, na powrót wstępuje w niego życie. Podsuwa mi kartkę pod nos, wodzi po niej brudnym paluchem. Nie ma wątpliwości: starucha von Cobenzl, smoczyca z Lubli, właśnie tam zakopała złoto.

Rysunek na karteluszkę nawet ty wykonałbyś lepiej. Widzę dwa domki z niezdarnych krespek i pogrubioną linię między nimi. Głos Horvata, mojego dobroczyńcy, łamie się i drży, lecz jego wzrok jest jak eksplozja atomowa. Kuca przede mną, ujmuję za dłonie, nazywa przyjacielem. Nigdy nikomu tak nie zaufał. Błaga o pomoc w tym arcytrudnym zadaniu. Oczywiście poradziłby sobie sam, lecz złoto pragnie znaleźć razem ze mną, swoim duchowym bratem. Dziękuję, udaję wzruszenie, przystaję na tę ofertę z najwyższą ochotą. Chciałbym tylko, żeby Marko mógł zostać. Horvat trawi tę prośbę, nie trawi za to wódki.

Torsje brzmią jak brzęk tłuczonego szkła. Osłabiony Horvat wspina się na szczyt wspaniałomyślności. Niech brudny gówniarz zostanie, ile chce. Pyta, czy może na mnie liczyć. Przybijamy piątki. Prowadzę go do legowiska i mówię, że możemy zacząć nawet jutro. Zajdziemy do piwnicy, poszukamy przejścia. Tylko co z wodą, jak ją wypompować? Horvat zsuwa spodnie, rozpiną koszulę, a w jego błędnych oczach gaśnie światło. Mimo to zdobywa się na uśmiech, mamrocze, że mam rację. Woda to problem, chujem nie wychłapiesz. Dlatego wejdziemy przez ten drugi dom, oznajmia i zapada w sen.

Idę do siebie, trzymając świeczkę. Kos obraca się na łóżku. Wydaje mi się, że ma otwarte oczy. Zwalam się na podłogę, gaszę płomyk. Mija chwila, nim pojmę, że właśnie umówiłem się na włamanie.

Nim Marko się obudzi, rozpalam kozę i zagotowuję wodę na herbatę. Smaruję chleb margaryną, nakładam mortadelę, pomidora, po pół plasterka sera. Jemy we dwóch z talerzy ustawionych na desce do prasowania. Podpierają ją cegły. Nasz posiłek jest bezpieczny. Mamy spokój, bo Horvat wychodzi wcześniej, a jeśli jest, to skręca papierosy na później, wrywa włosy z nosa, pogwizduje i nie patrzy w naszym kierunku.

Kiedyś zjemy inne rzeczy na prawdziwych stołach, będą brzoskwinie, winogrona i lody z bakaliarniami. Wszystko ma swój czas, a mnie cieszą drobiazgi. Marko je dużo, szybko nabiera sił, zaczął się uśmiechać. Uczę go, żeby mył ręce przed posiłkiem. Pilnuję, aby podczas jedzenia odłożył telefon.

Myślę, że rozumie więcej, niż pokazuje. Jest bardzo skryty i potrzebuje czasu, aby się otworzyć. Opowiadam mu o własnym dzieciństwie spędzonym bez żadnego kolegi. Nie byłem jednak samotny – przyjaciółmi były mi książki. Co niedzielę okłamywałem mamę, że idę do kościoła, i biegłem na Stadion Dziesięciolecia po pirackie filmy. Oglądałem nawet po dwa dziennie: sensację, komedię, horrory, jak nagrywali. Czy takie życie naprawdę było złe? Opowiadam o rzeczach, które Markowi odjęto, o Hanie Solo i cieniu ojca za Lukiem Skywalkerem. Pytam, czy kiedykolwiek chodził do szkoły.

Pilnuję, żeby był czysty, i codziennie wyganiam go do wanienki. Marko się zżyma – takie jego prawo. Mówię mu, że włosy należy umyć dokładnie, przypominam o pachach i pachwinach, ale nie dotykam. Niech mi zaufa. Nasłuchując szumu wody i słoweńskich przekleństw, umykam do naszej jamy. Chodzę od ściany do ściany, licząc kroki. Sprawdzam stabilność parapetów. Z trudem zwalczam zwątpienie. Jak zdołam zrealizować to, co zaplanowałem? Co, jeśli znów zawiodę?

Marko wyciera się i zakłada czyste ciuchy, a ja piorę te ubrudzone. Ma niewiele ubrań, nowe spodnie dostał ode mnie. Zanurzam koszulkę i bieliznę chłopca w wodzie z szarym mydłem. Szoruję miejsce w miejsce, jak mama. Potem przychodzi kolej na moje własne ciuchy. Daję mu przykład – muszę być czysty.

Mortadela kosztuje, więc po śniadaniu idziemy do pracy. Dzieci nie powinny pracować, ale boję się, że pozostawiony sam sobie Marko poszuka czarnego samochodu. Jeśli nie pada, pozwalam mu zostać przed supermarketem. W deszczowe dni siada pod oknem i stuka w telefon. Kasjerki dały mu hasło do wi-fi. Czasem przynoszą gruszki, banany i zupki chińskie, przygotowane na zapleczu.

Popołudniami włóczymy się po nadbrzeżu. Marko się kręci i kręci na vloga, wchodzi do sklepów, marudzi. Wciąż jest małym chłopcem. Ludzi niewiele. Chodzą spokojnie, nawet spacerują, inaczej niż w Warszawie. Proponuję pilnowanie samochodu, wniesienie bagaży do hostelu, zakupy. Nikt niczego nie chce. Najczęściej przeganiają. Wówczas czuję pchnięcie zimnego powietrza, jakby ktoś wymazywał moje imię. Widzę siebie w jednej pozycji – z wyciągniętą dłonią.

Z knajpy wytacza się dwóch garniturowców, którzy chyba wierzą, że zawsze będą młodzi. Gdy podchodzę, jeden najchętniej wręczyłby mi cały portfel, drugi jest jednak powściągliwy. Pyta, na co wydam te pieniądze. Odpowiadam prawdę: na jedzenie. Panowie protestują. Zgadniają się, owszem, na zakup alkoholu, lecz o żarciu nie chcą słyszeć. Rechoczą, krztusząc się papierosowym dymem. Przystaję na tę propozycję, lecz mi nie wierzą. Ciągną mnie do sklepu. Każdy ma mnóstwo kart w portfelu. Po chwili stoję na Starym Targu z naprężoną siatką. W niej taiga, johnny walker, czteropak piwa i wino półslodkie. Biegnę pod uniwersytet. Sprzedam te skarby, nim dopadnie mnie Horvat.

Ze sklepu z ceramiką artystyczną wypada olbrzymi właściciel. Bije, jakby nie bił, przedramionami. Kopie, jakby nie kopał. Szarpie za głowę, ale lekko. Chyba nie chce, żebym pracował pod jego sklepem – ktoś, kto da mi pieniądze, nie kupi potem kompletu filiżanek. Upadam, próbuję się osłonić. Marko pojawia się znikąd, gryzie olbrzymia w dłoń i odbiega. Ten natychmiast zapomina o mnie i próbuje go gonić, lecz po pokonaniu parunastu metrów opiera się o witrynę, sapie i wraca do pustego sklepu. Zbieram się z chodnika. Na rogu zastaję uszczęśliwionego Marka. Pokazuje mi portfel grubasa.

Obiady jadamy w miejscach, o których wspominał Kos – w opiece społecznej, u urszulanek, czasem zachodzimy też na Reslijevą do hippisów. Opieka społeczna dysponuje łaźnią, czynną trzy razy w tygodniu. Marko nie chce tam chodzić – boi się, że ukradną mu telefon. W jadłodajni są długie białe stoły i krzesła jak w starej podstawówce. Dają wodniste zupy, gulasz, pierogi. Przez otwarte drzwi widzę grube baby z dymiącymi chochlami w dłoniach. Krzątają się przy wielkich garnkach.

Siedzimy naprzeciw siebie. Marko pałaszuje, jakby bał się, że sprzątną mu talerz sprzed nosa. Inni jedzą powoli. Im nigdzie się nie spieszy. Są czyści, skromnie ubrani. Wyglądają na przedstawicieli handlowych, pocztowców, urzędniczek. Przy drzwiach pojawiają się kudłate

głowy, figury w poplamionych kurtkach i starych kozuchach. Miga półprzymyorny Horvat. Pijani nie wejdą do stołówki. Kanapki ofiarowane w sieni pochłaniają na dworze.

Urszulanki robią najlepszą zupę świata. Warto przejść pół Lubli tylko dla tej zupy. Pachnie cebulą i pietruszką, a boczku, kielbasy, ziemniaków i fasoli dają tyle, że łyżka stoi na sztorc. Wsuwamy te frykasy w sali przypominającej celę, pod łukowatym sklepieniem. Okienka w grubych murach wpuszczają resztki światła. Wokół kłębią się rosomaki, dziady borowe, rumcajśy o czerwonych gębach i bulwach pod oczami. Mówią głośno i charczą. Czy tak skończyłyby Marko, gdyby nie ja? Rumiane urszulanki grożą im krótkimi palcami i patrzą na swoje stadko, podpierając się pod boki. Na deser przynoszą drożdżówki, czasem dają pół chleba do domu. Marko błyskawicznie rozbraja taką jedną, ciągnie do kuchni, wyjmuje telefon i kręci odcinek.

Starzy hippisi podejmują na parterze ceglanej kamienicy, której wewnątrz niewiele różni się od Rogu. Mają jednak prąd, biurowe krzesła, kozę większą od naszej i stos drewna obok. Dają pierożki z grzybami i soczewicą, makaron sojowy i słodkawy napój w kolorze mleka. Jemy na podłodze. Pachną kadzidła. Bez przerwy ktoś na nas patrzy i wiem, że Marko bardzo chce iść. Ci ludzie – w różnym wieku, czyści i umorusani – wyglądają na kurczowo pewnych siebie. Widziałem takie gęby. Są jak pracownicy zostający w robocie na weekend dla dobra firmy, jak mężczyźni tkwiący w zimnych małżeństwach ze względu na dzieci. Są jak ja kiedyś.

Raz proszę Ninę, żeby przypilnowała Marka. Nina pali się do tego zadania i zadaje mnóstwo pytań, z których nic nie wynika. Chce wiedzieć, jak spędziliśmy dzień i czy sobie radzimy. Mówi, że chciałaby się kiedyś z nami przejść. Przecież zna się na dzieciach. Zastanawia się głośno, czy nie jestem tym wszystkim zmęczony. Przydałaby mi się odrobina rozrywki. Nie mam pojęcia, o co jej chodzi. Nina, pachnąca i umalowana, dodaje, że nawet ludzie tacy jak my mają prawo do przyjemności.

Zostawiam ją w samochodzie, z jej prawami i krnąbrnym Markiem, i pospiesznie idę do Rogu. Mam metr ze sznurka, pomazany węgielkiem. Mierzę ściany, określam wysokość pomieszczenia i mało nie spadam z krzesła ustawionego na krześle. Zamiatam. Szmelc dzielę na trzy kupki: potrzebny, na złom i do kozy. Sprawdzam, gdzie pada najlepsze światło. Aż Kos podnosi się z łóżka i pyta, co planuję. Odpowiadam, choć nie powinienem. Już wiem, że ważne sprawy lepiej zatrzymać dla siebie. Kos upewnia się tylko, czy nie zwariowałem. Przecież nie zostaniemy tutaj długo, wkrótce rozbiorą nam Rog. Odpowiadam, że każdy dzień godnego życia warty jest wysiłku. Kos wybucha zimnym śmiechem. Przypuszczalnie zazdrości mi nadziei, którą odnalazłem. Zgadza się pomóc. Pracował przecież na budowie, przy wykończeniówce, tak było, nim się rozpił, nim stracił rodzinę, nim zamurowali go żywcem.

Nie samą pracą człowiek żyje, Nina ma rację. Razem z Markiem zachodzimy do naszego niszczonego centrum handlowego. W podwieszanym suficie mrugają jarzeniówki, na wystawach zamkniętych sklepów blakną modelki w odzieży ekologicznej. A przecież centra handlowe są jak manekiny i nie powinny się starzeć. Dzielę się z Markiem tym przemyśleniem, Marko udaje, że zrozumiał, co jest tylko wstępem do wielkiego udawania. Pchamy niewidzialne wózki, krążymy wśród widmowych półek, zgarniamy towary, które nie istnieją. Każdy bierze, co zechce, bo mamy portfele pełne złota głupców.

Schody ruchome wciąż pracują. Zachęcony Marko wbiega na nie bez większego entuzjazmu, zjeżdża już weselszy, podpierając się na rękach, z nogami w górze. W jego oczach dostrzegam coś, czego nie widziałem wcześniej. Mój Marko. Wspinam się po schodach sunących w dół, planuję się wywrócić gdzieś w połowie, wywracam się wcześniej bez planowania. Marko

podejmuje wyzwanie i też leży.

Dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem, w niedzielę, budzę chłopca: musimy iść. Marko nigdy nie zadaje pytań. Nie interesuje go nawet siatka, którą niosę.

W autobusie podmiejskim kasuję bilet ulgowy. Mijamy kamieniczki, bloki i nowoczesne budynki koślawe jak akordeony. Zaczyna się las, za lasem wieś. Wsiadamy. Marko sprawia wrażenie, jakby znał to miejsce. Znajdujemy ścieżkę między drzewami. Prowadzi do rzeki.

Sawa jest szersza od Lublanicy. Gałęzie drzew czochrają wodę. Zauważam palenisko, z kręgiem kamieni i dwiema obalonymi kłodami, na których można usiąść. Z niechętnym Markiem zagłębiamy się w las. Znosimy chrust i drewno. Strugam kijki na kielbaski i zacinam się w palec, nogi mam mokre po kolana. Od rzeki bije chłód, więc trzeba się spieszyć. Mnę gazetę, obkładam chrustem, dodaję kilka suchych gałązek. Gazeta pali się błyskawicznie, gałązki już nie. Marnuję kolejne zapalki, aż wreszcie w sukurs przybywa Marko z zapalniczką. Zdejmuje połowę gałązek, podpala pozostałe, zwija w rulon ostatnią szarą płachtę i przez nią dmucha. Patrzę na rosnący ogień, na czerwone kamienie i bezgłośną rzekę. Marko przykłada papierosa do żaru, a ja wypakowuję skarby: kielbasę, ziemniaki i duże jabłka.

Spadł śnieg, przyszedł mróz, idziemy na sanki, których nie ma. Toczę przed sobą oponę, co niesłychanie raduje Marka. Opona jest ciężka, niezwrótta, od jej popychania bolą plecy. Mijamy oblodzony plac zabaw i rozkraczone kamienice o drewnianych balkonach. Szybko docieramy do czteropasmówki. Przechodnie schodzą nam z drogi, dzieci pokazują palcami. Po obu stronach ciągną się czteropiętrowe bloki, nie ma sklepów, są stacje benzynowe, a ja pcham oponę.

W parku biegają psy i ludzie w kolorowych ubraniach. Znajduję łagodny stok i pytam Marka, czyby mi pomógł. Ani myśli, przekomarza się w swoim języku, odrobinę jak ty na sankach, tylko ty nie paliłeś papierosów. Wtaczam oponę pod górę i czuję – to takie dziwne – że zaraz braknie mi sił. Opona przetoczy się po mnie jak po Wilusiu Kojocie. Czy Marko zna przynajmniej tę bajkę? Ślizga się po śniegu mój dziurawy but.

Na szczycie wszystko traci znaczenie. Kładę oponę na ziemi. Marko siada z przodu, pcham, wskakuję, obejmuję go mocno i próbuję nie myśleć o tym, że mam dupę w dziurze, a nogi w powietrzu. Jaaazdaaa! Śnieg zacina w policzki. Opona skacze na wybojach i zaczyna się kręcić. Na dole dzieci rozbiegają się, piszczą i ciągną za sobą sanki. Suniemy bokiem, suniemy tyłem, a Marko się śmieje. Roztańczyły się drzewa, sine niebo drży, hamować nie sposób, uderzamy mocno, spowija nas śnieżna chmura. Leżę na brzuchu. Podnoszę się z zasy. Patrzę, gdzie Marko, i obrywam śnieżką. Nie pozostaję dłużny, jednak chłopiec jest szybki, nie sposób go trafić. Na piersi i za kołnierzem topnieje mi śnieg. Marko trafia mnie jeszcze w ucho. Zziąjany, uśmiechnięty porywa oponę i zaczyna ją toczyć pod górę, a dzieci i ich rodzice obserwują nas w osłupieniu.

Największą niespodzianką jest kino. Codziennie odkładałem jedno lub dwa euro i wreszcie możemy iść na film. Marko sprawdza na komórce, co grają, i zaraz próbuje się kłócić. Chce iść na horror, *The Possession Experiment*. Na plakacie wrzeszczy upiorna dziewczynka. Tłumaczę, że to nie dla niego, Marko nie pojmuje albo nie chce pojąć, daje do zrozumienia, gdzie ma to całe kino, i długo muszę prosić, byśmy poszli razem na nowe *Gwiazdne wojny*.

Dokonuję niezbędnych przygotowań, gdy Marko jeszcze śpi. Przez całą drogę do kina, przytrzymując ramieniem pękaty pakunek ukryty pod kurtką, opowiadam, kim byli Luke, Leia, Obi-Wan i Vader. Opowiadam o Gwieździe Śmierci, lodowej planecie Hoth, mrożeniu w karbonicie i innych cudownych rzeczach, a Marko nic nie rozumie. Próbuje włożyć rękę pod moją kurtkę. Dziewczyna w kasie chyba bardzo się dziwi, że takich dwóch jak my stać na kino.

Marko zaraz ciągnie po popcorn. Chciałby też paczkę żelków i colę. Jak mam mu powiedzieć, że nie mamy pieniędzy? Mimo to mówię.

W kinie nikt nie chce przy nas siedzieć. Zajmujemy najlepsze miejsca, zakładamy okulary i już jestem w starej bajce. Znów mam dwanaście lat, tyle co Marko. Na moich oczach pęka pustynna planeta, a maszyny kroczące podpalają tropikalną wyspę. Oglądamy zachwyceni, z otwartymi ustami, i jemy popcorn, który wyjąłem spod kurtki, przygotowany jeszcze w Rogu, na kozie, teraz gumowaty i zimny.

Nazajutrz proszę Ninę, by zajęła się Markiem w ciągu dnia. Nina zauważa, że jeszcze nie widziała, by ktoś tak troszczył się o nie swoje dziecko, lecz zgadza się pomóc. Chciałaby zrobić dla nas jeszcze więcej, jesteśmy tacy niezwykli. Martwi się tylko, bo Marko jej nie lubi. Nina bez przerwy gada i ma bardzo smutne oczy, więc może o to mu chodzi? Ale tego jej nie powiem. Ważne, że o świecie przejmuje chłopca. Niech mały podładuje powerbanki na stacji benzynowej.

Pakuję zaspanego Marka w ramiona rozszczebiotanej Niny, wracam do Rogu i zrywam Kosa z łóżka. Ten nie bardzo przypomina sobie niedawne obietnice, marudzi, że ma pracę, więc go trącam – staruszkule, świat poczeka. Przeliczam oszczędności, wyruszamy na łowy po śmietnikach. Większość jest zamknięta. Kosze pachną zepsutym jedzeniem, a gdy zabieramy się do pracy na miejscu, wybija południe.

Kos wzgardził moją miarką, bo ma centymetr krawiecki. Wyłudził skądś młotek, gwoździe i dwa śrubokręty. Nieustannie powtarza, ile zachodu kosztował go ten drobiazg, ale praca pali mu się w sinych rękach. Zbija, podkleja i poziomuje sznurkiem, u którego końca zwisa odważnik apteczny. Przestaje paplać, tylko kiedy zaciąga się skrętem. Przyznaje, że nigdy nie wylewał za kołnierz, lecz na ulicy wylądował przez rodzinę. Żonę miał dobrą, gospodarną i piękną, niestety również chciwą. To najgorsza z wad ludzkich, zauważa, wbijając kołek w chwiejną ramę łóżka. Człowiek nigdy nie powinien chcieć więcej, niż dał mu dobry Bóg.

Kos, owszem, pracował w elektrowni atomowej i jeszcze skakał na fuchy do Triestu, gdzie nawet liźnął języka, lecz tej zolzie wciąż było mało – bo oszczędności, bo wakacje dla dzieci, bo samochód, bo życie. No to uciekał z domu. Dokąd ucieka dojrzały mężczyzna? Do pizdy lub butelki. Dobry Kos wytrwał w wierności, więc zadłużył się w szynku. Nigdy nie bił, zapewnia, dzieci chodziły czyste i syte. Baba wściekała się o wyjścia, więc tym bardziej uciekał, aż zastał zmienione zamki i teraz jest tu. Nie upomniał się o nic, na rozprawę rozwodową nie przyszedł – honor zabronił.

Zmierzcha, więc zapalamy świece. Kos spogląda na skończone dzieło i skręca papierosa. Miał pewność, że na ulicy zapije się w rok, i cieszył się tą perspektywą. Ale stało się inaczej, stało się tak, jak powinno się stać.

Właściwe miejsce, właściwy czas – serce mi wali, gdy idę po Marka. Spojrzenie Niny jest przepełnione bezradnością, wygląda, jakby nie mogła unieść dłoni, i tylko pyta, czy przyjdę później, bo musimy pogadać. Obiecuję, że przyjdę, lecz jutro – dziś mam do zrobienia coś bardzo ważnego.

Chłopiec przeczuwa niespodziankę i biegnie po schodach. Umęczony i głodny, nie umiem za nim nadążyć. Potykam się o stopnie i gdy docieram na górę, do naszego pokoju, Marko poznał już moją niespodziankę. Stoi nieruchomo, patrzy.

Na zamiecionej podłodze, pod oknem, stoi biurko zrobione z blatu stołu kreślarskiego. Każdą nogę ma inną i trochę się chwieje, ale da się przy nim odrobić lekcje. Pod biurko wsunęliśmy szafkę nocną z trzema szufladami. Mamy też obrotowe krzesło wycyganione od hippisów. Dalej kufer, czeka na ubrania. Róg pomieszczenia zajmuje efekt pracy Kosa: niskie łóżko zbite

z desek. Na nim, na posłaniu ze styropianu i kartonu, leżą koc i poduszka, wyżej wisi plakat ze Spider-Manem. Marko stoi bez ruchu i wodzi oczami. Dłonie zaciska w pięści i rozprostowuje. Bardzo powoli. Chciałbym wiedzieć, jak się teraz czuje, jak to jest mieć dom, chciałbym, żeby powiedział cokolwiek, ale Marko nic nie mówi.

– Zapłaciłeś Antemu? – pyta Kos, a w jego głosie pobrzmiwa troska.

Siedzimy wokół kozy, przetrącając ostatnią godzinę przed snem. Nie rozumiem, o co mu chodzi, moim zdaniem pomieszało mu się w głowie i nazbyt troszczy się o innych. A jednak czuję niepokój. Kos, z rozpuszczonymi włosami i zmierzwioną brodą, w marynarce narzuconej na koszulę i gołymi kolanami, przypomina ducha zeszłorocznych świąt. Przyniósł jednak prezenty.

Rozkłada przed nami chleb, wiejski ser, trochę kiełbasy i napój jabłkowy z dyskontu. Zaprasza do świętowania. Mamy nowego lokatora, a Rog zmienił się na lepsze – jest powód, by się cieszyć. Za ścianą, we własnym łóżku, pochrapuje Marko. Narzędzia leżą na wiadrze, owinięte folią. Zapłaciłeś Antemu?

Kos oszalał od ciemności i perspektywy śmierci. Parę lat temu był zwykłym pijaczyną, spał w bramach i pustostanach, nie znał żadnych świętych ksiązek, a zbawianie świata nawet nie zaświtało mu pod brudną czupryną. Interesowała go wyłącznie wódka. Wstawał i pił. Żebrał i kradł. Gdy opowiada o tych czasach, w jego głosie wstyd miesza się z rozrzewnieniem.

Bezdomność to zły zawód dla lumpa, twierdzi Kos. Pić mogą ludzie pracujący i z dachem nad głową. Taki prześpi się w ciepłe i zawsze ma na butelkę. Kos uważa, że będzie żył tysiąc lat, a już na pewno nie przeszkadza mu zimno. Ściągnął gacie, siedzi i zawraca głowę tym całym Antem. W dawnych czasach nigdy nie mógł uzbierać na flaszkę. Kupował setki, małe, bo szybciej, bo taniej. Potem wściekał się na siebie i innych. Uważał, że świat go skrzywdził. Marzył tylko o oszronionej krowie, o wielkiej butelce czystej wódki, którą osuszy w kwadrans i runie w upragnioną nieprzytomność. Raz dostał taką butelkę.

Podszedł do grupy pijanych młodych, czekali na przystanku. Obcych, Polaków lub Węgrów – Słoweńcy by go nie pobili. Gdy zbierał się z chodnika, oni właśnie wsiadali do autobusu jadącego na lotnisko. Na ławce zostawili siatkę. Zapomnieli o niej od tego całego bicia. W środku były cola, chipsy i butelka – prezent od miłosiernego Stwórcy. Dziś Kos wie, że pochodziła od Szatana, jak wszystkie inne butelki, ale wtedy, gdy kuśtykał z nią do najbliższego pustostanu, miał inne zdanie. Czy wiesz, że Ante się o ciebie upomni?

Kos mieszkał w ruderze przeznaczony do rozbiórki. Nie miał mebli ani świeczek, tylko szmaty. Spał się i zasnął wśród nich. Spał mocno i długo. Po przebudzeniu myślał, że nastąpiła noc. Nie mógł znaleźć drzwi. Uznał, że wciąż jest urżnięty, że coś mu się pomyliło, lecz ciemność nie ustępowała, drzwi nie chciały wrócić, pozniły też okna. Kos wył, aż zdarł sobie gardło. Nie wiedział, która godzina ani gdzie właściwie się znajduje. Przez długie godziny głodu, pragnienia i ciemności wierzył, że trafił do piekła, na inną planetę, do podziemnego grobu – ktoś potężny i złośliwy przeprowadzał na nim straszne eksperymenty. Aż wreszcie zjawił się Bóg w stereo i kolorze, powiedział Kosowi, co robił w życiu źle i jak powinien to naprawić. Ostatnie słowo Boga rozkruszyło mury i wpuściło słońce. Czy Bóg uchroni mnie przed Antem?

Kos rozdziela chleb z serem pomiędzy mnie i Ninę. Uwiera go proteza, więc bierze małe kęsy i pasie oczy naszą żarłocznością. Wciąż nosi w sobie pamiątkę ciemności, w której się obudził,

tylę że nie było to żadne piekło, żaden Bóg nie przyszedł. Spał jak kamień. W tym czasie zamurowano drzwi i okna, chroniąc budynek przed takimi jak my. Kos krzyczał, ktoś usłyszał i go uwolnili. Wie o tym, po prostu woli swoją historyjkę. Nigdy więcej się nie napił. Ociera usta i mówi, że zarabiam na mieście, więc muszę zapłacić Antemu. Widziano mnie w supermarkecie.

Przełykam bez gryzienia. Nie rozumiem tego – przecież pieniądze zawdzięczam tylko sobie. To ja stoję przy wózkach i dorabiam w centrum. Jeśli jestem self-made manem, to kim jest Ante? Syty Kos zaczyna robić skręta. Kim jest Ante? Obym się nigdy nie dowiedział. Każdy z ulicy oddaje mu połowę zarobków. Ante to policja i urząd skarbowy dla ludzi bez dachu nad głową.

Nie chcę tego słuchać, nazywam Antego pierdolonym złodziejem. Ma mleko pod nosem, czemu się go boimy? Połowa dziennego utargu to ciepły posiłek dla Marka. W tydzień odłożę na buty z dyskontu. Co Ante daje w zamian, flagę z piszczelami? Potrząsam Kosem, a ten spokojnie ślini bibułkę i pyta, czy wiem, co się stało z takimi, którzy myśleli podobnie. Ante jest nieustraszony, nie cofnie się przed niczym. Jeśli jutro przyjdę z pieniędzmi, da czas na spłatę zaległości. Jakie zaległości, do ciężkiej cholery?! Zrywam się z podłogi, macham pięściami, odgrążam się, że go zabiję. Nie poznaję samego siebie.

Nina obejmuje mnie od tyłu, szepcze kojące słowa. Mówi Kosowi, że nie ma racji. Ona żyje na ulicy od roku i nigdy nie podzieliła się zyskiem z benzynówki. Powtarza moje słowa, tylko łagodniej. Jej zdaniem trawiony pirackim obłędem Ante po prostu zastrasza ludzi. Nie słyszała, by komukolwiek wyrządził krzywdę. Pyta Kosa, czemu wygaduje takie rzeczy. Chce mnie przestraszyć, czy ma w tym jakiś interes? Pomaga mi usiąść, przesuwa dłonią po moich plecach. Czuję się niepewny i osaczony. Myśli znowu nie należą do mnie. Boję się, że siebie utracę. Patrzę na ciemny chleb, tłusty kawał sera owinięty w papier i narzędzia w siatce. Kos nie pracuje. Nie pobiera zasiłku. Do emerytury zostały mu jeszcze dwa lata. Skąd ma te rzeczy?

Kos gasi papierosa. Przysuwa sobie świeczkę, ściąga usta i powoli zdejmuje koszulę. Ma chude, mocne ciało robotnika. Na bicepsie widnieje rozmyty tatuaż, kłatkę piersiową pokrywają rzadkie siwe włosy, ale sutki wyglądają jakoś dziwnie. Kos Chrystusowym gestem zachęca, byśmy się zbliżyli. Sutki są czarne, wtopione w ciało i przypominają plastik. Między nimi szczyrzy się wypalona czaszka wielkości monety.

We śnie widzę siebie z góry, ułożonego w łodzi pogrzebowej. Na oczach, zamiast monet, spoczywają dwa sygnety Antego, rozgrzane do białości.

Gorąca czaszka wypalona w skórze nie znika spod powiek przez całe przedpołudnie. Zakupy lecą mi z rąk, negocjacje z klientami idą źle. Orientuję się, że monety wsadzam na przemian do lewej i prawej kieszeni. Podjąłem decyzję, nie decydując.

Marko, jak każdy chłopiec, interesuje się wyłącznie sobą. I tak wiem, że ma dobre serce. Woła mnie co chwile. Pokazuje wyniki meczów i ustawienia drużyn w *FIFA Mobile*. Tłumaczę, że przez jakiś czas będziemy żyli skromniej. Znajdę dodatkowe źródło zarobku. Słońce przebija się przez mgłę. Płoną dwie białe czaszki.

Praca w markecie idzie słabo, więc ruszamy do centrum. Kupuję Markowi falafel, udaję, że nie jestem głodny. Zapinam mu kurtkę. Jeszcze tego brakuje, żeby się przeziębził. Jest środa albo czwartek, ale dzień mamy ciepły, więc może się nam poszczęścić. Kręcę się po Starym Targu, próbuję pracować, a Marko zakłada słuchawki i siada pod nieczynną fontanną.

Nad wejściem do ratusza zawisły mokre flagi. Handlarz świątecznym szmelcem zwija brezent

ze stoiska. Do szyb wystawowych przylegają przecenione sukienki na bezbarwnych manekinach, a w moją stronę idzie rozjuszony olbrzym. Nim pojmę, co się święci, kulę się na klęczkach.

Chodzi o portfel, który buchnął Marko. Muszę chronić chłopca, więc śmieję się głupio. Mówię po polsku, że nie wiem, o co chodzi. Grożę policją. Olbrzym dyszy, odsłaniając zęby. Ciska mną o bruk. Rozgląda się wokół, a gdy Marko rzuca się do ucieczki, biegnie jego śladem. Wstaję, spluwam krwią i idę za nimi.

Olbrzym zakończył pościg u wylotu Starego Targu na Zvezdarską. Opiera dłonie na udach i dyszy. Dostrzega mnie, ale nie robi nawet kroku, tylko mruży oczy. Siada na chodniku, szalikiem ściera pot z czoła.

Marko umknął, tylko dokąd? Na jego miejscu wybrałbym jedną z tych wąskich średniowiecznych uliczek prowadzących ku wzgórzu. Taka pokona każdego grubasa. Idę tam, nawołując chłopca. Między kamienicami zawisły sznury świateł. Mur zdobi znajome czerwone oko z łezką. Uliczka zakręca przy sklepiku z rękodziełem, kończy się bruk, zaczynają schody. Nie wątpię, że Marko zaraz wróci, lecz chcę, aby już tu był. Czuję się spokojniejszy.

Wspinam się po schodach przez drewniany pasaż. Nawołuję chłopca, odpowiada tylko echo. Bola mnie zębra, udo i twarz. U wylotu pasażu muszę przystanąć. Opieram się o mur. Poniżej rozciąga się panorama miasta jak z jakiejś gry, z mnóstwem spadzistych dachów, kościelnych wież i linią bloków, zza których startują samoloty. Mam nadzieję, że Marko nie upadł, że nie leży gdzieś nieprzytomny. Niedługo zrobi się zimno. Na murze widnieje naniesiony białym korektorem napis LOST ONES.

Wspinam się wzdłuż ściany porośniętej rdzawym bluszczem. Korzenie drzew rozsadzają asfalt alejki, zbocze jest pełne zeschniętych liści. Próbuję wypatrzeć gdzieś wśród nich tę jasną główkę. Pytam mijających mnie turystów, czy widzieli chłopca. Zaprzeczają i kierują się w stronę zamkowej kasy. Obiegam całe wzgórze, łapię oddech dopiero pod pomnikiem jakichś chłopów z kosami na sztorc. Wspinam się pod sam zamek. Nie wchodzę do środka, bo trzeba zapłacić.

Biegnę Starym Targiem. Mam ochotę roztrzaskać wystawę sklepu z porcelaną. Myślę o pijanych kierowcach, o zboczeńcach oferujących tablety i telefony, o młodych bandytach na amfetaminie, o rozpedzonych pociągach, zepsutych karuzelach, o oblodzonych stopniach i lodowatej Lublanicy. Obiegam plac handlowy, gdzie tak lubił przychodzić. Pytam baby od kurtek, baby od kasztanów, nawet faceta z kradzionymi rowerami. Nikt nie widział Marka.

Jeśli jest martwy, to i ja umrę. Gdy drugi raz zawiodę, nie będę miał dokąd uciec. Wiem, co się stało z tobą. Nie wiem, gdzie przepadł on i ta niewiedza jest najgorsza. Widzę go utopionego i pod kołami samochodu. Umiera na tysiąc różnych sposobów. Pobili go. Zabrali mu telefon. Jestem gotów iść nawet na komisariat. Gnany nadzieją, powracam na Stary Targ. Liczę, że Marko siedzi pod fontanną, ale go tam nie ma.

Może poszedł do Rogu? Tak, na pewno tak zrobił – gdy ktoś się zgubi, zawsze szuka domu. Głupiec ze mnie, przecież Marko zna miasto lepiej niż ja. Pewno teraz siedzi przy kozie i martwi się, co ze mną. Umiem tylko biec. Zderzam się z blaszonym robotem przy wejściu, ślizgam się na schodach. Na górze sprawdzam każde pomieszczenie – pusto.

Biegnę wzdłuż rzeki. Wypatruję ciała. Niewiedza jest nie do zniesienia. Przy Smoczym Moście zakręcam w prawo i gnam szerokim chodnikiem. Przysięgam, że gdy Marko wróci, już nie spuszczę go z oka. Jeśli coś mu zagrozi, zasłonię własnym ciałem i nigdy nie będę uciekał.

Jest! Stoi na skrzyżowaniu. Wcale się nie cieszę. Samochód nie jest czarny, tylko czerwony. To sportowy model z odsuwającym dachem, przynajmniej tyle mogę o nim powiedzieć.

Mężczyzna, który z niego wysiadł, ma siwiejącego wąsa i rzadkie włosy zaczesane do tyłu. Nosi prążkowaną marynarkę i błękitny krawat. Lśni mu buty. Gestem zaprasza Marka do samochodu, ale jestem szybszy. Odciągam chłopca, mężczyźni pokazują pięść. Odpowiada niepewnym uśmiechem i zapala silnik. Odbiegam, niosąc Marka w ramionach. Tulę mocno. Już nigdy nie zostawię go samego. Uczucie ulgi jest tak wielkie, że aż boli. Nie zwalniam. Marko kopie mnie po kolanach, bije w plecy i gryzie w ucho.

Ante przyjmuje mnie odziany w skórzaną kamizelkę z frędzlami, modne bulwiaste spodnie i czerwone buty o zadartych czubach. Brzegi sygnetu są nieregularne, jakby kiedyś się stopił.

Siadamy przy kozie. Ante pyta, jak się mam, cieszy się, bo słyszał, że jakoś mi się wiedzie. Niewielu ludzi odnajduje się na obcej ziemi, dodaje, nalewa sobie rumu i wciąga kreskę usypaną na *Królowej Czarnego Wybrzeża*, oprawionej w płótno. Daję mu dziesięć euro w bilonie i myślę wyłącznie o tym, co mógłbym za to kupić. Ante patrzy na te pieniądze, jakby mu śmierdziały. Nie bierze. Milczy. Podkreślam, że to tylko za dwa dni. Zbiorę więcej i oddam dług od początku, odkąd zacząłem pracę. Po prostu nie wiedziałem, że tak trzeba. Przecież jestem nowy w mieście.

Źrenice Antego są wielkości szpilek. Świdruje mnie wzrokiem bez mrugania. Przekrzywia głowę jak ptak i wybucha śmiechem. Potrząsa mną, szczypie w policzek, nazywa kumplem i pyta, czy upadłem na głowę. Przecież każdy na początku potrzebuje odrobiny luzu. Nie muszę niczego oddawać, ważne tylko, żebym wpadał raz w tygodniu z pieniędzmi. A jak raz nie wpadnę, nie ma żadnego problemu. Ante nie jest potworem, tylko przyjacielem. Proponuje kreskę. Nie mam ochoty, ale rumu nie wypada odmówić.

Stukamy się jak starzy znajomi. Kubek trzymam blisko nosa, bo Tortuga śmierdzi gorzej niż Rog. Ante, który ma już mocno w czubie, snuje rozważania o ponurej naturze człowieka. Może pracując dla niego, odkryję wolność i prawdziwego siebie? Bardzo by sobie tego życzył. Mówi, że jego ojciec, Bośniak, zginął podczas ostatniej wojny, a człowiek, który go zabił, wskoczył w sutannę i siedzi gdzieś na parafii w Berlinie. Myśli, że zmienił swoje życie, ten morderca, ten ksiądz, i teraz czuje się już księdzem, a nie mordercą. Lecz Ante wie. Ante pamięta opowieści matki. Ante złoży mu wizytę.

Nie mogę tego słuchać.

Alkohol wpada do pustego żołądka. Czuję mrowienie na twarzy, chcę pobiec przed siebie. Ante nalewa kolejną szklankę i pyta, czy wiem, co próbuje zrobić z nami wszystkimi. W sumie to nie wiem. Dba o nas i trochę rządzi. Ante mierzy we mnie palcem i mówi, że bardzo się mylę. Nie interesuje go władza i ma dość pieniędzy – mógłby kupić sobie pałac! Żyje w zgodzie ze sobą i pragnie nauczyć tego innych.

Odkryłem źródło smrodu. Na blacie, obok kordelasa i atrapy pistoletu skałkowego, stoi słoik spleśniałego gulaszu, a obok leży talerz z nadgryzionym kotлетem i kopytkami. W rogu, pod oknem walają się ledwo obgryzione kości. Ante pyta, jak ma się mój przybrany syn. Pierwszy raz ktoś nazwał tak Marka. Odpowiadam, że to tylko chłopiec, którym się opiekuję, a Ante pociera nos i wyznaje, że nie widział dotąd niczego podobnego. Na ulicy każdy troszczy się wyłącznie o siebie. Przyznaję, że nigdy nie myślałem w ten sposób, umiem żyć tylko dla innych, a Ante macha ręką i pyta, kto mnie tak urządził.

Mam spuchnięte, czarne ucho, rozwalony but i sińce na przedramionach. Trochę bełkoczę przez rozbitą wargę. Odpowiadam, że takie rzeczy dzieją się same, to nic, o czym warto mówić.

Nie mam nieprzyjaciół. Ante ściąga łopatki, pociąga nosem i strzela z palców. Jego zdaniem stanowią doskonały dowód na to, o czym wspomniał wcześniej. Co zrobiłem z wolnością? Wziąłem odpowiedzialność za drugiego człowieka, a nie umiem zadbać nawet o siebie. Jestem obity i brudny, zarabiam jakieś grosze. Jaki dam przykład dziecku? Nim znajdę odpowiedź, Ante nalewa sobie rumu i prosi, żebym się nie gniewał. Gdzie teraz jest Marko? Cemu z nim nie przyszedłem?

Marko przebywa z Niną, o której Ante wypowiada kilka cierpkich słów. Widywał już wcześniej takie kobiety. Wozila dupę po hotelach, popijała truskawki szampanem i nosiła kolczyki z białego złota, więc myśli, że jest lepsza od innych. Nie uznaje żadnych zobowiązań i nie dostrzega nikogo poza sobą. Łaknie powrotu do tak zwanej normalności i błaga system, by ten na powrót przyjął ją do siebie. Stukamy się. Ante wydaje się szczerzy i przyjacielski. Pyta, czy wiem, jaka jest różnica między nim a resztą – mną, Markiem, Horvatem, Niną i Kosem.

Urodziliśmy się w niewoli, tak mówi. Pracowaliśmy na budowach albo w bankach. Zawieraliśmy małżeństwa. Płodziliśmy dzieci i kupowaliśmy mieszkania na kredyt. Mieliśmy telewizory i samochody. Chcieliśmy większych telewizorów i samochodów. A potem coś się stało i wylądowaliśmy na ulicy. Płacemy, przeklinamy swój los i najbardziej na świecie chcemy wrócić do bezpiecznego świata z samochodami, telewizorami i ubezpieczeniem na życie. Jesteśmy głupi. Nie wiemy tego, co wie Ante.

Ante urodził się wolny. Szkołę rzucił wcześniej i nigdy nie pracował. Uciekł z domu, kiedy tylko przeczytał *Wyspę skarbów*. W izbie dziecka pogryzł wychowawców. Potem odszukał swojego ojczyma i mu wpierdolił. Nie wiedział nawet, czemu to robił, ale teraz już wie. Nigdy nie będzie miał telewizora ani samochodu. Mógłby kupić sobie mieszkanie, ale tego nie robi. Każdego dnia, w każdej godzinie umacnia swoją wolność, mówi i wciąga kreskę.

Ponieważ wyrósł w wolności, jest inny niż my. Dlatego może nas uczyć. Nieoczekiwanie zyskaliśmy wolność i widzimy w niej ciężar. Wolność jest naszym zdaniem jak upośledzone, brzydkie dziecko, którego chcemy się pozbyć. Ono tymczasem wyje, dopominając się o swoje, i wsadza sobie kable do ust. Taka postawa, typowa choćby dla mnie i Niny, jest karygodna, tylko Nina już się nie zmieni. Ja, być może, tak.

Słucham zafascynowany. Alkohol rozgrzewa i szumi. Wydaje mi się, że Ante wypowiada moje własne myśli, dla których brakowało mi słów.

Piję. Już widzę, że ruchy Antego, które zdawały się chaotyczne, wcale takimi nie są. Te strzelające oczy, przygryzana warga, niespokojne dłonie i nieustannie marszczący się nos są częścią sprawnie działającej maszyny. Antego wyciosano z jednej bryły, nie poskładano z części jak innych, i chyba mu to mówię, dzielę się tą obserwacją, skoro mamy być przyjaciółmi. Ante odkorkowuje kolejną butelkę. Zwracam uwagę na książkę Howarda, wspominam, że ją znam, jest piękna. Dwoje nieustraszonych łotrów morskich łupi możliwych tego świata bez oglądania się na imię. Gdy ludzie im się skończą, ruszają na potwory. Oczy Antego błyszczą. Naprawdę pamiętam tę historię? Królowa w końcu zginęła, lecz powróciła zza grobu, by uratować kochanka. Ante unosi kubek. Pyta, gdzie teraz są takie kobiety, tacy przyjaciele. Co stało się z tym skurwiałym światem? Odpowiadam, że nie wiem, ale chuj z tym. Tylko wolność się liczy.

Zdaniem Antego taki człowiek jak ja marnuje się przy wózkach, na takiej zebraniu. To zajęcie dla zjebów, jak Horvat albo Kos. Nie utrzymam z tego siebie, nie pomogę Markowi. Jego oferta jest aktualna. Więcej nawet, okaże rzadką hojność. Zwykł zatrzymywać dwie trzecie zysku dla siebie, ze mną podzielił się po równo, tylko dlatego, że cholernie mnie lubi. Nie umiem odmówić, nie znajduję argumentów. Pytam o policję. Ante niemal dławi się rumem. Przypomina

chłopca, którym przecież jest. Tłumaczy, że policja ma inne rzeczy do roboty. Tu palą jointy w każdej knajpie, nikt się tym nie przejmuje. Unosi kubek do toastu, pyta, czy mamy deal. Nie chodzi o mnie, lecz o Marka, mówię sobie i stukam się z Antem.

Po chwili kubek znów jest pełen, a uśmiech Antego czernieje w świetle świec. Zapadam się w fotelu, pewien, że zrobiłem dobrze, ale gdy budzę się nad ranem, w oknie zamiast słońca płonie czerwona czaszka o postrzępionych oczodołach. Złudzenie zaraz się rozmywa, przytłumione przez okropności. Bolą mnie oczy, nie mogę przełknąć śliny. Nie wiedziałbym, gdzie jestem, gdyby nie Wesoły Roger rozpięty na ścianie.

Ante śpi jak prawdziwy pirat, z głową na stole, obok butelki. Nie jesteśmy sami. Zjawiała się jego matka, z tymi swoimi siatkami. Nie patrzy w moim kierunku. Próbuje dobudzić syna i ten zrywa się z krzykiem, wykonuje gest, jakby dobywał szpady. Kobieta się cofa. Ante oplukuje twarz w misce, pociąga rumu i staje w oknie, pokazując nam plecy. Kobieta wykłada na blat jedzenie w słoikach i plastikowych pudełkach, zgarnia zepsuty gulasz i talerz z resztkami jedzenia, zbiera kości z podłogi. Siatki znów są pełne.

Muszę iść, Marko zapewne umiera z niepokoju. Z trudem podnoszę się z fotela. Ante ma minę, jakby o mnie zapomniał. Dziękuję mu za wszystko i przez krótką chwilę liczę, że zapomniał o wczoraj. Ale nie. Ante wypycha matkę za przepierzenie, wybebesza swój kufer, wyjmując jednogramowe woreczki ze struną i białym proszkiem w środku.

Otwiera *Królową Czarnego Wybrzeża*. Na marginesie zapisuje, ile zabrałem, a ile muszę zapłacić.

Kolega w koszulce Neuroshimy wybrał dla mnie procesor Pentium Dual Core, który natychmiast podkreślił, narzekając przy tym na innych informatyków. Dodał, że mógłby kupić lepszą płytę główną niż ten asus, ale musiałbym dołożyć przynajmniej dwieście złotych. Za to karta graficzna Radeon, wyposażona w osobną pamięć, po prostu nie mogłaby być wspanialsza. Będę miał prawdziwą maszynę do grania.

Siedziałem w fotelu obrotowym i przyglądałem się jego pracy. Był bardzo skupiony i ciągle gubił śrubki. Zajmował ogromne parterowe mieszkanie w praskiej kamienicy. Na biurku zawalonym płytkami i kablami trzymał dwa słoiki – jeden z zimną kawą, drugi wypełniony petami. Podłogę zapełniały kable, skomplikowane układy scalone i obudowy komputerów. Migwały serwerowe światelka. Neuroshima zrobił sobie przerwę, zapalił mentolowego pall malla i z niespodziewanym smutkiem wyznał, że niedługo będzie musiał opuścić to miejsce. Kamienica przechodzi w ręce prywatnych właścicieli. Zrobią tutaj hotel czy coś podobnego. Powiedziałem, że cholernie mi przykro, a on sapnął i wrócił do pracy. To dziwne, pamiętam te intele, asusy i radeony, ale nie imię tego człowieka.

W mieszkaniu zrobiłem sobie kącik. Ustawiłem krzesło w rogu pokoju, a przed krzesłem niewielkie biurczko. W ten sposób siedziałem przodem do wszystkich i mogłem widzieć, co się dzieje w pokoju. Wydawało mi się to ważne. Nie chciałem, aby ktoś pomyślał, że się izoluję. Nie kupiłem nawet słuchawek, tylko najtańsze głośniczki. Próbowałem podzielić się moją radością z Julką, ale ona tylko uśmiechała się znad książek. Poprosiła, żebym całkiem nie zniknął, i zaraz dodała, że trzy najbliższe wieczory mogę mieć tylko dla siebie.

Nie miałem jeszcze internetu, ale Neuroshima zainstalował mi wszystkie sterowniki i przyniósł kilka gier na płytkach. Dostałem *BioShocka*, *Half-Life'a* dwójkę, *Unreal Tournament*

III i *Viva Pinata* dla Mikołaja, o której na razie postanowiłem mu nie wspominać. Zorientowałem się, że większość nowych gier to kontynuacje, z numerem dwa lub większym. Zrobiło mi się smutno, bo tyle przegapiłem.

Mikołaj natychmiast zrobił się nie do zniesienia. Właził mi na kolana, wrywał myszkę, wręcz wpychał się przed monitor, a gdy powiedziałem, że dzisiaj nie zagra, zaczął mnie bić i histeryzować. Interweniowała Julka i Mikołaj postawił na swoim. Gdy minęła godzina, za żadne skarby nie chciał odstąpić od komputera. Targował się o każde pięć minut. Próbowałem mu tłumaczyć, że jest jeszcze za mały, by tyle czasu spędzać przed ekranem.

Do *BioShocka* zabrałem się po dwudziestej drugiej. Zanurzyłem się w grozę podwodnego miasta. Po lazurowych pomieszczeniach włączyły się dziewczynki o upiornie żółtych oczach i niemi mężczyźni w ciężkich kombinezonach. Mechaniczne rodziny korzystały z usług automatycznych ogrodników. Nigdy nie widziałem niczego podobnego. Następnego dnia była sobota. Mikołaj obudził mnie o szóstej rano, żebym mu włączył komputer.

Dotąd myślałem, że mój syn jest podobny do mnie i ma wiele zainteresowań. Zapisaliśmy go na basen. Popołudniami i w weekendy rozkładał żołnierzyki, wznosił budowle z klocków i dużo rysował. Oglądał programy przyrodnicze na naszym małym telewizorku – nie wiedzieć czemu, szczególnie ukochał sobie te dla wędkarzy i domagał się, bym oglądał je wraz z nim. Lubił, kiedy mu coś opowiadałem. O tym wszystkim zapomniał, gdy tylko pojawił się komputer. Za każdym razem, gdy starałem się go odciągnąć sprzed monitora, zalewał się łzami. Spróbowałem wyznaczyć jakiś limit, powiedzmy, godzinę dziennie. Mikołaj zaraz poskarżył się babci. Moja mama powiedziała, że muszę ustąpić, bo dziecko jest najważniejsze. Gdy poradziłem jej, by kupiła wnukowi drugi komputer, wybuchnęła śmiechem.

Po złamaniu doszła do siebie, ale coś się w niej zmieniło. Mówiła wolniej, a w jej głosie pobrzmiwał smutek. Chętnie opowiadała o wizytach u lekarzy i wymieniała kwoty, które zostawia w aptece. Zaraz potem dodawała, że cieszy się ze swojego zdrowia, zwłaszcza gdy przygląda się schorowanym koleżankom. Przychodziła do nas trzy lub cztery razy w tygodniu. Przynosiła obiady w rondlach, pomarańcze, kiwi i parówki z placu. Dziecko musi dobrze zjeść, przypominała, przynajmniej ona je odżywi. Prosiła Julkę, by pilnowała posiłków. Ja z kolei miałem pilnować Julki. Mama siadała w naszej wąskiej kuchni, piła herbatę i martwiła się wnukiem. Zauważyła, że bez przerwy gra, a za sprawą gier dzieci stają się agresywne i krnąbrne. Zachęcała mnie, żebym wychodził z nim do kina, do teatru, na kulki i kręgle. Odpowiadałem, że nie mogę, bo pracuję. Słyszałem na to, że wszystko można pogodzić.

Kiedy ją odwiedzałem, mówiła głównie o wnuku. Miała nadzieję, że pożyje dość długo, aby wychować Mikołaja na porządnego człowieka. Chciała, żeby skończył dobrą szkołę i studiował za granicą, myślała też o zakupie drugiego mieszkania, dokąd mógłby się przeprowadzić, kiedy dorośnie. Martwiła się jego charakterem. Dziecko tak łatwo wypaczyć, powtarzała. Co, jeśli odziedziczy charakter po Julce? Albo po moim ojcu? To byłoby jeszcze gorsze.

Niedługo po zakupie komputera założyliśmy sobie internet i życie natychmiast stało się lepsze. Nauczyłem się obsługiwać torrenty i zaraz mogłem posłuchać nowych płyt Coldplaya, AC/DC i Marillion zupełnie za darmo. Oboje z Julką wciągnęliśmy się w *Breaking Bad*, a także *Dexter* i *True Blood*. Wieczorami rozkładaliśmy kanapę, obracałem monitor i puszczałem odcinek. Leżeliśmy przytuleni. Byłem bardzo szczęśliwy. Najbardziej podobał mi się serial *Californication*, może dlatego, że pisarz Moody miał wszystko to, czego nie miałem ja. Ludzie zabiegali o jego przyjaźń, nie pracował i miał dużo pieniędzy, a piękne kobiety same wskakiwały mu do łóżka. Byłem tym bardzo podekscytowany i nasze życie małżeńskie nabrało kolorów.

Przed Wielkanocą Julka przyniosła dobrą wiadomość: dostała pracę w firmie spedycyjnej zajmującej się handlem z Finlandią. Miała odpowiadać za kontakt z portem w Helsinkach, kontaktować się z klientami i pozyskiwać nowych. Zapytałem, ile otrzyma za to wszystko, i usłyszałem, że prawie dwa razy więcej niż w recepcji – wyłącznie dlatego, że teraz mamy kryzys. Gospodarka ruszy, przyjdzie czas podwyżek. Tego wieczoru zamówiliśmy pizzę i piliśmy dzin z tonikiem. Julka cieszyła się, że jej lekcje fińskiego nie poszły na marne, a ja myślałem tylko o *BioShocku*.

Założyłem sobie konto na Facebooku. Ze zdumieniem odkrywałem, jak dziwnie plotą się losy kolegów i koleżanek ze studiów i ogólniaka. Jeden właśnie wrócił z Włoch, gdzie przez dwa miesiące przebywał w czymś, co nazywał obozem pracy – zabrali mu paszport, nie dostał żadnych pieniędzy. Inny próbował utrzymać bar tlenowy na Muranowie. Koleżanki chwaliły się dziećmi w pieluchach, a ja poczułem radość, że Mikołaj jest już taki duży. Znalazłem też konto Patrycji. Miała zdjęcia na strzelnicy, na koncercie Faith No More i w jakimś zachodnim mieście – stała na garbatym moście, odsłaniając ramiona. Przypomniałem sobie, że mieliśmy się zobaczyć. Często wracałem do tych fotografii, ale nie wysłałem zaproszenia.

Po awansie Julki przyszedł mój. Dwuletnia orka w Lesie Susełków przyniosła tysiąc złotych więcej i nowe obowiązki. Znalazłem się w zespole odpowiedzialnym za kontakty z klientami z Czech, Słowacji i Węgier. Pracowałem dłużej i więcej. Cieszyłem się pieniędzmi, ale i perspektywą lepszego jutra. Wyobrażałem sobie, że pewnego dnia przydzielą mnie do pracy z jakimś poważnym państwem, Anglią albo Danią. Wówczas moglibyśmy wyjechać. Swojemu dziecku sprawiłbym najlepszy prezent z możliwych – opuszczenie Polski.

Poczułem, że mogę osiągnąć więcej niż dotychczas, w czym utwierdziło mnie drugie szkolenie ze Steve'em. Odbyło się w tym samym miejscu co wcześniej. Steve pojawił się punktualnie, w skórzanych spodniach, butach motocyklowych na koturnie i koszulce bez rękawów. Na scenie ustawiono scenografię nawiązującą do filmów sensacyjnych. Były zasieki, karabin maszynowy i manekiny w mundurach, unurzane w sztucznej krwi.

Steve na wstępie oznajmił, że życie jest krótkie. Możemy umrzeć w każdej chwili. Trafi nas kula, powalą przeciwnicy, bo życie to jest, kurwa, walka. Kim, do kurwy, jest każdy z nas, pizdą czy wojownikiem? Nic nie dano nam za darmo, dlatego trzeba żyć na maksa i iść za ciosem. Decyzje rodzą konsekwencje, a negatywne konsekwencje należy pokonać. W życiu nie ma miejsca na puste dni czy toksyczne znajomości. Nie każdy jest przyjacielem – wręcz przeciwnie. Ludzie nie chcą, żebyśmy odnieśli sukces, i ciągną nas w dół, każdy dzień to kolejna walka, a wszystko jest polem bitwy – praca, dom, wreszcie to szkolenie. Czy żołnierz w okopie odpuszcza? Czy pilot wyłącza silniki tylko dlatego, że jest zmęczony? Czy chcę, żeby było fajnie, przyjemnie i miło? Jeśli tak, powinienem zostać w domu! Lecz na domy spadają bomby, a wówczas dom staje się grobem, zadudnił Steve i odpalił petardę.

Po szkoleniu próbowałem z nim porozmawiać. Znów siedział w barze ze szklanką whisky, w towarzystwie nie dwóch, lecz trzech dziewczyn. Oblegali go też moi koledzy z pracy. Obracałem w palcach starą wizytówkę. Chciałem mu ją pokazać na dowód, że już rozmawialiśmy, ale jego pewność siebie, ten tłok, te zachwycone kobiety odebrały mi resztki odwagi. Wszyscy dobrze się bawili, co mnie rozdrażniło. Poszedłem do swojego małego pokoju. Pomyślałem, że posiedzę z książką i wreszcie się wyśpię.

Koło północy usłyszałem hałasy zza ściany. Kobieta krzyknęła, trzasnęło szkło. Wyjrzałem na korytarz. Z jednego z sąsiednich pokoi wypadł Steve z rozpuszczonymi włosami i w mokrym podkoszulku. Ścisnął butelkę szampana, zapinał sobie spodnie. Na progu pojawiła się jedna

z dziewczyn, które widziałem na dole. Cisnęła Steve'owi kurtkę, nazwała go kupą gnoju i zatrzasnęła drzwi. Steve mnie spostrzegł. Myślałem, że będzie zawstydzony, tymczasem, wygrawszy walkę z rozporkiem, oznajmił, że kobiety są nieodgadnione: najpierw zapraszają do siebie, przyjmują szampana, a potem wydziwiają, gdy facet przechodzi do rzeczy. Dodał, że nie wolno brać takich drobiazgów do siebie. Popatrzył na mnie i się uśmiechnął jak na widok starego znajomego. Pamiętam cię, rzucił, jesteś Janek. Może zejdziemy na jednego? Chwilę później siedziałem w barze i piłem podwójną whisky. Nie mogłem uwierzyć, że Steve zapamiętał moje imię.

Na dole opustoszało. Paru znajomych piło pod oknem z widokiem na jezioro. Steve oznajmił, że z pewnością do nas nie podejda. Świadom swojej popularności wypracował mechanizmy odstraszania ludzi – wystarczy, że siądzie jak teraz, z naprężonymi ramionami i głową wysuniętą do przodu. Wyznałem, że poruszyły mnie jego dzisiejsze słowa, i zaraz przeprosiłem. Przecież wcześniej słyszał takie rzeczy wielokrotnie. Steve zauważył, że za często przepraszam, i poprosił, żebym opowiedział o sobie. Z początku szło mi trudno, ale szybko ujawniłem więcej, niżbym chciał. Mówiłem o Mikołaju, o Julce, o pracy, mamie i grach. Steve słuchał i pił, a gdy skończyłem, rzekł, że chodziło mu o coś innego: opowiedziałem mu, jak żyję, a nie, kim jestem. Odparłem, że jestem mężem, ojcem, pracownikiem. Steve znów był niezadowolony. Zmienił pytanie. Chciał wiedzieć, czego chcę.

Wyznałem, że chciałbym, aby Mikołaj był zdrowy, żeby z Julką mi się wiodło, a mama nie wpieprzała się we wszystko, wspomniłem też o czasie dla siebie. Steve zapytał, czy mam ochotę na whisky. Moja szklanka była pusta, on pił już trzecią. Odparłem, że chętnie, więc zdziwił się, dlaczego nie kupię sobie kolejnej. Rano prowadzę? Jestem alkoholikiem? Wyznałem mu prawdę: głupio mi wydawać pieniądze na whisky w takim miejscu. Oniemiałem, bo Steve natychmiast zamówił całą butelkę. Stwierdził, że zarabia krocie na takich jak ja, i mi pogratulował – wreszcie określiłem, czego chcę. Chciałem whisky i mam. Tę lekcję, dodał, otrzymuję za darmo. Zaproponował jeszcze jedną. Za resztę będę musiał płacić.

Przez ostatnie lata piłem niewiele. Steve, pewny siebie, otwarty i serdeczny, wydawał się przyjacielem i powiernikiem, którego zawsze potrzebowałem. Ceniłem w nim szczerość. Jego zdaniem rozwój osobisty przypominał morderczy trening: mijają lata, nim oferta zmieni się w żołnierza. Sam kiedyś był ofertą i sam się odmienił. Dostrzegł jednak we mnie coś, czego nie widział w innych – parcie na sukces i wolę przemiany. Nigdy nie pomyślałbym o sobie w ten sposób, ale kto wie, może miał rację?

Powiedział, że dzisiaj spełniłem jedno swoje marzenie. Zostało ich jeszcze trzysta sześćdziesiąt cztery, po jednym na każdy dzień roku. Co wieczór powinienem się nad jakimś zastanowić i nazajutrz je zrealizować. Zapierdalam w robocie, nakurwiam przy dziecku, więc chyba wcisnę jedno jebane marzenie w swój zasrany grafik dnia? Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Miał rację jak nikt przed nim ani po nim. Napiliśmy się jeszcze. Steve już milczał. Był bardzo zmęczony, więc odprowadziłem go do pokoju. Przed pożegnaniem udzielił mi ostatniej rady, którą uważał za najważniejszą: mam zapisywać wszystkie marzenia, a także myśli, uczucia i wątpliwości. Więcej nawet, powinienem notować każdy drobiazg, który przyjdzie mi do głowy. Jak odróżnić wielkiego człowieka od małego? Wielcy ludzie robią notatki.

Rano próbowałem mu podziękować, ale już wyjechał. Skacowany, pełen dobrej energii, wsiałem do busa, który zawiózł mnie do Warszawy. Po drodze do domu kupiłem notes na marzenia.

Pierwsze nie było jakieś szczególne. Chodziło o *BioShocka*. Postanowiłem zacząć od czegoś drobnego, poza tym myślałem o tej grze przez cały weekend. O dziewiętnastej zgoniłem Mikołaja z komputera. Poradziłem mu, żeby wrócił do rzeczy, które cieszyły go wcześniej, do rysowania i układanek. Gdy Julka poszła spać, pograłem jeszcze trochę, sprawdziłem Facebooka i pooglądałem gołe baby. Przed snem zapisałem kolejne marzenie.

Wyciągnąłem Julkę na miasto. Mama uznała ten pomysł za idiotyczny, pytała, czemu nie zrobimy sobie randki w domu, mimo to zabrała Mikołaja do siebie. Cieszyłem się na ten wieczór. Brakowało mi świeżości z czasów, kiedy dopiero się poznawaliśmy, chciałem spacerować w deszczu i kochać się na łące. Nienawidziłem czekania z seksem, aż Mikołaj zaśnie. Julka trochę marudziła, zaśnaniając się pracą, ale gdy wyszliśmy, była zachwycona. Zjedliśmy sushi, a potem zajrzeliśmy na plac Zbawiciela na dwa mojito. Rzeczywiście spadł deszcz. Julka, która otarła sobie stopy, zdjęła buty i śmiejąc się, pobiegła bosą do domu, gdzie zdjąłem z niej mokre ubranie.

Zrozumiałem, że potrzebuję rzeczy prostych. Chodziło o obiad na mieście, o zakup książki, o nowe słuchawki do telefonu i o to, by Julka zrobiła mi laskę. Kupiłem nam lody z bitą śmietaną. Czerwiec był upalny, więc wychodziłem do parku poczytać. Zeszyt z marzeniami puchł i coraz trudniej było wynajdywać kolejne. Uczyłem się rozróżniać marzenia i fanaberie.

W lipcu po raz pierwszy pojechaliśmy na wakacje. Spędziliśmy tydzień w Łebie. Mikołaja nie dało się odciągnąć od wody, a gdy szedł spać, siadaliśmy na plaży otuleni w koce, piliśmy wino, patrzyliśmy na światełka dalekich statków i gadaliśmy bzdury.

Niedługo po powrocie nabrałem ochoty, by upić się w samotności. Nigdy wcześniej tego nie robiłem. Powiedziałem Julce, że pogram do późna. Gdy zasnęła, otworzyłem stocka, pocisnąłem trochę w *Call of Duty*, a potem wszedłem na strony dla dorosłych. Wówczas miałem już swoje ulubione gwiazdy porno, a ich melodyjne pseudonimy – Lisa Ann, Carmella Bing, Gianna Michaels – pamiętam do dziś. Nie onanizowałem się, tylko wyobrażałem sobie, jak byłoby wspaniale, gdyby Julka zachowywała się jak te kobiety. Marzenie poniekąd się spełniło. Byłem pijany jak bela i napisałem do Patrycji.

Julce wspomniałem mimochodem, że idę na piwo z kolegami z pracy. Spodziewałem się protestów i złośliwości, ale Julka ucieszyła się, że mam jakichś kolegów. Znalazłem knajpkę na Pradze, gdzie nie mieliśmy żadnych znajomych, wybrałem stolik w najciemniejszym kącie i usiadłem twarzą do sali, w półmroku. Tłumaczyłem sobie, że tylko napijemy się piwa, powspominamy stare czasy i rozejdziemy się do domów. Co innego mogłoby się zdarzyć?

Patrycja przysłała w zamkowej kurteczce i cienkim golfie. Bardzo utyla. Wciąż miała diastemę i kolczyk w wardze.

Przez pierwszą godzinę rozmawialiśmy o pierdołach. Opowiedziałem o mieszkaniu, Julce i Mikołaju. Dodałem, że życie nie jest takie złe, jak się spodziewałem. Potem zacząłem wspominać ludzi z roku i wykładowców, a w oczach Patrycji pojawił się smutek. Szepnęła, że niedługo znów podejmie studia, jak tylko pozbiera się do kupy. Tak właśnie minęły jej ostatnie lata – rozpadała się i składała z powrotem. Nie bardzo wiedziałem, o czym mówi. Przeczynałem tylko wielkie cierpienie, które stało się jej udziałem. Patrycja opowiedziała o chorobie dwubiegunowej, którą nazywała Czarną Huśtawką. Zachorowała mniej więcej wtedy, gdy Julce odchodziły wody. Na początku nie rozumiała, co się z nią dzieje, dlaczego bez przerwy śpi i gubi całe tygodnie. Nawet nie wiedziała, że minął czerwiec, a z czerwcem sesja. Ze wszystkim tak było. Zapytała, gdzie podziały się jej ostatnie lata. Mocno ją przytuliłem.

Przyznałem, że nie bardzo rozumiem jej sytuację. Jak można po prostu nie wstawać z łóżka?

Patrycja odparła, że jej rodzice uważali podobnie. Mieli ją za lenia, zrywali z niej kołdrę, awantur nie dało się znieść i Patrycja uciekła do chłopaka. Liczyła, że miłość ją uleczy. Wciąż mieszkają razem, choć nie są ze sobą. Żadnego nie stać na wyprowadzkę. Przecież Patrycja nie pracuje. Nie dostała renty. Leki kosztują. Czy wiem, jak to jest żyć pod jednym dachem z psychopatą? Nie wypuszczałem jej z ramion, a ona próbowała powstrzymać łzy. Zapomniałem, że siedzę w knajpie, wśród ludzi. Otaczała nas miękka czarna kula – łożysko dla dwojga.

Między pocałunkami szukałem jakiejś dobrej rady. Zasugerowałem zmianę leków. Patrycja szepnęła, że przetestowała wszystkie i sprawdza nowe za każdym razem, gdy uzbiera na psychiatrę. Czy naprawdę nie widzę, co leki zrobiły z jej ciałem? Utyła, jest wstrętna, nie może na siebie patrzeć. Odparłem, że to nieprawda, i mówiłem szczerze. Przecież pod bluzką czułem ciepłą, delikatną skórę. Patrycja westchnęła. Głaskała mnie po twarzy i powtarzała, że jestem piękny. Zapragnąłem pomóc tej nieszczęśliwej dziewczynie i zaproponowałem, że dam jej na terapię albo chociaż opłacę psychiatrę, lekarstwa. Nie chciała o tym słyszeć. Poprosiła, żebyśmy już nie rozmawiali o Czarnej Huśtawce. Przyszła tutaj na spotkanie ze starym przyjacielem, o którym zdarzało jej się myśleć w najgorszych chwilach. Miała bardzo wiele takich strasznych chwil, dodała, i znów przyciągnęła mnie do siebie. Położyła mi palec na ustach. Chciała cieszyć się chwilą.

Do domu wróciłem piechotą. Mijały mnie karetki na sygnale, z przebudowywanego Stadionu Dziesięciolecia sterczały podświetlone ramiona dźwigów, a Wisła sunąca pod mostem była cicha. Czułem radość i wyrzuty sumienia. Cieszyłem się, że wciąż jestem atrakcyjny. Przecież nie posunęliśmy się daleko – obściskiwanie się w knajpie jest szczeniackie i niewinne, ludzie robią gorsze rzeczy swoim najbliższym. Nikt nigdy się nie dowie. Nie zniknę z życia Mikołaja, postąpię inaczej niż mój ojciec. Przeciąłem plac Trzech Krzyży i szedłem ciemną Mokotowską. Na Puławskiej poczułem się lepiej. Pomyślałem, że każdy mężczyzna ma prawo do marzeń i tajemnic, pod warunkiem że nikogo nie rani. Buty zdjąłem przed wejściem. Ubranie włożyłem do kosza na brudy i przytuliłem się do Julki.

Za dnia mniej więcej wiem, że jest dziesiąta, dwunasta, pierwsza albo czwarta. Wiem, bo otwierają się sklepy na Starym Targu, bo bije katedralny dzwon, bo urszulanki już wpuszczają głodnych na zupę. Popołudniami obserwuję autobusy napchane ludźmi wracającymi z pracy. Koło dwudziestej drugiej, wraz z wyludnianiem się miasta, czas zapada się w ciemności. Inni mają telefony komórkowe, ale nie ja, i gdy Horvat wybija mnie ze snu, nie mam pojęcia, czy wcześniej jest, czy później. Horvat, odziany w kurtkę moro, przykłada palec do ust.

Szeptem, żeby z nim poszedł. Przez ostatnie dwa tygodnie obserwował dom obok ruiny Cobenzłów, rodzina wyjechała na weekend, więc stoi pusty. Nikomu nie stanie się krzywda. Znalazł okno, przez które wejdziemy do środka. Odgrzebiemy przejście, wydobędziemy skarb. Kos nie chciał iść, ale dał narzędzia, Nina za bardzo się boi, a ja? Dlaczego ciągle leżę? Przecież stoję przed życiową szansą, tylko głupiec by nie skorzystał. Oczywiście może iść sam, lecz jest dobrym kolegą.

Rozbudzony myślę tylko o zapachu Horvata i nadchodzącym morderczym dniu. Mówię, że odpowiadam za Marka i nie bawię się w takie rzeczy. Skąd wiemy, że nikt nie został w domu? Jeszcze ktoś ucierpi, a my wylądujemy w pudle. Horvat się piekli, rzuca upiornym szeptem, że

jestem niewdzięcznikiem i myślę tylko o sobie. Powinien zostawić mnie na ulicy. Marko podnosi głowę, a Horvat bije mnie po twarzy, wali pięściami w podbrzusze, naciąga czapkę na oczy i już go nie ma.

Zakopuję się w kocach, ale sen nie chce przyjść. Denerwuję się nadchodzącym dniem i tym, co muszę zrobić, potem złoścę się na siebie samego, że nie mogę zasnąć, i witam świt, klęcząc przy kozie. Kos swoim zwyczajem zaczyna dzień od lektury. Przynoszę Markowi herbatę do łóżka. Na śniadanie jemy chleb z serem i pomidorem. Wiem, że niedługo będę musiał wyjść. Wyruszę do nowych, strasznych zadań, dlatego tym mocniej chwytam dobre chwile. Umyci i ubrani, siedzimy na łóżku i oglądamy filmiki, dzieląc się słuchawkami. Rodzina zapełnia parter swojego domu plastikowymi kulkami, dzieci skaczą ze schodów, próbują się ślizgać. Inny facet napełnia wodą gigantyczny balon z sobą samym w środku. Zaraz będę musiał wyjść. Kurtka już mi ciąży. Cały wczorajszy dzień snułem się, dręczony bólem głowy, odwlekając nieuniknione. Justin Bieber fałszuje, Marko się śmieje, a do pomieszczenia wtacza się Nina. Nieruchomieje przy drzwiach, abysmy podziwiali jej nieszczęście. Nawet Marko odwraca wzrok. Robi mi się słabo.

Jej lewe oko zmieniło się w fioletową narośl przeciętą poziomą kreską. Drugie mruga przerażone. Włosy sterczą, jakby ktoś próbował je wyrwać. Wokół spuchniętego nosa i nabrzmiątych warg zasycha krew. Z uszu zerwano kolczyki. Nina się trzęsie. Spotykamy się w pół drogi, biorę ją w ramiona, trochę rozszoszczony nagłą zmianą planów, za to bardzo przejęty. Będzie dobrze, obiecuję, zabiorę ją do szpitala. Kto ją tak strasznie urządził? Pada cicha odpowiedź: Ante.

Zatroskany Kos donosi wodę, a Nina wyznaje, że zrobiła coś strasznego: powiedziała Antemu, dokąd poszedł Horvat. Zrobiła to, żeby uniknąć bicia, ale on i tak ją pobił. Nic na ulicy nie dzieje się bez zgody tego strasznego człowieka, mówi. Czuję strach i chłód. Nina zwiesza głowę, zapewnia, że nic jej nie jest. Ante mógł jej połamać ręce, zapowiadał nawet, że to robi, i pewnie tak by się stało, gdyby nie zdradziła miejsca pobytu Horvata.

W życiu zrobiłem niewiele dobrego, wyrządziłem ogrom zła i czas to odmienić. Błagam Kosa, by został z tym dwojgiem, wciągam buty i wybiegam z Rogu. Dziś nie ma mgły. Poranne słońce wyostrza ludzi i samochody. Biegnę truchtem, mijam mury z kruszejącej cegły i garaże, na których wyrósł bluszcz. Buty zsuwają mi się ze stóp, mimo to biegnę dalej, poprawiam je, dopiero gdy powstrzymują mnie światła. Przecinam park, gdzie na białych ławkach siedzą starszankowie tacy sami jak w Polsce. Potrącam przechodniów i wywracam rowerzystów. Płaskorzeźby orłów rozpościerają skrzydła pod dachami kamienic.

Nie myślę o niczym i niczego nie czuję, mam jednak dość rozumu, by zatrzymać się w porę. Dawny dom Cobenzlów jest ciemny i brudny po staremu, za to przy tym obok panuje poruszenie. W Słowenii samochody policyjne są białe, z niebieskim pasem z boku. Stoją takie trzy, w tym jedna suka. Policjanci mają czapki z daszkiem i granatowe mundury. Zbiegają się gapie, robią zdjęcia. Horvat, z rękami skutymi na plecach, trzyma głowę wysoko. Nie rozumie, co zaszło, i nie wie, jaki los go czeka. Wyrywa się, taranuje barkiem jednego z policjantów, więc obalają go na ziemię. Awanturuje się, próbuje gryźć, aż w końcu znika w suce.

Dopiero przecnicę dalej dopada mnie lęk, z którym nie umiem sobie poradzić. Na moich oczach Ante rozprawił się z połową Rogu i trudno się cieszyć z tego, że tym razem zostałem oszczędzony. Muszę coś zrobić. Powinienem zniknąć. Na razie omijam policyjne samochody, świadom tego, co trzymam w kieszeni. To takie dziwne, że Horvat dziś się nie urznie, nie będzie się pieklił, to dziwne, że jestem tu, gdzie jestem, a Lubli wreszcie nie spowija mgła. Opłukuję

twarz w publicznej toalecie. Kupuję sobie batonik proteinowy i wracam na starówkę, gdzie niedługo pojawią się turyści. Od dzisiaj sprzedaję mefedron.

Mikołaj natychmiast siada na ławce wiaty przystankowej i wyciąga tablet, tymczasem Jan nie może znaleźć sobie miejsca. Sprawdza telefon. Zerka w stronę parku, wypatrując Patrycji, wreszcie zajmuje miejsce obok syna i czeka ze spuszczoną głową.

Na autobus czeka również nerwowy czterdziestolatek w skórzanej kurtce, zadbana staruszka w typie emerytowanej pracownicy naukowej i dwóch nastolatków w bluzach z pseudonimami youtuberów.

Na Puławskiej ruch jest niewielki. Kilkadziesiąt metrów dalej, obok kiosku, rozłożyli się sprzedawcy skarpet i owoców. Z pewnej odległości interesu dogląda tęgi facet na wózku, z papierosem w grubych wargach. Tramwaj hamuje przed przejściem dla pieszych. Podmuch wiosennego wiatru przewraca koziołek ustawiony u wylotu Madalińskiego, a kurier DHL zostawia furgonetkę na światłach awaryjnych i znika w drzwiach cukierni.

Uwagę Jana zwraca rudy kot, który wychynął z krzaków i kręci się w pobliżu. Jest tłusty i ma obrózkę, nie boi się ludzi ani samochodów i węszy przy śmietniku. Jan waha się chwilę, wstaje i klęka przy kocie. Ten Ignie do jego ręki. Jan drapie zwierzę pod bródką i po grzbiecie, u nasady ogona. Kot mruczy, przywiera brzuchem do ziemi i wysuwa pazurki, tymczasem środkiem Puławskiej mknie srebrna toyota. Nie widzi jej Jan, nie widzi emerytka, nie widzą nastolatkowie ani nerwus w skórzanej kurtce, zajęty mówieniem do siebie. Nie widzi Mikołaj.

Trach.

Handlarze porzucili stoiska i biegną na miejsce wypadku.

Bez Horvata pustawo, za to swobodniej. Zniknęła woń przetrawionego alkoholu, po podłodze nie walają się przepocone ciuchy, sińce na moim brzuchu żółkną i nic nie wskazuje, abym dorobił się nowych. Co rano rozpalam kożę. Marko kąpie się jako pierwszy i nikt nie robi o to awantur.

Kos jakby odzyskał wigor i opuścił łóżko. Wstaje zaraz po moim chłopczyku, obmywa twarz, pachy i klejnoty. Robi to pomimo obecności Niny. Potem skręca sobie papierosa, podpala go od kozy, podchodzi do okna i patrzy na miasto, jakby rzeczywiście należało do niego. Kłócimy się. Mówię, że papieros przeszkadza dziecku. Kos przypomina, że gówniarz sam pali. Moim zdaniem to nie powód, aby dodatkowo go truć. Rozmowa trwa, dopóki Kos nie zgasi skręta o parapet. Natychmiast strącam niedopałek, żeby nie zabrał go Marko.

Nasz senior Rogu pałaszuje bałkańską wersję serka wiejskiego i wczorajszą bułkę. Potem długo płucze usta, rozczesuje brodę i wyrывa niesforne włosy, zerkając w lusterko samochodowe. Wszystko rozstrzygnie się już niedługo. Będzie gotowy.

Nowe biurko Kosa to pobielane drzwi rozłożone na parapecie i krzesła. Prowizoryczny blat zasłaniają papiery, książki, świece wytapiane z cmentarnego wosku. Odkąd przepadł Horvat, Kos uprawia homeworking i nie chadza już do biblioteki. Siedzi w tych swoich okularach, stawia drobne, ścieśnione literki i struga ołówki nożem do mięsa. Jego zdaniem ołówek jest lepszy od długopisu – zawsze wiadomo, ile go zostało. Doprawdy, kiedy przyjdzie co do czego, lepiej mieć zastrugany ołówek w kieszeni.

Obserwuję, jak mój Marko się zmienia, dzień po dniu. Wciąż siada jak bokser w narożniku, ale już nie strzela oczami na boki, nie wypatruje niebezpieczeństw. Spokojniej śpi, myje się powoli, nie spieszy się z jedzeniem. Gdy nagrywa te swoje filmiki, mówi oszczędniej, jak młody dorosły. Wyczekuję dnia, kiedy będziemy mogli normalnie porozmawiać. Na razie uczymy się angielskiego.

Planowałem dwie godziny dziennie, rano i wieczorem, ale Marko nie chce o tym słyszeć. Przypuszczalnie sądzi, że cały świat powinien przerzucić się na słoweński. Tłumaczę mu, że każdy tutaj zna jako tako angielski, nawet Horvat. Marko klika w telefon i się śmieje, czym rozbraja mnie do reszty. Ma taki piękny uśmiech.

Zmuszam go, by siedział spokojnie, i wkuwamy słówka. Rysuję samochód albo kota, mówię: „car” lub „cat”, zapisuję te słowa, proszę, żeby Marko zrobił to samo. Strasznie go to złości. Udaje, że nie rozumie moich rysunków – kot nie przypomina kota, samochód samochodu. Staram się rysować tak dokładnie, jak umiem, lecz on dalej swoje. Byłoby łatwiej, gdybym mógł skorzystać z telefonu. Marko nie wypuszcza go z rąk. Nie mogę dotykać takich rzeczy, więc męczymy się dalej. Marko macha nogami. Czasem mnie kopie. Spod okna dobiega śmiech Kosa. Gdybyśmy tylko wiedzieli, co odkrył w starych księgach, nie tracilibyśmy czasu na naukę angielskiego.

Nina zachodzi do nas rano i popołudniami. Lewe oko wciąż ma czarne, ale już potrafi je otworzyć. Wzdłuż ucha idzie sina szrama. Opuchlizna z nosa i policzka prawie zesza. Nina porusza się wolniej niż wcześniej. Spuszcza głowę, zawsze gdy spoglądam w jej kierunku. Ubrania Marka zabiera do prania z miną skatowanej służącej. Gdy pije wodę, przeciera brzeg kubka, jakby usuwała ślady krwi.

Mówi niewiele i ostrożnie dobiera słowa, jakby gdzieś za ścianą podsłuchiwał Ante. Nie przyznałem się, dla kogo teraz pracuję. Nina narzeka na tygodniową przerwę na benzynówce. Kierownik dał jej pięćdziesiąt euro i powiedział, by przyszała, gdy opuchlizna zniknie.

Zauważam, że pięćdziesiątka piechotą nie chodzi. Nina ociera zdrowe oko. Nie może nawet pójść pod szkołę, popatrzeć na swoje dzieci. Miała tak mało, a to, co miała, zostało jej odjęte. Zwiesza głowę i milczy, a Marko rzuca w nią papierkami. Nina wlecze się do siebie, przystaje na półpiętrze. Chyba płacze.

Niemal codziennie widuję ją, jak snuje się ulicami, zawsze w kapturze. Przystaje pod sklepem, lecz nikogo nie zaczepia, nie przetrząsa śmietników. Po prostu stoi. Szyby w samochodzie obłożyła gazetami. Przez szpary widzę, jak śpi skulona na tylnym siedzeniu, z głową nakrytą dłońmi, jakby pragnęła zniknąć. Nocami pali światło, a rano do nas przychodzi. Zamiata, ściera parapety, niekiedy coś upierze. Nigdy jej o to nie prosiłem. Siada i słucha, jak uczymy się angielskiego, a Kos podrywa nos znad ksiąg, zrzuca okulary na blat i woła, że na wszystko jest już za późno. Rany się nie zagoją. Ludzie nie nauczą się nowych języków. Świat niedługo spłonie w boskim ogniu. Po nas pozostanie tylko popiół.

Moi klienci to para Holendrów, którzy wykorzystują przerwę świąteczną na zwiedzanie Europy. Oboje noszą ciemne okulary, małe saszetki na kolorowych paskach i kurtki puchowe. Bez przerwy trzymają się za ręce. Zaczepiam ich, gdy próbują dostać się do wagoniku kolejki jadącej na szczyt zamkowy, i nie mogą zrozumieć, że jest zamknięty. Proponują drobne, których nie przyjmuję.

Jestem czysty i ogolony, pachnę wodą kolońską, mam nowe spodnie i buty. Odślaniam wnętrza dłoni. Nie zbliżam się bardziej niż na metr. Opowiadam o najstarszym kole świata i piszczałce neandertalczyka wystawionych w zamkowym muzeum. Rzucam niby od niechcienia, że widok z wieży jest piękny. Spoglądają na siebie i już wspinamy się stromą drogą. Na górze zapalają papierosy. Odmawiam, gdy częstują, lecz przyjmuję bilet wstępu do muzeum.

Dziedziniec zamkowy przypomina ryneček małego miasta, mają tu sklepiki i restaurację. Holender już przysiadłby na piwku, na co jego żona kręci nosem. Niech piwko będzie nagrodą za intensywne zwiedzanie. Mówię, że zamek jeszcze kilka lat temu był rudera i straszył nad miastem jak smok. W dawnych czasach żyli tu Habsburgowie.

Holendrów niewiele to obchodzi. Bardziej interesują się mną. Dziwią się, że jestem bezdomny – przecież mam normalne ciuchy i nie trzęsę się z zimna. Pytają, czy czegoś nie potrzebuję. Ona patrzy na mnie nieufnie, chyba myśli, że zamierzam ich okraść. Idziemy wzdłuż grubego muru, przystajemy, gdy robią sobie zdjęcia w jednym z otworów strzelniczych. W wysokiej kaplicy, na różowym suficie, rozpościerają skrzydła dwugłowe orły.

Muszę ich zmęczyć. Sprawię, że zapragną kopa. Idziemy przez sale muzealne pełne czarno-białych zdjęć. Jest obiecane koło i piszczałka licząca czterdzieści tysięcy lat. Trudno się tutaj nie wzruszyć, wzdycham. Dawno temu jakiś małpolud, włochaty kanibal, poszukiwał piękna. On patrzy na mnie podejrzliwie, ale ją właśnie sobie kupiłem. Prowadzę ich przez więzienne cele i ciągnę na wieżę widokową, skąd patrzymy na czerwone dachy, białe bloki i nagie drzewa między nimi. Chmury wspinają się na masyw górski, a mój Holender ma minę, jakby chciał zwymiotować.

Wraz z pierwszym łykiem piwa spływa na niego spokój. Siedzimy w restauracji, przy stoliku z widokiem na dziedziniec, gdzie krążą młodzi ludzie przebrani za legionistów rzymskich i mieszczan. Kelner spogląda na mnie krzywo. Widzi, że od paru dni przychodzę tutaj codziennie, nigdy za siebie nie płacę i zapewne zajmuję się czymś więcej niż oprowadzaniem po

zabytkach. Mówię swoim towarzyszom, że znam lepsze knajpy, i chętnie wezmę ich w miejsca, gdzie zabawa trwa od świtu do nocy. Ożywiają się oboje. Jutro wyruszają do Sarajewa podziwiać ślady wojny, planują wyrwać z Lubli, ile tylko się da. Lepszej okazji nie będzie. Pytam, czy chcieliby coś kupić.

Przedpołudnie zamykam z pięćdziesiątką w kieszeni, z czego połowa trafi do Antego. Holender niemal miażdży mi rękę podczas pożegnania. Poklepuje się po kieszeni i znika między ludźmi. Zastanawiam się, ile bym zarobił przy usprawnieniu procesów sprzedażowych, i rozważam modyfikację relacji z klientem. Ante też bierze za dużo, ale to się zmieni.

Nim powrócę na miasto, zaglądam do Marka, który nudzi się z Niną. Żałuję, że nie mogę zabierać go do pracy. Poświęcam mu każdą wolną chwilę, lecz tych jest zawsze za mało, o czym wie każdy dobry ojciec. Marko siedzi na swoim posłaniu, ogląda śmieszne filmiki i przekomarza się z Niną po słoweńsku. Mamy gar gęstej zupy z soczewicą, jemy we troje. Nina bierze po pół łyżki w obolałe usta. Pyta, jak długo to będzie trwało. W przyszłym tygodniu wraca na stację benzynową. Gdy Marko zakłada słuchawki, dodaje, że ten chłopiec wymaga ogromu pracy i w pojedynkę sobie nie poradzę.

Popołudniem zgarniam grupę Niemców wyglądających jak weterani Bundesligi. Pracują w firmie consultingowej, przyjechali na szkolenie i łakną nieznanej Lubli. Mógłbym im powiedzieć, że to miasto zwiedza się w godzinę, a puby pustoszeją wraz ze zmrokiem, zapewniam jednak, że nie mogliby trafić lepiej. Pytają, czy mam coś do sprzedania, i zaraz markotnieją. Woleliby haszysz albo koks. W końcu płacą, towar zmienia właściciela, chcę odejść, lecz mnie zatrzymują, śmieją się i łakną wycieczki, miejskiego brudu.

Lubla jest tak mała, że nawet o brud trudno. Ciągnę ich do podziemnego pubu, gdzie wciąż wolno palić, a z głośników leci Iron Maiden. Niemcy jeden po drugim znikają w łazience, każdy wraca nakręcony i ze szczękościskiem. Wokół stolika gęstnieje dym, a oni wlewają w siebie kolejne piwa i opowiadają tylko o tym, jak ruchali, ruchają i jak będą ruchać. Pytają, gdzie znajdą jakieś kurwy, choć ich fiuty musiały się skurczyć do rozmiarów groszku. Jestem niemal pewien, że tutaj zalegną, i znów chcę się pożegnać, czym wywołuję nie lada poruszenie.

Idziemy ławą przez ciemniejące miasto. Ciągnę ich do podziemi niedaleko dworca, gdzie zimne światło pada na mdłe bazgroły pokrywające mur. Błądzimy po mglistym parku między szarymi obeliskami. Niemcy solidarnie się tu odlewają. Zaschło im w ustach, chcieliby się napić. Czy na pewno nie mam do sprzedania prawdziwych narkotyków? Pieniądze nie są problemem, mówią, pokazują nawet portfele. Jeden przypomina sobie, że słyszał o takim fantastycznym miejscu, oazie wolności, gdzie zabawa nigdy się nie kończy. Wszyscy natychmiast chcą je zobaczyć. Dostaję jeszcze dziesięć euro i prowadzę ich na Metelkovą. Myślę tylko o Marku i o tym, że dziś znowu zaśnie beze mnie.

Droga na Metelkovą rzeczywiście wymaga przewodnika. Skręcamy między bloki i Niemcy nagle milkną, zbijają się w kupę. Zapewne boją się, że prowadzę ich w pułapkę. Mijamy nowoczesny budynek, którego szklana ściana podparta na stalowych słupach pochyła się nad nami jak język lodowca. Staruszkowie ciągną za ręce zaspane wnuczeta, młodzież zwija transparent jakiejś skromnej manifestacji. Jej uczestnicy depczą pety i aktualizują statusy. Mży.

Na widok rzeźb wzniesionych ze skrzyń i plastikowych figur żołnierzy Niemcy odzyskują wigor i zaczynają robić zdjęcia. Metelkova przypomina ruiny wesołego miasteczka. Jednopiętrowe budynki pobazgrano sprayem tak gęsto, że nie widać kawałka cegły. W oknie pod spadzistym dachem stoi naturalnej wielkości figura króla Dawida, pozbawiona rąk. Na białej ścianie śmieje się szkielet, a smok o wielkich łuskach próbuje chwycić zębami własny ogon.

Unoszą się sterowce, tańczą kraby. Różowe litery układają się w napis BISEKSUALNA REWOLUCJA. O mur opierają się stare rowery oplecione zardzewiałymi łańcuchami, kosmici o wielkich drewnianych głowach przechylają się przez balkony, z kabli między budynkami zwisają buty. W półmroku i deszczu trudno stwierdzić, co jest namalowane, a co prawdziwe.

Przecinamy pusty plac i kierujemy się do knajpy, której nazwy nie znam, lecz knajpą jest tutaj wszystko. Niemcy natychmiast oblegają bar i na zmianę chodzą do toalety. Wlewają w siebie piwo i wracają po następne. Czekam spokojnie, bo zaraz zrobi się tłumnie, bo zapłacą mi więcej, bo zjawi się jeszcze jakiś klient. Obsługuję turystów, nikogo więcej, nie chcę się narażać. W głowie obraca się licznik. Ile zarobię? Ile wydam? Ile odłożę dla siebie i Marka? Dwadzieścia procent czasu pracy przynosi osiemdziesiąt procent efektów. Przy kiblu znajduję dużą naklejkę z dwoma ludzikami i napisem HELL IS OTHER PEOPLE.

Do długich zielonych desek na suficie przyczepiono dziecięce rysunki, światełka choinkowe i kawałki płótna, na których wyhaftowano ptaki. Za barem stroboskopowe światło pada na butelki wina o ręcznie malowanych naklejkach. Knajpa zapełnia się ludźmi. Mają obcisłe koszulki, podgolone skronie, bardzo się ich boję. Niemcy idą całą grupą do toalety, a gdy wracają, ich stolik jest już zajęty. Wywiązuje się sprzeczka, ucięta przez wspólne palenie jointa. Łzawią mi oczy. Napiłbym się, zapalił, zapomniał.

Niemcy rozmawiają z nowymi przyjaciółmi. Zdejmują marynarki, podwijają rękawy koszul i pokazują seledynowe tatuaże węży, smoków i diabłów. Jeden rozbiera się nawet do podkoszulka, chwali się logo Biohazard wydzieranym na włóchatym barku. Są przecież wyluzowanymi, wciąż młodymi ludźmi. Na krzesłach siedzą, jakby właśnie mieli wstawać. Chodzą im szczęki, pot spływa po policzkach, kąciki warg unoszą się w nieustannym uśmiechu.

Druga knajpa jest większa, głośniejsza, ludzie kołyszają się między stolikami, pod podświetlonym pulpitem didżeja. Są dziewczyny i Niemcy zaraz urwą się ze smyczy. Pod sufitem, wysoko, wisi worek bokserski z namalowaną twarzą, nad barem rozwiera paszczę piankowy gargulec. Ścianę zdobią plakaty z Johnnym Cashem, Jamesem Deanem i Garym Cooperem. Niemcom najbardziej podoba się mural wyobrażający orgię, pełen jaj walących o dupy i fiutów muskających usta. Białe-czerwone postacie mają grube kontury. Niemcy próbują zrobić sobie zdjęcie, ale żaden nie potrafi utrzymać selfiesticka.

Proszą o pomoc, zgadzam się i mówię, że muszę iść. Nie potrzebują czegoś jeszcze? Wymiana następuje szybko, a Niemcy ustawiają się jeden przy drugim. Mógłbym im powiedzieć, że zasłaniają sobą zbereźny mural, który tak im się podobał. Mógłbym uciec z telefonem. Nie robię jednego ani drugiego. Cykam zdjęcie, odchodzę bez pożegnania. Ten z logo Biohazard krzyczy, chce wiedzieć, dokąd się wybieram. Przecież nie mam domu! Bity zjadają śmiech.

Przed wyjściem czyjaś ręka spada na mój bark. Boję się, że to tajniak, że zostałem zauważony. Zamiast tego spoglądam w uśmiechniętą twarz znajomego Holendra na krok przed samozapłonem. Ślina na brodzie zaraz zacznie mu skwierczeć. Kręci głową, jakby chciał rozruszać kark, i okropnie cieszy się na mój widok. Przyciska mnie do mokrej koszuli. Próbuje coś wybełkotać, tylko nie potrafi. Wyciągam go na zewnątrz, przebijamy się przez chmurę dymu. Holender ociera lśniąca usta. Z radosnym wysiłkiem wyznaje, że to najlepsza noc jego życia. Fantastyczne miejsce, a ludzie wspaniali. Niemal jednocześnie sięgamy do swoich kieszeni.

Wystarczy opuścić Metelkovą, by znaleźć się w ciszy. Na szerokich ulicach nie ma pijaków ani meneli, nie przewalają się bandy napakowanych dresów, nikt nie wyprowadza psów. Mijam rzędy ciemnych okien i czuję się, jakbym czekał na telefon decydujący o życiu lub śmierci.

Niewidzialne oczy otwierają się w murach. Pocę się i trzęsę, cały czas sprawdzam, czy nie zgubiłem towaru i pieniędzy. Na schodach Rogu niemal tracę przytomność, w naszym pokoju ubrania zdejmuję jak pijak. Jest mi zimno i bardzo potrzebuję snu, ale stoję jeszcze nad posłaniem Marka. Chłopczyk śpi na boku, opatulony w koc. Rękę podłożył pod policzek. Porusza ustami – coś mu się śni. Patrzę na niego i przepelnia mnie spokój.

22 grudnia znów zaczyna padać śnieg. Płatki są jak białe blaszki i nie chcą się topić. Zakapturzeni, okutani w szale, z rękami w kieszeniach, drepczemy wzdłuż torów kolejowych. Ja i Marko. Po drugiej stronie remontowanego dworca wznosi się samotny budynek przypominający skocznię narciarską. Rowerzyści noszą gogle i kominiarki, na których skrzą się kryształki lodu. W rękawie trzymam brzeszczot pożyczony od Kosa.

Do parku Tivoli idziemy rozświetloną aleją. Powyżej rysuje się krępy budynek galerii otoczony fioletową poświatą. Marko rwie się do przodu i próbuje lepić śnieżki z twardego śniegu. Jedna rozlatuje się w locie, twarz owiewa mi lodowy pył. Lepię swoją, z równie marnym skutkiem. Naszą fortecą jest nieczynna fontanna. Toczmy tę kulawą bitwę, ścigamy się, kotłujemy na twardej, białej ziemi.

Zostawiamy za sobą budynek galerii, idziemy pod górę, w las, ścieżką, na której zamarzło błoto. Wchodzimy między drzewa. Nie mogę znaleźć właściwego, wszystkie są takie wielkie. Marko zaczyna marudzić, daje do zrozumienia, że się nudzi i chce wracać do domu. Ciągnie mnie z powrotem w dół i robi minę wściekłego królika. W takich chwilach najbardziej żałuję, że brakuje nam słów, żeby się porozumieć.

Mówię po angielsku, że przecież przyszliśmy po choinkę. Święta za pasem. Szkoda, że nie kupiliśmy jakiejś jak normalni ludzie, ale przecież muszę oszczędzać. Oczy Marka rozświetla zawadiacki błysk. Prosi mnie o brzeszczot. Daję, nim pomyślę. Chłopiec bierze go w zęby, zupełnie jak pirat szablę, i wspina się na jedno z wysokich drzew. Nim zdążę go powstrzymać, jest ponad moją głowę. Idzie po gałęzi, trzymając się innej. Wołam, żeby natychmiast schodził, ale nic sobie z tego nie robi.

Puszcza gałąź powyżej i chwyta czubek świerka. Wygina się do przodu, kuca i piłuje, drzewko się trzęsie, a ja mogę tylko krzyczeć i się miotać. Marko kładzie się na gałęzi i oplata ją nogami. Czub świerka gnie się i spada, za nim leci brzeszczot. Śnieg mnie oślepia. Czekam na krzyk, odgłos upadku. Marko zwisa z gałęzi, tak że widzę jego goły tyłek. Puszcza się i ląduje miękko obok mnie. Podnosi szczyt świerka, długi na metr, o gałęziach ciężkich od igliwia. Promienieje z dumy.

W Rogu zaraz zmieniam mu ubranie i robię herbatę. Kos narzeka, że zniszczyliśmy brzeszczot, i protestuje, gdy zabieram mu wiadro. Napęlniam je gruzem i śmieciami. Drzewko stawiam przy oknie. Wygląda o wiele piękniej niż choinki sprzedawane w Polsce.

Zabieramy się do przystrajania. Nieugięty Kos siedzi przy zaimprovizowanym biurku, odgrodzony murem książek, i notuje coś na karteluszkach. Powtarza, że umrzemy, nim drzewko uschnie. Marko odkłada telefon z najwyższą niechęcią, być może dlatego, że towarzyszy nam Nina, z którą spędza zdecydowanie za dużo czasu. Siadają na podłodze, byle dalej od siebie.

Marko naznosił plastikowych butelek. Z każdej wycinam dno, na które nakładam tłuste smugi kleju do papieru. Rozchodzą się od środka, upodabniając denko do śniegowego płatka. Biorę brokat od Niny, posypuję, przebijam denko gwoździem i przewlekam sznurek. Robimy aniołki

z makaronu penne i poszarpane gwiazdki z płyt kompaktowych, sklejonych tak, by błyszcząły z każdej strony. Marko zatracą się w sklejanu ogniów łańcucha wyciętych z darmowych gazet i ulotek. Ja robię dziury w puszkach, ucinam górę i wsadzam w nie świece. Nina przyniosła mnóstwo plastikowych widelców i skleja je w białą choineczkę – to będzie nasz szpic. Sterta ozdób rośnie. Nie mam pojęcia, jak się to wszystko zmieści na drzewku.

Wieszam jedną gwiazdkę, Marko w tym czasie cztery. Obiega choinkę z łańcuchem, który pęka i zwisa smętnie w dwóch częściach. Nawet Kos wstał znad notatek i przygląda się nam przez uchyloną kotarę. Gałązki ciężą ku ziemi pod ciężarem ozdób, brokat i płyty błyszczą w świetle świec. Nina próbuje nasadzić szpic z widelców na czubek, ale Marko chce zrobić to sam. Nina ustępuje. Chłopiec bierze go ostrożnie, podchodzi do drzewka, lecz nagle chwije się i go upuszcza. Widelce rozsypują się po podłodze, a z ust Niny dobywa się pełne rozczarowania westchnienie. Marko odsuwa się od choinki. Po prostu stoi, za to Nina zaczyna na niego krzyczeć po słoweńsku. Wygraża pięściami. Przypomina dziewczynkę, która właśnie się dowiedziała, że musi się z kimś podzielić ulubioną zabawką.

Marko siada na swoim pośłaniu i wyjmuję telefon. Nina wciąż macha pięściami i idzie w jego kierunku. Boję się, że skrzywdzi chłopczyka. Chwytam ją za ramię. Natychmiast mięknie i daje się wyprowadzić z pomieszczenia aż na schody. Mówię, że popsowała miły wieczór – przecież Marko nie chciał zniszczyć ozdoby, był niezdarny, jak to dziecko.

Nina bierze kilka głębokich oddechów i kręci głową. Obserwuje mnie od dłuższego czasu i wyczekiwała okazji do poważnej rozmowy, a lepszej nie będzie. Nie wie, dlaczego przyjechałem do Lubli ani przed czym uciekam, lecz nic jej to nie obchodzi – szukam miłości, pragnę dawać miłość, i to jest we mnie piękne. Ale chyba oszalałem, biorąc pod opiekę Marka. Ten chłopiec nie jest skrzywdzony ani trudny. Jest zły do szpiku kości. Radość sprawia mu wyłącznie krzywdzenie innych, tylko patrzy, jak mnie wykorzystać. Przeżuje i wypluje. Ulica nauczyła go troszczenia się wyłącznie o siebie. Nina milknie na chwilę, po czym wyznaje, że wszystko to mówi z troski. Nie chce, abym cierpiał.

A czego ulica nauczyła Ninę? Pytam o źródło tego pragnienia. Skąd to nagle zainteresowanie moją osobą? Nic dziwnego, że Marko jej unika przy tak niechętnym nastawieniu. Poświęcam mu każdą wolną chwilę. Interesuję się nim. Wychodzę naprzeciw każdej potrzebie i tak, mam serce na dłoni. Marko odpłaci mi sercem. Wystarczy poczekać. Każdy na coś czeka, dodaję, a Nina zaczyna się szarpać. Przecież wciąż ściskam ją za przegub.

W jasnym oku Lubli tkwi czarny śrut. Tortuga opiera się bożonarodzeniowej fali. Wyrasta po staremu z płata czarnej trawy i pokazuje całemu miastu kolorowy język ze śmieci. W oknach migoczą świece. Idę rozliczyć się z Antem i ledwo nadążam za Markiem.

Ante bierze mnie w ramiona jak starego kumpla i potrząsa, aż dzwonią medaliony. Myślę o tym, że widuję go tylko tutaj. Nie umiem wyobrazić sobie Antego na zakupach, na rodzinnym obiedzie, w autobusie. Zastanawiam się też, co zrobi, jeśli przedwcześnie odkryje moje plany.

Tortugę odwiedził stary pirat, którego się nie spodziewałem. Kos przycupnął na skrzyni z kubkiem w obu dłoniach, ma na sobie koszulę i perłową kamizelkę. Na mój widok podnosi brodaty łeb i przesuwą się na środek skrzyni, jakby w obawie, że usiądę obok niego. Ani mi to w głowie. Marko już zajął fotel. Zakłada nogę na nogę, splata dłonie na potylicy, tylko czekać, aż zaczną pogwizdywać. Głupio rozliczać się przy nim, strach w obecności Kosa, ale Ante już

proponuje rum i pyta, z czym przyszedłem.

Odmawiam alkoholu – mam dziecko pod opieką. Problem w tym, że dziecko chce się napić. Nie mogę ścierpieć, gdy pali, tymczasem Ante nalewa mu na trzy palce jak nic i podaje kubek. Zasłaniam sobą chłopczyka. Pytam Antego, czy zgłupiał. Marko ma dwanaście lat. Nie dość wycierpiał? Marko omija mnie i próbuje wziąć sobie kubek. Ante unosi rękę, Marko podskakuje, próbuje sięgnąć i kopie mnie w kostkę. Schylam się, masuję, a gdy znów stoję prosto, chłopiec siedzi już w fotelu i raczy się rumem.

Ante odciąga mnie na bok. Nazywa mnie fajnym facetem i mówi, że mało kto ma tyle serca, ale z tymi dwunastoma latami odrobinę przeszarżowałem. Unosi upierścieniony palec. Marko może i ma dwanaście lat, ale przeżył więcej niż my trzej. W ten sposób przypomina o Kosie, który opuszcza łeb i gapi się w ścianę. Ante ciągnie mnie do stołu, nalewa, zmusza, żebym pił. Powie mi coś w zaufaniu: zna Marka od wielu lat. Pamięta jego potworną matkę. Ten chłopiec w wieku przedszkolnym był dorosłym człowiekiem i zebrał taki wpierdół, że dziś nic go nie zabije, a już na pewno nie bania. Nie wiem, co odpowiedzieć, bo nie wiem, co przeżył Marko. Wspominam o wyprawie na sanki, nad Sawę i po drzewko. Zobaczyłem dziecko łaknące zabawy. Ante długo waży moje słowa, po czym wskazuje na Marka z kubkiem i papierosem.

– Przecież właśnie się bawi.

Wykładam na stół banknoty i świstek z rozliczeniem. Ante każe się nie wygłupiać, jednak pieniądze przelicza dokładnie, chwali za dobrą robotę i kopie w skrzynię. Kos natychmiast wstaje. Ante chowa należność i pozwala mu usiąść. Na nas już pora, lecz gospodarz nie chce o tym słyszeć. Właśnie domknęliśmy nasz pierwszy biznes i wypada poświętować.

Odpowiadam, że święta są dopiero jutro, zapraszam nawet do nas, na co Ante wybucha śmiechem i wręcza mi banknot dwudziestoeurowy. Nie uznaje żadnej Wigilii, ale rozumie, że dla mnie to ważny dzień. Pieniądz najlepszym prezentem. Informuje Kosa, że dostanie gówno, bo jest stary i głupi. Stukamy się kubkami. To jedyna bania, przysięgam. Potem wrócimy do Rogu.

Butelkę później sceneria nie uległa zmianie: Kos wciąż siedzi na skrzyni, podobny do żywej rzeźby, Marko stuka w telefon i pali. Już niedługo oderwę go od szluga i butelki. Ustawimy limit na elektronikę. W życiu chłopca pojawią się szkoła, karate, piłka nożna i filmy z superbohaterami. Zapiszę go nawet do jakiejś e-sportowej ligi, jeśli zechce. Będzie miał to wszystko, ale na razie siedzi z pustym kubkiem, skrzętem wysepionym od Kosa i białą słuchawką w jednym uchu.

Ante wyznaje, że w Marku widzi siebie sprzed lat. Pyta, czy wiem, co ich łączy, i sam podsuwa odpowiedź. Dorastali bez ojców. Ante miał co prawda ojczyma, ale mu zasłużenie wpierdolił i ma nadzieję, że Marko postąpi podobnie ze swoim starym. Matka chłopca to kurwa i pijaczka z ciężką ręką, dlatego wylądował tutaj. Ante mruży oczy, gdy wspomina o mamie. Sprzątała szkoły, a swoje cierpienie dźwigała jak dwa wiadra pełne brudnej wody. Zawsze porzucona. Zawsze bez pieniędzy. Przecież wiem, widziałem. Przychodzi chuj wie po co, dodaje Ante, a ja go nie słucham. Rum wygłusza te wiadra, te matki. Mówię, że ja również wyrastałem bez ojca. Moja historia jest jednak inna, bardziej zagmatwana. Jeszcze nie umiem o tym opowiedzieć.

Zdaniem Antego każda historia ma swój czas. Nie teraz, to kiedy indziej. Przecież jesteśmy przyjaciółmi, a on już rozumie, z czego ta przyjaźń wynika. Brak ojca jest jak zepsuty kompas i potrzaskany ster, trudno wówczas żeglować przez życie. Nie spodziewałem się po nim tak mądrych słów. Ante zmienia temat: oznajmia, że przed nami ważne dni, więc będę mógł się

wykazać. W święta nie ma po co wychodzić na miasto, lecz potem następuje czas żniw. Dla wielu turystów sylwester trwa przez tydzień. Czy wezmę więcej towaru? Razem zarobimy kupę pieniędzy i świat będzie należał do nas – dwóch wojowników przeciw skurwiałym ojcom i matkom bezradnym jak Kos. Ante uderza Kosa w głowę otwartą dłonią. Ten milczy, poprawia się na skrzyni. Rum pali w gardło. Bardzo mnie mdli.

Niechętnie wstaję. Mówię Markowi, że musimy iść, i zawieszam wzrok na Kosie, który w niczym nie przypomina mądrali z Rogu. Jest kukłą, starcem o czujnym uchu. Zapamiętałe przegląda te swoje karteluski. Żegnamy się z Antem i nieoczekiwanie dla siebie wypowiadam życzenia wesołych świąt. Ante reaguje śmiechem, znów brzęczą medaliony i bransolety. Żałuję, że muszę go oszukać. Żal trwa krótko, bo pijane dziecko pogania mnie i skacze przez śmieci.

W wigilijne popołudnie całą gromadą idziemy na plac katedralny, gdzie czeka poczęstunek. Na drewnianym podwyższeniu chórzyci przebrani za anioły kolędują, kołyszają biodrami i cały czas tupią. Wydruki z tekstem trzymają w zmarzniętych palcach. Skrzypek gubi melodię. Z boku sceny grupa notabli w płaszczach, garniturach i wielkich czapach próbuje śpiewać i chucha w dłonie.

Poniżej rozstawiono namioty z parującą dobroczynnością. Kawalerowie maltańscy zapraszają na bezpłatne konsultacje dentystyczne i kardiologiczne, mierzą też ciśnienie i rozdają witaminy. W największym namiocie ludzie podobni do mnie jedzą przy długim stole, wyraźnie speszeni obecnością wolontariuszy, dziennikarzy i ochroniarzy w kamizelkach odblaskowych. Przez moment wydaje mi się, że zobaczyłem Eve. Pracują kamery. Wciąż wiem, jak naciąga się kaptur na twarz. Na szczęście zjemy w Rogu.

Bierzemy weki, kiełbasę, słodką babkę i pierogi z jabłkami, urszulanki przelewają zupę fasolową do garnka. To, co ciepłe, wystygnie, bo czekamy jeszcze na racje żywnościowe od ludzi z Czerwonego Krzyża. Przed ich namiotem kłębi się karny tłum w wytartych kozuchach, w prochowcach i puchówkach z brudnym futrem. Z Niną i Kosem bierzemy Marka między siebie. Głodne dziecko przyciąga reporterów.

Siatki z darami rozdaje dziewczyna z mnóstwem tatuaży. Rozebrała się do samej koszulki, tak rozgrzewa ją praca. Odbieram siatkę, dziękuję. Dziewczyna odpowiada po polsku. Zagaduje, co tu robię, i zaraz rozumie niestosowność tego pytania. Nerwowo zaczyna mówić o sobie. Jest na Erazmusie i przedkłada pomaganie ludziom nad powrót na święta do Kłodzka. Jej ciemne spojrzenie kruszy mi kości. Ona wie, kim jestem i dlaczego uciekłem. Czytała w internecie, widziała w telewizji. Tak sędzę. Wszystko powraca do mnie lodowatą falą. Chcę uciec. Z tyłu napiera tłum. Kończę z dodatkową siatką darów i serdecznym pozdrowieniem z naszego popieprzonego kraju.

Dostaliśmy konserwy mięsne, krakersy, suszoną wołowinę, sok jabłkowy w kartonie i czekoladę, o którą natychmiast kłócimy się z Markiem, każdy w swoim języku. Mówię, że dostanie ją po kolacji. Na niektóre rzeczy warto poczekać, poza tym na wieczór mam zaplanowaną niespodziankę.

Nawet nie wiem, kiedy zrobiło się ciemno. Tłumny plac wypluwa nas na opustoszałe nadbrzeże. Pasma świateł układają się w spadające gwiazdy, komety i galaktyki, a wszystkie restauracje są zamknięte. Dron wyposażony w kamerę sunie nad Lublanicą.

Po powrocie do Rogu rozpalam kożę. Nasz stół świąteczny to oczyszczone z książek i notatek

biurko Kosa. Pod prześcieradło służące za obrus wpycham odrobinę zeschniętej trawy, budząc zdziwienie całego towarzystwa. Zabrakło dla mnie krzesła, więc siadę na wiadrze. Zapalam świece na choince. Marko po wielu prośbach zgadza się puścić kolędy z telefonu, co jednak kończy się fiaskiem – restaurację na dole zamknięto, nie mamy internetu.

Kos, w świeżej koszuli, z umytą sztuczną szczęką, długo odmawia modlitwę. Przebieram nogami z nudów, a jemu łamie się głos. Nie mamy opłatka, więc łamiemy się chlebem. Ninie życzę, aby znalazła dom i mogła widywać dzieci. Odpowiada, że czasem szczęściu trzeba pomóc – takie marzenia trudno realizować samodzielnie. Chciałaby, abym znalazł w sobie spokój, aby rzeczy, które we mnie wyją, umilkły. Nie spodziewałem się takich słów.

Klękam przed Markiem. Życzę mu samych słonecznych dni. Żeby był lubiany, żeby marzenia mu się spełniały, żeby jego życie było wolne od trosk, no i żeby został tym sławnym youtuberem, do czego niewątpliwie się nadaje. Marko patrzy w podłogę. Wypowiada kilka krótkich zdań po słoweńsku. Biorę go w ramiona, ale on nie odwzajemnia uścisku. Jeszcze nie jest na to gotowy.

Poważny Kos składa wszystkim te same życzenia. Musimy się wyzwolić z fałszywych pragnień i otworzyć serce dla Boga, miłosiernego Pana Nicości. Ten pobłogosławił nas w sposób szczególny: pozbawił dóbr doczesnych, wyłuskał z gnuśnych potrzeb. Dzięki temu nasza droga ku światłu będzie krótsza i mniej zawiła niż w przypadku reszty ludzkości. To rzekłszy, nasz prorok rzuca się na zupę z wkładką mięsną.

Jemy i rozmawiamy. Kos wspomina czasy, kiedy pracował w elektrowni atomowej. Wszyscy go pytali, czy się nie boi, a on patrzył na odcinek wypłaty i królował w knajpach. Wydawało mu się, że zawsze będzie dobrze, a świat nigdy nie ulegnie zmianie. Ludzie mieli pieniądze i czuli się bezpieczni. Ile dusz zwiedziono w ten sposób? Nina, której zesza już opuchlizna, nie ma nic przeciwko takiemu zwodzeniu, a nawet przyjąłaby miłosierdzie Boże w postaci dwóch pokoi i kablówki. Mamy jednak jedzenie na stole. Warto podziękować i za to.

Rozmawiamy jak dorośli, czyli o pierdołach. Nina opowiada anegdoty ze stacji benzynowej. Raz jedna babeczka spróbowała odjechać z węzłem od dystrybutora wciąż wczepionym w swoje porsche. Nawet gdy odkryła pomyłkę, nie odkleiła komórki od ucha. Jakiś facet wysiadł z auta nagi. Inny przyjechał na motolotni, i to z rozłożonymi skrzydłami. Śmiejemy się. Marko pokazuje zdjęcia i filmiki, a Kos przełyka kawałek babki, ociera usta i zaczyna śpiewać. Zawodzi jedną z tych melodii, które znamy wszyscy, tylko nie pamiętamy tytułu ani oryginalnego wykonawcy. W jego głosie mieszają się brud i słodycz. Pieśń narasta, Kos wstaje, kładzie dłoń na wyprężonej piersi i ciągnie nutę. Nagle milknie i zastyga z otwartymi ustami, wpatrzony w drzwi.

W wejściu tkwi ciemna postać z reklamówką. Horvat.

Horvat przynosi wiadro, siada między nami, podwija rękawy i wpycha sobie jedzenie do ust. Zabrakło talerza dla niespodziewanego gościa, więc kruszy na stół. Ma czystą koszulę i błękitne dzinsy. Jest pachnący i ogolony. Z siatki wyjmuje litrową butelkę wódki i z hukiem stawia na blacie. Nalewa tylko sobie. Patrzy po nas i mówi:

– Fajna choinka.

Nikt nie śmie się odezwać. Marko ma minę, jakby chciał prysnąć. Nina spuszcza głowę, a Horvat prosi, żebyśmy nie byli tacy smutni, w końcu są święta i siedzimy sobie razem jak

wielka, pierdolona rodzina. Może Kos dokończy tę piosenkę?

Nina pod stołem bierze mnie za rękę. Nie czuję się z tym komfortowo i wcale nie podoba mi się Horvat, z tą czerwieniejącą gębą i chytrymi oczami. Wygląda, jakby zamierzał mnie uderzyć, co nie stanowiłoby specjalnej nowości. Opróżnia kubek wódki i przeprasza za swoje chamstwo. Przecież wszyscy chętnie się napijemy! Za dziecięczo w żłóbku! Za wolność! Za nasz wspaniały Rog! Korzystam z okazji, puszczam dłoń Niny. Nina natychmiast sztywnieje i przykłada palce do ust.

Horvat pochyla się nad stołem i pyta, jak się mamy. Chyba nieźle, skoro urządziliśmy sobie taką wspaniałą Wigilię. Zagaduje Kosa o jego zdrowie i pracę kompilatorską, chce wiedzieć, czy scalili już święte księgi w jedną, czy jeszcze musimy poczekać. Ninie mówi, że pięknie wygląda. Znają się kawał czasu, a on, głupi pijak, nie zauważył, jak zachwycająca kobieta kręci się w okolicy. Nalewa sobie i przenosi wzrok na mnie.

Słyszał o mojej nowej robocie – oprowadzam turystów po mieście, czyż nie? W przymilnym głosie chrzęści brud. Horvat pociąga z kubka i dodaje, że kiedyś robił coś podobnego. To był fajny szmal. Tylko zdarzyła się ta przykra historia z aresztowaniem, ot, taki epizod, o którym nie warto myśleć. Chce powiedzieć coś jeszcze, ale pobladła Nina wstaje od stołu. Przeprasza, mówi, że zaraz wróci. Słyszemy, jak zbiega po schodach.

Czuję się jak małżonek złapany na zdradzie. Dukam, że po prawdzie zajmuję się czymś innym. Wziąłem robotę, którą Horvat odrzucił, nie sądziłem, że go wypuszczą. Przecież bardzo się cieszę, że jest już z nami. Możemy pracować razem, jeśli chce, podzielimy się interesem. Horvat pięknie prosi, abym stulił ryj. Wszystko rozumie. Na moim miejscu postąpiłby podobnie. Między nami dobrze jest. Napijmy się!

Odmawiam. Ratunek zjawia się w postaci Niny. Odzyskała rezon, poprawiła makijaż i zmierza ku nam tanecznym krokiem. Horvat całuje ją w dłoń, proponuje kielicha. Nina szczebiocze, że nie powinna, ale w końcu są święta. Horvat ryczy na Kosa, żeby ten śpiewał. Kos swoim zwyczajem kładzie uszy po sobie i powraca do przerwanej piosenki. Horvat ujmuje Ninę w tali, ona kładzie mu dłoń na ramieniu, zaczynają tańczyć w świetle świec.

Bujają się ospale, potykają o wystające krawędzie desek podłogowych, ubrania i butelki. Ich biodra się stykają, a ręce są splecione. Mam wrażenie, że twarz Niny nieustannie obraca się w moim kierunku. Kos kończy piosenkę, zaczyna następną, a Horvat krzyczy, że przydałby się rytm. Uderzam dłonią w stół. Horvat przyciąga Ninę do siebie, wykreca taki piruet, że aż kurz wzbija się pod sufit. Głos Kosa się łamie. Dłoń Horvata zjeżdża poniżej pleców. Nina zarzuca mu ręce na szyję, a on krzyczy na Kosa, żeby nie przestawał śpiewać. Tańczą powoli, przytuleni, do mojego rytmu, rytm zwalnia i oni zwalniają, płacze się i oni są splątani. Nieruchomieją przy sobie. Tylko Kos śpiewa, bo Horvat nie kazał mu przestać.

Owładnięty niezrozumiałym poczuciem straty, zabieram Marka do naszego pokoju. Siadamy na jego posłaniu. Mówię, że mam dwie niespodzianki, a pierwszą jest czekolada z darów. Marko wyrywa mi ją z dłoni, rozdziera papier i zaczyna zjadać. Nawet nie łamie na paski, po prostu wgryza się w tabliczkę. Już po czekoladzie. Patrzenie, jak je, sprawiło mi wielką radość. Trochę żałuję, że się nie podzielił, ale jest jeszcze dzieckiem. Jak często dostaje takie rzeczy?

Sięga po telefon. Proszę, żebyśmy porozmawiali, choć brakuje wspólnego języka. Wyciągam kartkę i długopis. Piszę, rysuję, kreślę, robię wszystko, aby zrozumiał, co mam do powiedzenia. Zgromadzę trochę pieniędzy. Sylwester to czas żniw, jak mówił Ante, ale Ante nie wie, że nie przyjdę do niego z utargiem. W Nowy Rok wyjedziemy we dwóch do Wiednia. Ja i Marko. Ukryjemy się w wielkim mieście. Wynajmę jakiś pokój, znajdę pracę, a on pójdzie do szkoły.

Pokój zmieni się w kawalerkę, a kawalerka w dom. Powoli zdobędziemy to, co mają normalni ludzie: ładne meble, biblioteczkę i wielki telewizor. Marko zyska nowych przyjaciół, takich, którzy interesują się internetem, a także dowie się, czym jest sport i lektura przed snem. Musimy tylko wyjechać. Lublana go zniszczy. Marko patrzy na mnie poważnie. Pytam, czy zrozumiał. W noworoczny poranek idziemy na dworzec. Nikt nie może o tym wiedzieć. To nasza tajemnica.

Chłopiec kiwa głową i wyciąga rękę po telefon. Zagrzebuje się pod kocem i gapi w ekran. Myślę o tym, ile ten malec przeżył i z jakim trudem nauczył się chronić. Mam ochotę go przytulić i może nawet bym to zrobił, gdyby nie Kos, który pojawia się w naszym pomieszczeniu. Przyniósł ze sobą koce i poduszkę. Siada w rogu, mości się, zamyka oczy. Zza ściany dochodzą jęki Niny i sapanie Horvata.

Budynku dworca broni pomnik generała na koniu, przed którym parkują autokary. Na bocznicach stoją pociągi pomalowane przez grafficiarzy. Sam dworzec jest długi, stary i pobielony, wewnątrz pachnie kurzem i tanim jedzeniem. Pierwsze, na co zwracam uwagę, to karteczki rozklejone na całym budynku. Od razu je rozpoznaję.

W kasie proszę o dwa bilety do Wiednia. Podaję datę i godzinę, bo wcześniej sprawdziłem rozkład. Kasjerka dziwi się na widok pomiętych banknotów i góry bilonu. Przelicza powoli, drukuje bilety, a ja czuję się jak złodziej. Przysięgłbym, że ta brzydka, krępa kobieta pracuje dla Antego. Wychodząc, zerkam za siebie, czy nie sięga po telefon.

Ubieramy się na bazarze, gdzie pełno ciekawskich spojrzeń. Patrzą na nas klienci i handlarze, a także inni ludzie filujący z okien kamienic. Pachną ziemniaki i pieczone kasztany. Kupuję dwie pary spodni, chłopiec dostaje też nową bluzę i puchową kurtkę z kapturem. Marudzi, nie chce mierzyć. Znajome karteluszek wirują na zimnym wietrze.

Racje żywnościowe zniknęły błyskawicznie. Nie oszczędzamy niczego, co jest za darmo. W markecie kupuję wodę w małych butelkach, zupki chińskie, krojone salami, suchary i rogala z czekoladą, w aptece – leki przeciwgorączkowe, ibuprofen, syrop na kaszel. Zastanawiam się, czy Marko cierpi na chorobę lokomocyjną. Wziąłbym coś i na to, ale pieniędzy mało, waham się, odchodzę od okienka, by zaraz powrócić. Proszę o aviomarin i natychmiast rezygnuję z zakupu. Staruszka czekająca w kolejce proponuje, że kupi wszystko, czego mi potrzeba. Proszę więc jeszcze o komplet witamin dla syna. Używam właśnie takich słów. Staruszka ma znoszone futro z liniejącym lisem i powykręcane palce. Płaci za moje lekarstwa. Przecież powinno być odwrotnie.

Zakupy wnoszę do Rogu pochowane w kieszeniach i pod kurtką. Pakuję je do siatek i ukrywam pod stertą łachów. Mam nadzieję, że nowe spodnie i bluza nie przejdą ich zapachem. Wyobrażam sobie, jak wysiadamy z pociągu na wiedeńskim dworcu, niewyspani i szczęśliwi, czysti, w nowiutkich ubraniach.

Marko ma aż trzy powerbanki, z czego jeden damski, stylizowany na puderniczkę, wyposażony w lusterko. Zabieram je nie bez protestów i tłumaczę, że podróż potrwa długo. Kupiłem bilety na najtańszy pociąg, zapewne bez gniazdek. Naprawdę Marko chce odbyć podróż ku nowemu życiu z wyładowanym telefonem?

Przemierzam Lublę w poszukiwaniu gniazdek. Prąd jest darmowy tylko dla tych, którzy płacą: w kawiarni musiałbym zamówić wodę, a w muzeum kupić bilet. Z biblioteki mnie wyrzucają. Mógłbym poprosić Ninę, by zaniósła powerbanki na stację benzynową, jednak nie zdradzę jej

naszej tajemnicy. W końcu zachodzę do jednego z tych obskurnych pubów, gdzie na ścianach z ciemnego drewna wiszą zdjęcia sportowców i piłkarskie proporzki. Zamawiam kawę. Korpulentny barman z rudą brodą pyta jaką. Myślałem o najtańszej, o zwyczajnym espresso, lecz proszę o latte z syropem trzcinowym. Pytam, czy mogę skorzystać z kontaktu. Barman się zgadza. Mina mu rzednie, gdy wyciągam te wszystkie ładowarki i powerbanki. Kontakty są akurat trzy.

Nie pamiętam, kiedy ostatni raz siedziałem na kawie. Spienione mleko zbieram łyżeczką. Biorę drobne łyki. Chcę, żeby ta przyjemność trwała jak najdłużej, ale też boję się, że barman każe zamówić coś jeszcze albo chociaż będzie patrzył tak nieprzyjemnie. Czuję na języku łagodną gorycz, złamaną przez mleko i słodki syrop. Przy stoliku obok mężczyźni w moim wieku piją piwo i zaśmiewają się z bzdur napisanych na znalezionym kartelusku.

Karteluski Kosa są wszędzie: w wagoniku kolejki jadącej do zamku, na Starym Targu, przed Domem Hauptmanna, walają się na moście Potrójnym i spływają Lublanicą. Literki są ścieśnione, jakby Kos oszczędzał papier. Zagaduję tych z sąsiedniego stolika, co ich tak rozbawiło. Te karteczki są wszędzie, ciekawią mnie, tylko nie umiem po słoweńsku. Panowie się śmieją, proponują piwo. Jeden z nich, czerwony na gębie, w sportowych okularach, tłumaczy, w czym rzecz. Pozostali pokładają się na stole, gwizdzą, tacy są ubawieni.

Oto prawda ze świętych ksiąg. Chrystus zstąpił na Ziemię powodowany miłością do ludzi. Chciał umrzeć za nasze winy, co rzeczywiście nastąpiło. Ale stało się coś jeszcze. Chrystus – zdradzony, opuszczony przez uczniów, niesprawiedliwie skazany i umęczony – zmienił zdanie o człowieku. Znienawidził nas i tę nienawiść zabrał w wieczność. Zbawienie zmieniło się w zemstę bez końca. Chrystus siedzi w Niebie i zsyła nieszczęścia na nas wszystkich. Odbiera dzieci rodzicom. Ofiarowuje zapalenie okostnej, raka odbytu i głodowe pensje. Ludzkie nieszczęście tak go cieszy, że bez przerwy zaciera dłonie. Jego nienawiść jest tak ogromna, że postanowił nas zniszczyć – nie mógł znieść postępu w mieszkalnictwie, żywieniu i medycynie. Nienawidził penicyliny i tego, że ludzie przestają być głodni. Dlatego obróci ten świat wniwecz.

Armagedon nastąpi w sylwestra bieżącego roku, a uradowany Chrystus będzie spoglądał na nas z góry. Tak właśnie będzie, takó rzecze Kos. Facet, zanosząc się śmiechem, odkłada karteczkę. Wraz z przyjaciółmi unoszą kufle. Wołają, że trzeba pić czym prędzej, bo czasu niewiele.

Ante przyjmuje mnie wieczorem, tryskając serdecznością. Stopy w skórzanych butach wywalił na stół, a tłuszcz z kurczaka ścieka mu po delikatnych palcach, paskudzi spodnie i szklanke z czerwonym winem. Ante chce wiedzieć, jak radzę sobie w pracy i czy nowe zadania nie przeszkadzają w opiece nad Markiem. Uważnie słucha moich odpowiedzi. Gdy przekrzywia głowę, z tym ostrym nosem przypomina ptaka. Zdaję sobie sprawę, że widzę go po raz ostatni. Żle mi z tym, co muszę zrobić.

Życie polega na sztuce wyborów, redefiniowałem swoje cele i wyznaczyłem nową ścieżkę, na której nie potrzebuję toksycznych znajomości. Mówię, że jestem gotów do pracy. Ante odkłada ogryzioną kość, ściąga nogi z blatu i wstaje. Patrzy mi w oczy, cmoka: jeśli chcę, mogę się wycofać. Podziękuję, wyjdę, między mną a nim będzie w porządku. Przecież jesteśmy przyjaciółmi.

Tknięty sumieniem, waham się nazbyt długo. Boję się, że Ante nabierze podejrzeń. Muszę być

twardy i nieustraszony. Za trzy dni będę w innym mieście. Odpowiadam, że nie rzucam słów na wiatr. Przyjaźnimy się, ale i razem pracujemy. Ante spogląda chłodno, lecz kładzie mi dłoń na ramieniu i poklepuje.

W Tortudze płonie więcej świeczek niż dotychczas, a na stole obok kordelasa stoi butelka czarnego kapitana morgana. Z gwoźdźcia zwisa skórzana kurtka. Przy barłogu obok sterty książek leży karton papierosów. Ante otwiera kufer i wydziela towar w jednogramowych porcjach. Mógłby mnie obsypać tymi woreczkami. Liczy i prosi, żebym zrobił to samo – wolałby uniknąć nieporozumień. Znał już takich frajerów: brali siedemdziesiąt, a potem przynosili szmal za sześćdziesiąt pięć i udawali, że wszystko jest w porządku. Nie jestem frajerem, prawda?

Dilpaki dzielę na dwie kupki. Większa trafia do plecaka, resztę upycham po kieszeniach. Myślę o długiej drodze do domu i nadchodzących dniach, które będą jeszcze dłuższe. Nieoczekiwanie Ante wyznaje, że jeszcze nikomu tak nie zaufał. Ulica nauczyła go ostrożności, czasem jednak pojawia się człowiek, który przywraca mu wiarę w życie. Tym człowiekiem jestem ja, dodaje Ante i sporządza kolejną notatkę na marginesie *Królowej Czarnego Wybrzeża*. Pyta, czy może coś jeszcze dla mnie zrobić. Co powiem na odrobinę rumu? Odmawiam. Do czekającego mnie zadania potrzebuję i jasnej głowy, a pracę zawsze traktowałem poważnie. Ante oświadcza, że taki facet jak ja trafia się raz na milion. Nim wyjdę, podaje mi rękę i przywołuje na twarz znajomy ostry uśmiech. Przypomina, że widzimy się w noworoczny poranek. Gdybym nie przyszedł, pękłoby mu serce. Dawno z nikim nie połączyła go tak silna więź. Stopy wody pod kilem!

Droga do Rogu trwa dłużej niż zwykle. Nad Lublą rozpościera się ciemnożółta luna, daleką katedrę podświetlono na niebiesko. Ludzie wypakowują napchane siatki z bagażników, huczy samotna petarda. W powietrzu czuć siarkę, a ja nie mogę ze sobą wytrzymać. Oglądam się za siebie i spuszczam wzrok za każdym razem, gdy ktoś mnie mija. Mój plecak staje się przeźroczysty i ja też taki jestem. Najchętniej podarłbym te bilety.

Marko siedzi z Niną w Rogu. Gra na telefonie i nawet nie podnosi wzroku. Nina zabija czas, przeglądając katalog Ikei. Napcha sobie głowę fotografiami płyt grzewczych, biurek dla knąbrnych nastolatków i materacy dla dwojga, a potem pójdzie spać do samochodu. Dziękuję jej za pomoc, jest wolna. Lecz Nina wcale nie chce iść. Ciągnie mnie na korytarz i prosi, żebyśmy porozmawiali. Nie mam czasu, muszę posiedzieć z dzieckiem. Nina naciska. To zajmie tylko chwilę.

Już sama jej sylwetka – krucha, z pochyloną głową – budzi bezrozumną wściekłość. Chcę nakrzyczeć na tę dziewczynę, chcę nią potrząsnąć, żeby wreszcie stanęła prosto, żeby odkleiła brodę od dekoltu. Nina patrzy smutno i powoli, głosem skrzywdzonej dziewczynki prosi, żebym nie ufał Antemu. Nie jestem pierwszym, który dla niego pracuje. Czy zapomniałem o aresztowaniu Horvata i o tym, co Ante zrobił jej? Odpowiadam, że jestem dorosły i sobie poradzę. Nina przypomina, że uważała podobnie.

Przysuwa się, kładzie mi dłoń na sercu. Nie przypuszczała, że ktoś taki jak ja stanie się jej bliski. Wie, czym się zajmuję, bardzo ją to niepokoi, ale nie zamierza z tym walczyć. Prosi tylko, żebym przyjął drobny prezent. Wezmę, a już przestanie przeszkadzać. Niech wreszcie zamilknie. Niech przestanie tak patrzeć.

Nina wręcza mi nóż. Jest czarny, z ostrzem długim na dziesięć centymetrów i gumową rączką, bardzo ostry. Brakuje pochwy. Nie mam pojęcia, co powinienem z nim zrobić. Za pasek nie wetknę, do kieszeni także. Nina podwija mi rękaw. Jej dotyk jest zaskakująco przyjemny. Sięga po taśmę klejącą, przytwierdza nóż do mojego przedramienia, opuszcza rękaw i całuje mnie

w policzek. Prosi, żebym na siebie uważał, i schodzi po schodach. Przystaje na półpiętrze, obraca się, by na mnie spojrzeć, i zbiega na dół.

Na półce wystawowej w cukierni stoją Miki i Minnie, oboje czekoladowi i w czerwonych kubraczkach. Kołyszają słodkimi głowami. Poniżej tłoczą się choinki i bałwanki, również z czekolady. Migoczą lampki na domku dla lalek. Przed cukiernią Peruwiańczycy rozłożyli kramik z płytami i talizmanami. Odziani w wełniane czapki i poncza grają na fletniach i okarynach, grzechoczą i tańczą. W oknach zamku, zwykle ciemnych, palą się światła.

Na schodach katedralnych, pod gwiazdą, stanął brodaty prorok. Kos rozpoczyna swoje nauczanie. Założył marynarkę i koszulę, bez kurtki, choć trzaska mróz. Ściska długi drąg z ciemną gwiazdą na szczycie i przemawia, wyciągając ręce przed siebie; nie mówi, lecz pohukuje. Nieustannie pokazuje na niebo i próbuje korzystać z notatek. Roześmiani młodzi ludzie filmują go lub robią sobie selfie na jego tle. Nikt nie przystaje na dłużej, aby posłuchać. Ja również, ponieważ pracuję.

Pod katedrą tłoczno, dudnią słoweńskie piosenki taneczne. Idę na Stary Targ, na Poljanską, spaceruję nadbrzeżem, zagaduję obcokrajowców, którzy wyszli na dymka przed knajpę. Rozumiemy się niemal bez słów. Nie czuję strachu ani wstydu, bo moja praca czemuś służy. To już ostatni dzień. Zastanawiam się, dlaczego wcześniej sprzedaż szła tak opornie. Klienci życzą mi wszystkiego dobrego i serdecznie się śmieją. Pierwsze nieśmiałe race biją w niebo.

Nowy Rok zastaje mnie w centrum. Ludzie padają sobie w ramiona i się całują, tylko ja stoję sam, z ciężkimi kieszeniami. Nad zamkiem rozkwitają fajerwerki – ogniste kule o długich ogonach, elektryczne wrzosowiska i świetlne konfetti. Tłum wiwatuje, krzyczy, wybuchy na niebie robią się coraz większe i różnokolorowe, twarze w ich blasku zmieniają kolor na czerwony, żółty, błękitny. Wreszcie cały zamek znika w oślepiającym świetle. Wyłania się po chwili, spowity dymem, w którym rozbiegają się zielone świetliki. Nagle ktoś mnie ściska, całuje w oba policzki. To dziewczyna przystrzyżona na pazia, o oczach podkreślonych rozmazaną już czarną kreską. Nie martw się, prosi, wszystko będzie dobrze. Znajomi ciągną ją w tłum, nim zdąży odpowiedzieć.

Lubla przypomina pole bitwy. Strzelają korki od szampana, race wirują na chodnikach, nieliczne samochody suną powoli przez tłum. Wszystko huczy i świszczy. Rozpinam kurtkę, ocieram twarz – gorąco. Jakiś człowiek zawodzi, gapiąc się w rozerwaną dłoń. Nie nadążam z liczeniem pieniędzy.

O świcie opustoszały plac katedralny lśni. Latarnie, światełka i wielka choinka odbijają się w dywanie potłuczonego szkła. Na schodach wiodących do katedry siedzi zrozpaczony święty. Skrzyżował ramiona na kolanach i patrzy przed siebie tak, jakby już nigdy miał nie zasnąć. Nos mu się wydłużył, policzki zapadły. Lublanica płynie po staremu. Czerwieni się szron na drzewach. Świat wcale się nie skończył. Dla mnie jednak coś się skończyło.

Wracam do Rogu, myśląc tylko o tym, że robię to po raz ostatni. Już nigdy nie zobaczę robota przy drzwiach ani samochodu Niny (powinienem jej zostawić kartkę, niech się nie martwi), nie wyjdę po potrzaskanych schodach i nie zasnę na styropianie. Zakupy zrobię w innym supermarkecie i już nigdy nikt nie będzie mnie bił. Na piętrze jest ciemno i cicho.

Spodziewałem się, że Marko będzie spał, ale on siedzi na brzegu łóżka z telefonem w dłoniach. Musi się bardzo cieszyć, nawet zapomniał się spakować z tej radości. Mówię mu, że

zaraz wychodzimy, niech zbiera swoje rzeczy. Wyliczam nawet – kurtka, spodnie, bielizna – lecz on wciąż tkwi w tej samej pozycji. Zapewne boi się wyruszać w nieznaną. Pocieszam go, że sobie poradzimy. Spod szmat wyjmuję ubrania. Przeliczam pieniądze. Prawie czterysta euro, na początek starczy.

Resztę mefedronu wyrzucam do wanienki pełnej brudnej wody i wołam na Marka, żeby się wreszcie ruszył. Nie powinienem tak krzyżeć, myślę, a z ciemnego kąta wyłania się Ante w skórzanej kurtce z frędzlami i nożem w drobnej dłoni. Przez moment myślę, że to duch. Marko podnosi się z łóżka i staje obok niego. Już wiem. Tylko nie mogę uwierzyć.

Kos miał rację i świat rzeczywiście się skończył. Tak właśnie spełniają się proroctwa. Rzucam się w stronę wyjścia, lecz drogę blokuje mi Horvat, którego pięści znam aż za dobrze. Chwyta mnie za kurtkę i zrzuca ze schodów. Na półpiętrze próbuję się podnieść, próbuję coś powiedzieć. Cała trójka wyrasta nade mną. Nie czuję strachu, jedynie rozpacz. Ante daje znak, a but Horvata wciska mi głowę w gruz i szkło.

Po tym, co wydarzyło się wiosną 2010 roku, wyprawianie Mikołaja do szkoły przypominało piknik po spacerze przez pole minowe, a marudność sześciolatka wydawała się uroczą i ciepłą. Posłaliśmy go do szkoły rok wcześniej, o czym mama nie chciała słyszeć. Mówiła, że okradamy chłopczyka z dzieciństwa i odbieramy dwanaście miesięcy beztroski, których nie odda mu nikt, a na pewno nie my. Rodzice bywają bezlitośni jak życie. Dowiedziała się od Julki, gdzie może sobie wsadzić takie mądrości, i natychmiast zmieniła front: tłumaczyła Mikołajowi, jaki jest wyjątkowy, mądry i zdolny – dlatego właśnie idzie do szkoły wcześniej. Po raz pierwszy odmówiła pomocy, w czym widziałem zemstę za nasz upór. Dość powiedzieć, że za wyprawkę zapłaciłem z własnych pieniędzy.

Mały codziennie histeryzował przed wyjściem z domu, bite trzy tygodnie. Nie potrafił wysiedzieć na lekcji. Nudził się, bo dawno już umiał czytać i liczyć. Biegał, rzucał piórnikiem i szarpał się z innymi dziećmi. Nauczycielki słały esemesy, z którymi nie wiedziałem, co zrobić. Później jego kolega rozebrał się na zajęciach plastycznych i nikt już nie złościł się na Mikołaja. Po miesiącu przyzwyczał się do szkoły, traktował ją jak zło konieczne i warunek, który musi spełnić, by pozwolono mu zająć się tym, co pochłonęło go bez reszty: graniem na komputerze.

Na próżno proponowałem mu inne zajęcia. Często powtarzał, że się nudzi. Jeśli stoczyliśmy już codzienną batalię o odrobienie zadań domowych, prowadziłem go do biblioteczki i prosiłem, by wybrał sobie książkę i poczytał. Wówczas przewracał oczami i mówił: „Oj, tato”. Lubił komiksy o ludzikach z klocków Lego i zeszyty z serii *Ben 10*, ale wzgardził przygodami Kajka i Kokosza, które mu podrzuciłem. Powiedział, że jestem stary, i zapytał, kiedy dopuszczę go do komputera.

Ponieważ nie mogłem z nim walczyć, postanowiłem zrozumieć. Podsunąłem gry strategiczne w rodzaju *Civilisation* i *Starcraft*. Dla Mikołaja były za trudne, więc cieszył się rolą obserwatora. Usadowieni blisko siebie, nieraz objęci, wynajdywaliśmy proch, silnik parowy i rakietę. Toczyliśmy wielkie kosmiczne bitwy. Prowadziłem armię terranów na fortyfikacje zergów i protosów, teatralnym głosem relacjonowałem przebieg walki, naśladowałem syk laserów przecinających pancerze, ryk silników i chrzęst żelaznych stawów w nogach maszyn kroczących. W mojej opowieści anonimowi wojownicy zyskiwali imiona i własną historię. Ogromne płonące statki z hukiem uderzały w powierzchnię planety. Mikołaj prosił, bym przed snem opowiadał mu

baśnie ze świata *Starcrafta*.

Osiągnąłem sukces na jednym polu, przegrywając na innym. Mikołaj zapalał miłością do piłki nożnej. Po szkole grał z kolegami i snuł plany kariery w Legii, klubie, który w tym roku zdobył Puchar Polski. Domagał się klubowych koszulek i spodenek, męczył o rękawice, a najbardziej na świecie chciał poznać słynnych polskich bramkarzy, Łukasza Fabiańskiego, Wojtka Szczęsnego i jeszcze Wojtka Skabę. Wymieniał też mnóstwo innych nazwisk, dzielił się ciekawostkami z boiska i bez przerwy pytał mnie o najróżniejsze wyczyny piłkarskie. Kto jest najlepszym obrońcą na świecie? Kto strzelił najwięcej goli? Jaka była największa różnica w wyniku? Odpowiadałem, że nie wiem, tłumaczyłem, że nie mam pojęcia o piłce nożnej. Mikołaj wciąż pytał. Zmilczałem, że gdy byłem w podstawówce, nikt nie chciał mnie do drużyny.

Z Patrycją spotykałem się już niemal od roku. Widywaliśmy się mniej więcej co dwa tygodnie, tak by nie wzbudzać podejrzeń. Czasem brałem urlop albo mówiłem Julce, że idę na piwo z kolegami, których nigdy nie miałem. Byliśmy kochankami bez łóżka i dachu nad głową. Patrycja wciąż mieszkała z byłym chłopakiem, który pracował w domu, był gruby i codziennie zamawiał chińszczyznę, oszczędzając sobie schodzenia z pierwszego piętra do kebaba na dole. Pytałem, kiedy się wyprowadzi. Patrycja odpowiadała, że oby jak najpóźniej. Płacił czynsz i rachunki, podczas gdy ona walczyła ze zmiennym nastrojem. Chińszczyznę zamawiał także dla niej.

Moglibyśmy się spotykać u mnie – Julka wychodziła do pracy, Mikołaj był w szkole – bałem się jednak, że zobaczy nas któryś z sąsiadów, poza tym nie wyobrażałem sobie, jak po wszystkim ściele małżeńskie łóżko, jak czyszcze pościel i denerwuję się, czy nie pozostał zapach perfum Patrycji. Znalazłem inny sposób. W domu pieniądze mieliśmy wspólne, ale Julka nie sprawdzała wydatków. Wróciłem do oszczędzania na biletach, a z każdego zakupu urywałem dychę albo dwie. Po dwóch tygodniach starczało na butelkę wina i pokój w hoteliku na Pradze. Hotelik mieścił się w tej samej kamienicy, w której jeszcze niedawno mieszkał Neuroshima, teraz pięknie odnowionej. Klucze odbieraliśmy koło południa. Do domu wracałem wieczorem. Grałem pijanego, zwałłem się na łóżko i udawałem, że śpię, choć długo nie mogłem zasnąć.

Łowiliśmy chwile bezcennej bliskości, a ja odkrywałem siebie na nowo – mąż, ojciec, pracownik stawał się na parę godzin dzieckiem roztopionym w zakazanym szczęściu. Opowiadałem Patrycji o książkach i filmach, a ona słuchała, trzymając mnie za rękę. Powtarzała, że jestem wyjątkowy, że takich już nie produkują. Niekiedy równocześnie wypowiadaliśmy to samo słowo albo wybuchaliśmy śmiechem. Jej ciało było chętne i za każdym razem miałem wrażenie, jakbym odkrywał je po raz pierwszy. Myślałem, że taki seks zdarza się tylko w filmach, ale chodziło o coś jeszcze. Patrycja bez przerwy się przytulała, oplatała mnie nawet nogami. Tłumaczyła, że musi się naładować bliskością, by starczyło na dwa tygodnie rozłąki.

Rozłąka nie była pełna. Wieczorami, gdy Mikołaj już spał, a Julka siedziała nad swoim laptopem, rozmawialiśmy na czacie. Patrycja w długich poetyckich wiadomościach rozpisywała się na temat tego, co i jak mi robi, gdy ponownie się zobaczymy. Dziękowała mi, że się pojawiłem w jej życiu, i liczyła dni do następnego spotkania. Niekiedy uderzała w poważniejsze tony. Opowiadała o dniach, które umknęły przetraczone na płakaniu w pościeli, i paraliżującym lęku przed jutrem. Tak dawno straciła siebie, że już nie wie, kim jest ani kim była przed Czarną Huśtawką. Nie wiedziałem, jak na to zareagować, nie potrafiłem też pisać tak wiele, jakby cała moja elokwencja zniknęła w zetknięciu z jej pięknem i smutkiem. Najczęściej powtarzałem: będzie dobrze, będzie dobrze, będzie dobrze.

Czasem po pracy podjeżdżałem w rejony ronda Jazdy Polskiej. Patrycja czekała w przejściu

podziemnym, gdzie sprzedawano kwiaty, zapiekanki i suplementy dla kulturystów. Obściskiwaliśmy się w załomach, trzymaliśmy się za ręce i patrzyliśmy sobie w oczy. Raz uklęknałem, a ona delikatnie przytuliła moją gorącą głowę do brzucha. Ta bliskość w przejściu podziemnym trwała najwyżej piętnaście minut. Odrywaliśmy się od siebie jak ciało od kości i każde szło w swoją stronę. Ja do rodziny, ona do grubego mężczyzny, który jej nie chciał i nie kochał, ale zamawiał jej chińszczyznę.

Tylko raz moja tajemnica była bliska ujawnienia. Widywaliśmy się wtedy dopiero od kilku miesięcy. Uprzedziłem Julkę, że pracuję nad ważnym projektem, więc muszę pojechać w sobotę do biura. Nie było w tym nic podejrzanego, bo czasem rzeczywiście musiałem zostawać w pracy na weekend. W drodze na Pragę zauważyłem dziwne poruszenie. Wszyscy nerwowo rozmawiali przez telefony, niektórzy płakali. Telewizor w hotelowej recepcji wyświetlał zdenerwowanego Donalda Tuska w czerni i bieli. Myślałem tylko o tym, że zaraz będę sam na sam z Patrycją. Przez dziesięć godzin kotłowaliśmy się w pościeli i mówiliśmy sobie cudowne rzeczy. Gdy wracałem do domu, świat falował. Zasmucony sprzedawca w Źródółku sprzedał mi setkę wódki, którą przepłukałem usta i wypłułem. W domu udawałem bardzo pijanego, powiedziałem jak zwykle, że skoczyłem z kolegami na kielicha, tak dobrze poszła nam praca. Strwożona Julka zapytała, co z nami, co z Polską teraz będzie. Nie miałem pojęcia, o co jej chodzi – wcześniej Polska jej nie zajmowała. Julka wyjaśniła, że w Rosji spadł polski samolot. Zginął prezydent, generałowie i ministrowie. Gdzie naprawdę byłem? Jak mogłem o tym nie wiedzieć? Przecież moja mama wydzwania co pół godziny z Krakowskiego Przedmieścia, rozpacza, że ruskie znów Polaków mordują. Odparłem, że pochłonęła mnie praca, a zaraz potem poszliśmy do knajpy. Powtórzyłem to jeszcze kilkakrotnie. Myślę, że Julka bardzo chciała w to uwierzyć.

Często wyobrażałem sobie, jak cudowne byłoby życie, gdybym codziennie budził się koło Patrycji, gdybyśmy pili prosecco na śniadanie, a ona robiła mi laskę, patrząc w oczy. Jej życie także stałoby się lepsze. Nigdy jednak nie opuściłbym Mikołaja – nie zamierzałem być jak mój ojciec. Gdy Julka okazywała mi uwagę i czułość, ogarniał mnie trudny do zniesienia żal, jakbym zegnał się z dobrym miejscem, do którego nigdy nie zdołam powrócić. Odpędzałem te myśli i starałem się, jak mogłem, żebyśmy byli szczęśliwi. Przysiągłem sobie przecież, że relacja z Patrycją nie zaważy na moim życiu rodzinnym.

Wieczorami grywaliśmy w planszówki i oglądaliśmy filmy na nowym, płaskim telewizorze. W każdy wolny weekend próbowałem wymyślić coś fajnego. Zachodziliśmy do knajpek na Saskiej Kępie, rozkładaliśmy koce nad Wisłą i graliśmy w piłkę plażową. Budowany obok Stadion Narodowy wyglądał jak przewrócony na grzbiet wielki pająk. Mikołaj był na tyle duży, że mogliśmy na parę godzin go zostawiać samego. W ten sposób kino po latach wróciło do naszego życia. Julka wydawała mi się szczęśliwa, ale i nieprzenikniona. Widziałem, że się cieszy, lecz nie potrafiłem rozpoznać źródła tej radości.

Dostałem kolejny awans, podwyżkę i służbowy telefon. Wyprowadziłem się z Lasu Susełków do gabinetu zajmowanego jeszcze przez dwie osoby. Próbowałem się z nimi zakolegować – nie wyszło. Nie potrzebowałem jednak żadnej bliskości, bo z podwyżki starczyło nie tylko na lepsze hotele, ale i prywatne sesje ze Steve'em, którego uważałem już za przyjaciela. Dał mi zniżkę, więc myślał podobnie.

Przyjmował w osobliwym gabinecie na parterze wynajmowanego domu. Ścianę zdobiły skrzyżowane szable, miecze, topory i buzdygany. W rogu stała zbroja husarska. Nad zimnym kominkiem ciągnęła się płaskorzeźba złożona z dziecięcych głów: roześmianych, zapłakanych i wściekłych. Siedzieliśmy w fotelach z czarnej skóry. Steve palił elektronicznego papierosa.

Nie od razu opowiedziałem o Patrycji – bałem się, że zostanę oceniony. Steve zaraz jednak zauważył, że coś mnie gryzie, więc postanowiłem wyznać mu prawdę. Zaznaczyłem, że Julka jest dla mnie dobra i właściwie nie wiem, dlaczego to robię. Steve zapytał, jak się z tym czuję, a ze mnie wylał się potok słów. Przyznałem, że jestem szczęśliwy i jednocześnie nieszczęśliwy. Wyrzuty sumienia względem Julki są trudne do zniesienia, a radość ze związku z Patrycją – bezbrzeżna. Na szczęście nikogo nie skrzywdziłem. Bardzo dbam o rodzinę. Czy nie mogę mieć takiej małej tajemnicy, czegoś, co jest tylko moje? Steve słuchał w milczeniu. Zaznaczyłem, że to, co robię, jest niczym więcej jak psotą. Dzieci chodzą na grandę do sadu sąsiada. Dorosli psocą właśnie w ten sposób.

Steve wstał, podał mi rękę i pogratulował. Rzekł, że po raz pierwszy, odkąd mnie zna, zrobiłem coś dla siebie. Jego zdaniem rozdawałem siebie innym. Oddałem młodość żonie i dziecku. Inni bawili się i łomotali panienki, a ja przewijałem osrane pieluchy. Teraz wypruwam sobie żyły w robocie, żeby było na kredyt, zabawki i kosmetyki. Zauważyłem, że Julka też pracuje, ale Steve tylko machnął ręką. Rzekł, że mój romans ma źródło w domu. Czegoś musi mi brakować. Uwagi, czułości, seksu? Tę kwestię musiałem rozstrzygnąć samodzielnie. Jeśli tak zrobię, jeśli następnie wprowadzę korektę w rodzinnym życiu, może przestanę chodzić na boki. Wszystko zależy od tego, kim jestem. Może nigdy tak naprawdę nie chciałem mieć rodziny? A może, co bardziej prawdopodobne, jestem człowiekiem, który pragnie mieć i żonę, i kochankę? Jeśli tak, powinienem żyć właśnie w ten sposób. Steve zapytał, czy pamiętam o swoim codziennym marzeniu, i rzekł, że Patrycja może być jednym z nich.

Długo myślałem nad tymi słowami. Na pozór w domu niczego mi nie brakowało. Problem polegał na tym, że Julka nie była Patrycją. Zarabiała dobrze, nosiła markowe ubrania i nigdy się nad sobą nie użalała. Nie potrafiła słuchać z tak uroczym zachwytem, nigdy też nie potrzebowała pomocy i nie wtulała się we mnie tak mocno, nawet gdy dochodziliśmy jednocześnie. Wówczas rozumiałem, że ludzie bardzo się od siebie różnią i nie jest to ich winą. Ja również przestałem czuć się winny.

Latem pojechaliśmy nad morze, Patrycja i ja. W domu powiedziałem, że mam weekendowe szkolenie w Trójmieście i może nawet zostanę tam dzień lub dwa dłużej. Pieniądze chomikowałem przez trzy miesiące, a w dzień wyjazdu nie mogłem zasnąć z podekscytowania.

Podróż trwała siedem nieznośnych godzin, podczas których siedzieliśmy w przedziale, naprzeciw siebie, jak psy na krótkich łańcuchach. A potem znaleźliśmy się w miejscu, w którym nikt nas nie znał. Wreszcie mogliśmy trzymać się za ręce na ulicy i całować w kawiarniach, pogoda była piękna, a ja pełny i szczęśliwy jak nigdy. Kąpaliśmy się w morzu, skacząc razem wśród fal, a wieczorami siadywaliśmy na piasku i gapiliśmy się w ciemny horyzont. Poszliśmy na Happysad do słynnego klubu Ucho, który zawsze chciałem odwiedzić. Zakochałem się w sopockiej architekturze, tych potężnych drewnianych domach, z których każdy zdawał się skrywać jakąś tajemnicę. W tym byliśmy podobni.

Czasem wydaje mi się, że z tego wyjazdu pamiętam więcej niż z reszty życia. Były kebaby w cienkim cieście, sprzedawane niedaleko naszego hotelu. Nie wiedziałem, że uliczne żarcie może być takie pyszne. Z Sopotu do Gdyni wróciliśmy plażą, a woda obmywała nam stopy. Locha z młodymi przecięła nam ścieżkę w oliwskim parku. Bez przerwy jedliśmy lody. Patrycja promieniała radością, oczy jej lśniły. Powiedziała, że tak niewiele ma – Czarna Huśtawka odebrała jej niemal wszystko. Dlatego cieszy się każdą chwilą.

Bywało i smutno. W przedostatni wieczór postanowiliśmy się upić. Leżeliśmy w łóżku nadzy, ze szklankami whisky w dłoniach, kiedy zadzwoniła Julka – ot tak, zamienić słowo. Poszedłem

z telefonem do łazienki, a gdy wróciłem, zastałem Patrycję zapłakaną. Poprosiła, żebym się nie przejmował, po prostu nagle sobie przypomniała, że przecież mam drugie życie. Nie myślała o tym przez ostatnie dni. Po chwili oboje płakaliśmy nad tym, że wspólny czas niedługo się skończy, że nigdy nie będziemy razem. Wówczas byłem najbliżej powiedzenia Patrycji, że ją kocham.

Patrycja zauważyła, że gdy Mikołaj podrośnie, będę mógł odejść – ojciec w domu przestanie być potrzebny. Poprosiłem ją, by nie mówiła w ten sposób. Julka niczemu nie zawiniła. Być może nawet umiałbym powiedzieć, że odchodzę do innej, ale wówczas stałbym się taki jak mój ojciec. Dawno temu obiecałem sobie, że nigdy do tego nie dojdzie.

Co z ojcem?, zapytała, a ja powiedziałem jej to, czym nigdy wcześniej z nikim się nie podzieliłem. Siedziałem nagi na brzegu łóżka, ze szklanką ciepłej whisky, i mówiłem bardzo powoli, jakby każde słowo było brudną szmatą najeżoną szkłem. Czułem wstyd, ulgę i niewiarygodną bliskość. Nikt nigdy tak dobrze mnie nie rozumiał.

Moja mama wyszła za młodszego mężczyznę, którego imię do dziś nie przechodzi mi przez gardło. Dla mnie to po prostu ojciec. Pamiętam go dobrze: miał ciemną karnację, czarne włosy i wąsy jak Omar Sharif. Przed snem czytał mi Karola Maya i stare baśnie w interpretacji Bolesława Leśmiana i Roberta Stillera. Byłem za mały, aby je zrozumieć, ale ojciec tak pięknie bawił się w aktora, że niemal widziałem tych zbójców w Sezamie i Indian na prerii. Wieczorami mieszkanie zmieniało się w pole bitwy. Z ojcem rozstawialiśmy armie plastikowych żołnierzyków. Wanna była Tobrukiem, a sofa Monte Cassino. Co sobotę wyjeżdżaliśmy poza Warszawę – nad wodę, na Kujawy, do małych miasteczek, gdzie kręciły się kolorowe karuzele, a niszczące kamieniczki na rynku skrywały lodziarnie, księgarnie i sklepy z zabawkami. Ojciec był wszędzie. Wyłaniał się z łazienki owinięty w ręcznik, z twarzą pobieloną kremem do golenia, palił papierosa w kuchni, podpierając łokieć dłonią, i zwał się z fotela koło lampy z rozlatującym się wydaniem *Złego*.

Pewnego dnia nie odebrał mnie z przedszkola i nie przeczytał Leśmiana na dobranoc. Armia niemiecka próżno wyczekiwała wojny, rozstawiona na komodzie. Z łazienki zniknęły brzytwa i pędzel do golenia. Wieczorami, gdy nie mogłem zasnąć, słyszałem, jak mama odbiera telefon za telefonem i popłakuje. W naszym domu zaczęli się pojawiać członkowie rodziny, których nigdy wcześniej nie widziałem. W końcu mama powiedziała, że tato dostał dobrą pracę za granicą. Niedługo wróci. Będzie pisał. Nie pożegnał się, bo za bardzo mnie kocha.

Listy rzeczywiście zaczęły przychodzić. Tato opisywał życie w Bagdadzie, później Pekinie i Bombaju, dawał do zrozumienia, że tęskni, i udzielał mądrych rad. Napisał, że piłkę trzeba kopać bokiem, a nie czubkiem stopy, wyjaśnił, jak należy podawać w koszykówce, i streścił zasady sklejanania modeli. Dzięki temu wiem, że należy wyrównać pilnikiem każde złącze i używać jak najmniej kleju. Jeden list poświęcony był technice rozpalania ognisk i budowy szalasu. Inny opowiadał o dziewczynach, którymi jeszcze nie mogłem się interesować. Umieściłem wszystkie te listy w blaszanym pudełku i często do nich wracałem. Klaser puchł od kopert. Znaczkę z Chin, Mongolii, Rosji i Turcji wydawały mi się bezcenne, ale i rozpałały wyobraźnię. Niemal widziałem ojca, jak jedzie przez pustynię na wielbłądzie albo z maczetą przedziera się przez dżunglę, a Indianie wypuszczają w jego kierunku zatrute strzały.

Przychodziły też prezenty. Dostałem turecki nóż do papieru, chińskiego smoka, ryngraf z Iraku i drewniane szkatułki z Rosji. Gromadziłem je wokół łóżka, a w szkole opowiadałem, że ojciec jest wielkim inżynierem, który buduje pałace dla arabskich szejków, albo generałem toczącym krwawe wojny, gdzieś w Etiopii czy też Argentynie. Nikt mnie za to specjalnie nie

polubił. Ojcowie innych kolegów przychodzili do szkoły, a mój nie. Im bardziej upierałem się przy tym generale i inżynierze, tym bardziej dzieci się śmiały. W końcu zyskałem nowe przezwisko, Sierota, nie tylko dlatego, że kredki wypadały mi z rąk.

Gdy miałem dziesięć lat, zobaczyłem ojca, jak wysiada z białej škody przy placu Konstytucji. Miał na sobie skórzaną kurtkę, jasne dżinsy i błyszczące buty. Doskonale to pamiętam. Pamiętam też, że otworzył tylne drzwi i z auta wyskoczył kilkuletni chłopczyk. Ojciec uniósł go ponad głowę i zakręcił młynka. Wysiadła jeszcze kobieta, szczupła i długonoga, wyraźnie młodsza od mojej mamy. Wrosłem w ziemię. Wydaje mi się, że ojciec spojrzął w moim kierunku, ale nawet jeśli mnie zauważył, nie dał tego po sobie poznać. Zamknęli samochód i poszli w stronę Domów Handlowych Centrum, z dzieckiem pośrodku, trzymając je za ręce.

Z mamy musiałem wyduszać prawdę. Najpierw twierdziła, że coś mi się pomyliło, i pokazywała list z Moskwy, który przyszedł parę dni temu. Potem stwierdziła, że jestem jeszcze za mały na takie tematy. Wrzeszczałem. Wyrzuciłem sztućce z szuflady i zamierzyłem się popielniczką w okno. Mama ukłękła przede mną i wyznała, że to ona napisała te listy. Ojciec odszedł, a ona chciała mnie ochronić. Żaden chłopak nie powinien dorastać bez ojca, więc lepszy ojciec z papieru niż żaden. Miałem chyba inne zdanie i nic z tego nie rozumiałem. Co z chińskim smokiem, ryngrafem, nożem i szkatułką? Co z kopertami z najróżniejszych krajów? Mama pracowała w dziale eksportu firmy geodezyjnej. Jej pracownicy jeździli po całym świecie. Wysyłali te listy, kupowali pamiątki, a mój ojciec cały czas siedział gdzieś na Pradze czy innym Grochowie, gdzie wciąż czytał *Złego*, golił się brzytwą i toczył wielkie bitwy już z innym chłopczykiem.

Leżę na podłodze i nie mogę się ruszyć. Wszystko jest przytłumione: zapachy, kolory. Tylko głowa boli.

Ktoś, chyba Ante, krępuje mi ręce na plecach, tymczasem Marko rozkłada folię na podłodze. Widzę tylko jego dłonie i buty. Dlaczego mi to robi? Może już wymyślił, jak mnie ocalić, i tylko gra na zwłokę? Na pewno tak jest. Przecież mnie nie skrzywdzi. Byłem dla niego dobry.

Marko rozprostowuje folię, stawia na niej taboret i znika z kadru. Próbuję się podnieść, lecz but na karku dociska mnie do podłogi. Zapada ciemność, z której wyłaniają się folia, stołek i Horvat na tym stołku. Widzę tylko jego brudne buty, przy których kołysze się sznur. Myślę o Julce i Patrycji. O złych rzeczach, które zrobiłem. Myślę o tobie.

Horvat i Ante podnoszą mnie jak tobół, a Marko chlusta mi w twarz lodowatą wodą. Świat nagle się wyostrza. W oczach chłopca nie mogę dostrzec żadnej z tych dobrych rzeczy, których dopatrywałem się wcześniej, jedynie okrutną radość. Widzę też stryczek zwisający z sufitu nad krzesłem. Więc tak to się skończy. Dobrze, w porządku. Popychają mnie w stronę sznura. Byłem taki głupi.

Na stołek wchodzę bez niczyjej pomocy. Próbuję trzymać głowę prosto, ale Ante przygina mi kark, żeby założyć pętlę. Musi się wspiąć na palce, żeby to zrobić. Sznur jest szorstki. Opada na barki, mimo to mam wrażenie, jakbym się dusił. Chce mi się płakać.

Horvat staje w cieniu, między stołem a ścianą. Na blacie wciąż leżą kordelas i atrapa pistoletu, błyszczą okucia wiejskiego kufra, wyżej szczyrzy się Wesoły Roger. Wszystko jest tutaj sztuczne, wszystko nie na miejscu. Tylko moja śmierć będzie prawdziwa.

Ante, w białej koszuli z żabotem, przypomina ochroniarza prałata Jankowskiego, którego

minąłem na schodach wiele lat temu, w innym życiu, kiedy szukałem pracy. Nie wiem, dlaczego myślę właśnie o nim i o prałacie przytrzymującym się poręczy. Ante staje przede mną, wypina kogucią klatę i pyta, czy wiem, dlaczego rozłożyli folię. Do czego będzie potrzebna?

Nie zastanawiam się nad tym, bo myślę o ochroniarzu w żabocie i czymś jeszcze, co radykalnie zmienia rozkład sił. Marko usiadł na skrzyni, macha nogami, wyjmując telefon i zaczyna kręcić przez kłęby papierosowego dymu. Ante zerka w jego kierunku i chyba próbuje zdecydować, czy życzy sobie wystąpić w filmie, czy może jednak nie. Powtarza pytanie.

Odpowiadam, że poderzną mi gardło. Folia jest na krew. Ante wybucha szczerym, pirackim śmiechem i wyjaśnia, w czym rzecz: jeśli sznur, to nie nóż. Zadyndam, puszcza zwieracze. Folia jest na gówno. Owiną mnie w nią i wrzucą do rzeki. Właśnie tak skończę, osrane, bezimienny śmieć płynący Lublanicą. Po co mi to było? Przecież mogliśmy zostać przyjaciółmi. Milczę, bo żadna odpowiedź nie przychodzi mi do głowy. Poruszam nadgarstkiem, a nóż od Niny powoli wędruje rękawem w dół.

W oku Antego pojawia się błysk, a jego noga gwałtownie zbliża się ku taboretowi, na którym stoję. Serce mi skacze, gorąco pełzące od piersi sięga skroni, lecz nie dzieje się nic. Ante żartował. Zamiast kopnąć, opiera but o stołek i zanosi się śmiechem. Nigdzie nam się nie spieszy. Mogę nawet prosić o łaskę i zostanę wysłuchany. On, kapitan Lubli, król życia i Tortugi, słynie z łaskawego serca. Kto wie, może zesram się jeszcze za życia? Jeśli narobię w gacie teraz, niewykluczone, że zostanę oszczędzony.

Horvat spuszcza poczerwieniałą głowę. Marko kręci, trzymając telefon w obu dłoniach. Trzonek noża ślizga się w mokrej dłoni. Wolałbym go nie upuścić. Powiniennem coś powiedzieć, aby zyskać na czasie. Przypominam sobie lata, kiedy gęba mi się nie zamykała. Przypominam sobie wszystkie swoje kłamstwa. Ostrze wsuwa się między skórę a taśmę. Wciąż chce mi się płakać.

Mówię, że cała ta sytuacja nie powinna wyglądać w ten sposób. Doszło do gigantycznego nieporozumienia, jak zawsze, gdy zawodzą kanały komunikacyjne. Biznes zna takie sytuacje. Gdybyśmy porozmawiali wcześniej, wciąż bylibyśmy przyjaciółmi, nawet teraz możemy ocalić tę przyjaźń. Marko się śmieje. Boli mnie ten śmiech. Gadam jak najęty, bo kawałek taśmy, którą skrepowano mi nadgarstki, spada na folię. Mocniej ściskam nóż.

Ante odpowiada, że nie mam pojęcia, czym jest honor. Dał mi pracę i przyjaźń, a ja zdradziłem go dla pieniędzy. Nigdy mi nie zagroził. Nie próbował oszukać. Jakaś część mojej durnej głowy uświadamia sobie, że to prawda. Chcę się zesrać. Chcę błagać o litość. Wciąż uwalniając ręce, proponuję pojedynek.

Wzrok Antego ślizga się po moich stopach. Tłumaczę, że w taki sposób rozwiązywano spory na korwetach i galeonach. Mężczyźni walczyli ze sobą, a nie wieszali siebie nawzajem. Ante skubie brodę. Robi krok w moim kierunku i patrząc mi w oczy, obwieszcza, że nawet nie jestem mężczyzną. Horvat masuje sobie czoło, Marko wciąż kręci, a Ante dodaje, że dla takich jak ja jest najwyższej sznur.

Nagle Ante kuli się na ziemi. Przyciska dłoń do gardła, pomiędzy palców cieknie krew. Jest bardzo zdziwiony.

Zeskakuję na folię, ciskam taboret w kąt. W rogu nie ma już Horvata. Marko upuścił telefon.

Ante podrywa się i kopie mnie w brzuch. Upadam na plecy, lecz zaraz – nie wiem, jakim cudem – znów stoję na nogach. Zgarbiony Ante sunie przed siebie, tyłem do mnie. Roztrąca kości kurczaka, słoiki z resztkami jedzenia, depcze niedopałki. Uderzam. Nóż schodzi po łopatce, czerwona koszula lepi się do ciała. Wbijam ostrze jeszcze trzykrotnie, w środek pleców,

w bark i pomiędzy żebra. Za każdym razem Ante wydaje z siebie głośne stęknięcie, a jego mokre dłonie ślizgają się po podłodze. Pada na bok i nieruchomieje. Walczę o oddech i nagle się zataczam pod niespodziewanym ciężarem. Marko gryzie mnie w ucho, wali po głowie, próbuje wyłupić oczy.

Szamoczemy się. Uderzam wolną ręką, dźgam łokciami, wreszcie zrzucam z siebie chłopca, a ten przetacza się po ziemi i zastyga na czworakach. Przypomina wściekłe zwierzę gotowe do skoku, nie dziecko, które znałem. Unosi górną wargę, ja unoszę nóż i Marko momentalnie mięknie. Zaczyna płakać, ostrożnie pełźnie po porzucony telefon. Robię krok w jego kierunku i natychmiast zastyga.

Obracam się. W miejscu, gdzie leżał Ante, rośnie czerwona plama. Sam Ante dotarł już do skrzyni, podciąga się na niej, próbuje sięgnąć stołu. Nie idę, lecz płynę przez Tortugę. Krew szumi w uszach. Ante broczy z wielu ran. Pojmuje, co się święci, rzuca się na blat, strąca pistolet i chwyta kordelas. Nim zdążę podejść, stoi chwiejnie, wyrywa ostrze z kabury i nim wymachuje, jakby opędzał się od much. Uderza mnie w szyję i klatkę piersiową. Powinienem umrzeć, lecz nie umieram.

Moje ciało nie stawia żadnego oporu, jakby zostało stworzone dla noża. Jestem mocny i nieugięty. Przepelnia mnie nowa, dzika siła. Tańczę z czerwonym ostrzem, w plecy wieje gorący wiatr, a oczy Antego zachodzą mgłą. Pada na kolana, opuszcza głowę, a ja wbijam nóż w kark aż po rękojeść. Ante zaczyna rząść, drży, upada, a ponieważ nie puszczam rękojeści, pociąga mnie za sobą.

Leżymy na podłodze. Obejmuję Antego, przyciskam do siebie i obracam nóż tkwiący w karku. Ante gryzie mnie w rękę i zaraz rozwiera szczęki, próżno próbując chwycić powietrze. Wypręża się i nieruchomieje. Za to ja oddycham głęboko. Chcę wstać, tylko nie potrafię wyrwać noża – wychodzi, dopiero gdy zaprę się nogą o ciało. Dotykam własnej szyi i piersi, gdzie powinny znajdować się rany, ale ich nie ma, krwawi tylko ugryziona dłoń. Przynajmniej tak mi się wydaje. Niewiele wiem, nie myślę o niczym. Kopię kordelas Antego. Jest z drewna.

Siadam na skrzyni. Pobojowisko znajduje się za szybą. Drżą mi ramiona i uda, gorąca krew łomocze w tętnicach. Ante, ten krwawy ochłap, przestał przypominać człowieka. Pomiędzy nim a folią rozciąga się czerwony ślad. Powoli wstaję.

Powrócił gorący wiatr, a wytarcie noża o bluzę sprawia mi niezwykłą przyjemność. Poruszam nadgarstkiem. Marko rozplaszcza się na ścianie, jakby próbował przez nią przeniknąć. Garbi się, oplata głowę ramionami, szlocha i skamle coś po słoweńsku. Unoszę nóż. Stał jest nieubłagana, takie jej piękno, to już wiem, ale wiem też inne rzeczy. Cofam się pod wiatr i mówię Markowi, że może odejść. Leć, mały. Nie stanie ci się żadna krzywda.

Trochę mija, nim chłopiec zrozumie. Podnosi się i powoli sunie do wyjścia, przyciskając plecy do ściany. Znowu przypomina wściekłe zwierzę. Chcę tylko, żeby przepadł mi z oczu. Posyła jeszcze jedno, nienawistne spojrzenie i wybiega na zewnątrz.

Siedzę w kuli gorącego powietrza. Wszystko, co wydarzyło się wcześniej, i wszystko, co nadejdzie, straciło znaczenie. Liczy się tylko ta chwila, to ciepło, mój stalowy brzuch. Pogasały świece. Za oknem robi się szaro.

Miałem pewność, że zaroł się tu od policjantów sprowadzonych przez Horvata albo Marka, jestem jednak idiotycznie sam. Powinienem coś zrobić. Już wiem, że potrafię zrobić różne

rzeczy.

Znajduję dwa pięciolitrowe baniaki wody i wanienkę podobną do tej, której używaliśmy w Rogu. Był kiedyś jakiś Rog i ludzie, którzy tam mieszkali. Rozbieram się do naga i zmywam z siebie krew. Ze skrzyni wyciągam skotłowane ubrania, wycieram się w pierwszy lepszy łach, zakładam czyste spodnie i koszulę. Są za małe, ale to nie szkodzi. Kupię sobie nowe. Już kiedyś kupowałem.

Coś jeszcze jest w tej skrzyni. Sprawdzę potem. Podnoszę z ziemi telefon, choć nie wolno, nie potrafię jednak włączyć – domaga się kodu. Słyszałem, że takie rzeczy są łatwe do namierzenia, na szczęście wiem już, jak zniszczyć telefon. Miażdżę go butem i czubkiem noża wydłubuję kartę. Skrywa filmiki Marka, w tym ten ostatni. Chowam ją do tylnej kieszeni, a plastikowe szczątki rozrzucam po Tortudze. Wracam do skrzyni.

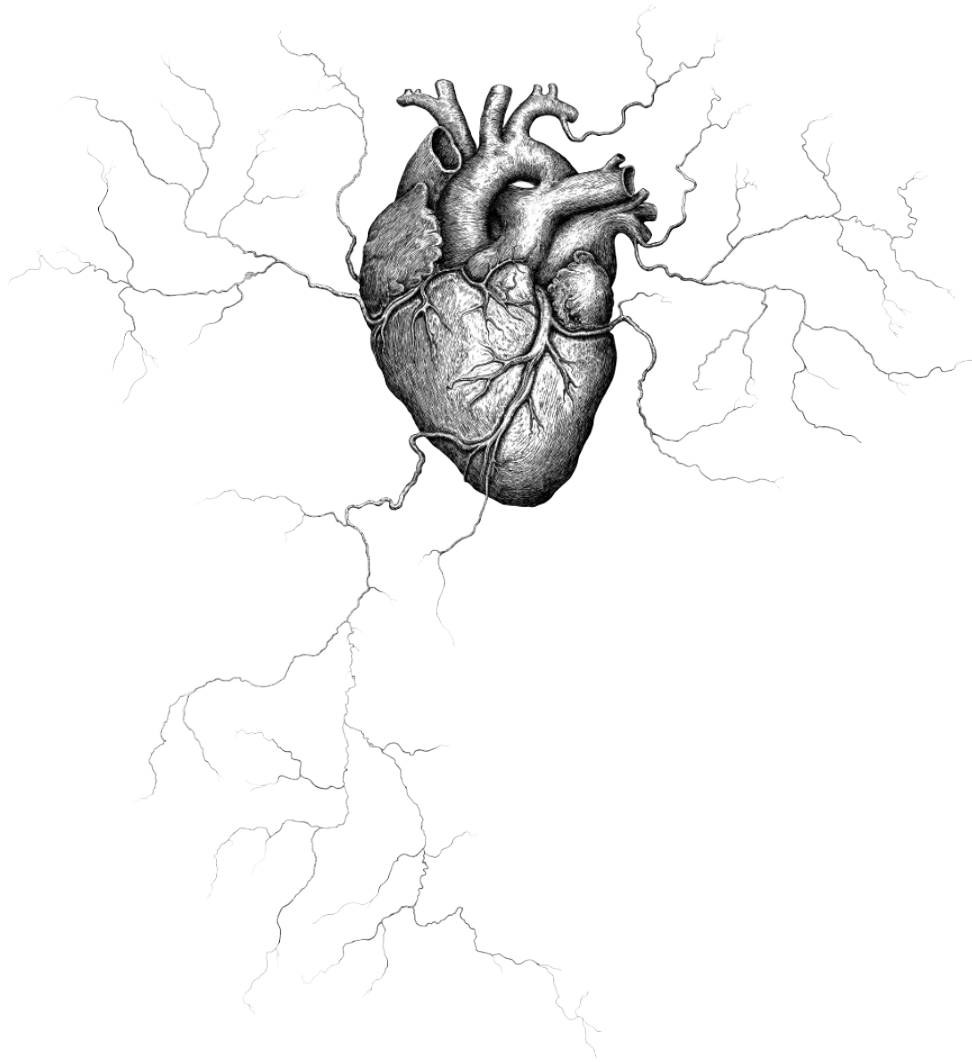
Wewnątrz są ubrania i mefedron paczkowany po pięć gramów. Niżej wciśnięto deskę skrywającą drugie dno. Podważam ją ostrzem i znajduję plecaczek, jaki zwykli nosić hiphopowcy. Jest ciężki i prawie pusty. Otwieram. Na podłogę wysypują się złote broszki, łańcuszki i kolczyki. Nim zareaguję, tłusty pierścionek niknie pomiędzy deskami. Skarb hrabiny von Cobenzl.

Horvat spodziewał się skrzyni, zostały dwie garście. Nie wiem, ile to warte, lecz nie ma to znaczenia. Ante sprzedał Horvata policji, potem sam włamał się do opustoszałego domu, znalazł podziemne przejście, a w nim skrytkę. Tak właśnie musiało być. Na złocie lśni krew. To dobrze. Chowam je do plecaka, dopycham ubraniami. Zabieram też nóż – wyrzucę go z pociągu. Przeglądam się jeszcze w szybie i się nie rozpoznaję. Zbiegam po stopniach Tortugi, przeskakuję wał śmieci przy wejściu, ląduję w mokrej trawie.

Niebawem wszędzie słońce, a delikatna mgła się rozwieje. Pamiętam, którędy do dworca. Czuję się silny i kompletny. Ręce i nogi znów należą do mnie, mięśnie brzucha rosną. Krew wciąż huczy w skroniach, a gdy rozprostowuję ramiona, powietrze aż parzy. Przyspieszam, uwolniony od zmęczenia i głodu.

Obracam się i dostrzegam drobną sylwetkę obciążoną siatkami. Matka niesie jedzenie dla syna.

SANGUIS



Ojciec i syn idą przez park Morskie Oko. Jan nie nadąża za Mikołajem.

Mikołaj natychmiast siada na ławce wiaty przystankowej i wyciąga tablet, tymczasem Jan nie może znaleźć sobie miejsca. Sprawdza telefon. Zerka w stronę parku, wypatrując Patrycji, wreszcie zajmuje miejsce obok syna i czeka ze spuszczoną głową.

Na autobus czeka również nerwowy czterdziestolatek w skórzanej kurtce, zadbana staruszka w typie emerytowanej pracownicy naukowej i dwóch nastolatków w bluzach z pseudonimami youtuberów.

Na Puławskiej ruch jest niewielki. Kilkadziesiąt metrów dalej, obok kiosku, rozłożyli się sprzedawcy skarpet i owoców. Z pewnej odległości interesu dogląda tęgi facet na wózku, z papierosem w grubych wargach. Tramwaj hamuje przed przejściem dla pieszych. Podmuch wiosennego wiatru przewraca koziołek ustawiony u wylotu Madalińskiego, a kurier DHL zostawia furgonetkę na światłach awaryjnych i znika w drzwiach cukierni.

Uwagę Jana zwraca rudy kot, który wychynął z krzaków i kręci się w pobliżu. Jest tłusty i ma obrózkę, nie boi się ludzi ani samochodów i węszy przy śmietniku. Jan waha się chwilę, wstaje i klęka przy kocie. Ten Ignie do jego ręki. Jan drapie zwierzę pod bródką i po grzbiecie, u nasady ogona. Kot mruczy, przywiera brzuchem do ziemi i wysuwa pazurki, tymczasem środkiem Puławskiej mknie srebrna toyota. Nie widzi jej Jan, nie widzi emerytka, nie widzą nastolatkwie ani nerwus w skórzanej kurtce, zajęty mówieniem do siebie. Nie widzi Mikołaj.

Trach.

Kot odskakuje i przygląda się z bezpiecznej odległości. Jan podnosi się, odwraca głowę i kamienieje w pół ruchu. Zniknęli nastolatkwie. Sina staruszka siedzi na chodniku, nerwus leży w powiększającej się kałuży krwi. Z wiaty została plastikowa szczyrba z resztkami afisza teatralnego.

Handlarze porzucili stoiska i biegną na miejsce wypadku.

Budzą mnie krzyki mew i łoskot fal uderzających o murowany brzeg. Spoglądam w ciemne okno i zsuwam się ze swojej połowy łóżka. Spałem bardzo krótko.

Jak zawsze o tej porze przepływa przeze mnie wściekła, pusta siła. Wyruszyłbym wpływ przez burzowe morze, gdyby istniała taka potrzeba. Zamiast tego zakładam krótkie spodnie i koszulkę polo, która natychmiast zaczyna się lepić do ciała. Mam jeszcze dużo czasu, ale nie lubię się spieszyć.

W słabym świetle żarówki pod sufitem brudnobłękitne ściany wydają się sine. Podłoga jęczy przy każdym kroku. Zanurzam dłonie w stosie niepozmywanych naczyń, wygrzebuje kawiarke i czyszczę ją w zimnej wodzie, podobnie jak rondel. Piecyk długo nie chce się zapalić, ale jestem spokojny. Zdejmuję taśmy z lodówki. Wyszarpuję wypaczoną szufladę i wyjmuję nóż do pieczywa. Nastawiam kawę i jajka, kroję sobie chleb.

Na parapecie stoją wyschnięte kwiaty i zdjęcie w grubej ramie, z której schodzi złota farba. Przedstawia uśmiechniętego Sakisa w pasiastej koszulce i białym fartuchu. Sakis szykuje się do krojenia mięsa. Nie lubię tej fotografii, ale nie mogę jej usunąć. Zjem na zewnątrz. Talerz i kubek z kawą kładę na balustradzie, sam zajmuję składane krzeselko.

Powietrze pachnie solą. Przede mną szumi ciemne morze, okolone z obu stron przez jeszcze ciemniejsze skaliste wzniesienia. Noc połknęła domy na wzgórzach. Daleko, na wodzie, migają lampy frachtowców.

Maczam chleb w oliwie i obieram jajka, jem palcami. Spomiędzy krzaków i karłowatych drzew, spomiędzy śmieci i kontenerów, z pustostanów i rozkraczonych samochodów natychmiast wyłaniają się koty. Zamykają mnie w puchatym okręgu. Czekają, wytrzeszczając te bajkowe oczy, i tylko jeden, zawadiaka imieniem Elvis, opiera łapki o moje udo, wpycha łebek pod dłoń. Jest cały biały, wyjąwszy dużą czarną łatę przypominającą czub, której zawdzięcza swoje imię. Połowę ostatniego jajka rozdaję kotom. Rzucam po kawałeczku i tylko Elvis je mi z dłoni, oblizując palce.

Do piwnicy schodzę odprowadzany przez miauczące towarzystwo. Zamykam drzwi, lecz koty i tak próbują wejść do środka. Elvis przepycha łapę przez szparę i nie potrafi jej wyciągnąć. Zastanawiam się, czy mu nie pomóc, ale przecież poradzi sobie beze mnie. Zabieram wędkę, kołowrotki, bezbarwną żyłkę i gruszkowaty ciężarek z kilkoma haczykami, a także radio na baterie i śmierdzącą kamizelkę ratunkową. Nikt nas tu nie okradnie i mógłbym te rzeczy zostawiać w łodzi, Zorba twierdzi jednak, że tak nie można – nie i już. Zawsze słucham Zorby.

Sprzęt zostawiam przed wejściem i wracam do domu. Lodówka rozmraża się zbyt szybko i muszę odpiąć pasy, którymi jest owinięta. Z wewnątrz bucha chłód, drzwi od wewnątrz pokrywają kryształki lodu. Zabieram pudełko marides, które posłużą za przynętę. Zamykam lodówkę, zawiązuję pas. Spod drzwi biorę jeszcze słoik ze ślimakami.

Zmieniam spodnie na długie, zakładam gumki i kurtkę, na którą naciągam kapok – głównie po to, aby go nie nieść. Poranki na wodzie są zimne. Objuczony sprzętem schodzę asfaltową drogą ku nadbrzeżu, gdzie czeka Zorba w kapoku, ze skręcanym papierosem w nieogolonym pysku. Naprawdę nazywa się Thimios, ale myślę o nim właśnie jak o Zorbie. Ma jakieś osiemdziesiąt lat, wygląda dużo młodziej i jest ojcem Glorii. Potrafi się dogadać po angielsku, lecz najczęściej milczy. Uważa, że w życiu dość już powiedział, i woli nie gadać po próżnicy. Witamy się w ciszy, w zasadzie nie witamy się wcale. Podchodzę do Zorby, a on podnosi wędkę, osek, harpun, wiosła, lodówkę i mnóstwo innych rzeczy, które sobie tylko znanym sposobem odrywa od ziemi jednym płynnym ruchem. Idziemy równo w stronę brzegu. Zorba pali, nie

używając rąk.

Maleńka łódka kołysze się na falach. Ładujemy sprzęt na dno pokryte zaschniętą krwią, obok bakisty wypełnionej wodą i skrzynki na liny. Ta jest zbyt ciężka, by każdego dnia taszczyć ją tam i z powrotem. Zajmujemy miejsca, ja na dziobie, Zorba przy silniku. Siada swobodnie, opierając łokcie o burtę, kończy papierosa i pociąga kawę z termosu. Proponuje mi kubek, odmawiam. Zapala silnik.

Morze pachnie solą i wodorostami, chłód wdziera się pod kurtkę. Od brzegu oddalamy się szybko, a niebo jaśniej powoli. Widać zarysy domów na wzgórzach. Wiatr targa folię na stołach naszej knajpki, a w hotelu Apollonion, na piętrze, pali się światło. Ktoś nie śpi prócz nas dwóch. Niedługo przebudzi się Kaki Vigla i rozpocznie się leniwe życie napędzane mocnymi papierosami, tanią piosenką i mrożoną kawą. Skały wypuszczają nas na otwarte wody. Zorba płynnie jeszcze minutę i gasi silnik.

Montuję wiosła w dulkach i ruszam do czynu. Zorba utrzymuje, że doskonale poradziłyby sobie beze mnie, ale wiem, że to nieprawda. Wiosłowanie jest już ponad jego siły. Zanurzam wiosła w wodzie i ściągam je ku sobie, wykorzystując siłę pleców. Płyniemy bez najmniejszego plusku, a Zorba świeci latarką w wodę, wypatrując planktonu. Zawsze tak robi i zawsze zatrzymujemy się w tym samym miejscu. Gwiazdy błędną, jakby się obawiały, że to na nie zamierzam zapolować.

Zabieramy się do pracy. Ślimak wypręży się, gdy nadziewam go na hak przy ciężarku. Resztę haków obciążam rybkami. Nadają się głównie do tego, ewentualnie na zupe. Cały czas czuję na sobie wzrok Zorby. W powietrzu krążą mewy. Ciężarek szybko idzie na dno. Siadam na desce, rączkę wędki opieram o brzuch. Pozostaje czekać. Łódka się kołysze, na dnie zbiera się różowawa woda.

Morze o świcie ma barwę płonącej miedzi. Moja wędka drży kilkakrotnie, na co nie zwracam uwagi – to tylko małe rybki wieszają się na hakach. Kołysanie, monotonia brzegu, nieśmiałe ciepło czerwonego słońca przywołują senność, z której wyrывa mnie mocne szarpnięcie. Coś chwyciło. Unoszę się, zapierając nogami o dziób, a tyłkiem o deskę. Szczytówka mocno się wygina. Zacinam rybę. Czuję jej ciężar i siłę.

Zwijam żyłkę, popuszczam i zwijam na nowo. Kiedy pierwszy raz złapałem większą sztukę, myślałem, że w głębinach szarpie się potwór. Wędka wysuwała się z dłoni, rączka wbijała się w brzuch, powodując mdłości, a Zorba krzyczał. Teraz wiem, że los tego tępego zwierzęcia jest przesądzony. Ma stał w żołądku. Muszę je tylko zmęczyć.

Kołowrotek obraca się coraz bardziej opornie, aż wreszcie brakuje sił, aby nim kręcić. Naprzemiennie unoszę wędkę i ją opuszczam, woda pryska z naprężonej żyłki. Wreszcie pod powierzchnią błyska złocisty kształt. Rozpoznaję kolczastą płetwę. Zapieram się nogami tak mocno, jak potrafię, szarpnię, a okoń morski niemal uderza o burtę. Przyciskam rączkę wędki do brzucha, uwalniam jedną dłoń i sięgam po osękę. Trafiam za trzecim razem i okoń już trzepocze się na dnie łodzi. Zorba chwyta go za skrzela, sięga po nóż i kilkoma sprawnymi ruchami odcina głowę, rozpruwa brzuch, wyrzuca flaki daleko za burtę. Nasila się miewi skrzek. Bezgłowy okoń trafia do lodówki. Na haczykach trzepocze się jeszcze rybi drobiazg, *gópes* i *marides*, jak nazywają je tutejsi. Zrywam je, wkładam do bakisty. Zakładam nowe przynęty i ciężar znika pod powierzchnią wody. Jestem senny, jestem szczęśliwy.

Słońce zrzuciło już czerwień, pobiela skały i błyszczący na pomarszczonym morzu. Pod nami otwiera się ciemnolazurowa głębia, przetykana pasmami światła. Prócz planktonu krążą w niej skorpeny. Niżej lazur gęstnieje i przechodzi w ciemność, gdzie spoczywają rdzawe łódki, takie

jak nasza, a jeżowce stroszą kolce nad głowami uspiomych potworów.

Wyciągamy głównie małe rybki, które nadadzą się na zupę. Zorba wrywa morzu doradę, nie używając osęki. Wbijają ramię w wodę, chwytają za skrzelę, ciska na pokład i zaraz do bakisty. Uzupełnia przynęty, wkłada wędkę między kolana, pije kawę z termosu i skręca papierosa. Mógłby je sobie przygotować wcześniej, ale nigdy tego nie robi. Być może lubi sobie tak siedzieć na mokrych deskach, z bibułką na kolanach wytartych spodni, i niespiesznie ugniatać tytoń palcami.

Blask skał staje się osłepiający, a Zorbę – który złowił jeszcze dwie większe sztuki – opuszcza szczęście. Siedzi w swojej ulubionej pozycji, z łokciami opartymi o burzę, trochę ćmi peta, a trochę przysypia. Już dawno zdjęliśmy kapoki i kurtki. Stopy pocą mi się w gumiakach. Zorba ma białą koszulę pożółkłą od słońca. Rozpiął ją do pępka i odsłonił brązowe przedramiona. Zerkam na drżący szczyt wędki, a Zorba sięga po nóż. Mógłby należeć do samego Rambo. Ma czarną klingę i długie ząbkowane ostrze. Odbijają się w nim morze i poważna twarz Zorby. Nie mogę oderwać od niego wzroku, a Zorba dobywa doradę z bakisty, wbijając jej w skrzelę po palcu. Rozkrawa jej brzuch bez ogłuszania, wydobywa flaki, wątrobę. Ryba wciąż się trzepocze, gdy mój kompan dociska ją do dna i używa głowę. Zorba płucze dłoń w morzu i sięga po następną rybę. Woda zmieszana z krwią osiada na gumiakach.

Zorba patroszy żywe, drżące ciała, płucze je byle jak i wrzuca do lodówki, a ja ciskam flaki jak najdalej od łódki. Mewy sfruwają błyskawicznie ze swoim łak-łak-łak i toczą walkę o ochłapy. Przypominają ogłupiałe dzieci bijące się o łakocie. Zorba kończy pracę. Powraca do swojej książęcej pozycji, spod półprzymkniętych powiek śledzi ruch mojego ramienia, wreszcie wzdycha i zapala silnik. Płyniemy powoli, a rozwrzeszczane mewy podążają naszym śladem, by rozproszyć się niedaleko brzegu.

Skała pod kościołem przypomina kaszalota o kobiecym spojrzeniu. Namalowano na niej oko, z błękitną tęczę i długimi rzęsami, a niżej, nad samą wodą, biegnie głębokie pęknięcie. Dzieci skaczą z tej skały do wody, skaczą też z kamiennego nadbrzeża bliżej miejsca, gdzie zaraz przybijemy. Widzę też Rouvina w białej koszuli, jak parkuje vana i wnosi towar do sklepika przed hotelem. Po nim nigdy nie widać zmęczenia. Przed naszą restauracyjką, na samym brzegu, pojawiły się leżaki, gra muzyka. Dochodzi mnie pomruk zmęczonych silników, bo nasz już milczy.

Nie ma jeszcze południa, przysiągłbym, że minął cały dzień. Pomagam Zorbie zacumować łódkę, zbieramy sprzęt i dzielimy połów, to znaczy Zorba dzieli, a ja akceptuję jego wybór. Zazwyczaj biorę dwie trzecie, tak jest i tym razem. To więcej, niż potrzebuję. Zorba znajomym już ruchem sięga po swój majdan. W jednej chwili miał wolne dłonie, w następnej jest objuczony. Człapie po schodach i dalej, nadbrzeżem, pozdrawiany przez podobnych sobie srebrzystych starców, którzy podrywają ostre nosy znad grappy. Orientuję się, że nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa, co nie martwi ani mnie, ani dobrego Zorby.

Na brzegu wita mnie Elvis z resztą kociego towarzystwa. Nim zrobię pierwszy krok, otaczają mnie, patrzą przejmująco, a Elvis się łąsi. Spoglądam za siebie, na mewy. Żal trochę złowionych ryb. Obiecuję sobie, że koty dostaną resztki, gdy tylko skończę filetowanie, a na razie idę, z wędkami i resztą, w tym ciężką lodówką. Elvis i jego świta podążają za mną. Tak dojdziemy do domu.

Szyld hotelu Apollonion wymalowano na pobielanej desce. Litery gniotą się w drugiej części przydługiego słowa. Poniżej Rouvin usiłuje poświęcić uwagę dwojgu swoich gości. Chyba nie przyjechali tu razem. Kobieta jest koło pięćdziesiątki i przypomina Magdę Gessler obciętą po męsku. Nosi się na białą, ściska pękatą torebkę i przypuszczalnie wyklóca się o niedziałającą klimatyzację czy coś podobnego. Na uboczu stoi krępy facet, mniej więcej w moim wieku. Czeka na swoją kolej, krzyżując na piersiach muskularne ramiona. Głęboko osadzone oczka i ostry nos sprawiają, że wygląda jak znudzony rekin. Rouvin coś tłumaczy, macha rękami, a uśmiech nie schodzi z jego opalanej twarzy.

Mijam ich, wracam do domu, zamykam drzwi przed pyszczkiem oburzonego Elvisa i myślę o tym, dlaczego – skoro na zewnątrz jest jasno – w mojej kuchni wciąż panuje półmrok. Natychmiast zabieram się do ryb. Płuczę dokładnie i filetuję na drewnianej desce, której przypuszczalnie używał jeszcze pradziad Zorby. Pokrojone, oskrobane ryby dzielę na przynęty, te, które zjemy, i te do restauracji, jeśli ktoś raczy przyjść. Rouvin ma dwoje gości, więc moje ciepłe myśli biegną właśnie ku nim. Z miską pełną resztek wychodzę na podwórko, a koty przeskakują przez połamane krzeselka, palety, rowery, taczki bez kół i łódkę przewróconą dziurawym dnem do góry.

Pod parasolami z palmowych liści leżą grubi Grecy na aluminiowych leżakach. Dzieci rzucają frisbee i skaczą z betonowego pomostu do wody, podkurczając nogi. Kłócą się o kolejność pływania czerwonym kajakiem, wrywają sobie jedyne wiosło. Zabawa nie potrwa długo, bo kajak przecieka. Nastoletnie dziewczyny kołyszą się na grubych nogach i poprawiają za małe staniki. Chłopcy przyglądają im się po męsku, jedząc oliwki, salami i jajka na twardo. Mężczyzna, który przyjechał tutaj z innej części wyspy, wychodzi do morza w masce, płetwach i z butlą na plecach. Do kostki ma przytroczony nóż.

Zaglądam do drewnianej budki, czego wcale nie muszę robić, chcę jednak sprawić przyjemność Glorii. Telefon podłączony do głośnika przez bluetooth gra greckie przeboje wzbogacone o jednostajny taneczny bit. Wszyscy je znają, wszystkim się podobają. Gloria sprzedaje słabe piwo, papierosy, colę i białe wino na karafki. Myślę, że byłaby jeszcze ładniejsza, gdyby nie malowała się tak mocno. Ledwo zwraca na mnie uwagę, zajęta rozmową z chłopakiem dwa razy młodszym od niej. Jego białe zęby odcinają się od opalanej twarzy. Gloria trzepocze rękami, wyrzuca z siebie mnóstwo słów, których nie rozumiem, i śmieje się jak pijany barbarzyńca.

Wreszcie mnie dostrzega i mówi to, co zawsze, bo tutaj wszystko jest jak zawsze, pięknie starzejąca się Gloria również. Żali się na moc pracy, dosłownie nie wie, w co ręce włożyć. Ludzie się kręcą, czegoś chcą, no i w hotelu są nowi goście, którzy zapewne zaraz tu przyjdą i będzie im trzeba coś ugotować. Tyle pracy, tyle pracy, powtarza, opierając łokcie o przeżarty solą blat. Co ona ma z tym wszystkim zrobić? Nie usiadła, odkąd wstała, dodaje, poprawia czarne włosy, zapala papierosa, wydmuchuje dym nosem i wraca do rozmowy z chłopakiem, który kiwa głową, wtrąca byle co i wgapia się w cycki.

Z szopy obok domu wytaczam skuterek Monte Carlo, na którym mimo lat zachowały się resztki czerwonego lakieru. Wszyscy tu takimi jeżdżą. Być może potrzebuję czegoś w rodzaju prawa jazdy, wiem jednak, że nikt o to nie zapyta, tak jak Gloria nie zapytała mnie, dawno temu, czy potrafię jeździć. Po prostu wskazała skuter, a ja ruszyłem, dokładnie tak, jak ruszam teraz. Przekręcam kluczyk, jednocześnie naciskam lewy hamulec i przycisk po prawej stronie kierownicy, a skuter gwałtownie wyrzywa się do przodu.

Wjeżdżam między wzgórze. Brzmia trzaski, podobne trochę do dźwięku, który wydaje

pękająca folia bąbelkowa. To muchy rozbijają się o mój kask. Białe, kanciaste domy na zboczach nie mają dachów ani szyb w oknach. Te, w których ktoś mieszka, garbią się i gną, otoczone przez poszarpane siatki, krzywe płoty i krzaki pociemniałe od słońca. Między budynkami rozciągają się ciężkie kable na krzywych słupach. W psich budach dawno nikt nie mieszka, za to koty buszują w rozwalonych kontenerach i wygrzebują śmieci z rozdartych worków foliowych.

Góry śmieci wyrosły też na poboczu i za jedną z nich, przy pustostanie pozbawionym nie tylko dachu, ale i ściany, dostrzegam coś, co każe się zatrzymać. Facet widziany wcześniej przed Apollonionem wyciska żelazny pręt, na którym zawiesił dwa pustaki. Zrobił też ławeczkę z cegieł ułożonych pod deską do prasowania. Plecy zaraz rozsadzają mu koszulkę, a on sapie i ciśnie. Odrzuca sztangę, robi pompki i podciąga się na gałęzi. Spostrzega mnie, dopiero gdy polewa sobie głowę wodą z butelki. Spuszcza wzrok. Widocznie wstydzi się, bo tutaj nikt nie dba o ciało. Ciało jest, jakie jest, i już. Dlatego mu wstyd. Kiedyś nie widziałem takich rzeczy. To również się zmieniło.

Zostawiam go ze wstydem i ciężarami. Nigdzie mi się nie spieszy. Mijam gaje oliwne i palmy grube jak beczki. Przed domami stoją błękitno-białe kapliczki ze świętymi obrazkami w środku. Dzieci kręcą się przy straganach warzywnych, a rolnicy o karmelowej skórce i brudnych twarzach palą papierosy. Morze, widziane z daleka, ma kolor turkusowy, a gorąco odbiera oddechy nam wszystkim.

Do Eantio przybywam mokry i rozbudzony. Odpoczywam przy mrożonej kawie w jednej z tych małych, nieróżniących się od siebie knajpek. Nieustannie brzmią klaksony, a odrapana blacha na maskach samochodów wygląda, jakby można było zmiąć ją w rękach.

Jadę pod wielki barak Lidla oparty o morski brzeg. Kupuję chleb, trochę przypraw, białe wino w kartonie, płyn do szyb i do czyszczenia kamienia, baniak wody. Spokojnie spaceruję między półkami, zastanawiając się, co jeszcze sprawi mi radość bądź będzie potrzebne. Sięgam po gumowe rękawiczki, worki na śmieci – największe, jakie są – mydło w płynie i krem do rąk. Do tego dorzucam rolkę ręczników papierowych i kolorowe gąbki w wielopaku. Spod kasy wracam się po szczoteczkę do zębów.

Skuter przy starcie prychnął, jakby skarżył się na dodatkowy ciężar. W miasteczku zaglądam jeszcze do sklepu z artykułami dla majsterkowiczów, biorę cztery kontakty i paczkę cienkich gwoździ. Mogę wracać do domu. Znowu mijam drzewa o pobielanych pniach i jasne kościoły wrastające w szczyty. Unikam dziur i pęknięć w asfalcie. Każde auto częstuje mnie podmuchem gorącego powietrza, a autobus nadjeżdżający z naprzeciwka niemal strąca mnie z drogi. Rolnicy stoją dokładnie tak samo jak przed godziną, a ich brudne twarze nie zmieniły wyrazu, bo tutaj nic się nie zmienia, z jednym tylko wyjątkiem. Przybysz zakończył już trening, lecz nie ruszył się z zaimprovizowanej siłowni. Siedzi na desce do prasowania, je chleb z serem i popija wodą. Z drogi nie widzę zbyt dobrze, ale przysięgłbym, że ten człowiek nie mruga, jakby nie potrzebował łez.

Zaraz po przyjeździe bagażnika nie da się dotknąć, a woda i wino mają temperaturę zupy. Rozdzielam to, co kupiłem, na rzeczy do domu i do restauracji. Zachodzę też do Rouvina, który prosił mnie o pastę do zębów. Tę z kolei zamówiła wystrzyżona Magda Gessler, która naprawdę nazywa się Ivone i przyjechała aż z Salonik. Tak właśnie to tutaj wygląda – ktoś prosi o coś Rouvina, Rouvin mnie, a ja niedługo będę chciał coś od niego.

Rouvin ze swoją twarzą greckiego posągu mógłby zostać gwiazdorem estrady albo grywać w filmach wyświetlanych na Walentynki. Pozostał jednak w Apollonionie. Zagaduję go o drugiego z gości, wspominam, że spotkaliśmy się po drodze. Rouvin nie ma wiele do powiedzenia na jego temat. Facet przyjechał wczoraj z kontynentu, na pewno nie jest Grekiem i bez przerwy kręci się po okolicy. Rouvin nie lubi mówić o ludziach, których przyjmuje, może dlatego, że zna nazbyt wiele tajemnic. Jest szefem hotelu, sprzątaczem, kelnerem i sprzedawcą w sklepiku zainstalowanym obok lobby. Z racji mnogości funkcji trzyma nos w sekretach nas wszystkich.

Uwolniony od zajęć powracam na plażę, gdzie nic nie uległo zmianie. Grecy odpoczywają rozwaleni na leżakach bądź siedzą zgarbieni, palą papierosy i gadają. Gloria nie ma już z kim gawędzić, więc gapi się w telefon. Wymieniamy parę słów. Mówię, co kupiłem i co już zostało zrobione, wspominam o człowieku, którego widziałem po drodze, i oczekuję jakiejś odpowiedzi. Gloria dzisiaj wdała się w ojca i milczy. Pogłaska muzykę i podaje mi mythosa w małej puszcze. Słucha muzyki jak nastolatka: potrząsa czarną grzywą, kołysze się, unosi ręce ponad głowę.

Zajmuję leżak, piję piwo, spoglądam na fale i czekam, aż przyjdzie senność. Chłopcy na podeście krzyczą i skaczą do wody, która wydaje się gęsta i ciepła jak rosół. Za mną rozciąga się wymierająca wioska, przede mną morze po horyzont – spokojne, z plamkami łódek i masywnymi kształtami statków. Ten widok jest nie do zniesienia. Wstaję. Zbieram puszki, plastikowe kubki po frappe i papierowe talerze, wpycham niedopałki pod kamienie i wyciągam kajak na brzeg. Wracam na leżak. Ciepłe piwo cieknie mi po brodzie, cały ten dzień jest jak kisiel, rozciąga się i wlecze. Ocieram twarz dłonią. Mam piasek na palcach. Dom woła, powinienem wrócić.

Biorę szybki prysznic i zaczynam pracę. Wymieniam przepoconą pościel w sypialni na nową. Ledwo radzę sobie z kołdrą, ale ścieranie okrągłych śladów po winie ze stolika nocnego, z parapetu i podłogi idzie mi sprawnie. Przecieram kolejną fotografię Sakisa, tym razem wykonaną na łódce. Sakis się śmieje i unosi kieliszek szampana. Takich zdjęć mamy bardzo dużo i przywykłem do wszystkich, z wyjątkiem tego jednego. Duch Sakisa mieszka w każdym kącie, wygoniłbym go przynajmniej z łóżka, tylko mi nie wolno. Ściany sypialni są popękane i błękitne. Papierowe ramiona wiatraka obracają się niespiesznie. W pomazanym palcami lustrze dostrzegam chudego, opalonego faceta, którego natychmiast zamazuję mokrą szmatką.

W zlewie zalegają talerze, kubki i kilka kieliszków, wszystko pokryte fusami i zaschniętą kawą. Kran kaszle brązową, chłodną wodą. Jak bym się nie starał, na szkle zostają smugi. Umyte naczynia układam na zlewie, pod którym zbiera się pleśń. Znów odkręcam wodę, tańcząc ze ścierką. Bezradne karaluchy wirują na dnie zlewu i znikają w zakamienionym odpływie.

Podłoga w salonie wygląda jeszcze gorzej niż w kuchni. Jest pofałdowana i pęka, w szpary pomiędzy deskami można by włożyć pięść, a to i tak nic przy pęknięciu, które biegnie przez całą południową ścianę. Rozgałęzione, przypomina konar martwego drzewa. Meble, ciężkie i odrapane do gołego drewna, dźwigają zeschnięte kwiaty w kolorowych wazonach. Ubrania wylewają się z koszy. Na półkach piętują się koty z włóczki i guzików, muszle i rzeźby z drewna wypolerowanego przez morze. Z każdego kąta uśmiecha się Sakis. Dużo tu szkła: fiolek, mis, masywnych kul z bursztynami w środku, a także butelek, kieliszków i karafek. Wynoszę je z powrotem do kuchni. W ten właśnie sposób zapełnia się u nas zlew.

Roboty tutaj, że życia nie starczy. Zabieram się do gniazdek. Powinienem wyłączyć bezpieczniki, ale boję się, że później nie zdołam uruchomić ich z powrotem. Klękam przy kontakcie i rozkładam wokoło wszystko, co może być potrzebne: młotki, śrubokręty, gwoździe,

a także dłuto, krótką poziomcę i kawałek sznurka. Wykręcam śrubkę, druga wychodzi sama i kontakt strzela ze ściany jak diabeł z pudełka. Trzyma się na dwóch gumkach recepturkach.

Wymiana idzie szybko, osadzenie nowego kontaktu już nie. Gwinty zniknęły, śruba miękko wchodzi w ścianę, żeby zaraz z niej wypaść, a mnie od klęczenia robi się słabo. Kurz drapie w gardło, strzela w kolanach. Owijam śrubę sznurkiem i wkładam w powiększającą się dziurę. Bez rezultatu. Wreszcie wpycham kontakt na siłę, dociskając trzonkiem młotka, w dziurę wciskam papierki i wbijam gwóźdź. Kontakt siedzi, jakby był tutaj od zawsze, nie ma żadnej szpary pomiędzy nim a ścianą. Zwalam się na podłogę i ścieram kurz z twarzy. Piję wodę i zabieram się do następnego kontaktu.

O piętnastej wraca Gloria. Na dole jej sukienki osiadł piasek, zamiata jej brzegiem niby Carmen. Całujemy się. Gloria chwyta moją wargę w zęby i powoli wypuszcza. Nie odwzajemnia uścisku, bo pod pachami trzyma wodę, wino i chleb, a w dłoniach misę pełną muli. Rouvin ma ich nadmiar. Tak odwdzińczył się za dzisiejsze zakupy.

W naszym ogrodzie więcej blachy niż kwiatów. Gloria zarzuca nowy obrus na stolik, a ja przynoszę krzesła z tarasu. Łamię ciężki chleb i zanurzam kawałek w oliwie z pieprzem. Wyłuskuję mule z czarnych muszli i paskudzę kieliszki. Bez przerwy sięgam po karafkę, bo Gloria domaga się wina. Koty przycupnęły na brązowej trawie i niecierpliwie czekają. Gloria oblizuje palce o połamanych paznokciach, nieustannie się śmieje, opowiada o tym, kto dziś przyszedł i co zrobił, wlewa w siebie wino złamane wodą, je mule i pali – wszystko jednocześnie. Wino, słońce, chleb pęczniejący w żołądku sprawiają, że chce mi się spać. Gloria natychmiast pyta, dlaczego jestem markotny. Wstaje z kieliszkiem, ujmuje mnie za dłoń. Zna sposób, aby mnie rozweselić.

W naszej sypialni można być tylko nagim. Gloria zrzuca sukienkę, klęka i unosi dłonie wysoko, pieszcząc mi tors. Przetaczamy się po łóżku. Uwielbiam jej szczupłe ciało, te konstelacje pieprzyków pod twardymi piersiami, ten zadek jak morena czołowa i ciemne wnętrza ud. Kocham, gdy Gloria tańczy na mnie i wije się pode mną, ale najbardziej lubię, gdy leżymy spleceni, tuż przed końcem, a ona ujmuje moją twarz w dłonie i powtarza: „Anóite... Anóite...”. Potem już tylko krzyczy.

Najpiękniej jest jednak, kiedy – tak jak dzisiaj – leżymy przytuleni pod prześcieradłem i słuchamy, jak uspokajają się nam serca. Gloria bierze jeszcze łyk wina, szum morza i wiatraka zlewa się w jeden cichnący dźwięk. Oddech Glorii staje się spokojniejszy, tak jak mój. Nagle słychać trzask dobiegający z salonu, jeden, a potem kolejny: kontakty wyskakują ze ściany.

O zmierzchu zastaję Głorię na brzegu łóżka. Patrzy na zdjęcie, a gdy mnie spostrzeża, na jej twarzy pojawia się smutny uśmiech. Mówi, że cieszy się z mojej obecności, jej życie było puste, nim się pojawiłem. Jej zdaniem wszystko ma swoje miejsce, także ja. Nie wiem, co powinienem zrobić z tą mądrością. Gdyby Sakis żył, nie byłoby mnie tutaj. Bardzo go kochała, ale teraz wystarcza jej mała miłość. Większej nie potrzebuje.

Gloria ma prawdziwą toaletkę, taką stuletnią, z szufladkami, ruchomym lustrem i krótkim blatem wypełnionym masą pomadek, pudrów, kremów i lakierów do paznokci, a także innych, maskujących nadchodzącą starość drobiazgów, których nazw nie znam. Lubię, kiedy się maluje, siedząc nago, i lubię tę nadchodzącą starość: fałdę na brzuchu, opadające piersi o ciemnych sutkach i luźną skórę na ramionach. Tylko jej wzrok jest zimny. Patrzy w lustro, jakby pragnęła

siebie odepchnąć.

Gdyby Sakis żył, nie byłoby mnie tutaj. Nie pływałbym z Zorbą i nie pomagał przy niszczącej budzie zwanej restauracją. Zająłbym jeden z pustostanów i żebrał o jedzenie. Nie mam problemu z żebraniem ani pustostanem, ale tutaj, przy Glorii, jest lepiej.

Oboje chcieliśmy innego życia, a jego brak łączy nas bardziej niż wspólne plany. Jeszcze niedawno Gloria prowadziła trzy restauracje w Atenach i przysięgała sobie, że nigdy nie powróci na Salaminę. Nie chciała do matki i bała się Zorby. Lecz restauracje padły razem z połową Grecji, Sakis zachorował i po pogrzebie przyjechała tutaj. Czekają stary dom i jeszcze starsza knajpka, w której jako dziecko donosiła wino. Wiem to, bo Gloria bez przerwy opowiada o swojej przeszłości, o raku Sakisa i wielkiej rezygnacji. Dobrze ją rozumiem, ale o sobie nie mówię nic.

Zachodzi słońce. Gloria skończyła się malować. Jej jasna twarz odcina się od brązowego ciała. Wskakuję w lniane spodnie i podkoszulek, wkładam sandały. Trochę sobie poczekam, bo nadchodzi czas wyboru sukienki. Gloria otwiera szafę jak bramę zdobytego miasta. Mole krążą w gorącym powietrzu. Gloria wyjmuję kolejne sukienki, przykłada do piersi, pyta, czy dobrze wygląda. Odpowiadam, że tak. Zakłada jedną i ponawia pytanie. Udzielam identycznej odpowiedzi, dodaję, że po prostu nie mogłaby wyglądać lepiej. Gloria obraca się przed lustrem. Chyba ma inne zdanie. Sięga po następną sukienkę, znów pyta, a ja znów odpowiadam. Przy czwartej Gloria zaczyna krzyczeć – odpowiadam tylko dlatego, żeby mieć z nią spokój, bo przecież mam jej dosyć, bo tylko siedzę i patrzę wymownie, bo chciałbym już iść i nie okazuję jej szacunku. Milczę, więc Gloria krzyczy jeszcze głośniej: chcę ją opuścić, tylko brakuje mi odwagi. Dla samej draki mam ochotę przyznać jej rację, ale drakę mam i bez tego. Gloria przypomina teraz gorgonę. Uchylam się przed tuszem do rzęs, dosięga mnie puderniczka. Trzask drzwi ginie wśród przekleństw Glorii.

Siadam przed domem, patrzę na wodę ciemniejącą jak wino i witam się z nocą. Czekam, aż Gloria przyjdzie, i tak rzeczywiście się dzieje. Ma kolorową sukienkę w kwiaty i motyle. Obejmuje mnie od tyłu i skubie wargami płatek ucha. Wstaję. Patrzymy na siebie. Mówię Glorii, że pięknie wygląda.

Na nadbrzeżu płoną lampy. Paru Greków odbija się od drzwi naszej restauracji. Dzisiaj nieczynne. Zdaniem Glorii rodzina jest ważniejsza i nie ma żadnego znaczenia, że wolałbym pozostać w domu. Rouvin rozstawił stoliki przed swoim hotelem. Ivone zasiadła tam w białej sukience, pali papierosa, a wieczorny wiatr strząsa jej popiół do talerza z resztkami krewetek. Rybacy moczą kije z nadbrzeża, rozłożyli się też na cyplu pod kościółkiem. Piją, rozmawiają, jedzą, splotki tańczą i błyszczą na wodzie, gra muzyka z telefonów.

Wspinamy się na wzgórze drogą poznaczoną śladami skuterów i samochodów. Psy ujadają z głębi czarnych podwórek, kury brodzą w śmietnikach. W ściany wtopione są napisy z muszelek. W przydrożnych kapliczkach płomyki krótkich świec oświetlają obrazy świętych i zdjęcia zmarłych. Poniżej stok guzowatych kamieni zanurza się w czarnym morzu, na którym krzyżują się długie ogony motorówek.

Gloria wtula się we mnie, chce, aby wszyscy widzieli, jak dobrze nam razem. Większość domów jest pusta i ciemna, ale ci, którzy pozostali na wyspie, wylegli do ogrodów, przekrzykują się i tańczą. Piętrowy budynek na końcu drogi przypomina arkę ze spadzistym dachem. Żegluję w ogniu i hałasie, a my tam idziemy.

Ledwo pokonuję kamienne schody prowadzące do ogrodu, a już jestem ściskany i całowany. Gloria ciągnie mnie w tłum. Pachnie tu chlebem i mocnymi perfumami. Z mężczyznami robię

misia, kobiety szczypią mnie w policzki, jedno dziecko mnie potraça, drugie przeciska się między nogami. Rozglądam się za krzesłem. Nawet nie wiem, skąd w mojej dłoni pojawił się kieliszek. Przez chwilę chcę zawrócić i uciec, ale Gloria tak pięknie się śmieje. Podążam za nią i witam się ze wszystkimi.

Na rożnie obraca się prosię. W ogrodzie i na patio zgromadziło się jakieś czterdzieści osób. Niektórzy mężczyźni już rwą się do tańca, unosząc ramiona, jakby nieśli niewidzialne pakunki ponad bagnem. Większość jednak siedzi przy drewnianych stolikach. Rozmawiają, patrząc sobie w oczy, a każdy musi powtórzyć ostatnie słowo, jakie usłyszał, tylko dwa razy głośniej. Ubrali się jak na wesele, ale już poluzowują krawaty i podwijają rękawy przepoconych koszul. Jedzą palcami, ocierając usta wierzchem dłoni.

Na stołach porozkładano trójkątne ciasteczka, sałatki z oliwkami i fetą, faszerowane pomidory i bakłażany. Tyle tego, że talerze ledwo mieszczą się na blatach, a kobiety w kolorowych sukienkach donoszą jeszcze zapiekanki z mielonym mięsem, gołąbki i smażonego morszczuka. Opędzają się od klepień i wpychają dzieciom jedzenie do ust. Na patio, niby cygański książe, usadowił się Zorba z cygarem w uśmiechniętej gębie. Rozpiął koszulę, odsłaniając złoty łańcuch, ma też bransolety. Otaczają go córki i synowie, ustawieni jak do rodzinnego zdjęcia. Wnuki wspinają się na dziadka, szarpią za głowę i wbijają w brzuch kolana, a Zorba się śmieje. Czuję się, jakbym wylądował na dnie gorącego lochu.

Ci ludzie są bardzo do siebie podobni, a każdy ma coś z Zorby: ostry nos, podbródek podobny do młota. Mówią, wykonując zamaszyste gesty, jakby sypali pieniędzmi z głębokich rękawów, i podszczypują się nawzajem. Na dłoniach kobiet błyszczą pierścienie. Mężczyźni wnoszą toast, by zaraz zerwać się do tańca jak spłoszone ptaki. Tylko Zorba nie tańczy. Siedzi na swoim drewnianym tronie, krzyżuje stopy, kiwa tym łbem starego ptaszyska, patrzy na całe towarzystwo spod półprzymkniętych powiek i głaszcze dłoń żony spoczywającą na jego ramieniu. Żona jest mała, odziana w czerń i zaszuszone. Usadowiona nad Zorbą przypomina śmierć.

Wlewam w siebie wino, wgrzynam się w faszerowanego pomidora, a ryż z mielonym mięsem sunie mi po brodzie. Bez przerwy trącają mnie dzieci, ktoś ściska, ktoś całuje w policzki, nikt jednak nie chce rozmawiać. Nie znają angielskiego, a ja jestem obcy. Przyjechałem z jakiegoś dziwnego kraju, nie wiadomo, czego chcę, i powinienem się cieszyć, że mnie tu zaprosili, że nie siedzę sam w domu. Ponad głowami zgromadzonych widzę Glorię. Pije oparta o mur. Jest jeszcze bardziej samotna niż ja. Nie ma przecież dzieci.

Niedaleko Glorii dostrzegam jeszcze jednego samotnika. Zza płotu przygląda się nam ten niski, muskularny mężczyzna, który urządził sobie siłownię koło śmietnika. Nie próbuje wejść, po prostu się gapi, a jego twarz wygląda na martwą. Zaraz tracę nim zainteresowanie, bo pijany Zorba podnosi się z tronu, krokiem komtura opuszcza patio i zaczyna tańczyć. Nogi wciąż ma młode. Unosi ramiona wysoko nad głowę i strzela z palców. Młodszy robią mu miejsce, a on podzwania złotem, porywa kolejne pięćdziesięciolatki, wywija nimi i odsyła, roześmiane, piszczące, z powrotem pomiędzy zgromadzonych. Wszyscy klaszczą i śmieją się z pełnymi ustami.

Zorba, spocony i silny niby olbrzym, bierze do tańca Glorię. Ta niechętnie odrywa się od muru i staje się zupełnie bezwolna. Ojciec odpycha ją i przyciąga, obraca, a ona trzęsie biodrami, płynie po trawie, jej dłonie falują, jakby zrywały owoce. Usta ma zaciśnięte, oczy lśniące. Zorba unosi się ponad córkę, jest niczym kraken, mokra koszula lepi się do chudego ciała. Zorba patrzy i chce być widziany. Kocha, kiedy ludzie klaszczą. Chcę zabrać stąd Glorię. Zastanawiam się,

dlaczego tutaj przychodzimy, a Zorba zwraca uwagę na mężczyznę za płotem i zaprasza go na przyjęcie. Mężczyzna ani drgnie. Chce i się boi. Zorba uwalnia Głorię i idzie przez ogród. Pokazuje, ile tu dobra: kobiety! Muzyka! Wino! Pragnie pokazać prawdziwie grecką gościnność, rwie się nawet do otwierania bramki, ale mężczyzna radzi sobie sam. Ma minę jak nowy uczeń w klasie. Zorba prowadzi go ku stołom, a mężczyzna wita się z każdym, podaje dłoń. W końcu dochodzi do mnie, wyciąga rękę i się przedstawia.

Ma na imię Jacek i przyjechał tutaj z Warszawy.

Nie pamiętam dokładnie, kiedy zacząłem dobrze zarabiać, ale potrafię przywołać znaki dobrobytu. W naszej lodówce pojawiły się sery inne niż gouda i morski, a biblioteczka zapełniła się nowymi książkami. Zaczęliśmy rozmawiać o większym mieszkaniu, koniecznie na Mokotowie. Po którejś wypłacie pojechałem do Galerii Mokotów po spodnie Levi'sa i dzinsową kurtkę. Pamiętam ukłucie wstydu towarzyszące temu zakupowi. Przestraszyłem się, że dobra passa gwałtownie dobiegnie końca, nawalę i wyrzucą mnie z roboty. Nagle poczułem się jak egoista. Pomyślałem o sobie, lecz nie o innych. Wróciłem do Galerii po kamerkę dla Mikołaja i Chanel No 5, dwa flakony: dla Julki i Patrycji.

W pracy zauważyłem, że coraz więcej kolegów prosi mnie o radę i próbuje się zaprzyjaźnić. Wyciągali na piwo, squasha i kręgle, zapraszali nawet do domów. Podobało mi się to. Ciekawiło mnie, co to znaczy mieć przyjaciół. Choć w oczach Julki byłem przecież towarzyskim człowiekiem, który baluje z kumplami przynajmniej raz w tygodniu. Kolegom odpowiadałem, że odbijemy sobie na wyjazdach, w czym również mijałem się z prawdą.

Jednym z moich obowiązków była praca przy zjazdach i konferencjach międzynarodowych teamów, a także dbanie o komfort wiceprezesów i partnerów podczas takich ekscytujących wydarzeń. Krążyła wśród nas historia o kijowskim evencie, gdzie na cześć pewnego ważnego Irlandczyka do sali wjechała dziewczyna przystrojona jedynie w czekoladę. Posypały się za to głowy i wszyscy byli zdania, że taki skandal nie może się powtórzyć. Wyszukiwałem poważne restauracje serwujące również dania wegańskie i bezglutenowe i zawsze sprawdzałem, czy w pobliżu jest jakiś nocny klub. Dostosowywałem jakość hotelu do ważności gościa, rezerwowałem bilety lotnicze, zamawiałem taksówki, a potem meldowałem się w Pradze czy też Budapeszcie, gdzie byłem na każde skinienie. Inni narzekali na tę pracę, na odbieranie telefonu w biegu. Ja przeciwnie. Wreszcie czułem się potrzebny.

Potrzebował mnie też Mikołaj, który czasem wpadał w histerię, kiedy wyjeżdżałem, a potem nabijał rachunek, wydzwanając z pytaniem, co tym razem mu kupię. Czytał o miastach, do których wyjeżdżałem. Z Budapesztu zażyczył sobie tokaj i tłumaczył, że poczeka z nim, aż będzie dorosły. Stańło na czekoladkach Gerbaud i małym pudełku Lego kupionym na lotnisku. Prosił, żebym z Pragi przywiózł mu figurkę wojaka Szwejka i kamień filozoficzny, jeden z tych, które jego zdaniem sprzedawano jak precle na Złotej Uliczce. Zaskoczony zapytałem, skąd słyszał o kamieniu i alchemikach. Popatrzył na mnie jak na durnia i powiedział, że w internecie jest wszystko, a on potrzebuje kamienia, bo chce żyć wiecznie.

Zamawiałem taksówki, biegałem za prezentami, słuchałem skarg i wychodziłem naprzeciw wszelkim życzeniom. Na każdym przyjęciu musiałem zostać do końca, aż goście, ci ważni ludzie, obżarci i wstawieni, rozjadą się do hoteli. W pokoju czasem czekała Patrycja, czasem nie. Ociągałem się z zabieraniem jej na te wyjazdy, chociaż bardzo naciskała. Mówiła, że dzięki temu

zobaczy kawałek świata. Potem narzekała, że nie ma mnie od rana do wieczora, i pytała, czy zabiorę ją na firmową kolację, choćby jedną. Przecież nikt tam nie zna Julki, mogłaby ją poudawać. Kogo tam obchodzi moje życie? Tłumaczyłem różnicę pomiędzy pracą i domem, Patrycja odpowiadała, że rozumie, i zaraz wybuchła płaczem. Nie była przecież żadnym domem, szlochała – więc czym?

Wciąż spotykaliśmy się w hotelu, chodziliśmy na spacer do parku przy rondzie Jazdy Polskiej, wieczorami nie potrafiłem się skupić na niczym innym poza odpowiadaniem na esemesy, ale między nas wkraść się smutek. Patrycja coraz częściej pytała, co z nami będzie, a potem błagała, żebym jej nie zostawiał. Zdarzało jej się też płakać bez wyraźnego powodu. Zazdrościła ludziom, którzy coś mają, tak jak ja. Bała się dnia, kiedy będzie stara i spojrzy wstecz na zmarnowane życie. Powtarzała, że ma bardzo niewiele, a mnie brakowało argumentów, by zaprzeczyć. Jej ciało straciło urok świeżości i gdy wymykałem się na spotkanie, czułem ucisk w płucach i niewidzialny ciężar na barkach. Bardzo chciałem, aby było między nami dobrze.

Oczywiście myślałem o prostszym, lepszym życiu, w którym byłbym tylko z Julką, nie wyobrażałem sobie jednak zostawienia Patrycji. Powiedziałem jej rzeczy, których nie zdradziłem nikomu innemu, a ona nie miała nikogo oprócz mnie. Bałem się, że choroba połknie ją na zawsze, że Patrycja zapłacze się w swoim mieszkaniu obok obojętnego grubasa albo nawet wyłowią ją z Wisły. Śniło mi się, że w tajemnicy chodzę na jej grób, gdzie nikt nie składa kwiatów.

Steve, zapytany o radę, rzekł, że wszystko kosztuje, a miłość najwięcej, przy czym pieniądze nic tu nie znaczą. Za szmal ma się kurwy, dodał i podsunął mi diagram w kształcie serca. Wyjaśnił, że mam dwie kobiety w swoim życiu, a każda oddała mi się bez reszty. Julka poświęciła młodość, rodząc Mikołaja, Patrycja obdarzyła mnie bezgraniczną miłością. Przyznałem mu rację, a on rzekł, że każdej powinienem oddać połowę serca. Przedzielił diagram na pół. Jego zdaniem każdej próbowałem dać całe swoje serce, byłem jak człowiek, który wypycha słonia do psiej budy – stąd moje zmęczenie i smutek. Kiedy jestem sam ze sobą? I której z tych kobiet pragnę bardziej? Wyszedłem przestraszony perspektywą odpowiedzi, a Steve śmiał się ze mnie.

Raz niewiele brakowało, bym zostawił Patrycję. Napisała do mnie, że musimy natychmiast się zobaczyć. Byłem w pracy, a wieczorem miałem grać w *Talizman* czy inną planszówkę. Mikołaj bardzo się cieszył. Patrycja odpisała, że mamy wspólne zmartwienie. Okres spóźniał się o dwa tygodnie.

Ziemia usunęła mi się spod stóp. Nie przypuszczałem, że Patrycja w ogóle zajdzie w ciążę, a ja przeżyję powtórkę koszmaru sprzed dekady. Struchlały i mokry wyobrażałem sobie, jak jedziemy razem na Słowację do jakiejś ponurej kliniki, gdzie nikt nie mówi po polsku, a każdy ocenia. Co, jeśli Patrycja, kochana i postrzelona, zdecyduje się zostawić to dziecko? Nie miała wykształcenia ani pracy, mieszkała z byłym chłopakiem i szalała z miłości: takie kobiety decydują się urodzić wbrew wszystkiemu.

Nie chciała aptecznego testu, więc podsunąłem jej adres centrum diagnostycznego na Bródnie, by nie musiała dojeżdżać do centrum. Poprosiła, byśmy wynik odebrali osobiście, koniecznie we dwoje. Był gotowy już nazajutrz rano, niestety nie mogłem urwać się z pracy. Przez cały dzień obracałem w głowie każdą wspólną chwilę, próbując wyłowić tę odpowiedzialną za nieszczęście. Przysięgałem, że już nigdy nie zapomnę o kondomach i zawsze będę kończyć na zewnątrz. Zastanawiałem się nawet, czy to moje dziecko. Patrycja czekała pod przychodnią. Nawet na

mnie nie spojrzała.

Gdy staliśmy w kolejce, zadzwoniła Julka. Pytała, gdzie jestem i czemu nie ma mnie jeszcze w domu. W innej sytuacji znalazłbym lepszą odpowiedź, ale skołowany i zaskoczony palnąłem pierwszą rzecz, która przyszła mi do głowy: zjrzałem do mamy, która źle się poczuła.

Patrycja rzuciła się na wydruk podsunęty przez laborantkę i spojrzała na mnie z ulgą. Cykl rozregulował jej się przez leki, powiedziała, gdy wyszliśmy na zewnątrz. Zachciało mi się śmiać. Jak mogło nie przyjść nam to do głowy?

Julka przywitała mnie milcząca i chmurna. Rozkładałem *Talizman*, gdy zaciągnęła mnie do kuchni i zapytała, gdzie naprawdę byłem. Dzwoniła do mojej mamy, która czuje się doskonale i nic nie wie o żadnej mojej wizycie. Od dawna przeczuwała, że mam jakąś tajemnicę, zaś teraz uzyskała pewność i daje mi ostatnią szansę, abym się przyznał; najgorsza prawda będzie lepsza od kłamstwa. Stałem przerażony i zastanawiałem się nad wiarygodnym wykrętem. Zadzwonił telefon Julki. Odebrała, gniewnie rzuciła, że oddzwoni, po czym osunęła się na krzesło. Słuchała, kiwała głową, powtarzała „dobrze” i „rozumiem”.

Rozłączyła się, wstała i przeprosiła. Z moją mamą naprawdę jest źle. Właśnie dzwoniła – przecież rzeczywiście dziś u niej byłem, tylko jej umknęło. W tej sytuacji, orzekła Julka, musimy poświęcić mamie więcej uwagi, a przynajmniej powinniśmy dzwonić do siebie rano i wieczorem. To przecież mogą być początki alzheimera. Mama nie ma nikogo oprócz nas, przypomniała i przeprosiła mnie ponownie. Obiecała, że już nigdy nie wyciągnie pochopnych wniosków. Słuchałem tego jak obcej mowy. Większość ludzi nie doświadcza cudu przez całe życie, mnie zdarzyły się dwa w jedno popołudnie. Pocałowałem Julkę, zawołaliśmy Mikołaja i usiedliśmy do planszówki.

Przez następne dni unikałem wizyt u mamy, ale w końcu musiałem do niej zajrzeć. Mama przestała farbować włosy i wyglądała jak starzejący się anioł; z całego mieszkania poznikały lustra. Usiedliśmy w pokoju. Tym razem nie było kawy ani ciastek. Mama zapytała wprost, co ukrywam, i obiecała, że wszystko zostanie między nami. Zagroziła, że jeśli ją okłamię, natychmiast zadzwoni do Julki.

Podczas tej rozmowy – kiedy mówiłem dużo, a mama słuchała – odczułem ulgę. Dotąd otworzyłem się tylko przed Steve'em. Opowiedziałem, jak odnowiłem kontakt z Patrycją, i wspomniałem, że zawsze mi się podobała. Tamtej sylwestrowej nocy chciałem przecież poderwać ją, nie Julkę. Mówiłem o wizytach w hotelach i wyjazdach. Zaznaczyłem, że Patrycja jest mi przyjaciółką i powierniczką, czuję się przy niej szczęśliwy, co przecież nie do końca było prawdą. Zmilczałem rzeczy, których mama nie zdołałaby zaakceptować. Skłamałem, że Patrycja zajmuje się sztuką, dobrze zarabia i ma mieszkanie własnościowe, do tego bez kredytu. Nie wspominałem o chorobie i o teście ciężowym.

Mama zapytała, czy pamiętam o Mikołaju, i zaczęła przeklinać Julkę. Oto, do czego doprowadziła! Ofiarowałem jej młodość, haruję jak wół i jeszcze muszę szukać miłości poza domem! Oczywiście mama wiedziała, że tak się podzieje. Julka nigdy jej się nie podobała. Była gnuśna i skoncentrowana na sobie, przyjechała z jakiejś dziury i złapała pierwszego lepszego chłopaka na dziecko. Mama aż się trzęsła, wypowiadając te słowa. Wyznała, że próbowała się przekonać do Julki – i po co? Żeby teraz tułał się po hotelach? Znowu przywołała Mikołaja i nieszczęście wiszące w powietrzu. Czy zamierzam opuścić rodzinę?

Zapewniłem, że nie, nigdy tak nie postąpię i prędzej zrezygnuję ze szczęścia z Patrycją, niż skrzywdzę mojego syna. Wolę umrzeć niż być jak mój ojciec. Mama popatrzyła na mnie poważnie. Zawsze chciała, abym był dobrym człowiekiem, i oto jestem. Nie przypuszczała tylko,

że zapłacę za to tak straszliwą cenę. Zapytała jeszcze, czy jestem gotów zostawić Patrycję, czemu również zaprzeczyłem. Mama zapowiedziała, że jeśli zranię Mikołaja, zwróci się przeciwko mnie i nawet zezna na korzyść Julki podczas sprawy rozwodowej. Poprzez mnie jednak w każdej innej sytuacji, przechowa wszystkie sekrety i udzieli niezbędnej pomocy. Mojemu ojcu zabrakło odwagi i charakteru, opuścił rodzinę. Ja byłem, jej zdaniem, z lepszej stali zrobiony. Wyraziła nadzieję, że pozna Patrycję. Obiecałem, że kiedyś tak właśnie się stanie, i objąłem mamę, dziękując za wszystko. Wczepiła się we mnie i powtarzała: „Mój biedaku, mój najdroższy, mój kochany”.

Mama dotrzymała słowa i moje życie zmieniło się na lepsze. Nie musiałem już udawać, że wychodzę na spotkania z kolegami. Powiedziałem Julce, że raz w tygodniu będę odwiedzał mamę po pracy, może nawet czasem zostanę na noc. Gdy nastąpiła wiosna, mama odkryła radość wyjazdów poza Warszawę, gdzie jakaś jej koleżanka miała dom z ogrodem. Mówiła, że świeże powietrze, śpiew ptaków i zapach lasu odejmują jej lat. Zostawiła mi klucze do mieszkania na Dworkowej, prosząc, żebym tam zajrzał, jeśli tylko mam ochotę. Nie wymieniła imienia Patrycji, ale kiedy tam przyszliśmy, w moim dawnym pokoju zastaliśmy rozścielone łóżko i ciastka w ręcznie malowanej miseczce.

Wokół leje się wino i płoną ognie, gra muzyka, a Jacek opowiada o pakowaniu kanapek w firmie cateringowej. Pochyliła się nad stolikiem, abym słyszał go lepiej. Gloria uzupełnia nam kieliszki. Tu pije się przez cały boży dzień. Słucham i jestem słuchany.

Kiedyś unikałem takich gości. Widywałem ich w starych mercach z szyberdachem, jak wystawiali za okna opalone łokcie i puszczała na ful Weekend i Braci Figo Fagot. W Źródleku zawsze kupowali whisky i colę, za które płacili zrolowanymi banknotami wyjmowanymi z grubych płóciennych portfeli. Mieli bransolety na przedramionach, włosy zaczesane do tyłu i nosili ogromne kolorowe torby ze sprzętem na siłownię. Bez przerwy gadali o świniach i powtarzali „kurwa”. Wieczorami stali w groźnych grupach. Zawsze na kogoś czekali, a ja bałem się koło nich przejść. Cieszyłem się, że nie mam z takimi ludźmi nic wspólnego, zaś teraz cieszę się, słuchając Jacka, jego kurew i chujów, jego opowieści.

Jacek mówi, że kiedyś, jeszcze w Polsce, organizował imprezy, ale z jego słów wynika coś innego. Przypuszczalnie pracował jako kucharz, ewentualnie przygotowywał zimne przekąski. Wstawał o trzeciej nad ranem i szykował jedzenie. Uważa, że Polacy są narodem bardzo szczególnych smakoszy. Włosi lubią makarony, Amerykanie burgery, a my wszystko, co jest za darmo. Pomagał przy naprawdę dużych imprezach, takich w Hotelu Europejskim, w Bristolu i ośrodkach pod Warszawą. Spotykał tam ludzi, których dotąd widywał w telewizji: gwiazdy TVN-u, prezesów banków, aktorów z kontraktami reklamowymi. Zachowywali się, jakby nie jedli od tygodnia, jeden drugiemu omal oka nie wydłubał, gdy przyszło do walki o ostatnią krewetkę, a to i tak nic w porównaniu z tym, co się wyrabiało przed barem, gdzie lali grant'sa gratis. Jacek krztusi się ze śmiechu, gdy o tym opowiada. Stukamy się. Obala kieliszek jednym haustem, ociera usta i prosi o jeszcze. Pytam, czy zawsze tak dawał w palnik. Jacek dziękuje Glorii za dolewkę i szczerzy się po swojemu.

– No nie, kurwa, bo jak, tylko tutaj. Przecież, kurwa, jestem Polakiem, a tu leją za darmo.

Nawet Gloria się śmieje. Nie rozumie ani słowa, lecz udziela jej się nasza wesołość. Mnie natomiast trapi jedna rzecz. Przysięgnęłbym, że już kiedyś widziałem tego faceta. Pytam o te jego

hotele, krewetki i kanapki. Może dostarczał je na eventy ze Steve'em? Jacek drapie się w pijany łeb i niepewnie zaprzecza. Nie przypomina sobie żadnego Zalewu, ale zrobił tych imprez tyle, że może się mylić, poza tym nie ma już tej pracy i pragnie o niej zapomnieć.

– Wiesz, kurwa, to przecież nie było życie. Chciałem mieć, chciałem być kimś, to jest chyba, kurwa, normalne, że chcesz tego, co wszyscy. To wiesz, wstawałem o tej trzeciej, robiłem kanapki i rozwoziłem po firmach, żeby te buce miały co żreć od świtu. Potem robiłem lunchy, a wieczorami stałem na bramce, bo, kurwa, jeszcze trochę chciałem dorobić. Brakowało na ZUS, na podatki, tak myślałem. Jaki, kurwa, ZUS? Na imprezki chciałem, na buty, na lepsze auto, no i na wódę, i świnię. Wódy było w opór. I jeszcze siłownia, i cykle, i omka, żeby przyrosty szły szybciej. Spałem po trzy godziny i nie czułem zmęczenia. Ani chuja, bo wiesz co? Jestem nie do zajebania. Nie do zajebania, kurwa! – Jacek cieszy się, unosząc kieliszek. Jego oczy są płytkie, skóra wysuszona, ręce nieustannie czegoś szukają. – Tylko w normalnym kraju człowiek dojdzie do czegoś przy takim zapierdolu. Zadupcasz, więc masz, tak to powinno wyglądać, co nie? Nie w Polsce, i zrozum, ja, kurwa, kocham ten kraj, kocham bardziej niż matkę, bo Polska trochę jak matka jest, matka Polka, głucha, zalatana i wiecznie najebana. Kocha nas, ale tak po swojemu, rozumiesz, kurwa? Jezus, ale się cieszę, że cię spotkałem. Mordo, zdróweczko!

Wino przelewa się między naszymi kieliszkami, a Gloria przynosi kawałki pieczonego prosięcia faszerowane kaszą, gołąbki w liściach winogron i ciepłe mleczko, zalane oliwą i sokiem z cytryny. Stawia na stole kolejną karafkę. Jacek robi głupkowaną minę, a jego oczy mogłyby należeć do chłopca zaskoczonych mnogością prezentów. To jest wspaniałe, woła, nie spodziewał się czegoś takiego. Po prostu wybrał się na spacer i trafił pod nasz płot.

– Skąd ty wytrzasnąłeś taką lalę, powiedz mi, no.

Gloria siedzi przy nas, słucha i nic nie rozumie. Odpowiadam, że zawsze dobrze radziłem sobie z dziewczynami, a tu wszystko przebiega łatwiej i spokojniej. Boję się, że Jacek zapyta, skąd tu się wziąłem, ale on przerywa mi, niemal trąca palcem.

– Łatwiej i spokojniej, otóż to, no, mądra decyzja, chłopie. Miałem tak samo, to znaczy żyłem, jak żyłem, i nagle po prostu powiedziałem sobie: „Jacek, odpuść, Jacek, jeśli się nie zatrzymasz, to będą kefir”. I wiesz co? Odpuściłem. Sprzedałem firmę i przyjechałem tutaj. Niczego nie planowałem. Po prostu wziąłem bilet do Aten i w Pireusie wsiadłem na prom. A wiesz, co jest, kurwa, najwspanialsze? Nic nie muszę! Nic! Próbuje się tym cieszyć, tylko, kurwa, nie umiem. Normalnie nie wiem, co mam robić z dniem, wcześniej, kumas, dzień podzielony na kwadransy, robota i głupota, a teraz co, łązę, miejsca sobie nie mogę znaleźć. To minie, tak myślę, minie i już.

Jacek milknie, zasapał się jak podczas biegu, musi się napić, lecz niechcący rozlewa wino. Nie jest jedyny. Gloria zamknęła oczy, kiwa głową i mruczy. Przygasają pochodnie, za to muzyka brzmi głośniejsz, a wszystko wokół naszego stolika wygląda jak przez zadymione szkło: przygarbione chłopcy, kobiety o odsłoniętych ramionach, dzieci przelewające się przez ramiona pijanych matek. Tłuste koty umykają w krzaki z resztkami jedzenia w pyskach. Jacek podrywa głowę i pyta, czy może zatańczyć z Glorią. Nikt nigdy nie zadał mi takiego pytania. Nie wiem, co z nim zrobić, lecz Gloria wie.

Jacek prowadzi ją od stolika, strzela z palców, potrząsa biodrami i okrąża, choć nogi mu się plączą. Wypina tę szeroką klatę, chwytając Glorię za dłonie i zaczynają się kręcić. Jestem zazdrosny, ale tylko przez chwilę, bo nos Jacka sięga brody Glorii, i to tylko wtedy, gdy jego właściciel stanie na palcach. Facet przypomina pancernika na polu minowym, dawno by runął, gdyby nie mocne ramię Glorii. Śmieję się, śmieją się Grecy, rechochce Zorba na swoim tronie.

Pokażę chłopu, jak to się robi.

Nawet nie wiem, jak trafiłem między tańczących, wiem jednak, że wszystko wreszcie znalazło się na swoim miejscu. W uszach wrze krew, płuca puchną, trzask żeber zaraz zagłuszy muzykę, która jest głośna, okropna i bardzo mi się podoba. Ludzie wokoło zmieniają się w duchy, płoną ognie, a moje stopy depczą świat. Tańczę z Glorią i bez Glorii, ktoś wlewa mi wino prosto w gardło – ktoś klaszcze, ktoś gwizdże na palcach. Zapominam nawet o tym, że nie powinienem pamiętać, a gdy wreszcie wypadam z kręgu światła, gdy ląduję na trawie, zaraz zjawia się pomocna dłoń. To Jacek.

Wracamy we troje środkiem dziurawej drogi, Gloria niesie własne buty, Jacek wino. Zaraz stoczmy się do morza, niby miękkie kamienie. Gloria co chwilę się zatrzymuje i wciąga głęboko powietrze. Jacek opowiada o swoich planach. Chce zostać tutaj jeszcze trochę, nie planował, lecz tak robi, bo właśnie poznał nas, fantastycznych ludzi. Ale potem pojedzie dalej, do Afryki, i będzie oglądał małpy, które zawsze chciał zobaczyć. Opowiada o stadach pawianów maszerujących dnem wyschniętej rzeki, o gwałtownych szympanсах i łagodnych gorylach. Przysięga, że tak właśnie zrobi: weźmie statek do Kamerunu, potem kupi samochód i pojedzie przez Sudan, Zair i Angolę do Namibii, gdzie wprost nie można opędzić się od pawianów. Morda zamyka mu się dopiero pod samym hotelem. Jacek całuje Glorię, mnie ściska serdecznie i już maleje w wąskim korytarzu hotelowym. Zgarbiony, włochaty, przypominałby małpę, gdyby nie spodenki, koszula przepocona na plecach i prześwitujący przez nią wielki tatuaż.

Załamanie następuje na wysokości restauracji. Gloria przystaje, szlocha i się kuli, jakby kopnięto ją w brzuch. Będzie tylko gorzej. Pomagam jej wstać, prowadzę, kładąc dłoń na wysokości biodra. W oknie hotelu pojawia się krępa sylwetka. Jacek sprawdza, co się z nami dzieje. Dowiaduje się i znika.

W domu Gloria nie chce słyszeć o pójściu do łóżka. Zwała się na krzesło obok toaletki z papierosem i kieliszkiem. Już dawno przestałem zabierać jej wino. Nie mamy wobec siebie żadnych wymagań i nie próbujemy się zmieniać. Z rozkraczonymi kolanami i zsuniętym ramiączkiem sukienki wygląda jak smutna kurwa, nikt więcej. Widocznie tak chce albo inaczej nie potrafi.

Gloria zadaje pytania, które znam na pamięć. Potrafię je wymieniwać, nim usłyszę, we właściwej kolejności. Dlaczego padło właśnie na nich, może kochali się za bardzo? Może ich miłość nie podobała się Bogu i dlatego zesłał tę straszną chorobę? Gloria pyta, lecz nie oczekuje odpowiedzi. Trzymam ją za rękę i myślę o Jacku. To niezwykle, że dwóch warszawiaków spotkało się na Salamini, ale przywykłem już do innych, większych nawet niezwykłości. Dobrze, że jest. Dobrze, że jest Gloria, nawet zapłakana. Mogę złożyć głowę na jej kolanach. Nie przejmuję się, kiedy zostają odepchnięty.

Gloria pyta, dlaczego Sakis nie walczył. Nazywa jego śmierć samobójstwem na raty. Ludzie biorą chemię za chemię, odwiedzają cudotwórców, a on po prostu czekał i tego czekania Gloria nie może zrozumieć. Przecież tak go bolało, przecież nie mógł już jeść. Dlaczego nie poszedł się leczyć? Dlaczego się poddał, kiedy przepadły restauracje? Myślę o Jacku, jego kanapkach i pawianach, a także o tym, czy na pewno nie spotkaliśmy się w hotelu nad Zalewem Zegrzyńskim. Gloria przyciska palce do twarzy i zadaje ostatnie, najstrasniejsze pytanie. Chce wiedzieć, dlaczego nie wystarczyła. Czy dla niej samej nie warto było żyć?

Idzie do łóżka jak otumaniony pies, trzymam ją w ramionach, dopóki nie przestanie płakać. Przeprasza, zapewnia mnie o swojej miłości, i prosi, bym ją opuścił. Zasypiam na krótko i śni mi się Sakis, zstępujący z fotografii przy łóżku. Kruszy sobie palce jak ciastka, jego wysuszona dłoń rozsypuje się na poduszce. Mówi, że wybiera się do ciemnego miejsca, w którym mieszkasz także ty. Pyta, czy chciałbym coś ci przekazać, przeprasza za zawracanie głowy, strząsa sobie z twarzy wargi i policzki.

Budzą mnie krzyk mew i łoskot fal uderzających o murowany brzeg.

Ojciec i syn idą przez park Morskie Oko. Jan nie nadąża za Mikołajem.

Mikołaj natychmiast siada na ławce wiaty przystankowej i wyciąga tablet, tymczasem Jan nie może znaleźć sobie miejsca. Sprawdza telefon. Zerka w stronę parku, wypatrując Patrycji, wreszcie zajmuje miejsce obok syna i czeka ze spuszczoną głową.

Na autobus czeka również nerwowy czterdziestolatek w skórzanej kurtce, zadbana staruszka w typie emerytowanej pracownicy naukowej i dwóch nastolatków w bluzach z pseudonimami youtuberów.

Na Puławskiej ruch jest niewielki. Kilkadziesiąt metrów dalej, obok kiosku, rozłożyli się sprzedawcy skarpet i owoców. Z pewnej odległości interesu dogląda tęgi facet na wózku, z papierosem w grubych wargach. Tramwaj hamuje przed przejściem dla pieszych. Podmuch wiosennego wiatru przewraca koziołek ustawiony u wylotu Madalińskiego, a kurier DHL zostawia furgonetkę na światłach awaryjnych i znika w drzwiach cukierni.

Uwagę Jana zwraca rudy kot, który wychynął z krzaków i kręci się w pobliżu. Jest tłusty i ma obrózkę, nie boi się ludzi ani samochodów i węszy przy śmietniku. Jan waha się chwilę, wstaje i klęka przy kocie. Ten Ignie do jego ręki. Jan drapie zwierzę pod bródką i po grzbiecie, u nasady ogona. Kot mruczy, przywiera brzuchem do ziemi i wysuwa pazurki, tymczasem środkiem Puławskiej mknie srebrna toyota. Nie widzi jej Jan, nie widzi emerytka, nie widzą nastolatkwie ani nerwus w skórzanej kurtce, zajęty mówieniem do siebie. Nie widzi Mikołaj.

Trach.

Kot odskakuje i przygląda się z bezpiecznej odległości. Jan podnosi się, odwraca głowę i kamienieje w pół ruchu. Zniknęli nastolatkwie. Sina staruszka siedzi na chodniku, nerwus leży w powiększającej się kałuży krwi. Z wiaty została plastikowa szczyrba z resztkami afisza teatralnego. Zdezelowany przód samochodu znieruchomiał dokładnie w tym miejscu, w którym siedział Mikołaj.

Handlarze porzucili stoiska i biegną na miejsce wypadku.

Siedzę na przystanku i czytam książkę. Mam adidas na grubej podeszwie i jasny dres z napisem STAR WARS biegnącym wzdłuż nogawki. Puławską suną tramwaje, a pasażerowie, choć jest już dość ciepło, mają na sobie kurtki i płaszcze.

Jakieś pięćdziesiąt metrów dalej, naprzeciwko wylotu Madalińskiego, stoi koziółek z wypisanym menu jadłodajni Kwadrans. Dziś w promocji – widziałem, gdy szedłem tamtędy – zupa z dyni i makaron z łososiem, zaś piwo rzemieślnicze można kupić już za dziewięć złotych. Koziółek jest przytroczony do znaku zakazu wjazdu i chwieje się poruszany przez wiatr. Niebo jest aż białe od światła. Mrużę oczy, żeby czytać, ale kartki w książce są puste.

Już wiem, że to sen, a srebrna toyota zmierzająca w moim kierunku naprawdę nie istnieje. Nie ma ani szerokiego zderzaka, ani postrzępionych kół, ani niewyraźnej sylwetki za szybą. Toyota jest jeszcze daleko, ale nie mogę się ruszyć. Wciskam sobie książkę między kolana.

Przechodnie zniknęli. Koziółek tańczy i upada na chodnik. Odgłos upadku musi być donośny, ale go nie słyszę, podobnie jak klekotania tramwajów i ryku silnika nadjeżdżającego samochodu. Strzela szkło w oknach, przewraca się stragan z owocami, toyota pędzi wprost na mnie. Mogę przeczytać rejestrację, widzę też kratę za plecami kierowcy. Sam kierowca to tylko cień. Nad deską rozdzielczą podskakuje małpa.

Małpa ma wesołą mordę, ogon jak wkład do długopisu i krótkie łapki ściskające sznurek doczepiony do lusterka. Buja się, uderzając o szybę czerwonym zadem. Rośnie w oczach, jest większa od kół i pogniecionej maski. Próbuje się osłonić książką, ale wiatr wyrywa mi ją z rąk.

Podnoszę się z dna łódki i siadam przy dziobie. Jacek się śmieje – po raz pierwszy widział, żeby ktoś zasnął i zaraz wstał z krzykiem. Pyta, co takiego mi się przyśniło, i podsuwa puszkę piwa, nie czekając na odpowiedź. Patrząc pod słońce, widzę tylko zarys jego sylwetki.

Nie mam ochoty na piwo, zresztą Jacek zaraz osuszy cały zapas. Po dnie toczą się już trzy puszki, a on opróżnia czwartą. Trzyma ją w obu dłoniach i patrzy na morze. Sięgam po wodę do przenośnej lodówki. Piję jak marynarz na starych filmach, cieknie mi po brodzie.

Jacek nie może się nadziwić, że codziennie wypływam na ryby. Jego zdaniem to cholernie romantyczne, najbardziej ta wczesna godzina. Zdarzało mu się marzyć o łowieniu ryb przed świtem, zwłaszcza kiedy wstawał o trzeciej, żeby zrobić dwieście kanapek. Pije i opowiada, jak to było z tymi kanapkami. Przygotowywał je w przynajmniej trzech wersjach, pakował w folię i znosił do forda, którego wziął w leasing. Latem już się przejaśniało. Gnał przez puste dwupasmówki, czerwone słońce odbijało się w wodzie pozostawionej przez polewaczki, a Jacek pił kawę z benzynówki i kłął na kurewskie, niesprawiedliwe życie. Doprawdy, wolałby wypływać na ryby przed świtem.

Dryfujemy. Przy brzegu kołyszają się łódki o zwiniętych żaglach, a mewy polują. Dalekie żelazne żurawie wyglądają jak patyczki. Jacek ma na sobie szorty i białą koszulkę. Kręci głową i mruży oczy, co widać mimo ciemnych okularów. Zgniecioną puszkę ciska na dno łodzi i natychmiast sięga po następną. Przechyla się i zerka w wodę.

– Zakurwiste, normalnie wszystko widać, wyjebana sprawa. Tam takie rybki popierdalają, o kurwiks, jedna duża, jebutna taka. O ja jebie, człowieku, jak tu jest wspaniale z tą całą przyrodą. Wreszcie czuję, że żyję. Ale ci jestem wdzięczny, żeś mnie wyciągnął.

Stukamy się, ja butelką wody, on puszką. Pije od rana i nie jest nawet strzelony. Wciąż

przechyla się przez burzę.

– Myślisz, że dałoby się tu ponurkować? W sensie pożyczyc jakąś butlę czy coś? Jak żeś tę łódkę skołował, to z nurkowaniem też się uda. Popływalibyśmy sobie, nie? Ja funduję.

Widywałem nurków przy brzegu i wydaje mi się, że niedaleko portu mają wypożyczalnie sprzętu ocalałą z czasów, kiedy na Salaminę jeszcze przyjeżdżali turyści. Zawsze mogę zapytać Zorby. Istnieje jednak inny problem, o którym boję się wspomnieć. Odpowiadam, że się zorientuję, na pewno się uda, a Jacek ostrożnie odstawia puszkę i pyta, czemu właściwie nie mielibyśmy sobie teraz popływać. Obruszam się. Kto o zdrowych zmysłach pije, a potem wskakuje do wody? Dostanie ataku serca i utonie. Przecież nie wyciągnę takiego kloca z topieli. Radosny Jacek oznajmia, że mnie popierdoliło, i zaczyna zdejmować koszulkę.

Czuję się jak maturzysta, który nigdy nie całował się z dziewczyną, jak student bez komputera, jak dorosły gość bez prawa jazdy, który myśli, że pick-up to marka samochodu. Mówię, że nie umiem pływać, a Jacek zamiera z koszulką naciągniętą na oczy. Wzdycha i sięga po piwo. Zaraz parsknie złośliwym śmiechem i powie coś przykrego. Ale nie – pyta, czy wychowywała mnie tylko mama. Przytakuję, a on wstaje i oznajmia, że na naukę nigdy nie jest za późno. Wypłynąłem łazęgą, wrócę jako ten Michael Phelps.

Ani mi to w głowie, lecz Jacek pozostaje nieugięty. Słona woda wypycha ciało, przekonuje, pójdzie łatwiej niż na basenie. No, jestem facetem czy pizdą?

Siadam na burcie, łódka przechyla się gwałtownie i Jacek prosi, żebym się nie wygłupiał, bo jeszcze obaj wpadniemy. Każe mi po prostu zanurkować. Gdy znajdę się w wodzie, wszystko będzie dobrze, a on zostanie tutaj i mnie wyciągnie, nim zrobi się groźnie. Proszę tylko, aby się nie wygłupiał. Po raz pierwszy, odkąd się znamy, Jacek robi poważną minę. Czy naprawdę mam o nim tak niskie mniemanie? W odpowiedzi osuwam się do wody, nabierając powietrza do płuc.

Ciepłe morze zamyka się nade mną. Próbuję wyczuć dno, którego przecież nie ma, i opadam w ciemność. Ogarnia mnie panika, czarny kształt łodzi kołysze się tuż obok, ale nie potrafię go chwycić. Zagarniam wodę pod siebie, staram się pełznąć po niej jak pijak po schodach, wypuszczam całe powietrze, płuca płoną i już jestem na powierzchni. Jacek podsuwa mi wiosło.

– Napnij brzuch, chłopie, i pamiętaj o nogach, bo będą kefiry.

Kefiry. Spotkałem już człowieka, który lubił to słowo. Tylko gdzie? Chwytam się burty i uderzam nogami w wodę, tak jak Jacek prosi. Sprawia mi to uciechę. Słońce grzeje w plecy, z głębiny ciągnie chłód, do tego przy każdym uderzeniu bryzga woda. Jacek każe mi się puścić, czego nie potrafię zrobić. Ubawiony odrywa moje palce od burty jeden po drugim, a gdy zapadam się w toń, prosi, bym się obrócił na plecy.

– Zostań tak przez chwilę.

Morze obmywa mi skronie, a Jacek przechyla się przez burzę z wiosłem w pogotowiu.

Leżę tak długo, że powraca senność. Niemal zapomniałem o ciemności pode mną. Jacek trąca mnie wiosłem i ogłasza koniec hajlajfu. Przebieram nogami dokładnie tak, jak mówi. Ogarnia mnie zmęczenie, więc poruszam się wolniej, zadzieram głowę, a Jacek krzyczy, żebym się nie bał i trzymał zamknięte usta. No to trzymam. Wykonuję powolne, szerokie wymachy ramionami. Nie mogę uwierzyć, że pływam. Zanurzam głowę i otwieram oczy. Podoba mi się, że woda stawia taki opór dłoniom, cieszą ruchliwe rybki, nie większe od szpilki, przyjemne jest nawet pieczenie spojówek. Płynę ku ciemności, aż w uszach huczy. Zawracam ku słońcu i łodzi, a w wodę wbija się silna, pomocna dłoń – to Jacek mnie chwytą.

Wracam do domu w wyśmienitym humorze, którego nie niszczy nawet bałagan pozostawiony przez Glorię. Padam na łóżko, zavalone przez sukienki, bieliznę, kosmetyki i stanowczo zbyt dużą liczbę niedopałków. Nie przeszkadza mi to, podobnie jak zapach potu, popiołu i rozlanego gdzieś wina. Wciąż czuję woń morza, rozkoszne zmęczenie w plecach, w ustach smak soli. Jeśli zasypiam, to tylko na chwilę pozbawioną snów.

Po raz pierwszy od dawna wstaję wypoczęty i mam ochotę popływać przy brzegu. Do diabła, wezmę główniarzom kajak i powiosuję aż do skały, na której namalowano oko. Kawa dodałaby sił, tylko nie mam jak jej zrobić. Kawiarka jak zwykle zalega pod stertą naczyń. Tyle brudnych talerzy. A przecież Gloria rzadko jada w domu.

Pozmywam, tylko nie mogę bez muzyki. Pamiętam, jak ważna była dla mnie muzyka, jak codziennie sprawdzałem nowości na iTunes, szukałem zespołów na Bandcampie i przeglądałem Spotify. Gloria ma tylko kuchenne radyjko, stare jak Wenus z Milo, z zaschniętymi resztkami jedzenia na głośnikach. Gdy wpinam kabel, trzaska niebieska iskra. Kontakt wysuwa się ze ściany i nie chce wejść z powrotem.

Kiedyś uporam się ze wszystkimi wyłączającymi kontaktami, zawołam szklarza, załatam rynny i wymienię potrząskane dachówki, nim nadejdzie lato. Nie umiem tego, ale dzisiaj nauczyłem się pływać, więc wszystko jest możliwe. Radio nadaje głównie grecką muzykę i rozmowy, których nie rozumiem. Wreszcie znajduję stację z zachodnimi piosenkami, gra najpierw Miley Cyrus, później Timberlake. Kiedyś mi się nie podobali. Uważałem ich za wyrobników na garnuszku korporacji, a teraz szoruję garnki i mam ochotę gwizdać.

Zaglądam do Rouvina po worki na śmieci i sprzątam sypialnię. Pościel wrzucam do pralki, materac wynoszę za dom i trzepię, zaciskając oczy i usta. Tyle kurzu! Zostawię go do wieczora, niech się wywietrzy. Pusta rama łóżka odsłania pobojuwisko poniżej: damskie majtki, dwie koszule nocne, mnóstwo gazet, butelki i zużyty tampon. Zbieram wszystko do worków, zamiatam, tańczę z mopem. Wreszcie podłoga lśni. Czyszcę szafki w kuchni i czarne piekło na nich. Ciągłe wylewam brudną wodę z wiadra, a kran pluje rdzą. Im bardziej jestem zmęczony, tym większą mam ochotę na pracę. Przed miotłą przyskają błyszczące karaluchy. Kurz mam nawet w uszach i we włosach.

Po zmroku powraca Gloria w swojej przewspaniałej grozie. Niesie wino i zaraz potyka się o próg. Sunie na czworakach i wybałusza oczy, jakby nie pojmowała zmiany, która zaszła w naszym popieprzonym gniazdku. Podnoszę Glorię, podnoszę i butelkę. Słyszę, że jestem kochany. A gdzie jest korkociąg?

Już szukam. Poszalejemy do rana, jeśli tylko Gloria ma takie życzenie. Mój starzejący się anioł wlewa w siebie kieliszek i idzie przez mieszkanie jak przez miasto duchów. Nie ma zakrwawionych chusteczek higienicznych i wypalonych zapalek, brakuje też materaca. Gloria nieruchomieje w drzwiach sypialni. Mówię, że dzisiaj wydarzyło się coś wspaniałego: nauczyłem się pływać i naprawdę pływałem, bez deski. Nie żeby długo czy szczególnie dobrze, ale unosiłem się na wodzie bez niczyjej pomocy i tylko Jacek dla żartu udawał, że bije mnie wiosłem po głowie. Gloria pyta, co stało się z materacem.

Tłumaczę, że wciąż się wietrzy, ale przecież możemy się kochać nawet na podłodze. Gloria słucha z przymkniętymi oczami. Rozgląda się, jakby sypialnia nie należała do niej, a ja był kimś obcym. Prosi, bym jednak przyniósł ten materac. Tuli się do mnie, przykleka, lecz woli, żebyśmy skorzystali z materaca. Chce się na nim turlać, chce, żebym pieprzył ją tak, by jej głowa kołysała się poza łóżkiem. Zostawiam Glorię z kieliszkiem i wychodzę do ogródka. Staram się, by materac nie szorował po ziemi, taszcę go, przeklinam i obmyślam plan na wieczór. Zabierzemy

wino na skałę niedaleko kościoła, będziemy patrzeć na statki i porozmawiamy jak wtedy, gdy ledwo się znaleźliśmy.

Tak jednak nie będzie. Ładuję się z materacem do sypialni, a Gloria śpi na podłodze, pod łóżkiem, z ramieniem pod głową.

Nazajutrz po powrocie z połowu zachodzę po Jacka, lecz nie ma go w pokoju. Przez dziurkę od klucza widzę zmiętą pościel, pogniecione puszki i gazetę z gołymi babami. Zerkam też przez nadproże i tak zastaje mnie Ivone: z wypiętym tyłkiem i policzkiem przytkniętym do podłogi. Wstaję, zaczynam się tłumaczyć, lecz widzę, że Ivone jest tak samo zmieszana. Ma cienki szlafrok narzucony na koszulę nocną. Biust lśni od serum, czerwienią się paznokcie u stóp, zapach lakieru wierci mnie w nosie.

Jacka zastaję w jego przydrożnej samotni. Robi pompki z pustakiem na plecach. Widzi mnie, gdy schodzę ze skuterka, ale nie przestaje ćwiczyć. Wali klatą o grunt, jakby chciał go skruszyć i poddaje się, dopiero gdy nie może wyprostować ramion. Zrzuca z siebie pustak, przewraca się na plecy i wyciąga do mnie rękę.

Proponuję przejażdżkę, prawdziwą wycieczkę, kumpelski rajd – żaden z nas nie zwiedził jeszcze Salaminy. Jacek wciąż walczy o oddech, narzeka, że nie skończył treningu, i pyta, co takiego można zobaczyć na tej wyspie. Więcej opuszczonych domów? Mauzoleum śmieci? Słyszałem o starym klasztorze i porcie z czasów starożytnej Grecji, jest też amfiteatr. Nie wiem, jak tam trafić, lecz można przecież sprawdzić w internecie. Jacek mówi, że nie ma telefonu. Wyrzucił go z promu i teraz jest wolnym człowiekiem.

W Ampelakii, jak wszędzie, koty przechadzają się leniwie po betonowych podestach i liżą łapki w cieniu uchylonych zielonych drzwi. Kamienne bramy prowadzą do zarośniętych ogrodów. Kościółek, z basztą wrośniętą w mur i wąskim oknem pośrodku, przypomina twierdzę. Okna domów znajdują się tuż nad chodnikiem, a błękitne okiennice wszędzie są zamknięte. Na podwórkach palmy tulą się do kapliczek, zza płotów dochodzi ujadanie psów. Czuć morze. Zatrzymuję skuter i Jacek daje wyraz swojemu zachwytowi, wyrzucając z siebie wiązkę kurew, chujów i innych jebańców. Dalej idziemy pieszo.

Port w Spithari mieści się w zatoce, a całość atrakcji stanowi kamienny język wychodzący daleko w płytką wodę. Kamienie leżą w dwóch rzędach, po jednym dla każdego z nas. Idziemy powoli, bo ślisko. Na mulistym dnie leżą ociosane głazy w prostokątnych i kolistych konstelacjach. Myślę o uczuciu, które towarzyszy topieniu telefonu – czy właśnie wtedy są kefiry? Gubię krok, kamień usuwa mi się spod stóp i przewracam się wprost na te głazy. Jacek chwyta mnie za ramię, przyciąga, prosi, żebym, kurwa, uważał.

Siadamy, mocząc nogi w wodzie. Przyglądam się własnym poobijanym kolanom i pytam Jacka, czy zostawił w Polsce coś, za czym tęskni, czego mu brakuje. Ni chuja, odpowiada, kocha Polskę, ale to dziki kraj. Wskazuję głową zniszczone domy i zauważam, że tu też jest dziko. Jacek ochlapuje sobie twarz i czerwony kark.

– No dziko, ale inaczej!

Rozmawiamy o mnie. Jacek bardzo chce wiedzieć, jak poderwałem Glorię i czy dobrze mi się ją grzmoci. Nikt nigdy nie zadał mi podobnego pytania. Otóż grzmoci mi się fantastycznie, chyba że przyjdzie urżnięta w sztok. Boję się, że zdradzę za dużo, więc opowiadam o tym, jak bardzo przeszkadza mi brud w domu, te niepozymywane talerze i kontakty sterczące ze ściany.

Strzelają mi po nocy, budzę się i myślę, że nastał koniec świata. Jacek mówi, że zna się na wszystkim. Da sobie radę także z kontaktami.

Klasztor, do którego chcemy dotrzeć, znajduje się po drugiej stronie wyspy. Wsiadam na skuter, Jacek zajmuje miejsce z tyłu i obejmuje mnie w pasie. Ma nieświeży oddech, a mnie kręci się w głowie od słońca. Odjeżdżamy odprowadzani przez leniwe spojrzenia kotów i kobiet w czerni, które tkwią w oknach na piętrze. Droga jest, jak wszyskie tutaj, kręta i pełna dziur, z górami śmieci na poboczach. Chce mi się pić.

Paliwo zaraz się skończy, więc zajeżdżamy na jetoil, skrytą w cieniu łagodnego szczytu. Dystrybutor jest przechylony, w środku sprzedają ciemne okulary po pięć euro i pornosy w promocji. Oczy jedyne go pracownika wyglądają, jakby przez całe życie oglądał wyłącznie świństwa. Wszędzie rosną kwiaty. Jacek wyprzedza mnie w wyścigu do kasy i płaci zwitkiem banknotów wyrwanym z brudnej kieszeni. Nie ma karty bankomatowej ani nawet portfela. Przed wyjściem staje w swojej ulubionej pozie ze skrzyżowanymi ramionami i proponuje, byśmy pojechali przez góry – będzie ładniej i szybciej. Boję się przyznać, że nie mam prawa jazdy, a skutera używam od niedawna. Co to za człowiek, który nie jeździ i nie umie naprawić gniazdka?

Gdy zjeżdżam z drogi na stromą kamienistą ścieżkę, serce mi wali, a dłonie się pocą. Drzewa rosną zbyt blisko. Rozmyślam też o rzeczach, na których się nie znam: o zawieszeniu, hamulcu przednim i tylnym, o dopuszczalnym obciążeniu. O kefirach. Powoli sięgamy szczytu i jadę wyboistą drogą pośród krzewów. Gęste gałęzie pochylają się nad nami. Przyspieszam i Jacek ściska mnie mocniej. Pęd powietrza wydmuchuje z głowy każdą wątpliwość i bzdurę. Cieszę się słońcem, koleiną na środku drogi i bielą przygiętych pni. Chyba się śmieję, bo pył wpada mi do ust.

Docieramy do skrzyżowania. Przed sobą mam prostą asfaltową drogę, na której końcu, za czerwonymi dachami, rozpościera się morze. Nie ma tutaj nikogo. Biorę łagodny zakręt i dociskam gaz. Skuter się trzęsie, wiatr huczy, uścisk Jacka aż boli. Drzewa na poboczu zlewają się w smugę. Przecież mogę to wszystko skończyć, to dobra chwila. Myślę o tym, co zdarzyłoby się, gdybym szarpnął kierownicę, wyobrażam sobie samochód pędzący z naprzeciwka i tak docieram nad samą wodę, gdzie muszę zwolnić. Wjeżdżamy na cypel. To już niedaleko.

Zatrzymuję skuter przed samym klasztorem. Jacek jest biały i sztywny, mówi, że naprawdę mam jaja, tego się, kurwa, nie spodziewał. Klepie mnie w bark na znak, że wszystko gra, i wlecze się w stronę piaskowego budynku.

Żelazną bramę zastajemy uchyloną. Prowadzi na dziedziniec otoczony przez kamienne kolumny. We wnękach, za ławeczkami, widać szare grobowce. Znajdujemy kapliczkę, nie większą od przedsionka. Ze ścian spoglądają poważni święci o długich nosach i surowych twarzach, w popiele płoną cienkie świece. Wrzucam drobne do puszki i zapalam trzy, w tym jedną dla ciebie.

Siadamy na ławce przed ciężkim złotym krzyżem otoczonym ikonami i srebrnymi świecznikami. Jest duszno, pachnie kadzidłem. Nieoczekiwanie dla siebie rzucam, że mógłbym się tutaj odnaleźć, choć z Bogiem mi nie po drodze. Przywykłym do modlitwy, ranne wstawanie nawet lubię i wiem, jaki spokój kryje się w powtarzalności. Oburzony Jacek szepcze, że gadam farmazony, i wstaje. Proszę, byśmy posiedzieli jeszcze trochę. Podoba mi się Matka Boska namalowana na desce po prawej stronie krzyża. Ma spokojną twarz, za to wąż pod jej stopami wygląda na bardzo zdenerwowanego. Maryja rozpościera ramiona i ma taki wzrok, jakby tych, którzy na nią patrzą, chciała zapewnić, że wszystko będzie dobrze.

Wychodzimy za mury i Jacek daje upust złości. Bardzo nie podoba mu się to, co powiedziałem. Mnisi są mocno podupceni, a zakonnice jeszcze bardziej. Pyta, czy istnieje gorszy człowiek od zakonnicy, wiecznie niedojebanej, zaciętej baby, którą woła Chrystus i rozpalona brocha. Klasztory, jego zdaniem, nie różnią się za bardzo od pierdła – wie to, bo sam przekiblował sześć miesięcy.

– Jak można dać się zamknąć? Nic strasznego, ale po chuj? A jak puścili, jak poszedłem na miasto, to tak mnie uderzyło, że nie wiem. Tyle wody, tyle dup, świat do zobaczenia, i wszystko możesz se po prostu wziąć, bo czeka, bo ludzie nie chcą brać. Ja chcę. Życie to fantastyczna sprawa, chłopie, więc nie myśl o takich pierdołach. Fajnie, cholernie fajnie, żeś mnie tutaj wyciągnął.

Jacek milknie i chyba liczy, że przyznam mu rację. Nie wiem, co odpowiedzieć, bo przecież żyłem za mało i za bardzo, zależy od punktu widzenia. Podoba mi się słońce znikające za dachem klasztoru i wieżyczki poczerwieniałe w jego świetle. Bije dzwon. W drzwiach pojawia się brodata głowa, by zaraz zniknąć. To także jest życie. Wracamy do skutera i Jacek zauważa, że jestem bardzo zmęczony. Chętnie zawiezie mnie do domu. Wręcz rwie się do kierownicy. Tłumaczę, że Zorba urwie mi głowę, jeśli zniszczymy skuter. Prawdziwy powód jest inny: ktoś taki jak Jacek nie powinien prowadzić.

Muszę porozmawiać z Zorbą, ale tylko patrzę na jego nóż. Zorba siedzi w rozkroku, pochyla się nad miską. Ptasia dłoń zastyga nad wodą i zaraz trzepocze się w niej skorpena. Zorba chwytą ją mocno, a ja zamiast powiedzieć to, co zamierzam, myślę o tym, że po rybach nie widać cierpienia. Dlatego tak chętnie je łowimy, a i ja jestem już trochę rybą.

Zorba przenosi skorpenę ponad pokładem, nabitą na palce w znaku wiktorii. Drugą ręką sięga po nóż i ja na ten nóż nie mogę przestać patrzeć. Zawsze mi się podobał, ale teraz jest najpiękniejszym przedmiotem na świecie, z tą wyslizganą drewnianą rączką i długim ostrzem, którego koniec unosi się jak język. Zorba rozcina rybę od głowy do ogona, patroszy, wyciera nóż o szmatę. W ostrzu odbijają się słońce, morze i sam Zorba, wypoczęty i pogodny.

Chciałbym mieć taki nóż. Nie nowy, lecz właśnie ten, z wytartym ząbkowaniem. Nie mam pojęcia, do czego by mi się przydał, podobnie jak nie znam sposobu, by rozpocząć rozmowę.

Jasnoniebieskie morze znaczą seledynowe plamy w miejscach, gdzie woda jest płytsza. Fale uderzają o skały pokryte wodorostami, drżą szczyty wędek, łódka lekko się kołysze, wszystko jest takie jak co dzień i tylko Zorba wydaje się odmieniony. Przyciął paznokcie i zgoił brodę, mruży oczy w słońcu i uśmiecha się niczym stary kocur. Jak mam mu teraz powiedzieć, że jego córka chodzi pijana od rana do nocy, w pracy tańczy i polewa za darmo?

Nabijam ślimaki na haczyki, zaś Zorba skręca sobie papierosa. W innym życiu poprosiłbym po prostu: „Tato, pomóż”. Lecz mam tylko to życie, w którym Zorba zaciąga się skrętem jak młody żołnierz, wrywa morzu kolejną rybę i rozpruwa jej brzuch.

Zorba opuszcza łódkę, jakby się gniewał, i siada przed hotelem, czego wcześniej nie robił. Zamawia kawę, gmera sobie we włosach i wbija wzrok w fale. Jeśli sprawiłem mu przykrość, nigdy się tego nie dowiem. Człapię ze swoją częścią połowu pod dom, gdzie oczekuje miły gość.

Jacek siedzi na krzeselku ogrodowym. Założył nogę na nogę, ma ze sobą sześciopak i torbę podróżną, na nosie ciemne okulary. Mówi, że siedzi tutaj kawał czasu, nie wie dokładnie ile – dawno temu zgubił zegarek, ale znalazł szczęście. Chciał nawet dopłynąć do nas wpław. Zrobiłby mi niespodziankę, no ale spłoszyłby pierdolone rybki.

Zapraszam go do środka. Zlew już zaczął się zapełniać, w doniczce tkwi nowy niedopałek. Jacek kładzie torbę na stole, opiera dłonie na biodrach i pyta, gdzie są te całe kontakty. I najważniejsze – gdzie wyłączamy prąd?

Są dni, kiedy zapominam, że mamy elektryczność. W Polsce korki wysiadały, zawsze gdy mama włączała odkurzacz, i jestem pewien, że Jacek dzieli ze mną to doświadczenie. Poszukiwanie rozdzielnic tutaj to radosna przygoda, wymagająca obejścia domu od zewnątrz, zagładania za szafki i przetrząsania pawlaczy, z których spadają pudełka slajdów, domek dla lalek, naręcza drewnianych koralów i dziurawe prześcieradła.

Jacek stawia otwartą torbę obok gniazdka, przykłęka i sięga po próbnik. Nie urodził się jeszcze taki twardziel, który wygrał z prądem. Wysuwa gniazdko i kręcąc śrubokrętem, oddziela je od puszki. Kable są trzy, każdy w innym kolorze i nie mam pojęcia, do czego służą. Jacek odpina je po kolei, zdiera izolację nożem do ryb, wyrzuca stare gniazdko i zakłada nowe. Jest skoncentrowany i bez przerwy powtarza „kurwa”. Piwa na razie nie pije – kiedy jest praca do wykonania, tłumaczy, przyjemność musi poczekać. Stoję nad nim, podekscytowany i niepotrzebny.

Jacek opiera łokcie o podłogę i prosi o wykałaczkę; grzebie nią w dziurze obok zdezelowanej puszki. Sypią się farfocle, nadpalone bibułki. Jacek rozkłada w równym rzędku pluton wkrętów, wpycha je po kolei, wyjmuje, umacnia farfocłami i wpycha znowu. Po chwili gniazdko siedzi w ścianie, jakby przed chwilą z niej wyrosło. Jacek przenosi się do pokoju i siada przed kolejnym kontaktem. Głupio mi, bo nie weźmie pieniędzy. Powinienem postawić mu piwo, ale przyniósł swoje.

Pytam go, skąd umie to wszystko. Chodził do „elektryka”? Jacek zwleka z odpowiedzią, bo trzyma w wargach śrubki. Jaka szkoła, takie rzeczy po prostu się wie. Przyglądał się, jak starsi grzebią w kablach, i sam zaczął. Zna się też na budowlance, stolarce i samochodach. Takie umiejętności się przydają, dodaje, siada przy ostatnim gniazdku i otwiera piwo.

– Powiem ci, jak to się kręciło. Zjeżdżam gdzieś na ten Mordor, plac Unii czy jakiś Muranów, przywożę żarcie i pytam, jak leci. Czasem dadzą kawę, czasem chcą, żebym spierdalał, nieważne, bo i tak rządzą. I zaraz widzę, że z czymś jest problem. Piją rozpuszczalną, a dobry ekspres stoi. To ja zaraz: „Co z ekspresem?”. Słyszę, że nic, tylko kawy nie robi. Kurwa, paradne. Pytam, czy mogę zerknąć, a oni, słuchaj, nie wiedzą, boją się, że zepsują go bardziej. To pytam jak, skoro i tak kawy nie robi. Co, będzie nie robił bardziej? I już jest wesoło, a ja sobie grzebię. Z reguły do naprawienia był jakiś drobiazg, a ja zawsze miałem w toyotce skrzynkę z narzędziami. No i zaraz robiłem kawę tym wszystkim frajerom, mówiłem nawet: „Co będziecie neskę pić!”. Zaraz była inna rozmowa. Więcej kanapek. Komputery na serwis. Nocne kursy, co tam chcesz.

Nie wiedziałem, że Jacek zna się również na komputerach. Być może dostarczał kanapki do naszego biura, naprawił ekspres i tam go zobaczyłem. Przysiągłbym jednak, że jeździł fordem. Patrzę na niego, jak cieszy się skończoną pracą. Siedzi po turecku, pociąga z puszki i kiwa głową, jakby słuchał muzyki. Odczuwam coś pomiędzy winą a gniewem. Pojawia się mnóstwo pytań, których nie wolno mi zadać. Jacek zagaduje, czy wszystko w porządku, bo wyglądam, jakby właśnie sam Szatan pierdolił mnie chwostem między oczy. Próbuję się uśmiechnąć.

Wszystko w porządku, ale wcześniej wspominał, że miał forda, a nie toyotę. Jacek trze brodę lewą ręką.

– No pewnie, bo toyotę sprzedałem i kupiłem forda. Chłopie, co ci jest?

Rozmyślałem o przypadkach i rzeczach niemożliwych, które mimo to się przytrafiają, i zastanawiam się, czy nie zapytać o kolor toyoty. Do mieszkania wpada jednak Gloria, wyjątkowo trzeźwa jak na tę porę dnia. Niesie siatę z piwem, colą i wodą mineralną. Jacek natychmiast podrywa się ku niej, trącając mnie jak przedmiot. Chcę go uderzyć. Chcę wytłuc prawdę z jego roześmianej mordy. Jacek całuje dłoń Glorii, ona mu się przedstawia, on tłumaczy, kiedy się spotkali. Oboje śmieją się z tej pomyłki. Gloria przyszła tutaj, bo lodówka w budce nie chłodzi. Jacek zbiera narzędzia i wybiega, by czym prędzej jej pomóc.

U Rouvina wywiązuje się między nami sprzeczka. Chcę wziąć dwie butelki wina, Jacek upiera się przy trzech czy nawet czterech. Uważa, że powinniśmy tak postąpić ze względu na rozsądek. Cała nasza inteligencja, kultura i obycie powinny nas skłonić do takiego właśnie zakupu – nadmiar jest przecież lepszy niż brak. Nie przypuszczałem, że Jacek potrafi sformułować tak długą wypowiedź pozbawioną przekleństw. Przekomarzam się z nim trochę, czemu przygląda się zmęczony Rouvin. Myślę o długich latach spędzonych bez kolegów.

Sklep mieści się w niszczącym hotelowym lobby, pomiędzy biurkiem z komputerem i poskładanymi stolikami, na których leżą ręczniki i wiosło. Na półkach zalegają chusteczki higieniczne, karma dla zwierząt, papierosy, prezerwatywy sprzedawane na sztuki i puszki orzeszków ziemnych. Nie ma jednak wina. Rouvin nic nie rozumie z naszej gadaniny i sprawia wrażenie zaniepokojonego. Nieświadomie łagodzi nasz spór, przynosząc wino przelane do dwóch półtoralitrowych butelek po mineralnej.

Na zewnątrz mijamy się z Zorbą. Ten niezbyt cieszy się z tego spotkania, kiwa głową i przyspiesza kroku. Ma na sobie białą koszulę z kołnierzem sztywnym jak sztylet i błyszczące buty. Włosy zaczesał do tyłu na brylantynie, a zapach jego perfum zapewne dociera aż do Aten. Zerka jeszcze za siebie i znika w Apollonionie.

Zmierzamy na płaską skałę nad samą wodą, tę, na której wymalowano oko. Kiedyś lubiłem tutaj przychodzić z Glorią. Opowiadała mi o dzieciństwie na Salamynie, o nienawiści do morza, ryb i Zorby. Wspominała dobre lata w Atenach, małżeństwo z Sakisem, a ja czułem się winny, bo nie umarłem zamiast niego. Już tu nie przychodzimy. Bałbym się, że pijana wpadnie do morza. O Jacka jestem spokojny.

Kamienne schody prowadzą na skałę, gdzie leży skrzynia pozostawiona przez wędkarzy. Siadamy na niej, Jacek rozlewa wino do plastikowych kubków i mówi, że jego największym szczęściem zawsze byli ludzie. Bo życie go nie pieściło, prawdziwy rollercoaster, raz góra, raz dół. Kiedy mu się wiodło, nie mógł opędzić się od kumpli, lecz pamięta też złe dni. Nie dojadł. Kradł. Wylądował w pierdłu i myślał, że go zabiją, że będzie jak w *Symetrii*. Gdzie tam – nigdzie nie poznał tylu porządnych, uczciwych gości, co właśnie pod celą. Porządni i uczciwi, śmieje się Jacek. Z jednym tylko wyjątkiem.

Siedział tam taki jeden chłopak, miły, ułożony. Swoje rzeczy zawsze składał w kostkę i bardzo bał się kurzu. Marzył o pracy w kuchni i był tak usłużny, że nikt nie wiedział, co z nim zrobić. Nawet sprzątał za innych. Bity nie oddawał. Rzadko się odzywał i czytał wyłącznie magazyny kulturystyczne. Jacek dowiedział się, że chłopak nigdy nie wyjdzie. Zabił

w Bydgoszczy dwoje dzieci. Nie umiał powiedzieć dlaczego.

Od czasu naszej wycieczki zastanawiam się, w jaki sposób zadać to konieczne pytanie, i w końcu pytam wprost. Czemu taki jasny, sympatyczny gość wylądował w więzieniu? Jacek uśmiecha się i napełnia kubek.

– Głupota, chłopie, głupota w niedzielę. Rano mnie capnęli. Wiesz, kurwa, jak to jest, popiłem, pospałem i pojechałem. Łowią właśnie takich, psy jebane. Nie szło się dogadać, bo miałem pod pół promila, i jeszcze sędzia, taka szmata skończona, mówili mi potem, że kochała gnoić synków, dała mi pół roku. Ale nawet chuj z pierdłem, chuj z nim. Przyjechała mi grzywnę i zabrała prawko na rok, musiałem zdawać od nowa. Rozumiem, jakbym w coś się wpierdolił, rozjechał kogoś czy co. Ja nigdy wypadku nie miałem, kurwa, nigdy w życiu!

Ostatnie słowa wyrzuca z siebie wraz z kropelkami śliny. Szuka pocieszenia w kubeczku. Przeprasza za to, że krzyczał. Przecież to było dawno i nie ma żadnego znaczenia. Trąca butelkę i wino wylewa mu się na spodnie. W półmroku wygląda jak krew.

Wracamy w ciszy. Posnęły koty, pogasły światła na wzgórzach, płoną tylko lampy ciągnące się wzdłuż brzegu. Zastanawiam się, czy nie namówić Jacka na przejażdżkę skuterem, lecz brakuje mi odwagi. Po raz drugi widzę go kompletnie pijanego. Powłóczy nogami, spuścił głowę jak pokutnik i kilka razy omal się nie wywraca.

Z hotelu wychodzi Zorba, w koszuli rozpiętej po mostek i z rozwichrzoną fryzurą. Ma minę, jakby cały świat należał do niego.

Po raz pierwszy czekam na Zorbę. Stoję przy łodzi i patrzę, jak domy wylaniają się z blednącej ciemności, woda jest zimna i ma barwę stali. Kajak, porzucony przez dzieci, obija się o brzeg. Powieki mam jak ze szkła, trzęsą mi się ręce i łudzę się, że Zorba się nie zjawi. Minęliśmy się jakieś trzy godziny temu. Pewnie śpi.

A jednak jest. Nadciąga od strony kościoła, dźwigając swój majdan. Ma mokrą koszulę, choć jeszcze nawet nie wsiedliśmy do łodzi. Milczymy jak zawsze, ale tym razem dochodzi do długiej wymiany spojrzeń. Pod oczami Zorby pojawiły się cienie. Niezdarnie wskakuje do łodzi, skręca papierosa i zapala silnik. Patrzy na pojedyncze światła w oknach Apollonionu.

Brzeg maleje szybko, a zamyślony Zorba wciąż trzyma rękę na włączonym silniku. Wygląda jak władca małego królestwa, jak wojownik po bitwie, jak stary, mądry wilk. Wreszcie otrząsa się z odretwienia i zatrzymuje łódkę. Oświetlam wodę, plankton migocze jak gwiazdy. Zakładam przynętę, ustawiam wędki, czekam, aż ich szczyty zaczną drżeć.

W takich chwilach, nim podniesie się słońce, jestem gotów uwierzyć, że ostatnie dni tylko mi się przyśniły. Żaden Jacek nie pojawił się na Salaminie, oszczędzono mi towarzystwa tego potwornego, pięknego przyjaciela. Nie mam tylu pytań w głowie, nie zastanawiam się, co powinienem zrobić, są jedynie nieruchome wędki i Zorba przysypiający z dopalonym skrętem w ustach.

Środkowa wędka drży. Po staremu zapieram się nogami, rączkę przyciskam do napiętego brzucha, popuszczam linę, ściągam i popuszczam znowu. Osękę trzymam w pogotowiu. W wodzie szamocze się solidna sztuka. Opór staje się coraz słabszy, wreszcie miga płetwa. Zacynam, a ryba wielka jak pocisk artyleryjski zawisa w powietrzu, trzepocze się i wpada do wody. Szarpnięcie niemal wyrywa mi wędkę, trzeszczą nadgarstki, płaczą się nogi i nim pojmem, co się święci, morze zamyka się nade mną. Kopię, próbuję wypłynąć na powierzchnię i wciąż

ściskam wędkę. Zimno. Duszę się.

Zorba wyciąga mnie z wody jednym szarpnięciem. Zrobił się purpurowy, krzyczy, a na szyi i skroniach pojawiają się grube żyły. Wrzask, ten potok greckich przekleństw, dobywa się gdzieś z głębi rozjuszonego Zorby. Ryczy żołądkiem, sercem i wątrobą. Ten dźwięk pobudziłby topielców w głębinach. Chcę do nich dołączyć. Na powrót wskoczyłbym do wody, byle nie słyszeć Zorby.

Wyrywa mi wędkę i ściąga żyłkę. Nie bawi się w żadne popuszczanie. Gdy nad wodą miga płetwa, szarpie wędką dużo mocniej ode mnie. Duża ryba ciężko uderza o pokład. Zorba, nie przestając się awanturować, sięga po swój wspaniały nóż. Próbuje wbić palce w skrzela, patrzy jednak na mnie i ryba wbija mu zęby w dłoń. Zorba upuszcza nóż, odskakuje, traci równowagę i machając rękami, wpada do wody.

Podaję mu osękę, pomagam wyjść na pokład. Zorba, purpurowy i mokry, siada na desce. Dopiero teraz widzę, jaki jest chudy. Ociera twarz. Wyjmuje z kieszeni przemoczony tytoń. Patrzymy na siebie i jednocześnie wybuchamy śmiechem, śmiejemy się szczerze i długo, jak ludzie, którzy się nie lubią, lecz są ze sobą blisko i mają szacunek dla wzajemnych tajemnic.

Na wiosnę do zmartwień mamy doszła troska o wydatki budżetowe w Polsce. Wybory prezydenckie uważała za stratę czasu, lecz udział w nich za swój obowiązek – naprawdę liczyła, że Bronisław Komorowski wygra w pierwszej turze. Żaliła mi się przez telefon, że w swoim długim życiu widzi wyłącznie głupotę Polaków. Nasze społeczeństwo bowiem to przede wszystkim ludzie ze słomą w butach, którzy kupują używane samochody i stawiają przed domami krasnale ogrodowe: właśnie oni, nikt inny, zagłosowali na Dudę, tak jak wcześniej wybierali Stanisława Tymińskiego.

Przez dwa tygodnie dzielące obie tury mama codziennie kupowała „Wyborczą” i spędzała przed telewizorem każde popołudnie. Nawet Mikołaj nie potrafił jej od tego odciągnąć. Zastanawiała się, czy referendum błyskawicznie rozpisane przez urzędującego prezydenta jest ucieczką na ślepo, czy przejawem politycznego geniuszu, i pytała o to wszystkich, łącznie z Julką. Dopiero druga debata przyniosła jej spokój. Oglądaliśmy ją wspólnie. Mama przechylała się w fotelu, mrużąc oczy. Przypominała ślepnącą mysz. Wreszcie wyłączyła telewizor i oznajmiła, że chyba nikt nie ma wątpliwości, kto jest jedynym kandydatem. Ten chłystek zaraz wróci tam, gdzie jego miejsce, do kuwety prezesa.

W wieczór wyborczy Piotr Kraśko gubił słowa, a Bronisław Komorowski wydukał, że tym razem się nie udało. Pod naszym oknem rozlegały się wrzaski: „Pogonili go!”. Mama powiedziała tylko, że to nauczka dla nas wszystkich, dla warszawiaków. Podczas gdy my budowaliśmy nowoczesne miasto, prawdziwie europejską stolicę, ci z Podkarpacia, z Białostocczyzny, z Legnicy i wsi w Małopolsce pili najtańsze piwo, żarli karkówkę i słuchali każdego, kto zechciał ich pochwalić. Dla nich polityka, wybory są niczym więcej jak festynem tucznika, który można zobaczyć w telewizji. Nienawidzą nas, te chamy w gumofilcach, a ponieważ niczego sami nie zbudują, chcą zniszczyć efekt cudzej pracy. Biedny Mikołaj będzie żył w ich świecie! Jak go ochronić? Dopytywała o zagraniczne studia i pocieszała się, że poranne gazety przyniosą lepsze wieści, już po tym, gdy głosy zostaną dokładnie policzone. Do tego oczywiście nie doszło. Stało się natomiast coś innego.

Chwilę po ósmej rano rozpędzony motocykl wypadł z podporządkowanej i uderzył w volvo

jadące zakorkowaną Raclawicką. Motor się roztrzaskał, jego kierowca wylądował w szpitalu. Był nim Steve. Prerażony wyjąłem komórkę i zacząłem szukać informacji. Volvo okazało się miękkie dla Steve'a, był potłuczony, lecz przytomny, miał więc siłę, by stawić czoła nowym kłopotom. W jego krwi wykryto alkohol i kokainę, której woreczek znaleziono w kieszeni kurtki motocyklowej. Autorzy artykułów nazywali Steve'a kontrowersyjnym trenerem rozwoju osobistego, Rasputinem coachingu i pierwszym szarlatanem dwudziestego pierwszego wieku. Poczulem się, jakby napluto mi w twarz, jakbym ja sam został określony w ten sposób. Martwiłem się o Steve'a i zastanawiałem się, jak to wszystko znieś. Wiedziałem, ile ma pracy, i nie złościłem się o tę kokainę. Przecież nie zrobił nikomu krzywdy, a sam mógł zginąć. Pozostawało liczyć, że ogłoszenie wyniku wyborów przesłoni tę awanturę.

Próbowałem się dodzwonić do Steve'a, ale wyłączył służbową komórkę. Bez przerwy sprawdzałem internet. Czułem się, jakbym oczekiwał telefonu decydującego o życiu lub śmierci, i uświadomiłem sobie, jak ważny jest dla mnie Steve. Postanowiłem go odwiedzić, tylko nie wiedziałem, w którym szpitalu leży, a gdy dotarłem do Świętej Elżbiety, było już za późno. Zobaczyłem starszego mężczyznę o zapadłych policzkach, ubranego w spodnie dresowe i biały podkoszulek. Dwóch policjantów prowadziło go do furgonetki, dziennikarze filmowali i robili zdjęcia. Steve poświęcił im długie, surowe spojrzenie człowieka, który każdą kłeskę traktuje jak zapowiedź przyszłego zwycięstwa, mnie jednak nie dostrzegł. Bez butów na koturnie był mały jak dziecko.

Mniej więcej w tym samym czasie Mikołaj przyszedł do nas ze swoim wielkim marzeniem: chciał jechać na obóz piłkarski gdzieś na Kujawach. Kolonie trwały dwa tygodnie i odbywały się w lipcu. Moja mama załamała rękę. Przekonywała, że Mikołaj – taki kruchy, taki niewinny – nauczy się pić i palić, gdyż taką właśnie wiedzę nabywa się na obozach piłkarskich. Znała kilku dziennikarzy sportowych i wszyscy byli alkoholikami. Przecież Mikołaj przywiezie stamtąd wszy, grzybicę w pachwinach i niedowagę! Zaproponowała, bym w zamian sam zagrał z nim w piłkę. Sprawę rozstrzygnęła Julka: poinformowała mamę, że to obóz sportowy, a nie koncentracyjny, Mikołaj właśnie skończył jedenaście lat, więc najwyższy czas, aby zaczął jeździć samodzielnie. Później, gdy siedzieliśmy we dwoje, mama wyznała, że bardzo mi współczuje. Przecież minie jeszcze siedem lat, nim będę mógł się rozwieść.

Tymczasem z Julką w zasadzie nie było źle, po prostu brakowało bliskości. Nie potrafiłem jej powiedzieć o niczym, co uważałem za naprawdę ważne, ale codzienność upływała w spokoju i zrozumieniu. Wino i scrabble zakotwiczyły się w naszym życiu na dobre, podobnie jak weekendowe wypadki do kina. Parę razy wzięliśmy udział w drobnych pracach na rzecz dzielnicy: sadziliśmy kwiaty i stawialiśmy płotki. Kochaliśmy się może raz w tygodniu, co przypominało długą i skomplikowaną czynność rzemieślniczą, w której moc drobiazgowej pracy przekłada się na zadowalający efekt.

Wydawało mi się, że tak będzie już zawsze, i bardzo się zdziwiłem, gdy Julka zaproponowała wspólny wyjazd do Czarnogóry. Kolonie Mikołaja dawały szansę na wypad we dwoje, a przecież i tak mieliśmy w lipcu wziąć urlop. Julka znalazła apartament niedaleko Herceg Novi, i to nad samym morzem, a także wyszukała tanie bilety lotnicze. Uświadomiłem sobie, że przez dwa tygodnie będę na urlopie, bez syna i komputera, bez książek i Patrycji, od rana do nocy tylko z własną żoną. Tego jednak powiedzieć nie mogłem.

Mama zauważyła jedynie, że Julka wypchnęła własne dziecko na kolonie, żeby pojechać sobie za granicę, ale prawdziwe przykrości spotkały mnie właśnie ze strony Patrycji. Zachowywała się, jakbym opuszczał ją na rok. Płacząc, powtarzała, że nie wytrzyma beze mnie tak długo, że

właśnie jej uświadomiłem, jak niewiele dla mnie znaczy. Dlaczego nigdzie razem nie jeździmy, ja i ona? Przypomniałem o nocach w Pradze i Budapeszcie, o kilku dniach w Gdyni. Wydawało mi się, że to bardzo dużo, lecz Patrycja miała inne zdanie: zabierałem ją na wyjazdy służbowe, niejako przy okazji, a Julce zamierzałem poświęcić dwa tygodnie w pieprzonej Czarnogórze. Po raz pierwszy od dawna miałem ochotę zostawić Patrycję samą z jej histerią, obiecałem jednak, że też gdzieś ją zabiorę.

Na lotniskojechałem przepełniony smutkiem, który zniknął, gdy tylko usiedliśmy w restauracji nad brzegiem zatoki. Wieczór był parny, od wody szedł chłód. Przy stoliku obok drobny staruszek przyjmował interesantów. Gdy jeden wstawał, natychmiast przysiadł się następny, wyłuszczał swoją sprawę, a staruszek kiwał łysą głową i upijał łyżeczkę rakii. Do domu wracaliśmy piaskowym zboczem, z którego toczyły się czarne kamienie. Mieliśmy wielką sypialnię i otwarty taras z widokiem na morze.

Śniadania jedliśmy właśnie na tym tarasie. Były sery, suszone pomidory i ciepły chleb. Potem schodziliśmy na znajomą kamienistą plażę, gdzie siedzieliśmy nieraz do popołudnia, pływając na zmianę, tak by nikt nie ukradł nam rzeczy. Lubiliśmy się włóczyć po okolicznych knajpkach w poszukiwaniu najlepszych ośmiornic. Powietrze pachniało grillem i papierosami, wszyscy tam palili. Między straganami pełnymi pamiątek, ustawionymi po obu stronach wąskich uliczek, krążyli zadowoleni z siebie mieszkańcy. Wszyscy turyści prócz nas byli starzy.

Jednego dnia wybraliśmy się na wycieczkę. Przed naszym rozpadającym się autobusem włókł się pijak na starym rowerze. Widziałem go przez otwarte okno; był mały, objuczony i z wysiłkiem omijał dziury na drodze. Zastanawiałem się, dlaczego kierowca na niego nie zatrąbił albo w inny sposób nie zmusił do opuszczenia drogi. Wlekleśmy się za nim pełną godzinę, ale najwyraźniej nikomu to nie przeszkadzało. Cel naszej wycieczki, mauzoleum jakiegoś czarnogórskiego generała, mieścił się na górskim szczycie. Szliśmy tam po schodach wykutych w skale. Powiedziałem Julce, że Czarnogórcy chowają swoich bohaterów jak jakichś królów. Odparła, że właśnie pomyślała o tym samym.

Wieczorami urządzaliśmy sobie prawdziwe uczty, z kajmakiem i szynką dojrzewającą. Obiegała nas armia kociąt, jeszcze niezdarnych, ale już cwanych. Wskakiwały na taras z pobliskich dachów, ocierały się o nogi, lądowały na kolanach, a najmniejszemu, rudo-białemu, jeszcze plątały się łapki. Nadałem mu imię i chciałem nawet zabrać do Polski, lecz Julka przypominała, że nie wpuszczą nas z nim do samolotu. W jej oczach widziałem, że też wolałaby go zatrzymać.

Noce urzekały ciszą. Nikt nie puszczał muzyki, nie jeździły samochody, nie odbywały się dyskoteki. Starzy turyści dawno już spali i tylko my siedzieliśmy z kotami i winem, a tematy do rozmowy nie chciały się skończyć. Odkryłem, że Julkę interesuje, co mam do powiedzenia, a i ja chętnie jej słuchałem. Nawet jej ciało wydało mi się inne, jakby nieznane. Po wszystkim Julka przewalała się po pościeli i powtarzała, że nie znała mnie od tej strony. Zасыpialiśmy przytuleni, o trzeciej, czwartej rano. Nawet wówczas przychodziły esemesy od Patrycji, na które nie miałem ochoty odpowiadać.

Polska powitała mnie straszną wiadomością: Steve co prawda wyszedł za kaucją, ale miał nowy problem – uczestniczki jego szkoleń jedna po drugiej oskarżały go o molestowanie. Nie miałem wątpliwości, że te oskarżenia opierają się na kłamstwie: kobiety zwąchały pieniądze i liczyły, że Steve, uwikłany w inne kłopoty, nie zawalczy o prawdę. Trząsałem się z oburzenia. Przecież Steve pomógł tylu ludziom i każdemu okazywał serce.

Przez pierwsze dni po powrocie czułem się jak kloszard, którego ktoś zaprosił na kolację,

zaferował wannę i łóżko, a rano wyrzucił z powrotem na ulicę. Zrozumiałem jednak, że spotkało mnie coś dobrego. Oto moja żona wydała mi się kimś świeżym, wartym dalszego poznawania. Poza tym nie płakała, przeważnie nie miała pretensji i starała się o mnie troszczyć. Postanowiłem zerwać z Patrycją. Bałem się, jak to znieśie, wiedziałem jednak, że muszę to zrobić, do tego szybko i definitywnie, jak przystało na mężczyznę, który jest mężem i ojcem.

Spodziewam się zapachu smażonej ryby i bakłażanu, lecz wita mnie smród spalenizny. Uwalniam dłonie i wpadam do środka. Z dorady zostały dymiące węgielki. Na podłodze leży roztrzaskany kubek jogurtu, a obok niego Gloria z podkurczonymi nogami. Mamrocze i się uśmiecha. Śni się jej coś miłego.

Zalewam patelnię wodą, otwieram wszystkie okna i pochylam się nad Glorią. Długo nie potrafię jej dobudzić. Wreszcie otwiera półprzymknięte oczy i zaraz sięga po butelkę. Na to nie ma zgody. Gloria wydaje z siebie żalony pisk i głaszcze mnie po twarzy. Całuje w dłonie, wiesz się na szyi. Nazywa mnie miłością jej życia. Pojęła rozmiar swojej pomyłki i wie, że zawsze kochała tylko mnie. Już wszystko będzie dobrze, tylko musi się jeszcze na chwilę położyć. Prosi, bym odprowadził ją do łóżka. Wówczas mi pokaże, jak bardzo mnie kocha. Potrząsam nią, krzyczę, że dzisiaj przecież przychodzi do nas Jacek.

Gloria nie potrafi uporać się z tą informacją. Siada na stołku i niezdarnie układa włosy. Ja szoruję patelnię, jednocześnie uruchamiając kulinarną wyobraźnię. Równie dobrze mógłbym rozważać konstrukcję silnika lotniczego, ale wiem jedno: ryb u nas nie brakuje. Myślę o markach samochodów, o niebezpiecznej jeździe i o małpie bujającej się nad deską rozdzielczą srebrnej toyoty. Widziałem ją czy tylko mi się przyśniła?

Rozgrzewam oliwę. Wyjmuję nową porcję filetów, podsmażam, wlewam trochę wody i resztę wina. Szczęśliwie dziś Gloria urzęnęła się białym. Teraz boleje nad tą niespodziewaną stratą. Zastanawia się głośno, czemu tak wspaniała facet jak ja się nią zainteresował. Jest stara. Jest brzydka. Bez przerwy pije i nosi smutek w sercu. Przecież jestem młody, przystojny i mógłbym mieć każdą kobietę. Słucham tego, siekając oliwki. Gloria szarpie mnie za rękę. Pyta, czy jestem z nią z litości. Przyprawiam, zmniejszam ogień, przykrywam patelnię i zaciskam zęby.

Ostatni raz gotowałem jeszcze dla mojego Marka. Prócz ryby robię tzatziki z ogromną ilością czosnku i grillowanego bakłażana z pomidorem i resztką fety, którą udało mi się znaleźć. Kuchnia wciąż śmierdzi spalenizną. Proszę Glorię, by doprowadziła się do porządku, a ona pyta, czy Jacek koniecznie musi przychodzić. Przecież nieustannie się widzimy. Perspektywa umycia głowy, zrobienia makijażu i wskoczenia w czystą sukienkę przeraża moją piękną Glorię. Warczę, wbrew sobie. Niech robi, co chce.

Jedzenie wynoszę na zewnątrz. Mamy stolik ogrodowy i kilka krzeseł, każde inne. Wracam do zmywania. Spomiędzy ząbków widelców wydłubuję zaschłe jedzenie. Gloria nie ruszyła się z krzesła i wciąż pyta, dlaczego z nią jestem. Przysięga, że już nigdy mnie nie zawiedzie i będziemy bardzo szczęśliwi.

Od Rouvina biorę cztery butelki wina i sześciopak piwa, które Jacek tak lubi. Gloria zniknęła z kuchni, szumi prysznic. Przelewam wino do karafki, ustawiam na stole dwa kieliszki, zaraz przynoszę trzeci i dostrzegam uśmiechniętego Jacka, który zmierza w moim kierunku. Miażdży mi dłoń w uścisku. Zerka na stół, pyta, jak ma podziękować Glorii za takie wspaniałości. Oznajmia, że nie przyszedł z pustymi rękami, i stawia na blacie słój marynowanych oliwek.

Siadamy, otoczeni przez koty, Jacek natychmiast otwiera piwo. Wodzi oczami po spokojnym nadbrzeżu. Zauważa, że wylądowaliśmy w raj – przecież tak tu spokojnie. Nikt nie ma parcia na karierę, ludzie nie biorą kredytów ponad siły, nie kupują co roku nowego telefonu i nie siedzą w robocie po czternaście godzin. Przyznają rację, nie siedzą, bo nikt tutaj nie ma roboty. Jak my. Jacek robi głupią minę. Ale z nas durnie, żeśmy kiedykolwiek pracowali.

Osusza puszkę, a ja natychmiast podsuwam mu kolejną. Dziś potrzebuję go pijanego. Jacek zawiesza wzrok na pustych domach ciągnących się jak guzy przez grzbiet wzniesienia. Przychodzi mi do głowy coś niepokojącego, więc muszę pomyśleć o czymkolwiek innym. Mówię, że wszystko tutaj jest jak strup: wystarczyłoby strącić te domki i Salamina byłaby jak tysiące lat temu, kiedy żyli tutaj filozofowie w białych tunikach i smagli wojownicy uzbrojeni w dzidy, krótkie miecze i drewniane tarcze. Jacek nie ma pojęcia, kim był Platon i hoplici, jednak gorliwie przytakuje.

Doradę zagryzamy chlebem. Zauważam, że dieta bogata w ryby sprzyja budowaniu masy mięśniowej. Podziwiam Jacka za tę zaimprovizowaną siłownię i zapał do treningów w pełnym słońcu. Pytam, czy chłanie co wieczór trochę się z tym nie kłóci. Jacek przelyka i prosi, bym go nie uczył sportowego trybu życia. Po prostu lubi się ruszać. Przerzuci parę ton i zaraz czuje się lepszym człowiekiem.

Kłamię, że też kiedyś ćwiczyłem, i pytam, czy mogłem go spotkać w jakiejś siłowni. Jacek odpowiada, że to całkiem możliwe. Mieszkał na Sadybie i dojeżdżał do takiej sieciówki na Puławskiej. Sieciówki jego zdaniem są okropne – nikt nie szanuje tam trenerów, na Puławskiej bez przerwy się ktoś zwalniał. Ale klub działał przez całą noc, co bardzo Jackowi odpowiadało. Chcę spytać: dojeżdżał tam autobusem, fordem czy toyotą? Miał małą zawieszoną nad deską rozdzielczą? Zamiast tego dukam, że mi głupio, bo nie potrafiłem się zmobilizować do regularnych treningów, do tego bez przerwy byłem zmęczony. Rano sztangi leciały mi z rąk, wieczorem nie chciało mi się wyjść z domu. Tak lepię kłamstwa. Najlepiej trenowało się w południe, dodaję, kiedy już się rozbudziłem i jeszcze nie byłem zmęczony. Jacek patrzy na mnie, jakby rzeczywiście łączyły nas wspólne wspomnienia. Zgadza się, to dobra pora treningowa. Czasem zdarzało mu się okienko, miał niecałe półtorej godziny i musiał się spieszyć. Jego zdaniem to dobrze – szybki trening oznacza większy wycisk.

Wyobrażam sobie, jak macha ciężarkami, robiąc przerwy po dwadzieścia, trzydzieści sekund, jak myje pachy, zamiast wziąć prysznic, porywa torbę, wskakuje do samochodu i pędzi Puławską do swoich filetów i makaronów.

Zapytałbym go o małą. Naprawdę je lubi czy tylko tak gadał po pijaku? Nie, tak nie można. Wreszcie mam przyjaciela i natychmiast szukam podejrzeń. W Warszawie jest milion kierowców. Niemożliwe, abyśmy spotkali się tutaj, na końcu świata. Po prostu próbuję się unieszczęśliwić. Ale ta mała, co z nią? Wisiała nad deską rozdzielczą czy nie wisiała? Jacek strzela mi z palców przed oczami. Nie śpij, bo cię okradną. Pyta, czy mam jakieś zmartwienie, i oferuje pomoc.

Tak, mam i potrzebuję pomocy, tylko boję się o nią poprosić. Załatwiłbym tę sprawę tu i teraz, niech Jacek powie, skąd naprawdę wziął się na Salamini. Ganię się zaraz, bo tak źle myślę o moim jedynym przyjacielu. Dukam coś o problemach w domu, a w ogrodzie pojawia się Gloria w czerwonej sukience i makijażu mocnym jak bimber. Jacek całuje ją w dłoń, prawi komplementy niezdarzą angielszczyzną i podaje kieliszek.

W Glorii nie ma śladu niedawnego smutku. Uczujemy we troje, bez przerwy dolewam wina, im całe kieliszki, a sobie pół. Oblizujemy palce, napychamy się oliwkami. Z dalekich domów

dochodzi muzyka. Płoną ognie i brzęczą skutery.

Jacek proponuje spacer na nadbrzeże, na co nie mam ochoty, ale Gloria już porywa karafkę i zataczając się, schodzi w stronę wody. Zabieram resztę wina i talerz z bakłażanami, Jacek chleb i zrównujemy się z Glorią. Obejmujemy ją w pasie i zapewne wyglądamy jak kochankowie ze starych obrazów, tylko nie ma nikogo, kto by nas obserwował. Siadamy na betonowym pomoście, o który rozbijają się fale. Jacek zaraz zdejmuje T-shirt. Mówi, że pójdzie popływać.

Pierwszy raz widzę go bez koszulki. Ma mocną klatkę piersiową i wydatne barki, ale na brzuchu wyrosła mu oponka. Troszczył się o swoje ciało, a potem zaniedbał. Markuje rozgrzewkę i staje na krawędzi pomostu, twarzą w kierunku morza. Plecy układają się w trójkąt. Nie mogę oderwać od nich wzroku. Cichnie huk morza i śmiech Glorii. Jacek łączy dłonie nad głową, odbija się od pomostu i bezgłośnie wchodzi w wodę. A może nie usłyszałem plusku? Rozbieram się do majtek. Gloria kładzie mi na brzuchu lodowatą dłoń i prosi, bym uważał. Ma dobre serce, ale nic nie rozumie.

Bez lęku staję na krawędzi pomostu. Cofam się, biorę niewielki rozbieg i skaczę na nogi. Woda zamyka się nade mną jak sen. Wybijam się na powierzchnię, wykonuję te swoje niezdarne ruchy, próbuję utrzymać głowę nad wodą i nadążyć za Jackiem, który płynie tuż przede mną, młóćąc morze potężnymi ramionami. Okrągły księżyc, gwiazdy i lampy nadbrzeża oświetlają mojego mocnego przyjaciela i wesołą małpę wytatuowaną na całych plecach.

Już wiem, gdzie go widziałem. Wsadził głowę do przedziału, kiedy opuszczałem Warszawę. Jechaliśmy tym samym pociągami.

Ojciec i syn idą przez park Morskie Oko. Jan nie nadąża za Mikołajem.

Mikołaj natychmiast siada na ławce wiaty przystankowej i wyciąga tablet, tymczasem Jan nie może znaleźć sobie miejsca. Sprawdza telefon. Zerka w stronę parku, wypatrując Patrycji, wreszcie zajmuje miejsce obok syna i czeka ze spuszczoną głową.

Na autobus czeka również nerwowy czterdziestolatek w skórzanej kurtce, zadbana staruszka w typie emerytowanej pracownicy naukowej i dwóch nastolatków w bluzach z pseudonimami youtuberów.

Na Puławskiej ruch jest niewielki. Kilkadziesiąt metrów dalej, obok kiosku, rozłożyli się sprzedawcy skarpet i owoców. Z pewnej odległości interesu dogląda tęgi facet na wózku, z papierosem w grubych wargach. Tramwaj hamuje przed przejściem dla pieszych. Podmuch wiosennego wiatru przewraca koziołek ustawiony u wylotu Madalińskiego, a kurier DHL zostawia furgonetkę na światłach awaryjnych i znika w drzwiach cukierni.

Uwagę Jana zwraca rudy kot, który wychynął z krzaków i kręci się w pobliżu. Jest tłusty i ma obrózkę, nie boi się ludzi ani samochodów i węszy przy śmietniku. Jan waha się chwilę, wstaje i klęka przy kocie. Ten Ignie do jego ręki. Jan drapie zwierzę pod bródką i po grzbiecie, u nasady ogona. Kot mruczy, przywiera brzuchem do ziemi i wysuwa pazurki, tymczasem środkiem Puławskiej mknie srebrna toyota. Nie widzi jej Jan, nie widzi emerytka, nie widzą nastolatkwie ani nerwus w skórzanej kurtce, zajęty mówieniem do siebie. Nie widzi Mikołaj.

Trach.

Kot odskakuje i przygląda się z bezpiecznej odległości. Jan podnosi się, odwraca głowę i kamienieje w pół ruchu. Zniknęli nastolatkwie. Sina staruszka siedzi na chodniku, nerwus leży w powiększającej się kałuży krwi. Z wiaty została plastikowa szczyrba z resztkami afisza teatralnego. Zdezelowany przód samochodu znieruchomiał dokładnie w tym miejscu, w którym siedział Mikołaj.

Handlarze porzucili stoiska i biegną na miejsce wypadku. Hamują samochody, jakaś kobieta osuwa się na ziemię. Kierowca toyoty wysiada, narzuca kaptur i niezatrzymywany przez nikogo znika w parku.

W Kaki Vigla niewiele jest odnowionych domów. Te nieliczne przypominają pałace cygańskich królów albo rezydencje gwiazd na wzgórzach Hollywood. W takich domach balkony unoszą się jak garda, za kolorowymi płotami rozciąga się przystrzyżona trawa, a brama jest wysoka i złocista. Na piętro prowadzą pobielane schody, okna są szerokie i jasne. Takie domy wyrastają na szczytach i nigdy nie mają godnego siebie towarzystwa. Nie widziałem też, aby ktoś tam wjeżdżał czy przychodził. Nocą są ciche i ciemne.

Inne budynki przycupnęły na skałach jak stare mewy. Otaczają je góry śmieci, spomiędzy których sterczą błękitne kapliczki, na podwórkach stoją zimne grille i rowery bez pedałów. Mieszkańcy takich domów są przeważnie w wieku Zorby, nie mają jednak jego siły. Pałają papierosy i piją frappe w cieniu ogrodowych parasoli, wpatrując się w wyniesiony na zewnątrz telewizor. Czasem jakaś kobieta proponuje mi wodę z limonką. Najczęściej dzieje się to, gdy pcham pod górę bezużyteczny skuter. Piję powoli, dziękuję i zjeżdżam w dolinę. Nie potrzebuję życzliwych sąsiadów.

Każde zdobyte wzgórze odsłania kolejne. Rozciąga się z nich widok na morze, na sunące w oddali promy i długie transportowce. Przy brzegach kołyszą się żaglówki, wodoloty i podtopione barki. Patrzę i wątpię w swoje zamierzenie. Mam ochotę zjechać wprost ku wodzie, jak wtedy, gdy wybraliśmy się na wycieczkę. Popływałbym. Już umiem – Jacek mnie nauczył.

Skuter pyrka, rzezi i gaśnie niemal zawsze, gdy szturmuje strome podejście. Prowadzę go lub zostawiam przy drodze i wchodzę między nieukończone domy. Nikt się nimi nie interesuje. Wewnątrz wciąż walają się deski, kafelki, worki z gipsem i cementem. W piwnicach stoi woda i kręca się szczury.

Każde z tych miejsc wydaje mi się odpowiednie, zabieram się do pracy i zaraz zmieniam zdanie. Złoszczę się na to swoje niezdecydowanie – jakbym próbował oszukać samego siebie. Mnożę trudności, bo boję się tego, co muszę zrobić. Jeden dom stoi za blisko drogi, inny otacza wesołe sąsiedztwo, kolejny byłby doskonały, lecz okna wychodzą na ulicę. Wracam i zaraz zwiewam – boję się, że mnie dostrzeżono.

Droga wiedzie nad samym morzem. Skuter szybko dostaje zadyszki, więc zsiadam i pcham. Opuuszczam po paru minutach, opieram go o drzewo i dalej idę pieszo. Widać stąd Apollonion i restauracyjkę. Dzieci bawią się w wodzie, ale nie słyszę ich wrzasków.

Im wyżej, tym słońce praży bardziej, a domów jest coraz mniej. Wszystkie mają piaskowy kolor i płaskie dachy dociśnięte przez pustaki i opony. Pachnie tu kurzem i gotowanymi warzywami. Przyglądam się przez chwilę każdemu z budynków, wypatrując oznak życia, i ruszam dalej.

Wzniesienie pnie się łagodnie, okolone przez żółte kwiaty i głązy rozmiarów piłek lekarskich. Za nimi wznosi się kościółek przesłonięty przez drzewa. Jest mniejszy niż nasz, za to niemal cały przeszklony. W miejscu ołtarza znajduje się łódka niemal nabita na drewniany krzyż. Ławki są proste, ikon – niewiele.

Kręcę się, usiłując dociec, czy odbywają się tutaj nabożeństwa, i trafiam na cmentarz pełen białych nagrobków. Widnieją na nich kolorowe podobizny uśmiechniętych zmarłych, a poniżej drobiazgi, które lubili za życia: drewniane łódki, karty do gry, korale i papierosy. Byłoby dobrze, gdyby Jacek opuścił Salaminę.

Za cmentarzem niewiele znajduję i idę tam tylko dlatego, żeby nie wracać tą samą drogą. Powietrze jest jak budyń. Pot szczypie w oczy i jestem o krok od tego, by zacząć się nad sobą użalać, zwłaszcza że but pęka mi na ostrym kamieniu. Podskakuję, przeklinam, jestem śmieszny.

W gumowej podeszwie trampka widnieje dziura. Przetrzęsłam kieszenie, lecz nie znajduję nic, czym mógłbym ją przysłonić, więc zdejmuję buty i idę bosą w kierunku kępy drzew i domu między nimi.

Droga częściowo zarosła, fundamenty toną w chaszczach. Dach przykrywa kawał rdzewiejącej blachy i na piętrze żar odbiera oddech. Za to na parterze jest chłodno. Zaglądam do kuchni, dwóch dużych pokoi i jednego małego. Gałęzie stukają do okien. Na podłogi wylano beton, kontakty sterczą z nieotynkowanych ścian. W kuchni wyznaczono miejsce na wyspę. W rogach leżą wiadra farb, umywalka i ptasie kości. Siadam na wiadrze. Rozmasowuję bosą stopę i uświadamiam sobie, że mały pokój był przeznaczony dla dziecka.

Dom odwiedzam wczesnym popołudniem, kiedy Salamina śpi zmaltretowana słońcem. Znajduję trzy różne drogi. Pierwsza wiedzie koło kościoła – to ta, którą przyszedłem. Druga prowadzi na tył domu, przez kamienny wąwóz i las, ku skałom w naszej zatoce. Trzecia, którą odkryłem najpóźniej, wyłania się nagle spomiędzy drzew i biegnie przez całe wzgórze, przez dzikie sady i zaorane beżowe pola, aż do wioski w dolinie.

Przez kilka dni krążę po okolicy. Wspinam się na skały nad samym urwiskiem i widzę ptaki kołujące nad niespokojnym morzem. Dostrzegam też szczątki łodzi zatopionych przy brzegu. Próbuję wypatrzyć dom, ale zniknął przysłonięty przez korony drzew. Nie widać go z pól na wzgórzach ani muru okalającego kościółek.

Do sklepów w miasteczku jeżdżę codziennie, a bagażnik skutera zapełnia się sprzętem, który nie ma nic wspólnego z prowadzeniem restauracji. Chomikuję te skarby na dnie szafy, gdzie Gloria nigdy nie zagląda. Wynoszę na raty, w plecaku, korzystając ze ścieżki biegnącej przez las i wąwóz. Gdy słyszę choćby szelest, pryskam między drzewa i przywieram do ziemi.

Kuchnię przeznaczam na magazyn i przygotowuję najmniejszy pokój. Pozbierałem deski z podwórek i zabijam okna. Mam wrażenie, że dom się trzęsie od każdego uderzenia młotkiem, że słyhać mnie nawet u Rouvina, a hałas zaalarmuje właścicieli tego miejsca. Zjawiają się uzbrojeni w wiosła i noże, obijają mi plecy, przystawiają stal do gardła i tak popędzą przez Salaminę, na oczach Glorii, Zorby, a przede wszystkim Jacka. Często przerywam pracę. Wychodzę na piętro i rozglądam się po pustej przestrzeni.

Nocami krążę po wyspie i zabieram dywany z podwórek. Wyszarpuję je spod starych mebli i dziurawych łodzi. Wypląsam kolonie robaków i pajaków i niosę ten szajs przez skały i krzaki, poza zasięgiem świateł. Każdy dywan przerzucam przez gałąź. Trzepię go drągiem, zalewam zielonym płynem lan star, czekam, aż wyschnie, i trzepię znowu. W nocy drzewo obwieszone dywanami wygląda jak leśny duch.

Obicie ścian, podłogi i sufitu kosztuje wiele wysiłku. Nie mam odpowiedniego noża (ten problem jest poważny z innych powodów), więc walczę z oporną materią za pomocą nożyczek. U nasady kciuka otwiera mi się rana. Wdrapuję się na wiadro i dociskam ciężki dywan do ściany, lecz brakuje mi ręki, by sięgnąć po gwoździe. Trzymam je w ustach, kurz wpada do oczu. Z sufitem jest jeszcze gorzej. Spadam z wiadra, przykrywa mnie dywan. Praca ciągnie się do nocy. Zorba czeka przy łodzi. Idę do niego bez minuty snu.

Następny wieczór odsłania bezsens całego wysiłku. Dywan z sufitu zalega na podłodze, te przybite do ścian osunęły się i pokazują języki. Zastanawiam się, co powinienem zrobić, skoro gwoździe okazały się za słabe, a odpowiedź jest tak zabawna, że przejmuje grozą.

Początkowo Jacek ani myśli pożyczyć wiertarki. Opala się na leżaku, popija piwo i śmieje się, że podziurawię sobie palce. Deklaruje pomoc – przecież z kontaktami uporał się raz-dwa. Mówię, że chciałbym się podszkolić, poza tym głupio tak ciągle się kimś wyręczać. Jacek przypomina, że jesteśmy ziomkami. Skoro już bawię się w małą budowlankę, pójdzie ze mną, pokaże, co i jak, a pracę wykona samodzielnie. Przecież nie ma niczego innego do roboty.

Słucham go, a kark mi płonie. Tłumaczę, że szykuję dla niego niespodziankę, w czym akurat nie mijam się z prawdą. Zrobił dla mnie dosyć. Jacek spogląda podejrzliwie i oświadcza, że nie będzie kopał się z koniem. Podnosi się i człapie do hotelu. Dostaję wiertarkę, komplet wiertel i kilkanaście wkrętów. Resztę dokupię w miasteczku. Jacek potrząsa moją dłońią w mocnym uścisku. Zdradza, że jestem jego rosnącym zmartwieniem. Zrobiłem się milczący, bez przerwy gdzieś znikam. Zgaduje, że to przez Głorię, i przypomina, że zawsze mogę na niego liczyć. Mówi to wszystko, patrząc w oczy. Jego wzrok trudno mi znieść. Obiecuję, że niedługo wszystko mu wyjaśnię. Siądziemy nad kielichem, pogadamy i popłaczemy, jak na prawdziwych przyjaciół przysłało.

W jednym Jacek się myli. Wiertarkę obsługuję sprawnie, dywany zawisają na wkrętach. Na środku ustawiam stolik ogrodowy, przy którym jeszcze niedawno ucztowaliśmy we troje. Pokój wygląda jak u gangstera z Władystoku. Pod ścianą rozkładam ostatnie zakupy: linkę cumowniczą, kilka metrów najmocniejszej żyłki i taśmę klejącą. Umilkły odgłosy z zewnątrz. Nie słyszę morza, skrzeku mew ani kotów rozrabiających w zaroślach. Zaciskając poranione dłonie, krzyczę, bo wreszcie mogę krzyczeć. Gardło pali. Wywrzaskuję każde ważne imię: Antego i Marka, Sophie i Klary, Alberta i Eve, moje i twoje także.

Wieczorem Gloria pyta, czy kogoś sobie znalazłem. Nie byłaby tym zdziwiona i chyba poczułaby ulgę, gdybym przyznał się do zdrady. Siedzi na brzegu łóżka, trzeźwa, umalowana, w szortach i podkoszulku. Popija wodę z wysokiej szklanki, a jej piękne rzęsy lśnią jak skrzydła żuka.

Stoję, z poranionymi dłońmi i oczami czerwonymi od pyłu. Mam zdarte łokcie, brudny T-shirt i strupy na kolanach. Odpowiadam, że przecież tu nie ma z kim się pieprzyć. Są tylko staruszki, tęgie matki i ich nastoletnie córki, które czmychają na każdy weekend do Aten. Na co im cholerny Polak? Słowa zaczynają płynąć same. Po prostu siedzą we mnie, a ja muszę je uwolnić.

Całe dni włóczę się po wzgórzach, mówię, bo we własnym domu stałem się niewidzialny, czego nie mogę znieść. Wolę już koty i mewy. Szwendam się i gadam do drzew, bo Gloria mnie nie słucha, tylko płacze nad zdjęciem. Krzyczę, że mam serdecznie dość jej humorów i zastanawiania się, jak bardzo będzie urżnięta i czy zdołamy się pieprzyć. Sakis to, Sakis tamto, no do kurwy nędzy. Każdy kogoś stracił, a trzeba żyć dalej. Czy Sakis odwiedzi ją w restauracji? Wypłynie po ryby? Przytuli? Położy, gdy sama nie może dojść do łóżka? Czy Sakis ma chuja, do kurwy nędzy?

Milknę. Naprawdę powiedziałem to wszystko? Gloria kuli się i zasłania twarz dłońią, jakby się bała, że ją uderzę. Stoję, bo nie wiem, co mógłbym teraz zrobić. Gloria chwyta się za głowę i mówi, że mam rację. Powtarza te słowa kilkakrotnie i ściska sobie skronie. Martwię się, że zraniłem ją do żywego. Chcę się kochać. Chcę ją przytulić. Gloria ciska zdjęcie Sakisa do kosza, wstaje i zaczyna krążyć, a kosz zapełnia się fotografiami w drewnianych ramkach. Nawet nie wiedziałem, że tyle ich było.

Gloria ciągnie mnie ku sobie i obiecuje, że wszystko będzie dobrze. Nie wybaczyłaby sobie, gdyby spotkała mnie krzywda. Długo błędziła, a teraz wychodzi z ciemności. To moja zasługa. Umarłaby, gdyby nie ja. Koniec z winem i wspomnieniami. Mamy siebie, wodę i słońce.

Kochamy się jak ludzie, którzy dobrze się znają, ale jeszcze nie zachorowali na nudę. Po wszystkim, gdy Gloria przywiera do mnie, jej serce powoli się uspokaja. Drży, gdy głaszczę jej mokre plecy. Jest dobrze i spokojnie. Nagle ogarnia mnie smutek, bo wiem, że to niedługo się skończy i być może ostatni raz leżymy tak razem. Nie potrafię cieszyć się tą chwilą, choć chyba powinienem. Pozwalam Glorii zasnąć i słucham szumu morza.

Po parunastu minutach dobiegają mnie odgłosy awantury. Wysuwam się spod ramienia Glorii i wychodzę przed dom. Z hotelu wypada półnagi Zorba, a za nim buty. Próbuje naciągnąć sobie spodnie i upada na żwir. Nad nim wyrasta demon, banshee w czerni – małżonka. Okłada go po plecach i głowie, nie pozwala wstać. Zorba umyka na czworakach, a żona sunie za nim, kopie, szarpie i wrzeszczy. Tak zmierzają w stronę swojego domu. Na progu Apollonionu pojawia się Ivone, rozczochna, w szlafroku. Patrzy na tych dwoje i przykłada dłoń do ust.

Jacek siedzi na pomoście otoczony przez opróżnione puszki. Bosy, w rozciągniętym podkoszulku i szortach przypomina chłopca, który za szybko urósł. W każdej klasie znajdzie się taki, a chłopcy przecież psocą.

Przysiadam się i mówię, że mam problem. Jacek odstawia puszkę, chce wiedzieć, co się stało, i przysięga, że zrobi dla mnie wszystko. Zapewne jest szczery. Jego pijany łeb tęskni ku jakiemuś dobru, ale ciało ani myśli ruszyć się z pomostu. Chcę kupić dom, tłumaczę. Znalazłem jeden, który mi się podoba, i potrzebuję fachowego oka. Nie wiem, ile wyniesie remont ani czy nie ma jakichś usterek, a chciałbym się wprowadzić jeszcze przed zimą.

Jacek unosi ciężką głowę. Pyta, czy to daleko. Odpowiadam zgodnie z prawdą – półgodzinny spacer pod górę. Zawsze podobały mi się domy na szczytach wzgórz. Jacek sięga po piwo i proponuje, byśmy odłożyli sprawę do jutra. W dziennym świetle więcej zobaczymy. Tracę pewność siebie. Odpowiadam, że zwyczajnie chcę mu pokazać ten dom. Przecież i tak nie mamy niczego do roboty. Pokręcimy się chwilę i wrócimy jutro, jeśli będzie warto. Poza tym widok z góry, na ciemne morze i światła statków, jest wyjątkowy. Jacek, któremu coś przeskoczyło pod przegrzaną czaszką, przypomina sobie, że przecież mieszkam z Glorią.

Siadam obok niego. Mówię powoli, jakby każde słowo sprawiało mi ból. Pomiedzy mną i Glorią wiele się popsulo i czuję, że ten związek nie przetrwa. Opowiadam o Sakisie. Jak mam rywalizować ze zmarłym mężczyzną? Wciąż walczę o tę miłość, ale przygotowuję sobie miękkie lądowanie. Jackowi jest bardzo przykro. Sądził, że jesteśmy dla siebie stworzeni. Wzdycha, zgniata puszkę i wstaje.

Prowadzę go znajomą, stromą drogą, wzdłuż parterowych domów. Ich mieszkańcy siedzą na krzesłach ogrodowych w zwartych kręgach. Pod nami czernieją skały. Jacek bełkocze, że jestem zbyt dobrym człowiekiem i pragnę miłości jak bezpieczni pies. Zaraz przeprosza za swoje słowa, ale widywał gości podobnych do mnie. Płaszczyli się przed kobietami, spełniali każde życzenie i nieustannie się zastanawiali, co zrobili źle. Potem baby dawały im po rogach, cięły na pieniądzech i pryskały z kimś młodszym. Zauważam, że prawie każdy tutaj jest młodszy od Glorii. Jacek tak rechoce, że musi przystanąć. Jest szczery i piękny w tym śmiechu. Sprawia wrażenie, jakby nie mógł nikogo skrzywdzić.

Na wysokości cmentarza znajduje rozwiązanie: kobiety kochają stanowczość. Kiedy ostatni raz zerznąłem Glorię jak dziwkę? Jego zdaniem każda potrzebuje właśnie tego. Radzi nawet, byśmy zawrócili – powinienem natychmiast ją zerznąć, a wszystko będzie dobrze.

Dalej idziemy w milczeniu. Boję się, bo już niedaleko. Przystaję i pytam, czy Jacek tak właśnie postępował ze swoimi kobietami, a jeśli tak, to dlaczego wylądował sam, tutaj. Ucieka wzrokiem. Mówi, że nigdy nie miał dziewczyny na dłużej. Owszem, obracał takie lale, że klękajcie narody, ale najczęściej szybko kończył znajomość. Mężczyzna musi mieć priorytety: najpierw zarabia się pieniądze, a dopiero potem szuka kobiety na dłużej. Jeśli masz dziewczynę, to wydajesz, a nie zarabiasz, podsumowuje Jacek i zarzeka się, że jeszcze zrealizuje swój plan.

Prowadzę go ścieżką między drzewami, puszczam przodem, obserwuję plecy, głowę i kark. Stawia ciężkie kroki, jest mocno podпиты. Jeśli go trącę, zobaczę, jak szybko się odwróci. Jacek przystaje i gapi się na czarny budynek z płaskim dachem. Chce wiedzieć, czy do reszty mnie pojechało. Przecież to forteca, niedokończony hotel, chawira nałogowego dzieciorka, a nie domek dla samotnego mężczyzny. Remont wyniesie fortunę. Brakuje nawet drogi. Proszę go, by przynajmniej zajrzał do środka.

Jacek bardzo się cieszy, że go tu przyprowadziłem – dzięki temu uratuje mnie przed własną głupotą. Doprawdy, nie sądził, że jestem aż tak durny. Naprawdę chcę codziennie zdobywać ten pierdolony szczyt? Przypominam o skuterze i puszczam go przodem, do przedpokoju i kuchni. Jacek dziękuje Bogu za ciemności nocy – widok tej nory w dziennym świetle pozbawiłby go zmysłów.

Proszę, byśmy obeszli przynajmniej parter. Przecież nie może być tak źle. Jacek zauważa, że sprawa z Glorią odebrała mi rozum. Lepiej mi będzie w namiocie na plaży, dodaje i idzie do najmniejszego, najciemniejszego z pomieszczeń. Sięgam po młotek, pozostawiony przy drzwiach. Jest bardzo ciężki. Nie mogę uwierzyć, że go trzymam. Jacek zatrzymuje się zaraz za progiem i pyta, kogo tu pochowali.

Celuję w głowę, trafiam w kark i omal nie upuszczam młotka. Nadgarstek zabolął. Jacek wyrzuca z siebie powietrze. Liczę, że się odwróci, już unoszę młotek, ale Jacek robi coś przeciwnego – skacze do przodu i znika w ciemności. Nurkuję za nim, wymachując młotkiem na oslep, trafiam w ścianę i przewracam krzesło. Obracam się wokół własnej osi i chyba krzyczę. Boję się, że zniknął, że czai się w kącie i zaraz zaatakuję.

Nie. Głowa Jacka pojawia się w księżycowym świetle, tuż za progiem. Sunie po ziemi, mały drań. Wie, że go dostrzegłem, i próbuje wstać. Kopię go w skroń i tracę równowagę, a młotek wypada mi z ręki. Prerażony osuwam się na kolana, szukam go jak ślepiec. Jest. Zaciskam mokre palce na trzonku, zamierzam się, lecz Jacek leży na progu, nieprzytomny.

Pomieszczenie pachnie kotem i kurzem, ściany są szare i nieotynkowane, deski, którymi zabito okna, przepuszczają tylko kilka promieni. Na podłodze walają się kartony, gwoździe, dwie filizanki o stłuczonych uszkach i mnóstwo niedopałków. Jestem coraz cięższy. Dom trzęsie się od moich kroków.

Zastaję Jacka dokładnie tak, jak go zostawiłem – siedzi z dłońmi skrępowanymi za oparciem krzesła i zwieszoną głową. Jedyna różnica polega na tym, że oszczał sobie spodnie. Ani drgnie, wiem jednak, że nie śpi. Zrobiły mu się rany na nadgarstkach. Próbował skakać na krzesło, przypuszczalnie chciał je złamać własnym ciężarem.

Wyjmuję mu szmatę z ust. Podnosi popielatą twarz, wpatruje się we mnie, milczy. Sięgam po wodę mineralną, zwilżam mu wargi i wtykam słomkę do ust. Jacek pije, przerywa, puszcza słomkę i pluje mi na podkoszulek. W ten sposób chyba daje do zrozumienia, co o mnie sądzi. Niczego nie chce przyjąć, a jednak wziął parę łyków.

Przecieram stolik mokrą szmatką. Na blacie rozkładam pokrojony chleb, oliwę, ser, a także usmażoną rybę i gotowane jajka. Jajka i ryba są dobre na masę mięśniową. Jacek powinien o tym wiedzieć. Na razie napina swoje wielkie, bezradne mięśnie i zaciska szczękę. Jego spojrzenie ześlizguje się na zabite okno. Mówię mu, że jeśli krzyknie, uderzę go w głowę. Tak właśnie się stanie. Jeden krzyk, a ja będę go bił, dopóki nie umrze. Proponuję wodę i jedzenie właśnie po to, aby nie umarł.

– Nagraabiłeś sobie, kolego. Jeszcze masz, kurwa, szansę, żeby się wycofać. Wyjdziemy stąd razem i każdy pójdzie w swoją stronę. Jeśli tak zrobisz, to ci odpuszczę.

Powtarzam pytanie o jedzenie. Musi być bardzo głodny. Próbuje nie patrzeć na wodę i chleb.

– Pierdol się. Zjem w hotelu. Zjem jak człowiek, a jeśli myślisz inaczej, to jesteś, kurwa, głupszy, niż ustawa przewiduje, bo mnie zaraz znajdą i pójdiesz do pierdła, a ja dopilnuję, żeby zrobili ci tam z dupy ścianę płaczu, rozumiesz?

Tak, rozumiem, ale do niczego takiego nie dojdzie. Właśnie to próbuję mu powiedzieć. Przypominam, że to nie wstyd być głodnym. Łamię chleb, podsuwam mu do ust, a Jacek odchyła głowę jak niegrzeczne dziecko. Istotnie, jest dzieckiem, które coś zbroiło, a potem uciekło.

– Umrzesz, kutasie. Ja cię, kurwa, zapierdołę. Moi ludzie cię zapierdołą. Ludzie, którzy szukają mnie w tej chwili. Nie dzwoniłem do nich, więc wiedzą, że coś się podziało, nie dzwoniłem, a oni wiedzą, że jestem na Salaminię.

Odpowiadam, że nikt go nie szuka. Nikt nawet nie wie, że tutaj przyjechał, bo Jacek jest uciekinierem, a uciekinierzy muszą być nakarmieni. Nakładam ser na kromkę i czekam cierpliwie, aż ugryzie. Jacek żuje, a ja pytam, czy jeździł do siłowni samochodem. Siłownia mieściła się na Puławskiej, to wiemy, a więc musiał tą Puławską jeździć i zawsze się spieszył. Trening między pracą a pracą, po dobrej zabawie wypada trenować najciężej. Jeździłeś srebrną toyotą, Jacku?

– Co cię to, kurwa, obchodzi? Co ty pierdolisz, człowieku, masz mnie uwolnić, rozwiąż mnie, ty jebana parowo! – Tak krzyczy i pluje okruszkami chleba.

Przysuwam sobie krzesło i siadam naprzeciw niego. To ważne, aby nasze spojrzenia znalazły się na tej samej wysokości. Powtarzam pytanie o srebrną toyotę, o pośpiech na Puławskiej, o spotkanie w pociągu, kiedy chciał, żeby nie było kefirów, i proszę, są kefiry jak cholera. Walczę ze sobą, bo czuję, jak opuszcza mnie wiara w całe to przedsięwzięcie. Opieram ją na domysłach, nadziei i wątpliwościach. Rozpaczliwie usiłuję się upewnić, czy widziałem małpę nad deską rozdzielczą, czy może jednak nie. Jacka nie widziałem na pewno – tylko srebrną toyotę, morderczego potwora, z małpą albo i bez. Jacek je.

– Kolego, dam ci teraz radę najlepszą z możliwych. Jeśli mnie teraz puścisz, po prostu ci wpierdołę. Kontrolny wpierdoł, kumaszu, bo tej sprawy tak, kurwa, nie zostawię, ale nic ci nie będzie. Potem pozwolę odejść. Wsiądziesz na prom i odpłyniesz obity, ale żywy.

No dobrze, Jacku, ale powiedz mi lepiej, czy w pewien kwietniowy dzień pędziłeś przez Puławską w srebrnej toyocie i czy w tej toyocie miałeś małpę zawieszoną nad deską rozdzielczą? Czemu akurat tego dnia pojechałeś do Berlina? Nie wiem, czy wypowiadam te słowa, czy tylko brzmią mi w głowie, tak samo jak nie wiem, czy Jacek prowadził tę toyotę. Wpycham mu jedzenie do ust. Przelyka.

– Inaczej cię zapierdołę, rozumiesz? Zabiję cię i nikt mi tutaj nic nie zrobi. Jak mnie zaraz nie uwolnisz, jesteś martwy. To twoja ostatnia szansa, ty chory pojebie.

Jacek ma rację. Na Salaminie można zabijać bez żadnych konsekwencji. Jest tak wiele pustki, tyle domów, które mogą posłużyć za grób. Wstaję. Przecieram szmatką talerz i widelec i chowam je do plecaka. Daję Jackowi pić i mówię, po raz pierwszy w życiu, o tym, co wydarzyło się na Puławskiej, o przystanku i kierowcy, który odebrał mi ciebie. Ponawiam pytanie o małpę i przechodzę do najważniejszego. Widzieliśmy się w pociągu. Dlaczego opuściliśmy Polskę tego samego dnia? Jacek dyszy.

– O kurwa. O ja pierdołę, ciebie naprawdę pojebało.

Przypominam, że jeśli krzyknie, zatłukę go na śmierć. Jestem chorym pojebem i to właśnie zrobię. Jacek rzuca się na krzesło, ale nie krzyczy.

– Jesteś martwy, człowieku. Aleś sobie nagrabił. Ja cię, kurwa, zabiję, ja sobie nie dam wkręcać takich rzeczy. Od początku wiedziałem, że jesteś dziwny, ale ty jesteś po prostu popierdolony, ty chuju jebany, ty gnoju, ty pizdo!

Wpycham mu szmatę w usta. Jacek napręża się cały i przez moment mam wrażenie, że zaraz oderwie się od ziemi razem z krzesłem, jak fakir czy inny cudotwórca. Co robiłeś w kwietniu zeszłego roku, miły Jacku? Czy miałeś małpę nad deską rozdzielczą swojej srebrnej toyoty? Dlaczego wybrałeś się na wycieczkę do Berlina?

Zostawiam go z tymi pytaniami, na co chyba nie ma ochoty. Mógłbym powiedzieć, kiedy wrócę, ale tego nie robię. Chcę, aby czekał, aby mnie wypatrywał. Jestem tutaj już od wielu miesięcy, ale nieodmiennie zdumiewają mnie cisza i żar nocy. Opieram się o mur pod oknem zabitym deskami, odchylam głowę i zamykam oczy. Jest mi lekko i ciężko jednocześnie, jakbym ukradł coś wspaiałego, co nie ma prawa należeć do mnie. Światła naszego nadbrzeża kładą się na wodzie. Daleko krzyczą mewy, warczą skutery, lecz nic poza tym. Z wnętrza domu nie słychać nic a nic.

Tej nocy obaj przychodzimy wcześniej. Myślałem, że będę pierwszy, ale Zorba już czeka. Garbi się, spod kaptura sterczy daszek czapki bejsbolowej. Dostrzega mnie z daleka, podnosi swoje rzeczy i kuśtyka w kierunku łódki. Gdy odwiązuję cumę i wskakuję na dziób, on już siedzi, zatopiony w sobie, z kościstymi palcami zaciśniętymi na burcie. Poprawia kaptur i zapala silnik.

Płyniemy powoli, zostawiając za sobą spieniony ogon. Zimno mi, a jednak się pocę. Sól szczypie w oczy. Morze zlało się z bezgwiezdnym niebem. Myślę o rzeczach, które zrobiłem źle i których nigdy nie zdołam naprawić. Boję się, że Jacek umrze. Pęknie mu serce, nim dowiem się prawdy.

Zorba zatrzymuje łódkę i latarką oświetla wodę. Błyska białawy grzbiet, miga plankton. Zorbie nie podoba się jednak to miejsce, włącza silnik i przepływamy jeszcze kawałeczek. Snop światła ślizga się po powierzchni. Zorba podrywa latarkę jak kowadło i z widocznym wysiłkiem oświetla dno łodzi. Ubiegam go i zaczynam rozstawiać wędkę. Płacze mi się żyłka, ślimaki spadają z palców. Zarzucam przynęty w toń. Nie mogę znieść ciemności i ciszy. Przetrzęsam nasze rzeczy w poszukiwaniu radyjka i baterii. Pytam Zorbę, czy mogę włączyć muzykę. Zgadza się skinieniem głowy. *Don't Speak* z trudem przebija się przez trzaski.

Wędki się trzęsą. To małe sztuki przywierają do haczyków. Kręcę kolejnymi kołowrotkami. Część zdobyczy wypuszczam, część wrzucam do bakisty. Ogłupiałe krążą w płytkiej wodzie.

Będą na zupe, której już nie zrobię. Jesteśmy u wyjścia z zatoki. Skały opadają stromo w morze. Przyglądam się drzewom na szczycie. Próbuję wypatrzyć dach domu, w którym czeka Jacek, choć to przecież niemożliwe.

O świcie szczytówki drżą jakby mocniej. Wyciągam ze trzy większe sztuki. Wówczas Zorba sięga po swój przepiękny nóż i przechyla się nad bakistą, po czym nagle powraca do poprzedniej pozycji. Poprawia czapkę i spuszcza głowę. Robi się coraz jaśniej. Czy na pewno związałem Jacka wystarczająco mocno? Wypatruję muskularnej sylwetki na szczycie. Zorba mnie upomina – zapomniałem o wędkach.

Wyciągam nakrapiane skorpeny i wargacze o turkusowych pasach. Pamiętam te nazwy, choć nie wiem skąd, na pewno z poprzedniego życia. Senność ustępuje gwałtownemu podnieceniu. Dobiłbym do najbliższej skały i się na nią wspiał, a potem przeprosił Jacka za krzywdę, którą mu wyrządziłem. Chciałbym, żeby tego wszystkiego nie było, żebyśmy nigdy się nie spotkali, żebym nigdy nie poszedł na ten przystanek autobusowy.

Zakładam nowe przynęty. W bakiście robi się gęściej. Zorba chyba śpi. Sięgam po jego nóż. Jest cięższy, niż myślałem, i niemal zrasta się z dłonią. Wykonuję kilka pchnięć w powietrzu. Tnę wodę i patrzę, jak krople spadają z ostrza. Wbijam palce w skrzela tłustego cefala, dokładnie tak, jak to robił Zorba. Ryba trzepocze się na wyprostowanym ramieniu. Filetowałem takie wcześniej, tylko zabite. Kilkakrotnie dotykam ostrzem białego brzucha. Zamierzam wykonać długie cięcie od skrzeli, ale gdy tylko wbijam nóż, cefal wyslizguje mi się z dłoni i uderza o pokład. Trzepocze się i skacze po dnie, a ja próbuję go przebić, staram się ogłuszyć trzonkiem. Łódka się chybotce, a Zorba wstaje, wyjmuje mi nóż z ręki, patroszy rybę błyskawicznym cięciem i siada z powrotem.

Ma podbite oczy i łuk brwiowy napuchnięty do rozmiarów jajka. Krew przesącza się przez strupy, a uniesiona brew sprawia, że Zorba wygląda, jakby czemuś bardzo się dziwił. W nosie, dwa razy większym niż wczoraj, tkwią czerwone waciki. Sina warga opiera się na brodzie. Mimo to Zorba próbuje się uśmiechnąć. Można pomyśleć, że daje mi do zrozumienia, ile kosztuje zdradzanie żony w Grecji.

Jacek wita mnie podniesioną głową. Ma podkrążone oczy i jest blady, jakby dawno nie oglądał słońca. Dłonie mu zsiniały. Przygląda mi się spokojnie, gdy rozkładał jedzenie na stole. Do butelki z wodą wciskam limonkę. Jacek porusza suchymi wargami.

– Muszę się wylać. Nie rób mi tego, człowieku, nie chcę się znowu zeszczuć w spodnie.

Podczas przygotowań rozważałem rozmaity przebieg wypadków, lecz ta trudność nie przyszła mi do głowy. Jacek wierci się na krześle i przebiera nogami.

Wszystkie podwórka tutaj są takie same. Pod pustymi domami walają się śmieci, jakby ktoś rzeczywiście tam mieszkał. Błądzą między kubłami, rozpruwam worki i płoszę koty. Muchy brzęczą. Poranek jest bardzo gorący. Chciałbym znaleźć wiadro albo kubeł. Żadna butelka mi nie odpowiada, nie mam też czym jej przeciąć. Znajduję puszkę z resztką zaschniętej farby. Ktoś tutaj trzasnął sobie seledyn na ścianie.

Jacek chyba liczy, że go rozwiążę, a ja uświadamiam sobie, że nasze imiona różnią się tylko jedną literą. Jesteśmy pospolici. Proszę go, by trochę się podniósł, i zsuwam mu spodnie. Jacek wzdycha. Bardzo mu się spieszy. Podstawiam puszkę we właściwe miejsce. Po chwili mam mokre dłonie, a Jacek robi minę, jakby chciał mnie przeprosić. Zdejmuję koszulkę. Wycieram

sobie ręce, a potem Jacka. Wciągam mu spodnie. Opróżniam puszkę i odrzucam daleko. Mówię, że jutro przyniosę wiadro i chusteczki, a Jacek spuszcza głowę. Trzęsie mu się broda. Chyba zrozumiał, że jutro ciągle tu będzie.

– Stary, ja nawet nie chcę myśleć, co ty przeszedłeś. Mi się to w głowie nie mieści. Ludzie nie znają słowa dla kogoś, kto stracił własne dziecko.

Wolałbym, aby o tym nie wspominał, ale słucham go spokojnie. Kroję chleb i pomidora, obieram też jabłko i dzielę na ćwiartki. Staję nad Jackiem z pełnym talerzem. Jacek nie chce jeść.

– Nie miałem żadnej toyoty. Jeździłem fordem. Nawet nie był srebrny. Kiedyś miałem toyotę, tak, dlatego mi się pomyliło, ale już dawno sprzedałem. Raz wsiadłem wczorajszy za kółko, mówiłem ci o tym, ale to przecież było lata temu. Nie jeżdżę po pijaku. Nie jeżdżę nawet na kacu ani kiedy jestem bardzo zmęczony. Nie jestem taki, człowieku. Próbuję ci powiedzieć, że nie zabiłem twojego syna. Ja nie chcę myśleć, co czujesz, ale go nie zabiłem.

Jacek nie ma prawa mówić o tobie. Chciałbym go ukarać tylko za to. Niech plecie, o czym chce, lecz ciebie powinien zostawić w spokoju. Powiniennem go uderzyć, a on powinien jeść. Nie chcę, by tutaj osłabł i umarł, przynajmniej nie w ten sposób. Zwilżam mu wargi i wpycham między nie ćwiartkę jabłka. Muszę ścisnąć nos, żeby otworzył usta. Resztę jabłka pałaszuje bez oporu. Podsuwam chleb. Oliwa cieknie mu po brodzie, a ja złoścę się na siebie. Jak mogłem zapomnieć o chusteczkach?

– Pomyśl o jednym. Jaka jest szansa, że to ja, że my tutaj, we dwóch? Pomyśl o tym, proszę, na zimno. Uważasz, że prowadziłem srebrną toyotę, że walnąłem w przystanek, że twój syn... Jezu, człowieku, cholernie ci współczuję. Ale posłuchaj: twoim zdaniem byliśmy tam razem, na Puławskiej, ty i ja? A do Berlina jeździłem na balety. Najlepsze balety są w Berlinie.

Nie odpowiadam. Odkładam pusty talerz i podsuwam wodę. Tym razem Jacek nie gra twardziela, w momencie osusza butelkę i zaczyna się krztusić. Uderzam go w plecy otwartą dłonią, raz i drugi. Jacek przestaje kaszleć. Ocieram mu łzy wierzchem dłoni.

– Dzięki, stary. Naprawdę dziękuję. Więc teraz pomyśl przez chwilę. Jest coś takiego jak prawdopodobieństwo, nie? Niektóre rzeczy zdarzają się rzadziej niż inne, a jeszcze inne nie zdarzają się wcale.

Wiem, co chce powiedzieć, bo sam bez przerwy obracam w głowie prawdopodobieństwo zdarzeń. Wiem, mimo to go słucham. Siadam pod ścianą, krzyżuję przedramiona na kolanach i patrzę w milczeniu.

– Mam szacunek do ciebie, do twojego cierpienia, ale, kurwa, błagam cię, pomyśl. Naprawdę wierzysz, że to jest możliwe, że spotkałbyś tutaj faceta, który przejechał... to znaczy który zrobił tę straszną rzecz? Ile to jest? Jeden na trylion? I żeby było jasne: ja cię rozumiem, ja się nie złoścę, bo jestem twoim przyjacielem, tylko błagam cię, żebyś się zastanowił.

Jacek bardzo chce, bym jakoś zareagował. Milczę i patrzę, jak trzęsie się na krześle. Milczę, bo myślę o Klarze, o tym, czy wciąż mieszka wśród swoich pamiątek, a także czy Sophie do niej wróciła. Myślę o tym, że León spotkał Klarę w czasach berlińskiej świetności. Jacek wyrzuca z siebie następną porcję słów. Nawija, jakie to wszystko jest niemożliwe, jaki ja jestem biedny i nierozsądny.

Myślę o księdzu Robercie, o jego świętej figurze i drodze, którą przeszedł, nim przyjął święcenia. Na Bałkanach wciąż krążą o nim legendy, znał je nawet młody Ante. Myślę o ludziach, których spotkałem przez ostatni rok, i o tym, czy jeszcze ich zobaczę.

– Stary, znasz mnie trochę, prawda? Ja bym sobie oczy wydrapał, gdybym zrobił coś takiego. Ja bym już wisiał, słyszysz? Nie poradziłbym sobie z tym. Nie jestem takim gościem i ty to

wiesz, Chryste Panie, kurwa, przecież bujaliśmy się razem, jak ja bym się mógł śmiać i cieszyć?

Zadawałem sobie również to pytanie, a odpowiedź nie wypada korzystnie dla Jacka. Wstaję i sięgam po plecak. Jacek wodzi za mną wzrokiem, mówi coraz szybciej, połyka słowa.

– Jak mi nie wierzysz, to zawołaj policję. Jak zwiąłem z Puławskiej, to mnie ktoś szuka, jestem przestępcą, bandziorem, zabójcą, tak czy nie? To znaczy nie jestem, ale ty tak sobie myślisz, więc w porządku, łapię, chodźmy na policję i oni załatwią resztę, tak się robi, jak jestem winny, to wyląduję w pudle i wtedy masz, co chcesz. Zawołaj policję. Ja nic na ciebie nie powiem, ja cię nie oskarżę, przysięgam, ja tego nie zrobiłem, zrozum wreszcie, człowieku, o Jezu, co ty robisz, co ty tam masz?

Na stolik, gdzie przed chwilą leżało jedzenie, wykładam młotek, kombinerki, obcęgi, elektryczną zapalniczkę, którą zabrałem z kuchni, a także rdzewiejący sekator i siekierkę ogrodową, której widok odejmuje Jackowi mowę. Dołącza do niej złożony ręcznik. Wszystkie te rzeczy leżą na wprost Jacka. Owijam mu dłonie taśmą klejącą i wpycham szmatę w usta, bo zaczyna krzyczeć.

Zostawiam go samego. Niech patrzy i myśli. Dam mu na to okrągły dzień.

Przecież go nie skrzywdzę. Żli ludzie nie mogą zostać skrzywdzeni.

Wracam do domu wczesnym popołudniem, kiedy upał jest trudny do wytrzymania. Co robi człowiek, który nie wytrzymał upału? Przez całą drogę myślę tylko o śnie. Wyobrażam sobie, jak zwalam się na łóżko, opuszczam obolałe powieki, a głowa tonie w poduszce. Ostatni etap – od nadbrzeża do domu – pokonuję, jakbym brodził w gorącym śniegu. Senność odchodzi, gdy tylko zamykam za sobą drzwi.

Odnoszę wrażenie, że coś się zmieniło. Słyszałem o ludziach, którzy co parę lat robią przemeblowanie – stawiają szafę w miejscu komody i tak dalej. Chodzi o to, by rozruszać mózg. Nie wiem, dlaczego zacząłem myśleć akurat o tym. Moje myśli od dawna nie należą do mnie i chyba wola również. Co się zmieniło?

Zlew znów się zapełnił. Na stole i parapetach pojawiły się czerwone ślady po kieliszku. Kontakty twardo tkwią w ścianach. Gloria siedzi na brzegu łóżka z papierosem, butelką i smutnym spojrzeniem wbitym w zdjęcie ustawione na oknie. A więc to się stało. Fotografie Sakisa wróciły.

Otoczają mnie jak dawno niewidziani złośliwi krewni, którzy zjechali z całego świata na stypę. Siadam na łóżku, daleko od Glorii. Gloria przepasza. Nie potrafiła inaczej. Gdyby mogła mieć dzieci, wszystko by się ułożyło. Kochałaby moje dziecko, a wówczas, w jakiś sposób – także mnie. Uciska suchy brzuch. Powtarza, jak bardzo jej przykro.

Więc tak to się odbędzie. Chciałbym zasnąć przy Glorii i żałuję, że już nie będzie dane mi tego zrobić. Dziękuję jej za te wspólne miesiące. Przygarnęła mnie jak bezpańskiego psa. Wszystko jest w porządku.

Gloria mówi, że jestem za dobry i zasługuję na lepszą kobietę niż ona. Po prostu liczyła, że przy mnie zapomni o Sakisie, co było niemożliwe. Przy nikim nie potrafiłaby zapomnieć. Słucham tego ze spokojem. Powtarzam, że wszystko jest w porządku. Przez krótki moment bardzo potrzebowaliśmy siebie nawzajem, a teraz już nie potrzebujemy.

Glorią wstrząsa płacz. Idę do kuchni po chusteczki. Gloria ociera sobie twarz i pyta, co mogłaby jeszcze dla mnie zrobić. Przecież nie mam nawet domu. Mogę zostać tutaj tak długo,

jak chcę. Jakoś zmieścimy się na łóżku, albo – jeszcze lepiej – Gloria pościeli mi w drugim pokoju. Nie muszę nawet opuszczać restauracji. Zapłaci za moją pracę tyle, ile może.

Jest mi smutno, jakbym spóźnił się do kina na wyczekiwany film albo zapłacił wysoki mandat. Chciałbym objąć Glorię i żałuję, że już mi nie wolno. Powiedziałbym, że nie mamy wiele, ale i tak więcej niż ludzie wokoło, a mała miłość jest lepsza niż żadna. Mówię jednak, że jakoś sobie poradzę. Nie potrzebuję dachu nad głową i wolałbym, aby Gloria się mną tak nie przejmowała. Proszę, by spróbowała przestać się zadreć. Każdą żalobę można przeżyć, tylko żadne z nas nie ma pojęcia jak.

Przypominają mi się chwile, kiedy czekałem na esemesa od Patrycji. Gloria zauważa, że jestem senny, zachęca, bym się położył, proponuje herbatę. Protestuję, lecz ona delikatnie popycha mnie na łóżko i zdejmuje buty. Na parapecie, obok zdjęcia Sakisa, stawia szklanekę z wodą. Otwiera okno i poprawia mi poduszkę. Jej głos jest przepełniony smutkiem. Śpij, mój niekochany.

Jacek leży na ziemi, ma zamknięte oczy. Podskakując na krześle, dotarł aż pod okno, zdołał też wywrócić stolik. Młotek, sekator, siekierka i reszta rzeczy leżą na podłodze. Odkładam wiadro z wodą, podnoszę stolik i wypełniam blat. Obok kombinerek kładę parę wilgotnych chusteczek. Cieszę się, że o nich pamiętałem.

Podniesienie Jacka sprawia sporą trudność i przez moment wydaje mi się, że sobie nie poradzę. Będziemy sobie leżeć we dwóch, z twarzami w kurzu i wiórach. Będziemy sobie szeptać oskarżenia. Wreszcie stawiam krzesło jak należy i złoścę się, bo Jacek ciągle śpi. Otwiera oczy, dopiero gdy klepię go w policzek. Przypomina sobie, gdzie jest, i ciężko wzdycha.

Nie wiem, gdzie przygotuję mu jedzenie. Znów czegoś nie przewidziałem. Zdejmuję narzędzia z blatu i dociera do mnie świadomość własnej śmieszności. Jacek chyba też ją przeczuwa. Karmię go, pałaszuje aż miło. Po wszystkim ocieram mu usta wilgotną chusteczką.

– Muszę dwójkę, stary. Nie ma siły. Przykro mi chłopie, ogarnijmy tę sprawę, bo będzie źle.

Tutejsze warunki nie przewidują dwójki, czego Jacek nie może zrozumieć. Miota się na krześle, uderza oparciem o ścianę.

– Nie żartuję, stary. Chyba nie zostawisz mnie tu w gównie, co?

Chyba naprawdę sądzi, że obchodzi mnie jego puszczający zwieracz. Przypominam, żeby nie krzyczał, i przechylam krzesło tak, że oparcie dotyka ściany, a przednie nogi, a także stopy Jacka, sterczą w powietrzu. Myślę o tym, jaki jestem nieporadny, jak wiele mogłem zrobić lepiej.

– Co ty wyrabiasz, chłopie?! Tak to nie da rady! Co ty mi robisz, co ty chcesz zrobić? – woła Jacek, a ja myślę o jednym z odcinków *Skazanego na śmierć* i o *Safe House* z Denzelem Washingtonem. Rozumiem już, że rzeczy, którymi zajmowałem się przez całą młodość, filmy i książki, są bezużyteczne jak Jacek teraz, z tym jednym wyjątkiem.

Odsłonięta szyja Jacka kusi, aby ją otworzyć. Tego jednak mi nie wolno. Nakrywam mu twarz szmatą. Mógłbym użyć tej, którą trzymał w ustach, ale nie jestem taki. Chcę, aby powiedział prawdę. Wówczas nie musielibyśmy się męczyć.

– Zabierz to, słyszysz? Co ja mam zrobić? Gadaj, no powiedz, a ja to zrobię, tylko musisz wiedzieć co, ja tego nie zrobiłem, słyszysz mnie, pojebie?! Jesteś podupcony, popierdoliło cię, kurwa, weź to ściągaj!

Sięgam po wiadro. Jacek macha głową i prycha jak dziecko. Szmatka zsuwa się dokładnie

w chwili, gdy stoję obok. Jacek rozumie już, co go czeka. Milknie. Gdy znów zakrywam mu twarz szmatką, napręża nogi i ramiona. Muszę docisnąć szmatę do czoła i wiadro unoszę jedną ręką, przez co pierwszy chluz lodowatej wody nie osiąga celu. Potem jest już lepiej.

Zalewam mu usta i nos, odliczając przy tym do dwudziestu. Jacek rzuca głową na boki. Trzepoczą mu stopy i chyba rzeczywiście odrobinę popuścił. Odliczanie dobiega końca. Odstawiam wiadro, w którym jest jeszcze sporo wody. Prostuję krzesło i zdzieram szmatkę, pomagam mu się nawet przechylić do przodu. Jacek jest siny. Łapie powietrze i znowu się krztusi. Woda cieknie z nosa i ust.

Pozwalam mu odpocząć. Czekam, aż odzyska normalny kolor, i mam ochotę klepnąć go w plecy jak wczoraj. Jacek szepcze:

– To nie ja. Gdybym ci powiedział, że to zrobiłem, ulżyłoby ci, co? Ale to nie ja, rozumiesz, tępy skurwysynu?

Powtarzam operację, licząc do trzydziestu. Tym razem Jacek trzęsie się cały jak podczas ataku serca. Przechylam go do przodu, zdejmuję szmatę z głowy. Oliwki, ser i chleb wracają razem z wodą, lądując na mokrych kolanach.

– Litości. Zlituj się nade mną, jebany kutasie.

Przy trzeciej próbie woda się kończy i jestem tak zmęczony, że zwalam się na krzesło. Przez krótki moment jestem niemal pewien, że Jacek mówi prawdę, i chcę go wypuścić. Boję się tego, co zaraz nastąpi. Jacek mamrocze:

– Jezu. Jezus Maria, Jezus.

Do stolika ogrodowego idę jak przez bagno, a na miejscu nie wiem, co powinienem wybrać. Ten rodzaj tępej, podsycanej niepokojem siły pojawia się najczęściej po nieprzespanej nocy. Mogę wszystko i nie mogę nic. Gdzieś za mną skomle Jacek.

Decyduję się na kombinerki, bo nie mają ani jednego ostrego elementu, niczego nie utną, uwolnią więc mniej krwi. Wydają mi się czymś niewinnym i łagodnym, ale Jacek ma inne zdanie. Próbuje wtopić się w krzesło i dyszy, wyrzucając w powietrze kropelki śliny.

Taśma z dłoni odchodzi powoli, odsłaniając czerwony kciuk. Myślałem o zębach, myślałem o uchu. To wszystko jest straszne i piękne zarazem. Nie umiem siebie rozpoznać i gdy sięgam po szmatę, zyskuję pewność: to nie jestem ja. To tylko film. Oglądałem ich tyle, że trafiłem do jednego z nich.

– Poczekaj. – Jacek drży. Mówi przez zaciśnięte zęby, tak bym nie wepchnął mu szmaty do ust. – To byłem ja. Oczywiście. To byłem ja i miałem srebrną toyotę, i była tam mała, i zrobiłem tę straszną rzecz. Zrobiłem, ale nie byłem pijany. Byłem bardzo zmęczony i bardzo się spieszyłem. Pewno zasnąłem, bo tego nie pamiętam, nic nie pamiętam, wiem tylko, że uciekłem. Słyszysz?

Moja mokra dłoń z trudem utrzymuje kombinerki. Jacek płacze:

– Uciekłem aż tutaj. Myślałem, że zapomnę, że nikt mnie tu nie znajdzie, ale nie ja jeden uciekłem, prawda?

Odkładam kombinerki z powrotem na stół. Wszystko, co tam leży, jest już niepotrzebne, tak jak ja. Wyciekana chwila zastaje mnie bezradnego. Jacek nie odrywa ode mnie wzroku i chce coś dodać, lecz wpycham mu szmatę do ust. Krztusi się, podskakuje na krześle.

Muszę mu coś powiedzieć, tylko nie wiem co. Wycieram mu twarz chusteczką. Jak dobrze, że ich nie zapomniałem.

Proszę go, żeby poczekał. Niedługo wrócę.

Zorba ma skrzynię na nadbrzeżu, do której dostępu broni rdzewiejąca kłódka. Próbuję otworzyć ją drutem i śrubokrętem, a wiatr podrywa pył i ciska mi go w oczy. Traktuję kłódkę z buta, próbuję wyrwać zawiasy. Wreszcie ustępuje. Była otwarta, czego nie dostrzegłem. Jej wnętrze pachnie rybą i mokrym drewnem, na dnie leżą wiosła i dulki, plecione linki i stare kapoki. Brakuje jednak noża.

Znam takie noce i tę drogę też. Wielokrotnie przemierzałem ją z Glorią. Teraz jestem sam. Mijam skałę z okiem i wędkarskim siedziskiem, kościółek otulony niebieskawym światłem, góry śmieci i pokrzywione płoty. Znam kontury dalekich statków i cienie żurawi. U wejścia do zatoki, mniej więcej tam, gdzie łowiliśmy ryby, śmiga motorówka. Kocie oczy pobłyskują z zarośli.

Dom Zorby jest jedynym, w którym pali się światło. Przemykam za płot. Orientuję się, że nie mam żadnego planu, nie wiem nawet, gdzie gospodarz trzyma swój przepiękny nóż. Pozostając w cieniu, mijam pogaszone lampiony, poskładane krzesła i taczkę wywróconą kołami do góry. Okazuje się, że nie muszę szukać – nóż leży na drewnianym stole przed domem, schowany w wysłużonej pochwie obok torby wędkarskiej. Na trawie stoją wodery.

Wpycham nóż za pasek. Powinienem odejść, a jednak ciągnie mnie do okna, w którym pali się lampka. Nie wiem dlaczego, ale muszę się zbliżyć. Może dlatego, że już nigdy więcej nie zobaczę poczciwego Zorby? Zastanawiam się, jak on postąpiłby w mojej sytuacji. Pewno walczył na jakiejś wojnie. Starzy żołnierze zawsze wiedzą, co robić.

Skradam się przez taras. Nigdy nie byłem w środku, nie wiem, jak mieszka Zorba ani co robi w swoich czterech ścianach. Czyta gazety? Pije? A może żona wyrzuciła go za zdradę? Przyklejam nos do szyby. Na półkach starych mebli stoi mnóstwo zdjęć portretowych. Zorba rozwalił się na kanapie i patrzy w telewizor.

W progu pojawia się żona Zorby. Nigdy nie poznałem jej imienia. Ma na sobie prostą, długą koszulę odsłaniającą pomarszczony dekolt. Dopiero teraz widzę, jak bardzo Gloria ją przypomina. Kobieta sunie przez pokój, jakby w ogóle nie dotykała podłogi. Niesie dwie szklanki. Jedną podaje mężowi, drugą zatrzymuje dla siebie i siada. Razem oglądają telewizję. Zorba – który wciąż ma rozkwaszone usta i waciki w nosie – delikatnie przyciąga ją ku sobie, a ona opiera głowę na jego ramieniu. Ich stare piersi unoszą się i opadają równocześnie. Patrzę na tych dwoje i już rozumiem, że niezależnie od tego, jak przebiegnie reszta mojego życia, pewne drogi pozostają dla mnie nieodwołalnie zamknięte.

Po wakacjach Mikołaj podzielił się swoim nowym marzeniem. Był nim tablet, najlepiej iPad. Jego najlepsi koledzy już mieli iPady, tylko on nie. Przekonywał, że to rewelacyjna pomoc edukacyjna. Przecież wszyscy nauczyciele tak sądzą. Przysięgał, że będzie sprzątał w swoim pokoju przez tysiąc lat i jeden dzień dłużej, zgodził się nawet zmywać po nas wszystkich i obiecywał, że zda do takiego gimnazjum, jakie dla niego wybierzemy. Julka nie chciała się zgodzić. Jej zdaniem kolejny ekran w domu był niepotrzebny, podobnie jak drugi mężczyzna przyklejony do takiego ekranu. Byłem innego zdania, bo w marzeniu syna dostrzegłem swoje własne – w jego wieku najbardziej na świecie marzyłem o komputerze. Sprawę rozstrzygnęła mama, która wyłożyła połowę sumy, jedną czwartą daliśmy my, resztę Mikołaj z własnych oszczędności.

Natychmiast zatonął w tablecie. Pochłaniał posiłki bez gryzienia, żeby jak najszybciej wrócić do grania, i buntował się, gdy przed dziesiątą zaganiał go do łóżka. Odrabiał jednak lekcje, sprzątał pokój i nawet zmywał za wszystkich; gdy zwolniłem go z tej czynności, odetchnął z ulgą.

Czarnogóra przywróciła wiarę w moje małżeństwo i choć wspomnienia zacierały się szybko, wyczekiwałem kolejnych wspólnych wieczorów. Lubiłem te chwile, kiedy Julka kończyła zajęcia i pytała, co na dziś, kochany, mamy zaplanowane. Nie robiliśmy niczego niezwykłego, a nasze życie właściwie nie uległo zmianie. Po staremu oglądaliśmy filmy, graliśmy w planszówki, przeglądaliśmy oferty mieszkaniowe, raz w tygodniu szliśmy do kina albo restauracji. Niekiedy wracaliśmy piechotą, z kina na Chmielnej aż na Mokotów. Zaglądaliśmy do Szpilki na placu Trzech Krzyży, do Corso na placu Zbawiciela, nawet do Regeneracji, gdzie Julka zamawiała wódeczkę na lodzie, z plasterkiem limonki, ja piwo, i oboje śmialiśmy się z aktorów i celebrytów przy stolikach obok. Byli tacy poważni, tacy sobą przejęci.

Steve długo nie odbierał telefonów. Zapewnił mnie, że oskarżenia o molestowanie są fałszywe; żadnej nie wyrządził nic złego, przecież same chciały, zresztą sam wiem, jak to jest. Prosił, abym się o niego nie martwił, i nie mógł zrozumieć, że umieram z niepokoju. Był twardym człowiekiem, samcem alfa i przewodnikiem stada, który wziął na siebie ciężary przerastające innych. Tacy ludzie duszą w sobie dramaty, nie pozwalając sobie na słowo skargi. Pomagają, lecz nie chcą, aby im pomagano. Zrozumiałem, że muszę być przy nim, nawet jeśli daje do zrozumienia coś przeciwnego.

Naciskałem tak długo, aż pozwolił mi przyjść. Muszę ze wstydem przyznać, że cieszyłem się tą perspektywą i w jakiś sposób byłem zadowolony z nieszczęścia, które go spotkało. Widziałem w nim okazję, by spłacić dług wdzięczności, czułem się potrzebny. Wyobrażałem sobie, jak przedzieleni oszronioną butelką wódki wyznajemy sobie braterską miłość i szukamy sposobów na pokonanie naszych przeciwników.

Steve długo nie otwierał, więc stałem w deszczu. Gdy wreszcie wszedłem do środka, nie powitał mnie w progu, tylko zostawił otwarte drzwi. Kręcił się między pudłami. Wszędzie walały się jego książki, notatniki, które rozdawał na swoich kursach, a także czapeczki, smycze i koszulki zapakowane w folie. Sam Steve wyglądał lepiej, niż sądziłem, może dlatego, że obciął włosy i zamienił motocyklowe spodnie na dres z bawełny. Zmieniło się w nim coś jeszcze, tylko nie wiedziałem co.

Uściskaliśmy się. Zapytany, jak się trzyma, odpowiedział, że dobrze. Ot, zamyka pewien rozdział i otwiera następny. Od lat inwestował w fundusze i nieruchomości, zarobił dosyć i może żyć tylko z tego. Zaśmiał się i zapytał, czy nie chciałbym trochę szmelcu z biura, bo nie ma co z nim zrobić – wystawię na Allegro albo dam dzieciakowi do zabawy. Nabrałem pewności, że stara się mnie pocieszyć. To jednak było niemożliwe. Co ze szkoleniami? Co z tysiącami ludzi, którym pomógł, którzy go kochają? Co ze mną? Steve wysłuchał spokojnie i oznajmił, że czas odrzucić wiarę w Świętego Mikołaja. Otworzył szafę, w której wisały znane mi T-shirty: AC/DC, Motörhead, Black Sabbath. Powiedział, że mogę je zatrzymać na pamiątkę.

Patrzyłem na te koszulki jak na ciała pomordowanych bliskich. Miałem wrażenie, że tracę wszystko, co jest mi drogie. Steve sam wcisnął mi parę T-shirtów i popchnął w stronę wyjścia. Czułem się skołowany, dostrzegłem jednak, co jeszcze zmieniło się w wyglądzie Steve'a – zniknęły tatuaże z jego dłoni, to DAJĘ RADE. Zapytałem go o to. Popatrzył na mnie dziwnie i odparł, że robił je henną, no bo jak inaczej? Przecież nie jest pojebany.

W domu nie mogłem znaleźć sobie miejsca. Julka okazała mi dużo troski i tak długo

dopytywała, czy stało się coś złego, że podzieliłem się z nią straszną nowiną. Wiedziała, jak ważny był dla mnie Steve. Zauważyła przytomnie, że każdemu zdarza się wąpić, tak jak my czasami wąpiliśmy w nasze małżeństwo. A teraz proszę – siedzimy tu sobie, kiedy Mikołaj pójdzie spać, otworzymy wino i spędzimy kolejny fajny wieczór. Poczułem przyjemny przypływ sił.

Od powrotu z Czarnogóry odwlekałem spotkania z Patrycją. Napisałem jej, że zatruliem się czymś w dzień wylotu i muszę się wykurować. Potem zasłoniłem się Mikołajem, który przez dwa tygodnie umierał z tęsknoty i codziennie domagał się mojej uwagi. Patrycja słała esemes za esemesem i długie, rzewne wiadomości na Messengerze, a ja układałem w głowie słowa, które będzie musiała usłyszeć. Droga, którą wybraliśmy, wiodła ku cierpieniu. Powinniśmy z niej zawrócić, rozejść się w dwie różne strony dla dobra nas wszystkich.

Spotkaliśmy się i natychmiast poszliśmy do łóżka. Nawet nie wiem, jak do tego doszło. Przecież nie miałem ochoty, po prostu Patrycja przyłgnęła do mnie, taka stęskniona, samotna, nieszczęśliwa, i wypadki potoczyły się same. Po wszystkim czułem się obrzydliwie. Najchętniej wyszedłbym z hotelu, tylko zabrakło mi sił. Leżałem przytulony do tego miękkiego ciała i przysięgałem sobie, że zaraz rano napiszę, zadzwonię i się rozstaniemy. Oczywiście tego nie zrobiłem. Nie potrafiłem odtrącić dziewczyny, z którą tyle przeszedłem i której powierzyłem swoją największą tajemnicę. Uznałem, że sprawę może załatwić tylko czas.

Odzywałem się rzadko i znajdowałem coraz to nowe wytłumaczenia. Zasłaniałem się problemami szkolnymi Mikołaja, nawałem zajęć w pracy i koniecznością wzięcia nadgodzin na rzecz przyszłego urlopu. Patrycja naciskała. Prosiła o pół godziny, o piętnaście minut, a potem przeproszała, że się narzuca. W swoich barokowych wiadomościach podsuwała najpiękniejsze wspomnienia, ale i dawała nadzieję. Porównywała nas do podwójnej gwiazdy i była przekonana, że między nami zaistniało coś wyjątkowego, czego nie wolno podeptać. Dodawała, że nie chce być ciężarem i zniesie każdą moją decyzję. Odpisywałem krótko. Obiecywałem rychłe spotkanie, przysięgałem, że niedługo gdzieś wyjedziemy. Jednocześnie liczyłem, że Patrycja zrozumie, o co naprawdę mi chodzi, i przestanie pisać.

Po jakimś miesiącu wymówki się skończyły, więc wymyśliłem chorobę mamy. Napisałem, że ma osteoporozę połączoną ze zwyrodnieniem stawów, nie może wykonywać nawet najprostszycy codziennycy czynności, w związku z czym muszę się nią opiekować. Gdy nieopatrznie dodałem, że jestem załamany i przytłoczony, Patrycja natychmiast zaproponowała pomoc – przecież miała mnóstwo czasu, a moja mama bardzo nam pomogła. Nie wiedziałem, co mogę odpisać, więc nie napisałem nic.

Kości i stawy mamy były w doskonałym stanie, za to popsuł jej się wzrok. Wyznała mi, że nie może już czytać, widzi czarne plamki i kolorowe smugi. Poczułem się strasznie, jakbym własnym kłamstwem ściągnął na nią tę chorobę. Mama uważała, że takie właśnie jest życie – odbiera nam wszystko, co najważniejsze, nawet wzrok. Bóg zostawia w ciemności swoje starzejące się dzieci.

Zaciągnąłem ją do okulisty, który stwierdził zaćmę i zaproponował zabieg, bezbolesny i pozbawiony komplikacji. Mama nie chciała o tym słyszeć – była przekonana, że całkiem oślepnie. Długo przekonywałem ją do zmiany decyzji, wreszcie poprosiła, bym poszukał jej informacji w internecie. Przyszła do nas jeszcze tego samego dnia, bez zapowiedzi, i przez cały wieczór siedzieliśmy przy komputerze. Sprawdzałem kolejne kliniki i szukałem relacji pacjentów. Mamę interesowały te najstraszniejsze, wprost paliła się, by przeczytać coś o krwotoku do wnętrza oka, odwarstwieniu siatkówki i pęknięciu torebki tylnej.

Wyselekcjonowaliśmy trzy kliniki, ostatecznie wybraliśmy jeszcze inną.

Przed samym zabiegiem mama powiedziała, że najprawdopodobniej nie przeżyje operacji ze względu na serce. Przerazała ją nie perspektywa śmierci, lecz gorycz mijającego życia. Wszystko, w co wierzyła, okazało się kruche. Zostawiała mnie rozdartego między żoną i kochanką, w przededniu dorastania jedyne go syna. Są to trudy, do których nikogo nie można przygotować, choć bardzo się starała. Zdziwiła się, że nie ma z nią nikogo poza mną – gdzie Julka i Mikołaj? Wyjaśniłem, że w pracy i szkole, a ona pytała dalej: gdzie mój ojciec, gdzie przyjaciele i przyjaciółki? Dodała jeszcze, że spodziewała się takiego końca. Wie, jak gorzki jest zmierzch życia, zastanawiała się jednak, gdzie popełniła błąd. Znalazła wiele takich sytuacji, lecz wszystkie bez znaczenia. Cokolwiek by zrobiła i którąkolwiek ścieżką by poszła, skończyłaby tutaj, z chorym okiem, w towarzystwie syna i nikogo więcej. Poprosiła, abym już nie mówił, i sama zamilkła. Zabieg przebiegł bez zakłóceń i mama tego samego dnia wróciła do domu.

Wreszcie nie musiałem kłamać. Julka miała mnóstwo pracy i opieka nad mamą spadła na mnie. Wziąłem dwa tygodnie wolnego, tyle mi przysługiwało. Przynosiłem jej zakupy, wiązałem buty, odkurzałem i wyjmowałem produkty z dolnych półek lodówki. Mama narzekała, że nie może mrugać, i sprawiała wrażenie zaskoczonej faktem ocalenia wzroku. Co trzeci dzień myłem jej głowę. Siadywała wówczas na brzegu wanny, owinięta ręcznikiem, a ja mydliłem włosy i ostrożnie splukiwałem, przykładając dłoń do matczyne go czoła, tak by woda nie nalała jej się do oczu. Mama mówiła wówczas, że jestem bardzo dobrym człowiekiem. Tylu młodych ludzi zapomina o rodzicach, ja tego nie zrobiłem. Potem prosiła, żebym choć na chwilę odłożył telefon. Dotykałem go nawet mokrymi dłońmi. Chciała, abym przez ten krótki czas był tylko dla niej.

Na piątek, trzy dni przed moim powrotem do pracy, zaplanowałem wizytę w Centrum Nauki Kopernik; Mikołaj jeszcze tam nie był, a mama wypominała mi nieustannie, że nie dbam o rozwój intelektualny dziecka. Zarezerwowałem bilety, zwolniłem syna ze szkoły i długo prosiłem, by zostawił tablet w domu. Oczywiście wziął go ze sobą. Po drodze zajrzeliśmy do mamy. Była w lepszej formie. Spytała, czy wzięliśmy ze sobą coś do jedzenia i jakiś zdrowy napój. Przypomniałem, że w Koperniku dają gorące posiłki. Mama wygłosiła długą przemowę poświęconą złym nawykom żywieniowym. Jej zdaniem w takich miejscach jak Kopernik, a także w szkolnych stołówkach, dawano dzieciom powoli działającą truciznę, czyli panierowanego kurczaka smażonego na starym tłuszczu. Czemu nie dbam o dziecko, pytała, dlaczego nie mogę niczego się nauczyć?

Dzień był piękny, prawdziwie słoneczny, jakby już było lato, a nie kwiecień. Park się zazielenił, a do brzegu stawu podpływały kaczki i łabędzie, którym starszycy rzucali chleb. Pod drzewem czekała Patrycja. Miękkim krokiem ruszyła w moim kierunku. Rozpaczliwie wskazywałem na Mikołaja, ona jednak zdawała się tego nie widzieć. Przywitaliśmy się pocałunkiem w policzek, a jej dłoń musnęła dół moich pleców. Modliłem się, żeby Mikołaj tego nie zobaczył. Przedstawiłem ich sobie, powiedziałem coś w stylu: „To moja dobra koleżanka, a to mój synek”, wspomniałem też, że spieszymy się do Kopernika, moja mama zajęła nam nazbyt wiele czasu. Patrycja dała do zrozumienia, że za nic ma ten pośpiech. Czekwała na mnie przez jesień i zimę. Przychodziła do parku od tygodnia, żeby mnie zobaczyć. Mikołaj słuchał z nosem w tablecie.

Zapytała, dlaczego się nie odzywam, i chciała wiedzieć, czy tak niewiele dla mnie znaczy. Wolałaby już, abym z nią zerwał niż milczał. Kazałem jej mówić ciszej, lecz nie posłuchała.

Szepnąłem, że możemy się zobaczyć nawet dziś wieczorem, tylko nie rozmawiajmy przy dziecku. Patrycja odparła, że minął czas na rozmawianie. Jak mogłem jej to zrobić? Dałem tak dużo tylko po to, aby odebrać bez żadnej wyraźnej przyczyny. Gdy zaczęła płakać, poprosiłem Mikołaja, aby usiadł na najbliższej ławce. Posłuchał, patrząc na mnie dziwnie, jakby nie tylko rozumiał, ale i oceniał. Powiedziałem Patrycji, że mam trudny czas i nie chciałem jej zranić. Choroba mamy przytłoczyła mnie bez reszty. Patrycja przypomniała, że również jest chora, o czym wiedziałem od początku.

Tak się szarpaliśmy, a mały zerknął na nas znad ekranu. Nie wiedziałem, co zrobić, więc stwierdziłem, że muszę iść. Teraz, natychmiast. Napiszę. Zadzwonię. Na pewno.

Zawołałem Mikołaja i ruszyliśmy w stronę Puławskiej. Bez przerwy oglądałem się za siebie. Patrycja stała na trawie i patrzyła w moim kierunku, smutna jak mokry krzak. Chciałem zawrócić, ale zabrakło mi odwagi. Co powiedziałbym Mikołajowi? Jakoś to załatwię, zrobię tak, że będzie dobrze, pomyślałem i pobiegłem za synem na przystanek autobusowy.

Po raz pierwszy idę do Jacka nocą. Nóż Zorby wetknąłem za pasek i zakryłem koszulą. Domy zniknęły w ciemności, w chaszczach buszują nocne zwierzęta. Wysoko rozbudzają się roje gwiazd, ich potężna chmara zawisa nad Salaminą. Niektóre wydają się wielkie i bliskie jak ryby. Wszyscy już śpią, mimo to obawiam się, że jestem obserwowany, a każdy dźwięk wydaje mi się głośny. Huczą moje kroki na stopniach, wyją uchylane drzwi i jęczy podłoga. Jacek patrzy na mnie ze znużeniem. Chyba wie, że nocna wizyta nie zwiastuje niczego dobrego.

Włączam latarkę i kładę ją na stole, tak by oświetlała mu twarz. Jacek mruży oczy i próbuje parsknąć. Chce, żebym wyjął mu szmatę z ust. Nie mam ochoty na rozmowę, jego sztuczki i pierdoły. Usłyszałem już wszystko. Głupio jednak, aby odchodził z zamkniętymi ustami. To tchórzostwo, a ja nie jestem już tchórzem.

Zrobiłem to raz, więc zrobię ponownie, choć teraz jest zupełnie inaczej. Ante chciał mnie skrzywdzić. Jacek już nigdy nikogo nie skrzywdzi. Powraca znajome poczucie mocy, które towarzyszyło mi w Tortudze. Jestem olbrzymem, jestem smokiem, który wyłonił się z morza. Staję przed Jackiem i wyjmuję nóż. Na podłodze charczy umierający Ante.

Nie jestem okrutny, jestem sprawiedliwy. Zrobię to najszybciej jak potrafię, i chyba nawet mówię o tym Jackowi. Nie chcę, żeby cierpiał, chcę, aby go nie było. Przypominam sobie ruch, którym Zorba rozpruwał rybom brzuchy. Zawsze chciałem się go nauczyć. Wyjmuję szmatę. Jacek łapie powietrze.

– Wszystko mnie napierdala. Daj pić.

Poję Jacka, a on patrzy na nóż, który położyłem na podłodze. Im dłużej to trwa, tym więcej wody cieknie mu po brodzie.

– Nie zrobisz tego, nie? Już dosyć. Już mam za swoje. Znam cię, jesteś w porządku, więc tego nie rób, proszę.

Sięgam po nóż, a Jacek piszczy i szarpie się na krześle. Chciałbym znaleźć w sobie siłę, by zrobić to szybko. Wykonałbym jeden precyzyjny ruch, tylko nie mam pojęcia, jaka to precyzja. Dręcę go, choć nie powinienem. Zbieram się w sobie i myślę o nadchodzącej uldze, o tym, że będziesz pomszczony. Jacek szlocha.

– Kłamałem! Bałem się bólu. Myślałem, że mnie puścisz, że chodzi ci tylko o to, by zaprowadzić mnie na policję albo coś. To nie byłem ja. Jezu, nie zabijaj mnie, bo nie jechałem

żadną Puławską, a ty chciałeś mi łamać palce, to się przyznałem!

Niech gada. Zrobi cokolwiek, aby odmienić swój los. Poprawiam latarkę, tak by światło padało na jego szyję. Jacek zaczyna krzyczeć, wyje o pomoc. Nie mam czasu, by sięgać po szmatę, więc zatykam mu usta ręką. Próbuje mnie ugryźć, płacze. Pod krzesłem powiększa się kałuża. Jacek przestaje się wydzierać. Cofam rękę, a on chlipie:

– To nie ja, błagam cię, ja tu tylko przyjechałem, ja szukam siebie, chciałem przygody, to nie moja wina, proszę, kłamałem, bo boję się bólu, nikogo nie przejechałem, nie miałem żadnej toyoty, dałem ci, co chciałeś, bo myślałem, że puścisz, nie zabijaj, trzymaj mnie tu nawet, tylko nie zabijaj, proszę.

Jedyne światło daje latarka, a ja już nie jestem samotny. W ciemności Sophie zapala cienkiego papierosa i zakłada słuchawki. Klara zdejmuje biżuterię, Albert podnosi twarz znad ekranu, niewierny Marko kręci mnie komórką nad Jackiem, a Ante bada świeże rany. Najlepiej pamiętam tego ostatniego.

– Pomogę ci go znaleźć, przysięgam. Razem na pewno się uda. Już wiem, jakie to ważne, tylko daruj, tylko pomyśl, jaka jest szansa, że ja to on, ten chuj w toyocie? Nie miałem toyoty, nie było w niej żadnej mały, nie rozbiłem się na Puławskiej, bo to jest niemożliwe, ja ci wybaczę, ja ci pomogę, ja zrobię wszystko, co chcesz, tylko daruj.

Przymierzam ostrze do szyi Jacka. Chciałbym rady od moich milczących towarzyszy. Czuję obecność Kosa i księdza Roberta. Wdycham smród przetrawionej wódki, który roztaczał wokół siebie Horvat. Wiem, że tu są, choć nie widzę żadnego z nich. Nawet Ante milczy. Brakuje mi ciebie. Chciałbym, żebyś powiedział, czego oczekujesz. Odzywa się tylko Jacek.

– Nie tak. Nie chcę w ten sposób.

Nawet nie wiem, czemu odsuwam się od krzesła. Jacek prostuje się, unosi głowę, odsłaniając szyję jak ja wcześniej, w Lubli.

– Jestem gotowy. No już, zaczynaj, pierdolcu.

Czy jest tu także matka Antego? Przyniosła pokarm dla umarłych? Jacek zaciska szczęki i parska przez nos. Dopiero gdy unoszę nóż, zalewa się łzami, wykrzywia usta w podkówkę. Przypomina chłopczyka.

– Proszę, daruj, przepraszam, to nie ja, nic nie zrobiłem, tak bardzo nie chcę, zrób coś innego, proszę, tylko nie to, nie zasłużyłem, to nie fair, żeby tak mi zrobić, daruj mi, a ja się poprawię, ja znajdę tego złego człowieka, bo jestem dobry, a nie zły, zawsze chciałem być dobry i to nie jest fair, co robisz...

Ostatnie słowa giną w szlochu. Jacek opluwa sobie koszulkę. Pociera policzkiem o przedramię, jest cały czerwony i bardzo się trzęsie. Taki bezbronny, zasmarkany gówniarz. Przecież na swój sposób jest jeszcze dzieckiem. Łódką i ruinami amfiteatru cieszył się jak szczył. Czy taki człowiek może kogoś skrzywdzić?

Klękam naprzeciw Jacka, rozcinam taśmę krępującą dłonie i sznury na nadgarstkach. Uwalniam też nogi i zwalam się na podłogę, z nożem w obu dłoniach. Tak cofam się aż do ściany, a Jacek pada na ziemię i odpełza w przeciwnym kierunku. Słyszę, jak siada i uspokaja oddech.

Już wiem, że miał rację. Jakie jest prawdopodobieństwo? Powtarzam jego własne słowa. Niemożliwe, abyśmy spotkali się dwukrotnie, na Puławskiej i Salaminie. Do Berlina jeździł na balety. Wielu tak robi. Student, którego spotkałem w pociągu, jechał właśnie po to. Ante i inni odchodzą, a gdy znika mały Marko, zyskuję pewność, że przez cały czas byliśmy tutaj sami. Przez szpary w deskach wpadają słabe promienie. Jacek wstaje.

– Nikomu nie powiem. To zostaje między nami. Dojdz ze sobą do ładu, człowieku.

Otwiera drzwi. Jego krępa sylwetka odcina się od jaśniejszego nieba. Odchodzi, nie spojrzawszy za siebie, a ja już wiem, co przeżywała Klara.

Kaki Vigla jeszcze śpi. Mijam łódki zacumowane przy betonowym brzegu, pomost, z którego niedługo zaczną skakać dzieci, i hotel Apollonion, w którego oknach nie pali się już żadne światło. Przekrzywił się szyld namalowany plakatówką, ten ze ściśniętymi, krzywymi literami. Rouvin się wścieknie, kiedy to zobaczy. Sapiąc i klnąc, podstawia drabinę i wyjdzie na nią z torbą pełną narzędzi przerzuconą przez ramię. A może wcale nie będzie się złościł, pomyśli, że szyld naprawi jutro albo w jakiś spokojniejszy dzień, i w końcu nie zrobi tego wcale.

Hotel Rouvina przynajmniej ma nazwę, nasza restauracja nie ma żadnej. Wcześniej nie zwróciłem na to uwagi. Myślałem o niej jak o restauracji. Jeśli kiedyś nazwa istniała, Zorba powinien ją pamiętać. Mijam zamkniętą budkę, w której Gloria sprzedaje piwo, colę i papierosy. Obok, za szklanymi drzwiami, ciągną się drewniane stoły i krzesła na tych stołach, ułożone nogami do góry. Skręcam w ścieżkę prowadzącą do domu, a Elvis biegnie, żeby mnie przywitać.

Mruży jedno oko, ma poszarpane ucho i gubi krok. Stoczył walkę w ciemnościach i teraz się łąsi, niemal kładzie mi się na butach. Biorę go na ręce i siadamy razem na krzeselku ogrodowym, przed którym nie ma już stolika. Drapię Elvisa pod bródką i u nasady ogona. Elvis liże mi palce i nagle wbija zęby w dłoń. Odkładam go, wstaję i idę do domu. Elvis poluje na moje stopy.

Krótki przedpokój pachnie morzem. W kuchni czuć wino, zepsute warzywa i mokrą kawę, którą Gloria wysypuje z kawiarki wprost na naczynia w zlewie. Sypialnię przepęlnia woń perfum i przetrawionego alkoholu. Gloria śpi na wznak, z otwartymi ustami i głową obróconą w stronę fotografii Sakisa. Szybka jest stłuczona. Na parapecie leży szkło.

Zabiorę tylko to, co należy do mnie, z czym tutaj przyjechałem. Ze skarbu hrabiny von Cobenzl zostały dwa pierścionki, para kolczyków, gruby złoty łańcuch i broszka. Pierścionki i kolczyki zostawiam na toaletce, między kosmetykami. Po chwili wahania dołącza do nich broszka. Zadowolę się łańcuchem, poszukam kupca w Pireusie. Moja droga jest jasna, a pieniądze niedługo przestaną być potrzebne. Jako dziecko zawsze chciałem znaleźć skarb. Dorosłym skarby tylko ciążyą.

Nie wiem, gdzie jest ta jedna ważna rzecz. Gdzie ją zostawiłem? Wybebeszam kosz brudnych ubrań, przetrząsam kieszenie spodni i koszul, przekopuję szafę w poszukiwaniu plecaka, z którym przyjechałem na Salaminę. Wewnątrz znajduję tylko butelkę wódki anyżowej – skarb schowany przez Glorię, o którym zapomniała. Topnieje spokój. Zaczynam się miotać. Bez tej jednej rzeczy wyjechać mi nie wolno. Wracam do kosza, przetrząsam ponownie plecak, szukam na półkach i w szafie Glorii, jestem gotów sprawdzić szpary podłogowe. Jest. Leży w misce pełnej eurocentówek ustawionej na oknie. Zapewne Gloria opróżniła kieszenie moich spodni przed praniem z troski, aby czegoś nie zniszczyć. Nie spodziewałem się po niej czegoś takiego.

Z plecakiem przerzuconym przez ramię wychodzę na zewnątrz, a Elvis podąża moim śladem aż na nadbrzeże. Wybieram drogę za restauracją i hotelem, bo przy łódkach kręci się Zorba, którego wolę nie spotkać. Gdyby nie on, zabrałbym skuter. Przechadza się pomiędzy łódką, budką i ulicą, zerka na wzgórze. Siada na skrzyni wędkarskiej i skręca sobie papierosa. Zapala, wstaje, otwiera tę skrzynię i ją przetrząsa. Zapodział mu się nóż.

Za Apollonionem znajduje się talerz zmiażdżonego asfaltu, pętla otoczona przez krzaki, trawę i kruszący mur. Nie ma żadnej wiaty ani nawet słupa. Prócz mnie na autobus czeka też facet w czerwonej koszuli wpuszczonej do spodni. Obok niego kręci się chłopiec. Nie patrzymy na siebie. Nie ma żadnej toyoty. Podjeżdża rozklekotany autobus, jest pusty. Mężczyzna wsiada, wdmuchując do środka papierosowy dym. Zajmuję miejsce z tyłu, przyklejam twarz do szyby. Myślę o Jacku i o swojej pomyłce. Mogłem go zabić, lecz na szczęście nie zabiłem.

Po raz ostatni patrzę na łagodne wzgórza i brąz szerokich pól. Guzowate skały sterczą z zagajników. Chmury wiszą nisko i mają barwę ołowiu. Mijamy zaimprovizowaną siłownię Jacka i wjeżdżamy coraz wyżej, między znajome góry śmieci, za którymi ciągną się gaje oliwne. Domy w dolinach, z tarasami na dachach, przypominają twierdze.

Autobus zapełnia się ludźmi. Wszyscy wyglądają, jakby zeszedli z wysokich gór, i mają blizny na przedramionach. Wydaje mi się, że autobus nie ma żadnych przystanków i po prostu jeździ od domu do domu, zabierając codziennie tych samych pasażerów. Teraz zatrzymuje się przy starej, mocnej kobiecie objuczonej siatkami. Rwę się do tych siatek, wkładam do autobusu, nie pozwalając, by stara dotknęła choćby jednej. Pomagam jej usiąść. Jedziemy w milczeniu, a gdy docieramy do portu, znów dźwigam siatki. Zanoszę je tam, gdzie przybije prom. Popłyniemy oboje.

W miasteczku panuje ruch. Otwierają się stragany, śmigają skutery. W rozkraczonej budce kupuję bilet. Pieniądze przepycham pod szybą uzupełnioną kawałkami tektury, a kobieta w środku podsuwa mi świstek, wydmuchując nosem kłęby dymu. Siadam plecami do miasteczka i czekam, aż prom, nie większy od ciężarówki, zatrzyma się przy brzegu. Napis na burcie, PALLAS, wydaje się skreślony tą samą ręką co szyld nad hotelem Rouvina.

Pomagam starszce, zajmuję miejsce na górnym pokładzie i zrzucam plecak na krzesło obok. Człowiek, który wcześniej przedał mój bilet, proponuje kawę. Orientuję się, że jestem rześki i wypoczęty, choć w nocy nie zmrużyłem oka. Jestem spokojny i pewny jutra, a prom odbija od nadbrzeża. Popielniczki na pokładzie się trzęsą. Mewy krążą w powietrzu ze swoim łak-łak-łak, ale morze jest zupełnie inne niż to widziane z łódki – nie mogę niczego wypatrzeć pod mętną powierzchnią.

Ojciec i syn idą przez park Morskie Oko. Jan nie nadąża za Mikołajem. Przystaje, spogląda w stronę drzew, za którymi zniknęła Patrycja. Przykłada dłoń do ust, idzie za Patrycją, zawraca i biegnie w stronę przystanku.

Mikołaj natychmiast siada na ławce wiaty przystankowej i wyciąga tablet, tymczasem Jan nie może znaleźć sobie miejsca. Sprawdza telefon. Zerka w stronę parku, wypatrując Patrycji, wreszcie zajmuje miejsce obok syna i czeka ze spuszczoną głową.

Na autobus czeka również nerwowy czterdziestolatek w skórzanej kurtce, zadbana staruszka w typie emerytowanej pracownicy naukowej i dwóch nastolatków w bluzach z pseudonimami youtuberów.

Na Puławskiej ruch jest niewielki. Kilkadziesiąt metrów dalej, obok kiosku, rozłożyli się sprzedawcy skarpet i owoców. Z pewnej odległości interesu dogląda tęgi facet na wózku, z papierosem w grubych wargach. Tramwaj hamuje przed przejściem dla pieszych. Podmuch wiosennego wiatru przewraca koziółek ustawiony u wylotu Madalińskiego, a kurier DHL zostawia furgonetkę na światłach awaryjnych i znika w drzwiach cukierni.

Uwagę Jana zwraca rudy kot, który wychynął z krzaków i kręci się w pobliżu. Jest tłusty i ma obrózkę, nie boi się ludzi ani samochodów i węszy przy śmietniku. Jan waha się chwilę, wstaje i klęka przy kocie. Ten łągnie do jego ręki. Jan drapie zwierzę pod bródką i po grzbiecie, u nasady ogona. Kot mruczy, przywiera brzuchem do ziemi i wysuwa pazurki, tymczasem środkiem Puławskiej mknie srebrna toyota. Nie widzi jej Jan, nie widzi emerytka, nie widzą nastolatki ani nerwus w skórzanej kurtce, zajęty mówieniem do siebie. Nie widzi Mikołaj.

Trach.

Kot odskakuje i przygląda się z bezpiecznej odległości. Jan podnosi się, odwraca głowę i kamienieje w pół ruchu. Zniknęli nastolatki. Sina staruszka siedzi na chodniku, nerwus leży w powiększającej się kałuży krwi. Z wiaty została plastikowa szczerba z resztkami afisza teatralnego. Zdezelowany przód samochodu znieruchomiał dokładnie w tym miejscu, w którym siedział Mikołaj.

Handlarze porzucili stoiska i biegną na miejsce wypadku. Hamują samochody, jakaś kobieta osuwa się na ziemię. Kierowca toyoty wysiada, narzuca kapturem i niezatrzymywany przez nikogo znika w parku.

Kot zlizuje krew z asfaltu i zaraz pryska w krzaki. Jan rusza. Spod maski samochodu dobywają się kłęby dymu. Nad deską rozdzielczą kołysze się mała.

Jest przedział w pociągu, jest zimne okno i zapomniana ładowarka w gniazdku, są rozpędzone perony Brwinowa, Pruszkowa, Piaseczna, są zaspani pasażerowie i nieprzyjemne światła, jest plama po kawie na siedzeniu obok, jest telewizor zawieszony pod sufitem wagonu i szczęśliwa rodzina w tym telewizorze. Jestem i ja.

Pasażerowie zrywają się z foteli jak na odczytanie wyroku. Zwijają kable, zdzierają z siebie słuchawki, ściągają walizki z metalowych półek przy drzwiach i starają się na siebie nie napierać. Przeglądają się w ekranach telefonów. Jakaś dziewczyna próbuje wdrzeć się do zamkniętej toalety. Tylko ja siedzę i patrzę przez okno.

Ludzie wysypują się na szarą płytę dworca i nie wiedzą, dokąd iść. Tłoczą się przy ruchomych schodach. Jeden chłopak wbiega na stopnie jadące pod prąd, gubi krok i spada w tłum, który natychmiast go z siebie wypluwa. Jest wcześniej. Młodzi przysypiają, opierając głowy na plecakach i walizkach. Przez pusty przedział sunie konduktor. Jest młody jak nie konduktor. Pyta mnie, czy wszystko w porządku. Dziękuję, przepraszam, wysiadam. Mam wolne dłonie.

Nieco dalej znajdują się drugie schody ruchome, przy których nikt nie czeka. Wyjeżdżam na górę i nie wiem, co dalej, zapomniałem drogi. Błądzą przy kasach, przy księgarniach, kawiarniach i drogeriach, których dawniej nie było na dworcu, ale teraz są. Odbijam się od postoiu taksówek i wracam do podziemi, gdzie ludzie jedzą hot dogi lub ciągną swoje terkoczące walizki.

Wejścia do WC broni bramka, a ja nie mam polskich pieniędzy. Babcia klozetowa wrzeszczy, że tak nie można, że kogoś zawoła, że co ja sobie wyobrażam. Jej wrzask mógłby się dobywać z płuc starej aktorki odgrywającej przez lata tę samą rolę. Wrzeszczy, bo wrzeszczała tak, odkąd tu pracuje, i nie wyobraża sobie, by mogła ukarać mnie ciszą. Daję jej banknot pięćeurowy, przepraszam po angielsku, zamykam za sobą drzwi i wkładam głowę do muszli.

Niedługo później tracę kolejne banknoty. Siedzę w tramwaju jadącym na Pragę, trochę chcę spać, a trochę krzyczeć jak tamta babcia klozetowa. Pod Pałacem Kultury sterczą szpice skrępowanych parasoli. Bloki zasłonięte są przez reklamy samochodów, a kontrolerzy pojawiają się nagle. Nie boję się, choć powinienem.

Są w moim wieku, trochę przestraszeni. Odgradzają drogę do wyjścia, lecz unikają kontaktu fizycznego, proszą najpierw o bilet, potem o dokumenty. Pierwszego nie mam, a dowód jest fałszywy. Odpowiadam po angielsku, że nie wiem, o co chodzi, że dopiero przyjechałem, nie znam miasta i szukam hotelu. Jeden z nich duka, że *ticket*, że *payment*, że *ID*. Wstaję. Ze spuszczoną głową przetrząsam kieszenie i dwie dwudziestoeurówki zmieniają właściciela. Kontrolerzy sprawdzają dyskretnie, czy ktoś tego nie kręci. Jeden pyta, dokąd jadę. Odpowiadam, że na Pragę, bo to prawda, właśnie na Pradze dziś będę. Kontroler przybiera troskliwy wyraz twarzy. Tłumaczy, gdzie znajdę kantory, nazwy ulic natychmiast wylatują mi z głowy. Słyszę, że powinienem uważać. Nie mogę tak chodzić z pieniędzmi.

Obrałem inne cele, ale kanar miał trochę racji. Rozważam to w przejściu podziemnym na rondzie Waszyngtona, gdzie pachnie starym tłuszczem, a tulipany i róże wylewają się z okna kwiaciarni wprost na opluty asfalt. Ruszam w kierunku Francuskiej, bezskutecznie szukam kantoru, wreszcie wchodzę do banku, siadam na bordowej sofie i czekam na swoją kolej.

Dziewczyna ma długi nos i okulary w grubych oprawkach, w kształcie łódek o ostro uniesionych dziobach. Nadają jej wygląd niesfornej uczennicy. Mówię po angielsku, że chciałbym kupić złotówki, a dziewczyna prosi o jakiś dokument. Odpowiadam, że nie mam, zostawiłem w hotelu – to naprawdę taki problem? Dopiero przyjechałem, nie wiem nic. Przez

krótką, nieprzyjemną chwilę mam pewność, że dziewczyna doskonale wie, kim jestem. Zna moją twarz z reportaży i kronik policyjnych. To nieprawda. Nie było żadnych reportaży, nikt mnie nigdy nie szukał. Dziewczyna jest miła. Przeprasza, bo chciałaby pomóc. Wskazuje drogę do kantoru.

Zabawa w obcokrajowca kończy się w hotelu. Przysięgłbym, że znam tego chłopaka z recepcji. Jest długi, jakby rozciągnięty od wczesnego wstawania i dietetycznych płatków śniadaniowych. Nadgarstek oplata mu błękitny wąż. Czy pracował tutaj, kiedy bywałem tu z Patrycją? Jeśli nawet, i tak nie pamięta. Zjeżdża winda nabita ludźmi. Dziś w hotelu nocują robotnicy, młodzież, która przyjechała na jakiś koncert, przedstawiciele handlowi. Dystrybutor wypłuka niedobrą kawę. W lodówce ciągną się rzędy carlsbergów, napojów energetycznych i batonów.

Podaję chłopakowi skradziony dowód osobisty. Uświadamiam sobie, że to jedyna rzecz, jaka została mi z dnia ucieczki. Jego właściciel, facet, który wbijał płoty w Wittenberdze, dawno go zastrzegł, zgłosił kradzież albo zagubienie. Ale chłopak po prostu przepisuje dane, oddaje dokument i pyta, jak długo planuję zostać. Tego niestety nie wiem. Płacę za tydzień z góry, czemu recepcjonista się dziwi. Nikt nie chce mieszkać tu tak długo.

Na wyposażenie pokoju składa się wąskie łóżko, biurko z niewygodnym krzesłem i kabina prysznicowa, w której trudno się zmieścić. Z beżowej ściany na stalowym ramieniu sterczy telewizorek. Owinięty ręcznikiem przełączam kanały. Nie było mnie tak długo. Przez ekran przewijają się ciała nowych piosenkarek i twarze starych polityków. Długie bloki reklamowe podsuwają mi rzeczy, których nie chcę.

Otrzeputuję spodnie i bluzę, zakładam, sprawdzam tylną kieszeń, gdzie spoczywa jedyna rzecz na świecie, której będę dziś potrzebował. Długo przecieram buty mokrym papierem toaletowym. Przeglądam się w wysokim lustrze. Jestem skromny i schludny, taki jak powinienem.

Siadam na brzegu łóżka. Dochodzi południe. Doba hotelowa zaczyna się później. Nie powinni mnie wpuścić, a jednak wpuścili. Dawno temu, w innym życiu, dalibyśmy się z Patrycją zabić za coś podobnego. Łowiliśmy godziny, które teraz nie mają żadnego znaczenia. Gaszę telewizor. Patrzę na łóżko i myślę, że trochę przepłaciłem. Nie zostanie tutaj tak długo. Wiem, co muszę zrobić, i koniec nastąpi wcześniej.

Na Puławskiej postawili nową wiatę przystankową. Jest obła i pokryta reklamami galerii handlowych. Plastikowa paszcza skrywa ławeczkę, krótką i niewygodną. Siadam i patrzę przed siebie.

Kilkadziesiąt metrów dalej wciąż stoją stragany z owocami i odzieżą, a człowiek na wózku inwalidzkim po starym pilnuje swojego interesu. Kelnerka zmienia jadłospis na koziołku ustawionym u wylotu z Madalińskiego. Klekoczą tramwaje.auta przepływają falami. Obok mnie para dzieciaków słucha muzyki na wspólnych słuchawkach. Kobieta, której twarzy nie mogę dostrzec w słońcu, pyta, czy jechał już autobus jakiejś tam linii. Odpowiadam, że nie wiem, bo nie czekam na żaden autobus. Sprawdzam, czy w pobliżu nie kręci się kot.

Wszystko jest zwyczajne, aż odbiera mowę, ci ludzie, te samochody i równa kostka brukowa. Przynajmniej ona powinna być potrzaskana. Spodziewam się znaleźć na niej ślady krwi, lecz nie dostrzegam nic poza petami i drobinkami szkła. Kobieta, która pytała o autobus, teraz chce wiedzieć, czy dobrze się czuję. Nie, proszę pani. Ale to bez znaczenia.

Krażę wokół wiaty. Przy krawędzi chodnika znajduję coś, co biorę za wypalony znicz, a co okazuje się denkiem stłuczonej butelki. Światełka palą się nieco dalej, na skraju parku, pod krzyżem z czarnego drewna. Znicze są potężne, a krzyż przekrzywiony.

Jako dziecko nienawidziłem odwiedzania grobu. Mieliśmy tylko jeden, na cmentarzu Czerniakowskim, a ja i tak się buntowałem, kiedy trzeba było tam iść. Wolałem czytać książki albo oglądać telewizję. Nie znałem babci, umarła, kiedy byłem bardzo mały, a dziadek opuścił ją na długo przed moim narodzeniem.

Gdy protestowałem, gdy ogłaszałem, że zostaję w domu, mama zazwyczaj prosiła, żebym porozmawiał z kolegami w szkole. Większość miała duże rodziny, a duża rodzina zawsze oznacza mnogość cmentarzy i grobów do przecierania. My mamy tylko jeden. Tłumaczyłem, że zmarłym jest przecież wszystko jedno, i prosiłem, aby odpuściła, choćby ten jeden raz. Pytałem nawet, czemu babcia musi leżeć akurat na Czerniakowskim, gdzie jedzie się długo, a groby znajdują się tak blisko siebie, że trudno przejść. Koniec zawsze był taki sam: z czerwonym nosem i spuszczoną głową, z torbą pełną szmatek, zmiotek i past człapałem na przystanek autobusowy.

Grób znajdował się pod kasztanowcem, trwałą przyczyną maminego frasunku. Złościły ją mokre liście lepiące się do płyty i tablicy. Cały czas opadały nowe i ktoś mógłby pomyśleć, że nikt o grób nie dba, nie pamięta o ukochanych kościach.

Nie rozumiałem, do czego właściwie jestem tam potrzebny, ponieważ mama nie dopuszczała mnie do żadnych poważniejszych prac. Gdy przychodziliśmy na miejsce, musiałem oddać siatkę i przynieść wodę ze studzienki. Nienawidziłem tego, bo kran rdzewiał, woda była lodowata i płynęła pod dużym ciśnieniem. Zawsze wracałem mokry i musiałem wysłuchać, jaki jestem niezdarny.

Mama wyjmowała z wazonu wiązankę sztucznych kwiatów i zbierała znicze z płyty. Zamiatła ją, wykonując krótkie, nerwowe ruchy. Niemal się przy tym kładła. Potem chlapała wodą i sięgała po jedną z rozlicznych szmatek, których mnie nie wolno było zgubić, a jej – pomylić. Szmatki były bardzo różne, o odmiennej fakturze i barwie, a każda służyła do czegoś innego. Jedna na mokro, druga na sucho, trzecia do polerowania. Gdy grób już lśnił, myłem je wszystkie pod rdzewiejącym kranem i mocno wykręcałem, aż bieleły mi dłonie. Jak bym się nie starał, mama zawsze zdołała wycisnąć jeszcze parę kropel. Nie mogłem nawet zmienić wkładów w zniczach. Mama obawiała się, że któryś potłukę, a wówczas będziemy musieli się wrócić za bramę, do handlarzy, gdzie może już nie być takich ładnych zniczy. Poza tym po co marnować pieniądze?

Pytałem, do czego jestem potrzebny, skoro nawet nie wolno mi zapalić znicza. Mama zawsze odpowiadała to samo, nie okazując znudzenia. Zabierała mnie na cmentarz, bo w ten sposób uczyła dbania o zmarłych. Żałowała, że nie poznałem swojej babci. Przyjście tutaj było jedyną rzeczą, jaką mogłem zrobić dla tej dobrej kobiety. Wspominała o czymś jeszcze – czymś dużo ważniejszym. To jedyny grób w naszej małej rodzinie, jedyny grób z jednym wolnym miejscem. Moja mama go zamiatła, myje, poleruje, zapala świece, a kiedyś w nim spocznie. Wówczas ja będę zamiatał, mył, polerował. Ponieważ będę dorosłym człowiekiem, zapalę znicze, nie tłuć żadnego. Dlatego te wizyty są ważne. Mama nie przewidziała jednak, że pod tym wstrętnym kasztanowcem spocznie ktoś inny.

Wysiadam pod centrum handlowym na Sadybie, do którego przylega targowisko. Baby objuczone siatkami przysiadły na ławkach przystankowych. Nie wiem, dokąd iść, jakbym zjawiał się tutaj po raz pierwszy, więc pytam o drogę. Jedna z bab wskazuje na przejście i mówi, że muszę iść naokoło, bo z jednej strony nie zrobili pasów. Nie zrobili, bo są głupi, nie myślą o tych, którzy chodzą na cmentarz. Liczą się tylko supermarkety.

Stoję na pierwszym z trzech przejść i przyglądam się ludziom, jak wyszarpują telefony z kieszeni, jak kręcą głowami, przytupują i szepczą bezgłośnie „kurwa”. Widzę wyrywające się dzieci i nastolatków w butach sportowych, którzy przebiegają wesoło na czerwonym świetle. Jestem spokojny. Nawet nie wiem, kiedy znalazłem się po drugiej stronie, nie potrafię też odnaleźć cmentarnej bramy. Idę Powsińską. Koło budki ze zniczami i kwiatami znajduje się prywatny śmietnik, o czym informuje wielki napis naniesiony białą farbą. Dalej sprzedają piwa rzemieślnicze, a potem jest tylko mur, zakręt i otwarta brama zakładu kamieniarskiego. Wchodzę tamtędy między groby i nieruchomościę, bo nie wiem, co dalej.

Kasztanowiec zniknął, część innych drzew również, pod murem leżą ociosane bele. Do grobu zawsze trafiałem, wypatrując kasztanowca, bez niego nie umiem i gubię się na prostej alejce. Ciasno. Dosłownie wciskam się między groby, z trudem utrzymuję równowagę. Mijam smukłego, bielutkiego anioła i posąg chłopczyka w szkolnym mundurku, który zmarł w latach pięćdziesiątych. Są powstańcze groby z czarnymi krzyżami, są attyki jak otwarte księgi, są groby bez imienia, przykryte tylko darnią, są wreszcie dwie kruche sylwetki, jedna wsparta na drugiej. Idą w moim kierunku.

Julka założyła elegancki płaszczyk, w ręku niesie skórzaną aktówkę. Czyli wciąż pracuje. Mama ubrała się zimowo – ma na sobie ciężki płaszcz zapięty pod szyję i szal, znajoma siatka wyraźnie jej ciąży. Bardzo się postarzała. Złoto zniknęło z palców. Obie kobiety dostrzegają mnie jednocześnie i kamienieją dokładnie w ten sam sposób, z dłońmi zeszywniałymi na piersiach, w pół kroku. Stoją, więc podchodzę, tak właśnie powinno być.

Dzieli nas pół metra, wyciągnięcie ręki, cios w twarz – to jest dozwolone. Nie odezwę się pierwszy, więc milczymy. Mama ma minę, jakbym właśnie wygrzebał się z pobliskiego grobu, Julka chyba chce, żebym w takim spoczął, co nie ma znaczenia. Stoję i czekam, one także. Julka robi krok w przód, chce mnie wyminąć, nie umie, więc się cofa. Zaciska dłoń tuż przed moim nosem.

– Zabrałeś pieniądze.

Nie wiem, co odpowiedzieć, niech więc Julka mówi.

– Zabrałeś wszystko, co mieliśmy. Poszedłeś do banku, zaraz po tym, i wypłaciłeś, i już cię nie było. Zabrałeś nasze wspólne pieniądze, to była pierwsza rzecz, jaką zrobiłeś.

– To prawda, tak, rzeczywiście.

Wypowiadam te słowa głośno. Patrzą ponad głowami kobiet na stalowoszarą ścianę z napisem IMAX i logo McDonalda. Julka powtarza:

– Zabrałeś pieniądze i zostawiłeś mnie z niczym. Co sobie myślałeś? Że co, że ja sobie poradzę, że wezmę pożyczkę, że przyjdzie pensja, że to ci się należy?

– Nie wiem, nie pamiętam. Wtedy chyba nie myślałem za wiele. Na pewno nie myślałem o was, tylko o czymś innym. Nie wiem już o czym, po prostu, tak było.

– Tak było.

– Chyba wydawało mi się, że pieniądze nie mają żadnego znaczenia. Nie w tej sytuacji.

– Pieniądze? Nie miały znaczenia?
– Tak.
– I dlatego je wzięłeś? Wzięłeś je, bo nie miały znaczenia?
– Chyba nie było ważne, co zrobię, a czego nie. Zrobiłem cokolwiek. Zrobiłem to, co musiałem.

Mama patrzy przed siebie jak ślepiec. Julka masuje nasadę nosa, ociera usta wierzchem dłoni. Wygląda, jakby chciała zdjąć własną twarz.

– Musiałeś być przy mnie. To: „musiałem”.
– Musiałem, ale nie mogłem.
– Naprawdę? Co ci przeszkodziło?
– Nie wiem.
– Pytam cię, co ci przeszkodziło.
– Nie potrafię odpowiedzieć. Po prostu nie umiałem inaczej.

Julka się chwieje, bierze głęboki wdech, spogląda na smukłego anioła o skrzydłach jak skrzypce. Sądzę, że chce się o niego oprzeć, a nawet przytulić.

– Powiem ci, co ja umiałam. Umiałam pojechać na Puławską i umiałam wrócić do nas do domu. Umiałam już w nim zostać. Umiałam tam wracać i dużo, dużo więcej. Czekałam na ciebie, Janek. Chodzę na terapię, wiesz?

– To dobrze. Na pewno ci pomaga.

– Chodzę na terapię także dlatego, żeby zrozumieć, czemu zostałam w tym sama, i na tej terapii, w tej grupie okazało się, że jestem jedyna, bo inni rodzice w naszej sytuacji byli razem i jakoś umieli, nawet jeśli to się potem rozpadało, bo często się rozpada, tak, wiem, to pierwszy rok, dwa lata dawali radę we dwoje, przecież trzeba żyć, nigdy nie wolno się poddać, tak nas uczono.

– Nie wolno, ale ja się poddałem.

– Wiesz, co mi powiedziała jedna osierocona mama? Była starsza ode mnie, jej syn zdał już na studia i kiedy zaraził się sepsą i umarł, waliła głową w mur i mąż musiał ją trzymać, żeby nie waliła, a pielęgniarki ścierały potem krew z tego muru, w każdym razie ta kobieta powiedziała mi, że nie dałaby sobie rady, gdyby spotkało ją to samo co mnie, bo ją mąż trzymał, a mnie kto?

– Nikt, Julka. Niestety nikt cię nie trzymał.

Zaczyna chodzić tam i z powrotem w poprzek alejki. Alejka jest bardzo wąska i Julka wygląda, jakby kręciła się w kółko, krok i zwrot.

– Dobrze sobie radzę, wiesz? Tak mówią na terapii, czuję podobnie i tak chyba jest. Zmieniłam pracę. Zarządzam ludźmi, to znaczy niewielką grupą, cztery fajne, młode osoby, które nigdy nie będą miały tak ciężko jak my. Są gorsze dni, kiedy piję, ale jest lepiej, nigdy nie będzie dobrze, do pewnych rzeczy nie ma powrotu, tylko czy ciebie to obchodzi, Janek?

– Nie.

– A gdybym ci powiedziała, że kogoś mam, że jestem znowu w ciąży?

– Nie jesteś.

Moja mama się chwieje i Julka musi ją podtrzymać. Prowadzi tę szklaną staruszkę do najbliższej ławki, pomaga usiąść, podchodzi do mnie.

– Dopiero niedawno nauczyłam się wracania do domu. Wcześniej włóczyłam się po ulicach, do trzeciej, czwartej rano. Jeździłam tramwajami, autobusami, metrem. Wychodziłam z pracy, chodziłam przez całą noc i rano do pracy wracałam. Myślałam, że nie żyjesz, że popełniłeś, kurwa, samobójstwo.

- Tego też nie potrafiłem zrobić. Okazało się, że bardzo wielu rzeczy nie potrafię.
- A co potrafisz, Janek?
- Potrafiłem przyjść tutaj.
- Zdradzę ci cholerny sekret. Nikt cię tu nie chce. Nie potrzebujemy cię.
- Nie przyszedłem tutaj, żeby być potrzebnym.
- To po co?
- Bo wiedziałem, że was tu spotkam. I nie tylko po to.

Julka wygląda teraz jak dziewczyna, której zerwały się korale: drewniane kulki toczą się we wszystkich kierunkach, a każda ma kolor krwi. Julka otwiera usta do kolejnego pytania, których przecież ma mnóstwo. One nigdy się nie skończą, tak jak jej rana nigdy się nie zasklepi. Moja mama jęczy, że ma bóle, że chce się jej pić. Julka ujmuje ją pod ramię, podnosi, prowadzi do bramy. Pomógłbym, ale nie mam odwagi.

Pizzeria należy do tych miejsc, do których się nie wraca, o których się nie pamięta. Pod oknem ciągnie się ława, biały strop podpierają drewniane belki, a bar wykonano z cegieł. Pachnie mąką. Siadamy przy stole nakrytym białym obrusem i natychmiast zjawia się kelner, niewyraźny, jakby naprawdę nie istniał. Patrzę na niego i gdy odwracam wzrok, zapominam jego twarz. Julka zamawia kawę. Mama prosi o gazowaną wodę mineralną. Ja nie będę jadł ani pił.

Siedzimy naprzeciw siebie. Julka jest piękna jak Królowa Śniegu, twarz mamy składa się wyłącznie ze zmarszczek, w których zalegają cienie. Ma połamane paznokcie i grube żyły na dłoniach. Pyta:

- Gdzie byłeś?
- W Europie. Głównie na Bałkanach, ale nie tylko.
- Wiem.

Mama pije wodę, jakby chciała rozgryźć szkło. Ociera usta chusteczką, bębni palcami w stół. Jej głos mógłby należeć do skrzywdzonej dziewczynki.

– Wiem, bo Mikołaj mi powiedział. Powiedział mi, że żyjesz, że jesteś w jakimś wielkim mieście, że masz śmieszna czapkę i chodzisz po szerokich kolorowych ulicach, którymi jeżdżą luksusowe samochody z Murzynami. Powiedział też, że masz piękne mieszkanie z widokiem na rzekę i ogromny telewizor. Mieszkasz sam i jesteś bardzo smutny. Dobrze, że jesteś smutny. Zasłużyłeś na to.

– Tak, zasłużyłem. Dobrze, że Mikołaj powiedział ci o tym wszystkim.

– Odwiedza mnie w snach. Czasem jest co noc, a kiedy go nie ma, to zawsze przeprasza, mówi, że miał dużo nauki tam, w gimnazjum w Niebie. Nie zawsze też go puszcza, rozumiesz, na pewno rozumiesz, prawda?

- Gimnazjum w Niebie, tak, rozumiem, mam.
- Do ciebie nie przyszedł?

Zastanawiam się, jakiej odpowiedzi powinienem udzielić. Chciałbym wiedzieć, czego moja mama naprawdę potrzebuje, ale tego nie wiem i wiedział nie będę. Obiecałem sobie, że będę mówił tylko prawdę.

– Nie, mam. Nie przyszedł.

– Tyle razy go prosiłam, Dudusiu mój, Wróbelku, przyjdź któreś nocy do tatusia. Wiem, że się bawisz z kolegami, z tymi dziećmi, których rodziców odwiedza twoja mamusia, ale tatuś za

tobą tęskni. Na pewno tęskni, prawda? Nie, ty nie tęskniłeś. Może dlatego nie przyszedł? On tam ma mnóstwo zajęć. Chodzi na karate, na basen i lodowisko. Mają całe domy pełne zabawek, może grać, ile chce. Cały czas ma nowe gry i bardzo się tym cieszy. A ja mu klaruję, przyjdź choć raz do taty. Przyjdź do mamy, ona bardzo tego chce.

Julka podnosi lodowaty wzrok.

– Przestań, proszę. Nie widzisz, że on się nad nami pastwi? Tylko przytakuje.

– E, przestań, sama nie wiesz, co jest dla ciebie dobre. A może zostałam pobłogosławiona? Może Mikołaj mógł wybrać tylko jedną osobę, którą będzie odwiedzał, i nie chciał, dobry, kochany chłopczyk, wybierać między mamą i tatą, bo każdemu byłoby przykro? Tobie nie byłoby przykro, Janek. Więc wybrał swoją babcie, i to jest niewyobrażalna radość, gdy mogę znów go przytulić. Czekam na sen, Janek, każdego dnia czekam, tylko sen nie zawsze chce przyjść.

– Wiem, mamusiu.

– Nie, nie wiesz. Nic nie wiesz, bo cię nie było.

– Tak, nie było mnie, bo uciekłem.

– Zdradziłeś i uciekłeś.

– Tak, to też.

Mama płacze jak dziewczynka, dosłownie krztusi się łzami, dyszy, jakby miała krzyknąć. Chcę ją objąć, ale tego też nie wolno mi zrobić.

– Wiesz, o co mnie Mikołaj poprosił? Żebyś mi wybaczyła. Tak właśnie powiedział: „Wybacz tatusiowi, jak tylko go zobaczysz, bo ja mu dawno wybaczyłem”. Złote serce, złote dziecko. Przecież on tam nikogo nie ma, tylko nauczycielki, koleżanki, kolegów. Nie wraca do domu jak normalne dzieci, tylko pewnie śpi gdzieś w internacie.

– W internacie w Niebie, tak. Zapewne tam właśnie śpi.

– Więc powiedział: „Wybacz tatusiowi”, i chciałam ci wybaczyć, naprawdę, bo wiedziałam, że nie umarłeś. Wiedziałam, że nie umiesz sobie z tym poradzić, i żałowałam, że nie możemy być razem w tym strasznym czasie. Minęło półtora roku! Gdzie byłeś przez te półtora roku, Janku? Spodziewałam się, że się modlisz, że poszedłeś do klasztoru albo pijesz, i byłam pewna, że posłucham Mikołaja. Chciałam powiedzieć: „Wybaczam ci”. Czy ty masz pojęcie, jak wyglądasz? Na kogo ja patrzę?

– Nie. Nie mam.

– Masz, widzę to w twoich oczach. Jesteś tłusty i opalony, jakbyś wrócił z wakacji. Więc nie, nie mogę ci wybaczyć. Przepraszam Mikołaja, gdy znów mnie odwiedzi. Jesteś przeklęty. Ja się ciebie wyrzekam. Jesteś przeklęty, bo sam siebie przekląłeś, a teraz idź. Odejdź, bo tylko to umiesz. Boże, idź wreszcie, nie ma cię tu!

Ktoś wystawia głowę z kuchni i natychmiast ją chowa. Nos mamy rozpląszcza się na stole. Julka obejmuje ją od tyłu, próbuje ocierać jej twarz, patrzy na mnie, mówi:

– Lepiej, żebyś rzeczywiście stąd poszedł.

Wstaję. Sięgam do tylnej kieszeni i kładę na stole kopertę.

– Weźcie to. Obejrzyjcie w domu. Obejrzyjcie razem, tak będzie najlepiej. Będziecie wiedziały, co z tym zrobić.

Julka sprawdza zawartość koperty.

– Powiedz, co to takiego.

– Nie mogę. Zobaczycie same. Poczekam tak długo, jak długo będzie to konieczne. W środku macie adres hotelu. Nie musicie się spieszyć, musicie tylko zdecydować.

I już. Zostawiam je przy stole, jedną złożoną na drugiej, przy szklance i pustej filiżance. Niemal zsuwam się ze schodów, wypadam prosto na płyty chodnikowe. Muszę unieść dłoń, oślepia mnie słońce.

Miałem mieszkać na Białołęce, dużo o Białołęce myślałem, wyobrażając sobie małe, zagracone mieszkanie z niepotrzebnym grubasem w środku. Nigdy jednak nie pojechałem na Białołękę, aż do teraz.

Autobus z metra Młociny wiezie mnie czymś, co bardzo by chciało być Warszawą. Jedziemy dwupasmówką z ekranami, na których czernieją sylwetki ptaków w locie. Domy na nowoczesnych osiedlach wyglądają jak kanciaste wodospady, pod mostem Wisła jest szeroka, a jej brzegi piaszczyste. Dojeżdżam aż do pętli i uświadamiam sobie, że nie wiem, gdzie dokładnie mieszka Patrycja. Opowiadała mi o tym miejscu, wspominała, że ma kebab w bloku. Powietrze jest wilgotne i pachnie morzem.

Do pętli przylega las. Po drugiej stronie znajduje się osiedle szarych pięciopiętrowych bloków o klockowatych balkonach. Parterem ciągną się spożywczaki, a także zakład fryzjerski, komis telefonów komórkowych, pierogarnia i burger. Kebab jest nieco dalej. To jedna z tych sieciówek, gdzie leje się królewskie, telewizor wyświetla mecze, a mięso ma smak tektury. Siadam na ławce i czekam.

W tych szarych domach żyją ludzie, kiedyś tego nie wiedziałem, a teraz już wiem. Kobiety piją i wyją po nocach. Mężczyźni wyrrywają sobie włosy z czerwonych nosów, onanizują się nad klozetami i schodzą do piwnic, gdzie trzymają swoje sekretne skarby: płyty winylowe, butelki wódki i pornosy. Młodzi wysyłają sobie nagie zdjęcia ze swoich małych pokoi. W takich mieszkaniach najmniejszy pokój dostaje właśnie dziecko. Straszny świat pulsuje niesamowitym życiem, kiedyś tego nie wiedziałem, a teraz wiem. Żadna to mądrość, tak po prostu jest. Patrycja wyłania się z Kebab Kinga, gruby mężczyzna wychodzi za nią i idą obok siebie, trzymając się za rękę.

Tak może boleć zaleczona rana; jestem jak stary Niemiec wracający do Oławy albo Szczecina. Przyglądam się życiu, z którego sam uszedłem. Patrycja schudła i chętnie obnaża ramiona. To dobrze, zawsze jej na tym zależało. Grubas przygarnia ją do siebie, a ona obejmuje go w pasie. Wrócili do siebie czy byłem okłamywany? Odpowiedź na to pytanie jest pozbawiona znaczenia, żałuję jednak, że siedzę tak daleko. Chciałbym popatrzeć Patrycji w oczy. Widziałem, że się uśmiechała, ale nie wiem, czy ten uśmiech był szczery. Nie dowiem się bez spojrzenia w oczy. Nie spojrzę, bo mi nie wolno. Siedzę więc na ławce, patrzę na tych dwoje, na ich zmęczoną, zrezygnowaną miłość, i cieszę się, że są, cieszę się, że Patrycja nie idzie sama. Wówczas musiałbym wymyślić pretekst, by do niej nie podejść.

Hotel, czwarta rano. Siedzę na łóżku, w ubraniu i butach, gotowy do wyjścia. Położyłem się przed północą i zrozumiałem, że już nigdy nie zasnę. Czekam na to, co nieuniknione. Wyciszony telewizor nadaje telezakupy. Ludzie, którzy dekadę temu przewinęli się przez reality shows i teleturnieje, sprzedają cudowne odkurzacze, magiczne garnki i szczerozłote pióra. Patrzę na ich twarze i dziwię się, że zaszli tak daleko. Nie współczuję im, nie zazdroszczę ani się z nich nie

śmieję. Nie chcę nimi być, po prostu.

Wiele rzeczy pozostaje dla mnie niejasnych, tak wielu spraw nie rozumiem. Nigdy nie zobaczyłem filmu, który nakręcił Marko w Tortudze. Nie patrzyłem w jego stronę, bo szarpałem się z Antem. Jak długo trwa? Co zawiera? Niewątpliwie Marko zdołał nakręcić moment mojego uwolnienia się, a więc pierwszy cios nożem także. A dalej? Wydaje mi się, że Ante umarł już poza kadrem. Marko zaatakował mnie wcześniej. To nie ma żadnego znaczenia. Ale coś innego – tak.

Mama i Julka z pewnością obejrzały już film, wiedzą, jak się kończy i kim jestem naprawdę. Zapewne było to tak, że Julka przyniosła na Dworkową swojego laptopa, a mama mówiła, że nie zamierza tego oglądać, bo nie chce mieć ze mną nic wspólnego. Potem obejrzały. Julka na pewno do końca. Mama być może nie.

I teraz nie śpią, tak jak ja nie śpię, siedzą i zastanawiają się, co mają z tym zrobić. Żadna jeszcze nie potrafi podjąć decyzji. Raz chcą zapomnieć, raz – pójść na policję. Nie zdołają zapomnieć, więc na policję w końcu pójdą, bo film już mieszka w ich domach i zacznie nawiedzać sny, tak samo jak ty nawiedzasz moją mamę. Policjanci zobaczą nagranie i wówczas tu przyjdą, a ja będę czekał. Podałem adres. Hotel jest tani. Będę więc czekał tak długo, jak długo będzie to konieczne. Wątpię, aby nastąpiło to dziś.

Kobiety jeszcze nie zdecydowały, wciąż jestem dla nich synem, mężem, byłym ojcem. To przeminie. Ten film jest jak dusza zakłeta w jajku – prędzej czy później każdy takie słucze, z zemsty, dla czystej przyjemności, przez przypadek. Ale liczę, że mam tę noc i poranek. Muszę zrobić coś jeszcze.

Ukłucie strachu jest krótkie i bolesne. Boję się, że te dwie kobiety zniszczą nagranie, wybaczą mi, a ja podzielę los Klary. Będę się błakał po świecie, bez celu, dopóki nie umrę. Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. Do tego nie może dojść, choć zasłużyłem. Na szczęście mam jeszcze tę noc i poranek. Na pewno nie zasnę i będę pierwszym gościem na hotelowym śniadaniu. Zjem kiełbaski, smażony boczek, niedosoloną jajecznicę i trochę sera. Wypiję dwie kawy, przed i po jedzeniu. Potem zaczekam na autobus i pojedę na Sadybę, gdzie wysiądę obok bazaru i będę długo stał na światłach. Przekroczę cmentarną bramę i znajdę twój grób.

Kraków – Warszawa – Wrocław
Skończyłem w Dzień Dziecka 2017 roku

PODZIĘKOWANIA

Pisarze powinni być najszcześliwsi z ludzi, ponieważ doświadczają bezinteresownej dobroci innych. Podczas pracy nad powieścią otrzymałem ogromną pomoc od osób zarówno bliskich, jak i dalekich, w tym takich, które widziałem raz w życiu, a nawet wcale. Bez wymienionych poniżej *Exodus* byłby dużo gorszą książką. Oto życzliwi w najszlachetniejszym, alfabetycznym porządku: Zbigniew Bielak, Bartosz Czartoryski, Bartosz Cieślak, Jacek Dukaj, Andrzej Fiderkiewicz, Anna Gacek, Paweł Goźliński, Małgorzata Jędrzejczak, Joanna John, Jakub Kapanusch, Krzysztof Komander, Julia Krupecka, Agnieszka Krysiuk, Małgorzata Kuśnierz, Robert Łapiński, Tomasz Marcinkowski, Maciej Mińczykowski, Przemek Romański, Paulina Socha-Jakubowska, Joanna Sołtysek, Szczepan Twardoch, Joanna Tyborowska, Paweł Wielopolski, Dawid Wildstein, Gabriela Witkowska, Paweł Zawodny, Mikołaj Żentara i Elżbieta Żukowska. Bardzo Wam dziękuję.

Osobne podziękowania kieruję do Joanny Miki, której praca i poświęcenie dla książki wykroczyły daleko poza obowiązki najrzetelniejszej nawet redaktorki. Często gubię się między słowami, ale Joasia zawsze wskaże mi właściwą drogę.

EXODUS

Copyright © by Łukasz Orbitowski 2017

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2017

Redakcja – Joanna Mika

Korekta – Paweł Wielopolski, Małgorzata Kuśnierz

Projekt typograficzny i skład – Joanna Pelc

Okładka – Joanna Tyborowska

Ilustracja na okładce – Zbigniew M. Bielak

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.











Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.



Wydanie I, Kraków 2017

ISBN EPUB: 978-83-8129-082-1

ISBN MOBI: 978-83-8129-083-8

-  wsqn.pl
-  [WydawnictwoSQN](#)
-  [wydawnictwosqn](#)
-  [SQNPublishing](#)
-  [wydawnictwosqn](#)
-  [WydawnictwoSQN](#)
-  [Sprzedaż internetowa labotiga.pl](#)
-  [E-booki](#)
-  [Zrównoważona gospodarka leśna](#)
-  [Antiqua quae nunc sunt, fuerunt olim nova](#)

Spis treści

Okładka
Strona tytułowa
CHOLE
MELAINA CHOLE
PHLEGMA
SANGUIS
PODZIEKOWANIA
Strona redakcyjna

INNE KSIĄŻKI ŁUKASZA ORBITOWSKIEGO W WYDAWNICTWIE SQN

SZCZĘŚLIWA ZIEMIA



ŁUKASZ ORBITOWSKI

SCN

SZCZĘŚLIWA ZIEMIA ŁUKASZ ORBITOWSKI

ZAPISKI NOSOROŻCA

MOJA PODRÓŻ PO DROGACH,
BEZDROŻACH I LEGENDACH AFRYKI



ORBITOWSKI
ŁUKASZ



ZAPISKI NOSOROŻCA ŁUKASZ ORBITOWSKI



SCN

WIGILIJNE PSY

I INNE OPowieści



KSIĄŻKA LAUREATA PASZPORTU POLITYKI 2015

ŁUKASZ ORBITOWSKI

SON

WIGILIJNE PSY I INNE OPowieści

ŁUKASZ ORBITOWSKI

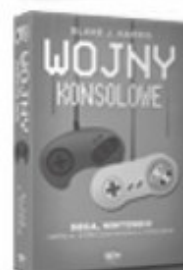
SON

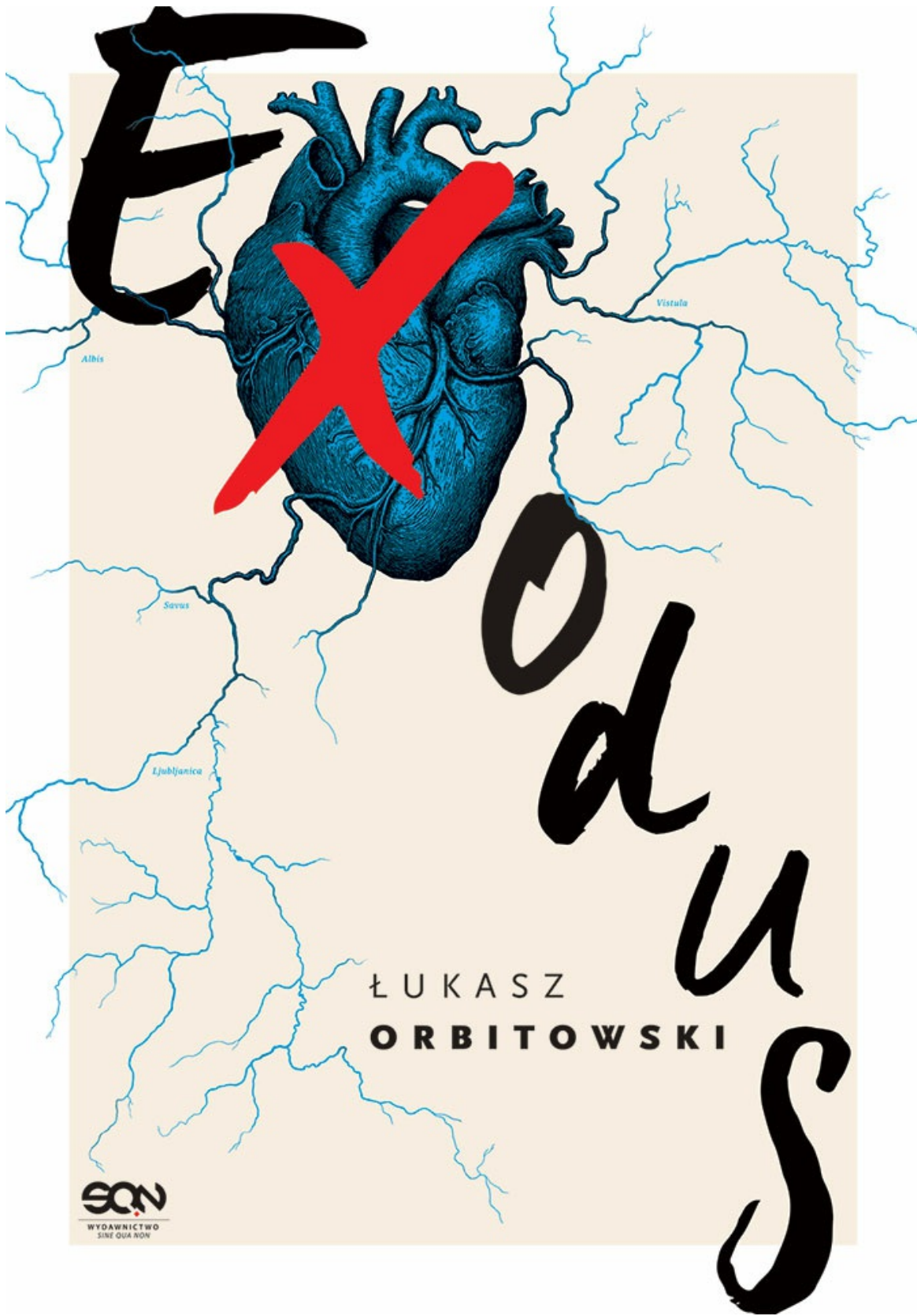
SQLN

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

Bądź na bieżąco, śledź nas na:

-  WydawnictwoSQLN
 -  SQLNPublishing
 -  wydawnictwosqn
 -  wydawnictwosqn
 -  WydawnictwoSQLN
- www.wsqn.pl





Fe

odus

ŁUKASZ
ORBITOWSKI

SQN
WYDAWNICTWO
SINE QUA NON